

Dean Koontz

Twarz

The Face

Przełożyła Maciejka Mazan

*Tę książkę dedykuję trzem wyjątkowym mężczyznom oraz ich
żonom, które tak ciężko pracowały, by wyrzeźbić ich z surowej gliny.*

*Dla Leasona i Marlene Pomeroyów, Mike'a i Edie Martinów oraz
Jose i Rachel Perezów.*

*Po zakończeniu projektu nie będę umiał wstać z łóżka, chodzić
po domu czy iść spać, nie myśląc o was.*

Pewnie trzeba będzie przywyknąć.

Cywilizowana dusza ludzka (...) nie może się pozbyć poczucia niesamowitości.

Thomas Mann,
„Doktor Faustus”

1

Jabłko rozcięto na pół, a następnie połówki zszyto grubą czarną nitką. Mocne szwy były regularne. Każdy węzełek zawiązano z chirurgiczną precyzją.

Odmiana jabłka – czerwone delikatesowe – mogła mieć znaczenie. Jeśli wziąć pod uwagę, że informacje dostarczano w postaci przedmiotów i obrazów, nigdy słowami, każdy szczegół mógł zaważyć na ich znaczeniu, tak jak przymiotniki i znaki przestankowe w prozie.

Jednak bardziej prawdopodobne jest, że jabłko wybrano, ponieważ nie było dojrzałe. Miększy miąższ pękałby nawet wtedy, gdyby użyto bardzo cienkiej igły i delikatnie zaciskano szwy.

Jabłko, czekając na dokładniejsze badania, stało na biurku w gabinecie Ethana Trumana. Czarne pudełko, w które było zapakowane, znajdowało się obok, szeleszcząc podartą czarną bibułą. Wiadomo, że nie zostawiono na nim żadnych śladów.

Parterowe mieszkanie Ethana w zachodnim skrzydle posiadłości składało się z gabinetu, sypialni, łazienki i kuchni. Z wysokich weneckich okien rozciągał się wspaniały widok na nic interesującego.

Poprzedni lokator nazywał gabinet bawialnią i urządził go stosownie do tej nazwy. Ethan miał w życiu za mało zabawy, żeby poświęcać jej cały pokój.

Przed otwarciem pudełka sfotografował je aparatem cyfrowym. Zrobił także zdjęcia czerwonego delikatesowego pod trzema różnymi kątami. Założył, że jabłko rozpołowiono, by do środka włożyć jakiś przedmiot. Nie spieszyło mu się do rozcięcia szwów, aby przekonać się, co też to mogło być.

Przez te wszystkie lata spędzone w wydziale zabójstw pod pewnymi względami stał się twardszy. Pod innymi nadmierny kontakt z wyjątkową przemocą zwiększył jego wrażliwość. Miał dopiero trzydzieści siedem lat, ale kariery w policji już nie zrobi. Jednak instynkt ciągle miał wyostrzony, a podejrzenia mroczne.

Wiatr uderzył w weneckie okna. Zabębnił deszcz.

Łagodna burza dała mu pretekst, by zostawić jabłko i podejść do najbliższej szyby.

Framugi, klamki, balustrady – wszystkie elementy okien w tym wielkim domu były odlane z brązu. Pod wpływem czynników atmosferycznych te, które znajdowały się na zewnątrz, pokryły się efektowną zieloną patyną. Wewnątrz pracowite ręce polerowały je aż do ciemnorubinowego brązu.

Każda szyba w oknach była szlifowana na krawędziach. Wszędzie, nawet w najskromniejszych pomieszczeniach służbowych.

Choć rezydencja została zbudowana dla filmowego mogła u schyłku wielkiego kryzysu, nigdzie – od wejściowego foyer po najdalszy korytarz – nie było widać śladu oszczędności. Materiały płowiąły na sklepowych półkach, samochody rdzewiały z tęsknoty za klientem w salonach sprzedaży, a przemysł filmowy kwitł. W ciężkich czasach, tak samo jak w dobrych, nie słabnie popyt na dwa niezbędne artykuły: jedzenie i iluzje.

Za wysokimi oknami gabinetu rozciągał się widok jak z dekoracji filmowej: doskonale odmalowana trójwymiarowa scena, która w filmowym obiektywie wyglądałaby równie prawdopodobnie jako krajobraz tak obcej planety, jak i ziemski, tak doskonały, jakiego na świecie się nie spotykało.

Przed domem rozpościerał się trawnik zieleńszy od łąk edenu, bez jednego chwastu czy zrudziałego listka. Majestatyczne korony ogromnych dębów kalifornijskich i opadające konary melancholijnych cedrów himalajskich – każdy egzemplarz wręcz

konkursowy – pokryły się na grudniowej mżawce srebrem i brylantami. Przez delikatne niczym anielskie włosy fale deszczu widać było w oddali ostatni zakręt podjazdu. Szarozielona kwarcytowa nawierzchnia, której wilgoć nadała blask srebrnej monety, prowadziła do ozdobnej bramy z brązu.

W nocy nieproszony gość zbliżył się do bramy pieszo. Być może podejrzewając, że staroświeckie ogrodzenie zostało wyposażone w nowoczesny alarm i ciężar ciała uruchomiłby czujniki, przerzucił paczkę nad ozdobnym herbem na bramie.

Paczka z jabłkiem była owinięta w folię bąbelkową i zamknięta w białej plastikowej torbie dla ochrony przez złą pogodą. Przyklejona do folii czerwona kokardka sygnalizowała, że nie jest to śmieć.

Dave Ladman, jeden z dwóch strażników z nocnej zmiany, podniósł przesyłkę o 3.56 rano. Ostrożnie zaniósł ją do budki strażniczej w budynku stojącym w głębi posiadłości.

Razem z kolegą ze zmiany, Tomem Mackiem, prześwietlili paczkę promieniami Roentgena. Sprawdzili, czy nie ma w niej kabli i metalowych części zapalnika lub innej maszynki do zabijania. W obecnych czasach niektóre bomby nie muszą mieć części metalowych.

Następnie Dave i Tom przeprowadzili analizę śladów zapachowych przyrządem rozpoznającym trzydzieści dwa składniki wybuchowe na podstawie zaledwie trzech cząsteczek na centymetr sześcienny powietrza.

Kiedy paczka okazała się czysta, strażnicy ją rozpakowali. Znalazłszy czarne pudełko, takie na prezenty, zostawili wiadomość w poczcie głosowej Ethana i przestali się paczką interesować.

O 8.35 tego ranka jeden z dwóch strażników z porannej zmiany, Benny Nguyen, przyniósł pudełko do dużego domu Ethana. Zabrał ze sobą także kasetę wideo z rejestracją dostarczenia przesyłki, jak również tradycyjny wietnamski gliniany garnek z *com*

tay cam jego matki, potrawką z ryżem i kurczakiem, za którą Ethan przepadał.

– Mama znowu czytała z wosku – wyjaśnił. – Zapaliła świeczkę w twojej intencji, spojrzała w wosk i powiedziała, że musisz się wzmocnić.

– Przed czym? Ostatnio największy wysiłek to wstanie z łóżka.

– Nie powiedziała przed czym. Ale nie przed świątecznymi zakupami. Kiedy mi o tym mówiła, znowu na mnie patrzyła jak świątynny smok.

– Ten, na którego widok pitbule pokazują brzuchy?

– Ten sam. Powiedziała, że masz się dobrze odżywiać, rano i wieczorem odmawiać modlitwy i unikać mocnego alkoholu.

– Jeden problem. Modłę się, pijąc mocny alkohol.

– Powiem mamie, że wylałeś whisky do zlewu, a kiedy wychodziłem, dziękowałeś Bogu na klęczkach za to, że stworzył kurczaki, z których moja matka przyrządza *com tay cam*.

– Nie wiedziałem, że twoja matka nie uznaje odmowy.

Benny się uśmiechnął.

– Nie uznaje także zgody. W ogóle nie przewiduje żadnej odpowiedzi. Tylko ślepe posłuszeństwo.

Od tej rozmowy minęła godzina. Ethan stał przy oknie, patrząc, jak rzadki deszcz – jak sznury paciorków – obejmuje we władanie wzgórze Bel Air.

Obserwacja natury pozytywnie wpływała na jasność jego myślenia.

Czasami tylko natura wydaje się prawdziwa, podczas gdy wszystkie ludzkie dzieła i czyny wyglądają jak dekoracje i teatralne intrygi. W czasach służby mundurowej przyjaciele mawiali, że za

dużo myśli. Niektórzy z nich już nie żyją.

Czarne pudełko z jabłkiem było szóstym w ciągu dziesięciu dni. Zawartość poprzednich budziła silne emocje.

Kursy psychologii kryminalnej połączone z latami doświadczeń na ulicy uodporniły Ethana na objawy ludzkiej skłonności do zła. A jednak te prezenty napełniły go głęboką troską.

Ostatnio dla każdego przeciętnego gangstera i początkującego seryjnego mordercy – wzorujących się na efekciarskich czarnych charakterach z filmu i tak jak oni grających główną rolę w filmie, który wyświetla się w ich głowie – odwalić brudną robotę i wrócić do domu to za mało. Większość dostała obsesji na tle dramatycznej osobowości, barwnej aranżacji miejsca mordu i wyrafinowanych wskazówek – co ma służyć albo dręczeniu ofiar przed atakiem, albo drwinie z rzekomej kompetencji służb porządku publicznego.

Jednak ich metody były bez wyjątku tandetne. Osiągali tylko tyle, że przerażające akty okrucieństwa wydawały się równie męczące, jak mało śmieszne wygłupy klauna.

Nadawca czarnych pudełek ich prześcignął. Przede wszystkim milczące groźby cechowały się pomysłowością. A kiedy jego zamiary staną się zrozumiałe, a czyny wyjaśnią znaczenie gróźb, być może ujawni się także ich inteligencja. Możliwe, że szatańska.

Poza tym nie nadał sobie żadnego durnego pseudonimu dla podlizania się brukowcom. W ogóle się nie podpisywał, co wskazywało na pewność siebie i brak rozpaczliwego pragnienia sławy. Jego celem była największa gwiazda filmowa świata, zaraz po prezydencie najbardziej strzeżony człowiek w Stanach Zjednoczonych. A jednak zamiast śledzić go w tajemnicy, nadawca pudełek ujawnił swoje zamiary w bezsłownych, niepokojących zagadkach, przez co jeszcze bardziej utrudnił sobie zadanie.

Obejrzawszy jabłko w myślach, zbadawszy szczegóły paczki i prezentacji, Ethan przyniósł z łazienki nożyczki do paznokci. W

końcu wrócił do biurka.

Odsunął krzesło. Usiadł, odepchnął puste pudełko i na środku bibuły ułożył zaszyte jabłko.

Pierwsze pięć pudełek, każde innego rozmiaru, zostało zbadane wraz z zawartością pod kątem odcisków palców. Trzema zajął się osobiście – bez sukcesu.

Ponieważ czarne pudełka nadchodziły bez słowa wyjaśnienia, władze nie mogły ich traktować jako pogróżki. Dopóki intencje nadawcy pozostawały niekonkretne, policja nie miała podstaw do rozpoczęcia dochodzenia. Przesyłki numer 4 i 5 zostały powierzone starej przyjaciółce z laboratorium wydziału dochodzeń naukowych policji Los Angeles. Przyjaciółka zbadała je nieoficjalnie. Umieściła w szklanym pojemniku i poddała działaniu oparów cyjanoakrylanu, które łatwo kondensują się w postaci żywicy na tłustych odciskach.

W świetle jarzeniowym nie pojawiły się żadne ślady białej żywicy. Także w ciemnym laboratorium, pod halogenem skierowanym pod różnymi kątami pudełka wraz z zawartością pozostały czyste.

Czarny magnetyczny proszek naniesiony specjalnym pędzlem też nic nie ujawnił. Nawet kąpiel w metanolowym roztworze rodminy 6G i naświetlanie upiornym promieniem chłodzonego wodą lasera argonowego nie skłoniły obiektu do wyjawienia wymownych znaków.

Bezimienny prześladowca był zbyt ostrożny, żeby zostawiać po sobie takie dowody.

Mimo to Ethan obchodził się z szóstą przesyłką z taką samą ostrożnością, jak z pięcioma poprzednimi. Na pewno nie zatrze żadnych śladów, ale o tym przekona się później.

Nożyczkami do paznokci przeciął siedem szwów, ostatni zostawiwszy, by służył jako zawiasy. Nadawca musiał spryskać

jabłko sokiem cytrynowym lub innym popularnym utrwalaczem, by uzyskać odpowiedni wygląd. Miąższ był prawie zupełnie biały, tylko przy skórce lekko zbrązowiał.

Gniazda nasienne były na swoim miejscu, ale starannie oczyszczone z pestek, by posłużyć jako oprawa przedmiotu.

Ethan spodziewał się jakiegoś robaka: dżdżownicy, pędraka, pijawki, gąsienicy, czegoś w tym rodzaju.

Tymczasem w miąższu jabłka znalazł oko.

Przez jedną niemiłą chwilę wydawało mu się, że jest prawdziwe. Potem zrozumiał, że to tylko plastikowa kulka, przekonująco obrobiona.

Właściwie nie kulka, a półkula. Oko było z tyłu płaskie, z pętelką jak nóżka guzika.

Gdzieś tam jakaś na wpół oślepią lalka wciąż się uśmiechała.

Patrząc na nią, napastnik mógł widzieć obiekt swojej obsesji, okaleczony w podobny sposób.

Ta myśl zaniepokoiła Ethana prawie tak, jakby w czerwonym delikatesowym znalazł prawdziwe oko.

Pod okiem, w opróżnionym gnieździe nasiennym, znajdował się ciasno zwinięty skrawek papieru, nieco rozmoczony w soku. Ethan rozwinął go i ujrzał druk – pierwsza bezpośrednia wiadomość.

OKO W JABŁKU? ROBAK-OBSERWATOR? ROBAK GRZECHU PIERWORODNEGO? CZY SŁOWA PROWADZĄ DO CZEGOŚ POZA NIEPOROZUMIENIEM?

Owszem, Ethan nie rozumiał. Cokolwiek miała znaczyć ta groźba – to oko w jabłku – wydała mu się szczególnie okrutna. Nadawca wysłał gniewną, choć enigmatyczną wiadomość, której symbole należało pilnie – i poprawnie – zinterpretować.

2

Metalicznie czarne chmury kryjące niebo za szlifowanym szkłem teraz same ukryły się za szarym welonem mgły. Wiatr przeniósł się gdzie indziej ze swoim lamentem, a ociekające deszczem drzewa stały ciche i poważne jak żałobnicy z konduktu pogrzebowego.

Szary dzień rozplątał się w deszczu; z każdego ze swoich trzech okien Ethan przyglądał się rozpaczającemu niebu, rozmyślając nad znaczeniem jabłka i pięciu poprzednich dziwacznych przedmiotów.

Ethan podejrzewał, że lśniące jabłko może reprezentować sławę i bogactwo, godne zazdrości życie jego pracodawcy. Z kolei oko lalki to być może symbol jakiegoś robaka, zepsucia w sercu sławy, co byłoby oskarżeniem i potępieniem Twarzy.

Ten aktor od dwunastu lat przyciągał widzów całego świata. Od pierwszego sukcesu oszalałe na punkcie gwiazd media nazwały go Twarzą. Ten pochlebny przydomek zrodził się rzekomo jednocześnie w głowach licznych reporterów pod wpływem uderzeniowej fali podziwu dla jego charyzmatycznej urody. W rzeczywistości prawdopodobnie specjalista od jego wizerunku publicznego pociągnął za odpowiednie sznurki i wyskoczył z niezłej kasy, żeby wyreżyserować tę spontaniczną reakcję i podtrzymać ją przez ponad dekadę.

W okresie czarno-białego Hollywood, tak odległym w czasie i jakości, że współcześni widzowie wiedzą o nim niewiele więcej niż o wojnie hiszpańsko-amerykańskiej, pewna wspaniała aktorka – niejaka Greta Garbo – również była znana jako Twarz. To też było chwytem reklamowym, lecz Garbo udowodniła, że zasługuje na ten przydomek.

Od dziesięciu miesięcy Ethan był szefem ochrony Channinga

Manheima, Twarzy nowego tysiąclecia, i do tej pory nie zdarzyło mu się dostrzec w nim głębi Garbo. Twarz była niemal jedynym atutem aktora.

Ethan nie pogardzał nim. Twarz był sympatyczny, zawsze na luzie, jak prawdziwy półbóg żyjący w przeświadczeniu, że życie i młodość nigdy go nie opuszczą. Jego obojętność na wszystko, co go nie dotyczyło, nie wynikała ani z egoizmu, ani z braku współczucia. Intelktualna niemoc nie pozwalała mu dostrzec, że historia życia innych ludzi liczy więcej niż jedną stronę scenariusza, a ich charaktery są zbyt skomplikowane, by je odmalować w ciągu dziewięćdziesięciu ośmiu minut.

Okrucieństwa, jakie mu się czasem zdarzały, popełniał nieświadomie.

Ale gdyby nie był tym, kim był, i gdyby nie miał tak uderzającej powierzchowności, żadna jego wypowiedź czy czyn nie robiłyby wrażenia. Gdyby w jakichś hollywoodzkich delikatesach sprzedawano kanapki nazwane na cześć gwiazd, Clark Gable mógłby być pieczenia wieprzową i serem pleśniowym na żytnim pieczywie z rzodkiewką, Cary Grant kurzą pierśią z pieprzem, szwajcarskim serem na pszennym chlebie z musztardą, a Channing Manheim tostem z odrobiną masła i rzeżuchą.

Ethan nie żywił namiętnej niechęci do swego pracodawcy i nie musiał go lubić, żeby go chronić i chcieć zachować przy życiu.

Jeśli oko w jabłku było symbolem zepsucia, mogłoby reprezentować ego gwiazdy zamknięte w pięknym owocu.

Ale może oko lalki nie oznacza zepsucia, a drugą stronę sławy. Gwiazda taka jak Channing nie ma zbyt wiele prywatności i zawsze znajduje się pod obserwacją. To oko może być symbolem prześladowcy – zawsze obserwującego i osądzającego.

Gówno prawda. Analiza dla ubogich. Wszystkie te ponure rozważania w dniu, który wymusza mroczne spojrzenie na wszystko,

wydawały się nieprzydatne.

Zastanowił się nad skąpanymi w jabłkowym soku słowami: OKO W JABŁKU? ROBAK-OBSERWATOR? ROBAK GRZECHU PIERWORODNEGO? CZY SŁOWA PROWADZĄDO CZEGOŚ POZA NIEPOROZUMIENIEM?

Kiedy parę minut po dziesiątej zadzwonił telefon, odebrał go pośpiesznie.

Laura Moonves, stara przyjaciółka z wydziału policji Los Angeles, znalazła numer rejestracyjny. Załatwiła to poza Oddziałem Współpracy Wywiadowczej. Na razie tylko raz wykorzystał tę przyjaźń.

– Mam twojego zbrojnego – powiedziała.

– Przepuszczalnego zbrojnego – poprawił.

– Trzyletnia honda zarejestrowana na Rolfa Hermana Reynerda z Zachodniego Hollywood. – Przeliterowała nazwisko i adres.

– Co za zwierzę nazywa swoje dziecko „Rolf”?

Laura była specjalistką od imion.

– Nie jest takie złe. Nawet przyjemnie męskie. W języku starogermańskim oznacza „słynnego wilka”. Oczywiście Ethan znaczy „stały, pewny”.

Dwa lata temu chodzili ze sobą. Dla niej na pewno nie był stały ani pewny. Lubiła stabilność, bezpieczeństwo. A on był zbyt zraniony, by jej to dać. Albo zbyt głupi.

– Szukałam go w listach gończych – dodała – ale jest czysty. W opisie podali: włosy ciemne, oczy niebieskie, płeć – mężczyzna. O, czegoś takiego mi potrzeba. Wzrost: metr osiemdziesiąt sześć, waga: dziewięćdziesiąt kilo. Data urodzenia: szósty czerwca tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt drugi, czyli ma trzydzieści jeden lat.

Zapisał wszystko.

- Dzięki. Jestem ci wdzięczny.

- To się odwdzięcz. - Dużego ma?

- A w aktach nie napisali?

- Nie ten Rolf. Manheim. Zwisa mu do kostek czy tylko do kolan?

- Nigdy mi go nie pokazał, ale nie widzę, żeby coś mu utrudniało chodzenie.

- Ptysiu, a może byś nas poznał?

Nigdy nie odgadł, dlaczego nazywała go Ptysiem.

- Zanudziłby cię na śmierć. To prawda, niestety.

- Jest taki śliczny, że nie muszę z nim rozmawiać. Zaknebluję go i zabawimy się.

- Wiesz co, on mi płaci, żebym go bronił przed takimi jak ty.

- „Truman” pochodzi od dwóch staroangielskich słów „godny zaufania, lojalny, stały, wierny”.

- Nie wchodzi mi na sumienie, i tak cię z nim nie umówię. Poza tym kiedy nie byłem godny zaufania i lojalny?

- Ptysiu, to, że dwie cechy się nie zgadzają, nie oznacza jeszcze, że nie masz prawa się tak nazywać.

- I tak byłaś dla mnie za dobra. Taki palant jak ja by cię nie docenił.

- Chciałabym zajrzeć w twoje akta. Masz pewnie więcej plusów za całowanie go w tyłek niż jakikolwiek inny policjant w historii służb porządkowych.

- Skończyłaś? Tak się zastanawiam... Rolf. Słynny wilk. Czy to ma sens? Co musi zrobić wilk, żeby stać się sławny?

- Pewnie zabić dużo owiec.

*

Zanim pożegnał się z Laurą, znowu zaczęło siąpić. Bez pomocy wiatru kropelki ledwie muskały szyby.

Ethan włączył pilotem telewizor i magnetowid. Kasetą była w środku. Oglądał ją już sześć razy.

Na terenie posiadłości znajdowało się osiemdziesiąt sześć zewnętrznych kamer systemu ochrony. Każde drzwi, okno i wszystkie drogi dostępu do domu były pod obserwacją.

Tylko północna strona posiadłości stykała się z terenem publicznym. Długa palisada z bramą znajdowała się pod obserwacją kamer na drzewach po drugiej stronie szosy – na działce należącej również do Channinga Manheima.

Każdy, kto by się wybrał na rozpoznanie terenu, doszedłby do wniosku, że od strony publicznej szosy czy w drzewach, których gałęzie zwisały nad ogrodzeniem, nie ma żadnych kamer. Uznałby, że obserwacja jest prowadzona wyłącznie z terenu posiadłości. Tymczasem przez cały czas obserwowałyby go kamery po drugiej stronie wąskiej, zaledwie dwupasmowej ulicy bez chodników i latarni. Zoom zapewniał wyraźne ujęcie twarzy na wypadek, gdyby obiekt przeszedł od działań rekonesansowych do zaczepnych.

Kamery działały przez dwadzieścia cztery godziny siedem dni w tygodniu. Z pokoju strażników w domku odźwiernego, a także z kilku miejsc w domu miało się dostęp do dowolnej kamery – jeśli się znało hasło.

Kilka monitorów w domu i sześć w pokoju strażników mogło wyświetlić nagranie z dowolnej kamery. Na ekranie jednego pojawiały się jednocześnie cztery ujęcia. Strażnicy mogli oglądać nagrania z dwudziestu czterech kamer naraz.

Przeważnie pili kawę i gadali o głupotach, jeśli jednak włączył się alarm, mogli natychmiast przyjrzeć się temu fragmentowi posiadłości, na który wdarł się obcy. Kamera po kamerze mogli wysledzić intruza przemieszczającego się z jednego punktu do drugiego. Za pomocą klawiatury nagrać dowolny obraz z osiemdziesięciu sześciu kamer. W systemie znajdowało się dwanaście magnetowidów zdolnych do jednoczesnego nagrania czterdziestu ośmiu ścieżek w formacie na ćwierć ekranu.

Nawet jeśli strażnik był nieuważny, zsynchronizowane z kamerami detektory ruchu mogły uruchomić nagrywanie, gdy na teren pod ich obserwacją wdarło się coś większego od psa.

Poprzedniej nocy o 3.32 rano detektory ruchu sprzężone z kamerą 01, niezmordowanie obserwującą zachodni kraniec północnego skraju posiadłości, zauważyły trzyletnią hondę. Zamiast przejechać obok domu jak reszta nielicznych samochodów tej nocy, samochód zatrzymał się przy krawężniku jakieś sto metrów od bramy.

Poprzednie pięć czarnych pudełek wysłano przez Federal Express z fałszywym adresem zwrotnym. Tym razem Ethan dostał pierwszą szansę zidentyfikowania nadawcy.

Teraz, niespełna siedem godzin później, stał w swoim gabinecie i obserwował hondę na ekranie. Wąskie pobocze nie pozwoliło kierowcy zaparkować całkiem poza jezdnią.

Za dnia ekskluzywne ulice Bel Air nie bywają zatłoczone. O tej godzinie rzadko pojawiał się na nich jakiś pojazd. Mimo to ostrożny kierowca hondy nie wyłączył po zaparkowaniu reflektorów. Zostawił silnik na chodzie i zapalił światła awaryjne.

Kamera, dzięki dobrodziejstwu techniki noktowizyjnej, pomimo ciemności i brzydkiej pogody zarejestrowała obraz wysokiej jakości.

Przez chwilę kamera 01 kontynuowała zaprogramowany ruch – po czym zatrzymała się i wróciła do samochodu. Dave Ladman był w

owym czasie na rutynowym obchodzie posiadłości. Tom Mack, który został przy monitorach, zauważył obecność podejrzanego pojazdu i przejął sterowanie kamerą.

Padał gęsty deszcz. Ciężkie krople bębniły mocno o asfalt, rozpryskując się w tak wysokich fontannach, że ulica zdawała się wrzeć.

Drzwi od strony kierowcy się otworzyły. Kamera 01 zrobiła najazd na wysokiego, solidnie zbudowanego mężczyznę. Był w czarnym płaszczu przeciwdeszczowym. Twarz ukrywał w cieniu kaptura.

Zakładając, że Rolf Reynerd nie pożyczył samochodu przyjacielowi, tak właśnie wyglądał ów słynny wilk. Pasował do opisu z prawa jazdy Reynerda.

Mężczyzna zamknął drzwi od strony kierowcy, otworzył te z tyłu i wziął z tylnego siedzenia dużą białą kulę. Później okazała się torbą na śmieci z pozszywanym jabłkiem. Zamknął drzwi i ruszył na przód samochodu, w stronę bramy znajdującej się sto metrów dalej. Nagle zatrzymał się i odwrócił, gotowy do ucieczki w głąb ciemnej uliczki, spływającej deszczem.

Być może zdawało mu się, że przez szum deszczu usłyszał warkot zbliżającego się samochodu. Na nagraniu nie było słyhać żadnego dźwięku.

Gdyby o tej późnej porze na uliczce pojawił się inny pojazd, byłby to prawdopodobnie krażownik Patrołu Bel Air, prywatnej ochrony tej wyjątkowo zamożnej społeczności.

Nie doczekawszy się ani krażownika, ani mniej oficjalnego pojazdu, mężczyzna w kapturze odzyskał pewność siebie. Pobiegł do bramy. Kiedy wyszedł z zasięgu kamery 01, przejęła go kamera 02. W pobliżu bramy zaczęła go obserwować kamera 03 z drugiej strony ulicy. Zrobiła najazd.

Tuż pod bramą Reynerd usiłował przerzucić torbę. Żle oszacował wysokość herbu na jej szczycie. Paczka odbiła się i spadła mu pod nogi. Za drugim razem się udało. Odwrócił się, by odejść, kaptur zsunął mu się częściowo z głowy i kamera 03 podchwyciła wyraźny obraz jego twarzy w świetle latarni umieszczonych z obu stron bramy.

Miał wyraziste rysy, właśnie takie, jakich trzeba, by zostać rozchwytywanym kelnerem w najmodniejszych restauracjach Los Angeles, gdzie zarówno personel, jak i goście lubią sobie wyobrazić, że chłopak lub dziewczyna, którzy we wtorek kursują z talerzami pełnymi zbyt drogich ryb, w środę dostaną rolę w filmie z Tomem Cruise'em o budżecie stu pięćdziesięciu milionów dolarów.

Rolf Reynerd uśmiechał się, gdy odwracał się od bramy po pomyślnym przerzuceniu paczki.

Być może gdyby Ethan nie poznał znaczenia jego imienia, uśmiech Reynerda nie wydałby mu się wilczy. Może raczej skojarzyłby mu się z krokodylem lub hieną. W każdym razie nie była to mina figlarza. Uwiecznione na taśmie wygięcie ust i błysk zębów świadczyły o wariackiej radości, kojarzącej się z pełnią i lekami psychotropowymi.

Honda oderwała się od krawężnika i ruszyła w głąb uliczki. Kamera 01, a po niej kamera 02 wykonały obrót i najazd. Obie przekazały wyraźny obraz tablicy rejestracyjnej. Samochód zniknął w mroku, wypuszczając z rury wydechowej obłoczki.

Wąska uliczka opustoszała, pogrążona w mroku – jeśli nie liczyć latarni przy bramie Manheima. Czarny deszcz, jakby z topniejącego nocnego nieba, padał, padał, padał, napełniając kosmicznie drogą posiadłość w Bel Air kosmicznym mrokiem.

*

Przed opuszczeniem swojej kwatery w zachodnim skrzydle dworu Ethan zadzwonił do gospodyni, pani McBee, by powiedzieć, że nie będzie go prawie przez cały dzień.

Pani McBee, skuteczniejsza od maszyny, bardziej niezawodna niż prawa fizyki, godna zaufania jak każdy archanioł, po chwili wysłała do jego mieszkania jedną z sześciu pokojówek. Siedem razy w tygodniu wynosiły mu śmieci i dostarczały czyste ręczniki. Dwa razy w tygodniu odkurzały i sprzątały, zostawiając nieskazitelny porządek. Okna myły dwa razy w miesiącu.

Mieszkanie we dworze z dwudziestopięciuosobowym personelem ma swoje zalety.

Jako szef ochrony, dbający zarówno o bezpieczeństwo Twarzy, jak i jego posiadłości, Ethan mógł korzystać z wielu przywilejów, na przykład z darmowych posiłków przygotowanych przez pana Hachette'a, domowego kuchmistrza, lub pana Baptiste'a, domowego kucharza. Pan Baptiste nie był tak wyrafinowany jak jego szef, ale nikt o sprawnie funkcjonujących kubkach smakowych nie mógłby narzekać na jego dania.

Posiłki wydawano w wielkiej i wygodnej sali, gdzie personel nie tylko jadał, lecz także planował rozkład dnia, spędzał przerwy na kawę i przygotowywał się do wystawnych przyjęć, które Twarz często wydawał podczas swoich pobytów w rezydencji. Szef kuchni lub jego zastępca przygotowywali także talerz kanapek lub inny posiłek, który Ethan mógł zabrać do swojego mieszkania.

Oczywiście, gdyby miał ochotę, mógł przyrządzać posiłki we własnej kuchni. Pani McBee dbała o to, by w jego lodówce i spiżarni znajdowały się produkty z listy, jaką jej zostawiał – i nie musiał za to płacić ani centa.

Z wyjątkiem poniedziałku i czwartku, kiedy pokojówki zmieniały mu pościel – gdy pan Manheim przyjeżdżał do domu, jego pościel zmieniano codziennie – Ethan musiał co rano własnoręcznie

słać sobie łóżko.

Życie nie jest bajką.

Włożywszy marynarkę z miękkiej skóry, wyszedł na korytarz zachodniego skrzydła. Zostawił drzwi otwarte, jakby cały dom należał do niego.

Zabrał ze sobą akta sprawy czarnych pudełek, parasol i oprawną w skórę książkę „Lord Jim” Josepha Conrada. Skończył ją poprzedniego wieczora i zamierzał odnieść do biblioteki.

Korytarz, szerokości ponad sześciu metrów, z posadzką wykładaną płytkami z piaskowca, znajdującymi się niemal w całym domu, był wysłany pastelowymi współczesnymi perskimi kobiercami i umeblowany francuskimi antykami, głównie empirowymi i biedermaierami: krzesłami, skrzyniami, biureczkiem, stolikiem. I choć stały po obu stronach korytarza, i tak można by przejechać przez niego samochodem, nie potrącając żadnego mebla.

Ethan chętnie by spróbował, gdyby później nie musiał się tłumaczyć przed panią McBee.

W trakcie ożywczego spacerku do biblioteki spotkał dwie pokojówki i portiera. Ponieważ zajmował pozycję, którą pani McBee określiła jako kierowniczą, on był ze współpracownikami na ty, a oni z nim na pan.

Każdemu nowemu pracownikowi w pierwszym dniu pracy pani McBee sprawiała egzemplarz zbindowanej książki „Standardy i zwyczaje” własnego autorstwa. Biada nieświadomej duszy, która nie wyuczyła się jej treści na pamięć i nie zachowywała się zgodnie z jej wskazówkami.

Podłoga biblioteki była z orzechowego drewna pociągniętego bejcą w ciepłym odcieniu czerwonego brązu. Tu perskie dywany pochodziły z czasów znacznie dawniejszych i zyskiwały na wartości o wiele szybciej niż akcje najlepszych firm krajowych.

Wygodne fotele klubowe stały w labiryncie mahoniowych półek, mieszczących ponad trzydzieści sześć tysięcy tomów. Niektóre książki znajdowały się na drugim poziomie, którego można było dosięgnąć z antresoli ze schodami o wyrafinowanej balustradzie.

Gdyby się nie spojrzano na sufit, by określić faktyczne rozmiary tej ogromnej komnaty, można by ulec złudzeniu, że nie ma ona końca. Może i tak. Tu wszystko było możliwe.

Pośrodku sufitu znajdowała się witrażowa kopuła dziesięciometrowej średnicy. Jej głębokie kolory – szkarłatny, szmaragdowy, bursztynowy i szafirowy – tak doskonale filtrowały naturalne światło nawet w pogodny dzień, że chroniły książki przed wypłowieniem.

Wujek Joe, który pełnił obowiązki zastępczego ojca, kiedy prawdziwy ojciec Ethana był zbyt pijany, żeby sobie z nimi poradzić, był kierowcą w miejscowej piekarni. Sześć dni w tygodniu, osiem godzin dziennie dostarczał bułki i paszteciki do supermarketów i restauracji. Trzy razy w tygodniu pracował w nocy jako stróż.

Nie zarobiłby na tę kopułę nawet przez pięć najlepszych lat.

Kiedy Ethan zaczął pracować w policji, poczuł się bogaczem. W porównaniu z Joem kosił grubą kasę.

Jego zarobek za szesnaście lat nie pokryłby kosztów tego jednego pokoju.

– Powiniennem zostać gwiazdą filmową – powiedział, wchodząc do biblioteki, by odłożyć książkę na miejsce.

Każdy tom zbioru został uszeregowany w porządku alfabetycznym, według autorów. Jedna trzecia była oprawna w skórę, reszta zwyczajna. Znaczny procent kolekcji stanowiły książki rzadkie i cenne.

Twarz nie przeczytał ani jednej.

Ponad dwie trzecie zbioru nabył wraz z domem. Na jego

polecenie raz na miesiąc pani McBee kupowała najgłośniejszą i najwyżej ocenioną przez krytyków książkę, którą katalogowano i włączano do biblioteki. Książki te miały służyć wyłącznie do ozdoby. Robiły wrażenie na gościach, przyjaciółach i innych, którym sugerowały głębię intelektu Channinga Manheima.

Zapytany o zdanie na temat jakiejś książki Twarz najpierw wyduszał z pytającego jego opinię, a potem zgadzał się z nią w tak czarujący sposób, że wydawał się zarówno erudyta, jak i bratnią duszą.

Ethan wsunął „Lorda Jima” między dwie inne książki Conrada.

– To o czarach? – spytał cienki głosik.

Odwrócił się i w jednym z wielkich foteli znalazł dziesięcioletniego Aelfrica Manheima.

Według Laury Moonves imię Aelfric (które należało wymawiać Elfrik) w języku staroangielskim oznaczało „rządy elfów” lub „rządzonego przez elfy”, co pierwotnie służyło jako opis mądrych, roztropnych czynów, a z czasem zaczęło się odnosić do tych, których postępują mądrze i roztropnie.

Aelfric.

Matka chłopca – Fredricka Nielander, znana jako Freddie – supermodelka, która wyszła za Twarz i rozwiodła się z nim w ciągu jednego roku, przeczytała w życiu co najmniej trzy książki. Trylogię „Władca pierścieni”. Co więcej, przeczytała ją kilka razy.

Do ostatniej chwili wszystko wskazywało na to, że swojego syna nazwie Frodo. Na szczęście – lub nie – miesiąc przed porodem jej najlepsza przyjaciółka, aktorka, znalazła imię Aelfric w scenariuszu tandetnego filmu fantasy, w którym zgodziła się zagrać alchemiczkę o trzech piersiach.

Gdyby dostała jakiś ogon w „Milczeniu owiec”, Aelfric nazywałby się pewnie Hannibal Manheim.

Chłopiec wolał, żeby mówiono do niego „Fric” i nikt z wyjątkiem matki nie zmuszał go do używania pełnego imienia. Na szczęście – lub nie – nieczęsto była na tyle blisko, żeby go nim torturować. Z wiarygodnego źródła wiadomo było, że Freddie nie widziała syna od siedemnastu miesięcy. Nawet starzejące się supermodelki mają pełne ręce roboty.

– Co o czarach? – spytał Ethan.

– Ta książka, którą odstawiłeś.

– W pewnym sensie, ale nie o takich, jak myślisz.

– W tej jest od cholery czarów – oznajmił Fric, pokazując broszurowe wydanie książeczki ze smokami i czarnoksiężnikami na okładce.

– Czy tak się powinien wyrażać inteligentny człowiek?

– E tam, wszyscy koledzy mojego starego mówią jeszcze gorzej. I mój stary też.

– Nie wtedy kiedy go słyszysz.

Fric przechylił głowę.

– Nazywasz mojego ojca hipokrytą?

– Prędzej wydarłbym sobie język.

– Zły czarnoksiężnik z tej książki wrzuciłby go do eliksiru. Najtrudniej było mu znaleźć język uczciwego człowieka.

– Skąd ci przyszło do głowy, że jestem uczciwy?

– Stary! Masz w sobie trzy razy od cholery uczciwości.

– Co będzie, jak pani McBee usłyszy, że tak się odzywasz?

– Jej tu nie ma.

– Ach, tak? – przeciągnął Ethan, sugerując, że ma najnowsze wieści o miejscu pobytu pani McBee.

Fric, nie mogąc pohamować nerwowej reakcji, wyprostował się i obrzucił spojrzeniem bibliotekę. Był bardzo mały jak na swój wiek i bardzo szczupły. Czasami, kiedy przemierzał samotnie przestronne korytarze i komnaty na królewską miarę, wydawał się niemal nierealny.

– Ona chyba zna tajemne przejścia – szepnął. – Wiesz, takie w ścianach.

– Pani McBee?

Chłopiec pokiwał głową.

– Mieszkamy tu od sześciu lat, ale ona tu była od zawsze.

Państwo McBee – oboje pięćdziesięcioparoletni – zostali zaangażowani przez poprzedniego właściciela posiadłości i na prośbę Twarzy nie zmienili miejsca pracy.

– Trudno sobie wyobrazić panią McBee, przemykającą tajemnym korytarzem w ścianie – zaprzeczył Ethan. – Trudno ją uznać za podstępny typ.

– Ale gdyby była podstępnym typem – powiedział Fric z nadzieją – byłoby o wiele ciekawiej.

W przeciwieństwie do ojca, którego złote loki układały się idealnie po każdym potrząśnięciu głową, ciemna czupryna Frica była wciąż rozczochrana. Były to włosy łamiące mocne grzebienie. Być może kiedyś geny dadzą o sobie znać i Fric dorówna rodzicom, ale na razie wyglądał jak przeciętny dziesięciolatek.

– Czemu nie jesteś na lekcji? – spytał Ethan.

– A ty co, ateista czy jak? Nie wiesz, że za tydzień święta? Nawet dzieci, które uczą się w domu, mają przerwę.

Kadra nauczycieli odwiedzała Frica pięć razy w tygodniu. Okazało się, że prywatna szkoła, do której Fric uczęszczał przez jakiś czas, jest dla niego nieodpowiednim środowiskiem. Fric, syn

słynnego Channinga Manheima i słynnej, choć niesławnej Fredricki Nielander, stał się obiektem zazdrości i szyderstw nawet dzieci innych gwiazd. Co bardziej okrutne szydziły także z kruchości syna muskularnego aktora, występującego w rolach bohaterów. Ponadto zaawansowana astma stanowiła następny argument przemawiający za nauką w domu, w kontrolowanych warunkach.

– Wiesz, co dostaniesz na Gwiazdkę? – spytał Ethan.

– Aha. Do piątego grudnia musiałem przedstawić pani McBee listę życzeń. Powiedziałem, że nie musi pakować prezentów, ale zapakuje. Zawsze pakuje. Mówi, że bez odrobiny tajemnicy w ogóle nie ma Gwiazdki.

– Z tym muszę się zgodzić.

Chłopiec wzruszył ramionami i znowu zapadł się w fotelu.

Twarz kręcił właśnie film, ale w Wigilię miał wrócić z Florydy.

– Fajnie będzie, jak przyjedzie twój tata. Macie jakieś plany?

Chłopiec znowu wzruszył ramionami, udając nieświadomość lub obojętność, lecz zamiast tego mimowolnie zdradzając smutek, na którego widok Ethan poczuł nietypową dla siebie bezradność. Fric odziedziczył po matce świetliste, zielone oczy. W ich głębi widać było bezdenną samotność.

– No – odezwał się Ethan – może w tym roku Gwiazdka naprawdę przyniesie ci parę niespodzianek.

Fric wyprostował się, od razu zauroczony tajemnicą, którą przed chwilą zlekceważył.

– A co... ? Coś słyszałeś?

– Gdybym coś słyszał – a nie twierdzę, że słyszałem lub nie – nie mógłbym ci powiedzieć – zakładając, że w ogóle bym coś usłyszał – bo wtedy niespodzianka nie byłaby niespodzianką – choć nie chcę przez to powiedzieć, że w ogóle jest jakaś niespodzianka... albo że jej

nie ma.

Chłopiec przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu.

– Teraz nie mówisz jak uczciwy policjant, tylko jak dyrektor studia.

– Wiesz, jak mówi dyrektor studia?

– Czasem tu przychodzą – wyjaśnił Fric tonem wieloletniego doświadczenia. – Znam ten styl.

*

Ethan zaparkował przed apartamentowcem w Zachodnim Hollywood, wyłączył wycieraczki, ale zostawił włączony silnik, by zachować ogrzewanie. Przez jakiś czas siedział w swoim fordzie expedition, obserwując dom i zastanawiając się, w jaki sposób dobrać się do Rolfa Reynerda.

Ford należał do kolekcji samochodów dostępnych dla ośmiu mieszkających w rezydencji członków dwudziestopięciosobowego personelu. W dolnym garażu stał mercedes ML500 SUV, ale mógłby za bardzo zwracać uwagę.

Dwupiętrowy apartamentowiec był w dobrym, choć nie doskonałym stanie. Kremowe ściany nie były spękane ani wybrzuszone, ale wyglądały, jakby należało je odmalować już rok temu. Jeden z numerów nad drzwiami wisiał krzywo.

Wokół pyszniły się bujne krzaki kamelii o ciężkich czerwonych kwiatach, najróżniejsze odmiany paproci i palmy o ogromnych koronach, ale wszystko należało przystrzyc miesiąc temu. Zarośnięty trawnik strzyżono chyba tylko dwa razy w miesiącu. Gospodarz oszczędzał na wydatkach, choć budynek wyglądał zachęcająco. Jego mieszkańcy na pewno nie są na zasiłku. Reynerd musi mieć pracę, choć to, że dostarcza pogrózki o wpół do czwartej rano, sugeruje, że

nie musi wcześniej wstawać. Teraz może być w domu.

Kiedy Ethan namierzy jego miejsce zatrudnienia i zacznie wypytywać o niego kolegów z pracy i sąsiadów, Reynerd na pewno się spłoszy. A wtedy stanie się zbyt nieufny, by dał się po prostu zaczepić.

Ethan wolał zacząć od niego, by dalsze postępowanie wynikało z tego pierwszego kontaktu. Zamknął oczy, oparł głowę o zagłówek i zaczął się zastanawiać, jak się do tego zabrać.

Ryk nadjeżdżającego samochodu rozległ się tak blisko, że Ethan otworzył oczy, prawie spodziewając się zobaczyć pościg policji. Wiśniowe ferrari testarossa dmuchnęło obok niego, o wiele za szybko, jak na tę spokojną dzielnicę – zupełnie, jakby kierowca miał nadzieję przejechać jakieś dziecko albo staruszkę z laską.

Z mokrej jezdni uniosły się języki pary, które otoczyły forda. Szyba w drzwiach od strony kierowcy zamgliała się od brudnej wody z kałuży. Apartamentowiec po drugiej stronie ulicy zafalował jak fatamorgana. W jakiś sposób skojarzył się z mglistym wspomnieniem dawno zapomnianego koszmaru; nie wiadomo dlaczego na widok wykrzywionej wersji budynku Ethan poczuł, że jeżą mu się włosy na karku.

Wreszcie ostatnie jęzory mgły opadły. Deszcz szybko zmył brudny osad z szyby. Apartamentowiec był taki sam jak przedtem – całkiem sympatyczne lokum.

Deszcz padał dość niemrawo, więc parasol bardziej by zawadzał, niż pomagał. Ocenivszy sytuację, Ethan wysiadł z forda i przebiegł przez ulicę.

Późną jesienią i wczesną zimą w południowej Kalifornii Matka Natura cierpi na nieprzewidywalne wahania nastroju. Z dnia na dzień tydzień poprzedzający święta może się zmienić z ciepłego w przejmujący przeraźliwym zimnem. W powietrzu wisiał chłód, deszcz był zimny, a niebo miało trupiosiny kolor, zapowiadający surową

zimę charakterystyczną dla rejonów położonych dużo dalej na północ.

Przy drzwiach nie było domofonu. Okolica najwyraźniej była tak spokojna, że nie trzeba się zamykać na siedem spustów. Ociekający deszczem Ethan wszedł do niewielkiego holu z podłogą wykładaną meksykańskimi kafelkami. Na piętro prowadziły schody. Była też winda.

W powietrzu unosił się zastarzały zapach kanadyjskiego bekonu i przypalonego garnka. Podobnie pachnie trawka. Ktoś stał tu rano, wypalił skręta i wyszedł na spotkanie deszczowego poranka.

Ethan policzył skrzynki na listy; cztery mieszkania na parterze, sześć na pierwszym piętrze, sześć na drugim. Reynerd zajmował środkową kondygnację, numer 2B. Na skrzynkach widniały tylko nazwiska obecnych lokatorów. Ethan potrzebował więcej informacji. W niszy w ścianie znajdował się otwarty pojemnik na ulotki i inne przesyłki, zbyt liczne, by włożyć je do skrzynki. Leżały w nim dwa magazyny, oba zaadresowane do George'a Keesnera z mieszkania 2E.

Ethan zapukał w aluminiowe drzwiczki paru skrzynek. Dźwięk sugerował, że są puste. Najprawdopodobniej listonosz jeszcze nie przyszedł. Natomiast skrzynka Keesnera wydawała się pełna korespondencji. Widać gość nie wrócił do domu co najmniej od paru dni.

Ethan wszedł na piętro. Jeden długi korytarz, po obu stronach po troje drzwi. Zadzwoił do drzwi mieszkania 2E. Mieszkanie Reynerda, 2B, znajdowało się naprzeciwko.

W mieszkaniu Keesnera nikt się nie odezwał. Ethan znowu zadzwonił, dwa razy. Po chwili głośno zapukał.

W każdych drzwiach znajdował się wizjer, przez który lokator mógł się przyjrzeć gościowi i zdecydować, czy chce go wpuścić. Może Reynerd obserwuje w tej chwili plecy Ethana?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, Ethan odwrócił się i odegrał wielką scenę rozterki. Wytarł mokrą od deszczu twarz. Przeciągnął dłonią po mokrych włosach. Potrząsnął głową. Rozejrzał się po korytarzu.

Kiedy zadzwonił do mieszkania 2B, lokator otworzył niemal natychmiast, nie zwracając sobie głowy łańcuchem.

Choć uderzająco podobny do mężczyzny z nagrania, w naturze okazał się o wiele przystojniejszy niż poprzedniej deszczowej nocy. Przypominał Bena Afflecka. Ale oprócz jego rysów miał też jakiś charakterystyczny rys typu „Witamy w motelu Batesa”, który każdy fan Anthony’ego Perkinsa rozpoznałby na pierwszy rzut oka. Te zaciśnięte usta, ta pulsująca gwałtownie żyłka w prawej skroni, a zwłaszcza to twarde lśnienie oczu... wszystko sugerowało zażycie amfetaminy. Może nie był to kompletny odłot, ale szybowanie na dużej wysokości.

– Przepraszam, że przeszkadzam – zaczął Ethan, kiedy drzwi jeszcze się otwierały – ale chciałbym się skontaktować z George’em Keesnerem z 2E. Zna go pan?

Reynerd pokręcił głową. Miał byczy kark. Mnóstwo godzin musiał spędzać na siłowni.

– Tylko na tyle, że się sobie kłaniamy – powiedział. – I rozmawiamy o pogodzie. To wszystko.

Skoro tak, Ethan odważył się dodać:

– Jestem jego bratem. Ricky Keesner.

Podstęp się uda, jeśli ten Keesner ma od dwudziestu do pięćdziesięciu lat.

– Nasz wujek Harry leży na OIOM-ie – skłamał. – Długo już nie pociągnie. Dzwonię od wczoraj pod każdy numer George’a, jaki mi dał. Nie oddzwania. Teraz mi nie otworzył.

– Chyba wyjechał.

– Wyjechał? Nic mi nie mówił. Nie wie pan dokąd?

Reynerd pokręcił głową.

– Przedwczoraj minęliśmy się w korytarzu. Niósł małą walizkę.

– Powiedział, kiedy wróci?

– Powiedział, że chyba będzie padać i poszedł.

– Kurczę, tak był blisko z wujkiem Harrym – zresztą obaj byliśmy. Przejmie się, że nie miał szansy się pożegnać. Może zostawię mu kartkę?

Reynerd tylko na niego patrzył. Na szyi zaczęła mu pulsować żyła. Jego podkrecony umysł wrzał, ale choć speed pozwala szybko myśleć, odbiera myślom jasność.

– Tylko problem w tym – dodał Ethan – że nie mam papieru. Ani długopisu, prawdę mówiąc.

– A tak, mogę pożyczyć – powiedział Reynerd.

– Naprawdę nie chciałbym robić kłopotu...

– To żaden kłopot – zapewnił go Reynerd i zniknął w mieszkaniu, zostawiając otwarte drzwi.

Stojący za progiem Ethan miał straszną ochotę wejść do środka. Chciał się lepiej przyjrzeć gniazdku Reynerda. W chwili gdy postanowił się wykazać brakiem wychowania i wejść bez zaproszenia, Reynerd zatrzymał się, odwrócił i powiedział:

– Proszę wejść. Niech pan usiadzie.

Skoro zaproszenie już padło, Ethan mógł nadać sytuacji nieco autentyzmu i trochę się pocertolić.

– Dziękuję, ale przychodzę z deszczu i...

– Tym meblom nic nie zaszkodzi – zapewnił go Reynerd.

Salon i jadalnia stanowiły jedno pomieszczenie. Kuchnia była

otwarta, ale oddzielona barem z dwoma wysokimi stolkami.

Reynerd wszedł do kuchni i skierował się do blatu, nad którym na ścianie wisiał telefon. Ethan usiadł na brzeжку fotela w salonie.

W mieszkaniu było niewiele mebli. Jedna sofa, jeden fotel, stolik do kawy i telewizor. W jadalni znajdował się mały stół z dwoma krzesłami. W telewizorze ryknął lew MGM. Dźwięk był ściszony, ryk zabrzmiał łagodnie. Na ścianach wisiało parę fotografii w ramkach: duże, czterdzieści na dwadzieścia, czarno-białe artystyczne zdjęcia. Na każdym ptaki.

Reynerd wrócił z notesem i ołówkiem.

– Wystarczy?

– Wspaniale – pochwalił Ethan.

Reynerd podał mu także taśmę klejącą – Żeby powiesić.

Położył rolkę na stoliku do kawy.

– Dziękuję – powiedział Ethan. – Ładne zdjęcia.

– Ptaki są wolne – odparł Reynerd.

– Chyba tak. Swoboda lotu. Pan je zrobił?

– Nie, ja tylko kolekcjonuję.

Na jednym ze zdjęć stado gołębi zrywało się w furkocie piór z brukowanego placu przed starymi europejskimi budynkami. Na innym klucz gęsi sunął przez sine niebo.

Reynerd wskazał czarno-biały film w telewizji.

– Właśnie chciałem sobie przynieść jakąś przegryzkę. Czy mogę... ?

– Co? A, jasne, bardzo przepraszam. Niech pan nie zwraca na mnie uwagi. Tylko to nagryzmołę i znikam.

Na jednym ze zdjęć ptaki fruwały prosto na obiektyw. Ujęcie

było montażem trzepoczących skrzydeł, otwartych w krzyku dziobów, czarnych paciorkowatych oczu.

– Te chipsy mnie kiedyś zabiją – odezwał się Reynerd, wracając do kuchni.

– A mnie lody. W żyłach mam ich więcej niż krwi.

Ethan napisał drukowanymi literami: DROGI GEORGE, zatrzymał się, jakby w zamyśleniu i rozejrzał po pokoju.

Reynerd ciągnął:

– Mówią, że nie można poprzestać na jednym chipsie, a ja nie mogę poprzestać na jednej torebce.

Na żelaznym płocie siedziały dwie wrony. Promień światła obrysowywał ostre krawędzie ich dziobów. W pokoju leżała biała wykładzina, nieskalana jak zimowy śnieg. Meble były obite czarnym płótnem. Z oddali laminatowy blat w kuchni wyglądał na czarny.

Wszystko w tym mieszkaniu było czarno-białe.

Ethan napisał: WUJEK HARRY UMIERA i znowu się zastanowił, jakby ta prosta wiadomość przerastała go intelektualnie.

Muzyka z filmu, choć cicha, była pełna melodramatyzmu. Kryminał z lat trzydziestych lub czterdziestych.

Reynerd ciągle szperał w szafkach kuchennych.

Tu dwa gołębie jakby wpadły na siebie w locie. Tam wytrzeszczona sowa, jakby zaszokowana jakimś widokiem.

Wiatr znowu się zerwał. Deszcz zagrzechotał o szyby jak kostka do gry, przyciągając uwagę Ethana.

Z kuchni dobiegł charakterystyczny szelest torby z chipsami.

ZADZWOŃ, napisał Ethan drukowanymi literami.

Reynerd wrócił do salonu.

– Jeśli będzie pan kiedyś jadł chipsy, to nie te, bo mają najwięcej tłuszczu.

Ethan podniósł wzrok i spojrzał na torbę chipsów po hawajsku. Reynerd włożył do niej prawą rękę.

Sposób, w jaki torba oblepiła jego dłoń, wydał się Ethanowi dziwnie niewłaściwy. Oczywiście facet mógł tylko szukać chipsów, ale jego dziwne zachowanie, sztywność ciała sugerowały, że jest inaczej.

Reynerd zatrzymał się przy sofie, niespełna dwa metry od niego.

– Pracujesz dla Twarzy, tak? – spytał.

Ethan, zajmujący mniej uprzywilejowaną pozycję w fotelu, udał zaskoczenie.

– Dla kogo?

Reynerd wyjął rękę z torby. Trzymał w niej broń.

Jako licencjonowany prywatny detektyw i ochroniarz z certyfikatem Ethan miał zezwolenie na noszenie ukrytej broni. Tylko w towarzystwie Channinga Manheima, kiedy rutynowo zabierał broń, wkładał ją do kabury.

Reynerd miał dziewięćmilimetrowy pistolet.

Tego ranka Ethan, zaniepokojony okiem w jabłku i wilczym uśmiechem na nagraniach, włożył szelki z kaburą. Nie spodziewał się, że broń będzie mu potrzebna – nie na serio – i nawet czuł się trochę głupio, zabierając ją ze sobą bez widocznego powodu. Teraz dziękował za to Bogu.

– Nie rozumiem – odezwał się, usiłując wyglądać na zdziwionego i przestraszonego.

– Widziałem twoje zdjęcie – powiedział Reynerd.

Ethan obejrzał się na otwarte drzwi, za którymi widać było korytarz.

– Nie obchodzi mnie, czy ktoś usłyszy albo zobaczy – dodał Reynerd. – I tak wszystko skończone, prawda?

– Słuchaj, jeśli George cię czymś zdenerwował... – zaczął Ethan, grając na zwłokę.

Reynerd nie dał sobie wcisnąć kitu. I kiedy Ethan wypuścił notes i sięgał po dziewięćmilimetrowego glocka, strzelił mu prosto w brzuch.

Przez chwilę Ethan nie czuł bólu. Zakołysał się w fotelu, zagapił na strugę krwi. A potem zaczęła się agonia. Usłyszał pierwszy strzał, ale nie drugi. Pocisk rąbnął go w sam środek piersi.

Biało-czarne mieszkanie stało się zupełnie czarne.

Czuł, że ptaki tłoczą się na ścianach, obserwują jego konanie. Czuł napór skrzydeł, zamrożonych w chwili ruchu.

Znowu usłyszał grzechot. Tym razem to nie był deszcz. To oddech, rżący w jego gardle.

Nie będzie Gwiazdki.

3

Ethan otworzył oczy.

Wiśniowy ferrari testarossa dmuchnął obok, bryzgając spod kół brudną wodą z kałuży.

Za boczną szybą forda apartamentowiec zakołysał się i zafalował, dziwnie zmieniając kształt, jak dom w sennym koszmarze.

Ethan wzdrygnął się jak pod uderzeniem prądu. Z desperacją tonącego złapał haust powietrza. Było słodkie i świeże, słodkie i czyste. Hałaśliwie wypuścił je z płuc.

Nie miał rany w brzuchu. Ani w piersi. Jego włosy nie były mokre od deszczu.

Serce łomotało mu jak pięść wariata o drzwi celi wyłożonej materacem. Jeszcze nigdy w życiu Ethan Truman nie doświadczył snu o takiej klarowności i intensywności, żaden jego koszmar nie był tak szczegółowy, jak wizyta w mieszkaniu Reynerda.

Spojrzał na zegarek. Jeśli spał, to nie dłużej niż minutę.

Nie mógł przeżyć tak wielu skomplikowanych zwrotów akcji w jedną minutę. To niemożliwe.

Deszcz zmył ostatnie brudne strugi z szyby. Za ociekającymi wodą pierzastymi liśćmi palm czekał apartamentowiec, już nie zniekształcony, lecz i tak niesamowity.

Kiedy Ethan oparł się o zagłówek i zamknął oczy, by przemyśleć sposób postępowania z Rolfem Reynerdem, wcale nie chciało mu się spać. Nie był nawet zmęczony. Mógłby przysiąc, że nie zdrzemnął się nawet na pięć sekund. Jeśli pierwsze ferrari było elementem snu, drugie sugerowało, że rzeczywistość biegnie dokładnie torem koszmaru.

Przyśpieszony oddech się uspokoił, ale serce łomotało gwałtownie, jakby galopem ścigało rozsądek, który oddalał się równym krokiem.

Intuicja podpowiadała mu, że powinien znaleźć kawiarnię i wypić dużą filiżankę kawy. Mocnej, by rozproszyła jego ogłupienie.

Jeśli zdystansuje się od sprawy – fizycznie i psychicznie – znajdzie klucz do tej tajemnicy i zrozumie, o co chodzi. Logika pokona każdą zagadkę.

I choć lata pracy w policji nauczyły go, że intuicji powinien ufać jak własnej matce, wyłączył silnik i wysiadł z forda.

Nie ma wątpliwości: intuicja jest narzędziem niezbędnym do przeżycia. Ale uczciwość wobec siebie była ważniejsza. Musiał uczciwie przyznać, że chciał odjechać nie po to, by zastanowić się w spokojnym miejscu, by oddać się sherlockowskiej dedukcji, lecz ponieważ strach chwycił go w żelazny uścisk.

Strachowi nigdy nie należy się poddawać. Jeśli raz się mu poddasz, już nie jesteś gliną.

Oczywiście on nie był już gliną. Odszedł ponad rok temu. Praca, która za życia Hannah nadawała jego życiu znaczenie, po jej śmierci zaczęła się stawać coraz mniej istotna. Przestał wierzyć, że coś zmieni na tym świecie. Zapragnął się wycofać, odwrócić od brzydkiej prawdy o ludzkiej naturze, która w jego pracy tak bardzo rzucała się w oczy. Świat Channinga Manheima był oddalony od rzeczywistości tak bardzo, że trudno prosić o więcej – i w dodatku można było zarobić.

Choć nie miał już odznaki i oficjalnie nie był policjantem, pozostał nim w duszy. Jesteśmy, kim jesteśmy, choćbyśmy udawali, że jesteśmy kimś innym.

Schował ręce w kieszenie skórzanej kurtki, zgarbił się, jakby deszcz był brzemieniem, i pobiegł przez ulicę do apartamentowca.

Wszedł do holu, ociekając wodą. Podłoga z meksykańskich kafelków. Winda. Schody. Tak jak powinno być. Tak jak było.

Zapach tłustego jedzenia i trawki, powietrze gęste, zatykające gardło jak śluz. W pojemniku dwa magazyny. Na każdym nazwisko i adres George'a Keesnera.

Wszedł po schodach. Nogi uginały się pod nim, ręce drżały. Na podeście zrobił przystanek, żeby parę razy głęboko zaczerpnąć powietrza, uspokoić nadszarpnięte nerwy.

W budynku było cicho. Nie słyszał głosów dobiegających zza ścian, żadnej muzyki w ten melancholijny poniedziałek.

Wydało mu się, że słyszy cichy zgrzyt i chrobot wronich szponów na żelaznych ogrodzeniu, łopot zrywających się do lotu gołębi, puk-puk-puk nieustannie stukających dziobów. Tak naprawdę słyszał tylko przemawiający wieloma głosami deszcz.

Czuł ciężar pistoletu pod pachą, ale i tak sięgnął pod marynarkę i położył prawą rękę na broni, by się przekonać, że ją zabrał. Sprawdził palcem bezpiecznik.

Wyjął rękę. Pistolet zostawił w kaburze.

Deszcz dotknął zimnym palcem jego karku, wymuszając dreszcz.

W korytarzu na piętrze ledwie spojrzał na mieszkanie 2E, w którym George Keesner nie odpowiedziałby na pukanie ani dzwonięcie. Podeszedł prosto pod drzwi 2B, gdzie na chwilę nerwy go zawiodły – ale tylko na chwilę.

Nadawca jabłka otworzył niemal natychmiast. Wysoki, silny, pewny siebie, nie zadał sobie trudu założenia łańcucha.

Widok Ethana zupełnie go nie zaskoczył – jakby spotkali się po raz pierwszy.

– Czy jest Jim? – spytał Ethan.

– Pan się pomylił.

– Jim Briscoe... Naprawdę? Myślałem, że tu mieszka.

– Mieszkam tu od pół roku.

Za jego plecami widać było czarno-biały pokój.

– Pół roku? To tak długo mnie nie było? – Jego głos brzmiał fałszywie nawet w jego uszach, ale brnął dalej. – No proszę, chyba tak, pewnie nawet dłużej.

Na ścianie naprzeciwko drzwi sowa zamarła z szeroko otwartymi oczami w oczekiwaniu na strzał.

– A Jim nie zostawił czasem adresu? – spytał Ethan.

– Nie spotkałem się z poprzednim lokatorem.

Twarde lśnienie oczu Reynerda, szybkie pulsowanie żyłki na skroni, zaciśnięte usta tym razem odstraszyły Ethana.

– Przepraszam, że przeszkodziłem.

Wtedy usłyszał dźwięki z telewizora, cichy ryk lwa MGM. Nie wahał się dłużej i ruszył w stronę schodów. Czuł, że idzie z podejrzanym pośpiechem i ze wszystkim siłą zmusił się, żeby nie biec.

W połowie schodów, na podeście, zawierzył swojemu instynktowi, odwrócił się, podniósł wzrok i ujrzał Rolfa Reynerda, który patrzył na niego w milczeniu, stojąc u szczytu schodów. Nadawca jabłka tym razem nie trzymał ani broni, ani torby z chipsami.

Ethan bez słowa zszedł na parter. Otwierając drzwi, znowu się obejrzał, ale Reynerd za nim nie poszedł.

Deszcz, już nie leniwy, bębnił o asfalt. Zimny wiatr targał palmami.

Ethan uruchomił silnik forda, zamknął drzwi i włączył ogrzewanie.

Mocna podwójna kawa już nie wystarczy. Nie wiedział, co z sobą zrobić.

Przecucie. Przeżycie pozacielesne. Wizja. Jasnowidzenie. Słowniczek ze „Strefy mroku” furkotał stronami, ale żadne hasło nie wyjaśniało tego, co przeszedł.

Kalendarzowa zima miała się rozpocząć dopiero jutro, lecz już zagnieździła się w jego kościach. Czuł w sobie chłód nieznan w południowej Kalifornii. Podniósł ręce, żeby się im przyjrzeć. Nigdy nie widział, żeby się tak trzęsły. Palce miał białe, każdy paznokieć koloru półksiężyca u nasady.

Ale ani bladość, ani dygot nie zaniepokoiły go tak, jak to, co zobaczył pod paznokciami u prawej ręki. Jakaś ciemna substancja, brązowo-czerwona.

Patrzył na nią długo, nie spiesząc się ze sprawdzeniem, czy substancja jest prawdziwa.

Wreszcie paznokciem kciuka lewej ręki wyskrobał małą cząstkę materii spod paznokci prawej. Masa była dość wilgotna i gumowata.

Z wahaniem podniósł ją do nosa. Wciągnął powietrze raz i drugi; choć zapach był słaby, nie musiał tego robić po raz trzeci.

Pod pięcioma paznokciami jego prawej ręki znajdowała się krew. Z pewnością rzadko spotykaną u kogoś, kto zrozumiał, że na świecie nie ma nic pewnego, poczuł, że to jego własna krew.

4

Laboratoria Palomar w Północnym Hollywood zajmowały rozległy parterowy budynek z betonowej płyty o tak małych i rzadko rozstawionych oknach i tak płaskim metalowym dachu, że wyglądał jak bunkier.

W wydziale medycznym analizowano próbki krwi, rozmazy, tkanki pobrane podczas biopsji i inne materiały organiczne. W wydziale przemysłowym wykonywano wszelkiego rodzaju analizy chemiczne dla sektora prywatnego i klientów rządowych.

Co roku fani Twarzy wysyłali mu miliony listów, głównie na adres jego studia, które co tydzień obdarowywało nowym zapasem korespondencji firmę odpowiedzialną za image gwiazdy. W listach znajdowały się podarki, w tym słodczyce domowej roboty: ciasteczka, ciasta, krówki. Zaledwie jeden na tysiąc fanów był na tyle szalony, by wysłać zatrute kokosanki, ale Ethan zawsze kierował się zasadą „lepiej uważać, niż żałować”. Nakazał wyrzucać wszystkie artykuły żywnościowe.

Od czasu do czasu, kiedy zjawiał się przysmak domowej roboty ze szczególnie podejrzanym listem, jadalnego prezentu nie wyrzucano od razu, lecz przekazywano go Ethanowi do dokładnego badania. Jeśli podejrzewał zatrucie, przynosił obiekt do Palomar do analizy.

Kiedy ktoś zupełnie obcy zmagazynuje w sobie tyle nienawiści, by próbować otruć Twarz, Ethan chciał wiedzieć o jego istnieniu. Następnie wchodził w kontakt z policją w mieście truciciela i rozmawiał o oskarżeniu, które zostanie zaakceptowane w sądzie.

Teraz, w publicznej recepcji, podpisał formularz upoważniający laboratorium do pobrania mu krwi. Nie mając skierowania, zapłacił gotówką. Zażądał badania DNA.

- I chcę wiedzieć, czy mam jakieś substancje chemiczne we krwi.

- Jakie leki pan przyjmuje?

- Tylko aspirynę. Ale chcę, żebyście zrobili badania pod każdym możliwym kątem, na wypadek gdyby ktoś skłonił mnie do przyjęcia narkotyku bez mojej wiedzy.

Być może w Hollywood ludzie są przyzwyczajeni do spotkań z paranoikami w pełnym rozkwicie choroby. Recepcjonistka nie przewróciła oczami, nie uniosła brwi ani w żaden inny sposób nie okazała zaskoczenia na wieść o tak podstępny spisku.

Krew pobrała mu drobna i śliczna Wietnamka o dotyku anioła. Nawet nie poczuł, kiedy igła przebiła żyłę.

W innej recepcji, przeznaczonej do odbioru próbek niezwiązanych ze standardowymi testami, wypełnił drugi formularz i ponownie zapłacił. Tym razem, kiedy wyjaśnił, co chce, by poddano analizie, recepcjonistka dziwnie na niego spojrzała.

Na stole laboratoryjnym, pod ostrym światłem jarzeniowym bliźniaczka Britney Spears cienką, tępo zakończoną szpatułką wyskrobała krew spod paznokci jego prawej ręki na kwadracik bezkwasowego białego papieru. Ethan nie obcinał paznokci od tygodnia, więc wydobyła także trochę resztek włosów po goleniu. Niektóre zrobiły się gumowate.

Przez cały czas drżały mu ręce. Może pomyślała, że tak go onieśmieliła jej uroda.

Materia spod paznokci zostanie najpierw zanalizowana na obecność krwi. Następnie ludzie z wydziału medycznego określą DNA i porównają z krwią pobraną przez Wietnamkę. Pełne badanie toksykologiczne będzie do odebrania dopiero w środę po południu.

Nie rozumiał, jak to możliwe, że ma pod paznokciami własną krew, skoro jednak nie dostał postrzału w brzuch i pierś. Ale tak jak

migrujące gęsi odróżniają południe od północy bez pomocy kompasu, po prostu wiedział, że ta krew niedawno płynęła w jego żyłach.

5

Na parkingu pod Palomar, kiedy deszcz i wiatr malowały na szybie forda procesję bezbarwnych duchów, Ethan zadzwonił na komórkę Hazarda Yancy'ego.

Hazard przyszedł na świat jako Lester, ale nienawidził swojego imienia. Les też mu się nie podobało. Uważał, że brzmi jak obelga. [less (ang.) mniej] Rzeczywiście, mając metr dziewięćdziesiąt wzrostu i masę sto dwadzieścia kilogramów, z ogoloną głową wielką jak piłka do kosza i karkiem tylko nieznacznie węższym od odległości między uszami, Hazard Yancy nie wyglądał na wcielenie minimalizmu.

- Prawda wygląda tak – powiedział kiedyś – że mam więcej niż większość ludzi. Więcej zdecydowania, więcej radochy, więcej koloru, więcej pomyłek z kobietami, więcej szans, że mi strzelą w dupę. Starzy powinni mnie nazwać Więcej Yancy. Z tym mógłbym żyć.

Jako nastolatek i młody mężczyzna zyskał przydomek Cegła ze względu na sylwetkę.

Nikt w wydziale zabójstw od dwudziestu lat nie nazywał go Cegłą. W policji był znany jako Hazard, ponieważ praca z nim była jak hazardowa gra. Detektyw z zasady bywa narażony na większe niebezpieczeństwo niż na przykład sklepikarz, ale rzadziej zdarza mu się śmierć na posterunku niż sprzedawcom na nocnej zmianie. Jeśli pragnie się dreszczyku związanego z faktem, że regularnie jest się celem ataków, wydział do spraw przestępczości zorganizowanej, antynarkotykowy lub antyterrorystyczny nadają się znacznie lepiej. Samo paradowanie w mundurze prowokuje większą agresję niż przemierzanie ulic w cywilnych ciuchach.

Kariera Hazarda stanowiła wyjątek od reguły. Ludzie bez przerwy do niego strzelali.

A jego dziwiła nie częstotliwość, z jaką w jego stronę padały strzały, lecz to, że ludzie ci nie znali go osobiście.

- Jako mój przyjaciel - powiedział kiedyś - mógłbyś się spodziewać, że będzie dokładnie odwrotnie, no nie?

Jego niezwykle talent do ściągania na siebie ognia nie miał nic wspólnego z brutalnością czy kiepską techniką wywiadowczą. Hazard był ostrożnym, pierwszorzędnym detektywem.

Doświadczenie nauczyło Ethana, że wszechświat nie zawsze działa jak precyzyjny mechanizm przyczynowo-skutkowy, co z takim przekonaniem opisują naukowcy. Anomalie mnożą się jak króliki. Gdzie tylko spojrzeć, same odstępstwa od reguły, dziwne wyjątki, niekonsekwencje.

Ten, kto się upiera, że życie zawsze toczy się zgodnie z zasadami logiki, w końcu musi z lekka oszaleć albo wręcz doigrać się żółtych papierów. Od czasu do czasu trzeba się pogodzić z niewyjaśnionym.

Hazard nie wybierał swoich spraw. Tak jak inni detektywi zajmował się tym, co zesłał mu los. Z przyczyn znanych jedynie tajemniczemu mistrzowi wszechświata, częściej dostawały mu się sprawy świrów - nieszczęśliwych, jeśli codziennie nie pociągną za spust - niż starszych dam z towarzystwa, traktujących swoich przyjaciół dżentelmenów herbatką wzmocnioną arsenikiem. Na szczęście większość strzałów trafiała Panu Bogu w okno. Hazard oberwał tylko dwa razy, w obu wypadkach niegroźnie. Dwaj jego partnerzy odnieśli cięższe rany, ale żaden nie umarł ani nawet nie został kaleką.

W czasie czterech lat służby Ethan parę razy pracował z Hazardem. Ten okres należał do najbardziej satysfakcjonujących w jego życiu zawodowym.

A teraz, gdy Yancy odebrał komórkę po trzecim sygnale, Ethan powitał go słowami:

- Ciągłe sypiasz z dmuchaną lalą?
 - A co, też chcesz?
 - Słuchaj, Hazard, bardzo jesteś zajęty?
 - Właśnie trzymam nogę na karku jednego główniarza.
 - Dosłownie?
 - W przenośni. Jakby to było dosłownie, to bym mu skakał po krtani, a ciebie by połączyło z pocztą głosową.
 - Jeśli chcesz go zapudłować...
 - Czekam na wyniki z laboratorium. Dostanę dopiero jutro rano.
 - A może byś zjadł ze mną obiad? Na koszt Channinga Manheima?
 - Jeśli to mnie nie zobowiązuje do obejrzenia jego głównianego filmu...
 - Wszyscy by tylko krytykowali. - Ethan wymienił nazwę modnej restauracji, gdzie Twarz miał stałą rezerwację.
 - Dają prawdziwe żarcie czy tylko dekoracje?
 - Będą koreczki z cukinii z musem warzywnym, małe szparagi i dekoracyjne sosy - przyznał Ethan. - Wolisz iść do ormiańskiej?
 - A mam wybór? Ormiańska o pierwszej.
 - Poznasz mnie po minie byłego gliniarza, który udaje mądrego.
- Rozłączając się, pomyślał ze zdziwieniem, że udało mu się mówić zupełnie normalnym głosem.
- Ręce już mu nie drżały, ale zimny, oleisty strach ciągle bulgotał mu w każdym zakątku wnętrza. Oczy, które patrzyły na niego z lusterka wstecznego, nie wyglądały znajomo.
- Włączył wycieraczkę. Wyjechał z parkingu przed laboratoriami

Palomar.

W czarnoksiężskiej kadzi nieba światło późnego poranka zwarzyło się w gęsty mrok, bardziej pasujący do zimowego zmierzchu. Prawie wszyscy kierowcy włączyli reflektory. Jaskrawe zjawiskowe węże wiły się po czarnym, mokrym asfalcie.

Do obiadu miał godzinę i kwadrans. Postanowił złożyć wizytę żywemu trupowi.

6

Szpital Matki Boskiej od Aniołów był wysoką, białą piramidą w kształcie zikkuratu, zwężającą się ku górze i zakończoną cokołem z kolumną. Jej szczyt oświetlała latarnia i migające czerwone światełko na czubku masztu radiowego.

Szpital jakby wysyłał sygnały miłosierdzia do wszystkich chorych duszyczek na anielskich wzgórzach i gęsto zaludnionych równinach. Jego sylwetka kojarzyła się ze statkiem kosmicznym, co zanieśie prosto do nieba tych, których życia nie zdołała uratować medycyna ni modlitwa.

Ethan zatrzymał się w męskiej łazience na parterze, gdzie energicznie umył ręce. Blondynka nie usunęła spod jego paznokci wszystkich śladów krwi.

Płynne mydło miało ostry pomarańczowy zapach. Zanim skończył, łazienka stała się wonna niczym gaj cytrusowy. Od gorącej wody i tarcia jego skóra nabrała jaskrawo-czerwonego koloru. Nie została ani jedna plamka, ale ciągle czuł się brudny. Nie mógł się pozbyć niepokojącego przekonania, że dopóki ma na rękach choć parę cząsteczek tej zapowiedzi śmierci, kostucha wyczuje jego zapach i wykona zawieszony wyrok.

Spojrzał w lustro, niemal zupełnie pewien, że stał się przezroczysty jak firanka. Nic podobnego.

Wyczuł zbliżającą się obsesję. Istniało duże prawdopodobieństwo, że będzie myć ręce, dopóki nie zedrze z nich skóry. Szybko wytarł je kilkoma papierowymi ręcznikami i wyszedł.

Winda jechał z poważną młodą parą, trzymającą się za ręce dla dodania sobie otuchy.

– Ona wyzdrowieje – szepnął mężczyzna, a kobieta skinęła

głową z oczami pełnymi wstrzymywanych łez.

Ethan wysiadł na szóstym piętrze. Para pojechała wyżej na spotkanie ze swoim nieszczęściem.

Duncan „Dunny” Whistler od trzech miesięcy leżał na szóstym piętrze. Pomiedzy pobytami na OIOM-ie, który znajdował się także na tym piętrze, umieszczano go w różnych pokojach. Kiedy Ethan odwiedził go przed pięcioma tygodniami, znalazł go w pokoju numer 742.

Zakonnica o życzliwej irlandzkiej twarzy spojrzała Ethanowi w oczy, uśmiechnęła się i minęła go z cichym szelestem obszernego habitu. Zakon, który zarządzał szpitalem, odrzucił nowoczesne stroje, przypominające uniformy stewardes. Pozostał przy tradycyjnych, sięgających podłogi habitach o obszernych rękawach i skrzydlatych kornetach. Były olśniewająco białe. Na widok zakonnice sunących po korytarzach tak lekko, jakby unosiły się nad ziemią, niemal uwierzył, że szpital nie stoi jedynie w Los Angeles, lecz na pomoście łączącym oba światy.

Od czasu gdy czterej rozwścieczeni faceci o jeden raz za dużo wsadzili Dunny’emu głowę do muszli klozetowej i trochę za długo trzymali go pod wodą, zaczął wegetować pomiędzy światami. Sanitariusze wypompowali mu wodę z płuc, ale lekarze nie zdołali go wyciągnąć ze śpiączki.

Pokój 742 tonał w głębokim mroku. Na łóżku najbliższej drzwi spoczywał staruszek: nieprzytomny, podłączony do maszyny, która z rytmicznym świstem tłoczyła w niego powietrze.

Łóżko pod oknem, gdzie Dunny spędził ostatnie pięć tygodni, stało puste. Pościel była świeża i wykrochmalona, lśniła w ciemnościach. Mdłe światło rzucało niekształtne cienie strug deszczu na kołdrę. Wydawało się, że roją się na niej przezroczyste pająki.

Karty choroby nie było. Ethan domyślił się, że Dunny został

przeniesiony do innej sali albo na OIOM.

W pokoju pielęgniarek młoda kobieta poprosiła, żeby poczekał na jej przełożoną, którą wezwała pagerem. Ethan znał siostrę Jordan z poprzednich wizyt. Czarnoskóra kobieta o manierach sierżanta i aksamitnym głosie piosenkarki zjawiała się w pokoju z informacją, że Dunny zmarł dziś rano.

– Bardzo mi przykro. Dzwoniłam na oba numery, które mi pan podał, i zostawiłam wiadomość w poczcie głosowej.

– Kiedy to się stało?

– Zmarł o dziesiątej dwadzieścia rano. Zadzwoiłam do pana jakieś piętnaście, dwadzieścia minut później.

Mniej więcej o dziesiątej czterdzieści Ethan stał pod drzwiami Rolfa Reynerda, drżąc na wspomnienie swojej przepowiedzianej śmierci i dopytując się o nieistniejącego Jima Briscoe. Telefon komórkowy zostawił w fordzie.

– Wiem, że pan Whistler nie był panu bliski – ciągnęła siostra Jordan. – Ale zawsze to szok. Przykro mi, że dowiedział się pan w tej sposób... puste łóżko.

– Czy zwłoki zniesiono do inspektu? – spytał.

Siostra Jordan przyjrzała mu się z nową uwagą.

– Nie wiedziałam, że jest pan policjantem.

W policyjnym slangu „inspekt” oznaczał kostnicę. Ciała czekały na zasadzenie.

– Wydział zabójstw – wyjaśnił, nie dodając, że odszedł.

– Mój mąż w marcu przejdzie na emeryturę. Biorę nadliczbowe, żeby nie zwariować.

Ethan ją rozumiał. Policjanci często przez całe zawodowe życie nie poświęcają swojej śmiertelności zbyt wiele uwagi. Dopiero parę

miesiące przed emeryturą dostają takiej paniki, że muszą garściami łykać proszki uspokajające. Ich żony przeżywają to jeszcze gorzej.

– Lekarz podpisał akt zgonu – powiedziała siostra Jordan – a pan Whistler pojechał na dół. A, prawda... to nie będzie zwykły zgon, prawda?

– Teraz to morderstwo. Koroner będzie chciał zrobić sekcję.

– Zadzwoniliśmy do niego. Nasz system jest niezawodny. – Spojrzała na zegarek. – Ale pewnie jeszcze nie mieli czasu zabrać zwłok, jeśli o to panu chodzi.

*

Ethan zjechał windą do świata umarłych. Inspekt znajdował się na trzecim, najniższym poziomie piwnicy, obok garażu dla ambulansów.

Towarzyszyły mu dźwięki orkiestrowej wersji starego przeboju Sheryl Crow – wypranego z seksu i nadzianego dziarskim optymizmem. Z pierwotnej wersji została tylko skórka, w którą wciśnięto mniej smaczną odmianę kiełbaski. W tym podziemnym świecie nawet to, co najblihsze, na przykład piosenki, uległo nieuniknionemu zepsuciu.

On i Dunny – obaj trzydziestosiedmioletni – pomiędzy piątym i dwudziestym rokiem życia byli najlepszymi kumplami na świecie. Wychowali się w tej samej podupadłej dzielnicy pełnej sypiących się domków jednorodzinnych, każdy był jedynakiem. Stali się sobie bliscy jak bracia. Połączyło ich nieszczęście: emocjonalne i fizyczne cierpienie będące skutkiem życia pod ciężką ręką ojców pijaków. A także gorące pragnienie, by udowodnić, że nawet synowie pijaków i biedaków mogą pewnego dnia stać się kimś.

Siedemnastoletni okres rozstania, kiedy ledwie zamieniali ze

sobą parę słów, złagodził smutek, ale nawet po ostatnich wydarzeniach Ethan pograżył się w melancholijnych rozmyślaniach o tym, co mogło się wydarzyć.

Dunny Whistler przeciął więź między nimi wyborem życia poza prawem, które Ethan miał wspierać. Bieda i chaos życia pod panowaniem pijaka-egoisty w Ethanie zrodziły respekt dla samodyscypliny, porządku i służenia innym. W przypadku Dunny'ego te same doświadczenia zaowocowały żądzą forsy i takiej władzy, by nikt nigdy więcej nie ośmielił się mu mówić, co może, a czego nie może robić.

Z perspektywy czasu było widać, że reakcją na ten sam czynnik zaczęli się różnić już jako nastolatki. Jeden postanowił zyskać szacunek przez osiągnięcia, drugi pragnął respektu, który zjawia się ze strachem.

Co więcej, zakochali się w tej samej dziewczynie, co poróżniłoby nawet braci krwi. Hannah zjawiała się w ich życiu, kiedy obaj mieli po siedem lat. Z początku była kumplem, jedynym dzieckiem, które dopuszczali do zabaw obliczonych tylko na dwóch chłopców. Ich trójka stała się nierozłączna. Z czasem Hannah stała się przyjaciółką i przybraną siostrą; chłopcy przysięgli, że będą jej bronić. Ethan nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy przestała być tylko koleżanką, tylko siostrą i stała się... ukochaną.

Dunny rozpaczliwie jej pragnął, ale przegrał w tej rozgrywce. Ethan nie tylko jej pragnął, lecz wielbił ją, zdobył jej serce i rękę.

Przez dwanaście lat on i Dunny nie odzywali się do siebie – aż do nocy, gdy Hannah umarła w tym szpitalu.

W windzie przestał słyszeć zmasakrowaną piosenkę Sheryl Crow i wyszedł na szeroki, jasno oświetlony korytarz o białych betonowych ścianach. Zamiast pseudomuzyki wypełniało go ciche, lecz autentyczne brzęczenie świetlówek.

Podwójne drzwi o kwadratowych szybkach prowadziły do

recepcji ogródka.

Za odrapanym biurkiem siedział mężczyzna około czterdziestki, z potrądzikowymi bliznami i w zielonym szpitalnym uniformie. Na identyfikatorze widniał napis: VIN TOLEDANO. Podniósł wzrok znad taniej powieści z groteskowym trupem na okładce.

Ethan spytał go o samopoczucie, a recepcjonista wyjawiał, że ciągle żyje, więc pewnie wszystko w porządku.

– Ponad godzinę temu dostał pan Duncana Whistlera z szóstego piętra – dodał Ethan.

– Dobrze zmrożonego – potwierdził Toledano. – Nie mogę go wydać kostnicy. Najpierw chce go dostać koroner, bo to zabójstwo.

Dla gości przewidziano tylko jedno krzesło. Transakcje dotyczące tutejszego nietrwałego towaru prowadzi się szybko. Nie ma potrzeby wysiadywać w poczekalni i przeglądać magazyny.

– Nie jestem z kostnicy – powiedział Ethan. – Byłem przyjacielem zmarłego. Nie było mnie przy jego śmierci.

– To przykre, ale nie może pan zobaczyć ciała.

Ethan usiadł na krześle dla gości.

– Tak, wiem.

Aby obrońca nie mógł zakwestionować w sądzie wyników sekcji zwłok, należało zachować oficjalną procedurę zakładającą, że nikt nie może mieć dostępu do ciała przed autopsją.

– Nie zostawił rodziny, która go może zidentyfikować, a ja jestem zarządcą jego majątku – wyjaśnił Ethan. – Więc jeśli mam potwierdzić jego tożsamość, to wolę tutaj niż później w miejskiej kostnicy.

Toledano odłożył książkę.

– Facet, który od małego był moim przyjacielem, w zeszłym

roku został wyrzucony z samochodu pędzącego pewnie stową. Ciężko tracić kumpli tak młodo.

Ethan nie potrafił się zmusić do udawania rozpacz, ale chętnie przystał na rozmowę, która oderwała jego myśli od Rolfa Reynerda.

– Od dawna nie byliśmy sobie bliscy. Nie rozmawialiśmy ze sobą dwanaście lat, a w ciągu ostatnich pięciu tylko trzy razy.

– I on pana ustanowił zarządcą?

– Też się zdziwiłem. Nie wiedziałem o tym, dopóki Dunny nie poleżał dwa dni na OIOM-ie. Zadzwoił do mnie jego prawnik i powiedział, że będę zarządcą dopiero po śmierci Dunny'ego, ale tymczasem mam prawo zarządzać jego sprawami i podejmować za niego decyzje w sprawie leczenia.

– Pewnie jednak coś było między wami.

Ethan pokręcił głową.

– Nic.

– Pewnie coś było – uparł się Vin Toledano. – Jakaś przyjaźń z dzieciństwa. To trwalsze, niż się myśli. Ludzie się nie widzą pół życia, potem się spotykają i jakby się w ogóle nie rozstawali.

– Z nami tak nie było. – Ale naprawdę było. Kochali Hannah. Żeby zmienić temat, spytał: – Jak to się stało, że pański przyjaciel wyleciał z samochodu?

– To był wielki chłop, ale zawsze myślał główką, a nie głową.

– Nie on jeden.

– Siedział w barze, zobaczył trzy laski, bez facetów, no to ruszył do ataku. Wszystkie trzy zaczęły na niego lecieć, zaprosiły go do siebie, a jemu się wydało, że taki z niego Brad Pitt.

– A one go okradły – zgadł Ethan.

- Gorzej. Zostawił swój samochód, pojechał z nimi. Dwie dobrały się do niego na tylnym siedzeniu, do połowy go rozebrały – i wypchnęły dla draki.

- Więc były na prochach?

- Może tak, może nie. Okazuje się, że zrobiły to już dwa razy. Na trzecim wpadły.

- Wczoraj widziałem w telewizorze taki stary film. Frankie Avalon, Annette Funicello. Jeden z tych o imprezie na plaży. Kobiety były wtedy inne.

- Każdy był inny. Od lat sześćdziesiątych wszystko zaczęło się psuć. Szkoda, że nie urodziłem się trzydzieści lat wcześniej. Jak umarł pański kolega?

- Czterech facetów, których wyrolował, trochę go poobijało, związali mu ręce z tyłu i topili w kiblu tak długo, aż uszkodzili mu mózg.

- Kurczę. Dno.

- Agatha Christie to nie jest – zgodził się Ethan.

- Ale jak się pan tym zajął, to jednak coś między wami musiało być. Nikt nie ma obowiązku być zarządcą masy spadkowej.

Dwóch sanitariuszy z biura koronera otworzyło podwójne drzwi i weszło do recepcji. Pierwszy był wysoki, miał około pięćdziesiątki. Wyraźnie pysznił się bujnymi włosami. Czesał się w czub tak wysoki, że powinien sobie w niego wpiąć kokardę.

Ethan znał partnera Czuba. Krępy Jose Ramirez był z pochodzenia Meksykaninem, miał słaby wzrok i słodki, błogi uśmiech misia koali. Mieszkał z żoną i czworgiem dzieci.

Kiedy Czub zajął się wypełnianiem formularzy, Ethan zagadnął Josego, czy ma w portfelu nowe fotografie Marii i dzieci. Po załatwieniu formalności Toledano zaprowadził ich do inspektu.

Zamiast winylowej wykładziny podłoga pomieszczenia była wyłożona białymi ceramicznymi kafelkami z bardzo wąskimi fugami. Taką powierzchnię łatwo wysterylizować, gdyby została zanieczyszczona płynami ustrojowymi.

Pomimo bardzo dobrych filtrów w chłodnym powietrzu unosił się słaby, lecz dokuczliwy fetor. Ludzie na ogół nie umierają w zapachu szamponu, mydła i wody kolońskiej.

W czterech standardowych szufladach z nierdzewnej stali mogły się znajdować zwłoki, ale największe wrażenie robili dwaj nieboszczycy na wózkach. Obaj byli przykryci prześcieradłami. Trzecie łóżko było puste, zwisał z niego zmięty całun. Na jego widok Toledano zrobił głupią minę.

- Tu leżał... Właśnie tu.

Marszcząc brwi, odsłonił twarze dwóch pozostałych nieboszczyków. Żaden z nich nie był Dunnym Whistlerem.

Po kolei otworzył metalowe szuflady. Były puste.

Pacjenci szpitala w większości trafiali z niego do własnego domu, nie pogrzebowego, dlatego tutejszy inspekt był w porównaniu z miejską kostnicą dość skromny. Wszystkie możliwe kryjówki już zostały sprawdzone.

7

W pomieszczeniu bez okien trzy poziomy pod ziemią zapadła taka cisza, że Ethanowi wydało się, iż słyszy bębnienie deszczu na ulicy.

Potem sanitariusz z czubem spytał:

– Czyli wydałeś Whistlera komu innemu?

Toledano pokręcił głową.

– Nie! Nie zdarzyło mi się nic takiego przez czternaście lat i nie zamierzam zacząć dzisiaj.

Drzwi były na tyle szerokie, by ciała na łózkach można było przetoczyć bezpośrednio z ogródka do garażu ambulansów. Powinny je zabezpieczać dwie zasuwki. Obie były odsunięte.

– Zostawiłem je zamknięte – przysiągł Toledano. – Zawsze są zamknięte, zawsze... Chyba że wydaję zwłoki, ale wtedy zawsze tam jestem i uważam.

– Kto by chciał ukraść trupa? – zdziwił się Czub.

– Nawet gdyby jakiś zbok chciał, toby nie mógł – odparł Vin Toledano, otwierając drzwi do garażu, by zaprezentować, że od zewnętrznej strony nie mają dziurek od kluczy. – Dwie zaślepki. Nie ma do nich kluczy. Te drzwi można otworzyć tylko z tej strony.

Ze zmartwienia jego głos brzmiał coraz słabiej. Pewnie zobaczył swoją zawodową przyszłość spływającą do kanalizacji szybciej, niż krew spływa z pochyłego stołu do sekcji zwłok.

– Może jednak nie umarł i sam wyszedł? – podsunął Jose Ramirez.

– To był cholernie martwy trup – odparł Toledano. – Trup na

dwieście procent.

– Każdy może się pomylić – zauważył Jose, wzruszając zgarbionymi ramionami i uśmiechając się jak miś koala.

– Ale nie w tym szpitalu – oznajmił recepcjonista. – Nic takiego się nie zdarzyło od piętnastu lat, kiedy jedna staruszka po stwierdzeniu zgonu przeleżała godzinę w chłodni, a potem raptem siadła i zaczęła się drzeć.

– Hej, pamiętam! – ożywił się Czub. – Jakaś zakonnica dostała ataku serca!

– Ataku serca dostał facet, który tu pracował przede mną, dlatego że ta zakonnica na niego nawrzeszczała.

Ethan przykucnął i wyjął spod łóżka Dunny'ego białą torbę plastikową. Była wyposażona w sznurki do zaciągania; na jednym nich wisiała plakietka z napisem DUNCAN EUGENE WHISTLER, jego data urodzenia i numer polisy ubezpieczeniowej.

– W tym były jego rzeczy, w których go przyjęto do szpitala – odezwał się Toledano głosem, w którym zabrzmiały początki paniki.

Torba była pusta. Ethan położył ją na łóżku.

– Od czasów tamtej staruszki sprawdzacie diagnozę?

– Trzy albo cztery razy. Po raz pierwszy, kiedy przywożą umarlaka. Badam go stetoskopem, nasłuchuję akcji serca i płuc. Od tej strony stetoskopu słyhać dźwięki o wysokiej częstotliwości, od tej – o niskiej – recytował, jakby przypominał sobie wszystkie zabiegi wokół zwłok Dunny'ego. – Lusterkiem sprawdzam oddech. Mierzę wewnętrzną temperaturę, potem jeszcze raz pół godziny później, i znowu pół godziny później – jeśli spada, to mam prawdziwego nieboszczyka.

Czub poczuł rozbawienie.

– Wewnętrzna temperatura? Czyli wsadzasz termometr

nieboszczykowi do tyłka?

– Okaż trochę szacunku – powiedział poważnie Jose I przeżegnał się.

Ethanowi pociały się ręce. Wytarł je o koszulę.

– No, ale skoro nikt go nie zabrał, a on naprawdę umarł – to gdzie jego ciało?

– Pewnie jakaś siostrzyczka zrobiła ci psikus – powiedział Czub. – To stare zgrywuski.

Zimne powietrze, śnieżnobiałe kafelki, metalowe szuflady lśniąca jak tafle lodu: nic nie mogło dorównać lodowatemu zimnu, które zagościło w ciele Ethana. Miał wrażenie, że słaby odór śmierci trwale wżarł się w jego ubranie. Do tej pory takie miejsca nie budziły jego niepokoju. Teraz to się zmieniło.

W rubryce KREWNI LUB PEŁNOMOCNICY w dokumentach szpitalnych widniało jego nazwisko i numery telefonów. Mimo to dał zniekanemu recepcjoniście swoją wizytówkę.

W windzie wysłuchał kolejnego przeboju zmienionego w kołysankę dla grzecznych dzieci.

Wjechał na szóste piętro, gdzie umarł Dunny. Kiedy drzwi się rozsunęły, zdał sobie sprawę, że powinien pojechać tylko dwa poziomy wyżej, na pierwszy podziemny parking, gdzie zostawił swojego forda. Wcisnął guzik, ale winda wjechała jeszcze na czternaste, zanim zaczęła sunąć w dół. Ludzie wsiadali, wysiadali, a on prawie ich nie zauważał. Wzburzony umysł zabrał go gdzie indziej. Incydent w mieszkaniu Reynerda. Zniknięcie zwłok Dunny'ego.

Pozbył się policyjnej odznaki, ale nie policyjnej intuicji. Czuł, że dwa tak wyjątkowe wypadki tego samego ranka nie mogą być dziełem przypadku.

Ale sama intuicja nie wystarczy, żeby odgadnąć charakter więzi

między tymi niezwykłymi incydentami. Równie dobrze mógłby próbować intuicyjnej operacji mózgu.

Logika także nie dostarczała gotowych odpowiedzi. W tym wypadku nawet Sherlock Holmes wpadłby w rozpacz, gdyby musiał rozwiązać tę sprawę drogą dedukcji.

Samochód, który dopiero wjechał do garażu, sunął wzdłuż rzędów, szukając miejsca do parkowania. Inny samochód wyłonił się gdzieś z betonowej otchłani, niczym łódź podwodna wynurzająca się z rowu oceanicznego. Tylko Ethan poruszał się pieszo.

Im dalej szedł w głąb garażu, tym niżej zdawał się zjeżdżać szary sufit, zabrudzony smolistymi wyziewami, układającymi się w tajemnicze i fascynujące plamy z testu Rorschacha. Ściany, jak pancierz łodzi podwodnej, z trudem wytrzymywały napór morza, jego miażdżące ciśnienie.

W każdej chwili spodziewał się odkryć, że nie jest jedynym pieszym przechodniem. Za każdym samochodem, za każdą betonową kolumną mógł czekać stary przyjaciel – z dziwnym spojrzeniem i nieznanymi zamiarami.

Udało mu się dotrzeć do forda bez żadnego wypadku.

W środku też nikt na niego nie czekał.

Ledwie usiadł za kierownicą, jeszcze przed włączeniem silnika, zablokował wszystkie drzwi.

8

W ormiańskiej restauracji na Pico Boulevard panowała atmosfera żydowskich delikatesów; w menu figurowały potrawy tak pyszne, że nawet skazaniec musiałby się uśmiechnąć podczas ostatniego posiłku. Można tu było spotkać więcej policjantów w cywilu i filmowców niż gdziekolwiek poza salą sądową, w której odbywa się proces gwiazdy oskarżonej o zamordowanie swojej ślubnej połowy.

Hazard Yancy czekał już w niszy przy oknie. Nawet na siedząco wyglądał tak potężnie, że dobrze by zrobił, udając się na casting do „Niewiarygodnego Hulka” – gdyby realizowano film w czarnej obsadzie.

Już zdążył zamówić podwójną przystawkę z ogórkami, pomidorami i kiszoną rzepą.

Ethan usiadł naprzeciwko.

– Podobno w dzienniku powiedzieli, że twój szef zarobił dwadzieścia siedem milionów za dwa ostatnie filmy.

– Dwadzieścia siedem milionów za każdy, kiedy pierwszy przekroczył próg dwudziestu pięciu.

– Z nędzy do pieniędzy – mruknął Hazard.

– Plus udziały w zyskach, jeśli film okaże się wielkim hitem.

– I ile to by mogło być?

– W „Daily Variety” napisali, że czasami dostaje i pięćdziesiąt milionów.

– Teraz czytujesz prasę branżową?

– To mi uświadamia, że jest bardzo pożądanym celem.

- Dostałeś robotę na swoją miarę, nie ma co. Ile filmów kręci rocznie?

- Nie mniej niż dwa. Czasem trzy.

- Zamierzałem się tak obezreć na jego rachunek, że musiałby zauważyć i wyłąć cię za nadużycia.

- Nawet ty nie możesz pożreć obiadu za sto tysięcy dolarów.

Hazard pokręcił głową.

- Wielki Chan. Może nie jestem już na bieżąco, ale jakoś mi się nie widzi, żeby był wart pięćdziesiąt milionów.

- Ma także własną firmę telewizyjną, która produkuje trzy programy, obecnie wyświetlane w największych stacjach, a cztery w kablówce. Z Japonii wyciąga parę milionów rocznie za reklamówkę najmodniejszego piwa. I firmuje linię sportowych ciuchów. I jeszcze wiele innych rzeczy. Jego agenci nazywają dochody niezwiązane z aktorstwem „dodatkowymi”.

- Ludzie po prostu zarzucają go forsa, tak?

- Nigdy nie musiał czekać na wyprzedaże.

Zjawiała się kelnerka. Ethan zamówił łososia po marokańsku z kuskusem i mrożoną herbatę. Za to zapisując zamówienie Hazarda, stępiła ołówek: lebne z serem i podwójną porcją ogórków, hummus, gołąbki z liści winogron, lahmajoon, owoce morza...

- I jeszcze takie dwie małe buteleczki oranżady.

- Widziałem tylko jedną osobę, która tyle jadła – odezwał się Ethan. – Ta baletnica bulimiczka. Po każdym daniu latała do kibla, żeby zwymiotować.

- Ja robię studia porównawcze. I nigdy nie musiałem nosić spódniczki. Więc powiedz, jaki sukinsyn z tego Wielkiego Chana?

Maskujący szmer innych rozmów zapewniał dyskrecję niemal

jak na pustyni.

– Nie sposób go nienawidzić – wyznał Ethan.

– To największy komplement, na jaki cię stać?

– Chodzi o to, że jako człowiek nie robi takiego wrażenia jak na ekranie. Nie budzi żadnych emocji.

Hazard przełknął resztkę przystawki, pomrukując z zachwytem.

– Więc to tylko wizerunek, nie ma żadnej treści.

– Nie jest to takie proste. On jest... nijaki. Dla pracowników hojny. Nie jest arogancki. Ale jest jakby... nieważki. Odnosi się do ludzi, nawet własnego syna, jakby od niechcienia – ale to dobrotliwa obojętność. Nie jest aktywnie zły.

– Przy takiej forsie i uwielbieniu człowiek spodziewa się potwora.

– On taki nie jest. Jest...

Zastanowił się. Przez te wszystkie miesiące, które spędził u Manheima, z nikim nie rozmawiał o nim szczerze. Z Hazardem zdarzyło mu się być obiektem ostrzału. Ufali sobie bezgranicznie. Mógł z nim otwarcie rozmawiać, gdyż wiedział, że jego słowa nie przedostaną się dalej. Tak zaufanemu słuchaczowi chciał opisać Twarz nie tylko najwierniej, jak to możliwe, ale również wnikliwie. Być może wtedy sam lepiej zrozumie swojego pracodawcę.

Kelnerka przyniosła herbatę i oranżady. Dopiero wówczas Ethan zaczął mówić:

– Jest zajęty tylko sobą, ale nie tak, jak to zwykle gwiazdy, nie tak, że wydaje się egoistą. Chyba mu zależy na pieniądzach, ale nie na sławie albo na tym, co ludzie o nim myślą. Tak, jest zajęty sobą, bez reszty, ale to jakby... stan zen.

– Stan zen?

- Tak. Jakby żył z naturą, z kosmosem, nie z innymi ludźmi. Zawsze jest jakby na wpół w stanie medytacji, nie całkiem z tobą, jak jakiś lipny jogin, który udaje, że ma kontakt z siłami nadprzyrodzonymi – tylko że on nic nie udaje. Jakby zawsze kontemplował wszechświat i był pewien, że wszechświat kontempluje jego, że ta fascynacja jest odwzajemniona.

Hazard przełknął ostatni kęs przystawki.

- Spencer Tracy – powiedział. – Clark Gable. Jimmy Stewart. Bogart. To też były świry: nikt o tym nie wiedział czy też w tamtych czasach gwiazdami byli prawdziwi ludzie, chodzący twardo po ziemi?

- Teraz też się zdarzają prawdziwi ludzie. Poznałem Jodie Foster. Sandrę Bullock. Wyglądają na prawdziwe.

- I potrafią skopać tyłek.

Zamówienie musiały przynieść dwie kelnerki. Hazard rozpromienionym wzrokiem witał każde stawiane przed nim danie.

- Pięknie. Pięknie. O, pięknie. Naprawdę pięknie. Przepięknie.

Na wspomnienie postrzału w brzuch Ethan stracił apetyt. Zaczął dziobać widelcem łososia. Nie miał ochoty od razu poruszać tematu Rolfa Reynerda.

- Powiedziałeś, że trzymasz nogę na karku jakiegoś gówniarza. O co chodzi?

- Dwudziestodwuletnia śliczna blondyna uduszona i wrzucona do studzienki ściekowej. Nazywamy ją Lala na Falach.

Humor jest najlepszą i jedyną obroną przed koszmarem. Na początku dochodzenia każda sprawa otrzymuje dziwną nazwę, którą później powtarza cały wydział zabójstw. Zwierzchnik nigdy nie spyta: czy robicie postępy w sprawie Ermitrudy Pottlesby? Zawsze powie: coś nowego u Lali na Falach?

Kiedy Ethan i Hazard pracowali nad sprawą brutalnego

morderstwa dwóch lesbijek, nazwano ją Julia i Julia. Sprawa innej młodej kobiety, przywiązanej do kuchennego stołu i uduszonej druciakiem i gąbkami nasyconymi płynem do zmywania, została ochrzczona Czyścioszka.

Ludzie spoza branży byliby pewnie urażeni. Cywile nie zdają sobie sprawy, że detektywom często śnią się ofiary, dla których szukają sprawiedliwości, albo że czasem wywiadowca tak przywiązuje się do ofiary, że zaczyna ją oplakiwać. Nazwy tych spraw nie mają w sobie nic pogardliwego, a czasami są wyrazem dziwnego, melancholijnego uczucia.

– Uduszona – powtórzył Ethan. – To sugeruje namiętność. Możliwe, że to ktoś w niej zakochany.

– Ach... Więc nie zaprzedałeś się do końca skórzanym marynarkom i butom od Gucciego.

– Nie są od Gucciego. Wrzucił ją do kanału, co prawdopodobnie oznacza, że ją przyłapał na zdradzie, więc uważał ją za śmieć, coś odrażającego.

– Poza tym wiedział, gdzie się znajduje fabryka leków i znał sposób szybkiego dowiezienia tam ciała. To kaszmirowy sweter?

– Bawełniany. Czyli napastnik pracuje w fabryce?

Hazard pokręcił głową.

– Zasiada w radzie miejskiej.

Ethan odłożył widelec, zupełnie straciwszy apetyt.

– Polityk? Może od razu się rzucisz z mostu?

Hazard, który przeżuwał cały gołabek w liściach winogron, zdołał się uśmiechnąć, nie otwierając ust. Przelknął go.

– Już znalazłem most i właśnie go z niego spycham.

– Jak ktoś się utopi, to tylko ty.

– Za daleko zabrnąłeś z tą metaforą. – Hazard nie przejął się i nałożył hummus na trójkątną pite.

Po półwieczu rządów moralnych polityków Kalifornia ostatnio zmieniła się w bagno, jakiego tu nie widziano od lat trzydziestych i czterdziestych, kiedy Raymond Chandler opisywał jej ciemną stronę. Tu, w pierwszych latach nowego milenium, na poziomie stanowym i lokalnym korupcja rozkwitła w stopniu rzadko spotykanym gdziekolwiek poza republikami bananowymi, choć w tym wypadku była to republika bananowa bez bananów, a z pretensjami do szyku.

Spora część polityków zachowywała się jak zwykle oprychy. Jeśli oprychy widzą, że ktoś napada jednego z nich, zakładają, że będą następni. Mogą wykorzystać swoje wpływy, żeby w ten czy inny sposób dobrać ci się do skóry.

W innej epoce panowania gangsterów, podczas krucjaty przeciwko korupcji Eliot Ness poprowadził oddział agentów tak odpornych na łapówki i kule, że stali się znani jako Nietykalni. We współczesnej Kalifornii nawet Ness i jego ekipa musieliby się poddać nie łapówkom czy ostrzałowi, lecz biurokracji bardziej bezwzględnej niż topór oraz atakowi mediów, pałających namiętym uczuciem do oprychów wszelkiej maści, o których można codziennie zamieszczać wiadomości.

– Gdybyś nadal odwałał ze mną prawdziwą robotę – powiedział Hazard – postąpiłbyś dokładnie tak jak ja.

– Jasne. Ale nie siedziałbym z takim zadowolonym uśmiechem.

– Bawełna? – spytał Hazard, wskazując sweter Ethana. – Ale z Rodeo Drive?

– Z przeceny w domu towarowym.

– Ile ostatnio płacisz za parę skarpetek?

– Dziesięć tysięcy dolarów.

Nie spieszyło mu się z poruszeniem tematu Rolfa Reynerda.

Teraz doszedł do wniosku, że nic innego nie oderwie Hazarda od samobójczej misji przyszpilenia radnego miejskiego pod zarzutem morderstwa.

– Spójrz. – Otworzył dużą kopertę, wyjął jej zawartość i rzucił na stół.

Hazard przejrzał ją. Tymczasem Ethan opowiedział mu o pięciu czarnych pudełkach dostarczonych przez Federal Express i o szóstym, podrzuconym pod bramę.

– Jak przez Federal Express, to musisz znać nadawcę.

– Nie. Adresy zwrotne były fałszywe. Nadano je w różnych małych agencjach pocztowych. Nadawca zapłacił gotówką.

– Ile listów dostaje Channing w tygodniu?

– Pewnie z pięć tysięcy. Ale niemal wszystkie wysyłają do studia, gdzie ma biuro. Firma PR przegląda je i wysyła odpowiedzi. Jego adres domowy nie jest tajemnicą, ale nie został podany do wiadomości ogółu.

W kopercie znajdowały się komputerowe wydruki sześciu cyfrowych fotografii zrobionych w gabinecie Ethana. Pierwsza ukazywała mały słoik na białej serwetce. Obok słoika leżała zakrętka. Na serwetce rozrzucono zawartość słoika: dwadzieścia dwa żuczki o pomarańczowych skrzydełkach w czarne kropki.

– Biedronki? – spytał Hazard.

– Nazwa entomologiczna brzmi *Hippodamia convergens* z rodziny *Coccinellidae*. Nie żeby to miało jakieś znaczenie, ale sprawdziłem.

Spojrzenie Hazarda było dostatecznie wymowne, ale i tak powiedział:

– Pogięło cię, stary, jak precel.

– Ten facet uważa mnie za Batmana, a siebie za Zagadkę.

- Dlaczego dwadzieścia dwa? To coś znaczy?

- Nie wiem.

- Żyły, jak je dostałeś?

- Nie. Nie wiem, czy wysłał je żywe, ale wyglądały, jakby już jakiś czas temu kopnęły w kalendarz. Pancerzyki nietknięte, ale co delikatniejsze części wyschnięte, kruszące się.

Na drugiej fotografii widniał zbiór rozmaitych, spiralnych jasnobrazowych skorupki, sterczących pod różnymi kątami z szarej masy, którą wyjęto z czarnego pudełka na arkusz woskowanego papieru.

- Dziesięć martwych ślimaków - wyjaśnił Ethan. - Właściwie dwa żyły, ale ledwie.

- Chanel nie sprzedawałby takich perfum.

Hazard oderwał się od fotografii, żeby nabrać na widelec owoców morza.

Na trzeciej znajdował się mały, przezroczysty słoik z zakrętką. Naklejkę usunięto, ale kształt nakrętki zdradzał, że niegdyś znajdowały się w nim pikle.

Fotografia nie ukazywała mętnej zawartości słoja.

- W formaldehydzie unosiło się dziesięć kawałków przezroczystej tkanki o blad różowym zabarwieniu - powiedział Ethan. - Walcowaty kształt. Trudno je opisać. Jak małe meduzy.

- Zabrałeś je do laboratorium?

- Pewnie. Wyniki otrzymałem razem z dziwnym spojrzeniem. Dałem im słoje pełne napletków.

Hazard przestał żuć, jakby owoce morza stwardniały na beton.

- Napletków dorosłych mężczyzn, nie niemowląt - podkreślił Ethan.

Hazard przeżuł kęs bez wcześniejszego przekonania i przełknął go z wyraźnym trudem.

– Oż ty – mruknął. – Ilu dorosłych mężczyzn daje się teraz obrzezać?

– Raczej nie stoją w kolejce – przyznał Ethan.

9

W czasie deszczu Corky Laputa rozkwitał.

Był ubrany w długi i lśniący żółty płaszcz przeciwdeszczowy i taki sam kapelusz. Wyglądał promiennie jak mlecz.

Płaszcz miał wiele kieszeni, głębokich i wodoszczelnych. Stopom Corky'ego w dwóch parach skarpetek i wysokich gumiakach było przyjemnie ciepło.

Marzył o grzmocie.

Tęsknił za błyskawicami.

Burze w południowej Kalifornii, na ogół pozbawione tych atrakcji, były jak na jego gust zbyt grzeczne. Ale wicher mu się podobał. Syczał, wył – mistrz zamieszania – zmieniał krople deszczu w igielki i zapowiadał chaos.

Sosny i figusy dygotały i drżały. Pióropusze palm chrobotwały i klekotały. Liście spadały gniewnymi spiralami niczym przelotne demonki. Później zatkają kratki ściekowe i spowodują zalanie ulic, korki, opóźnienia ambulansów i wiele drobnych, lecz pożądanых uciążliwości.

I oto w środku pochmurnego, rozplakanego dnia Corky przemierzał uroczą dzielnicę Studio City. I siał chaos.

On tu nie mieszkał. Nie mógłby.

Była to dzielnica klasy robotniczej, w najlepszym razie kadry kierowniczej. Trudno by tu znaleźć jakąś intelektualną podniętę.

Wybrał się tu na spacer.

Od stóp do głów spowity w bijący po oczach, wrzeszczący pod niebiosa kanarkowy kolor przechodził zupełnie anonimowy, nie

zwracając na siebie uwagi – niczym duch składający się ze smużki ektoplazmy. Na razie nie spotkał żadnego przechodnia. Po ulicach przemykały nieliczne samochody.

Przy takiej pogodzie ludzie woleli siedzieć w ciepłe.

Fantastycznie paskudna pogoda była sprzymierzeńcem Corky'ego.

Oczywiście o tej godzinie mieszkańcy tych domków są przeważnie w pracy. Tyrają, tyrają na jakiś głupi cel. Dzieci nie poszły do szkoły, bo był to tydzień przedświąteczny. Dziś: poniedziałek. Boże Narodzenie: piątek. Niektóre mają rodzeństwo do towarzystwa. Znacznie mniej znajduje się pod opieką niepracującej matki.

Inne siedzą w domach samotnie.

Ale w tym wypadku dzieci nie stanowiły obiektu jego zainteresowań. Żółty duch nie mógł im zagrozić. Zresztą Corky miał czterdzieści dwa lata. W tych czasach dzieci są za cwane, żeby otwierać obcym.

Bądź pozdrowiony, chaosie i rozkoszna dekadencjo, które w ostatnich latach tak głęboko zainfekowałyście ten świat. Teraz owieczki zaczęły się bać.

Zadowolił się drobniejszymi wykroczeniami, zbyt szczęśliwy, że znalazł się na dworze, kiedy szaleje burza. W jednej z jego przestronnych wewnętrznych kieszeni spoczywała plastikowa torebka z lśniącymi niebieskimi kryształkami. Wyjątkowo silny defoliant. Wynaleziono go w chińskich laboratoriach wojskowych. Przed wojną agenci rozsiewali go w gospodarstwach swoich wrogów. Błękitne kryształki niszczyły zasiewy na dwanaście miesięcy. Głodny wróg nie jest zdolny do walki.

Jeden z uniwersyteckich kolegów Corky'ego dostał stypendium, by przestudiować właściwości kryształków na potrzeby

Departamentu Obrony. Wojskowi poczuli palącą potrzebę znalezienia środka ochrony przed tą substancją – zanim zostanie użyta. Kolega dostał dwadzieścia pięć kilogramów kryształków. Corky ukradł mu dwadzieścia deko.

Włożył cienkie lateksowe rękawiczki, które bez trudu ukrył w szerokich jak skrzydła rękawach płaszcza. Właściwie było to raczej poncho niż płaszcz. Rękawy miał tak obszerne, że mógł z nich wyciągnąć ręce, włożyć do wewnętrznych kieszeni i znowu wsunąć w rękawy z pełnymi garściami tej czy innej trucizny.

Zaczął rozsypywać błękitne kryształy na prymulki, gwiaździsty jaśmin i bugenwillę. Na azalie i paprocie. I pnące róże.

Na deszczu kryształy szybko się rozpuszczały. Substancja wsiąkła w ziemię i sięgała korzeni. Za tydzień rośliny zaczną żółknąć, gubić liście. Za dwa tygodnie padną prosto w szlam gnijących korzeni.

Ta ilość specyfiku nie zaszkodzi dużym drzewom, ale trawniki, kwiaty, żywopłoty i pnącza ucierpią w znacznych ilościach.

Nie zasiewał śmierci w każdym przydomowym ogródku. Wybierał jeden na trzy, bez wyraźnej metody.

Gdyby cała dzielnica ucierpiała, wspólna strata zbliżyłaby sąsiadów. Ale jeśli ogródki niektórych pozostaną nietknięte, odezwie się zazdrość. I podejrzzenia.

Misją Corky'ego było nie tylko zwyczajne sianie zniszczenia. Każdy głupi potrafi niszczyć. Jego interesowało również sianie nieufności, niezgody, niechęci i nielojalności.

Od czasu do czasu z zadaszzonego ganku warknął lub szczeknął na niego jakiś pies. Corky lubił psy. Są najlepszymi przyjaciółmi człowieka, choć zważywszy na podłą ludzką naturę, trudno odgadnąć, dlaczego chcą odgrywać tę rolę.

Od czasu do czasu, kiedy słyszał psa, z wewnętrznych kieszeni

wyławiał smaczne ciasteczka. Rzucił je na ganki, przez ogrodzenia. W trosce o dekonstrukcję społeczeństwa musiał zapomnieć o miłości do psów i zrobić to, co trzeba. Nie da się uniknąć pewnych poświęceń.

Nie można zrobić omletu, nie rozbijając jajek. I tak dalej.

Psie ciasteczka były nasączone cyjankiem. Zwierzęta umrą szybciej od roślin. Niewiele wydarzeń budzi rozpacz tak skutecznie, jak niewczesna śmierć ukochanego pieska.

Corky też był smutny. Było mu żal nieszczęsnych psiaków.

Był także szczęśliwy. Szczęśliwy, ponieważ na tysiąc drobnych sposobów codziennie przyczyniał się do upadku zepsutego porządku społecznego, a tym samym do powstania lepszego świata.

Z tych samych przyczyn, dla których nie niszczył każdego ogródka, nie zabijał wszystkich psów. Niech sąsiedzi podejrzewają się nawzajem.

Nie martwił się, że zostanie przyłapany na gorącym uczynku. Entropia, najpotężniejsza moc w całym wszechświecie, była jego sojusznikiem i opiekuńczym duchem. Poza tym ci rodzice, którzy pozostali w domu, pewnie teraz wpatrują się w ekran telewizora, na którym córki wyznają matkom, że są kurwami, albo żony oznajmiają mężom, że mają romans z ich szwagrami.

Dzieci mają wolne, toteż pewnie pilnie uczą się metod zabijania z gier wideo. A dorastający chłopcy przeglądają Internet w poszukiwaniu stron pornograficznych i pokazują je niewinnym młodszym braciom. I razem planują zgwałcenie dziewczynki z sąsiedztwa.

Corky, który pochwalał takie zachowanie, uwijał się z pracą, jak mógł najciszej, by nie odrywać ludzi od samozniszczenia. Był nie tylko trucicielem, lecz człowiekiem o licznych zdolnościach i zainteresowaniach. Od czasu do czasu, brnąc przez kałuże pod

ociekającymi deszczem gałęziami drzew, pozwalał sobie na podśpiewywanie melodii. Oczywiście „Singing in the Rain”, co być może było trywialne, ale go bawiło.

Za to nie tańczył.

Nie żeby nie potrafił. Nie dorównywał Gene'owi Kelly'emu, ale mógłby zabłysnąć na niejednym parkiecie tanecznym. Tyle tylko, że płasanie po ulicy w obszernym jak habit żółtym płaszczu nie jest najlepszym wyjściem dla anarchisty, który woli pozostać anonimowy.

Na skrzynkach pocztowych przed każdym domem zawsze znajdował się numer. Na niektórych widniały nawet nazwiska. Czasami któreś z nich miało żydowskie brzmienie: Stein, Levy, Glickman.

Przy tych skrzynkach Corky zatrzymywał się na chwilę. Wyjmował jedną z białych kopert, których plik miał w innej kieszeni. Na każdej kopercie widniała czarna swastyka. I dwa złożone arkusiki, które powinny wzbudzić strach i gniew.

Na pierwszym, dużymi drukowanymi literami słowa: ŚMIERĆ WSZYSTKIM PARSZYWYM ŻYDOM.

Zdjęcie na drugim ukazywało sterty ciał na placu hitlerowskiego obozu koncentracyjnego. Poniżej czerwone drukowane litery układały się w napis: TY BĘDZIESZ NASTĘPNY.

Corky nie miał nic do Żydów. Wszystkie rasy, religie i grupy etniczne budziły w nim pogardę.

Przy innych domach wybierał tekst ŚMIERĆ WSZYSTKIM PARSZYWYM KATOLIKOM, ŚMIERĆ WSZYSTKIM CZARNYM oraz UWIEZIĆ WSZYSTKICH POSIADACZY BRONI.

Od dziesiątek lat politycy rządzili ludźmi, dzieląc ich na grupy i napuszczając na siebie nawzajem. Każdy dobry anarchista powinien rozjątrzać istniejące urazy i dolewać benzyny do ognia, który

podłożyli politycy.

Obecnie nienawiść do Izraela – a przez to do wszystkich Żydów – była modnym intelektualnym tematem najbardziej medialnych postaci, w tym wielu niereligijnych Żydów. Corky tylko dawał ludziom to, czego chcą.

Od azalii do powoju i jaśminowych pnączy, od psa do psa i do skrzynki pocztowej. Kroczył przez deszczowy dzień, siejąc chaos.

Zdeterminowani spiskowcy potrafią wysadzać w powietrze drapacze chmur i doprowadzać do aktów zniszczenia, które zapierają dech w piersiach. Ich czyny bardzo pomagały. Jednak dziesięć tysięcy Corkych Laputów – pomysłowych i podstępnych – może o wiele skuteczniej podminować fundamenty społeczeństwa niż piloci-samobójcy i podkładacze bomb.

Od tysiąca zabójców, pomyślał Corky, wołę jednego nauczyciela, który subtelnie przeprowadza indoktrynację w klasie, jednego pracownika opieki społecznej z niezaspokojonym pragnieniem okrucieństwa, jednego niewierzącego księdza.

Określną trasą dotarł do miejsca, z którego było widać jego bmw. Półtorej godziny. Idealna synchronizacja.

Zbyt długi pobyt na terenie jednego osiedla byłby ryzykowny. Rozważny anarchista pozostaje w ciągłym ruchu, ponieważ entropia woli wędrowców, a prawo jest bezradne wobec ruchliwości.

Brudno-mleczne chmury wrzały nisko nad ziemią, zbijały się w smoliste kłaki. W burzowym mroku, w wilgotnym cieniu dębu srebrny sedan wydawał się czarny jak stal. Pnącza bugenwilli siekły powietrze, rozrzucały szkarłatne płatki, szurały kolcami po ścianie domu. Skrob-skrob, zgrzytzgrzyt.

Deszcz tworzył ściany, bicze, wiry. Syczał, chichotał, chlupotał.

Telefon Corky'ego zaczął dzwonić.

Do samochodu było jeszcze dość daleko. Corky wysunął rękę z

rękawa, odpiął telefon od pasa. Ręka znowu znalazła się w rękawie, telefon przy uchu. Corky Laputa, żółty jak kaczeniec i drepczący sympatycznie jak bohater programu dla dzieci, był w tak doskonałym humorze, że rozpoczął rozmowę powitaniem:

– Witaj, słoneczko, rozchmurz się!

Rolf Reynerd, głupi tak bardzo, jak bardzo Corky był żółty, uznał, że dodzwonił się pod zły numer.

– To ja – dodał szybko Corky, zanim idiota odłożył słuchawkę.

Zanim dotarł do bmw, żałował już, że odebrał. Rolf zrobił coś głupiego.

10

Deszcz za oknami restauracji, czysty jak sumienie niemowlaka, padał na chodnik i spływał do ścieku burzliwymi strugami.

Hazard przyglądał się zdjęciu słoja z napletkami.

– Dziesięć kapturków z dziesięciu dumnych główek? Myślisz, że to trofea?

– Że niby zabił tych mężczyzn? Możliwe, choć nie bardzo. Ktoś, kto zabija na taką skalę, nie dręczy ofiar takimi podarunkami w czarnych pudełkach. Odwała robotę i tyle.

– A gdyby to były trofea, nie oddałby ich tak łatwo.

– Właśnie. Postawiłby je sobie na kominku. Myślę, że pracuje wśród nieboszczyków. Może w domu pogrzebowym albo kostnicy.

– Pośmiertne obrzezanie. – Hazard okręcił roztopiony ser na widelcu jak spaghetti. – Porąbane, ale niewykluczone, bo nie słyszałem o dziesięciu tajemniczych zabójstwach, których mógł dokonać oszalały rabin. – Zanurzył ser w sosie i kontynuował posiłek.

– Myślę, że zebrał je z zamiarem wysłania Channingowi Manheimowi.

– Żeby dać do zrozumienia... co? Że Wielki Chan jest fiutem?

– Wątpię, żeby to było takie proste.

– Wiesz co? Już nie chcę być sławny.

Czwarte czarne pudełko było większe od pozostałych. Trzeba było zrobić dwie fotografie, by uwiecznić jego zawartość. Na pierwszej widać było ceramicznego kotka w kolorze miodu. Kotek stał na tylnych łapkach, a w przednich trzymał po ceramicznym

ciastku. Czerwony napis na jego piersi i brzuszku głosił: SŁODKA KICIA.

– To słoik na ciastka – powiedział Ethan.

– Taki ze mnie dobry detektyw, że sam się domyśliłem.

– W środku były literki ze scrabble’a.

Na drugiej fotografii widać było stertę kwadracików. Na pierwszym planie widniały ułożone słowa ŁZY i ZŁY.

– W słoju znajdowało się po dziewięćdziesiąt literek: Ł, Z i Y. Można by ułożyć jedno słowo dziewięćdziesiąt razy albo oba po czterdzieści pięć razy. Nie wiem, jak to sobie wyobraził.

– Więc chce powiedzieć „jestem zły, poleją się łyzy”. Uważa, że Manheim go skrzywdził i teraz pora na odwet.

– Może. Ale dlaczego w słoju na ciastka?

– Można by też ułożyć ZYZ – zauważył Hazard.

– Tak, ale wtedy nie używasz Ł. Ze wszystkich liter da się ułożyć tylko ŁZY lub ZŁY.

Hazard zaczął rozsmarowywać lebne na lahmajoonie.

– A potem zagramy w monopol, dobra?

W piątym pudełku znajdowała się książka w twardej oprawie, „Refleksje na czterech łapach”. Na okładce widniał uroczy szczeniak golden retrievera.

– To dziennik – wyjaśnił Ethan. – Jego autor – Donald Gainsworth – od trzydziestu lat tresuje psy dla niewidomych i ludzi na wózkach.

– Jakież zuczki albo napletki między stronami?

– Nic z tych rzeczy. Sprawdziłem każdą stronę, szukając podkreśleń, i też nic.

– Kompletnie nie w stylu poprzednich. Niewinna książeczka, wręcz słodka.

– Pudełko numer sześć wrzucono przez bramę dziś nieco po wpół do czwartej rano.

Hazard przyjrzał się dwóm ostatnim zdjęciom. Najpierw zszyte jabłko. Potem oko w środku.

– To prawdziwe?

– Wydłubane lalce.

– Ale i tak niepokoi mnie najbardziej.

– Mnie też. Ciebie dlaczego?

– Jabłko jest najbardziej dopracowane ze wszystkich. Trzeba się było nad nim nieźle namęczyć, więc pewnie to ono ma największe znaczenie.

– Dla mnie na razie nie ma – pożalił się Ethan.

Do ostatniej fotografii była przypięta odbitka karteczki znalezionej w gnieździe nasiennym pod okiem. Hazard przeczytał ją dwukrotnie.

– Nic podobnego nie było w pięciu poprzednich?

– Nie.

– Prawdopodobnie nie przyśle już nic więcej. Powiedział wszystko, co chce powiedzieć, symbolami i słowami. Teraz przejdzie od gróźb do czynów.

– Pewnie tak. Ale słowa są taką samą zagadką jak symbole i przedmioty.

W popołudniowy mrok wdarły się srebrzyste natarczywe światła samochodu. Świetliste skrzydła wody wzbily się z kałuży, otaczając samochody na Pico Boulevard aureolą niesamowitości.

Hazard się zamyślił.

– Jabłko może symbolizować niebezpieczną lub zakazaną wiedzę – odezwał się w końcu. – Grzech pierworodny, o którym wspomniał.

Ethan znowu spróbował zabrać się do łososia z kuskusem. Równie dobrze mógłby jeść gips. Odłożył widelec.

– Nasiona wiedzy zastąpione okiem – mówił Hazard, niemal jakby do siebie.

Za oknem przebiegło stadko przechodniów, zgiętych wpół, jakby stawiali opór znacznie silniejszemu wichrowi. Z czarnymi parasolami wyglądali jak żałobnicy spieszący nad grób.

– Może chce powiedzieć: widzę wasze tajemnice, źródło – ziarno – waszego zła.

– Też tak pomyślałem. Ale jakoś mi to nie pasuje i w ogóle nic z tego nie wynika.

– Nie wiem, o co mu chodzi, ale niepokoi mnie, że jabłko z okiem przyszło po książce faceta tresującego psy dla niewidomych.

– Jeśli grozi, że oślepi Manheima, to cholernie kiepsko – powiedział Ethan. – Ale boję się, że zamierza coś gorszego.

Hazard jeszcze raz przejrzał zdjęcia, oddał je Ethanowi i zabrał się energicznie do owoców morza.

– Zakładam, że kazałeś go dobrze ochraniać.

– Kręci film na Florydzie. Towarzyszy mu pięciu ochroniarzy.

– Ty nie?

– Na ogół nie. Kieruję działaniami z Bel Air. Rozmawiam z dowódcą drogowych wojowników co najmniej raz dziennie.

– Jakim dowódcą?

– To żarcik Manheima. Tak nazywa ochroniarzy, którzy z nim podróżują.

– To ma być żart? Moje baki są śmieszniejsze od jego żartów.

– Nigdy nie twierdziłem, że to król komedii.

– A to pudełko z wczoraj... Kto je wrzucił? Macie nagranie?

– Do wyboru, do koloru. Włącznie z czytelnym ujęciem tablicy rejestracyjnej.

Ethan opowiedział o Rolfie Reynerdzie – choć nie wspomniał o swoim spotkaniu z nim ani o tym, które mu się chyba przyśniło.

– Więc czego ode mnie chcesz? – spytał Hazard.

– Może mógłbyś go sprawdzić?

– Sprawdzić? Do jakiego stopnia? Mam mu zajrzeć do tyłka i kazać kaszleć?

– Może nie aż tak.

– Mam mu szukać polipów w jelicie grubym?

– Wiem, że nie ma kryminalnej przeszłości...

– Czyli nie mnie pierwszego poprosiłeś o pomoc.

Ethan wzruszył ramionami.

– Znasz mnie, lubię wykorzystywać ludzi. Nikt nie jest przede mną bezpieczny. Byłoby miło wiedzieć, czy Reynerd ma legalnie zarejestrowaną broń.

– Rozmawiałaś z Laurą Moonves z Oddziału Współpracy?

– Czasem ze mną współpracuje – przyznał Ethan.

– Powinieneś się z nią ożenić.

– Aż tyle o Reynerdzie mi nie powiedziała.

– Nawet tacy debile jak my widzą, że jesteście dla siebie

stworzeni jak chleb i masło.

- Od półtora roku się nie spotykamy.

- Bo nie jesteś taki mądry jak my, debile. Jesteś zwyczajnym idiotą. Nie ściemniaj, Moonves może ci skombinować to pozwolenie. Nie do tego jestem ci potrzebny.

Hazard zajął się obiadem, a Ethan zapatrzył się w półmrok burzy. Po dwóch zimach o umiarkowanych opadach meteorolodzy zaczęli ostrzegać, że Kalifornię czeka długa, wyniszczająca susza. Jak zwykle po powodzi ponurych prorocत्व o braku opadów natychmiast nastąpiły długotrwałe ulewy.

Ciężarny brzuch nieba zwisał, wielki i szary, tuż nad ziemią; wody już odeszły, zapowiadając narodziny kolejnej ulewy.

- Chcę - odezwał się w końcu Ethan - żebyś przyjrzał się temu facetowi z bliska i powiedział, co o nim sądzisz.

- Ty już zacząłeś, co? - odgadł Hazard, spostrzegawczy jak zwykle.

- Tak. Udawałem, że szukam kogoś, kto mieszkał tam przed nim.

- Wystraszył cię. Jest w nim coś dziwnego.

- Albo to zobaczysz, albo nie - powiedział Ethan wykrętnie.

- Jestem gliniarzem z wydziału zabójstw. Nie prowadzę sprawy morderstwa. Jak mam to uzasadnić?

- Nie proszę, żebyś złożył mu oficjalną wizytę.

- Jeśli nie machnę mu odznaką przed nosem, nie przekrocze jego progu. Nie z moją gębą.

- Jak się nie uda, to się nie uda. Nie szkodzi.

Kelnerka podeszła spytać, czy mają ochotę na coś więcej.

– Przepyszne są te orzechowe mamoule. Proszę sześć tuzinów.

– Podobają mi się mężczyźni z dużym apetytem – powiedziała nieśmiało.

– Ciebie, młoda damo, połknąłbym za jednym zamachem – powiadomił ją, wywołując rumieniec erotycznego zainteresowania i nerwowy chichot.

Ethan odczekał, aż dziewczyna odejdzie.

– Sześć tuzinów?

– Lubię ciasteczka. No to gdzie mieszka ten Reynerd?

Ethan miał już przygotowaną karteczkę. Przysunął ją Hazardowi.

– Tylko uważaj.

– Czyli co? Mam podjechać czołgiem?

– Bądź gotowy.

– Na co?

– Pewnie na nic. Może na coś. Albo jest naćpany, albo to urodzony świr. I ma pistolet.

Hazard przesunął spojrzeniem po jego twarzy, jak skanerem odczytującym wszystkie myśli równie łatwo jak kod paskowy.

– Myślałem, że miałem sprawdzić, czy ma pozwolenie.

– Wiem od sąsiada – skłamał Ethan. – Powiedział, że Reynerd jest trochę stuknięty i przeważnie chodzi z bronią.

Zajął się chowaniem zdjęć do koperty. Hazard nie odrywał od niego wzroku.

Najpierw okazało się, że zdjęcia są za duże, by się zmieścić. Potem przez chwilę metalowe zapięcie było za duże, żeby prześliznąć się przez kółko w skrzydełku koperty.

- Strasznie roztrzęsiona ta koperta – zauważył Hazard.

- Za dużo kawy – mruknął Ethan i rozejrzał się po sali, żeby uniknąć jego spojrzenia.

Gwar falował, uderzał o ściany restauracji – i choć z pozoru brzmiał radośnie, czujne ucho wychwytywało w nim pomruk ledwie tłumionej wściekłości tłumu. A teraz brzmiał w nim jęk dziesiątków okrutnie uciskanych ludzi.

Ethan zdał sobie sprawę, że wodzi wzrokiem od twarzy do twarzy, szukając kogoś konkretnego. Nieświadomie spodziewał się zobaczyć Dunny'ego Whistlera, martwego, lecz zajadającego obiad.

- Ledwie tknąłeś łososia – zauważył Hazard tonem, który u niego oznaczał matczyną troskę.

- Nieświeży – mruknął Ethan.

- To czemu go nie odeślesz?

- I tak nie jestem głodny.

Hazard sięgnął wysłużonym widelcem po próbkę łososia.

- Nie jest nieświeży.

- Dla mnie jest.

Kelnerka wróciła z rachunkiem i różowymi pudełkami pełnymi orzechowych mamouli, zapakowanymi w reklamówkę z logo restauracji.

Ethan zaczął szukać karty w portfelu. Dziewczyna czekała z miną wyraźnie świadcząca o jej zamiarach. Miała ochotę poflirtować z Hazardem, ale jego imponujący wygląd ją odstraszał.

Ethan podał jej kartę American Express. Podziękowała i zerknęła na Hazarda, który oblizwał się z przesadną rozkoszą. Uciekła niczym królik, tak mile polechtany podziwem lisa, że omal sam nie podał mu się na obiad.

- Dzięki, że zapłaciłeś - powiedział Hazard. - Teraz mogę mówić, że Wielki Chan zaprosił mnie na obiad. Choć coś mi się zdaje, że te mamoule będą najdroższymi ciastkami w moim życiu.

- To tylko obiad. Nie czuj się zobowiązany. Jak powiedziałem, jak się nie uda, to się nie uda. Reynerd to mój problem, nie twój.

- Tak, ale mnie zaintrygowałeś. Flirtujesz lepiej niż ta kelnerka.

Ethan, mimo że schwyty w wir mrocznych emocji, uśmiechnął się szczerze.

Nagły podmuch wichru zabębnił w wielkie okna kanonadą deszczu.

Za spływającymi wodą szybami przechodnie i samochody zdawali się roztopiać, jakby w ogniu piekielnym lub w ulewie kwaśnego deszczu.

- Jeśli wyjdzie z torbą chipsów, snacków czy czegoś w tym rodzaju, może mieć tam coś oprócz żarcia.

- Tak mu się objawia ta paranoja? Mówiłeś, że nie rozstaje się z bronią.

- Tak słyszałem. Trzyma ją w torbach na jedzenie i innych takich miejscach, gdzie może po nią sięgnąć, a ty się niczego nie spodziewasz.

Hazard przyglądał mu się bez słowa.

- To może być dziewięćmilimetrowy glock - dodał Ethan.

- A atomówki nie ma?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Pewnie ją trzyma w cukrze.

- Weź ze sobą te ciasteczka, a wszystko się uda.

- Aha. Jednym można rozbić facetowi głowę.

- I zjeść dowód rzeczowy.

Kelnerka wróciła z kartą kredytową. Ethan podpisał rachunek i dorzucił napiwek. Hazard jakby nie zauważał dziewczyny. Ani razu na nią nie spojrział.

Wicher kłuł okno igielkami deszczu, jakby tatuował na nim efemeryczne wzory.

- Chyba zimno na dworze - odezwał się Hazard.

To samo pomyślał Ethan.

11

Corky Laputa, w płaszczu przeciwdeszczowym i gumiakach, w tych samych dżinsach i wełnianym swetrze co przedtem, siedział za kierownicą swego srebrnego bmw i dławił się frustracją – ciężką jak futro. Koszulę miał rozpiętą pod szyją, ale coś go dusiło, jakby wcisnął się w kołnierzyk za mały o dwa numery.

Miał ochotę pojechać do Zachodniego Hollywood i zamordować Reynerda.

Oczywiście takim impulsom należało się przeciwstawiać, bo choć Corky marzył o kompletnym chaosie społecznym, z którego wyłoni się nowy ład, przepisy prawa karnego nadal obowiązywały. Wciąż jeszcze wykonywano wyroki.

A Corky był rewolucjonistą, nie męczennikiem.

Rozumiał, że należy równoważyć radykalne akcje cierpliwością. Rozumiał, że anarchistyczny gniew ma swoje granice.

Dla uspokojenia zjadł batonik.

Wbrew stwierdzeniom oficjalnej medycyny – zarówno skorumpowanej zachodniej, jak i zbyt dumnej ze swego uduchowienia wschodniej cukier rafinowany nie dodawał Corky’emu energii. Uspokajał go. Bardzo starzy ludzie, których nerwy dzięki życiu i rozczarowaniom zyskały bolesną nadwrażliwość, już od dawna odkryli kojące działanie dużych dawek cukru. Im bardziej nadzieje i marzenia im się wymykały, tym więcej słodczy pojawiało się w ich diecie – lody w litrowych kubelkach, tłuste ciastka w ekonomicznych industrialnych pudłach i czekolada w każdej postaci, od pralinek i nadziewanych cukierków po wielkanocne zajaczki, brutalnie pozbawiane łebków i pożerane z podwójnym zadowoleniem. Jego matka w ostatnich latach swego życia

uzależniła się od lodów. Lody na śniadanie, obiad, kolację. Lody w miseczkach, rożkach, prosto z pudełka. Pożarła tyle lodów, że mogłaby nimi zapchać sieć żył od Kalifornii do księżycy i z powrotem. Przez jakiś czas Corky podejrzewał, że matka chce popełnić samobójstwo za pomocą cholesterolu.

Tymczasem zamiast paść trupem na zawał, stawała się coraz zdrowsza. Nabrała rumieńców na twarzy i błysku w oczach, których wcześniej nie miała nawet jako młoda kobieta.

Galony, beczki, wagony lodów czekoladowo-miętowych, czekoladowych z masłem orzechowym, z syropem klonowym i dziesiątkami innych sprawiły, że wskazówki jej zegara biologicznego zaczęły się obracać w przeciwną stronę. Corky zaczął podejrzewać, że w przypadku nietypowego metabolizmu jego matki kluczem do nieśmiertelności może być tłuszcz. Dlatego ją zabił.

Mogłaby żyć dalej, gdyby chciała się z nim podzielić pieniędzmi. Nie był chciwy. Ale ona nie wiedziała, co to hojność czy chociażby rodzicielska odpowiedzialność. Nie dbała o jego wygody i potrzeby. Zaczął się martwić, że w końcu matka zmieni testament i zwyczajnie go wyroluje, tak po prostu, dla samej radochy.

Przed emeryturą była uniwersyteckim profesorem ekonomii. Specjalizowała się w marksistowskich modelach ekonomii i podstępnej polityce akademii. Nie wierzyła w nic poza słusnością zazdrości i mocą nienawiści. Kiedy oba przekonania okazały się chybione, nie porzuciła żadnego z nich, lecz wzbogaciła je lodami.

Corky nie czuł do niej nienawiści. Do nikogo nie czuł.

Również nie zazdrościł nikomu.

Widział, jak oba bożki zawiodły jego matkę, toteż je odrzucił. Nie chciał się zestarzeć, za pociechę mając jedynie torbę ulubionych krówek kokosowych.

Cztery lata temu złożył matce potajemną wizytę z zamiarem

szybkiego i humanitarnego uduszenia jej we śnie. Tymczasem pobił ją na śmierć pogrzebaczem, jakby zaczął tę opowieść w stylu ironicznej Anne Tyler, a zakończył nagle jak wściekły Norman Mailer.

Incydent z pogrzebaczem, acz zaimprovizowany, podziałał na niego niczym katharsis. Oczywiście przemoc nie sprawiła mu żadnej przyjemności. Absolutnie nie. Decyzję zabicia jej podjął na zimno, tak jak decyzję nabycia akcji. Sam akt przeprowadził z taką samą chłodną skutecznością, z jaką dokonywał każdej inwestycji na giełdzie. Jego matka, ekonomistka, z pewnością by to doceniła.

Miał alibi nie do podważenia. Odziedziczył jej majątek. Życie toczyło się dalej. To znaczy – jego życie.

Zjadł batonik. Cukier go ukoił, czekolada ukołysała. Nadal miał ochotę zamordować Reynerda, ale opuścił go nieroztropny pośpiech. To trzeba będzie dobrze zaplanować.

Będzie wiernie trzymać się swego planu. Tym razem pogrzebacz nie zastąpi poduszki.

Woda z płaszcza spłynęła na siedzenie. Westchnął, ale nic nie zrobił. Był anarchista, nie dbał o tapicerkę. Poza tym musiał się zastanowić nad Reynerdem. Rolf, wieczny nastolatek, nie oparł się pokusie i szóste pudełko dostarczył sam. Chciał poczuć dreszczyk.

Ten idiota nie zobaczył kamer, uznał więc, że nie istnieją. Czy w Układzie Słonecznym nie ma innych planet tylko dlatego, że ich nie widzisz na niebie? – spytał go Corky.

Kiedy zjawił się Ethan Truman, szef ochrony Manheima, Reynerd dał się zaskoczyć. Sam przyznał, że zachowywał się podejrzanie. Corky zmiął papierek po batonie i wcisnął go do worka na śmieci. Szkoda, że nie może się równie łatwo pozbyć Reynerda.

Deszcz zabębnił mocniej niż do tej pory. To żołędzie wreszcie poddały się ulewie i zaczęły bombardować bmw. Na pewno

naruszyły lakier. Odbijały się od przedniej szyby, nie rysując jej. Chyba nie musiał siedzieć pod tym ostrzałem, planując zejście Reynerda i czekając, aż gnijący konar spadnie, przygniecie go i na zawsze wybawi od trosk. Mógł zająć się innymi sprawami, morderstwo planując w myślach.

Podjechał do popularnego domu towarowego i zaparkował w podziemnym garażu.

Wysiadł, zdjął płaszcz i kapelusz, rzucił je na podłogę samochodu. Włożył tweedową sportową kurtkę, dobrze pasującą do swetra i dżinsów.

Winda wyniosła go z podziemnego królestwa na najwyższe piętro pełne sklepów, restauracji i atrakcji. Salon gier też się tu znajdował. Wolne od zajęć w szkole dzieci zebrały się wokół automatów. Na ogół małolaty.

Maszyny piszczały, dzwoniły, jazgotały, beczały, świergotały, gwizdały, grzechotały, buczały, wrzeszczały, kwiczały, skowyczały, szcekały jak karabiny maszynowe, buchały pompatyczną muzyką, krzykami wirtualnych ofiar, migotały, mrugały, jarzyły się i mieniły wszystkimi kolorami świata, łykały centy i dolary łapczywiej niż niegdyś Pac-Man na milionach ekranów w czasach słabo, jeśli w ogóle znanych obecnym bywalcom salonów gier.

Corcy ruszył spacerkiem między automatami, rozdając dzieciom darmowe narkotyki.

Te małe plastikowe torebki zawierały osiem dawek ekstazy – w państwowej szkole pisze się „extasy”. Na etykiecie drukowane litery głosiły: ZA DARMO. PAMIĘTAJCIE, KTO JEST WASZYM PRZYJACIELEM.

Udawał dilerą rozkręcającego biznes. Nie spodziewał się więcej zobaczyć tych szczeniaków. Niektóre przyjmowały torebki, nawet to im się podobało. Inne nie okazywały zainteresowania. Te, które odmówiły, nie wszczynały alarmu. Nikt nie lubi donosicieli.

Kilkakrotnie Corky wsunął narkotyk do kieszeni gnojków bez ich wiedzy. Niech mają niespodziankę.

Niektórzy wezmą. Inni wyrzucą albo komuś oddadzą. W rezultacie jednak uda mu się zatruć parę mózgów więcej. Prawda była taka: nie interesowało go wciąganie w nałóg. Gdyby tak było, rozdawałby heroinę albo kokainę. Naukowe badania nad ecstazy dowiodły, że jeszcze pięć lat po przyjęciu jednej dawki w mózgu badanego obserwowano utrzymujące się zmiany. Regularne przyjmowanie może doprowadzić do trwałych uszkodzeń mózgu. Niektórzy onkologowie i neuropatolodzy sugerują, że w ciągu najbliższych lat obecna popularność ecstazy doprowadzi do dramatycznego wzrostu występowania guzów mózgu, a także do spadku możliwości umysłowych setek tysięcy, jeśli nie milionów obywateli.

Osiem darmowych dawek nie doprowadzi do błyskawicznego upadku społeczeństwa. Corky bardziej wierzył w długoterminowe skutki.

Nigdy nie miał przy sobie więcej niż piętnaście torebek. Uważał, żeby szybko się ich pozbyć. Był zbyt mądry, żeby dać się przyłapać na posiadaniu.

Po trzech minutach opuścił salon gier.

Nie tracił czasu na przyjmowanie pieniędzy, dlatego personel nie miał szansy go zauważyć. Salon opuszczał jako zwyczajny klient; w kieszeniach nie miał żadnych nielegalnych substancji.

W kawiarni zamówił podwójną latte i wypił ją niespiesznie przy stoliku, obserwując paradę ludzkości w całym jej absurdzie.

Dopiwszy kawę, udał się na zakupy. Musiał się zaopatrzyć w skarpetki.

12

Osiem drzew – mały zagajnik – o pięknie powykręcanych pniach wznosiło wysoko kostropate gałęzie, potrząsało wdzięcznie szarozielonymi czuprynami, jakby jednocześnie stawiając opór burzy i świętując jej nadejście. Nie rodziły owoców. Na brukowany podjazd nie sypały się oliwki, lecz liście.

O tej porze oplatające je światełka choinkowe były zgaszone; czekały nadejścia nocy, żeby zabłysnąć.

Czteropiętrowy blok w Westwood, oddalony o niespełna przecznicę od Wilshire Boulevard, nie dorównywał urodą sąsiadom. Nie był też na tyle okazały, żeby w jego recepcji posadzić portiera. A jednak cena za mieszkanie stała by w gardle nawet połkaczowi mieczy.

Mały hol był ciasny, lecz przytulny. Na marmurowej posadzce leżał ocieplający ją dywan, stały dwa secesyjne fotele i stolik z podrabianą lampą od Tiffany’ego o czerwono-bursztynowo-zielonym kloszu. Schody były blisko, ale Ethan wybrał wlokącą się windę. Dunny Whistler mieszkał na czwartym piętrze.

Na czterech pierwszych kondygnacjach znajdowały się po cztery duże mieszkania, ale najwyższe piętro było podzielone na dwa apartamenty. Poprzedni pasażer pozostawił w windzie słaby, lecz nieprzyjemny zapach. Złożony i subtelny, obudził wspomnienia, ale Ethan nie potrafił go zidentyfikować.

Na wysokości pierwszego piętra nagle wydało mu się, że winda jest mniejsza, niż ją zapamiętał z poprzednich wizyt. Sufit wisiał tuż nad jego głową jak przykrywka garnka. Mijając drugie piętro, spostrzegł, że oddycha szybciej, niż powinien, jakby miał za sobą szybki marsz. Powietrze zrobiło się dziwnie rzadkie, jałowe. Zanim dotarł na trzecie piętro, był już przekonany, że mechanizm windy

wydaje niepokojące dźwięki. A może to stalowe liny? Ten jęk, ten szcęk, ten zgrzyt mogłyby być odgłosem śruby, z wolna obluzowującej się w sercu maszynerii.

Powietrze stawało się coraz rzadsze, ściany były coraz bliżej, sufit się obniżał, mechanizm piszczał coraz bardziej podejrzenie. Może drzwi się zatną. Telefon awaryjny będzie głuchy. Jego komórka nie złapie zasięgu.

Podczas trzęsienia ziemi winda może się zerwać. Walący się budynek zgniecie ją do rozmiarów trumienki.

Zbliżając się do czwartego piętra, zdał sobie sprawę, że te objawy klaustrofobii, dotąd mu nieznaney, są przykrywką dla innego strachu, do którego jako człowiek rozsądny nie miał ochoty się przyznać.

Czuł, że na czwartym piętrze czeka na niego Reynerd.

W jaki sposób mógłby się dowiedzieć o Dunny'm i jego miejscu zamieszkania, skąd pewność, że Ethan tu przyjdzie? Na te pytania nie sposób odpowiedzieć bez głębokiego zastanowienia i być może rezygnacji z logiki.

Mimo to stanął pod ścianą, żeby stanowić trudniejszy cel. Wyjął pistolet. Drzwi windy rozsunęły się, ukazując wąski korytarz wykładany miodowym, wzorzystym chodnikiem. Pusty.

Nie schował broni. Do obu mieszkań prowadziły identyczne drzwi. Podszedł bezpośrednio do apartamentu Whistlera. Przekręcił w zamku klucz, który otrzymał od adwokata, uchylił drzwi i ostrożnie zajrzał do środka.

Alarm był wyłączony. Odwiedzając mieszkanie osiem dni temu, Ethan na pewno go włączył. Najwyraźniej pani Hernandez, gospoia, tu zaglądała. Zanim Dunny wylądował w szpitalu, przychodziła trzy razy w tygodniu. Teraz tylko w środy. Przypuszczalnie to ona zapomniała wstukać kod alarmu. A jednak, choć wyjaśnienie

brzmiało logicznie, Ethan w nie nie uwierzył. Juanita Hernandez była kobietą odpowiedzialną i metodyczną.

Zatrzymał się krok za progiem, nasłuchując. Drzwi zostawił otwarte.

Deszcz bębnił o dach, stłumiony łoskot, jakby armia maszerowała na wojnę do jakiegoś dalekiego, pustego królestwa. Poza tym jego wyczułone zmysły zareagowały na ciszę. Może ostrzegł go instynkt, może zwiodła go wyobraźnia, ale czuł, że nie jest to martwa cisza, lecz napięte milczenie pełne energii potencjalnej – czekające jak kobra, grzechotnik albo mamba czarna.

Wolał nie alarmować sąsiada i nie ułatwiać wyjścia nikomu poza sobą. Zamknął drzwi. Przekręcił klucz.

Dzięki oszustwom, narkotykom i rzeczom jeszcze gorszym Duncan Whistler stał się zamożny. Przestępcy na ogół zarabiają dużo, ale niewielu potrafi zatrzymać pieniądze – lub pozostać na wolności, żeby je wydawać. Dunny miał dość rozumu, by unikać więzienia, prac pieniądze i płacić podatki.

Dlatego też dorobił się wielkiego apartamentu z dwoma łączącymi się ze sobą korytarzami, z pokojami w amfiladzie – które na ogół nie miały spiralnego kształtu, lecz teraz zdawały się zmieniać w ślimaczą muszlę.

W typowej sytuacji zagrożenia Ethan wszedłby do mieszkania z bronią w wyciągniętych rękach, z wyprostowanymi ramionami, utrzymując odmierzony nacisk na spuście. Mijałby drzwi szybko i czujnie. Teraz jednak trzymał pistolet w prawej ręce, celując w sufit. Szedł ostrożnie, ale bez efektownego stylu policyjnej akademii: plecami zawsze do ściany, unikać odwracania się od drzwi, ruszać się szybko, rozglądając się na boki, zawsze wiedzieć, gdzie się stawia nogi, zachowywać równowagę i gotowość do strzału. Robiąc to wszystko, musiałby przyznać, że boi się trupa.

A jednak tak wyglądała prawda. Nieładna, lecz oczywista.

Klaustrofobia w windzie i przeświadczenie, że na czwartym piętrze czeka Rolf Reynerd, to nic innego jak próby odwrócenia własnej uwagi od prawdziwego strachu – od kompletnie nieracjonalnego przekonania, że zmarły Dunny wstał z łóżka w kostnicy i nie wiadomo po co wrócił do domu.

Ethan nie wierzył w chodzące trupy. Wątpił, żeby Dunny – żywy czy martwy – mógł go skrzywdzić. Jego niepokój budziła możliwość, że Duncan Whistler, jeśli rzeczywiście opuścił kostnicę o własnych siłach, mógłby być Dunnym jedynie z pozoru. Po trzech miesiącach w śpiączce mógł odnieść uszkodzenia mózgu, które zmieniłyby go w kogoś niebezpiecznego.

Dunny miał swoje zalety, chociażby dobry gust, dzięki któremu poznał się na Hannah, ale był także zdolny do okrucieństwa. Odniósł sukces na przestępczej drodze życia nie tylko dzięki ujmującemu charakterowi i sympatycznemu uśmiewchowi. Kiedy było trzeba, potrafił roztrzaskać komuś głowę. A czasem także, kiedy nie było trzeba.

Gdyby Dunny stał się w połowie taki jak kiedyś – w tej gorszej połowie – Ethan wolałby nie stawać z nim twarzą w twarz. Ich przyjaźń przeżywała najróżniejsze zwroty – ten ostateczny, najmroczniejszy nie był przecież zupełnie wykluczony.

W wielkim salonie pyszniły się nowoczesne sofy i krzesła z tapicerką z kremowego jedwabiu. Stoły, szafy i bibeloty były chińskimi antykami. Albo Dunny znalazł magiczną lampę i zażyczył sobie doskonałego gustu, albo zatrudnił drogiego dekoratora wnętrz.

Przez wielkie okna wysoko nad oliwnymi drzewami widać było budynki po drugiej stronie ulicy i niebo koloru wyziębłego paleniska.

Na zewnątrz: daleki klakson, cichy ponury pomruk samochodów na Wilshire Boulevard. Chrobotanie chrząszcza, stukanie twardych łapek skarabeusza, owadzie brzęczenie deszczu za oknem: *krz-krz-krz*.

Cisza w salonie gęstniała. Słysząc było tylko jego oddech, tylko jego serce.

Wszedł do gabinetu, szukając źródła słabego światła.

Na chińskim biurku stała brązowa lampa o alabastrowym abażurze. W maślano-żółtym blasku inkrustacje z macicy perłowej mieniły się tęczowo.

Niegdyś na biurku stała oprawiona w ramki fotografia Hannah. Teraz znikła.

Ethan przypomniał sobie swoje zaskoczenie, gdy podczas pierwszej wizyty w mieszkaniu znalazł to zdjęcie, jedenaście tygodni temu, kiedy dowiedział się, że jest pełnomocnikiem Dunny'ego.

Zaskoczenie było równie wielkie jak obrzydzenie. Hannah nie żyła od pięciu lat, lecz obecność jej zdjęcia wydała mu się aktem emocjonalnej agresji i pewnego rodzaju obelgą dla jej pamięci. Nie powinna być kochana – a kiedyś pożądana – przez mężczyznę unurzanego w zbrodni.

Zostawił zdjęcie tak, jak było, bo nawet jako pełnomocnik Dunny'ego czuł, że ta fotografia w ładnej srebrnej ramce nie należy do niego. W szpitalu, w nocy, kiedy umarła Hannah, i podczas jej pogrzebu Ethan i Dunny zaczęli ze sobą rozmawiać – po dwunastu latach milczenia. Ale wspólna rozpacz nie zbliżyła ich do siebie. Znowu trzy lata nie kontaktowali się ze sobą.

W trzecią rocznicę śmierci Hannah Dunny zatelefonował z wiadomością, że przez te trzydzieści sześć miesięcy zastanawiał się dogłębnie nad jej przedwczesną śmiercią w wieku trzydziestu dwóch lat. Stopniowo, lecz dotkliwie jej utrata – świadomość, że Hannah nie żyje sobie gdzieś daleko od niego – zmieniła go na zawsze. Twierdził, że ma zamiar wejść na uczciwą drogę, wycofać się raz na zawsze z przestępczej działalności. Ethan nie uwierzył, ale życzył mu powodzenia. Nigdy więcej już ze sobą nie rozmawiali.

Później dowiedział się z trzeciej ręki, że Dunny faktycznie się wycofał; starzy przyjaciele i współpracownicy przestali go widywać, a on zaczął wieść życie pustelnika wśród książek i w odosobnieniu. Ethan nie dał się nabrać. Do końca spodziewał się wiadomości, że Duncan Whistler powrócił do starych nawyków albo że nigdy ich naprawdę nie porzucił.

Jeszcze później dowiedział się, że Dunny powrócił na łono Kościoła, co tydzień chodził na mszę i nosił się skromnie jak nigdy. Być może – ale pozostawało faktem, że nie wyrzekł się fortuny, którą zbił na oszustwach, kradzieżach i handlu narkotykami. W tak luksusowym wnętrzu każdy prawdziwie nawrócony chrześcijanin nie zaznałby spokoju, dopóki nie spożytkowałby swoich bogactw na zbożny cel.

Z gabinetu znikła nie tylko fotografia Hannah. Ulotniła się także atmosfera pustelniczego życia.

Na podłodze w kącie piętrzyły się dwie sterty książek. Zostały wyjęte z biblioteczki sięgającej od podłogi do sufitu. Została wyjęta jedna z półek, wyglądająca na równie mocno zainstalowaną jak pozostałe. Odsunięto część tylnej ściany, która aż do dziś także wyglądała na nieruchomą. Za nią krył się sejf w ścianie.

Masywne drzwi stały otworem. Ethan zajrzał do środka. Przestronne wnętrze było puste. Nie wiedział, że w gabinecie znajduje się sejf. Logika podpowiadała, że o jego istnieniu powinien wiedzieć tylko Dunny – oraz ten, kto sejf zakładał.

Człowiek z poważnie uszkodzonym mózgiem ubiera się, znajduje drogę do domu, przypomina sobie szyfr.

Albo... trup wraca do domu. Ma ochotę się zabawić, wyjmując więc trochę drobnych.

Dunny-trup zachowywał się tak sensownie jak Dunny z uszkodzonym mózgiem.

13

Fric Niezwyciężony: dwa pociągi mkną ze świstem na swoje spotkanie na rozdrożu, hitlerowcy w wioskach, amerykańscy żołnierze przedzierają się, schodząc z gór, wszędzie trupy, a zbrodniarze z SS pędzą żydów z bydłowych wagonów na stacji. Inne dranie z SS strzelają do katolików i grzebią ich w masowym grobie w sosnowym zagajniku.

Niewiele osób wie, że hitlerowcy zabijali nie tylko żydów, ale także miliony chrześcijan. Większość dostojników wyznawało dziwną i nieformalną pogańską religię, sławiącą ziemię, rasę i mity starogermańskie, oddającą cześć krwi i władzy.

Niewiele osób wie, ale Fric tak. Lubił wiedzieć różne rzeczy nieznanne innym. Urywki historii. Sekrety. Tajemnice alchemii. Ciekawostki naukowe.

Na przykład jak sprawić, żeby zegar elektryczny czerpał energię z ziemniaka. Trzeba miedzianego trzpienia, cynkowego gwoźdźca i drutów. Zegar z ziemniaczanym napędem wygląda głupio, ale chodzi.

Albo piramida na odwrocie jednodolarówki. Reprezentuje niedokończoną Świątynię Salomona. Oko unoszące się nad nią jest symbolem Wielkiego Architekta Wszechświata.

Albo kto zbudował pierwszą windę? Rzymski architekt Witruwiusz, koło 50 roku przed naszą erą. Winda poruszała się dzięki ludziom, zwierzętom i wodzie.

Fric to wszystko wiedział.

Wiedział mnóstwo dziwnych rzeczy, które nie przydają się w codziennym życiu. Ale to nie zmieniało faktu, że był za niski na swój wiek, za chudy, miał śmiesznie cienką szyję i wielkie, niewiarygodnie

zielone oczy; w przypadku jego matki roztkliwiali się nad nimi wszyscy dziennikarze, ale on wyglądał z nimi jak dziecko sowy i kosmity. Ale naprawdę lubił wiedzieć o tych dziwnych rzeczach, nawet jeśli nie mogły go uratować z grzęzawiska fricowatości.

Dzięki tej tajemnej wiedzy czuł się jak czarnoksiężnik. Albo przynajmniej uczeń czarnoksiężnika.

Oprócz pana Jurgensa, który zjawiał się w domu dwa razy na miesiąc, by czyścić i konserwować wielką kolekcję współczesnych i zabytkowych pociągów elektrycznych, tylko Fric wiedział wszystko o pokoju, w którym się znajdowały. Pociągi należały do słynnego na całym świecie gwiazdora filmowego, Channinga Manheima, który przypadkiem był jego ojcem. W prywatnym świecie Frica gwiazdor od dawna nosił imię Ojca Ducha, ponieważ na ogół przebywał z nim jedynie duchem.

Ojciec Duch niewiele wiedział o pokoju z pociągami. Wydał na nie tyle, że mógłby za te pieniądze kupić całe państwo Tuvalu, ale rzadko się nimi bawił.

Niewiele osób wie o państwie Tuvalu. Mieści się ono na dziewięciu wyspach na południowym Pacyfiku, liczy zaledwie dziesięć tysięcy mieszkańców, a jego głównymi artykułami eksportowymi są kopra i orzechy kokosowe.

Niewiele osób wie, co to kopra. Fric też nie. Odkąd dowiedział się o istnieniu Tuvalu, nosił się z zamiarem sprawdzenia tego słowa.

Pokój z pociągami znajdował się w piwnicy położonej wyżej, koło górnego garażu. Miał czternaście na dwadzieścia metrów, czyli więcej niż przeciętne mieszkanie. Był pozbawiony okien, toteż świat zewnętrzny się nie narzucał. Kolejowa fantazja królowała.

Wzdłuż dwóch krótszych ścian na półkach od podłogi do sufitu stała kolekcja pociągów – z wyjątkiem aktualnie używanych modeli. Na dwóch dłuższych wisiały bajeczne obrazy, przedstawiające pociągi. Oto lokomotywa pędzi przez gęste lśniące kłęby mgły,

świecąc latarniami. Oto pociąg przemierza prerię pod księżycem. Najrozmaitsze pociągi pędziły przez lasy, przemierzały rzeki, pełzły po zboczach gór w deszczu, śniegu, mgle i nocy, buchając dymem z kominów, sypiąc spod kół iskrami.

Na samym środku pokoju, na masywnym wielonożnym stole znajdowała się makieta terenu z zielonymi wzgórzami, polami, lasami, dolinami, rzekami, jeziorami. Wypukłości, wklęsłości, zakola, płaszczyzny, zbocza pomieściły więcej kolejowych szyn niż jest kokosów w Tuvalu.

Ta zadziwiająca konstrukcja miała piętnaście na dziesięć metrów. Można było ją obejść albo – uniósłszy bramę – wejść i chodzić po wewnętrznej ścieżce niczym turysta w kraju liliputów.

Fric był w środku zabawy.

Rozstawił armie żołnierzyków i jednocześnie bawił się w pociągi i wojnę. Przy takich możliwościach technicznych – a także jego umiejętnościach – zabawa powinna być dużo lepsza.

Przy zewnętrznych i wewnętrznych nastawniach znajdowały się telefony. Kiedy rozlegał się jego prywatny dzwonek, Fric się wzdrygał. Rzadko ktoś do niego dzwonił.

Posiadłość dysponowała dwudziestoma czterema liniami telefonicznymi. Dwie były połączone z systemem alarmowym, inna z zewnętrznym monitoringiem hotelowego systemu ogrzewania i klimatyzacji. Dwie były liniami do faksu, a dwie inne do Internetu.

Szesnaście z pozostałych siedemnastu przydzielono rodzinie i służbie. Linia dwadzieścia cztery miała inne przeznaczenie.

Ojciec Frica dostał cztery linie, ponieważ pragnął z nim rozmawiać cały świat, a raz nawet prezydent Stanów Zjednoczonych. Często nawet pod jego nieobecność rozdzwaniały się telefony do Channinga, Chana, Channiego albo wręcz (w przypadku pewnej ogłupiałej z miłości aktorki) Chi-Chi. Pani McBee także miała cztery

linie, choć to nie znaczyło, jak często dowcipnie podkreślał Ojciec Duch, że jest równie ważna jak jej szef.

Cha, cha, cha.

Jedna z czterech linii przysługiwała mieszkaniu państwa McBee. Reszta obsługiwała telefony służbowe. W zwykły dzień zarządzanie domem nie wymagało aż trzech linii telefonicznych, ale kiedy pani McBee miała zaplanować i zorganizować przyjęcie dla czterech czy pięciu setek hollywoodzkich półgłówków, często trzy telefony nie wystarczały na rozmowy ze stylistą, dostawcą, florystą i niezliczoną liczbą innych tajemniczych agencji i organizacji, którymi musiała dyrygować, by wieczór okazał się naprawdę niezapomniany.

Fric wątpił, żeby opłacały się cały ten wysiłek i koszty. Pod koniec przyjęcia połowa gości odjeżdżała pijana lub naćpana do tego stopnia, że następnego ranka w ogóle nie pamiętali, gdzie się tak doskonale bawili. Gdyby usiedli w fotelach ogrodowych, dostali worek hamburgerów i skrzynkę wina, osiągnęliby ten sam efekt. Mogliby tak samo wrócić do domu, opróżnić do muszli klozetowej żołądek, paść na łóżko i obudzić się następnego dnia z pustką w głowie.

Pan Truman, który był szefem ochrony, miał dwie linie, jedną prywatną, drugą służbową. W posiadłości mieszkały tylko dwie z sześciu pokojówek. Dzieliły linię z szoferem. Strażnik też miał swoją linię, ale za to przerażający szef kuchni, pan Hachette, oraz wesoły kucharz, pan Baptiste, korzystali z jednej linii pani McBee.

Pani Hepplewhite, osobista asystentka Ojca Ducha, miała dla siebie dwie linie. Freddie Nielander, słynna supermodelka, znana w Fricysylvanii jako Nominalna Matka, także miała swoją linię, choć rozwiodła się z Ojcem Duchem prawie dziesięć lat temu i od tego czasu została w domu na noc mniej niż dziesięć razy.

Ojciec Duch wyznał raz Freddie, że dzwoni do niej co jakiś czas w nadziei, że odbierze i powie, że w końcu do niego wróciła i już

nigdy więcej nie wyjedzie.

Cha, cha, cha. Cha, cha, cha.

Fric dysponował własną linią, odkąd skończył sześć lat. Do nikogo nie dzwonił z wyjątkiem jednego razu, kiedy wykorzystał znajomości ojca, by dostać domowy numer pana Mike'a Myersa, aktora, który dubbingował Shreka, i powiedzieć mu, że „Shrek” absolutnie i bezwzględnie rządzi.

Pan Myers był bardzo miły, udał dla niego Shreka i parę innych postaci i rozbawił go tak, że aż brzuch go rozboleł. To nadwreżenie mięśni wynikało częściowo z faktu, że pan Myers był niesamowicie śmieszny, a częściowo z tego, że Fric ostatnio nie używał śmiechowych mięśni tak często, jakby chciał.

Ojciec Frica, wierzący w zjawiska paranormalne, zarezerwował ostatnią linię na telefony od zmarłych. Ale to długa historia.

Teraz, po raz pierwszy od ośmiu dni od ostatniego telefonu Ojca Ducha Fric usłyszał melodyjkę swojego sygnału.

Każdy mieszkaniec domu otrzymał własny dzwonek. Telefony Ojca Ducha wydawały zwykle *drrrrr*. Pani McBee otrzymała melodyjkę przypominającą wietrzne dzwonki. Telefony pana Trumana odgrywały pierwsze dziewięć nut ze starego policyjnego serialu telewizyjnego „Dragnet”, co było głupie, a pan Truman też tak uważał, ale jakoś to znosił.

Ten bardzo zaawansowany system telefoniczny miał w repertuarze dwanaście różnych dzwonek. Osiem standardowych, cztery – jak „Dragnet” – na specjalne zamówienie klienta.

Fric dostał najdurniejszy ze standardowych, który producent telefonu opisał jako „wesoła dziecięca piosenka, odpowiednia dla żłobków czy sypialni małych dzieci”. Pozostaje tajemnicą, po co telefon noworodkom albo dzieciom w kołyskach. Żeby dzwonić do McNiemowlaka i zamówić gryzaczek o smaku hamburgera? Albo

żeby zatelefonować do mamusi i powiedzieć: „Łee! Narobiłem w pieluszkę i nie jest mi z tym dobrze!”.

Głupie.

Uuu-dili-uuu-dili-uu – śpiewał telefon.

Irytujący dźwięk. Mógłby go wydawać jakiś kudłaty, pulchny, różowy pół miś, pół pies, pół debil z dobranocki dla przedszkolaków, wyprodukowanej przez kogoś, dla kogo „Teletubisie” są wzorem dowcipu i wyrafinowania.

Upokorzony, choć nikt nie był świadkiem jego upokorzenia, Fric przesunął dwie dźwignie, by odciąć zasilanie i podniósł słuchawkę po czwartym dzwonku.

– Karaluch i Spółka – powiedział. – Dziś polecamy salmonelle na toście z sałatką z kubła.

– Witaj, Aelfricu – powiedział jakiś mężczyzna.

Fric spodziewał się usłyszeć głos ojca. Gdyby zamiast niego usłyszał Nominalną Matkę, dostałby zawału serca i padł bez życia na tory. Cały personel domu, być może z wyjątkiem pana Hachette’a, opłakiwałby jego zgon. Powiedzieliby, że to strasznie, strasznie smutne. Głęboko i strasznie. I smuciliby się jakieś czterdzieści minut. Potem rzuciliby się, szybko, szybko do przygotowywania wielkiej stypy, na którą zaproszono by z tysiąc sławnych i prawie sławnych pijaków, narkomanów i lizusów, którzy marzą o ucałowaniu złotego tyłka Ojca Ducha.

– Kto mówi? – spytał.

– Lubisz pociagi, Fric?

Fric słyszał ten głos po raz pierwszy w życiu. Nie był to nikt ze służby. Prawdziwy obcy!

Prawie nikt z personelu nie wiedział, że Fric jest w pokoju z pociągami. Nikt z zewnątrz nie mógł mieć o tym pojęcia.

– Skąd wiesz o pociągach?

– O, wiem wiele rzeczy, których inni nie wiedzą. Tak jak ty, Fric. Tak jak ty.

Włoski na karku chłopca stanęły dęba.

– Kim jesteś?

– Nie znasz mnie – powiedział mężczyzna. – Kiedy twój ojciec wraca z Florydy?

– Skoro tyle wiesz, może sam mi powiesz?

– Dwudziestego czwartego grudnia. Wczesnym popołudniem. W Wigilię – oznajmił obcy.

Fric nie dał się olśnić. Miliony ludzi znało plany jego starego. Nie dalej niż tydzień temu Ojciec Duch wystąpił w „Entertainment Tonight”, gdzie mówił o realizowanym filmie i o tym, jak bardzo by chciał wrócić do domu na święta.

– Fric, chciałbym być twoim przyjacielem.

– A co, jesteś zboczeńcem?

Fric słyszał o zboczeńcach. Niech to szlag, pewnie nawet spotykał ich setki. Nie wiedział o wszystkim, co mogli zrobić dziecku, i nie był pewien, co dokładnie najbardziej chcieliby zrobić, ale wiedział, że grasują po okolicy z kolekcjami dziecięcych gałek ocznych i naszyjnikami z kości ofiar.

– Nie pragnę cię skrzywdzić – oznajmił obcy, co bez wątpienia stanowiło klasyczny tekst każdego zboczeńca. – Wręcz przeciwnie, chciałbym ci pomóc.

– W czym?

– W przeżyciu.

– Jak się nazywasz?

- Wcale się nie nazywam.

- Każdy się musi nazywać, nawet jeśli nie ma nazwiska, jak Cher albo Godzilla.

- Nie ja. Ja jestem jedyny wśród legionów, obecnie bezimienny. Nadchodzą kłopoty, mój mały, i musisz się na nie przygotować.

- Jakie kłopoty?

- Czy znasz takie miejsce w domu, gdzie możesz tak się ukryć, żeby cię nikt nie znalazł?

- To cholernie dziwne pytanie.

- Będziesz potrzebować kryjówki, gdzie nikt cię nie znajdzie. Jakiegoś tajemnego, ukrytego miejsca.

- Przed kim się schować?

- Nie mogę ci powiedzieć. Nazwijmy go Żółtą Bestią. Ale już bardzo niedługo będziesz potrzebować kryjówki.

Fric wiedział, że powinien odłożyć słuchawkę; rozmowa z tym świrem mogła być niebezpieczna. Najprawdopodobniej to żalosny zboczeniec, który jakimś cudem zdobył ten numer i wcześniej czy później zacznie mówić świństwa. Ale możliwe także, że to czarnoksiężnik, który potrafi rzucać zaklęcia na odległość, albo zły psycholog, który zahipnotyzuje go przez telefon i zmusi, żeby napadał na sklepy monopolowe, a potem oddawał pieniądze, gdacząc jak kura.

Świadom tych i wielu innych niebezpieczeństw Fric zdecydował się rozmawiać dalej. Tak interesującej konwersacji nie prowadził jeszcze nigdy w życiu. Na wypadek gdyby bezimienny okazał się tym samym, przed którym miałby się ukrywać, zastrzegł:

- Ale muszę powiedzieć, że mam ochroniarzy z bronią półautomatyczną.

- To nieprawda, Aelfricu. Kłamstwa sprowadzą na ciebie tylko

nieszczęście. Dom jest ściśle strzeżony, ale kiedy nadejdzie pora, Żółta Bestia przybędzie i nikt jej nie powstrzyma.

– Mówię prawdę – powiedział Fric podstępnie. – Moi ochroniarze to byli komandosi z Delta Force, a jeden z nich był nawet Mr Universe. Potrafią skopać tyłek na maksa.

Obcy nie zareagował.

Po paru sekundach nasłuchiwania Fric spróbował:

– Halo? Jesteś tam?

Teraz mężczyzna odezwał się szeptem.

– Chyba mam gościa. Zadzwoń później. – Szept zmienił się w szmer. Fric musiał natężyć słuch, żeby rozróżnić słowa. – Tymczasem zacznij szukać głębokiej, tajemnej kryjówki. Nie zostało ci wiele czasu.

– Czekaj... – zaczął Fric, ale połączenie zostało przerwane.

14

Ethan szedł przez ślimaczy apartament Dunny'ego Whistlera z bronią gotową do strzału i uniesioną lufą.

W sypialni paliła się lampka przy łóżku. Na chińskim łożu gospodyni artystycznie ułożyła jedwabne poduszki. Na tym samym łożu, rzucone w wyraźnym pośpiechu, leżały męskie ubrania. Wymięte, brudne, jeszcze mokre od deszczu. Spodnie, koszula, skarpetki, bielizna.

W kącie stały buty.

Ethan nie miał pojęcia, co miał na sobie Dunny, opuszczając kostnicę Matki Boskiej od Aniołów, ale nie upierałby się, że właśnie nie te ciuchy.

Zbliżył się do łóżka i poczuł ten sam słaby odór co w windzie. Niektóre składniki kompozycji były wyraźniejsze od innych: stary pot, jakaś siarkowa maść, powiew skwaśniałego moczu. Zapach choroby, długiego przebywania w łóżku i mycia gąbką.

Teraz wyraźnie usłyszał szmer, który wcześniej wziął za bębnienie deszczu. To szumiała woda w łazience obok.

Drzwi łazienki były uchylone. Przez szparę waliły kłęby pary. Otworzył drzwi.

Podłogę i ściany ozdobił złoty marmur. Dwie czarne ceramiczne umywalki w blacie z czarnego granitu, złote krany. Nad blatem długa połać szlifowanego lustra, na którym osiadły kropelki pary, Zniekształcone odbicie Ethana poruszało się pod oszronioną powierzchnią jak dziwne blade coś, co miga przelotnie pod cienistą taflą stawu.

W powietrzu unosiły się welony mgły.

W głębi łazienki znajdowała się też ubikacja. Przez uchylone drzwi widać było muszlę. Pusto.

Dunny omal nie utopił się w ubikacji. Sąsiedzi z mieszkania obok usłyszeli, jak walczy o życie, wzywa pomocy. Policja szybko przybyła i złapała napastników podczas próby ucieczki. Dunny leżał na boku przed muszlą, półprzytomny, wykasłując wodę. Zapadł w śpiączkę jeszcze przed przybyciem pogotowia.

Napastnicy – którzy przyszli po pieniądze, zemstę lub to i to – nie padli jego ofiarą w ostatnim czasie. Od sześciu lat siedzieli w więzieniu i prosto z niego przyszli załatwić porachunki.

Dunny miał nadzieję, że ucieknie od dawnego życia, ale dawne życie go dogoniło.

Teraz na podłodze łazienki leżały dwa zmięte, mokre czarne ręczniki. Na wieszaku wisiały dwa suche. Pysznic znajdował się po przekątnej od wejścia. Nawet gdyby zaparowane szkło kabiny było przejrzyste, z tej odległości Ethan nie mógłby nic dojrzeć.

Podszedł, wyobrażając sobie Dunny'ego Whistlera, którego spodziewał się spotkać. Chorobliwie blada, jeśli nie trupiosina skóra, nieczuła na wpływ gorącej wody. Szare oczy, białka czerwone od wylewów.

Wciąż ściskając broń w prawej ręce, lewą chwycił drzwi i otworzył po krótkim wahaniu.

Kabina była pusta. Woda ciurkała po marmurowej podłodze i znikwała w odpływie. Sięgnął do samotnego kurka na ścianie i zakręcił wodę. Nagłe milczenie obwieściło jego obecność tak dobitnie, jakby zadał w trąbę. Nerwowo odwrócił się w stronę drzwi, spodziewając się jakiejś reakcji, choć nie miał pojęcia jakiej.

Wprawdzie woda była wyłączona, lecz z prysznica nadal unosiła się para, przelewała się przez górną krawędź kabiny i otaczała Ethana.

Pomimo wilgoci wyschło mu w ustach. Język z trudem odlepił mu się od podniebienia, jak taśma klejąca. Ruszył do wyjścia; wychwycił ruch swojego niewyraźnego, zniekształconego odbicia w zaporowanym lustrze nad umywalkami.

Potem zobaczył inny, nieprawdopodobny kształt. Zatrzymał się gwałtownie.

W lustrze, pod warstwą pary, majaczył blady zarys, równie zniekształcony jak jego odbicie, lecz rozpoznawalny jako czyjaś postać.

Ethan był sam. Rozejrzał się szybko, ale nie zauważył żadnego elementu wystroju, który mógłby uchodzić za upiorną ludzką sylwetkę.

Zamknął oczy. Otworzył. Wciąż widział ten kształt.

Teraz słyszał tylko swoje serce bijące bardzo szybko, jak młot, łomoczące, tłoczące krew do mózgu, by jaśniej myślał. Oczywiście to wszystko robota jego wyobraźni. Nadała znaczenie bezsensownemu zamgleniu, tak jak każe mu widzieć ludzi, smoki i najróżniejsze fantastyczne postaci w chmurach letniego nieba. Wyobraźnia. Oczywiście.

Ale ten człowiek, smok – nieważne – to coś się poruszyło. Niewiele, tylko troszkę, tylko tyle, by łomoczące serce Ethana zmyliło rytm.

Może ten ruch to również dzieło jego wyobraźni.

Z wahaniem podszedł do lustra. Nie stanął dokładnie przed zjawiskowym kształtem, bo pomimo zwiększonego przyływu krwi do mózgu, który miał mu zapewnić jasność myślenia, nawiedziło go przesądne przekonanie, że spotka go coś straszego, jeśli jego odbicie nałoży się na upiorny kształt.

Oczywiście ruch tego mglistego kształtu był wytworem jego umysłu, ale jeśli tak, to znowu go sobie wyobraził. Postać zdawała

się go przyzywać.

Nie przyznałby się nikomu – Hazardowi Yancy’emu, żadnemu innemu koledze z dawnych dni, może nawet Hannah, gdyby żyła – że kiedy przyłożył rękę do lustra, w zasadzie spodziewał się poczuć nie mokre szkło, lecz inną rękę, nawiązującą kontakt z zimnego i odstrasającego miejsca.

Wytarł mgłę z lustra. Zostało parę lśniących strużek wody.

Wraz z ruchem jego ręki poruszył się także duch z lustra, odsuwając się poza wytarty łuk. Pozostał we mgle – i przesunął się dokładnie naprzeciwko niego.

Odbicie Ethana – z wyjątkiem twarzy – było ciemne, ponieważ ciemne było jego ubranie i włosy. Oszroniony parą kształt przed nim był blady jak promień księżycy i skrzydła ciem.

Do jego serca zapukał strach, ale on nie zamierzał go wpuścić, tak jak w czasach kiedy był gliną i nie wolno mu było wpadać w panikę. Zresztą czuł się jak w transie. Przyjmował niemożliwe równie łatwo jak we śnie.

Zjawa pochyliła się ku niemu, jakby usiłując go dojrzeć z tamtej strony osrebrzonego szkła, mniej więcej tak samo, jak on sam się pochylał, żeby ją dostrzec. Jeszcze raz uniósł rękę i z wahaniem wytarł wąską ścieżkę we mgle w pełni przygotowany na to, że spojrzy nie we własne oczy, lecz w szare tęczęwki Dunny’ego Whistlera.

Zjawa w lustrze znowu się poruszyła, szybsza od jego ręki, ukryta pod mgłą.

Dopiero gdy zrobił gwałtowny wydech, zdał sobie sprawę, że wstrzymywał oddech.

W tej samej chwili w głębi apartamentu dobiegł go trzask, melodyjny brzęk tłuczonego szkła.

15

Ethan kazał przeanalizować swoją krew pod kątem zakazanych substancji chemicznych, na wypadek gdyby ktoś mu je podał bez jego wiedzy. W czasie zajścia w domu Reynerda był niemal w odmiennym stanie świadomości.

Teraz, opuszczając zaparowaną łazienkę, czuł się nie mniej zdezorientowany jak wtedy, kiedy po postrzale w brzuch znalazł się znowu, cały i zdrowy, za kierownicą forda.

Nie wiedział, co się pojawiło – bądź przypuszczalnie się pojawiło – w lustrze, ale nie ufał już swoim zmysłom. Dlatego zaczął działać jeszcze ostrożniej, zdając sobie sprawę, że rzeczy znowu nie są tym, czym się wydają.

Przeszedł przez już przeszukane pokoje na nowe terytorium. W końcu zjawił się w kuchni. Rozbite szkło lśniło na stole i podłodze. Na podłodze leżała także srebrna ramka z gabinetu. Ktoś wyjął z niej zdjęcie Hannah.

Robił to w takim pośpiechu, że nie miał czasu manipulować zaczepami z tyłu. Po prostu stłukł szybkę.

Tylne drzwi apartamentu stały otworem.

Za nimi rozciągał się szeroki korytarz. Po jednej stronie widać było strzałkę wskazującą schody. Po przeciwnej znajdowała się winda towarowa na tyle duża, by pomieścić lodówki i spore meble.

Jeśli ktoś zjechał właśnie windą, to już znajdował się na dole. Mechanizm nie działał.

Ethan popędził ku schodom. Otworzył wyjście awaryjne. Zastygł na progu, nasłuchując.

Wycie, jęk, może melancholijne westchnienie, choćby

szczękanie łańcuchów: nawet duch powinien wydawać jakiś dźwięk. Tymczasem na schodach panowała głucha cisza.

Zbiegł szybko na parter, a potem do garażu. Nie spotkał ani żywego, ani nieżywego ducha. Nie czuł też zapachu choroby i gorączkowego potu. Za to w nos połąskotała go woń mydła, jakby przemaszerował tędy ktoś, kto przed chwilą wyszedł spod prysznic. I nutka korzennej wody po goleniu.

Otworzył stalowe drzwi przeciwpożarowe, wszedł do garażu i poczuł spaliny. O tej porze w dzień powszedni wiele miejsc parkingowych było pustych. Daleko w przodzie ruszał właśnie jakiś samochód. Ethan rozpoznał ciemnogramatowego mercedesa sedana Dunny'ego. Otwierane pilotem drzwi garażu już się podnosiły przy akompaniamencie metalicznego szczękania.

Ethan rzucił się w stronę samochodu, wciąż trzymając pistolet w ręku. Drzwi unosiły się wolno, mercedes musiał zaczekać. Przez tylne okno widać było sylwetkę mężczyzny za kierownicą, choć nie na tyle wyraźnie, żeby go rozpoznać.

Ethan podbiegł do mercedesa, okrążył go. Zamierzał podejść do drzwi kierowcy.

Samochód wyprysnął do przodu, zanim drzwi otwarły się do końca. Dach zgrzytnął o ich dolną krawędź, zostawiając na niej sporo lakieru. Samochód śmignął pochyłą rampą w stronę ulicy. Kierowca musiał zamknąć pilotem drzwi w chwili, kiedy je mijał, bo spadły ze szczękiem, gdy Ethan do nich dobiegł. Mercedes zniknął za rogiem.

Ethan stał przez moment nieruchomo, spoglądając przez bramę w szary burzowy dzień. Po rampie spływała deszczówka. Pieniła się i znikwała w kratce ścieku na chodniku przed garażem.

Na betonowej pochylni leżała mała jaszczurka, przejechana przez samochód, lecz wciąż żywa. Gmerała niezdarnie w płynącej wodzie. Pełzła naprzód tak uparcie, jakby wierzyła, że wszystkie

potrzeby można zaspokoić, a wszystkie rany zagoić samą siłą woli.

Ethan odwrócił się, żeby nie patrzeć na jej klęskę i śmierć w ścieku. Schował pistolet do kabury. Spojrzał na swoje ręce. Drżały.

Znowu wspiał się na czwarte piętro, idąc śladem zapachu mydła i wody po goleniu. Tym razem wychwycił woń nieco mniej czystą niż dwie pierwsze, ulotną, lecz wyjątkowo niepokojącą.

Dunny Whistler z całą pewnością był żywym człowiekiem, nie ożywionym trupem. Dlaczego zombi miałyby brać prysznic, golić się i przebierać w czyste ciuchy? Absurd.

W kuchni Ethan sprzątnął odkurzaczem odłamki szkła. W zlewie znalazł łyżkę i otwarty półkilogramowy pojemnik lodów. Najwyraźniej zmartwychwstali lubią lody czekoladowo-karmelowe.

Włożył lody do zamrażarki, a pustą ramkę zaniósł do studia.

W sypialni zatrzymał się przed drzwiami łazienki. Chciał znowu spojrzeć w lustro, żeby sprawdzić, czy wciąż jest zamglone i czy coś się w nim rusza.

Raptem wydało mu się, że czynne poszukiwania zjawy nie są najlepszym pomysłem. Wyszedł z mieszkania, gasząc światła, i zamknął za sobą drzwi.

W windzie osobowej pomyślał: Z tego samego powodu, dla którego wilk wkłada owczą skórę, by niezauważony poruszać się między owcami.

Dlatego właśnie żywy trup bierze prysznic, goli się i wkłada czyste ubranie.

Kiedy na parterze otworzyły się przed nim drzwi, wiedział już, co czuła Alicja, wychodząc na świat z króliczej nory.

16

Fric odciął prąd liniom kolejowym, porzucił hitlerowców przy knuciu nikczemnych planów, nierealny świat pokoju kolejowego zostawił wraz z nierealnym światem garażu z kolekcją samochodów wartych wiele milionów dolarów i pobiegł po schodach.

Powinien wybrać windę, ale przy jego nastroju bezprzewodowy mechanizm, który unosił i opuszczał kabinę na potężnej rampie hydraulicznej, był zbyt powolny. Mechanizm Frica pracował na najwyższych obrotach. Rozmowa z dziwnym nieznanym – którego nazwał Tajemniczym Rozmówcą – była wysokooktanowym paliwem dla chłopca o żywej wyobraźni i nudnym życiu, uwięzionego w wielkim pustym domu.

Właściwie nie wbiegł po schodach, lecz je zaatakował. Wyfrunął z piwnicy, śmignął po schodach na drugie, ostatnie piętro Palazzo Rospo, gdzie znajdowały się jego kwatery.

Chyba tylko on rozumiał znaczenie nazwy, którą nadał domowi jego pierwszy właściciel. Prawie wszyscy wiedzą, że *palazzo* to po włosku „pałac”, ale nikt z wyjątkiem paru nieznośnie zarozumiałych europejskich reżyserów nie ma pojęcia, co znaczy *rospo*.

Szczerze mówiąc, gości odwiedzających posiadłość na ogół nie obchodziła jej nazwa. Mieli na głowie ważniejsze sprawy – na przykład ile film zarobił przez weekend, wyniki telewizyjnej oglądalności, najnowsze przetasowania w studiach i telewizjach, kogo można orznać na następnej transakcji i jak mu zamącić w głowie na tyle, żeby się nie zorientował, skąd brać kokainę i czy odnieśliby większy sukces, gdyby w wieku osiemnastu lat zrobili sobie lifting.

Ci bardzo nieliczni, którzy poświęcili nazwie domu odrobinę zastanowienia, mieli na jej temat liczne teorie.

Niektórzy sądzili, że dom został nazwany na cześć słynnego włoskiego polityka, filozofa lub architekta. W środowisku filmowym osób mających jakiegokolwiek pojęcie o politykach, filozofach i architektach było niemal równie niewiele, jak tych, którzy mogliby dać wykład o budowie materii na poziomie subatomowym, dlatego teoria łatwo się przyjęła i nigdy nie została zakwestionowana.

Inni byli pewni, że Rospo to nazwisko panięńskie ukochanej matki pierwszego właściciela domu albo nazwa jego ulubionych saneczek z dzieciństwa, kiedy po raz ostatni zaznał prawdziwego szczęścia.

Jeszcze inni uważali, że jest to nazwisko kobiety, którą właściciel domu kochał w tajemnicy – młodej aktorki Vera Jean Rospo.

W latach trzydziestych rzeczywiście pojawiła się aktorka Vera Jean Rospo, choć naprawdę nazywała się Hilda May Glorkal. Producent, agent czy ktoś, kto zmienił jej nazwisko, musiał jej chyba potajemnie nie znosić. *Rospo* znaczy po włosku „ropucha”.

Tylko Fric wiedział, że Palazzo Rospo to włoski odpowiednik Ropuszego Dworu.

A wiedział, ponieważ dogłębnie zbadał tę sprawę. Lubił wiedzieć takie rzeczy.

Najwyraźniej mogół filmowy, który przed sześćdziesięciu laty zbudował ten dom, miał poczucie humoru i lubił „O czym szumią wierzby”. W książce tej można przeczytać o Ropuchu z Ropuszego Dworu.

Ale w obecnych czasach żaden filmowiec nie czytuje książek. Z doświadczenia Frica wynikało także, że nikt z branży nie ma też poczucia humoru.

Wbiegł po schodach tak szybko, że kiedy znalazł się w północnym korytarzu na drugim piętrze, zabrakło mu tchu. To

niedobrze. Powinien się zatrzymać. Powinien odpocząć.

Ale on pobiegł korytarzem północnym do wschodniego, gdzie znajdowały się jego prywatne apartamenty. Antyki znajdujące się na tym piętrze były efektowne, choć w przeciwieństwie do tych z dwóch niższych kondygnacji nie kwalifikowały się do muzeum.

Pokoje Frica zostały umeblowane na nowo jakiś rok temu. Stylista Ojca Ducha zabrał Frica na zakupy. Na zmianę umeblowania ojciec przeznaczył trzydzieści pięć tysięcy dolarów. Fric nie prosił o nowe meble. Nigdy o nic nie prosił – z wyjątkiem świąt, kiedy kazano mu wypełnić dziecinny formularz do Kochanego Świętego Mikołaja. Pomysł przemeblowania zrodził się w głowie Ojca Ducha.

Tylko Fric był zdania, że trzydzieści pięć tysięcy na meble dla dziewięciolatka to idiotyzm. Stylista i sprzedawcy zachowywali się, jakby takie rzeczy zdarzały się codziennie.

Świry.

Fric często podejrzewał, że otaczający go ludzie, cisi i ostentacyjnie rozsądni, to w rzeczywistości cholernie odjechane świry.

Każdy nowy przedmiot w jego pokoju był nowoczesny, gładki i jasny.

Fric nie miał nic przeciwko meblom i bibelotom z dawnych czasów. Lubił je. Ale dwa tysiące metrów kwadratowych antyków w zupełności mu wystarczyło. Na własnym terenie chciał się czuć jak dziecko, nie jak jakiś stary francuski karzełek, którym czasami się czuł w otoczeniu francuskich antyków. Chciał uwierzyć, że takie coś jak przyszłość naprawdę istnieje.

Na swój użytek otrzymał cały apartament: z salonem, sypialnią, łazienką, garderobą.

Przebiegł przez salon wciąż mocno zdyszany. Dysząc jeszcze

głośniej, wpadł do sypialni i garderoby.

Gdyby miał porsche, mógłby do niej wjechać.

Gdyby umieścił porsche na liście prezentów do Kochanego Świętego Mikołaja, w Boże Narodzenie pewnie by je znalazł na podjeździe, przewiązane czerwoną wstążeczką.

Świry.

Miał więcej ubrań, niż potrzebował, więcej, niż chciał, a i tak zajmowały ledwie jedną czwartą garderoby. Resztę jej powierzchni zajmowały półki, na których przechowywał kolekcję ukochanych żołnierzyków, gry, które były mu obojętne – jak również kasety i płyty DVD z każdym głupim, nudnym filmem dla dzieci, jaki wyprodukowano w ciągu ostatnich pięciu lat. Dostawał je od dyrektorów studiów filmowych i innych, którzy chcieli się podlizać jego ojcu.

Pięciometrowa luka w głębi garderoby została podzielona na trzy rzędy wysokich do sufitu półek. Sięgnął za trzecią półkę po prawej ręce i wcisnął ukryty guzik.

Środkowy rząd półek okazał się ukrytymi drzwiami, obracającymi się na centralnym trzpieniu. Półki miały dwadzieścia centymetrów głębokości, dlatego po obu stronach powstawało wejście mające około siedemdziesięciu centymetrów szerokości po obu stronach. Niektórzy dorośli musieliby wchodzić bokiem, ale Fric bez trudu wmaszerował do ukrytej komnaty.

Za półkami znajdowało się pomieszczenie z metalowymi drzwiami. Drzwi nie były z kutej stali, ale i tak wyglądały solidnie.

Odkrył je trzy lata temu. Były otwarte – i takie pozostały. Nie znalazł klucza. Poza zwyczajną klamką z prawej strony na środku drzwi znajdowała się druga. Obracała się o 360 stopni. Po obu jej stronach znajdowały się dziwne instrumenty, przypominające jakieś zawory.

Fric otworzył drzwi, włączył światło i wszedł do pomieszczenia o powierzchni siedemnastu metrów kwadratowych. Bardzo dziwne miejsce. Podłoga była ze stalowych płyt. Ściany i sufit też. Płyty były skrupulatnie ze sobą połączone na spojeniach. Badając pokój, Fric nie zdołał znaleźć nawet najmniejszej szparki. Drzwi były wyposażone w gumową uszczelkę. Niegdyś dzięki niej pomieszczenie stawało się hermetycznie zamknięte. Teraz zestarzała się, wyschła i popękała.

Po wewnętrznej stronie drzwi znajdowała się stalowa siatka o drobnych oczkach, a za nią mechanizm, któremu Fric nieraz przyglądał się przy świetle latarki. Przez siatkę widział wentylator, zakurzone łożyska kulkowe i inne części, których nazw nie znał. Przypuszczał, że klamka na środku drzwi uruchamiała niegdyś wentylator, który przez zawory wyciągał powietrze z pokoju, aż powstawała próżnia.

Ciągle nie odkrył przeznaczenia tego miejsca.

Przez jakiś czas uważał je za dusicielatorium.

Sam wymyślił to słowo. Wyobraził sobie złego geniusza, który zmusza swoją ofiarę, by weszła do dusicielatorium, zamyka drzwi i wyciąga powietrze z pomieszczenia.

Czarne charaktery w książkach nierzadko dużym nakładem sił konstruowały skomplikowane narzędzia mordy, choć nóż albo pistolet byłyby tańsze i skuteczniejsze. Widać nikczemne umysły są skomplikowane jak korytarze w mrowisku. A może niektórzy maniakalni zabójcy boją się krwi? Może lubią zabijać, ale tak żeby nie trzeba było sprzątać? Takie zbrodnicze typy mogłyby zbudować tajne dusicielatorium.

Niestety, niektóre elementy wystroju pomieszczenia świadczyły na niekorzyść tej atrakcyjnej interpretacji.

Przede wszystkim klamka od wewnętrznej strony drzwi otwierała zamek otwierany z zewnątrz kluczem. Najwyraźniej

chodziło o to, by nikt nie mógł się tu przypadkiem zatrzasnąć. A co za tym idzie, nikogo nie można tu było także zamknąć.

Metalowe haki w suficie stanowiły następny problem. Biegły dwoma rzędami wzdłuż całego pokoju, a każdy rząd był oddalony od ściany mniej więcej o pół metra. Fric spojrzął na nie i usłyszał swój zdyszany oddech. Każdy wdech i wydech odbijał się echem od metalowych ścian.

Łaskotanie między łopatkami sięgnęło szybko na jego kark. Znał to uczucie. To nie tylko pot. Zaczął dyszeć.

Nagle coś mu się ścisnęło w piersi. Zabrakło mu powietrza. Dyszenie stało się głośniejsze podczas wydechu. Bez wątpienia dostał ataku astmy. Czuł, że zaciska mu się tchawica. Łatwiej było mu zaczerpnąć powietrza, niż zrobić wydech. Ale przecież musiał się pozbyć starego powietrza. Zgarbił się, pochylił, mięśniami piersi i karku usiłował wydusić z siebie uwieczony oddech. Nie udało się.

Ten atak astmy zapowiadał się niedobrze. Chwycił przypięty do paska inhalator.

Trzy razy w życiu – o ile pamiętał – tak bardzo ucierpiał od niedoboru powietrza, że jego skóra nabrała sinawego koloru i zawieziono go na pogotowie. Na widok sinego Frica wszyscy sikali ze strachu.

Inhalator wypadł mu z palców. Ze szczękiem upadł na metalową podłogę. Fric pochylił się po niego. Zakręciło mu się w głowie, osunął się na kolana. Oddychanie przychodziło mu z takim trudem, jakby jakiś dusiciel chwycił go oburącz za gardło.

Zaniepokojony, choć nie przerażony, popęzł po inhalator. Przyrząd wysliznął się mu z nagle spoconych palców i śmignął przez podłogę.

Pokój zamglił się, zafalował, zaczął odpływać.

Szkoda, że nikt nie zrobił mu zdjęcia, kiedy był taki siny.

Ciekawe, jak wyglądał.

Tchawica zaciskała się coraz bardziej. Dyszenie nabrało cienkich tonów. Można by pomyśleć, że połknął gwizdek, który uwiązał mu w gardle.

Znowu położył rękę na inhalatorze. Tym razem ścisnął go mocno i położył się na plecach. Niedobrze. Na plecach nie potrafił oddychać. I nie mógł też skorzystać z inhalatora.

Nad nim haki. Świecą, świecą.

Niezbyt dobre miejsce na poważny atak astmy. Nie miał sił, żeby krzyknąć. Zresztą nikt by tego krzyku nie usłyszał. Palazzo Rospo był solidny, ściany dobrze zagłuszały dźwięki.

No dobrze, teraz był już przerażony.

W męskiej toalecie w centrum handlowym Corky Laputa smarował flamastrem na ścianach rasistowskie obelgi.

Prywatnie nie był rasistą. Nie żywił urazy do żadnej grupy etnicznej, po prostu gardził ludzkością jako taką. Prawdę mówiąc, nawet nie znał żadnego rasisty. Jednak istnieją ludzie, którzy sądzą, że łazienkowi rasiści są wszędzie. Muszą w to wierzyć, żeby nadać swojemu życiu cel i znaczenie, a także by mieć kogo nienawidzić.

Dla znacznej części społeczności posiadanie własnego obiektu nienawiści jest równie ważne jak chleb i powietrze.

Niektórzy muszą być wręcz wściekli na coś lub kogoś. Corky z największą radością dostarczał im napisy, które rozniecą ich gniew i rozjątrzą urazy.

Pisząc, podśpiewywał do wtóru sączącej się przez głośniki muzycze. Dwudziestego pierwszego grudnia na liście sklepowych przebojów nie znalazła się żadna kolęda. Najprawdopodobniej kierownictwo uznało, że to by głęboko uraziło klientów niewyznających wiary chrześcijańskiej, a także nadwrażliwych ateistów, którzy przyszli tu wydać swoje pieniądze.

Z głośników leciał stary przebój Pearl Jam, zaaranżowany na orkiestrę z rozbudowaną sekcją smyczkową. Pozbawiona wrzaskliwego wokalu piosenka była równie otepiająca jak oryginał, ale w przyjemniejszy sposób.

Corky dokończył wypisywanie jadowitych rasistowskich obelg na ścianie kabiny, spłukał wodę i umył ręce. Był sam. Nikt go nie widział.

Zawsze szczylił się tym, że przy każdej okazji służy chaosowi, choćby wyrządzone przez niego szkody były drobne i nie mogłyby

zagrozić porządkowi społecznemu. W żadnej umywalce nie było korka. Corky wyrwał z podajnika parę garści papierowych ręczników, zmoczył je, zbił w ciasne kulki i zatkał nimi odpływy w trzech z sześciu umywalek.

Ostatnio w publicznych toaletach montuje się przyciskane kurki, które odmierzają odpowiednią ilość wody i automatycznie odcinają jej dopływ. Ale tutaj kurki były staroświeckie, odkręcane ręcznie. Zatem odkręcił je do oporu.

Omiał nie przegapił odpływu na środku podłogi. Znalazł wielki kosz pełen zużytych papierowych ręczników i zatkał nimi otwór.

Wziął reklamówkę, w której znajdowały się nowe skarpetki, chusteczki i skórzany portfel, a także piękne sztucce – i przyglądał się, jak umywalki szybko napełniają się wodą. W ścianie jakieś dziesięć centymetrów nad podłogą znajdował się otwór wentylacyjny. Jeśli woda podniesie się do jego poziomu, zaleje system grzewczy i zwykła usterka zmieni się w kosztowną katastrofę. Być może padnie kilka sklepów i życie ich pracowników znajdzie się w rozsypce.

Raz, dwa, trzy. Woda przelała się przez krawędzie zlewów i runęła kaskadą na podłogę. Uśmiechnięty Corky Laputa opuścił łazienkę przy wtórze chlupotu wody i jałowej wersji Pearl Jam.

W korytarzu było pusto, więc odstawił reklamówkę na ziemię. Z kieszeni sportowej kurtki wyjął rolkę taśmy izolacyjnej. Zawsze był gotów na spotkanie przygody.

Zakleił wąską szparę między dolną krawędzią drzwi i progiem. Była dość wąska, więc nie musiał nakładać drugiej warstwy taśmy. Wyjął z portfela złożoną nalepkę. Wygładził ją, odkleił ochronny papier z przyklepnego tyłu i przyłożył ją do drzwi.

Czerwone litery na białym tle głosiły: NIECZYNNE.

Nalepka obudzi podejrzliwość każdego ochroniarza, ale klienci odwrócą się bez słowa i pójda na poszukiwanie innej toalety.

Teraz jego dzieło zostało ukończone. Rozmiary szkód zależały już tylko od losu. W ubikacjach i na korytarzach do nich prowadzących nie było kamer przemysłowych. Do tej pory nikt nie uwiecznił go na taśmie.

Prowadzący do łazienki korytarz w kształcie litery L wiódł do pilnie strzeżonej promenady na piętrze. Corky zauważył już rozstawienie kamer na drodze do łazienki. Wychodząc, niby przypadkiem odwracał głowę. Szybko wmieszał się w tłum. Kiedy strażnicy będą oglądać nagrania, mogą wyłować Corky'ego, który wszedł do łazienki w przypuszczalnym czasie popełnienia aktu wandalizmu, ale nie zdołają uzyskać czytelnego zapisu jego twarzy. Był ubrany w nijakie rzeczy, doskonale do wtopienia się w tłum. Na kasetach nagranych w innych punktach sklepu nie sposób będzie go uznać za faceta, który tuż przed powodzią odwiedził łazienkę.

Skuteczność kamer wydatnie ograniczało wiele rozmigotanych i oszronionych świątecznych ozdób. Dekoracja sklepu omijała bezpośrednio odniesienia do Bożego Narodzenia; nie było aniołów, żłóbków, Świętych Mikołajów, elfów, ani jednego renifera, żadnych tradycyjnych ornamentów – a także kolorowych światełek, tylko maleńkie mrugające żaróweczki. Wszędzie migotały kilometrowe girlandy z plastiku, ozdobione soplami z folii aluminiowej. Z sufitu na żyłkach zwisały tysiące wielkich, nakrapianych cekinami styropianowych płatków śniegu. W rotundzie po sztucznym jeziorze sunęło dziesięcioro łyżwiarzy naturalnej wielkości – mechaniczne postaci na szynach w otoczeniu skomplikowanego zimowego krajobrazu wraz z bałwanami, fortami do bitew na śnieżki, dziećmi rzucającymi w siebie plastikowymi śnieżkami i ruchomymi polarnymi niedźwiedziami w komicznych pozach.

Czysty, radosny idiotyzm tego widoku oczarował Corky'ego.

W windzie, która zwozła go na parter, i w drugiej, prowadzącej do garażu, wymyślił parę szczegółów planu zabicia Rolfa Reynerda. Robiąc zakupy i przyjemnie spędzając czas na sianiu zniszczenia,

nie przestawał planować śmiałego i prostego morderstwa.

Od urodzenia miał podzielną uwagę.

Ci, którzy nigdy nie studiowali strategii politycznej i nie odebrali gruntownego wykształcenia psychologicznego, mogliby uznać łazienkową działalność Corky'ego za dziecinne psikusy. Ale rzadko udaje się doprowadzić do upadku społeczeństwa wyłącznie drogą przemocy. Rozważny anarchista musi poświęcić misji każdą minutę swego czasu, siejąc zniszczenie na małą i wielką skalę.

Niepiśmienne matoly, niszczące własność publiczną farbą w sprayu, żywe bomby, niepoczytalne gwiazdy pop, krzewiące furie i nihilizm, prawnicy specjalizujący się w kruczkach prawnych i pozwach mogących ekspresowo zniszczyć wielkie korporacje i szacowne instytucje, seryjni mordercy, handlarze narkotyków, skorumpowani policjanci, dyrektorzy firm kradnący pieniądze z funduszy emerytalnych, księża molestujący dzieci, politycy dążący do reelekcji, rozjątrzający różnice między klasami – wszyscy oni i jeszcze wielu innych pracują na różnych poziomach; niektórzy są skuteczni, jak wykolejone pociągi towarowe, inni cicho i cierpliwie nadwątlają tkankę cywilizacji i rozsądku; są niezbędni, by istniejący porządek runął w gruzy.

Gdyby Corky mógł jakimś cudem przywlec zarazę, nie ryzykując własnego życia, z entuzjazmem rozsiałyby ją na prawo i lewo przez kichnięcia, kaszel, dotyk i pocałunki. Skoro czasem mógł jedynie wrzucić petardę do klozetu, robił to, by tym maleńkim przyczynkiem powiększyć chaos, ale wciąż czekał na okazję do wyrządzenia większych szkód.

W garażu, przy bmw, zdjął kurtkę sportową. Znowu włożył żółty płaszcz przeciwdeszczowy. Żółty przeciwdeszczowy kapelusz z obwisłym rondem położył na siedzeniu obok siebie, w zasięgu ręki.

Płaszcz oprócz tego, że doskonale chronił nawet przed największą burzą, okazał się idealnym strojem do popełniania

zabójstw. Krew bez trudu dawała się zmyć z lśniącej winylowej powierzchni i nie zostawiała plam.

Jak mówi Biblia, wszystko ma swój czas i porę. Jest czas zabijania i czas uzdrawiania.

Corky nie miał talentu do uzdrawiania. Uważał, że jest czas zabijania i czas niezabijania. Teraz nastał czas zabijania.

Na jego liście znajdowało się więcej niż jedno nazwisko. Reynerd wcale nie zajmował pierwszego miejsca. Anarchia to czasem wymagające wyznanie.

Fric, zaniepokojony i z trudem łapiący powietrze, bez wątpienia siny jak sinica, przeczołgał się pod ścianę dusicielatorium i usiadł, opierając się o nią. Inhalator w jego prawej ręce ważył tylko trochę więcej od mercedesa 500 M.

Gdyby był własnym ojcem, ktoś z jego świty pomógłby mu podnieść przekłety przedmiot. Kolejny minus bycia niewydarzonym samotnikiem.

Z braku tlenu utracił jasność myślenia. Przez chwilę wydawało mu się, że jego prawą rękę przygniata do podłogi ciężka broń, że to broń chce podnieść i włożyć do ust.

Omali nie odrzucił inhalatora. W przelotnej chwili przytomności rozpoznał go i mocno zacisnął na nim palce. Nie mógł oddychać, nie mógł myśleć, mógł tylko kaszleć, rzezić i kaszleć. Wyglądało na to, że to jeden z tych rzadkich ataków, kiedy należy go zawieźć na pogotowie. Lekarze będą go kłuć i klepać, zegną go wpół, gadając o ulubionych filmach Manheima. Ta scena ze słoniami! Albo skok z samolotu do samolotu, bez spadochronu! Ten tonący statek! Władca gadów z kosmosu! Te śmieszne małpki! Pielęgniarki będą szczebiotać, że ma wielkie szczęście i na pewno to fantastycznie mieć za tatusia gwiazdora, bohatera, przystojniaka i geniusza.

To już lepiej od razu umrzeć.

Nie był Clarkiem Kentem ani Peterem Parkerem – a jednak podniósł do twarzy przyrząd ważący miliard ton. Wsunął między wargi ustnik i podał sobie dawkę lekarstwa, jak najgłębiej wciągając powietrze, czyli bardzo płytko.

W gardle: jajko na twardo albo kamień, albo wielki kłęb flegmy, który można by zgłosić do Księgi Guinnessa, jakiś czop, przez który

ledwie przedzierały się wąziutkie strużki powietrza. Pochylił się. Zacisnąć i rozluźnić mięśnie karku, piersi i brzucha. Z wysiłkiem tłoczyć chłodne lecznicze powietrze do płuc i wydychać rozgrzane, stare, zalegające mu w piersi jak syrop.

Dwie pompki. Tyle wynosiła zalecana dawka.

Wtłoczył drugą.

Pewnie by się zakrztusił od tego metalicznego zapachu, gdyby rozpalone i opuchnięte gardło pozwalało na taki wysiłek. Tkanka była zdolna tylko do kurczenia się, coraz bardziej, bardziej i bardziej.

Zaczął widzieć padający żółto-czarny popiół, gęstniejący mrok.

Zawroty głowy. Siedział na podłodze, oparty o ścianę, z wyprostowanymi nogami, ale czuł, że balansuje na jednej nodze na wysoko zawieszonym drucie, że się chwieje i za chwilę wykona skok śmierci.

Dwie pompki. Wziął już dwie dawki.

Należy unikać przedawkowania. To niebezpieczne.

Dwie pompki. Powinno wystarczyć. Na ogół wystarczało. Czasami już jedna rozluźniała niewidzialną pętlę na jego szyi.

Unikać przedawkowania. Zalecenie lekarza.

Nie panikować. Rada lekarza.

Dać lekarstwu czas, by zadziało. Wskazówka lekarza.

Chrzanić lekarza.

Wtłoczył w siebie trzecią dawkę.

Coś zagrzechotało mu w gardle jak kostka do gry na planszy i rzeźenie stało się mniej świszczące, już nie tak głośne, bardziej jak suche chrapanie.

Gorące powietrze na zewnątrz. Zimne do środka. Fric uratowany.

Opuścił inhalator na kolana.

Piętnaście minut – tyle zwykle dochodził do siebie po ataku. Nie pozostało mu nic poza czekaniem.

Stopniowo zrobiło się jaśniej. Zaczął odzyskiwać ostrość widzenia. W pustej metalowej salce mógł patrzeć tylko na rzędy haków, toteż zaczął o nich rozmyślać. Kiedy po raz pierwszy odkrył to pomieszczenie, skojarzyło mu się z chłodniami z filmów, gdzie z haków zwisają tusze wołowe. Zastanawiał się, czy jakiś szalony geniusz zbrodni wieszał tu kiedyś ciała swoich ofiar. Być może niegdyś to pomieszczenie było chłodnią.

Haki znajdowały się zbyt blisko siebie, by zmieściły się na nich ciała dorosłych. Wreszcie Fric doszedł do ponurego wniosku, że zbrodniarz kolekcjonował zwłoki martwych, zamrożonych dzieci.

Po bliższym badaniu okazało się, że haki nie były ostre. Tak tępe bolce nie mogłyby przebić ciał dzieci ani krów. Wtedy zostawił tę kwestię na jakiś czas i zaryzykował hipotezę o dusicielatorium. Jednak klamka, pozwalająca otworzyć zamek od wewnątrz, stanowiła dowód na niesłuszność także tej teorii.

Rzęzenie ustąpiło, oddychanie przychodziło mu coraz łatwiej, ucisk w piersi się zmniejszył. Fric przyglądał się hakom i stalowym ścianom, usiłując znaleźć trzecie wyjaśnienie. Na razie pozostawało dla niego tajemnicą.

Nikomui nie powiedział o obrotowych drzwiach za półkami i o tajemnej komnacie. Jego kryjówka była taka fajna nie tyle ze względu na swoją osobliwość, ile na fakt, że nikt nie wiedział o jej istnieniu.

To może być jego kryjówka, o której mówił Tajemniczy Rozmówca. Wkrótce będzie jej potrzebować.

Może powinien do niej znieść zapasy żywności. Dwa lub trzy sześciopaki pepsi. Parę kanapek z masłem orzechowym. Kilka latarek z zapasowymi bateriami. Nie przepadał za ciepłą colą, ale zawsze lepsze to niż śmierć z pragnienia. I nawet ciepła cola jest lepsza niż błąkanie się po pustyni Mojave, gdzie nie ma żadnego źródła wody i trzeba pić własny mocz. Kanapki z masłem orzechowym, w normalnych warunkach bardzo smaczne, w zestawie z moczem stałyby się niewymownie okropne.

Może powinien przynieść cztery sześciopaki coli.

Nie mógłby pić moczu, ale gdzieś musi siusiać, zważywszy na fakt, że będzie się musiał ukrywać dłużej niż parę godzin. Jakiś garnek z pokrywką. Albo lepiej słoik z zakrętką.

Tajemniczy Rozmówca nie wyjawiał, jak długo Fric będzie się musiał ukrywać. Może podczas następnej rozmowy przedyskutują ten problem. Nieznajomy obiecał, że będą w kontakcie. Jeśli to zboczeniec, na pewno zadzwoni, obśliniając cały telefon. Jeśli to nie zboczeniec, to może przyjaciel? W takim razie także zadzwoni, choć z lepszych pobudek.

Mijał czas, atak astmy ustępował, Fric wstał. Przypiął inhalator do paska.

Trochę zakręciło mu się w głowie. Oparł się o zimną metalową ścianę, ale zaraz ruszył do drzwi.

Minutę później usiadł na łóżku i podniósł słuchawkę. Na tablicy telefonicznej centralki obok jego linii zapaliło się światełko.

Od czasu kiedy w pokoju kolejowym rozległo się *uuu-dili-uuu-dili-uuu* nikt do niego nie dzwonił. Wcisnął „*69”. Telefon zaczął automatycznie wybierać numer, spod którego zadzwonił jego ostatni rozmówca.

Gdyby Fric był geniuszem szkolonym na niezwykle niebezpiecznego szpiega albo miał fenomenalnie wrażliwe ucho

Beethovena, zanim Beethoven ogłuchł, albo gdyby jedno z jego rodziców było kosmitą, zesłanym na Ziemię w celu skrzyżowania się z człowiekiem, być może potrafiłby przetłumaczyć ten gwałtownie zmieniający się telefoniczny świergot na liczby. Mógłby zapamiętać numer Tajemniczego Rozmówcy i do niego zadzwonić.

Ale on był tylko synem największego gwiazdora filmowego na świecie. Z tą pozycją wiązało się wiele przywilejów, na przykład darmowe gry z Microsoftu i dożywotnia wejściówka do Disneylandu, ale oszałamiający geniusz czy paranormalne zdolności były wykluczone.

Odczekał dwanaście sygnałów i przełączył telefon na głośnik. Podszedł do okna, nie rozłączając się.

Trawnik od strony wschodniej, gładki jak stół bilardowy, biegł łagodnie w dół pomiędzy dębami, cedrami, różanymi ogrodami w szarą mgłę i srebrny deszcz.

Fric zaczął się zastanawiać, czy powinien komuś powiedzieć o Tajemniczym Rozmówcy i jego ostrzeżeniu.

Jeśli zadzwoni na komórkę Ojca Ducha, odbierze jego ochroniarz albo osobisty wizażysta. Albo osobisty stylistka. Albo masażysta, z którym ojciec się nie rozstawał. Albo duchowy doradca, Ming du Lac, albo jeszcze jakiś gwiazdny okruch, orbitujący przy Czwartym Najbardziej Podziwianym Człowieku Świata.

Będą sobie podawać telefon z rąk do rąk, przez niewiadome odległości, aż po dziesięciu do piętnastu minutach odezwie się Ojciec Duch. Powie: „Cześć, brachu, zgadnij, kto ze mną jest i chce z tobą porozmawiać?”.

I zanim Fric zdąży wykrztusić słowo, Ojciec Duch odda słuchawkę Julii Roberts, Arnoldowi Schwarzeneggerowi, Tobeyowi Maguire, Kirsten Dunst albo Lassie, albo wszystkim naraz, i wszyscy będą bardzo mili. Spytają, jak Fric sobie radzi w szkole, czy jak dorośnie, chce być największą gwiazdą filmową na świecie, czy jego

szkoła jest ładna...

Zanim telefon znowu wróci do Ojca Ducha, dziennikarz z „Entertainment Weekly” zacznie robić notatki do artykułu o pogawędce ojca z synem. Kiedy artykuł ukaże się w druku, wszystkie fakty będą poprzekręcane, a Fric wyjdzie albo na płacznego idiotę, albo na zepsutego pieszczoska.

Co gorsza, telefon może odebrać chichotliwa młoda aktorka bez żadnych osiągnięć zawodowych, ale popularna w gazetach – kiedyś nazywałyby się gwiazdką. To zdarzało się często. Na dźwięk imienia „Fric” zaczęłyby chichotać, bo takie dziewczyny chichoczą, gdy usłyszą dowolny dźwięk. Rozmawiał już z dziesiątkami, setkami takich i wydawały się identyczne, jak kolby kukurydzy z tego samego pola, jakby jakiś farmer naprawdę je hodował na grządce w Iowa i wysyłał w skrzynkach do Hollywood.

Do Nominalnej Matki, Freddie Nielander, nie mógł zadzwonić, bo przebywała w jakimś odległym i bajecznie szykownym miejscu, na przykład Monte Carlo, zajęta byciem piękną. Nie miał nawet jej aktualnego telefonu.

Pani McBee, a co za tym idzie, także pan McBee, byli dla niego mili. Zawsze starali się robić to, co dla niego najlepsze. Mimo to wahał się, czy zaprzętać im głowę. Pan McBee był odrobineczkę... opóźniony. A pani McBee była potężną kobietą, która wiedziała i widziała wszystko i której jedno karcące spojrzenie i cicha nagana mogły doprowadzić winowajcę do krwotoku wewnętrznego.

Państwo McBee pełnili funkcję *in loco parentis*. Jest to łaciński zwrot używany przez prawników. Oznacza to, że mieli prawa rodzicielskie wobec Frica pod nieobecność jego rodziców, czyli prawie przez cały rok.

Państwo McBee należeli do personelu Palazzo Rospo na długo przedtem, zanim Ojciec Duch go kupił. Fric uważał, że są wierni domowi i jego tradycji bardziej niż pracodawcy i jego rodzinie.

Pan Baptiste, sympatyczny kucharz, był miłym towarzyszem zabaw, ale nie przyjacielem i z całą pewnością nie powiernikiem.

Pan Hachette, przerażający i prawdopodobnie szalony szef kuchni, nie był osobą, do której ktokolwiek – może oprócz szatana – mógłby się zwrócić w chwili potrzeby. Fric każdą swoją wyprawę do kuchni planował tak, żeby się z nim nie spotkać. Czosnek nie odstraszyłby pana Hachette A, który go uwielbiał, ale gdyby przyłożył mu krzyż do ciała, pewnie zająłby się płomieniem i uciekł pod postacią nietoperza.

Możliwe, że Tajemniczy Rozmówca ostrzegał Frica właśnie przed szalonym szefem kuchni.

Tak naprawdę każdy z dwudziestu pięciu pracowników mógł być maniakałnym świrem, który knuje mordercze plany. Świrem z toporem. Ze szpikulcem do lodu. Z jedwabnym szalikiem do duszenia.

A może chcą zaatakować wszyscy razem? Może przy następnej pełni ogarnie ich szal i jednocześnie wybuchną. Zaczną popełniać ohydne i krwawe zbrodnie, rzucać się na siebie z pistoletami, siekierami i wysokoobrotowymi mikserami.

Skoro nie można się dowiedzieć, co naprawdę myślą o nas rodzice, skoro nie sposób zrozumieć, kim naprawdę są i co się dzieje w ich głowach, to jak można wiedzieć coś pewnego o ludziach, którzy nie są nam tak bliscy?

Fric do pewnego stopnia wierzył, że pan Truman nie jest psychopatycznym mordercą z piłą łańcuchową. Pan Truman był przecież policjantem. Poza tym miał w sobie coś takiego... Fric nie znał słowa na opisanie tego czegoś, ale to wyczuwał. Pan Truman był solidny. Kiedy wchodził do pokoju, to w nim był. Kiedy rozmawiał, to nawiązywał łączność.

Fric jeszcze nigdy nie spotkał kogoś takiego.

Mimo to nie mógł powiedzieć panu Trumanowi o Tajemniczym Rozmówcy i potrzebie znalezienia bezpiecznej kryjówki.

Przede wszystkim bał się, że pan Truman mu nie uwierzy. Chłopcy w jego wieku często zmyślają. Fric nie, ale inni chłopcy tak. Fric nie chciałby, żeby pan Truman uznał go za małego smarkatego kłamczucha. Ani za tchórza, bekse i cykora.

Nikt by nie uwierzył, że Fric ze dwadzieścia razy ocalił świat przed zagładą – co przypisywano jego ojcu – ale dlaczego mają go uważać za mięczaka? Zwłaszcza pan Truman.

Poza tym nawet mu się podobało, że ma tajemnicę na własność. Taka tajemnica jest nawet lepsza od pociągów.

Telefon Tajemniczego Rozmówcy zadzwonił pewnie ze sto razy, ale nikt nie podniósł słuchawki. Fric się rozłączył.

Musiał się zabrać do pracy. Zacząć się przygotowywać.

Nadchodzą kłopoty. Fric zamierzał być gotowy na ich przyjście. Chciał je powitać i pokonać.

Ethan Truman szedł pod czarnym parasolem przez trawiastą alejkę między grobami. Pod jego podszwami głośno mlaskała ziemia przesycona wodą. Ogromne cedry o opadających gałęziach płakały razem z deszczem, ptaki, jak zmartwychwstałe upiory, łopotwały w gałęziach, kiedy zbliżał się do nich na niepokojącą odległość.

Zdawało mu się, że na tych żałobnych polaciach trawy nie było nikogo. Ukochanych zmarłych odwiedza się w słoneczne dni, by wspomnienia były radosne. Nikt nie przychodzi na cmentarz w czasie burzy.

Nikt z wyjątkiem gliniarza o bardzo zaostrzonej ciekawości i wrodzonej potrzebie wyjaśniania prawdy. Mechanizm jego serca i duszy pchał go wszędzie tam, gdzie nakazywała mu iść logika i podejrzliwość.

W tym wypadku logika, podejrzliwość i strach.

Intuicja podpowiadała, że nie jest tu pierwszym gościem tego dnia i że wśród zmarłych znajdzie coś niepokojącego, choć nie miał pojęcia, co by to mogło być.

Nagrobki ze zwiertzałego granitu, mauzolea porośnięte mchem i szerniałe, chylące się ku upadkowi kolumny i obeliski: żaden z tych tradycyjnych symboli nie miał obecnie prawa wstępu na cmentarz. Granice grobów oznaczała brązowa plakietka na jasnym granicie. Z daleka cmentarz wyglądał jak zwyczajny park.

Hannah, za życia jasna i promienna, została upamiętniona tym samym brzydkim kawałkiem brązu co tysiące innych, śpiących snem wiecznym. Ethan przychodził na jej grób sześć lub siedem razy w roku, w tym na Boże Narodzenie. I zawsze na ich rocznicę. Nie wiedział, czemu tak często. Przecież Hannah tu nie ma, tylko jej

kości. Ona żyje w jego sercu, jest z nim zawsze. Czasami wydawało mu się, że przychodzi tu nie po to, by ją wspominać – bo wcale o niej nie zapomniał – lecz by patrzeć na pustą działkę obok niej, na czystą granitową tablicę, na której pewnego dnia ktoś przymocuje brązową tabliczkę z jego nazwiskiem.

Miał trzydzieści siedem lat – za mało, by tęsknić za śmiercią. Życie mogło mu jeszcze wiele ofiarować. Mimo to pięć lat po utracie Hannah nadal czuł, że w nim także coś umarło.

Przez dwanaście lat nie planowali dziecka. Byli tacy młodzi. Po co się spieszyć?

Nikt nie przewidział, że pełna życia, piękna, trzydziestodwuletnia kobieta zachoruje na straszną odmianę raka, która zabije ją w cztery miesiące. Choroba zabrała ją wraz z dziećmi, które mogli sprowadzić na ten świat – i wnukami, które przyszłyby po nich.

W pewnym sensie Ethan umarł razem z nią: ten Ethan, który byłby kochającym ojcem dzieci obdarzonych jej wdziękiem, ten Ethan, który poznałby radość przebywania przez wiele dziesiątków lat w jej towarzystwie, który poznałby spokój i sens życia.

Być może powinien teraz zobaczyć jej rozkopany, pusty grób.

Tymczasem to, co znalazł, wcale go nie zaskoczyło.

Pod jej plaketką leżały dwa tuziny świeżych róż o długich łodygach. W kwiaciarni zawinięto je w tubę ze sztywnego celofanu, która częściowo chroniła kwiaty przed siekącym deszczem.

Była to krzyżówka róż herbatnich, złotoczerwona odmiana Broadway. Ze wszystkich róż, które Hannah kochała i hodowała, Broadwaye były jej najmilsze.

Ethan powoli obrócił się wokół własnej osi, wodząc wzrokiem wśród grobów. Na łagodnie falistym zielonym trawniku nie było widać żadnej postaci. Ze szczególną podejrzliwością zaglądał w cień

każdego cedru, każdego dębu. O ile widział, za żadnym pniem nie czaił się obserwator. Wąska dojazdowa dróżka była pusta. Ford Ethana – biały jak zima, lśniący jak lód – był jedynym zaparkowanym samochodem.

Za granicami cmentarza, za mgłą i zasłoną deszczu majaczyły zarysy miasta, bardziej przypominające sylwetę upiornej metropolii. Nie było słycać warkotu ani ryku klaksonów, jakby wszyscy jej mieszkańcy już spoczęli pod trawą.

Ethan jeszcze raz przyjrzał się bukietowi. Oprócz pięknego koloru Broadwaye miały także subtelny zapach. Hoduje się je w słonecznych ogrodach, a są odporniejsze na pleśń od innych odmian.

Dwa tuziny róż na grobie to żaden dowód. A jednak Ethan uznał je za dowód dziwnego hołdu dla zmarłej – od zmarłego.

Hazard Yancy, siedzący w nieoznakowanym sedanie naprzeciwko mieszkania Rolfa Reynerda w Zachodnim Hollywood zjadł mamoula i popił kawą z termosu. Wczesny zimowy zmrok miał zapaść dopiero za pół godziny, ale pod ciężkimi burzowymi chmurami już od dawna panował przedwczesny mrok. Zaopatrzone w czujniki fotoelektryczne uliczne latarnie zapaliły się, dając stalowy połysk igielkom deszczu, które jakby chciały jeszcze bardziej zszyć ze sobą zwisające szare niebo i ziemię.

Mogłoby się wydawać, że Hazard jest kompletnie pochłonięty pożeraniem ciastek na koszt państwa. Tymczasem zastanawiał się nad taktyką, jaką powinien zastosować wobec Reynerda.

Po obiedzie z Ethanem wrócił do swojego biurka w wydziale zabójstw. W parę godzin, na zmianę zaglądając do Internetu i chwytając za słuchawkę, dowiedział się paru rzeczy o swoim obiekcie.

Rolf Reynerd był aktorem, jedynie od czasu do czasu żyjącym ze swego wyuczonego fachu. Pomędzy okazjonalnymi rolami drugoplanowymi jako zły chłopiec w tej czy innej tandetnej operze mydlanej zdarzały mu się długie okresy bezrobocia.

W jednym odcinku „Z Archiwum X” zagrał agenta federalnego, który oszalał, zaatakowany przez kosmiczną pijawkę, zainteresowaną jego mózgiem. W odcinku „Prawa i bezprawia” był szalonym osobistym trenerem, który pod koniec pierwszego aktu zabił siebie i żonę. W telewizyjnej reklamówce dezodorantu kreował szalonego strażnika w sowieckim gułagu. Reklamówka nigdy nie była emitowana na cały kraj i Reynerd niewiele na niej zarobił.

Aktor, który ma nieszczęście trafić do szufladki jako „typ”, zwykle wpada w tę pułapkę dopiero po wielkim sukcesie w

pamiętnej roli. Potem publiczność nie chce go widzieć w roli innej niż ta, która dała mu sławę. Jednak Reynerd nawet jako aktor nieznan był obsadzany w pewnych konkretnych rolach. To nasunęło Hazardowi przypuszczenie, że pewne cechy jego charakteru i zachowania pozwalają mu na odtwarzanie jedynie postaci mentalnie niezrównoważonych, że tak dobrze gra wariatów, bo sam ma nie po kolei pod sufitem.

Pomimo nieregularnych dochodów Rolf Reynerd zamieszkiwał przestronne mieszkanie w ładnym budynku w dobrej dzielnicy. Dobrze się ubierał, bywał w najmodniejszych nocnych klubach w towarzystwie młodych aktorek, miłośniczek dom perignon, a poruszał się nowym jaguarem.

Dawni przyjaciele owdowiałej matki Reynerda, Miny, twierdzili, że rozpieszczała syna. Uważała, że pewnego dnia będzie sławny i wspierała go co miesiąc hojnym czekiem. Przyjaciele byli „dawni”, ponieważ Mina Reynerd zmarła cztery miesiące temu. Najpierw postrzelono ją w nogę, potem zaś zatłuczono marmurową lampą inkrustowaną złoceniami.

Mordercy nie schwytano. Wywiadowcy nie znaleźli żadnych poszlak. Nikt się nie zdziwił, że jedynym spadkobiercą jej majątku został jej jedyny syn, kiepski aktor Rolf.

Na wieczór, w którym popełniono morderstwo, miał murowane alibi.

To także nie zdziwiło Hazarda. Nie przekonało go też do niewinności Reynerda. Jedyni spadkobiercy z zasady mają murowane alibi.

Lekarz sądowy stwierdził, że Mina została zatłuczona pomiędzy dziewiątą a jedenastą w nocy. Morderca zadawał ciosy z taką siłą, że złoczone inkrustacje głęboko odcisnęły się w jej ciele, a nawet odbiły się na kości czola.

Rolf balował ze swoją obecną przyjaciółką i czterema innymi

parami od siódmej wieczorem do drugiej rano. Hałasowali, rzucali się w oczy i zapamiętano ich w dwóch modnych nocnych klubach, w których spędzali czas.

Zagadka morderstwa Miny pozostała nierozwiązana, ale nawet gdyby Rolf twierdził, że tamtego wieczora bawił się we własnym towarzystwie, zamknięty w domu na cztery spusty, Hazard i tak nie miał prawa mu się narzucać. Ta sprawa należała do innego detektywa.

Szcześliwym zbiegiem okoliczności Hazard znalazł z innej sprawy jednego z towarzyszy zabaw Reynerda – Jerry'ego Nemo – co otwierało przed nim nowe możliwości. Dwa miesiące temu pewien handlarz narkotyków, Carter Cook, dostał kulkę w łeb. Morderstwo zostało wyraźnie popełnione niejako przy okazji włamania. Cook miał tony towaru i gotówki.

Przyjaciel Reynerda, Jerry Nemo, zadzwonił do Cooka jakąś godzinę przed morderstwem. Nemo był jego klientem, ćpunem. Umówił się z Cookiem, żeby kupić od niego parę działek.

Nemo nie był już podejrzany. Nikt w Los Angeles ani w ogóle na planecie Ziemia nie był już podejrzany. Morderstwo Cooka zakwalifikowano jako klasyczny wrzód na dupie, sprawę niemożliwą do rozwiązania. Mimo to udając, że Nemo nadal jest podejrzany, Hazard miał pretekst, by zapukać do Reynerda i przyjrzeć się mu, o co prosił Ethan.

Dla Reynerda w ogóle nie potrzebował żadnego pretekstu. Dzięki odznace i fantazji mógł wyprodukować tysiąc bajeczek na tyle przekonujących, że chłoptaś otworzyłby drzwi i zaczął zeznawać jak maszyna.

Ale gdyby Reynerd zdradził w jakiś sposób swoją obsesję na tle Channinga Manheima albo – co wysoce nieprawdopodobne – zamiar zamachu na gwiazdora, Hazard musiałby powiadomić o tym wydział zabójstw. Wówczas potrzebował wiarygodnego pretekstu, by

uzasadnić, dlaczego w ogóle zaczął przesłuchiwać Reynerda.

Udając, że zaćpany kumpel aktora, Nemo, jest nadal podejrzanym w sprawie Cartera Cooka, Hazard krył własny tyłek.

Zlizał z palców cukier puder i okruszki mamoula. Wysiadł z samochodu. Nie zawracał sobie głowy parasolem. Zajmował tyle powierzchni co dwóch futbolistów, tylko kawiarniany parasol dałby mu dostateczną osłonę. Szedł szybko, ale nie biegł. Budynek nie stał zbyt daleko od ulicy. Poza tym Hazard rzadko dopasowywał się do świata, bo to świat raczej schodził mu z drogi. Tego deszczu prawie nie zauważył.

W budynku zignorował windę i zaczął wchodzić po schodach.

Raz ktoś do niego strzelał w windzie. Wjechał na piąte piętro, drzwi się rozsunęły, a napastnik już czekał.

W windzie nie ma specjalnie dokąd uciekać; pod względem miejsc, w których można zostać postrzelonym, gorsza jest tylko budka telefoniczna i zaparkowany samochód.

W zaparkowanym samochodzie też ktoś do niego strzelał. W budce nigdy. Hazard przypuszczał, że to kwestia czasu.

Napastnik przed windą miał dziewiątkę. I prawie oszalał ze zdenerwowania. Gdyby się uspokoił albo miał coś większego, rezultaty mogłyby być niekorzystne dla Hazarda.

Pierwszy pocisk trafił w sufit. Drugi wywalił dziurę w tylnej ścianie. Trzeci musnął obcego człowieka, który jechał windą z Hazardem.

Jak się okazało, ów obcy, agent izby skarbowej, był właśnie celem. Hazard miał nieszczęście znaleźć się w złym miejscu w niewłaściwym czasie. Miał umrzeć tylko dlatego, że był świadkiem.

Zamiast odpowiedzieć ogniem, rzucił się na napastnika. Wyrwał mu pistolet z ręki, złapał go za klapy, grzmotnął nim o ścianę i zmiażdżył jądra kolanem. I, nieprzypadkowo, złamał mu

rękę. Później przez parę miesięcy podczas sprawy rozwodowej umawiał się z żoną tego, który strzelał. To nie była zła kobieta, tylko zadawała się ze złymi facetami.

Teraz Hazard wspinał się na piętro, nie najlepiej znosząc ciasny korytarz. Bez wahania zadzwonił do drzwi mieszkania 2B.

Rolf Reynerd okazał się dokładnie taki jak w opisie Ethana, włącznie z narkotycznym lśnieniem zimnych niebieskich oczu i maleńkimi płatkami piany w kącikach ust, co sugerowało, że regularnie daje sobie w żyłę, a w chwili narkotycznej psychozy może się zacząć miotać po mieszkaniu w błędnym przeświadczeniu, że jest Spidermanem, który strzela z przegubów jedwabistymi nitkami.

Hazard machnął mu przed nosem legitymacją, opowiedział wzruszającą bajkę o tym, jak to Jerry Nemo jest podejrzanym w sprawie śmierci Cartera Cooka, i uzyskał wstęp do mieszkania Reynerda tak szybko, że jeszcze nie wszystkie krople deszczu skończyły mu skapywać z uszu.

Reynerd, żywa reklama siłowni i odżywek proteinowych, wyglądał, jakby codziennie zjadał tuzin surowych jaj tylko po to, by zachować masę mięśniową prawego tricepsa. Z nich dwóch to Hazard Yancy był większy i bez wątpienia bardziej inteligentny, ale i tak zachował czujność. Reynerd zamknął drzwi i zaprowadził Hazarda do salonu, wyrażając szczerą chęć współpracy, jak również płynące z serca przekonanie, że jego serdeczny przyjaciel Jerry Nemo nie jest zdolny zabić nawet muchy.

Hazard zlekceważył miłość Nemo do much i uczepił się szczerości tak kurczowo, jakby prowadził program dydaktyczny dla przedszkolaków w telewizji śniadaniowej.

Jeśli Reynerd i w filmach grał tak okropnie, to scenarzyści pewnie gorączkowo musieli wymyślać dla niego śmiertelne wypadki samochodowe i błyskawicznie rozwijające się guzy mózgu. Może publiczność wolałaby zobaczyć jego gwałtowną śmierć. Na przykład

strzał w windzie.

Meble, dywan, żaluzje, zdjęcia ptaków: wszystko w tym mieszkaniu było czarno-białe. W telewizorze stary czarno-biały film, Clark Gable i Claudette Colbert pokazywali Reynerdowi, jak to się robi.

Serdeczny przyjaciel Jerry'ego Nemo, ubrany w czarne spodnie i czarno-białą sportową koszulkę, zlewał się z wystrojem mieszkania. Hazard, na jego zaproszenie, usadowił się w fotelu. Przysiadł na samym brzeżku, żeby w razie czego szybciej się poderwać.

Reyner wziął pilota ze stolika i zatrzymał Gable'a w pół słowa, a Colbert w pół reakcji. Usiadł na sofie.

Jedyny kolor w pokoju był zastrzeżony dla niebieskich oczu Reynerda i jaskrawych wzorów na dwóch torbach chipsów ziemniaczanych, stojących na sofie po obu jego stronach.

Torba po lewej mieściła chipsy po hawajsku. Torba po prawej – ze śmietaną i szczypiorkiem. Smakosz.

Hazard nie zapomniał o enigmatycznym, lecz pełnym nacisku ostrzeżeniu Ethana o pojemnikach z przekąskami.

Obie torby były otwarte i na tyle pękate, że mogły być pełne. Hazard wyczuł słaby tłusty zapach chipsów. Gdyby oprócz nich w torbie znalazł się także rewolwer, nie poczułby jego zapachu. Nie mógł go także dostrzec, ponieważ – oczywiście – torby były nieprzezroczyste.

Reynerd siedział z rękami na udach, oblizywał usta, jakby lada chwila miał skosztować słonych specjałów. Skinął głową w stronę zatrzymanego obrazu w telewizorze.

– To dla mnie idealne medium – oznajmił. – Za późno się urodziłem. Powinienem żyć wtedy.

– Czyli kiedy? – spytał Hazard, bo wiedział, że podejrzani często ujawniają najwięcej, gdy zdają się gadać o byle czym.

- W latach trzydziestych i czterdziestych. Kiedy wszystkie filmy były czarno-białe. Powinienem być wtedy gwiazdą.

- Naprawdę?

- Mam zbyt mocną osobowość do kolorowych filmów. Wyskakuję z ekranu. Przerastam to medium, tę publiczność.

- Rozumiem. To problem.

- W erze koloru największe gwiazdy mają nijakie charaktery, są płytkie. Płaskie.

- A to dlaczego?

- Kolor, głębia ostrości, jaką dysponują nowoczesne kamery, technologia dźwięku – wszystko to sprawia, że płaskie osobowości stają się ogromne, zyskują złudzenie konkretności i złożoności.

- A tymczasem pan...

- A tymczasem ja jestem złożony, głęboki i pełen życia, dlatego te wszystkie polepszacze sprawiają, że staję się karykaturalny.

- To musi być przykre – wyraził współczucie Hazard.

- Nawet pan sobie nie wyobraża. W czarno-białym filmie wypełniłbym ekran, nie przytłaczając publiczności. Gdzie Bogart i Bacall naszych czasów, gdzie Tracy i Hepburn, Cary Grant, Gary Cooper i John Wayne?

- Nigdzie – zgodził się Hazard.

- W naszych czasach nie odnieśliby sukcesu – zapewnił go Reynard. – Byliby zbyt wielcy dla nowoczesnych filmów, zbyt olśniewający. Co pan myśli o „Moonshakerze”?

- O czym?

- „Moonshaker”. Ostatni hit Channinga Manheima. Dwieście milionów dolarów zysku.

Być może Reynerd miał takiego fioła na tle Manheima, że prędzej czy później zacząłby o nim mówić podczas dowolnej rozmowy. Mimo to Hazard oznajmił ostrożnie:

– Nie chodzę do kina.

– Każdy chodzi.

– Niekoniecznie. Żeby zebrać dwieście milionów dolców, trzeba sprzedać niespełna trzydzieści milionów biletów. To może dziesięć procent narodu.

– No dobrze, ale inni oglądają filmy w telewizji i na DVD.

– Może następne trzydzieści milionów. Nieważne, o jaki film chodzi – co najmniej osiemdziesiąt procent tego narodu go nie zobaczy. Ludzie mają własne życie.

Reynerd zadumał się nad możliwością, że film nie jest pępkiem świata. Nie sięgnął do chipsowych kabur po broń, ale wyraźnie ten zwrot konwersacji był mu nie w smak. Hazard znowu wkradł się w jego łaski, mówiąc:

– Ale w czasach czarno-białego filmu, o których pan mówi, połowa kraju chodziła do kina raz w tygodniu. W tamtych czasach gwiazdy były naprawdę gwiazdami. Każdy znał filmy Clarka Gable’a, Jimmy’ego Stewarta.

– Właśnie! – ucieszył się Reynerd. – Manheim przepadłby w czasach czarno-białego filmu. Byłby zbyt płaski, zbyt cienki. Już by popadł w zapomnienie. Gorzej – byłby zupełnie nieznany.

Ktoś zadzwonił do drzwi.

– Nie oczekuję nikogo – powiedział Reynerd, zdziwiony i nieco rozdrażniony.

– Ja też nie – odparł Hazard sucho.

Reynerd zerknął w okna, gdzie ciężki szary zmierzch wydawał ostatnie tchnienie. Spojrzał na telewizor. Gable i Colbert trwali,

unieruchomieni, w połowie kokieterijnej sprzeczki. W końcu Reynerd wstał, ale zawahał się, spojrzął na torby z chipsami.

Hazard, obserwując ten niezwykle występ, zaczął się zastanawiać, czy to objawy działania speedu, po którym następuje faza dezorientacji i miazdżącego zmęczenia. Dzwonek zadzwonił znowu, Reynerd niechętnie ruszył do drzwi.

– Zawsze te oszołomy z Jezusem – rzucił z irytacją i zmęczeniem. Otworzył drzwi.

Ze swojego miejsca Hazard nie widział człowieka, który strzelił. Trzy twarde *bum, bum, bum* zdradziły jednak, że morderca ma broń dużego kalibru, może .357 albo większą.

Najwyraźniej Reynerd się pomylił – chyba że Świadkowie Jehowy przyswoili sobie nowe techniki interpersonalne.

Po drugim *bum* Hazard zerwał się z fotela, po trzecim sięgnął po własną broń.

Reynerd, równie śmiertelny, jak Gable i Bogart, zatoczył się do tyłu i upadł, tryskając technikolorową czerwienią w czarno-białym apartamencie, w którym jeszcze przed chwilą był taki złożony, głęboki i pełny życia.

Hazard podbiegł do niego. W korytarzu rozległy się kroki.

Reynerd dostał trzy pociski prosto w szeroką pierś. Jeden, wychodząc na wylot, musiał porwać ze sobą strzępy serca. Reynerd umarł, zanim upadł na podłogę.

Wytrzeszczone, zasnute mgłą błękitne oczy aktora stały się mniej chłodne niż za życia. Wyglądał, jakby Jezus był mu pilnie potrzebny.

Hazard przekroczył ciało i wyszedł na korytarz. Morderca zbiegał, skacząc po dwa schodki. Hazard pobiegł za nim.

21

Odchodzący dzień zaplatał się w mokre pasma mgły i mżawki. Twarda twarz nocy nie pochyliła się jeszcze nad miastem.

Ethan zatrzymał forda na eleganckiej ulicy z galeriami sztuki, modnymi sklepami i restauracjami, w których podaje się głównie elitarną atmosferę. Wjechał dwoma kołami w zalaną studzienkę ściekową, zbrojny w pokrzepiającą wiedzę, że patrol miejski znacznie mniej ochoczo wydaje mandaty przy brzydkiej pogodzie.

Sklepy w tej dzielnicy, nastawione na wyrefinowaną, elitarną klientelę, były pozbawione migoczących neonów. Zwykle pieniądze krzyczą, bogactwo szepcze.

Sklepy nie były jeszcze zamknięte, a restauracje miały się otworzyć dopiero za godzinę. Latarnie już się zapaliły; ich blask złościł ociekające deszczem liście drzew przy szosie i zmieniał mokry chodnik w drogę wybrukowaną pirackimi skarbami.

Ethan, nie mając parasola, szedł pod osłoną sklepowych markiz, przeważnie beżowych, ciemnozielonych, srebrnych lub czarnych. Tylko ta przed kwiaciarnią „Zawsze róże” była ciemnokoralowa.

Równie dobrze kwiaciarnia mogłaby się nazywać „Tylko róże”, bo za szklanym drzwiami chłodni w wielkiej sali nie było widać żadnych innych kwiatów, jedynie paprocie i inną zieleninę, która ma tonować jaskrawe bukiety.

Dzięki ogrodniczym zainteresowaniom Hannah nawet dziś, gdy ona już od pięciu lat spoczywała pod stertą róż, Ethan potrafił rozpoznać wiele ich odmian w chłodni.

Oto róża tak ciemnoczerwona, że aż czarna, o płatkach jak aksamit, którym zawdzięcza swoje imię: Czarna Magia.

A tu róża John F. Kennedy: płatki białe, grube i lśniące jak wosk.

Charlotte Armostrong: wielka, wonna, ciemnoróżowa. Jardins de Bagatelle, Rio Samba, Paul McCartney, Auguste Renoir, Barbara Bush, Voodoo i Marzenie Panny Młodej.

Za ladą stała wyjątkowa róża; tak mogłaby wyglądać Hannah, gdyby dożyła sześćdziesiątki. Gęste szpakowate włosy, krótkie i rozwichrzzone. Ciemne wielkie oczy, pełne życia i radości. Czas nie przyćmił urody tej kobiety, wzbogacił ją tylko patyną doświadczenia.

Ethan spojrział na identyfikator na jej bluzce.

– Roweno, w tych chłodniach widzę głównie mieszańca róż herbatnich. A macie pnące?

– O tak, wszystkie odmiany – powiedziała Rowena głosem ciepłym i melodyjnym. – Ale rzadko ich używamy. Odmiany o dłuższych łodygach lepiej sprawdzają się w bukietach.

Ethan przedstawił się i, co w takich sytuacjach weszło mu w nawyk, wyjaśnił, że niegdyś był detektywem z wydziału zabójstw, ale od niedawna pracuje jako asystent gwiazdy.

W Los Angeles i okolicach roi się od pozerów i oszustów, którzy przypisują sobie znajomości ze sławnymi i bogatymi. A jednak nawet ci, których to zdradliwe miasto nauczyło cynizmu, wierzyli Ethanowi lub przynajmniej udawali, że wierzą.

Hannah powiedziała kiedyś, że ludzie mu ufają bez zastrzeżeń, ponieważ ma w sobie spokojną, stalową siłę Brudnego Harry’ego i niewinność Hucka Finna. Takiego filmu, odparł, nigdy bym nie chciał obejrzeć.

Rowena uwierzyła mu, czy to ze względu na mieszankę piorunującą Harry’ego z Huckiem, czy też z innych powodów.

– Czy jeśli odgadnę twoją ulubioną odmianę róży pnącej – spytał – odpowiesz na parę pytań na temat klienta, który tu był tego

popołudnia?

– Pyta policjant czy asystent gwiazdy?

– Obaj.

– Och, cudownie. Uwielbiam prowadzić kwiaciarnię, ale więcej mam tu zapachu niż przygody. Zgaduj.

Ponieważ widział w Rowenie swoją żonę, gdyby dożyła sześćdziesiątki, wymienił ulubioną odmianę Hannah:

– Płaszcz Świętego Józefa.

Rowena otworzyła szeroko oczy, autentycznie zaskoczona i zachwycona.

– Dokładnie! Zawstydzilibyś Sherlocka.

– A teraz twoja kolej – powiedział, opierając się o ladę. – Dziś po południu przyszedł tu pewien mężczyzna, który kupił bukiet Broadwayów.

Olśniewające złotoczerwone pąki na grobie Hannah były owinięte w stożek sztywnego celofanu, spiętego nie taśmą klejącą czy zszywaczami, lecz sześcioma nalepkami. Na każdej znajdował się adres kwiaciarni.

– Mieliśmy tylko dwa tuziny – odparła. – Wziął oba.

– Więc go pamiętasz?

– O, tak. Był... charakterystyczny.

– Możesz go opisać?

– Wysoki, atletycznie zbudowany, ale szczupły, w eleganckim szarym garniturze.

Duncan Whistler miał mnóstwo eleganckich garniturów, wszystkie szyte na miarę za straszne pieniądze.

– Przystojny – ciągnęła – ale okropnie blady, jakby od miesiący

nie wychodził na słońce.

Dunny, od dwunastu miesięcy w śpiączce, wyhodował piękną szpitalną bladość, jeszcze pogłębianą podczas co najmniej godzinnego pobytu w kostnicy.

– Miał magnetyczne szare oczy – ciągnęła. – Z zielonymi plamkami. Piękne.

Tak właśnie wyglądały oczy Dunny'ego.

– Powiedział, że szuka róż dla wyjątkowej kobiety.

Dunny zobaczył te róże podczas jej pogrzebu.

Rowena się uśmiechnęła.

– Powiedział, że wkrótce przyjdzie tu jego stary przyjaciel, który spyta o te róże. Pewnie rywalizujecie o tę samą dziewczynę?

Ani ten zimowy dzień, ani chłód sklepu nie obudziły w nim dreszczu, od którego pewnie zaszczekałyby mu zęby, gdyby ich nie zacisnął. Nagle zdał sobie sprawę, że w uśmiechu Roweny jest coś dziwnego, jakby niepewność czy niepokój.

Zauważyła jego zdenerwowanie i jej nieśmiały uśmiech zgasł.

– Był dziwny – dodała.

– Czy powiedział coś jeszcze?

Odwróciła oczy i spojrzała na drzwi, jakby spodziewała się w nich zobaczyć kogoś znajomego – i niemile widzianego.

Ethan dał jej się zastanowić.

– On twierdzi, że uważasz go za zmarłego – rzekła w końcu.

Pamięć podsunęła mu migawki obrazów: puste łóżko, zmięte prześcieradło w szpitalnej kostnicy, zjawa w zaparowanym lustrze, jaszczurka na podjeździe, pełną pod górę pomimo złamanego kręgosłupa, walcząca ze stromością zbocza i wodą, zimną i

natarczywą jak upływ czasu...

– Powiedział, że uważasz go za zmarłego – powtórzyła, przenosząc spojrzenie na niego. – I żebym ci przekazała, że masz rację.

22

Hazard w korytarzu, Hazard na schodach, dręczy go dotkliwa świadomość, że jako wielki mężczyzna w ciasnym pomieszczeniu stanowi łatwy cel. Mimo to rzucił się w pogoń. Kiedy się przyjmuje robotę, nie można wybrzydzać, że o ryzyku nie było mowy. Poza tym jak większość policjantów żywił zabobonne przeświadczenie, że największe ryzyko łączy się z niezdecydowaniem, z chwilową utratą rozpedu. Przetrvanie zależy od odwagi zaprawionej odrobiną strachu, który wyklucza brawurę.

Łatwo w to wierzyć, dopóki odwaga nie zaprowadzi człowieka na tamten świat.

W filmach gliniarze zawsze krzyczą: „Stać! Policja!”, choć wiadomo, że uciekające oprychy ich nie posłuchają – i choć krzyk zdradzi ich obecność, zanim stanie się to absolutnie konieczne. Hazard Yancy, którego strzały zaskoczyły w fotelu, nie zamierzał ani rozkazywać, ani grozić mordercy Rolfa Reynerda. Zbiegał po schodach i tyle.

Kiedy dotarł do podestu w połowie piętra, zabójca był już u stóp niższego ciągu schodów. Zachwiał się i stracił równowagę, pośliznął się na meksykańskich kafelkach, zamachał rękami, ale nie upadł. Nie obejrzał się, z czego można by wnosić, że nie podejrzewał pogoni.

Hazard się zastanawiał. Płatny zabójca spodziewa się, że zastanie Reynerda w domu i przychodzi na szybką robotę, rozwala frajerowi serce, sam wychodzi z tego bez szwanku, a teraz pewnie już myśli o tym, że za chwilę wypali dobrą trawkę z jakąś długonogą laleczką, która na niego czeka w domu.

Morderca dopadł drzwi wyjściowych; w tym samym czasie

Hazard dobiegł do foyer, ale uciekinier robił tyle hałasu, że nie słyszał nadciągającego zagrożenia, a Hazard, w przeciwieństwie do niego, nie pośliznął się, miał więc przewagę. Dobiegł do drzwi; zabójca był już na zewnątrz, zbiegał po schodach, może zastanawiał się, czy części honorarium za morderstwo nie przeznaczyć na podrasowanie fury albo na dwudziestoczerokaratowe błyskotki dla swojej pani.

Wiatr był słaby, deszcz – zimny, Hazard znajdował się na schodach, zabójca – na chodniku. Odległość między nimi zmniejszała się w nieunikniony sposób, jak między rozpedzoną ciężarówką i ceglanym murem.

Potem rozległ się klakson. Jeden długi, dwa krótkie.

Umówiony sygnał.

Na środku ulicy, nie przy krawężniku, stał ciemny mercedes benz z włączonymi światłami i silnikiem, z rury wydechowej buchały spaliny. Drzwi od strony pasażera były otwarte, czekały na zabójcę. Oto stylowa fura, w sam raz do ucieczki, być może skradziona z jakiegoś podjazdu na Beverly Hills, a za kierownicą siedzi koleś zabójcy, gotów wcisnąć gaz do dechy.

Sygnał musiał chyba oznaczać, że za króliczkiem biegnie wilk, bo zabójca nagle skręcił w lewo, z chodnika. Zrobił to tak gwałtownie, że powinien się potknąć, przewrócić, ale tak się nie stało. Podniósł pistolet, z którego zastrzelił Reynerda.

Wobec utraty elementu zaskoczenia Hazard krzyknął wreszcie:

– Policja! Rzuć broń!

Całkiem jak na filmach, ale oczywiście zabójca już zarobił na dożywocie bez prawa złagodzenia wyroku, może nawet na karę śmierci, dlatego nie miał nic do stracenia. Nie rzucił broni, tak samo jak nie zdejmie teraz gaci.

Broń wyglądała na dużą, nie trzydziestkę ani .357, ale

czterdziestkępiątkę. Nabita paskudnymi nabojami czterdziestkapiątka potrafi łamać kości i wrywać z ciała kawały mięsa – ale żeby zamortyzować odrzut, trzeba zachować równowagę i mieć czas na zanalizowanie sytuacji. Napastnik strzelił w zły pozycji, raczej z paniki niż potrzeby. Broń podskoczyła, a pocisk śmignął tak niecelnie, że Hazard bardziej powinien się bać uderzenia zabłąkanej asteroidy.

Kiedy lufa bluznęła ogniem w deszcz, a pocisk roztrzaskał szybę w domu obok, Hazard zareagował częściowo zgodnie z rutyną, częściowo z obowiązku, a przede wszystkim instynktownie. Zabójca drugi raz nie popełni błędu. Wszystkie wykłady na temat wrażliwości; wszystkie płynące z serca pouczenia na temat postępowania z obywatelami i politycznych konsekwencji owych działań; odgórne zarządzenia, by na przemoc reagować cierpliwością, zrozumieniem i umiarem, na nic nie przydawały się w chwili, kiedy trzeba było zabijać, żeby nie zostać zabitym.

Brzęk tłuczonego szkła jeszcze nie wybrzmiał, kiedy Hazard chwycił broń oburącz, przyjął odpowiednią postawę i odpowiedział ogniem na ogień. Wystrzelił dwa razy, niewiele się przejmując ewentualnym surowym osądem „Los Angeles Times” w dziale policyjnym, za to bardzo przejęty bezpieczeństwem ulubionego synka mamuśki Yancy.

Pierwszy pocisk trafił w cel, drugi uderzył w chwilę, gdy pod zabójcą uginały się nogi. Zabójca strzelił, ale nie w Hazarda, lecz w trawę u własnych stóp. Broń wyskoczyła z jego osłabłej dłoni. Przykląkł na jedno kolano jak w kościele, potem na drugie, upadł na twarz.

Hazard kopnął czterdziestkępiątkę w krzaki i rzucił się biegiem w stronę mercedesa. Samochód ryknął i wystrzelił przed siebie. Spod piszczących kół uniosły się chmury deszczowego pyłu, zapachniało paloną gumą.

Kierowca mógł strzelić do Hazarda przez otwarte drzwi od

strony pasażera, ale warto było zaryzykować. Jako specjalista od ucieczek samochodowych, nie walki, prawdopodobnie nie zacznie się bronić, dopóki ma benzynę w baku, a przed sobą otwartą drogę ucieczki.

Hazard dopadł swojego sedana. Zanim zdołał go obiec, mercedes wystrzelił jak rakieta. Szarpnięcie zatrzasnęło drzwi od strony pasażera.

Hazard nie zdążył zobaczyć kierowcy.

Postać za kierownicą mignęła mu tylko przez chwilę. Zgarbiona, zniekształcona, w jakiś sposób... niewłaściwa.

Hazard nie spodziewał się poczuć tego dziwnego drapania w kościach – przecucia, które zwykle go omijało. Nie wiedział, skąd się mu nagle wziął ten strach i poczucie niesamowitości.

Mercedes oddalił się z rykiem. Hazard nie strzelał za nim, co bez wątpienia zrobiłby filmowy gliniarz. Dzielnica była spokojna, jej mieszkańcy oglądający powtórki programów i myjący warzywa na obiad mieli pełne prawo nie spodziewać się, że zabłąkane strzały dzielnego detektywa położą ich trupem na miejscu z pilotem czy marchewką w ręku. Ale pobiegł za samochodem, ponieważ nie potrafił wyraźnie dojrzeć tablicy rejestracyjnej. Opary, deszcz, mgła i mrok stanowiły przeszkody nie do pokonania.

Biegł, zadowolony jak nigdy dotąd z regularnych wizyt w siłowni. Mercedes szybko się oddalał, ale w świetle kilku latarni, po paru mocniejszych podmuchach wiatru Hazard zdołał dojrzeć fragmenty tablicy rejestracyjnej. Najprawdopodobniej samochód był skradziony. Kierowca go porzuci. Mimo to lepiej mieć te numery, niż ich nie mieć.

Zrezygnował z pościgu i wrócił na trawnik przed blokiem. Miał nadzieję, że zastrzelił mordercę, a nie go zranił. Za parę minut na miejscu zajścia zjawi się oddział interwencyjny. Zależnie od życiowej filozofii jego członków albo z wigorem przystąpią do obrony Hazarda

i zwolnią go, nie dochodząc prawdy, albo też zaczną szukać strzępków i śladów najbliższych niekonsekwencji, sfabrykują jakieś dowody, zaciagną go przed sąd opinii publicznej i podpuszczą media, które ułożą dla niego stos i zaaplikują mu kurację Dziewicy Orleańskiej.

Trzecią możliwością było to, że oddział nie będzie miał żadnych uprzedzeń, przeanalizuje fakty i dojdzie do opartego na logice i rozsądku obiektywnego wniosku, że Hazarda można puścić wolno, bo nie zrobił nic złego.

Oczywiście jeszcze nie słyszał o takim wypadku i uważał, że jest on mniej prawdopodobny niż to, że za trzy dni zobaczy na własne oczy latające renifery i powożone przez elfa sanie.

Jeśli morderca jeszcze żyje, może zeznać, że Hazard zamordował Reynerda i usiłował zrobić go w to zabójstwo. Albo że przebywał w okolicy, zbierając datki na bezdomne sieroty, kiedy raptem dostał się w ogień krzyżowy, natomiast prawdziwy sprawca zbiegł.

Cokolwiek powie, przeciwnicy policji i obywatele tknięci dogłębnym debilizmem uwierzą mu.

Co więcej, morderca znajdzie sobie prawnika i wytoczy sprawę miastu, żeby się pożywić z państwowego koryta. Dojdzie do ugody bez względu na dowody, a Hazard prawdopodobnie zostanie poświęcony. Politycy nie chronią już dobrych policjantów, lecz młodych zatrzymanych, którzy ich regularnie napadają i czasem zabijają.

Martwy morderca to o wiele mniej problemów niż żywy.

Hazard mógł wracać powoli na miejsce zajścia, by ranny miał czas się wykrwawić, ale pobiegł.

Morderca leżał tam, gdzie upadł, twarzą w mokrej trawie. Po plecach pełził mu ślimak.

W oknach tłoczyli się ludzie, ciemne sylwetki jak martwi strażnicy u bram piekła. Hazard spodziewał się zobaczyć w jednym z tych okien Reynerda, czarno-białego, zbyt stylowego na te czasy.

Odwrócił mordercę na plecy. Czyjś syn, czyjś koleś, dwudziestoparoletni, z ogoloną głową, z maleńką łyżeczką do koki w uchu.

Hazard z ulgą ujrzał usta wykrzywione trupim grymasem i oczy pełne wieczności; jednocześnie ta ulga przejęła go obrzydzeniem. Stał w deszczu, walcząc z mamoulem, który palił go w gardle, wyjął komórkę i zadzwonił na posterunek, by zgłosić zdarzenie. Mógł zaczekać w foyer, ale został na ulewie.

Światła miasta odbijały się we wszystkich zaszklonych deszczem powierzchniach, a jednak ciemność zdawała się prężyć, wydymać jak obżarty wąż.

Szczurzy szelest deszczu w liściach palm nasuwał na myśl obraz setek gryzoni, rojących się w koronach drzew. Po twarzy nieboszczyka pełzły dwa ślimaki. Hazard miał ochotę je strzepnąć, ale się zawahał. Świadcowie mogliby zeznać, że dotykał dowodów na miejscu zajścia. To mroczne podejrzenie mogłoby przypaść do gustu oddziałowi interwencyjnemu.

Znowu to skrobanie w kościach. To poczucie, że coś jest nie tak.

Jeden trup na górze, jeden na dole, w oddali syreny.

Co się dzieje, do diabła? Co się dzieje?

23

Rowena, królowa róż, znowu zacytowała słowa Dunny'ego Whistlera, ale bardziej dla siebie:

– Myśli pan, że on nie żyje i ma pan rację.

Zgrzyt zawiasów, słaby brzęk dzwonka przy drzwiach; Ethan odwrócił głowę w stronę wejścia. Nikogo w nim nie było.

Wiatr-włóczęga, który na chwilę opuścił burzę, powrócił i załomotał do drzwi kwiaciarni.

– Co to może znaczyć? – zastanawiała się kobieta za ladą.

– Spytałaś go?

– Powiedział to, kiedy już zapłacił za róże i wychodził. Nie miałam okazji spytać. To jakiś wasz żart?

– A uśmiechał się?

Zastanowiła się i pokręciła głową.

Kątem oka zauważył nagle pojawienie się jakiejś postaci. Odwrócił się z zapartym tchem i zrozumiał, że przestraszył się własnego odbicia w drzwiach chłodni.

Zmrożone róże w wiadrach i na półkach stały w tak cudownym rozkwicie, że można by zapomnieć, iż już są martwe. Za parę dni zwiędną, pokryją się plamami, zaczną gnić.

Te chłodnie, w których śmierć kryła się w rozkwitłych pąkach, skojarzyły się mu z szufladami w kostnicy, gdzie zmarli wyglądają niemal tak, jak za życia, a śmierć już w nich urzęduje, lecz jeszcze się nie ujawniła.

Choć Rowena była towarzyska i śliczna, choć to królestwo róż powinno budzić dobre skojarzenia, Ethan zaczął się spieszyć do

wyjścia.

– Czy ten... mój przyjaciel zostawił dla mnie jakąś wiadomość?

– Nie. To chyba wszystko.

– Dziękuję, Roweno. Bardzo mi pomogłaś.

– Naprawdę? – spytała, dziwnie na niego patrząc, być może równie zaskoczona tym spotkaniem, jak rozmową z Dunnyem Whistlerem.

– Tak – zapewnił ją. – Bardzo.

Wiatr znowu załomotał w drzwi. Ethan położył rękę na klamce.

– Jeszcze jedno – odezwała się Rowena za jego plecami.

Odwrócił się i choć dzieliły ich jakieś trzy metry, zauważył jej wahanie.

– Wychodząc, twój przyjaciel zatrzymał się w otwartych drzwiach na progu i powiedział: „Niech Bóg błogosławi cię i twoje róże”.

Być może te słowa faktycznie brzmiały dziwnie w ustach faceta typu Dunny’ego, ale to jeszcze nie wyjaśniało, dlaczego Rowena była tak niespokojna.

– Ledwie to powiedział – dodała – światło zamrugało, przygasło, zrobiło się zupełnie ciemno, ale potem znowu się zapaliło. Wtedy nie zwróciłam na to większej uwagi, bo była burza, ale teraz wydaje mi się, że to... istotne. Nie wiem dlaczego.

Wieloletnie doświadczenie z przesłuchaniami podpowiedziało Ethanowi, że Rowena jeszcze nie skończyła, a jego cierpliwe milczenie wyciągnie z niej więcej niż jakiegokolwiek słowa.

– Kiedy światło przygasło, a potem zrobiło się ciemno, twój przyjaciel się roześmiał. Tak przelotnie, niedługo, cicho. Spojrzał na sufit, roześmiał się i wyszedł.

Ethan czekał.

Rowena, jakby zdziwiona, że powiedziała tak wiele o tak krótkiej chwili, dodała jeszcze:

– Ten śmiech miał w sobie coś strasznego.

Piękne martwe róże za szklanymi taflami.

Wicher wężący pod drzwiami.

Deszcz pukający w okna.

– Strasznego? – powtórzył Ethan.

– Nie potrafię tego wyjaśnić. W tym śmiechu nie było wesołości, tylko coś... strasznego.

Z zażenowaniem wytarła dłonią lśniąca czystością ladę, jakby zobaczyła tam jakiś śmieć, pyłek, plamę. Najwyraźniej powiedziała już wszystko, co chciała... lub mogła.

– Niech Bóg błogosławi cię i twoje róże – powiedział Ethan, jakby dla odwrócenia przekleństwa.

Nie wiedział, co by zrobił, gdyby w tym momencie światło zaczęło mrugać. Na szczęście nic się nie stało.

Rowena uśmiechnęła się słabo.

Znowu odwrócił się do drzwi, stanął twarzą w twarz ze swoim odbiciem i zamknął oczy, może by nie zobaczyć niewiarygodnej zjawy obok. Najpierw otworzył drzwi, potem oczy.

Wyszedł ze sklepu prosto w wyjący wicher i dzwoniące dzwonków, prosto w kły grudniowej nocy. Zamknął za sobą drzwi. Zatrzymał się we wnęce przy wystawie, przepuszczając młodą parę w płaszczach przeciwdeszczowych i kapturach. Przeszli, prowadząc na smyczy golden retrievera.

Ociekający pies, zachwycony deszczem i wichrem, pląsał wesoło, unosząc pysk na spotkanie tajemniczych zapachów

wypełniających zimne powietrze. Podniósł głowę, mijając Ethana; oczy miał równie mądre jak ciemne.

Zatrzymał się, nastawił oklapnięte uszy na tyle, na ile to było możliwe i przechylił głowę, jakby nie całkiem pewien, jaki naprawdę jest człowiek pod koralową markizą, pomiędzy różami i deszczem. Zamachał ogonem, ale tylko dwa razy i z wahaniem.

Młoda para, której pies nie pozwolił iść dalej, powiedziała:

– Dobry wieczór.

A gdy Ethan odwzajemnił powitanie, kobieta rzuciła psu:

– Tink, idziemy.

Tink stał, spoglądając Ethanowi w oczy. Posłuchał dopiero za drugim razem.

Para z psem skierowała się w stronę jego forda, odczekał więc chwilę, żeby nie deptać im po piętach. Światło latarni nadal złociło liście drzew; z ich ostrych czubków skapywały krople roztopionego złota. Wydawało się, że ruch jest mniejszy niż zwykle o tej porze, a samochody jadą szybciej, niż na to pozwala pogoda.

Ethan zbliżał się do samochodu od markizy do markizy, grzebiąc w kieszeni w poszukiwaniu kluczy.

Tink dwa razy zwalniał i oglądał się na niego, ale nie stanął.

Pachnące ozonem kaskady deszczu nie zmyły drożdżowego aromatu świeżego chleba, sączącego się z jednej z modnych restauracji, gotowej do otwarcia.

Na zakręcie pies znowu się zatrzymał i odwrócił łeb.

Z oddali, zza szemrzącej zasłony deszczu dobiegł głos kobiety:

– Tink, idziemy!

Powtórzyła to dwa razy, zanim pies znowu ruszył.

Cała trójka znikła za rogiem.

Ethan zawahał się pod ostatnią markizą, w pobliżu miejsca, w którym zaparkował niezgodnie z przepisami. Zaczekał, aż między przejeżdżającymi pojazdami trafi się duży odstęp. Wszedł na deszcz, przeskoczył przez rwący nurt wody na ulicy.

Wyciągnął klucze i skierował je z stronę samochodu. Ford ćwierknął na jego powitanie.

Odczekawszy, aż z ulicy znikną samochody mogące go obryzgać, obszedł wóz, nadal miał szansę uniknięcia wizyty w pralni chemicznej. Podszedł do drzwi; zdał sobie sprawę, że pod tamtą ostatnią markizą zapomniał się uważnie przyjrzeć samochodowi. Nagle nabrał całkowitej pewności, że tym razem na siedzeniu dla pasażera czeka na niego Dunny Whistler, żywy lub nie.

Prawdziwe niebezpieczeństwo nadeszło z innej strony.

Chrysler PT cruiser, który ze zbyt wielką szybkością wjechał na skrzyżowanie, wpadł w poślizg. Kierowca usiłował zahamować, zamiast wyprowadzić samochód z poślizgu, koła się zablokowały i cruiser zaczął wirować wokół własnej osi.

Jego lewy przedni błotnik uderzył w Ethana. Ethan wpadł na forda, twarzą wybijając boczną szybę.

Nie poczuł, że odbił się od forda i upadł na chodnik, ale nagle znalazł się na mokrym asfalcie, w oparach benzyny, czując smak krwi.

Zgrzytnęły jakieś hamulce, ale nie cruisera. Pneumatyczne. Głośne i przeraźliwe.

Pojawiło się coś ogromnego, ciężarówka, i natychmiast poczuł na nodze potworny ciężar, ohydne parcie, aż kości trzasnęły jak suche patyki.

Zwłoki, ułożone wzdłuż ścian niczym podróżni w kuszetkach, leżały na otwartych pryczach na tym nieprzewidzianym przystanku pomiędzy zgonem i grobem. Corky Laputa włączył światło i cicho zamknął za sobą drzwi.

– Witam państwa – powiedział do nieboszczyków. W każdej sytuacji potrafił przywrócić sobie dobry humor. – Następna stacja: piekło, atrakcyjne madejowe łoża, zimne i gorące karaluchy oraz darmowe kontynentalne śniadanie w postaci płynnej siarki.

Po jego lewej ręce znajdowało się osiem ciał i jedna pusta prycza. Po prawej – siedem ciał i dwie puste prycze. Pięć ciał i jedna prycza w głębi pomieszczenia. Dwadzieścia trupów plus miejsce dla jeszcze czterech.

Śpiący, którym nic się nie śni, leżeli nie na materacach, lecz na arkuszach nierdzewnej stali. Prycze miały lekką konstrukcję, umożliwiającą obieg powietrza.

W chłodzonym pomieszczeniu było nie mniej niż pięć i nie więcej niż osiem stopni. Z nosa Corky'ego wylatywały bliźniacze strużki białej pary.

Nowoczesny system wentylacyjny nieustannie wyciągał powietrze z pokoju przez otwory nad podłogą. Świeże powietrze było pompowane do środka przez otwory pod sufitem.

Zapach nie nastrajał do romantycznej kolacji przy świecach, ale nie był też zdecydowanie odrażający. Niemal można sobie było wmówić, że ten zapach nie różni się wiele od odoru potu i grzybicy – prysznicowego bukietu, tak powszechnie spotykanego w szkolnych szatniach.

Żaden z nieboszczyków nie znajdował się w worku foliowym.

Niska temperatura i kontrolowana wilgotność powietrza niemal całkowicie zatrzymywała nieunikniony proces rozkładu – który jednak postępował, choć wolniej. Worek foliowy uwięziłby z wolna uwalniane gazy, stałby się podgrzewanym balonem i nowoczesna aparatura w pomieszczeniu nie miałaby szans.

Zmarłych osłaniały nie winylowe kokony, lecz białe bawełniane całuny. Pomijając zimno i zapach, można by ich wziąć za gości ekskluzywnego uzdrowiska, którzy grupowo ucięli sobie drzemkę w saunie.

Za życia niewielu z nich zaznało luksusu. Gdyby którykolwiek zabłąkał się do uzdrowiska, strażnicy z miejsca by go wyrzucili i zakazali wracać.

Oto przegrani.

Ci, którzy zmarli samotni i anonimowi.

Prawo nakazywało, by ofiary morderstw były poddawane sekcji, podobnie jak ofiary wypadków, samobójstw, niezdiagnozowanych chorób i niejasnych, a zatem podejrzanych przyczyn. W dużym mieście, zwłaszcza tak chorym jak Los Angeles, personel nie nadaża przyjmować zwłok, jakie zjawiają się w kostnicach. Pierwszeństwo mają ofiary zbrodni i ewentualnych błędów lekarskich, a także ci zmarli, których rodziny czekają na wydanie ich doczesnych szczątków.

Włóczędzy bez rodzin, a często i nazwisk, których ciała znajduje się w zaułkach, parkach, pod mostami, którzy zmarli z przedawkowania, wychłodzenia albo na marskość wątroby, przebywali tu parę dni, czasem tydzień lub nawet dłużej, dopóki lekarz sądowy nie znalazł czasu na przeprowadzenie przynajmniej symbolicznej sekcji.

Po śmierci, tak jak za życia, znajdowali się na samym dole drabiny.

Telefon wisiał na ścianie obok drzwi, jakby ktoś troskliwie dał nieboszczykom szansę zamówienia pizzy. Większość linii obsługiwała połączenia wewnętrzne, tworząc rodzaj interkomu. Sześć ostatnich umożliwiała zadzwonienie na miasto.

Cokry wystukał numer komórki Romana Casteveta.

Roman, patolog z biura koronera, właśnie objął dyżur. Pewnie przygotowywał się do sekcji.

Poznali się ponad rok temu, na imprezie anarchistów na uniwersytecie Corky'ego. Jedzenie było kiepskie, drinki nieznacznie rozwodnione, a bukiety kwiatów trywialne, za to towarzystwo – wyborne.

Roman odebrał po trzecim dzwonku. Corky przedstawił się i dodał:

– Zgadnij, gdzie jestem?

– We własnej dupie i nie umiesz wyjść – odgadł Roman.

Miał niekonwencjonalne poczucie humoru.

– Dobrze, że to nie automat – powiedział Corky. – Nie mam drobnych, a te skąpe sztywniaki by mi nie pożyczyły.

– A, to pewnie przyjęcie dla profesorów. Nikt nie jest bardziej skąpy od antykapitalistycznych profesorów. Tarzają się w luksusie za pieniądze podatników.

– Niektórzy mogliby dopatrzeć się w tych słowach pewnej złośliwości – powiedział Corky z nietypową dla siebie surowością.

– I mieliby rację. Jestem wyznawcą okrucieństwa, pamiętasz?

Roman był satanistą. Niech będzie pozdrowiony Książę Ciemności i tak dalej. Nie wszyscy anarchiści są satanistami, ale wielu satanistów jest anarchistami. Corky znał jedną buddystkę-anarchistkę, bardzo pokręconą, ale z doświadczenia wiedział, że anarchiści są w większości ateistami.

Po dogłębnym przemyśleniu sprawy doszedł do wniosku, że klasyczni anarchiści nie wierzą w moce nadnaturalne – ani w moc Zła, ani w potęgę Światła. Wyznają jedynie destrukcję oraz nowy, lepszy porządek, który powstanie na ruinach.

– Biorąc pod uwagę twoją pracę, wydaje się, że nie tylko profesorowie dostają mnóstwo pieniędzy za nic – oznajmił. – Co wy tu robicie wieczorami? Pokerek, opowieści o duchach?

Roman słuchał go nieuważnie, nie podchwycił słowa „tu”.

– Nie do twarzy ci z kpinami. Do rzeczy. Czego chcesz? Zawsze dzwoniś w interesie.

– I zawsze dobrze płacę, prawda?

– Zwyczaj płacenia gotówką jest ze wszech miar godny podziwu.

– Widzę, że rozwiązaliście już problem szczurów?

– Jaki problem szczurów?

Dwa lata temu w mediach zaczęły się pojawiać ponure wiadomości o warunkach sanitarnych w tym budynku.

– Teraz szczurów już nie ma. Rozglądam się – ciągnął Corky – i nie widzę, żeby kuzyni Myszki Miki pożywiali się czyimś nosem.

W słuchawce zapadła cisza.

– Chyba nie jesteś tam, gdzie myślę – odezwał się w końcu Castevet, kiedy już odzyskał głos.

– Jestem dokładnie tam, gdzie myślisz.

Zarozumiałość i sarkazm w głosie Romana natychmiast ustąpiły miejsca zatroskanemu szeptowi.

– Co ty mi robisz? Po co tu przyłazisz? Nie masz prawa wstępu. Nie pracujesz w kostnicy, a zwłaszcza tutaj.

– Mam przepustkę.

– Akurat.

– Mógłbym do ciebie przyjść. Robisz sekcję czy jeszcze jesteś przy biurku?

Szept stał się jeszcze cichszy, lecz pełen napięcia.

– Odbiło ci? Chcesz, żebym wyleciał z roboty?

– Chcę tylko zaprowadzić porządek.

Niedawno Roman dostarczył mu słoje z substancją konserwującą, w której unosiło się dziesięć napleteków nieboszczyków przeznaczonych do kremacji.

Corky przekazał słoje Rolfowi Reynerdowi, zaopatrzony go w instrukcje. Pomimo wrodzonej głupoty Reynerd zdołał zapakować słoje w czarne pudełko i wysłać do Channinga Manheima.

– Potrzebuję dziesięć następnych – powiedział Corky.

– Nie przyłaż tu, żeby o tym gadać! Nigdy tu nie przychodź, idioto. Zadzwoń do mnie z domu.

– Myślałem, że to fajny pomysł, że się uśmiejesz.

– Jezus, Maria – jęknął Roman.

– Jesteś satanistą – uświadomił mu Corky.

– Kretyn.

– Słuchaj, Roman, gdzie właściwie jesteś? Jak się do ciebie dostać? Powinniśmy pogadać.

– Zostań tam, gdzie jesteś.

– No, nie wiem. Trochę mnie ogarnia klaustrofobia. Zaczynam się bać.

– Zostań! Przyjdę za dwie minuty.

– Właśnie usłyszałem coś dziwnego. Możliwe, że jeden nieboszczyk jest żywy.

- Każdy nieboszczyk jest trupem.
- Jestem pewien, że tamten w rogu coś powiedział.
- Ze jesteś idiotą.
- Może zamknęliście tu jakiegoś żywego. Zaczynam panikować.
- Dwie minuty – powtórzył Roman. – Nie ruszaj się. Nie łaż po korytarzach, nie zwracaj na siebie uwagi, bo tobie utnę napletek.

Rozłączył się.

Corky odwiesił słuchawkę telefonu dla nieznanych i ubogich zmarłych.

Rozejrzał się po okrytej w całuny widowni.

- Z całym szacunkiem, Channing Manheim mógłby się u mnie uczyć.

Nie spodziewał się oklasków. Nie potrzebował ich. Doskonały występ jest nagrodą sam w sobie.

25

W Los Angeles padał śnieg.

Wiatr-pasterz przygnał białe stadko z ciemnych dolin nad światem, łagodnie przepędził je między fikusami, palmami i alejami, które nigdy nie widziały białego Bożego Narodzenia.

Oszołomiony Ethan patrzył na białe gwiazdki.

Zdał sobie sprawę, że wichur musiał podważyć dach. Śnieg zasypie mu meble, zniszczy dywan.

Wkrótce będzie musiał wstać, iść do pokoju rodziców. Tata będzie wiedział, co z tym zrobić.

Ale najpierw Ethan chciał się napatrzeć na biały spektakl: nad jego głową wisiał bezkresny kryształowy żyrandol. Girlandy pięknych paciorków i kryształków nieustannie wirowały.

Na rzesach miał szron.

Płatki składały na jego twarzy chłodne pocałunki, roztopiały się na policzkach.

Wzrok mu się wyostrzył; okazało się, że ta grudniowa noc jest pełna kropli deszczu, które jego zmęczone oczy uznały za krystaliczne twory i tajemnicze hieroglificzne formy.

Łóżko, przed chwilą miękkie, w czarodziejski sposób zmieniło się w asfalt.

Nie czuł niewygody, tylko poduszka gniotła go w głowę jak krawężnik.

Deszcz na jego twarzy był zimny jak śnieg, przesywał takim samym chłodem jego odwróconą lewą dłoń.

Prawa także była odsłonięta, ale nie czuł na niej deszczu. Nóg także nie czuł. Nie mógł nimi poruszać. Nie mógł poruszać niczym z wyjątkiem głowy i lewej ręki.

Utonie w tym pokoju bez sufitu, jeśli nie będzie się ruszać.

W sennych rozmyślaniach nagle pojawił się strach, jak rekinopodobny stwór wyłaniający się z głębin pod nim. Zamknął oczy, by nie widzieć prawdy gorszej od tej, że płatki zmieniły się w krople.

Słyszał jakieś głosy. Rodzice pewnie idą, żeby położyć dach na miejsce, uklepać jego kamienną poduszkę i naprawić wszystko, co się zepsuło. Poddał się ich trosce i jak piórko podryfował w krainę, w którą zapuszczają się wszystkie śpiące dzieci, by powrócić z niej bezpiecznie o złotym świcie.

Opadając w czerń, usłyszał: „uraz kręgosłupa”.

Minutę albo dziesięć później znowu otworzył oczy i zobaczył noc rojąca się od czerwonych i żółtych światełek, a także niebieskich, jak w jakiejś dyskotecie na otwartym powietrzu. I już wiedział, że nigdy więcej nie będzie mógł tańczyć ani chodzić.

Wśród trzeszczenia policyjnych krótkofalówek ruszył na wózku do karetki.

W białej furgonetce pod słowem AMBULANS, wypisanym czerwonymi literami o złotych konturach, widniał mniejszy napis: SZPITAL MATKI BOSKIEJ OD ANIOŁÓW.

Może położą go w starym pokoju Dunny'ego.

Ta myśl go przeraziła.

Zamknął oczy na krótką chwilę, usłyszał ludzi ostrzegających się nawzajem „ostrożnie”, „powoli, powoli”, a kiedy znowu spojrzął, okazało się, że jest w karetkce.

Poczuł, że w jego prawej ręce tkwi igła kroplówki.

Po raz pierwszy usłyszał własny oddech – ochryply i rżący – po którym poznał, że ucierpiały nie tylko nogi. Podejrzewał, że jedno, a może i oba płuca walczą z naporem częściowo zgniecionych żeber.

Wolałby poczuć ból. Wszystko, tylko nie tę okropną drętwotę.

Sanitariusz obok niego powiedział z niepokojem do stojącego na deszczu kolegi:

– Musimy się spieszyć.

– Dam do dechy – obiecał drugi moknący sanitariusz, zatraskując drzwi.

Na ścianach pod sufitem lśniły napięte girlandy z czerwonej folii. U ich końców dyndały małe srebrne dzwoneczki, po trzy. Świąteczne ozdoby.

Dzwoneczki wisiały na jednym sznureczku. Ten u góry, największy, wisiał nad środkowym, który z kolei wisiał nad ostatnim, najmniejszym. Kiedy drzwi się zatrzasnęły, maleńkie dzwoneczki zabrzęczały srebrzyście i cicho jak instrumenty elfów.

Sanitariusz włożył Ethanowi maskę tlenową. Gęste powietrze, chłodne jak jesień, słodkie jak wiosna, ukoilo jego rozpalone gardło, ale nie uciszyło świszczącego rżenia. Sanitariusz usiadł za kierownicą i zatrzasnął drzwi; czerwona girlanda znowu zadrżała, dzwoneczki cicho zadzwieczały.

– Dzwonki – powiedział Ethan, ale tlenowa maska stłumiła słowa.

Sanitariusz, szarpiący gorączkowo stetoskop, znieruchomiał.

– Co?

Na widok stetoskopu Ethan doszedł do wniosku, że może posłuchać własnego bicia serca; usłyszał utykający, niepokojący dźwięk. Wyteżył słuch i po chwili już wiedział, że to nie tylko jego serce, ale stuk kopyt zbliżającego się wierzchowca Śmierci.

- Dzwonki – powtórzył. Otworzyły się przed nim tysiące drzwi do strachu.

Ambulans ruszył; syrena zawyła przeraźliwie. Przez ten upiorny wrzask nie było słycać już dzwonek, za to widział, jak drżą te trzy najbliższe niego.

Wyciągnął lewą rękę w ich stronę, ale nie mógł ich dosięgnąć. Jego palce zamknęły się na powietrzu.

Wraz z przejmującym strachem pojawił się zamęt; być może przez to dziwne oszołomienie dzwonki wydały mu się czymś więcej niż ozdobą; ich lśniąca gładkość, migoczące zaokrąglenia, ten namacalny symbol nadziei wydawał się dziwnie mistyczny i Ethan poczuł, że za wszelką cenę musi ich dotknąć.

Sanitariusz widać zrozumiał, jak ważne są dla niego, choć może nie wiedział dlaczego. Wziął małe nożyczki i kołysząc się wraz z ambulansem, odciął od foliowej girlandy najbliższej wiszące gronko.

Ethan mocno ścisnął je w lewej ręce, jednocześnie czule i zaciekle.

Był zmęczony, ale nie odważył się znowu zamknąć oczu ze strachu, że gdy je otworzy, zobaczy ciemność i nic poza nią, że już nigdy nie ujrzy tego świata.

Sanitariusz znowu zajął się stetoskopem. Włożył do uszu słuchawki.

Ethan przeliczał palcami dzwonki, od najmniejszego do największego i znowu do najmniejszego.

Zdał sobie sprawę, że trzyma je jak kiedyś różaniec w tym cichym szpitalnym pokoju w czasie ostatnich nocy życia Hannah, trzyma je z tą samą rozpaczą i nadzieją, z niespodziewaną słodyczą, która pokrzepiała jego serce, i stoicyzmem, który je zbroił w siłę. Nadzieja nie doczekała się spełnienia, stoicyzm go uratował, kiedy przyszło mu pogodzić się ze stratą.

Wtedy usiłował wycisnąć łaskę z paciorków różańca. Teraz gładził krzywizny dzwoneczka, dzwoneczka i dzwoneczka, szukając mniej łaski, bardziej zrozumienia, szukając objawienia przeznaczonego nie dla uszu, lecz serca.

Nie zamknął oczu, ale na skraju jego pola widzenia pojawiły się cienie, jak atramentowe kleksy przesiąkające przez bibułę.

Sanitariusz usłyszał przez stetoskop coś, co go zaniepokoiło. Pochylił się tuż nad Ethanem, ale jego głos dobiegał z oddali i pomimo profesjonalnego spokoju słychać było ton troski.

- Ethan, nie zostawiaj nas. Trzymaj się. Nie poddawaj się, cholera!

Ciemność przez oczami Ethana gęstniała. Więzy zaciskały się coraz bardziej.

Poczuł gryzącą woń alkoholu. Po chłodzie pod lewym ramieniem nastąpiło ukłucie igły.

W jego piersi stukające kopyta wierzchowca Śmierci zmieniły się w tętent apokaliptycznego stada.

Ambulans wciąż pędził w stronę Matki Boskiej od Aniołów, ale kierowca wyłączył syrenę, najwyraźniej ufając migającym światłom.

W nagłej ciszy Ethanowi wydało się, że znowu słyszy dzwoneczki. Nie te, które gładził i przesiewał w palcach jak różaniec, nie te na czerwonej migotliwej girlandzie. Ten brzęk dochodził z oddali, wzywał go srebrzyście i z naciskiem.

Widział już tylko mglistą plamkę światła, a potem śmiertelna pętla zacisnęła się jeszcze bardziej, zupełnie odbierając mu wzrok. Pogodził się z nieuniknioną śmiercią i nieskończonym mrokiem. Zamknął oczy.

Najpierw otworzył drzwi, potem oczy.

Wyszedł ze sklepu prosto w wyjący wichur i dzwonienie

dzwonek, prosto w kły grudniowej nocy. Zamknął za sobą drzwi.

Wstrząśnięty, że żyje, nie dowierzając, że nie ma połamanych nóg, zatrzymał się we wnęce między wystawami, przepuszczając młodą parę w deszczowych płaszczach i kapturach, idącą z wolna po chodniku z golden retrieverem na smyczy.

Pise spojrzał na Ethana oczami równie mądrymi jak czarnymi.

– Dobry wieczór – odezwali się młodzi ludzie.

Ethan, nie mogąc wydobyć z siebie głosu, tylko skinął głową.

– Idziemy, Tink – powiedziała kobieta i powtórzyła rozkaz, bo pies się zawahał.

Ociekający retriever odbiegł w podskokach, uniesionym pyskiem smakując mroźne powietrze. Za nim poszli jego towarzysze. Ethan obejrzał się na kobietę z kwaciarni, która nadal stała za ladą, za szklanymi trumnami róż.

Rowena patrzyła za nim. Szybko spuściła głowę, jakby była zajęta jakąś pracą.

Ethan, który w nogach czuł taką samą słabość jak w głowie, ruszył po własnych śladach, pod markizami sklepów i restauracji, w stronę swojego forda.

Tink dwa razy się obejrzał, ale nie stanął.

Mijając restaurację inkrustowaną płomykami świec i iskierkami sztuców, wdychając drożdżowy zapach świeżego chleba, Ethan pomyślał: ostatnia deska ratunku.

Na zakręcie pies obejrzał się jeszcze raz. Potem cała trójka znikła za rogiem.

Ruch na ulicy był mniejszy niż zwykle o tej porze, samochody jechały szybciej, niżby należało przy takiej pogodzie. Ethan stał pod ostatnią markizą i myślał, że zostanie tu, zdrowy i bezpieczny, aż do świtu.

W strumieniu samochodów pojawiła się duża luka.

Drżącą ręką wygrzebał klucze z prawej kieszeni i skierował pilota w stronę samochodu. Ford ćwierknął na jego powitanie, ale Ethan nie podszedł do niego. Spojrzał w stronę skrzyżowania i ujrzał reflektory PT cruisera. Samochód zbliżał się o wiele za szybko. Wpadł w poślizg, zablokowały mu się koła. Obracając się, minął forda, prawie go muskając.

Gdyby Ethan przy nim stał, cruiser zmiażdżyłby go jak jajko.

Nadjechała ciężarówka, zazgrzytały hamulce pneumatyczne. Cruiser z piskiem opon wyprysnął przed siebie i zniknął.

Ciężarówka zatrzymała się z dygotem i sykiem.

Kierowca cruisera odzyskał panowanie nad samochodem i pomknął przed siebie, trochę wolniej, ale i tak za szybko. Kierowca ciężarówki zatrafił. Potem ruszył dalej w drogę ku przeznaczeniu, jakie zaplanował dla niego los. Luka w strumieniu samochodów się zamknęła. Na skrzyżowaniu zmieniły się światła. Ruch w jedną stronę się zatrzymał, w drugą ruszył.

Noc, smakowity aromat świeżego chleba.

Złote latarnie rzucają świetliste dublony na chodnik.

Szelest i szum deszczu.

Światła zmieniły się dwa albo trzy razy, zanim Ethan zdał sobie sprawę z bólu lewej ręki. Skurcz zaczął się rozprzestrzeniać na mięśnie ramienia.

W mocno zaciśniętej pięści trzymał trzy małe srebrne dzwoneczki, które sanitariusz o dobrym sercu odciął od foliowej girlandy.

Niczym zdegenerowana elita starożytnych Rzymian, odpoczywających w pół bachanaliów w skandalicznie rozchełstanych togach, bezimienni zmarli ukazywali tu gładkie, kremowe ramię, tam bladą wypukłość piersi, ówdzie udo poznaczone niebieskimi żyłkami, palce złożone w subtelnie obscenicznym geście, delikatną stopę ze smukłą kostką albo profil o otwartym, ślepo pożądlivym oku.

Na widok tej groteskowej grupy nawet najmniej przesadny świadek zacząłby podejrzewać, że kiedy nikt nie patrzy, anonimowi włóczędzy i nastoletni uciekinierzy składają sobie wizyty. Czy w tych najbardziej samotnych godzinach po północy niespokojna para nie mogłaby się połączyć w zimnej, ohydnej parodii namiętności?

Gdyby Corky Laputa wierzył w kodeks moralny albo w dobry smak, regulujący pewne normy społeczne, wykorzystałby te dwie wolne minuty na poprawienie niedbale rzuconych całunów i zaprowadzenie porządku nawet wśród zmarłych.

Tymczasem nie mógł się napatrzeć scenie, będącej najwspanialszym rozkwitem anarchii. Poza tym dość niecierpliwie oczekiwał na przybycie zwykle niewzruszonego Romana Casteveta, który w tym wypadku miał się wzruszyć na całego.

Niemal dokładnie po dwóch minutach szczęknęła klamka. Drzwi uchyliły się, ale tylko odrobinę. Roman łypnął do środka wielkim okiem jak przestraszona sowa, jakby się spodziewał, że Corky oczekuje go w towarzystwie ekipy telewizyjnej i reporterów.

– Wejdz, wejdz – zachęcił go Corky. – Jesteś wśród przyjaciół, choć zamierzasz ich pokroić.

Roman uchylił drzwi tylko na tyle, żeby się przez nie precisnąć. Wśliznął się do środka, oglądając się z niepokojem na

korytarz.

– Coś ty na siebie włożył? – spytał nerwowo.

Corky obrócił się wokół własnej osi, furkocząc obszerną peleryną.

– Ostatni krzyk mody przeciwdeszczowej. Ładne?

– Jak ominąłeś strażników w tym idiotycznym chałacie? Jak w ogóle ominąłeś strażników?

– Nie musiałem omijać. Przedstawiłem moje papiery.

– Jakie papiery? Uczysz pustej współczesnej prozy grupkę zarozumiałych dziwek i smarkatych geniuszy.

Roman Castevet, jak wielu przedstawicieli nauk ścisłych, miał dość mętne pojęcie o wydziałach sztuk wyzwolonych na współczesnych uczelniach i o tych studentach, dla których literatura jest po pierwsze źródłem prawdy, a po drugie pretekstem, by jeszcze nie wchodzić na rynek pracy.

Corky nie obraził się, a nawet pochwalił w duchu antyspołeczne nastawienie Romana.

– Ci mili panowie przy wejściu uważają, że jestem patologiem z Indianapolis i przybyłem, by przedyskutować z tobą pewne głęboko niepokojące entomologiczne problemy związane z seryjnym mordercą działającym na całym Środkowym Zachodzie.

– Tak? A dlaczego tak uważają?

– Bo znam fałszerza dokumentów.

Roman wytrzeszczył oczy.

– Ty?

– Fałszywe dokumenty najwyższej klasy często mi się przydają.

– Masz zwidy czy jesteś zwyczajnie głupi?

- Jak już wyjaśniałem, nie jestem zwyczajnym profesorem, który emocjonuje się znajomością z anarchistami.

- Akurat – wyrzekł Roman szyderczo.

- Promuję anarchię w każdym sprzyjającym momencie codziennego dnia, często ryzykując utratę wolności.

- Prawdziwy Che Guevara.

- Wiele moich przedsięwzięć cechuje inteligencja i pogarda dla konwenansów. Chyba nie myślałeś, że te napletki były mi potrzebne do użytku prywatnego?

- Właśnie tak pomyślałem. Kiedy spotkaliśmy się na tym nudnym spędzie, wyglądałeś jak typowy świr, klasyczny moralny i umysłowy mutant.

- W ustach satanisty – powiedział Corky w uśmiechem – brzmi to jak komplement.

- Ale nim nie jest – warknął niecierpliwie Roman.

Nawet najbardziej zadbany, uczesany i z odświeżonym oddechem Castevet był nieatrakcyjny. W gniewie stawał się jeszcze brzydszy. Chudy jak patyk, cały najeżony i twardy, z jabłkiem Adama większym od nosa, z nosem tak ostrym, jak to się rzadko spotyka u przedstawiciela gatunku ludzkiego, o zapadniętych policzkach i kościstej brodzie, wyglądającej jak główka kości udowej, wyglądał na ofiarę anoreksji w ostatnim stadium.

Za każdym razem gdy Corky napotykał spojrzenie ptasio czujnych, gadzio skupionych oczu Casteveta, zawsze gdy przyłapywał go na zmysłowym oblizywaniu warg, jedynej pulchnej części jego ciała, podejrzewał go o jakąś przerażającą erotyczną żądzę, która napędza jego metabolizm tak bardzo, że aż dziw, iż nie bucha z niego dym. Gdyby ktoś ustanowił zakład, ile kilokalorii codziennie spala pozostawiony sobie i swoim tajemnicom Roman, Corky obstawiłby co najmniej trzy tysiące – i pewnie wygrałby dość,

żeby starczyło mu do końca życia.

– Nieważne, co o mnie myślisz – powiedział. – Składam zamówienie na następne dziesięć.

– Hej, wbij to sobie do tego zakutego łba – z nami koniec. Niepotrzebnie przyszedłeś. Naraziłeś mnie.

Częściowo dla zysków, częściowo z poczucia religijnego obowiązku i potrzeby złożenia ofiary Księciu Ciemności, Roman Castevet dostarczał satanistom części ciała – wyłącznie nieboszczyków – ich narządy wewnętrzne, krew, złośliwe guzy, od czasu do czasu nawet mózgi w całości. Jego klienci, w przeciwieństwie do Corky’ego, byli teologicznie i praktycznie zainteresowani tajemnymi rytuałami ku czci Jego Szatańskiej Mości, które miały im wyjednać szczególne łaski bądź przywołać z ognistej czeluści prawdziwe, żywe demony. Najważniejszych ingrediencji z czarnoksięskich przepisów nie kupuje się w sklepie spożywczym.

– Przesadzasz – powiedział Corky.

– Nie przesadzam. Jesteś nieostrożny, za bardzo ryzykujesz.

– Za bardzo ryzykuję? – Corky uśmiechnął się, niemal się roześmiał. – Jak na kogoś, kto uważa, że za grabieże, gwałty i tortury doczeka się nagrody na tamtym świecie, zrobiłeś się okropnie strachliwy.

– Ciszej – syknął Roman, choć Corky mówił przyjemnym, konwersacyjnym tonem. – Jeśli ktoś cię tu ze mną zobaczy, stracę robotę.

– Wcale nie. Jestem patologiem z Indianapolis, a rozmawiamy o brakach personelu i tym oto zapasiku anonimowych nieboszczyków.

– Zniszczysz mnie – wyjęczał Roman.

– Przyszedłem tylko po to – skłamał Corky – by zamówić dziesięć nowych napletków. Nie spodziewam się, że mi je skołujesz na poczekaniu. Składam zamówienie osobiście, bo myślałem, że cię

rozbawię.

Roman Castevet wydawał się zbyt wyschnięty, by wydusić z siebie łzy, ale jego rozgorączkowane czarne oczy zalśniły z frustracji.

– Mimo to – ciągnął Corky – musisz wiedzieć, że nie ja jestem największym zagrożeniem dla twojej pracy. Jeśli ktoś się dowie, że przez przypadek zamknąłeś tu z nieboszczykami żywego człowieka...

– Naćpałeś się czegoś?

– Już ci mówiłem parę minut temu. Jeden z tych nieszczęśników żyje.

– Co to za wygłupy?

– To nie wygłupy, tylko szczerą prawdą. Usłyszałem, jak mamrocze „pomocy, pomocy” tak cicho, że ledwie go usłyszałem.

– Który?

– Znalazłem go, odsłaniając twarz za twarzą. Jest sparaliżowany. Mięśnie twarzy wykrzywione, jak po wylewie.

Roman pochylił się nad nim, jakby przekonany, że jego przenikliwy wzrok wykryje wszelkie ukryte myśli. Corky ciągnął łagodnie:

– Biedak pewnie był w śpiączce, a tutaj się obudził. Ale jest okropnie słaby.

Zbroja Romana Casteveta zaczęła pękać. Zerwał kontakt wzrokowy i obejrzał się na prycze.

– Który?

– Tamten – powiedział Corky z ożywieniem, machając ręką w głąb pomieszczenia, gdzie ledwie sięgało światło, a zmarli spoczywali pod całunem mroku. – Chyba uratowałem wszystkie twoje posady, toteż z samej wdzięczności powinieneś zrealizować moje zamówienie za darmo.

Roman ruszył w głąb pomieszczenia.

– Który, pytam?

Corky ruszył w ślad za nim.

– Ten po lewej, drugi od brzegu.

Roman pochylił się, by podnieść całun z twarzy nieboszczyka; Corky podniósł prawą rękę, ukazując dłoń, która aż do tej pory była zasłonięta rękawem płaszcza. Trzymał w niej szpikuliec do lodu. Nieomylnie, bardzo mocno i pewnie, wbił ostrze w plecy patologa.

Precyzyjnie zadany cios szpikulcem do lodu może przebić przedsionki i komory i spowodować ostateczne zatrzymanie akcji serca.

Roman Castevet osunął się w milczeniu na podłogę. Słysząc było tylko szelest jego ubrań i ciche stuknięcie kończyn o parkiet.

Corky nie musiał mu sprawdzać pulsu. Te otwarte usta, z których nie wydobywał się oddech, te oczy, nieruchome jak szklane kulki, stanowiły potwierdzenie skuteczności jego ciosu.

Przygotowywania się opłacały. Corky ćwiczył w domu na manekinie, który ukradł z akademii medycznej. Gdyby musiał zadać dwa, trzy, cztery ciosy albo gdyby serce Romana biło jeszcze przez chwilę, sytuacja stałaby się niehigieniczna. Z tego też powodu włożył płaszcz przeciwdeszczowy.

Na wypadek – mało prawdopodobny – gdyby któremuś z lokatorów pomieszczenia przydarzyło się nieszczęście, na podłodze znajdował się duży odpływ ściekowy. Koło drzwi wisiał zwinięty hydrant. Corky wiedział o tym z artykułu, który przeczytał dwa lata temu, kiedy z powodu szcurzego skandalu kostnica znalazła się na pierwszych stronach gazet. Na szczęście hydrant nie był potrzebny.

Corky położył Romana na jednej z wolnych prycz w głębi pomieszczenia, w cieniu.

Z głębokiej wewnętrznej kieszeni płaszcza wyjął nabyte w supermarkecie prześcieradło. Otulił nim Romana, uważając, by nic nie wystawało. Musiał zatuszować fakt, że w przeciwieństwie do reszty, patolog był zupełnie ubrany.

Zgon nastąpił błyskawicznie, rana była mała, prześcieradła nie splamiła ani kropla krwi. Małe szanse, żeby ktoś się zainteresował nowym ciałem.

Za jakieś dwa, trzy dni znajdzie go któryś pracownik kostnicy, może podczas sporządzania inwentaryzacji albo zabierając nieboszczyka na należną mu autopsję. Kostnica znowu trafi na pierwsze strony.

Corky żałował, że musiał zabić akurat Romana Casteveta. Jako dobry satanista i oddany anarchista mógł się dobrze przysłużyć destabilizacji porządku społecznego. Jednak wkrótce upiorne wypadki w domu Channinga Manheima staną się znane na całym świecie. Policja będzie gotowa stanąć na głowie, by znaleźć nadawcę czarnych pudełek. Logika nakazuje, by podczas poszukiwań dawców dziesięciu napletków, zajrzeć do prywatnych i państwowych kostnic. Gdyby Roman czymś się zdradził podczas przesłuchania, usiłowałby się wybronić, wsypując Corky'ego.

Anarchiści nie mają obowiązku być lojalni wobec siebie, co jest naturalne w przypadku siewców niezgody. Przed przystąpieniem do świętowania Corky musiał usunąć jeszcze inne słabe ogniwa.

Ponieważ jego ręce osłaniały lateksowe rękawiczki, również ukryte pod obszernymi rękawami żółtego płaszcza, mógł zostawić szpikulec w kostnicy, nie martwiąc się o odciski palców. Mimo to schował go do osłonki, a potem do kieszeni nie tylko dlatego, że mógł go jeszcze wykorzystać, ale ponieważ łączyła go z nim więź uczuciowa.

Wychodząc, pożegnał się serdecznie z nocnymi strażnikami. Mieli niewdzięczną pracę – chronili zmarłych przed żywymi.

Zatrzymał się nawet na tyle długo, by opowiedzieć im obsceniczny dowcip o prawniku i kurze.

Nie bał się, że dostarczą policji jego wyczerpujący rysopis. W kapeluszu z obwisłym rondem i namiotopodobnym płaszczu stanowił ekscentryczną postać, której twarzy nikt nie zapamięta, gdyż to jego kostium przyciągnął uwagę.

Później, smakując brandy przy własnym kominku, spali fałszywe dokumenty, które uczyniły z niego patologa z Indianapolis. Miał wiele innych, nadających mu liczne tożsamości – na wypadek, gdyby były mu potrzebne.

Teraz wyszedł w noc na deszcz.

Nadszedł czas rozprawić się z Rolfem Reynerdem, który swoimi uczynkami dowiódł, iż do życia nie nadaje się tak samo jak do grania w serialach.

Gdyby w „Daily Variety”, kolorowej gazecie branżowej środowiska filmowego, zamieszczono reportaż o poniedziałkowym obiedzie Aelfrica Manheima, tytuł powinien brzmieć: „Frykasy Frica”.

Na grillu piekła się pulchna pierś, skąpana w oliwie z oliwek, posypana solą morską, pieprzem i wspaniałą mieszanką egzotycznych ziół, znanych w Palazzo Rospo jak McSekret McBee. Oprócz kurczaka Fric dostał także spaghetti bez sosu pomidorowego, lecz z masłem, bazylią, orzeszkami pinii i parmezanem.

Pan Hachette, wyrafinowany szef kuchni i bliski krewny Kuby Rozpruwacza, nie pracował w niedziele i poniedziałki. Pewnie rezerwował sobie czas na mordowanie niewinnych kobiet, wrzucanie wściekłych kotów do dziecinnych wózków i popełnianie innych zbrodni, na które akurat przyszyła mu ochota.

Pan Baptiste, wesoły kucharz, miał wolne w poniedziałki i wtorki, dlatego w poniedziałki kuchnia była, jak mówią w branży filmowej, ciemna. Pani McBee własnoręcznie przyrządziła te pyszności.

Fric jadł w piwniczce na wino, w łagodnie pulsującym świetle kinkietów elektrycznych, sprytnie wystylizowanych na lampy oliwne, sam przy stole na osiem osób w sali do próbowania wina, oddzielonej szklaną ścianą od tej części piwnicy, w której utrzymywano stałą temperaturę. Za szkłem na półkach spoczywało czternaście tysięcy butelek trunków, które ojciec nazywał „cabernet, sauvignon, merlot, pinot noir, klaret, porto, burgund – i krew krytyków, z tych skwaśniałych roczników”.

Cha, cha, cha.

Kiedy Ojciec Duch przebywał w domu, przeważnie spożywali posiłki w jadalni, chyba że goście starego – partnerzy w interesach lub rozliczni osobiści doradcy, od guru po instruktora jasnowidzenia – czuli się nieswojo, kiedy ich pustej gadaninie przysłuchiwał się zde gustowany dziesięciolatek.

Pod nieobecność Ojca Ducha, czyli prawie zawsze, Fric mógł jadać u siebie, na co się przeważnie decydował, albo gdzie tylko zechciał. Przy dobrej pogodzie mógł spożyć posiłek nad basenem, zadowolony, że pod nieobecność ojca żadne beznadziejnie głupie, męcząco chichotliwe, żenująco półnagie gwiazdeczki nie będą go dręczyć pytaniami o ulubione przedmioty w szkole, ulubione jedzenie, kolor i gwiazdę filmową.

Zawsze usiłowały od niego wyłudzić jakieś prochy. Nie mogło im się pomieścić w głowach, że bierze tylko lekarstwa na astmę.

A jeśli nie przy basenie, mógłby się zdecydować na ryzyko spożycia obiadu na cienkiej porcelanie w ogrodzie różanym, z inhalatorem w pogotowiu, na wypadek gdyby wietrzyk przyniósł ze sobą zbyt dużo pyłków. Czasami jadał z tacy, siedząc w jednym z sześćdziesięciu wygodnych foteli w sali projekcyjnej, którą ostatnio urządzono w secesyjnym stylu Pantages Theater w Los Angeles. Można tu było wyświetlać filmy, wszelkie nagrania wideo, DVD, a także odbierać przekaz telewizyjny, wyświetlając obraz na ekranie większym niż te w wielu podmiejskich kinach.

Do oglądania wideo i DVD Fric nie potrzebował pomocy technika. Siedząc na środkowym fotelu w środkowym rzędzie, tuż koło konsoli, mógł sobie urządzić własną projekcję. Czasami, gdy wiedział, że w sali nie zaplanowano sprzątaniam, zamykał się na klucz i oglądał DVD z filmami ojca.

Przylapanie na ich oglądaniu byłoby nie do pomyślenia.

Nie chodzi o to, że były takie beznadziejne. Niektóre tak, oczywiście, bo żadna gwiazda nie ma stu procent trafień. Ale

zdarzały się takie nie do końca złe. Parę było całkiem w porządku. Nieliczne – zadziwiające.

Natomiast gdyby ktoś w tych okolicznościach przyłapał go na oglądaniu filmów ojca, należałoby go zgłosić do Konkursu na Największego Ofermę Dekady. Może nawet stulecia. W Klubie Żałosnych Łajz miałby dożywotnią kartę wstępu. Pan Hachette, psychopatyczny szef kuchni, daleki krewny rodziny Frankensteinów, drwiłby z niego, prychnając i podkreślając podobieństwo patykowatego Frica do maksymalnie umięśnionego ojca.

Tak więc czasami oglądał filmy Ojca Ducha, zasiadając samotnie w jednym z sześćdziesięciu foteli, z ozdobnym secesyjnym sufitem wysoko nad głową. W systemie Dolby Stereo.

Niektóre interesowały go ze względu na akcję, choć widział je już wiele razy. Inne oglądał dla powalających efektów specjalnych. I zawsze wyteżał wzrok w poszukiwaniu cech, uroku, min i tego wszystkiego, dlaczego miliony ludzi na całym świecie kochały Channinga Manheima.

W lepszych filmach takie chwile zdarzały się często. Ale nawet w najtandetniejszej tandencie trafiały się sceny, dzięki którym lubiło się go, podziwiał i chciało poznać.

Przywołując najlepsze sceny z najlepszych filmów, krytycy używali słowa „magiczny”. Brzmiało to głupio, po babsku, żenująco – ale trafiało w sedno. Czasami patrzyło się na niego na wielkim ekranie i wydawał się barwniejszy i prawdziwszy niż wszyscy inni na świecie. Albo we wszechświecie.

Ta jego nadrealność nie dawała się wytłumaczyć gigantycznymi rozmiarami ekranu ani geniuszem operatora, ani talentem dyrektora – choć większość miała tyle talentu co ugotowany ziemniak – czy licznymi warstwami technologii cyfrowej. Aktorzy, również gwiazdy, na ogół nie mają blasku Manheima nawet wtedy, gdy pracują z najlepszymi reżyserami i specjalistami.

Można było oglądać go na ekranie i czuć, że był wszędzie, widział wszystko, wie o wszystkim, o czym należy wiedzieć. Wydawał się mądrzejszy, troskliwszy, zabawniejszy i dzielniejszy niż ktokolwiek przed nim czy po nim, aż po kres świata – tak jakby żył w sześciu wymiarach, choć wszyscy inni muszą się zadowalać trzema.

Niektóre sceny Fric studiował raz za razem, bez końca, w niektórych wypadkach nawet do stu razy, aż zaczęły się mu wydawać prawdziwsze niż chwile, które faktycznie spędził z ojcem.

Raz na jakiś czas, kiedy kładł się diabelnie zmęczony, ale nie mógł zapaść w sen głębszy od drzemki, bądź kiedy budził się w środku nocy, lecz nie do końca, ślizgając się po powierzchni chwilowo zatrzymanego snu, te wyjątkowe sceny filmowe naprawdę wydawały mu się prawdziwe.

Oczywiście gdyby wyznał komuś, że te chwile należą do szczęśliwszych w jego życiu, Klub Żalonych Łajz wystawiłby mu podświetlany pomnik na tym samym wzgórzu, gdzie znajdował się napis HOLLYWOOD.

W ten poniedziałkowy wieczór Fric spożywał kolację w piwniczce na wino, bo choć wolałby ją zjeść w pokoju projekcyjnym, przyglądając się, jak ojciec tłucze na kwaśne jabłko przestępców i ratuje cały sierociniec za jednym zamachem, w ogarniętym szalem przedświątecznych porządków Palazzo Rospo trudno było znaleźć spokojny kątek.

Panie Sanchez i Norbert, pokojówki mieszkające na terenie posiadłości, dostały dziesięciodniowy urlop. Wrócą dopiero w czwartek rano, 24 grudnia. Państwo McBee wyjadą na wtorek i środę, by zjeść przedwczesną wieczerzę wigilijną z synem i jego rodziną w Santa Barbara. Oni także wrócą do Palazzo Rospo 24 grudnia, by przyjeżdżający po południu największy gwiazdor filmowy świata został powitany z odpowiednią pompą.

Dlatego w ten poniedziałkowy wieczór cztery inne pokojówki i portierzy mieli pracować do późna pod czujnym okiem krzątających się państwa McBee. Było też parę ekip z miasta, w tym sześćoosobowy zespół czyścicieli posadzek, specjalizujący się w konserwacji marmuru i piaskowca, a także ośmioosobowa grupa dekoratorów oraz sprowadzony w pośpiechu specjalista *odfeng shui* z zadaniem dopilnowania, by żadna z licznych choinek i innych okolicznościowych ozdób nie hamowała przepływu energii w tym wielkim domu.

Świry.

Fric znalazł schronienie głęboko pod ziemią, oddalony od szumu froterek i wesołych śmiechów zespołu dekoratorów w bardzo świątecznym nastroju. W tych ceglanych ścianach, pod niskim, półkolistym sklepieniem słycać było tylko, jak przelyka i szczęka widelcem o talerz.

A potem: *uuu-dili-uuu-dili-uuu*.

Dzwonek telefonu, oddalony, lecz wyraźny.

Ponieważ temperatura w sali do smakowania wina była zbyt wysoka, by można tu przechowywać butelki i beczki, te po cieplejszej stronie szklanej ściany służyły wyłącznie dekoracji.

Uuu-dili-uuu-dili-uuu. Pod jedną ze ścian stało kilka ogromnych beczek, których denka otwierały się na zawiasach jak drzwiczki. W niektórych znajdowały się półki z kieliszkami, serwetkami, korkociągami i innymi drobiazgami. W czterech spały telewizory, w których smakosze wina mogli wybierać spomiędzy licznych kanałów. *Uuu-dili-uuu-dili-uuu*.

Fric otworzył beczkę z telefonem i odezwał się do słuchawki w swoim zwykłym stylu, usiłując nie zdradzić lęku.

– Deratyzacja i kursy domowego gotowania. Oczyszczymy twój dom ze szczurów i nauczymy cię robić z nich przetwory na święta.

- Witaj, Aelfricu.
- Masz już imię?
- Zgubiony.
- To imię czy nazwisko?
- Oba. Smakuje ci obiad, Aelfricu?
- Nie jem obiadu.
- Co ci mówiłem o kłamstwach?
- Ze tylko sprowadzą na mnie nieszczęście.
- Często jadasz w tej piwnicy?
- Jestem na strychu.
- Nie szukaj nieszczęścia, chłopcze. Wystarczy ci to, które samo cię znajdzie.

- W branży filmowej – powiedział Fric – ludzie kłamią dwadzieścia cztery godziny na dobę i tylko się na tym bogacą.

- Czasami nieszczęście spada szybko – zapewnił go Tajemniczy Rozmówca. – Częściej czeka się na nie przez całe życie, a kiedy się pojawi, jest jak wielkie ryczące morze.

Fric zamilkł.

Rozmówca też.

W końcu Fric wziął głęboki oddech i powiedział:

- Muszę przyznać, że cholernie z ciebie straszny sukinsyn.

- To już postęp. Odrobina prawdy.

- Znalazłem kryjówkę, gdzie nikt mnie nie znajdzie.

- Mówisz o tym tajemnym pokoju za garderobą?

Fric nie przypuszczał, że w jego szpiku mogą żyć jakieś

stworzonka, ale właśnie poczuł, że chroboczą pazurkami o jego kości.

– Ten pokój z metalowymi ścianami i hakami na suficie? – spytał Tajemniczy Rozmówca. – To ma być twoja kryjówka?

28

Corky Laputa – z umysłem zajęтым morderstwem, lecz lekkim sercem – wyłonił się z hotelu dla bezimiennych zmarłych i ruszył w miasto.

Jadąc przez mokre ulice, myślał o swoim ojcu – być może dlatego, że Henry James Laputa zmarnował swoje życie niemal tak, jak tamci włóczędzy i nastoletni uciekinierzy. Matka Corky'ego, ekonomistka, wierzyła w potęgę nienawiści, w słuszność zazdrości. Oba te uczucia pożarły jej życie, a ona obnosiła się z goryczą jak z koroną.

Jego ojciec wierzył, że zazdrość jest czynnikiem motywującym. Jego wieczna zazdrość doprowadziła w nieunikniony sposób do chronicznej nienawiści, niezależnie od tego, co o niej sądził.

Henry James Laputa był profesorem literatury amerykańskiej. Był także powieściopisarzem marzącym o sławie. Jako obiekty zazdrości wytypował najpopularniejszych pisarzy swego czasu. Z zaciekleścią zazdrościł im każdej dobrej recenzji, każdego życzliwego słowa, każdego zaszczytu i nagrody. Pienił się z wściekłości na wieść o ich sukcesach. Zmotywowany w ten sposób, tworzył powieści z zaciekle pasją, dzieła, przy których książki współczesnych miały się wydawać płytkie, blade i ubogie. Chciał upokorzyć innych pisarzy, pomniejszyć ich swoją wielkością, obudzić w nich zazdrość większą od własnej, bo tylko wtedy mógł się od niej wyzwolić i w końcu cieszyć się swoimi osiągnięciami.

Wierzył, iż pewnego dnia literaci staną się tak zazdrośni o niego, że własne prace przestaną ich cieszyć. Kiedy będą pożądać jego sławy, kiedy ich własne wysiłki będą jak gasnące iskry przy ognisku jego talentu, Henry Laputa będzie zadowolony i spełniony.

Ale rok po roku jego powieści spotykały się z mdłymi recenzjami, i to tylko pióra krytyków z niższej półki. Spodziewane nagrody nigdy się nie pojawiły. Nie przyznano mu zasłużonych zaszczytów. Nikt nie poznał się na jego geniuszu. Wyczuł nawet, że wielu kolegów po piórze traktuje go z wyższością, co w końcu doprowadziło go do wniosku, że należą oni do klubu, do którego on nie dostał prawa wstępu. Z całą pewnością rozpoznali jego olśniewający talent, ale zawiązali spisek, by odmówić mu laurów, których pragnęli tylko dla siebie.

Laury! Henry zrozumiał, że nawet w środowisku literatów pieniądź jest bożkiem. Oto ich mała, brzydka tajemnica. Przydzielali sobie nawzajem nagrody, gładzili o sztuce, ale interesowało ich tylko to, w jaki sposób wywindować się jeszcze wyżej i jak się jeszcze bardziej wzbogacić.

Myśl o spisku literatów stanowiła wodę na jego młyn. Sfrustrowany niemożnością zyskania podziwu, na jaki zasługiwał, postanowił wzbudzić zazdrość gigantycznym sukcesem komercyjnym. Uznał, że zna wszystkie metody narracji i snucia wątku, a tanim sentymentalizmem umie się posługiwać tak samo, jak chociażby ten szmirus Dickens, manipulujący ciemnymi masami. Napisze bestseller, zarobi miliony, a fałszywi literaci niech gryzą palce z zazdrości.

Znalazł wydawcę, ale nie czytelników. Zamiast lawiny pieniędzy czekała go lawina łajna – jak określił jego powieść jeden z najbardziej liczących się krytyków.

Mijały lata, a nienawiść Henry'ego zgęstniała jak czysty, działający piorunująco jad. Henry pielęgnował go troskliwie, lecz z czasem ów jad skwaśniał i stał się wrzodem równie groźnym jak rak trzustki.

I tak pięćdziesięcioletni Henry James Laputa dostał rozległego zawału, wygłaszając jadowitą, ognistą i nienawistną mowę do obojętnego tłumu naukowców na corocznym zjeździe

Towarzystwa Lingwistycznego. Upadł martwy, lecz tak władczo, że część widzów uznała to za zamierzony efekt dramatyczny i zaczęła bić brawo.

Corky wiele się nauczył od swoich rodziców. Na przykład że sama zazdrość nie może stanowić filozofii życiowej. Ze radosny styl bycia i optymizm nie mają prawa bytu w obliczu potężnej, wszechobecnej nienawiści.

I że nie należy ufać prawom, idealizmowi ani sztuce.

Matka ufała prawom ekonomii, ideałom marksistowskim. Skończyła jako stara, rozgoryczona kobieta bez nadziei i celu w życiu, która niemal się ucieszyła, kiedy własny syn zatłukł ją na śmierć pograbaczem.

Ojciec Corky'ego wierzył, że sztuką zdoła pobić cały świat. Świat nadal istniał, a tymczasem tata obrócił się w popiół, został rozsypany nad morzem, rozproszył się, jakby nigdy nie istniał.

Chaos.

Chaos to jedyna niezawodna siła we wszechświecie i Corky służył jej w przeświadczeniu, że pewnego dnia ona w zamian posłuży jemu.

Przez noc i lejący deszcz jechał w migocące miasto. Kierował się w stronę Zachodniego Hollywood, gdzie zawodny Rolf Reynerd musiał szybko zginać.

Ulica Reynerda była z obu stron zabarykadowana. Policjanci w czarnych płaszczach przeciwdeszczowych z żółtymi odblaskowymi paskami kierowali ruchem za pomocą świecących pałek.

Wśród strug deszczu migotały pulsujące światła ambulansu. Corky przejechał obok. Dwie przecznice dalej znalazł miejsce do zaparkowania.

Być może zamieszanie na ulicy Reynerda nie miało z nim nic wspólnego, ale intuicja podpowiadała Corky'emu co innego.

Nie był zaniepokojony. Bez względu na to, co narozrabiał Rolf Reynerd, Corky znajdzie sposób, by obrócić sytuację na swoją korzyść. Zamieszanie i rozgardiasz to jego przyjaciele; był pewien, że w świątyni chaosu jest najukochańszą z owieczek.

Wszuchany w cichy głos nieznanego Fric poczuł, że jakieś czary przeniknęły przez ceglana podłogę pod jego stopami, ceglane ściany wokół i niski łukowaty sufit nad jego głową i zmieniły go w taką samą cegłę.

– Ten tajemny pokój za twoją garderobą nie jest taki tajemny, jak mogłoby się zdawać, Aelfricu. Nie będziesz w nim bezpieczny, gdy Robin Goodfellow złoży ci wizytę.

– Kto?

– Poprzednio nazwałem go Żółtą Bestią. On sam udaje Robina Goodfellowa, lecz jest od niego straszliwszy. Prawdę powiedziawszy, to Moloch, któremu w zębach tkwią jeszcze kości niemowląt.

– Trzeba będzie mocnej nitki dentystycznej – powiedział Fric, choć drżenie głosu zniweczyło cały zamierzony sarkazm. Zaczął mówić dalej w nadziei, że Tajemniczy Rozmówca nie dosłyszy jego strachu. – Robin Goodfellow, Moloch, kości? To nie ma sensu.

– Czy w twoim domu jest biblioteka?

– Tak.

– Więc pewnie musisz w niej mieć dobry słownik.

– Mamy całą półkę słowników, żeby udowodnić, jacy jesteśmy inteligentni.

– W takim razie przejrzyj wszystkie. Musisz poznać wroga, przygotować się na nieuniknione.

– Dlaczego mi nie powiesz, co nadchodzi? Tak po prostu, zwyczajnie, żebym zrozumiał.

– To nie leży w mojej mocy. Nie mam licencji na podejmowanie

bezpośredniej akcji.

– Więc nie jesteś Jamesem Bondem.

– Mam uprawnienia tylko do działań pośrednich. Zachęcania, inspirowania, przerażania, nakłaniania, doradzania. Wpływam na rozwój wypadków przez podstęp, uwodzenie i demagogię.

– Jesteś prawnikiem czy co?

– Interesujący z ciebie młodzieniec, Aelfricu. Byłoby mi naprawdę szkoda, gdybyś został wypatroszony i przybity do drzwi wejściowych Palazzo Rospo.

Fric omal nie odłożył słuchawki.

Dłoń, w której trzymał słuchawkę, stała się śliska od potu.

Nie zdziwiłoby go, gdyby mężczyzna po drugiej stronie wyczuł zapach tego potu i skomentował ten fakt.

– Mamy tu schron – oznajmił, siląc się na spokój. Miał na myśli pomieszczenie wyposażone tak, by stanowiło schronienie przed kidnaperami czy terrorystami.

– Ze względu na rozmiary domu macie nawet dwa schrony – odparł zgodnie z prawdą Tajemniczy Rozmówca. – Oba nie stanowią żadnej tajemnicy i w żadnym nie znajdziesz tej nocy ratunku.

– Czyli kiedy?

– Wiesz, to pomieszczenie na futra – powiedział enigmatycznie mężczyzna.

– Co?

– Dawno temu w twoim apartamencie mieszkała matka właściciela domu.

– Skąd wiesz, gdzie mieszkam?

– Miała kolekcję kosztownych futer. Parę z norek, sobole,

srebrne lisy, czarne lisy, szynszyle.

- Znałeś ją?

- Ten wyłożony metalem pokój miał stanowić ochronę przed włamywaczami, molami i gryzoniami.

- Byłeś w tym domu?

- Pomieszczenie na futra to kiepskie miejsce na atak astmy...

- Skąd o tym wiesz? – spytał zdumiony Fric.

- ... ale jeszcze gorsze na kryjówkę przed Molochem. Czas ucieka, Aelfricu.

W słuchawce zapadła cisza. Fric stał samotnie w piwnicy, z pewnością był sam, ale czuł na sobie czyjeś spojrzenie.

30

Gdyby niebo się otworzyło, by lunąć deszczem zębatych, jadowitych ropuch, gdyby zerwał się wichur zdolny obedrzeć ze skóry i oślepić, nawet tak katastrofalna pogoda nie wypłoszyłaby gapiów i plotkarzy, jacy zawsze zbierają się na miejscach wypadków i zbrodni. Słaba mżawka w chłodną grudniową noc nie stanowiła żadnej przeszkody dla tego tłumu, który ciągnie do nieszczęścia tak, jak inni do rozrywki.

Na trawniku przed blokiem, tuż obok skrzyżowania i policyjnej barykady zebrało się od dwudziestu do trzydziestu osób, by wymieniać się nieścisłymi informacjami i krwawymi szczegółami. Przeważnie byli to dorośli, choć dawało się zauważyć także kilka rozbieganych dzieci.

Większość sępów zjawiała się w płaszczach przeciwdeszczowych i pod parasolami. Byli też dwaj młodzi mężczyźni z gołymi piersiami i bosi, jedynie w niebieskich dżinsach, i tak nafaszerowani nielegalnymi środkami chemicznymi, że nie czuli chłodu – jakby ktoś ich podsmażał na niewidzialnym palniku.

W powietrzu zawisła świąteczna atmosfera, jak przed pokazem sztucznych ogni.

Corry Laputa, cały żółty i lśniący, poruszał się między gapiami jak bezszelestny trzmiel, cierpliwie zbierający drobinki nektaru. Od czasu do czasu, by lepiej się wmieszać w tłum i zyskać przyjaciół, proponował nieco sztucznego miodu, wymyślał barwne szczegóły okropnej zbrodni, o której rzekomo usłyszał od policjantów przy drugiej barykadzie.

Szybko dowiedział się, że zamordowanym jest Rolf Reynerd.

Upiory i plotkarze nie wiedzieli na pewno, jak brzmi imię ofiary:

Ralph, Rade, Dolph czy Randolph. Albo Bob. Byli jednak niemal zupełnie pewni, że nieszczęsny nazywał się Reinhardt, Kleinhard lub Reiner, jak ten reżyser, albo może Spielberg, jak inny sławny reżyser, albo Nerdoff, a najprawdopodobniej Nordoff .

Jeden młodzieniec z nagim tarsem upierał się, że wszyscy mylą personalia ofiary. Według tego mistrza dedukcji zmarły naprawdę nazywał się Ray Rolf.

Wszyscy zgadzali się, że zamordowany był aktorem na progu sławy. Właśnie zagrał w filmie, w którym był najlepszym kumplem albo młodszym bratem Toma Cruise'a. W Paramount lub DreamWorks miał zagrać z Reese Witherspoon. W Warner Brothers dostał rolę tytułową w nowym filmie o Batmanie. Od Miramaxu otrzymał rolę szeryfa transwestyty w filmie o bigoterii w Teksasie około 1890 roku, a szefowie Universalu mieli nadzieję, że za dziesięć milionów dolarów zgodzi się zagrać w dwóch filmach, do których jednocześnie napisze scenariusz i które wyreżyseruje.

Najwyraźniej w nowym tysiącleciu – i w świadomości społeczeństwa – nieudacznicy nie umierają młodo, a śmierć przychodzi zbyt wcześnie jedynie po sławnych, bogatych i uwielbianych. Można to nazwać zasadą księżnej Di.

Nikt nie wiedział na pewno, czy mordercą Raya Rolfa był także inny aktor na progu sławy. Jego nazwisko pozostało nieznane, nieprzekrecone.

Bez wątpienia morderca został zabity. Jego ciało leżało na trawniku pod blokiem Rolfa.

W tłumie krążyły dwie lornetki. Corky pożyczył jedną, by przyrzeć się rzekomemu katu. W ciemnościach i deszczu nawet szkła powiększające nie mogły wydobyć żadnych cech charakterystycznych rozkrzyżowanego na trawie trupa.

Policjanci ze sprzętem i aparatami fotograficznymi przykucnęli obok. W podobnych do złożonych skrzydeł czarnych płaszczach

przeciwdeszczowych wyglądali jak wrony przy padlinie.

W każdej wersji historii krążącej w tłumie morderca został zabity przez policjanta. Policjant akurat przechodził ulicą, czystym zbiegiem okoliczności, albo mieszkał w tym samym bloku, albo przyszedł z wizytą do matki bądź dziewczyny.

Cokolwiek wydarzyło się tego wieczora, Corky mógł mieć pewność, że jego plany na tym nie ucierpią, a policja nie zwróci na niego uwagi. Swoją znajomość w Reynerdem zachował w absolutnej tajemnicy. Wierzył, że Reynerd postąpił podobnie. Razem popełniali przestępstwa i pracowali nad następnymi. Żaden z nich nic by nie zyska! – a wiele stracił – na ujawnieniu ich związku.

Rolf, głupi na wiele barwnych sposobów, nie był całkiem nieostrożny. Mogło go korcić wyznanie, że kazał zabić swoją matkę i knuje spisek przeciwko największemu gwiazdorowi świata, ale na pewno nie posunąłby się aż tak daleko, żeby zrobić wrażenie na kobiecie czy swoich durnych znajomych. Raczej wymyśliłby jakąś fantastyczną bujdę.

Aczkolwiek Ethan Truman złożył mu incognito wizytę, istniała niewielka możliwość, żeby śmierć Reynerda mogła mieć jakiś związek z Channingiem Manheimem i sześcioma prezentami w czarnych pudełkach.

Jako apostoł anarchii Corky rozumiał, że światem rządzi chaos, a w zgiełku codziennego dnia nieustannie dochodzi do zbiegów okoliczności. Taki jawny synchronizm był dla ludzi mniejszego ducha bodźcem do snucia hipotez o zapisanym w gwiazdach losie i sensie życia.

On oparł swą przyszłość – i całą egzystencję – na przekonaniu, że życie nie ma sensu. Sporo zainwestował w chaos i nie chciałby na tym etapie powątpiewać w swoją decyzję.

Reynerd łudził się, że jest nie tylko potencjalną gwiazdą, która przejdzie do historii kina, lecz także niegrzecznym chłopcem, a tacy

chłopcy łatwo robią sobie wrogów. Na przykład sprzedawał narkotyki wybranym klientom z branży filmowej, bardziej dla zabawy niż pieniędzy, głównie kokainę, speed i ecstazy. Całkiem możliwe, że chłopcy trochę brzydsi od pięknego Reynerda uznali, że kłusuje on na ich terenie. Jedna kulka w łeb wykluczyła go z grona niepożądanego konkurencji.

Corky pragnął śmierci Reynerda.

Chaos go wysłuchał.

Ni mniej, ni więcej.

Czas zająć się czym innym.

Na przykład kolacją. Od śniadania nie miał nic w ustach, jeśli nie liczyć tamtego batonika w samochodzie i podwójnej latte w sklepie.

Jeśli trafiał mu się dobry, wypełniony pożyteczną pracą dzień, nie czuł głodu i często rezygnował z obiadu. Teraz, po wielu godzinach krzątania, umierał z głodu.

Ale został jeszcze, by służyć chaosowi. Te biegające dzieci stanowiły pokusę, jakiej nie mógł się oprzeć.

Wszystkie miały od sześciu do ośmiu lat. Niektóre były ubrane ciepło, inne nie, ale wszystkie tańczyły, ganiały się i bawiły na tej paskudnej pogodzie, jak jakieś burzowe ptaki, stworzone do życia na wicherze i deszczu. Dorośli, pochłonięci widokiem policjantów i ambulansów, nie zwracali uwagi na swoje potomstwo. Dzieci miały dość rozumu, by pojąć, że dopóki bawią się na trawniku za plecami dorosłych i nie podnoszą głosów powyżej pewnego dozwolonego poziomu, mogą w nieskończoność przedłużać nocną przygodę.

W tych paranoicznych czasach żaden obcy nie odważy się podarować dziecku cukierka. Nawet najbardziej nieśmiałe rozedrze się w niebogłosy na widok podsuwanego lizaka.

Corky nie miał przy sobie lizaków, za to nie rozstawał się z

torbą soczystych, nadziewanych karmelków.

Zaczekał, aż dzieci odwrócą od niego uwagę i wyjął torbę z głębokiej wewnętrznej kieszeni płaszcza. Upuścił ją na trawę tam, gdzie dzieci na pewno ją znajdą, kiedy zabawa przywiedzie je w to miejsce.

Cukierki nasycił nie trucizną, lecz mocnym środkiem halucynogennym. Terror i nieporządek społeczny można szerzyć środkami subtelniejszymi od jawnej agresji.

Każdy słodki kasek zawierał dawkę tak małą, że nawet obżartuch, który pożre od razu sześć lub osiem, nie ryzykował przedawkowania. Po trzecim cukierku zaczęły się nocne koszmary.

Corky stał jeszcze trochę wśród dorosłych, ukradkiem obserwując dzieci. Wreszcie dwie dziewczynki znalazły torbę. Jak to dziewczynki, od razu szczerze podzieliły się jej zawartością z chłopcami.

Ta substancja – przyjmowana bez osłonowych środków antydepresyjnych, na przykład prozacu – była znana z wywoływania halucynacji tak strasznych, że mogły doprowadzić do szaleństwa. Wkrótce te dzieci uwierzą, że w ziemi otwierają się paszcze pełne ostrych kłów i gadzich języków, z ich piersi wyskakują kosmiczne pasożyty, a bliscy chcą je rozedrzeć na strzępy. Nawet po dojściu do siebie przez wiele miesięcy, a może i lat będą przeżywać powracające ataki.

Gdyby Corky Laputa żył w poprzednim wieku, mógłby psuć dzieło Johnny'ego Appleseeda, niszcząc jedno po drugim wszystkie drzewa, jakie legendarny sadownik zasadził na tym kontynencie.

Gdyby Fric podejrzewał, że piwnica jest nawiedzona bądź że zamieszkuje ją jakaś niehumanoidalna istota, zjadłby kolację u siebie.

Zadziałał bez namysłu.

Otworzył grube drzwi w szklanej ścianie. Wydały dźwięk jak otwierana puszka orzeszków. Wszedł do właściwej piwnicy. Tu temperatura utrzymywała się na stałym poziomie trzynastu stopni.

Czternaście tysięcy butelek zajmuje mnóstwo półek – całe labirynty. Półki nie stoją tak, jak w supermarkecie. Pod łukowatym sklepieniem znajdował się ciasny ceglany labirynt korytarzy, spotykających się w okrągłych grotach z półkami.

Cztery razy do roku każdą butelkę z kolekcji delikatnie obracano o dziewięćdziesiąt stopni. Dzięki temu korek nie obsychał z żadnej strony, a osad mógł opadać na dno.

Dwaj portierzy, panowie Worthy i Phan, mogli zajmować się obracaniem butelek jedynie przez cztery godziny dziennie ze względu na męczącą jednostajność tej pracy, wymagającej odmierzonych ruchów, a także kontuzji mięśni karku i ramion, jakie powodowała. Każdy mężczyzna w ciągu czterogodzinnej sesji potrafił obrócić od tysiąca dwustu do tysiąca trzystu butelek.

Fric ruszył przez strumień napływającego przez podsufitowe otwory chłodnego suchego powietrza. Minał korytarz pinot noir, prowadzący do głębszego korytarza cabernet, ominął grocie lafitte rothschild z najróżniejszymi rocznikami, skręcił w tunel merlot, poszukując miejsca, gdzie mógłby się ukryć bez strachu, że zostanie odnaleziony.

U progu wydłużonej owalnej galerii z francuskim burgundem wydało mu się, że słyszy czyjeś kroki. Zamarł i wyteżył słuch.

Nic. Tylko szmer chłodnego powietrza, które leniwie sączyło się w korytarz z jednej strony i wysączało z drugiej.

Sztucznie migoczące płomyki fałszywych lamp gazowych, gdzieś znajdujących się na ścianach, lecz także zwisających z sufitów, jeśli wysokość pomieszczenia na to pozwalała, rzucały dziwnie zniekształcone cienie na półki i ceglane ściany. Ten pozorny, lecz działający na nerwy ruch wytrącił go z równowagi na tyle, że usłyszał kroki, których nie było.

Być może.

Ruszył mniej śmiało niż przedtem, od czasu do czasu oglądając się przez ramię. Szedł razem z delikatnym prądem powietrza.

Inne piwnice z winem to pewnie zapleśniałe groty, w których odkładają się kolejne warstwy kurzu. Prawdę mówiąc, siwy kożuch na butelce stanowi ojej szyku. Ale ojciec Frica żywił do kurzu obsesyjną niechęć, dlatego jego piwnica lśniła. Personel odkurzał półki raz na miesiąc, bardzo ostrożnie, żeby nie poruszyć butelek, a także sufit, ściany i podłogę.

Tu i ówdzie w kątach i pod sufitem widać było delikatne pajęczki sieci. Niektóre proste, inne wyrafinowane.

Ośmionożnych architektów nie było na stanowisku pracy. Pajaki miały tu zakaz wstępu.

Te pajęczyny, które sprzątaczkami skrupulatnie omijały odkurzaczkami, były dziełem nie pajaków, a specjalistów od dekoracji z ulubionego studia Ojca Ducha. One także nie miały szans zostać na dłużej. Dwa razy w roku pan Knute, scenograf, zdejmował je ze ścian i wymieniał na nowe.

Wino było prawdziwe.

Fric mijał kolejne zakręty labiryntu i obliczał, jak długo mógłby pić jego ojciec, zanim wyczerpałby zawartość piwnicy.

Przede wszystkim należało założyć, że Ojciec Duch śpi osiem

godzin na dobę. Pod wpływem alkoholu mógłby spać dłużej, jednak dla dobra kalkulacji należało się zdecydować na jakąś liczbę. Osiem.

Trzeba także założyć, że dorosły mężczyzna upija się jedną butelką wina na trzy godziny. By wprowadzić się w stan upojenia pierwszą butelkę można przyjąć w ciągu godziny lub dwóch, ale potem – jedna na trzy godziny.

To właściwie nie było założenie, lecz wiedza poparta doświadczeniem. Fric miał wiele okazji, by przyglądać się aktorom, pisarzom, gwiazdom rocka, reżyserom i innym sławnym pijakom z zamiłowaniem do szlachetnego wina; niektórzy potrafili wyłopać więcej niż jedną butelkę na trzy godziny, ale ci zwykle szybko tracili przytomność.

No, dobrze. Pięć butelek w ciągu szesnastogodzinnego dnia pracy. Czternaście tysięcy na pięć. Dwa tysiące osiemset.

Dzięki zawartości tej piwniczki Ojciec Duch powinien być pijany przez dwa tysiące osiemset dni. Teraz podzielić dwa tysiące osiemset przez trzysta sześćdziesiąt pięć...

Ponad siedem i pół roku. Stary mógłby nie wytrzeźwieć, dopóki Fric nie skończyłby liceum i nie uciekł do komandosów.

Oczywiście najśłynniejszy gwiazdor świata nigdy nie pijał więcej niż kieliszek wina do obiadu. Nie brał także żadnych narkotyków – nawet marihuany, którą wszyscy w Hollywood uważają za zdrową żywność.

– Nie jestem doskonały – wyznał dziennikarce „Premierę” – ale moje błędy i wady są natury duchowej.

Fric nie miał pojęcia, co to może znaczyć, choć zastanawiał się nad tym nie od dziś.

Może Ming du Lac, całodobowy doradca duchowy ojca, czuł się na siłach zinterpretować tę wypowiedź. Fric nie ośmielił się go o to poprosić, bo bał się Minga tak samo jak pana Hachette’a,

pozaziemskiego drapieżnika w przebraniu szefa kuchni.

W ostatniej grocie, najdalszej od wejścia, znowu usłyszał kroki. Jak przedtem nastawił ucha, ale nie wykrył nic podejrzanego. Czasami wyobraźnia płatała mu figle.

Trzy lata temu, jako siedmiolatek, nabrał przekonania, że z muszli klozetowej w jego łazience co noc wypelza coś dziwnego, zielonego i pełnego łusek – i że to coś zamierza go pożreć, jeśli zachce mu się w nocy siusiu. Przez wiele miesięcy, kiedy budził się z pełnym pęcherzem, opuszczał swój apartament i korzystał z bezpiecznych łazienek w innych częściach domu. W swojej – zamieszkaney przez potwora – zostawiał talerzyk z ciasteczkami. Co dzień znajdował je nietknięte. W końcu zastąpił je kawałkiem sera, a potem paczką mrożonego mięsa. Potwór może nie był zainteresowany ciastkami, mógł nawet kręcić nosem na ser, ale chyba jako drapieżnik nie mógł zlekceważyć klopsa?

Kiedy klops przez tydzień przetrwał w nienaruszonym stanie, Fric znowu zaczął korzystać z własnej łazienki. I nic go nie pożarło.

Teraz też nikt nie idzie za nim przez korytarze do ostatniej groty. To tylko chłodny przeciąg i migotanie płomyków nieprawdziwych lamp gazowych.

Korytarze prowadzące do wejścia i wyjścia dzieliły grootę mniej więcej na pół. Po prawej ręce Frica znajdowały się półki z butelkami. Po lewej, od podłogi do sufitu, zapieczętowane drewniane skrzynie.

Napisy na nich wyjaśniały, że w skrzyniach znajduje się szlachetne francuskie bordeaux. Tak naprawdę były pełne taniego sikacza, na jaki mogliby reflektować tylko włóczędzy, a ich zawartość bez wątpienia zmieniła się w ocet siedmiu złodziei, zanim jeszcze Fric przyszedł na świat.

Drewniane skrzynie stały tu częściowo dla dekoracji, częściowo zaś, by ukryć wyjście do pomieszczenia z portwajnem.

Fric wcisnął ukryty guzik. Jedna półka ze skrzyniami schowała się w ścianie. Za nią znajdował się pokój wielkości garderoby. W głębi znajdowała się półka z portwajnem liczącym pięćdziesiąt, sześćdziesiąt i siedemdziesiąt lat.

Portwajn to wino deserowe. Fric wolał na deser tort czekoladowy.

Zakładał, że nawet pod koniec lat trzydziestych, kiedy zbudowano ten dom, kraj nie był nękany plagą złodziei portwajnu. Najprawdopodobniej to pomieszczenie zbudowano dla zabawy.

Tajna komnata, ciaśniejsza od pomieszczenia na futra, mogła stanowić równie dobrą kryjówkę – zależnie od tego, jak długo powinien się ukrywać. Przez kilka godzin będzie mu tu dość wygodnie.

Ale gdyby musiał tu zostać na dwa lub trzy dni, zacząłby się czuć jak żywcem pogrzebany. Dostałby ataku klaustrofobii, zacząłby krzyczeć i, ogarnięty szaleństwem, prawdopodobnie pożarłby się żywcem, zaczynając od stóp.

Zdenerwowany kierunkiem, jakiego nabrała ich ostatnia rozmowa, zapomniał spytać Tajemniczego Rozmówcę, jak długo będzie trwać oblężenie.

Wycofał się z pomieszczenia na portwajn i zamknął sprytnie ukryte drzwi.

Odwracając się, kątem oka dostrzegł ruch w korytarzu prowadzącym do ostatniej groty. To nie było tylko migotanie pseudogazowych płomyków.

Wielka, dziwna, spiralna sylweta przesunęła się po półkach i półkolistym sklepieniu, nałożyła się na znane migotanie małych płomyków światła. Zbliżała się do groty.

W przeciwieństwie do ojca, który na wielkim ekranie w takich sytuacjach sprawdzał się na medal, Fric zeszywniał ze strachu. Nie

mógł ani zaatakować, ani uciekać. Cień, upiornie bezkształtny, zbliżał się, łagodnie falując; u wylotu korytarza pojawił się ten, który go rzucał: duch, upiór, zjawa, postrzępiona i mleczna, półprzezroczysta i mżąca mdłym światłem, z wolna sunąca ku niemu mocą sił nadnaturalnych.

Fric cofnął się machinalnie, stracił równowagę i upadł wystarczająco boleśnie, by sobie przypomnieć, że pupę ma tak samo kościstą jak ręce.

Zjawa wśliznęła się do groty niczym płaszczka w głębinie oceanu. Światło i pulsujące cienie igrały z jej kształtem, dodawały jej tajemniczości, jakby aury zawoalowanego lub brodatego zła.

Fric zasłonił twarz ręką i wyrzwał zza palców. Upiór nadpłynął tuż nad jego głowę. Przez chwilę, nieważki i z wolna wirujący, wydawał się podobny do galaktyki o pajęczych ramionach – a potem Fric zrozumiał, co to.

Sztuczna pajęczyna, dzieło pana Knute'a, odczepiła się od ściany i leniwie popłynęła wraz z prądem powietrza, unosząc się z upiorną gracją meduzy.

Fric podniósł się z wysiłkiem.

Lotna pajęczyna popłynęła dalej, natknęła się na jeden z kinkietów na ścianie, oplatała go i zwisała, cieniutka i trzepotliwa jak jakiś fatalaszek z bielizniarki Dzwoneczka.

Fric, zły na siebie, uciekł z piwnicy.

Był już w pokoju obok, zamykał za sobą ciężkie szklane drzwi, kiedy zdał sobie sprawę, że pajęczyna nie mogła się oderwać sama. Powiew powietrza nie mógł jej uwolnić. Ktoś musiałby się o nią otrzeć, a Fric nie sądził, żeby to był on.

Podejrzewał, że ktoś, kto szedł tuż za nim przez labirynt, cierpliwie odczepił pajęczynę, starając się jej nie podrzeć ani nie zbić w kulkę, a potem rzucił ją na prąd powietrza, by zakpić z małego

chłopca.

Z drugiej jednak strony za dobrze pamiętał o zrodzonym w muszli zielonym potworze, który nie skusił się choćby na odrobinę klopsa.

Przez jakiś czas stał i przyglądał się stołowi. Podczas jego wędrówki przez korytarze ktoś zabrał talerze.

To mogła być któraś z pokojówek albo pani McBee, choć dziś była tak zajęta, że raczej wysłałaby męża. Ale nie potrafił sobie wyobrazić, dlaczego którekolwiek z nich miałyby iść za nim korytarzem, odczepić dzieło Knute'a od ściany i zrobić z niego latającą meduzę.

Poczuł, że znalazł się w samym środku pajęczyny. Nie tej wysnutej przez pana Knute'a, lecz niewidzialnej pajęczyny spisku.

Dunny Whistler otrzymuje wezwanie i natychmiast udaje się bezpośrednio do Beverly Hills.

Nie potrzebuje już samochodu, ale lubi siedzieć za kierownicą tak doskonałej maszyny. W świetle ostatnich wypadków nawet tak prosta przyjemność, jaką jest prowadzenie samochodu, nabrała nowego smaku.

Po drodze światła zmieniają się na zielone specjalnie dla niego, samochody robią mu miejsce, a on osiąga taką szybkość, że spod kół bryzgają czarne fontanny wody. Powinien czuć uniesienie, lecz przygniata go zbyt wiele trosk.

W hotelu, gdzie przybywające i odjeżdżające pojazdy są warte sześciocyfrowych sum, zostawia samochód parkingowemu. Daje mu dwadzieścia dolców napiwku, ponieważ raczej nie zostanie tu tak długo, żeby wydać wszystkie pieniądze na własne przyjemności.

Luksusowy hol wita go tak ciepłymi kolorami, fakturami i kształtami, że można by zapomnieć, jak zimno i deszczowo jest na dworze.

Bar hotelowy – cały w boazerii i kosztownych ozdobach, romantycznie oświetlony – jest wielki, lecz i tak zatłoczony.

Każda kobieta w zasięgu wzroku, bez względu na wiek, jest piękna – albo z łaski Boga, albo chirurga plastycznego. Połowa mężczyzn jest przystojna jak gwiazdy filmowe, a druga się za takich uważa.

Ludzie ci na ogół pracują w branży filmowej. Nie ma tu aktorów, lecz agenci, dyrektorzy studiów filmowych, krytycy i producenci. W innym hotelu w tym mieście można by usłyszeć kilka obcych języków, ale tu mówi się tylko po angielsku, i tylko tym

wyspecjalizowanym, choć barwnym żargonem znanym jako język handlowy. Tu nawiązuje się znajomości, robi pieniądze, planuje seksualne ekscesy.

Ci pełni energii i optymizmu ludzie są kokieterijni, hałaśliwi i przekonani o swojej nieśmiertelności.

Podobnie jak Cary Grant, który w filmach poruszał się na przyjęciach, jakby ślizgał się na łyżwach, podczas gdy wszyscy inni chodzili jak z ciężarami u stóp, Dunny sunie ku barowi, pomiędzy zatłoczonymi stolikami do tego najbardziej cenionego w kącie, na cztery osoby, przy którym siedzi tylko jeden człowiek.

Człowiek ten nazywa się Tyfon, a przynajmniej tak twierdzi. Utrzymuje, że jest to imię potwora z greckiej mitologii, który przenosił się na skrzydłach burzy i siał zniszczenie wszędzie, gdzie padał deszcz. Potem wybucha śmiechem, być może zdając sobie sprawę, że jego imię nie pasuje do eleganckiego wyglądu i doskonałych manier.

Tyfon nie ma w sobie nic potwornego czy burzliwego. Jest pulchny, siwowłosy, o słodkiej androginicznej twarzy, która równie dobrze wyglądałaby na kinowym ekranie jako twarz beatyfikowanej zakonnicy lub świątobliwego braciszka. Uśmiecha się często i łatwo, a przy tym wydaje się szczery. Mówi cicho, słucha z uwagą, budzi nieodpartą sympatię i w ciągu minuty potrafi sobie zaskarbić czyjaś przyjaźń.

Jest ubrany w nieskazitelny granatowy garnitur, białą jedwabną koszulę, niebiesko-czerwony krawat klubowy, a w kieszeni ma czerwoną chusteczkę. Jego białymi jak śnieg włosami zajmuje się stylistka gwiazd i koronowanych głów. Doskonała, wygładzona kosztownymi kremami skóra, olśniewająco białe zęby i wypielęgnowane paznokcie świadczą, że Tyfon jest dumny ze swojego wyglądu.

Siedzi twarzą do sali niczym łaskawy władca na audiencji. Z

pewnością wszyscy go tu znają, ale nikt mu się nie narzuca, jakby rozumieli, że Tyfon woli obserwować i być obserwowanym, niż rozmawiać.

Z czterech krzeseł przy stole dwa stoją na wprost sali. Dunny siada na tym drugim.

Tyfon je ostrygi i pije wspaniałe pinot grigio.

- Proszę, zjedz ze mną, drogi chłopcze. Zamów sobie, co tylko zechcesz – zachęca.

Natychmiast, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, pojawia się kelner. Dunny zamawia podwójne ostrygi i butelkę pinot grigio. Zawsze miał wielki apetyt.

- Zawsze miałeś wielki apetyt – zauważa Tyfon, uśmiechając się figlarnie.

- Wkrótce będzie z tym koniec – odpowiada Dunny. – Dopóki mam szansę na ucztę, zamierzam się obżerać.

- To mi się podoba! – chwali Tyfon. – Dunny, jesteś człowiekiem mojego pokroju. Piękny garnitur, nawiasem mówiąc.

- Pan też ma doskonałego krawca.

- Interesy to przykry obowiązek – mówi Tyfon – więc załatwmy je i od razu miejmy to z głowy.

Dunny nie odpowiada, ale przygotowuje się na reprimendę.

Tyfon pociąga łyk wina i wzdycha z rozkoszy.

- Mam rozumieć, że wynająłeś mordercę do usunięcia pana Reynerda?

- Tak. Nazywał się Hector X.

- Morderca – powtarza Tyfon z widocznym zdumieniem.

- Zналиśmy się z dawnych czasów. Razem wytwarzaliśmy i

sprzedawaliśmy PCP.

- Co?

- Weterynaryjny lek uspokajający. Produkowałem chałupniczo jointy z marihuaną, kokainą i PCP.

- Czy wszyscy twoi współpracownicy mają tak urocze życiorysy?

Dunny wzrusza ramionami.

- Był, kim był.

- Właśnie, był. Obaj już nie żyją.

- Oto jak to widzę: Hector zabił, a Reynerd zaaranżował morderstwo własnej matki. Nie sprowadziłem nikogo na złą drogę. Ani nie zlikwidowałem niewiniątka.

- Nie interesuje mnie strona moralna tego zagadnienia, Dunny. Martwi mnie to, że chyba nie rozpoznajesz granic swojej odpowiedzialności.

- Wiem, że zaangażowanie mordercy do zabicia mordercy może się wydawać nieco niekonwencjonalne...

- Niekonwencjonalne! – Tyfon kręci głową. – Nie, chłopcze, to jest po prostu nie do zaakceptowania.

Zjawiają się ostrygi i wino Dunny'ego. Kelner otwiera pinot grigio, nalewa odrobinę, a Dunny smakuje.

Ufając, że pomruk pięknego, lekko pijanego tłumu zagłuszy tę delikatną rozmowę, Tyfon wraca do interesów.

- Dunny, musisz nauczyć się dyskrecji. Owszem, przez całe życie byłeś łobuzem, to prawda, ale przecież ostatnio zrezygnowałeś z takiego życia, prawda?

- Próbowałem. Prawie się udało. Wie pan, to nie ja pociągnąłem za spust. Zadziałalem niebezpośrednio, tak jak się umówiliśmy.

- Wynajęcie płatnego zabójcy to nie jest działanie niebezpośrednie.

Dunny przelyka ostrygę.

- Więc źle pana zrozumiałem.

- Nie sędzę. Myślę, że świadomie przekroczyłeś swoje kompetencje, żeby sprawdzić, na ile sobie możesz pozwolić.

Dunny symuluje łapczywe zainteresowanie ostrygami i ośmiela się nie odpowiedzieć.

W sali pojawia się najbardziej wpływowy szef studia w całym przemyśle filmowym; wkracza z dumną postawą i pewnością siebie cezara. Zjawił się w otoczeniu świty młodych mężczyzn i kobiet, z pozoru gładkich i szykownych jak wampiry, po bliższym przyjrzeniu jednak zdradzających nerwowość piesków chihuahua.

Na widok Tyfona król Hollywood macha do niego opanowanym gestem, lecz gorliwym.

Tyfon odwzajemnia machnięciem znacznie bardziej powściągliwym, w ułamku chwili ustawiając się wyżej na drabinie społecznej – ku opanowanemu, lecz i tak widocznemu zażenowaniu cezara.

Tyfon zadaje pytanie, którego Dunny nie chciał usłyszeć:

- Czy wynajmując Hectora X, przekroczyłeś swoje kompetencje? – I odpowiada: – Tak. Ale mam ochotę dać ci jeszcze jedną szansę.

Dunny przelyka kolejną ostrygę, która znacznie łatwiej nie poprzednia ześlizguje się w głąb jego gardła.

- Wiele obecnych w tym barze mężczyzn i kobiet – mówi Tyfon – codziennie negocjuje kontrakty z zamiarem ich pogwałcenia. Ludzie, z którymi negocjują, spodziewają się, że mogą zostać oszukani, a także że sami pogwałcą niektóre zasady. W rezultacie wymienia się

gniewne oskarżenia, zatrudnia prawników, wszczyna się akcje przygotowawcze, nawet jeśli sprawa nie trafi do sądu, i w trakcie jadowitych oskarżeń i wściekłych kontroskarżeń zawiera się umowę. Po tym wszystkim, a czasami nawet w trakcie, te same strony angażują się w negocjacje w sprawie innych kontraktów, które również zamierzają pogwałcić.

– Branża filmowa to dom wariatów – zauważa Dunny.

– Owszem. Ale, drogi chłopcze, nie o to mi chodzi.

– Przepraszam.

– Chodzi mi o pogwałcenie warunków kontraktu – ogólnie o zdradę, którą tutaj uważa się za akceptowany element życia osobistego i zawodowego, tak jak w świecie Azteków akceptowano ofiary z ludzi. Ale ja nie godzę się na zdradę. Nie jestem aż tak cyniczny. Słowo honoru, obietnica, moralność – to coś, co ma dla mnie znaczenie. Wielkie znaczenie. Nie mogę prowadzić interesów – po prostu nie potrafię – z ludźmi, na których słowie nie mogę polegać.

– Rozumiem – mówi Dunny. – Czuję się skarcony.

Jego reakcja zdaje się sprawiać Tyfonowi prawdziwy ból. Pulchna twarz wykrzywia się w grymasie. Oczy, które iskierka rozbawienia wyróżnia tak samo, jak wyjątkowy błękitny kolor, zasnuwają się chmurami.

Wszystkie emocje malują mu się na twarzy, niczego nie ukrywa, nie ma w nim żadnej tajemnicy – i między innymi właśnie dlatego jest tak sympatyczny.

– Dunny, jest mi bardzo przykro, jeśli się czujesz skarcony. Nie chciałem tego. Zamierzałem jedynie oczyścić atmosferę. Pragnę twojego sukcesu – naprawdę, chłopcze. Ale jeśli masz go odnieść, musisz działać zgodnie z wyśrubowanymi standardami, o których już rozmawialiśmy.

– Dobrze. Stawia pan sprawę bardzo jasno. I jestem wdzięczny za tę drugą szansę.

– Ach, nie ma za co. – Tyfon uśmiecha się szeroko, znów w dobrym humorze. – Jeśli tobie się uda, to i mnie. Twoje interesy są moimi.

By upewnić swego dobroczyńcę, że rozumieją się doskonale, Dunny mówi:

– Zrobię dla Ethana Trumana wszystko, co w mojej mocy – oczywiście zawsze w ukryciu. Ale nie będę działać przeciwko Corky’emu Lapucie.

– Co za odrażające stworzenie. – Tyfon cmoka, ale oczy migoczą mu wesoło. – Ten świat rozpaczliwie potrzebuje Bożej łaski, dopóki chodzą po nim tacy ludzie jak Corky.

– Amen.

– Wiesz, że Corky najprawdopodobniej zabiłby Reynerda, gdybyś się nie wtrącił.

– Wiem.

– Więc po co ci ten Hector X?

– Laputa nie zabiłby go przy świadkach, na pewno nie w obecności Hazarda Yancy’ego. Teraz Yancy jest wmieszany w sprawę i to bardziej niż w jakąkolwiek inną. Ze względu na Ethana chcę, żeby Yancy był wmieszany.

– Twój przyjaciel faktycznie potrzebuje każdej możliwej pomocy – przyznaje Tyfon.

Przez parę chwil rozkoszują się w sympatycznym milczeniu ostrygami i szlachetnym winem.

Potem Dunny mówi:

– Incydent z cruiserem mnie zaskoczył.

Tyfon podnosi brew.

– Chyba nie myślisz, że nasi ludzie maczali w tym palce?

– Nie. Wiem, jak to działa. Ale to mnie zaskoczyło i tyle. Zdołałem jednak to wykorzystać na swoją korzyść.

– Te trzy dzwoneczki to efektowne zagranie – przyznaje Tyfon. – Choć popchnąłeś go w pijaństwo.

Dunny kiwa głową z uśmiechem.

– Może i tak.

– Tu nie ma miejsca na „może” – odpowiada Tyfon. Wskazuje palcem. – Biedny Ethan właśnie upija się przy barze.

Choć Dunny siedzi twarzą do sali, mniej więcej jedna trzecia baru znajduje się za jego plecami. Odwraca się i spogląda w stronę, którą wskazuje Tyfon.

Przy stolikach gwałciciele kontraktów rozmawiają niczym starzy przyjaciele. Ethan Truman siedzi na wysokim stołku przy barze, bokiem do Dunny’ego, wpatrując się w szklanke – być może z doskonałą szkocką.

– Zobacz mnie – niepokoje się Dunny.

– Najprawdopodobniej nie. Jest zbyt roztargniony. W pewnym sensie nie widzi teraz nikogo. Jakby był sam.

– Ale jeśli...

– Jeśli cię zobaczy – uspokaja Tyfon – jakoś sobie poradzisz. W razie czego służę pomocą.

Dunny przygląda się przez chwilę Ethanowi, po czym odwraca się do niego plecami.

– Wybrał pan to miejsce, choć on tu jest?

Tyfon uśmiecha się uroczo i chytrze, jakby dawał do

zrozumienia, że był niegrzeczny, ale po prostu nie mógł się oprzeć.

– Wybrał pan to miejsce, ponieważ on tu jest.

– Czy wiedziałeś, że święty Duncan, twój patron, jest także patronem strażników i obrońców najróżniejszego rodzaju, i że umocni cię i natchnie, jeśli się do niego zwrócisz?

Dunny uśmiecha się blado.

– Ach, tak? Ironia?

Tyfon klepie go po ramieniu.

– Widzę, że miewasz zdumiewające pomysły.

Dunny przez chwilę koncentruje uwagę na pinot grigio.

– Myśli pan, że on z tego wyjdzie z życiem?

Tyfon kończy ostatnią ostrygę.

– Ethan? Do pewnego stopnia to zależy od ciebie.

– Ale tylko do pewnego stopnia.

– No, wiesz, jak to działa, Dunny. Najprawdopodobniej nie dożyje Bożego Narodzenia. Jednak jego sytuacja nie jest całkowicie beznadziejna. Jak niczyja.

– A tych z Palazzo Rospo?

Białowłosey, pulchny, niebieskooki Tyfon wygląda jak Święty Mikołaj bez brody. Jego słodka twarz nie nadaje się do ponurych min. Z przeraźliwie radosną miną mówi:

– Nie spodziewam się, żeby jakiś doświadczony twórca przypadków dał im wielką szansę. Nie wtedy, gdy w grę wchodzi ktoś w rodzaju pana Laputy. Ma on gwałtowny temperament i niezłomną determinację, by zdobyć to, czego chce.

– Nawet chłopiec?

– Zwłaszcza chłopiec – mówi Tyfon. – Zwłaszcza on.

Nakarmiony, nastraszony i nastroszony Fric prosto z piwnicy poszedł do biblioteki, wybierając trasę, na której raczej nie powinien spotkać nikogo z personelu.

Jak duch, jak zjawa, jak chłopiec w czapce-niewidce, przemykał między pokojami, korytarzami, schodami i innymi pokojami, a nikt w tym wielkim domu nie zauważył jego przejścia – częściowo ze względu na jego kocią zwinność, a częściowo dlatego, że nikt – może z wyjątkiem pani McBee – nie interesował się miejscem jego pobytu czy zamiarami.

Bycie małym, chudym i niedostrzeganym nie zawsze jest przekleństwem. Kiedy siły zła maszerują na ciebie wielkimi mrocznymi batalionami, niepozorność zwiększa twoje szanse uniknięcia wypatroszenia, obcięcia głowy, włączenia do legionów żywych trupów czy jeszcze innych strasznych rzeczy, które mogą cię spotkać.

Kiedy ostatnim razem odwiedziła go Nominalna Matka – co wydawało się tylko nieco mniej odległe w czasie niż mastodonty i tygrysy szablozębne – powiedziała Fricowi, że jest myszką. „Słodka mała myszka, której nikt nie dostrzega, bo jest taka cicha i taka szybka, taka szybka i szara, szybka jak szary cień śmigającego ptaka. Jesteś małą myszką, Aelfricu, niemal niewidzialną, doskonałą myszką”.

Freddie Nielander gadała mnóstwo głupot. Fric nie miał jej tego za złe. Tak długo była piękna, że nikt jej nie słuchał. Wszyscy byli oczarowani samym widokiem.

Kiedy nikt cię nie słucha – ale tak naprawdę – można stracić zdolność mówienia z sensem. Fric dobrze to rozumiał, bo jego także nikt naprawdę nie słuchał. Tyle że nikt nie był oczarowany jego

widokiem. Prędzej rozczarowany.

Wszyscy bez wyjątku zakochiwali się we Freddie Nielander od pierwszego wejrzenia i pragnęli, by ona także ich pokochała. Nawet gdyby wcześniej wsłuchali się w jej słowa, nie mogliby się z nią nie zgodzić, a gdyby gadała wyjątkowe głupoty, chwaliliby jej rozum. Biedna Freddie nie miała żadnej wiarygodnej informacji zwrotnej. Nic – z wyjątkiem cudu – nie tłumaczyło, dlaczego już dawno nie oszalała.

W bibliotece meble w pobliżu drzwi zostały tak przestawione, by dało się pomieścić pięciometrową choinkę. Świeży zapach igliwia był tak silny, że Fric niemal spodziewał się zobaczyć wiewiórki w fotelach, pracowicie chowające na zimę żołędzie w antycznych chińskich wazach.

Był to jeden z dziewięciu potężnych świerków, ustawionych dziś w głównych pokojach domu. Były idealnie wymodelowane, doskonale symetryczne, zieleńsze niż sama zieleń.

Każda ozdoba na nich przedstawiała anioła. Były anioły malutkie, średnie, duże, jasnowłose, afroamerykańskie, azjatyckie, szlachetne indiańskie z piórami i aureolami. Uśmiechnięte, śmiejące się, bawiące się aureolą jak hula-hoop, fruujące, tańczące, śpiewające, modlące się i skaczące na skakance. Słodkie psiaki z anielskimi skrzydłami. Anielskie kotki, anielskie żabki i jedna anielska świnka.

Fric zwalczył mdłości.

Zostawiwszy anioły lśnieniu, migotaniu, dyndaniu i wirowaniu, podszedł do półek z książkami, konkretnie do półki ze słownikami. Usiadł na podłodze z największym tomem, Słownikiem Języka Angielskiego Random House – i znalazł hasło „Robin Goodfellow”, ponieważ Tajemniczy Rozmówca powiedział, że człowiek, którego powinien się strzec, „udaje Robina Goodfellowa”.

Obok hasła widniało jedno słowo: PUK.

Fric uznał, że to brzydkie słowo, choć nie wiedział, co może znaczyć.

W słownikach jest masa brzydkich słów. To mu nie przeszkadzało. Przypuszczał, że autorzy słowników nie byli zwykłymi ordynusami z marginesu społecznego, tylko mieli poważne naukowe powody, by używać wulgaryzmów.

Ale tylko jedno słowo, w dodatku brzydkie, zamiast definicji, to już naprawdę zbyt wiele. Wydawca powinien sprawdzać, czy autorzy nie popijają alkoholu w pracy.

Wielu współpracowników jego ojca wciskało w jedno zdanie tyle brzydkich słów, że pewnie na ich półkach stały słowniki z samymi wulgaryzmami. Ale w obecności Frica jeszcze nikt nie ośmielił się powiedzieć „puk”.

Fric zaczął przewracać kartki, niemal zupełnie pewien, że pod słowem „puk” zobaczy definicję: „Odczep się, mamy dość definicji, sam się domyśl, co to znaczy”.

Tymczasem okazało się, że „Puk” jest w angielskich wierzeniach „złośliwym duszkiem”, a także jednym z bohaterów „Snu nocy letniej” Szekspira.

Słowa mają na ogół więcej niż jedno znaczenie; to samo dotyczyło Puka. Druga definicja była nieco mniej pogodna: „złośliwy lub płatający figle demon, duch lub goblin”.

Tajemniczy Rozmówca powiedział, że Fric powinien się obawiać człowieka, który miał osobowość mroczniejszą niż Robin Goodfellow alias Puk. Mroczniejszą niż złośliwy demon lub goblin.

Nad Friclandią zaczęły się zbierać czarne chmury.

Fric zaczął szukać gościa zwanego Moe Loch. Tymczasem odnalazł niejakiego MOLOCHA. Dwa razy przeczytał definicję.

O, niedobrze.

Moloch był bóstwem, o którym mowa w dwóch księgach Biblii, wyznawcy składali mu ofiary z dzieci. Biblia go chyba nie popierała.

Ostatnie słowa definicji zaniepokoiły Frica najbardziej: „... ofiary z dzieci składali ich rodzice”.

Tego już za wiele.

Ani przez chwilę nie podejrzewał, że Ojciec Duch razem z Nominalną Matką przywiążą go do ołtarza i podziabią na kawałki. Przede wszystkim prawdopodobnie nie zdołaliby zgrać ze sobą swoich gwiazdorskich terminów. Wykluczone, żeby znaleźli się razem w tym samym miejscu i czasie.

Poza tym może nie są to rodzice skłonni do śpiewania kołysanek i gry w baseball, ale także nie potwory. To tylko ludzie. Zagubieni. Starający się ze wszystkich sił.

Fric nie miał wątpliwości, że o nim myślą. Inaczej być nie może. Przecież go stworzyli.

Po prostu nie potrafią wyrażać uczuć. Przeciętna modelka ma do czynienia głównie z obrazami, nie słowami. To oczywiste, że najslawniejszy aktor świata radzi sobie ze słowami lepiej od Freddie, ale tylko z tymi, które mu ktoś napisał.

Przez jakiś czas, tylko po to, żeby nie myśleć o sobie jako ofierze brutalnego morderstwa, Fric przeglądał brzydkie słowa w słowniku. Zdumiewająco nieprzyzwoita książka. W końcu zaczął się wstydzić, że czyta takie świństwa w pokoju pełnym aniołów.

Odstawił słownik na półkę i podszedł do najbliższego telefonu. Biblioteka była obszerna, dlatego znajdowały się w niej trzy aparaty.

W tych rzadkich chwilach, kiedy Ojciec Duch zapraszał dziennikarzy do domu zamiast na plan filmu czy inny grunt neutralny, zazwyczaj napomykał, że w bibliotece znajduje się dwa razy więcej książek niż butelek wina w piwnicy. Potem dodawał:

- Kiedy odejdę z tego świata, to na rauszu i dobrze

wykształcony.

Cha, cha, cha.

Fric przysiadł na skraju fotela, podniósł słuchawkę telefonu, wcisnął klawisz swojej linii prywatnej i wystukał kombinację *69. Zapomniał to zrobić w pokoju do smakowania wina, gdzie gawędził z Tajemniczym Rozmówcą.

Poprzednim razem numer nie odpowiadał. Ale tym razem było inaczej. Fric czuł, że po tamtej stronie ktoś jest. Wyczuwał jego obecność.

– Zaskoczyłem cię? – spytał.

Usłyszał czyjś oddech.

– Wystukałem *69.

Oddech stał się dziwny, trochę zdyszany, jakby myśl, że można go wyśledzić za pomocą kombinacji cyfr, podnieciła gościa.

– Dzwonię z wychodka w łazience ojca – skłamał i odczekał, żeby jego dziwny telefoniczny kolega miał szansę go ostrzec, że kłamstwa prowadzą do nieszczęścia.

Doczekał się tylko dyszenia.

Facet wyraźnie chciał go wystraszyć. Fric postanowił, że nie da zboczeńcowi satysfakcji.

– Zapomniałem cię spytać, jak długo mam się ukrywać przed tym Pukiem.

Im dłużej nasłuchiwał tego oddechu, tym bardziej zdawał sobie sprawę z jego niepokojącej odmienności od wszystkich dyszących zboczeńców z filmów.

– Znalazłem też Molocha.

Imię jakby podnieciło zboczeńca. Dyszenie stało się głośniejsze i szybsze.

Raptem Fric nabrał przekonania, że dyszy nie człowiek, a zwierzę. Na przykład niedźwiedź, ale coś gorszego od niedźwiedzia. Albo byk, ale nie taki zwykły byk.

Dyszenie pełzło przez spiralny kabel i słuchawkę prosto w ucho Frica, jak wąż, by wpełznąć mu do czaszki i wbić kły w mózg.

To wcale nie był Tajemniczy Rozmówca. Fric odłożył słuchawkę.

Natychmiast rozległ się jego prywatny sygnał. *Uuu-di-li-uuu-dili-uuu.*

Nie odebrał.

Uuu-dili-uuu-dili-uuu.

Wstał z fotela. Szybko przebiegł między półkami na front biblioteki.

Jego osobisty sygnał jakby z niego drwił. Fric zatrzymał się i spojrzął na inny aparat z zapalającym się i gasnącym światełkiem.

Jak wszyscy szczęśliwi posiadacze linii prywatnych, on także miał pocztę głosową. Po piątym dzwonku automatyczna sekretarka nagra wiadomość.

Nagrywanie z pewnością się już włączyło, lecz telefon zadzwonił czternaście, a może i więcej razy.

Fric okrążył choinkę, otworzył wysokie drzwi i wyszedł na korytarz.

Telefon w końcu przestał się z niego naśmiewać.

Obejrzał się w lewo, potem w prawo. Był sam, ale znowu ogarnęło go przekonanie, że ktoś go obserwuje.

W bibliotece, pomiędzy setkami małych białych światełek, niczym gwiazdki migoczących w ciemnych gałęziach świerków, anioły śpiewały bezgłośnie, bezgłośnie się śmiały, bezgłośnie dęły w

trąbki, iskrzyły się, lśniły, pyszniły się aureolami lub harfami, dyndały na przedziurawionych skrzydłach, na rękach uniesionych w błogosławieństwie, na szyjach, jakby złamały jakieś niebiańskie prawo i, stracone podczas masowej egzekucji, zawisły na wieki na drzewku-szubienicy.

Ethan pił szkocką, która nie miała na niego żadnego wpływu. Może dwa zgony dziennie wyjątkowo przyspieszają metabolizm.

Ten hotelowy bar z tłumem wypielegnowanych gości był ulubioną knajpą Channinga Manheima, przypominającą mu początki kariery. W zwykłych okolicznościach Ethan wybrałby jakąś mniej snobistyczną spelunkę, przepojoną kojącym zapachem piwa.

Inne znane mu bary były pełne gliniarzy po służbie. Perspektywa spotkania dawnego kolegi akurat w ten wieczór była mało zachęcająca. Wystarczyłaby jej dna minuta rozmowy z dowolnym kompanem z wymiaru sprawiedliwości, choćby z niewiadomo jakim artyzmem udał wesołość, natychmiast wyszłoby na jaw, jak bardzo jest zaniepokojony. A wtedy żaden szanujący się gliniarz nie oparłby się pokusie wyciągnięcia z niego – może podstępem – prawdy.

A on akurat nie miał ochoty wyjaśniać, co mu się przydarzyło. Chciał się nad tym zastanowić.

No, może nie całkiem. Wolałby zaprzeczyć wszystkiemu. Zapomnieć, co się stało. Zablokować pamięć i się upić.

Zaprzeczenie nie wchodziło w grę. W zaprzeczeniu bardzo przeszkadzały trzy srebrne dzwoneczki z ambulansu, lśniące na barze koło szklanki. Równie dobrze mógłby zaprzeczać istnieniu Yeti, siedzącego mu na twarzy.

Zatem nie miał wyboru. Musiał się zastanowić nad tym, co mu się przydarzyło – a to natychmiast prowadziło go w intelektualny ślepy zaułek. Nie tylko nie wiedział, co ma myśleć o tych dziwnych wypadkach, ale i jak ma o nich myśleć.

Najwyraźniej Rolf Reynerd nie strzelił mu w brzuch. A jednak

intuicja podpowiadała mu, że wyniki analiz poświadczą, iż pod paznokciami miał własną krew.

Wspomnienie wypadku, w którym odniósł śmiertelne obrażenia, wspomnienie paraliżu było tak przerażająco dokładne, tak prawdziwe, że nie potrafił uwierzyć, iż to wszystko przyśniło mu się pod wpływem jakiegoś podstępnie podanego narkotyku.

Zamówił następną kolejkę, a kiedy szkocka chlusnęła na kostki lodu w nowej szklance, wskazał dzwoneczki i spytał:

– Widzisz je?

– Lubię tę piosenkę – odparł barman.

– Jaka piosenkę?

– „Srebrne dzwonki”.

– Ale je widzisz?

Barman uniósł brew.

– Tak. Trzy małe dzwoneczki. A ty, ile widzisz?

Ethan się uśmiechnął; miał nadzieję, że nie wygląda to na uśmiech kretyna.

– Też trzy. Nie martw się, nie będę zagrożeniem na autostradzie.

– Naprawdę? To jesteś wyjątkowy.

No pewnie, pomyślał. Jeszcze jak wyjątkowy. Umarłem dziś dwa razy, ale i tak potrafię pić. Ciekawe, jak szybko barman odebrałby mu szklankę, gdyby usłyszał jego myśli.

Popijał szkocką, szukając jasności myśli w upojeniu, ponieważ w trzeźwości ich nie znalazł. Od dziesięciu do piętnastu minut później, wciąż trzeźwy, w lustrze za barem zobaczył Dunny’ego Whistlera.

Odwrócił się, rozlewając trochę alkoholu. Dunny lawirował między stolikami. Był już niemal przy drzwiach. I nie był duchem; jakaś kelnerka zatrzymała się, żeby go przepuścić.

Ethan zerwał się na równe nogi, przypomniał sobie o dzwoneczkach, porwał je z baru i pobiegł do wyjścia.

Niektórzy goście kursowali od stolika do stolika, stali w przejściach. Ethan walczył z chęcią, by ich odpychać z drogi. W jego „przepraszam” brzmiał tak ostry ton, że ludzie jeżyli się na jego dźwięk, ale na widok twarzy Ethana słowa oburzenia utykały im w gardle.

Zanim Ethan zdołał się wydostać z baru, Dunny już zniknął.

Pobiegł do holu obok. Ludzie stali przy portierni, w rejestracji, szli w stronę wind. Dunny’ego nie było między nimi.

Po lewej stronie za wykładanym marmurem holem znajdował się salon pełen sof i foteli. Tam goście mogli codziennie otrzymać herbatkę, a o tej wieczornej porze – drinki, jeśli byli spragnieni atmosfery spokojniejszej niż w barze.

Na pierwszy rzut oka Dunny’ego Whistlera nie było między nimi.

Po prawej ręce Ethana drzwi obrotowe z wolna wytracały rozpęd, jakby ktoś niedawno przez nie przechodził. Ale ich przegrody były puste.

Wyszedł w chłodną noc, zatrzymał się pod markizą.

Portier wraz z krzątającym się oddziałem parkingowych odprowadzał gości do samochodów i witał ich, gdy przyjeżdżali. Samochody osobowe, terenowe i limuzyny walczyły o lepsze miejsce na zatłoczonych pasach przez hotelem.

Dunny nie stał pomiędzy czekającymi na samochód. Nie dawał się zauważyć także w towarzystwie parkingowych.

Pomiędzy innymi pojazdami widać było kilka mercedesów w rozmaitych ciemnych odcieniach, ale Ethan był pewien, że żaden z nich nie należał do Dunny'ego.

Przez gwar ludzkich rozmów, warkot silników i chlupot deszczu dzwonek telefonu pewnie by się nie przebił. Ale Ethan włączył alarm wibracyjny; aparat zadygotał w jego kieszeni.

Podniósł go do ucha, nadal wypatrując Dunny'ego.

– Muszę się z tobą natychmiast zobaczyć – powiedział Hazard Yancy. – I lepiej nie tam, gdzie się spotyka elita.

Dunny jedzie windą na trzecie piętro w towarzystwie starszej pary. Trzymają się za ręce jak młodzi kochankowie.

Dunny słyszy słowo „rocznica” i pyta, jak długo są małżeństwem.

– Pięćdziesiąt lat – mówi mąż, promieniejąc dumą, że jego wybranka zechciała spędzić z nim życie.

Pochodzą ze Scranton w Pensylwanii, przyjechali do Los Angeles, by świętować rocznicę z córką i jej rodziną. Córka zafundowała im apartament dla nowożeńców, według słów żony „tak piękny, że boimy się siadać na krzesłach”.

Z Los Angeles polecą na Hawaje, tylko we dwójkę, na romantyczną tygodniową idyllę w słońcu.

Są spokojni, błodzy, wyraźnie zakochani. Stworzyli sobie życie, jakim Dunny tak długo gardził. Ale ostatnio zaczął pragnąć tego szczęścia bardziej niż czegokolwiek innego. To poświęcenie i oddanie, ta rodzina, którą zbudowali, to życie dla siebie nawzajem, wspomnienia wspólnych kłopotów i ciężko wypracowanych triumfów. Oto co się ostatecznie liczy, nie te rzeczy, za którymi się uganiał. Nie pieniądze, władza, niebezpieczne życie.

Chciał się zmienić, ale za daleko zaszedł tą drogą, by móc wrócić i znaleźć towarzystwo, którego pragnie. Hannah odeszła przed pięciu laty. Dopiero u jej łoża śmierci zdał sobie sprawę, że była dla niego najlepszą szansą powrotu na właściwą drogę. Jako młody zapaleniec odrzucił jej radę, wierzył, że pieniądze i władza są dla niego ważniejsze od niej. Szok wywołany jej przedwczesną śmiercią zmusił go do powiedzenia sobie, że się pomylił.

Dopiero tamtego dziwnego, deszczowego dnia dotarło do niego,

że Hannah była także jego ostatnią szansą.

Jak na człowieka sądzącego, że świat jest gliną, z której może ulepić, co mu się podoba, znalazł się w dziwnym miejscu. Stracił całą władzę, gdyż żadnym czynem nie zmieni już swego życia.

Z pieniędzy, które wyjął z sejfów w gabinecie, zostało mu dwadzieścia tysięcy dolarów. Dziesięć mógł dać tej starszej parze ze Scranton, powiedzieć, żeby zostali w błękitnej Hawajów przez cały miesiąc, dobrze jedli i pili z jego błogosławieństwem.

Mógłby też zatrzymać windę i ich zabić.

Ani jedno, ani drugie nie zmieniłoby jego przyszłości w liczący się sposób.

Dojmująco zazdrości im szczęścia. Miałby dziką satysfakcję, okradając ich z lat, które im zostały.

Pomimo wszystkich przewinień – a ich lista jest długa – nie zabijał wyłącznie z zazdrości. Nie pozwalała mu na to duma, nie tylko litość.

Mieszkają na trzecim piętrze, po drugiej stronie hotelu. Życzy im zdrowia i patrzy, jak odchodzą, trzymając się za ręce.

Dunny mieszka w apartamencie prezydenckim. Tyfon zarezerwował sobie te wielkie pokoje na cały rok, ale przez parę dni nie będzie ich potrzebował, gdyż interesy wymagają jego obecności gdzie indziej.

Nazwa „prezydencki” sugeruje demokratyczny luksus. Te wielkie komnaty są tak wspaniałe i zmysłowe, że nadają się nie tyle dla sternika demokracji, ile dla władców i półbogów. Intarsjowane marmurowe posadzki, dywany w tonach złota, czerwieni, brzoskwini i indygo, panele z egzotycznego drewna...

Dunny idzie przez pokoje, poruszony ludzką potrzebą upiększania miejsca zamieszkania i dzielnego zaprzeczania brutalności świata, którą trzeba znosić. Każdy pałac i każde dzieło

sztuki to tylko proch, a czas jest cierpliwym wiatrem, który go rozwieje. Mimo to mężczyźni i kobiety poświęcają wiele zastanowienia, wysiłku i troski, by upiększyć swoje pokoje, bo wbrew wszystkim dowodom mają nadzieję, że ich życie ma znaczenie, a w talencie tkwi sens większy niż w nich samych.

Jeszcze dwa lata temu Dunny nic nie wiedział o tej nadziei. Po trzech latach oplakiwania Hannah, jak na ironię, zapragnął uwierzyć w Boga.

Stopniowo, z każdym rokiem, jaki mijał od jej pogrzebu, rosła w nim niespodziewana nadzieja, rozpaczliwa i krucha, lecz uparta. Ale zostało w nim zbyt wiele dawnego Dunny'ego, za bardzo ugrzązł w starych nawykach myślenia i działania.

Nadzieja jest mglistym światłem. Nie nauczył się, jak destylować je w coś czystego, silnego, potężnego.

I już się nie nauczy.

W sypialni staje przed spływającym deszczem oknem, spogląda na północny zachód. Za zamglonymi burzą światłami miasta, za bujną roślinnością na wzgórzach Beverly Hills, znajduje się Bel Air i Palazzo Rospo, idiotyczny, lecz trwałe pomniki nadziei. Każdy jego właściciel już umarł lub umrze.

Odwraca się od okna i spogląda na łożo. Pokojówka zdjęła narzutę, odchyliła kołdrę, a na poduszce zostawiła maleńkie złote pudełeczko. W pudełeczku znajdują się cztery czekoladki. Eleganckie tak pod względem kształtu, jak i opakowania, wydają się smakowite, ale on ich nie spróbuje.

Mógłby namówić wiele pięknych kobiet, by dzieliły z nim to łożo. Niektóre spodziewałyby się zapłaty, inne nie. Wśród nich znajdują się kobiety, dla których seks jest aktem miłości i łaski, ale także takie, dla których źródłem przyjemności jest upodlenie. Wybór należy do niego, wszelkie rozkosze i podłości, jakich zapragnie.

Nie potrafi sobie przypomnieć smaku ostryg ani bukietu pinot grigio. Jego wspomnienia nie budzą dreszczu większego niż zdjęcie ostryg i wina. Żadna kobiet, którą by tu wezwał, nie zostawiłaby po sobie większego wrażenia niż jedzenie i napoje, które choć nadal w nim tkwią, wydają się jedynie złudzeniem. Jedwabista gładź ich skóry, zapach ich włosów nie zostaną z nim, kiedy zamkną się za nimi drzwi.

Jest jak człowiek, który czeka w noc przed dniem zagłady – w pełni świadomy, że o świcie słońce wybuchnie, ale niezdolny cieszyć się drogocennymi przyjemnościami tego świata, bo całą energię poświęcił na rozpaczliwe pragnienie, by zapowiedziany kres jednak nie nadszedł.

Ethan i Hazard spotkali się w kościele, bo o tej porze w poniedziałek wieczorem ławki były puste i raczej nie należało się spodziewać, że zauważą ich tu politycy, Oddział do spraw Polowania na Policjantów lub inne jednostki.

Usiedli obok siebie, blisko bocznego ołtarza, gdzie nikt nie mógł ich podsłuchać i gdzie nie paliły się żadne światła. W powietrzu nieruchomym jak w zamkniętym słoiku unosił się zwietrzały, lecz przyjemny zapach kadzidła.

Mówili szeptem, ale nie jak konspiratorzy, tylko ludzie w obliczu zdumiewającego cudu.

– Powiedziałem, że chciałem się spotkać z Reynerdem w sprawie jego kumpla Jerry’ego Nemo, który przypadkiem jest podejrzany w sprawie morderstwa tego dilera Cartera Cooka.

– Uwierzyli ci?

– Bo chcieli. Ale możliwe, że jutro dostanę raport z laboratorium, który na wieki połączy Lale na Falach z tym politykiem, co to ci mówiłem.

– Ta dziewczyna w kanale.

– Właśnie. Wtedy drań zacznie szukać sposobu, żeby się do mnie dobrać. Jeśli któryś z tych chłopaków da się kupić albo zaszantażować, zmienią tego oprycha z łyżeczką do koki w uchu w kalekiego ministranta, któremu strzeliłem w plecy. Moja gęba znajdzie się na pierwszych stronach gazet.

Ethan wiedział, jak będą brzmieć nagłówki tych artykułów – POLICJANT MORDERCA – bo od lat rozmawiali o uprzedzeniach wobec policjantów. Kiedy jakiś polityk o brudnych rękach i żerująca na sensacjach prasa mieli w jakiejś sprawie wspólne interesy,

naciągali fakty bardziej niż skórę hollywoodzkiej piękności po czterech liftingach.

Hazard zgarbił się, oparł ręce na udach, ręce złożył niemal jak do modlitwy i spojrzał na ołtarz.

– Media pokochają tego polityka. Twierdzi, że jest reformatorem i zdobył uznanie najwłaściwszych ludzi. Mnie też pokochają, bo w ogóle jestem kochany, ale tłum prędzej by skonał, niż pocałował gliniarza. Jeśli zaistnieje choć cień szansy, że uratują go moim kosztem, sezon polowań na mnie zostanie rozpoczęty.

– Przepraszam, że cię w to władowałem.

– Nie mogłeś wiedzieć, że jakiś idiota skasuje Reynerda. – Hazard odwrócił wzrok od ołtarza i wbił w niego, jakby szukając judaszowego piętna. – Prawda?

– W pewnym sensie to mi nie wyglądało najlepiej.

– W pewnym sensie – zgodził się Hazard. – Ale nawet ty nie jesteś tak głupi, żeby pracować dla gwiazdora, który tak załatwia porachunki.

– Manheim w ogóle nie wie o istnieniu Reynerda ani o czarnych pudełkach. A jeśli się dowie, pomyśli, że Reynerd powinien poddać się aromaterapii.

– Ale jest coś, czego mi nie mówisz – uparł się Hazard.

Ethan pokręcił głową, ale nie był to gest zaprzeczenia.

– Kurczę. Ależ to był cholerny dzień.

– Po pierwsze, Reynerd siedział na sofie między dwoma torbami chipsów. Okazuje się, że w obu miał po gnacie. A jednak kiedy zabójca zadzwonił do drzwi, Reynerd poszedł nieuzbrojony. Może to dlatego, że za prawdziwe zagrożenie uznał mnie. Chodzi mi o to, że miałeś rację z tymi chipsami.

– Jak powiedziałem, pewien sąsiad powiedział, że Reynerd ma

paranoję, nie rozstaje się z pistoletem i chowa go w dziwnych miejscach.

– Ten gadatliwy sąsiad to kit – oznajmił Hazard. – Nie ma żadnego gadatliwego sąsiada. Dowiedziałeś się jakoś inaczej.

Znaleźli się na rozdrożach. Jeśli Ethan nie powie mu czegoś więcej, Hazard nie ruszy palcem, żeby mu pomóc, ich przyjaźń się nie zakończy, ale już nie będzie taka sama.

– Pomyślisz, że mi odbiło – zastrzegł się Ethan.

– Już tak myślę.

Ethan wciągnął w płuca powietrze pachnące kadzidłem, pozbył się oporów i opowiedział Hazardowi, jak Reynerd strzelił mu w brzuch, a on otworzył oczy i odkrył, że wcale nie jest ranny. I że choć nie ma rany, to pod jego paznokciami znajduje się krew.

Hazard przez cały czasu patrzył mu w oczy i ani razu nie odwrócił wzroku, co by nastąpiło, gdyby uznał go za świra. Dopiero kiedy Ethan skończył, Hazard znowu spojrzał na swoje złożone ręce.

W końcu się odezwał.

– No, obok ducha to na pewno nie siedzę.

– Więc wybierz mi dobry szpital. Chcę taki, gdzie uczą garncarstwa.

– Oprócz tego, że kazałeś sobie przebadać krew, wymyśliłeś jakąś teorię?

– Poza tą, że znalazłem się w Strefie Mroku? Albo że umarłem i jestem w piekle?

Hazard zrozumiał.

– Niewiele więcej przychodzi do głowy, co?

– Na pewno nie to, co można zbadać technikami wywiadowczymi, jak mówili w akademii.

- Mnie się nie wydajesz świrnięty.

- Sobie też nie, ale świr zawsze dowiadyuje się ostatni.

- Poza tym miałeś rację z tym pistoletem w torbie chipsów. Czyli to chyba było... doświadczenie paranormalne.

- Jasne, jasnowidzenie. Tylko skąd ta krew pod paznokciami?

Hazard przyjął jego dziwaczne wyznanie ze spokojną ufnością i wyjątkowym opanowaniem. Mimo to Ethan nie zamierzał go uszczęśliwić opowieścią o przejechaniu przez cruisera i ciężarówkę. I o śmierci w ambulansie.

Jeśli raz zobaczyło się ducha, człowiek jest normalny, tylko miał paranormalne przeżycie. Jeśli widzi się innego ducha w innym miejscu i porze, jest się w najlepszym razie ekscentrykiem, którego każde następne oświadczenie przyjmuje się z dystansem jak stąd na księżyc.

- Zabójca Reynerda - powiedział Hazard - był gangsterem. Nazywał się Hector X, ale jego prawdziwe nazwisko brzmi Calvin Roosevelt. Był wielką szyczą w gangu, a jego pomocnik musiał siedzieć w bryce, którą rąbnęli tuż przed robotą.

- Standard - zgodził się Ethan.

- Ale nikt nie zgłosił zaginięcia benza. Zdobyłem jego numer rejestracyjny i nie uwierzysz, do kogo należy.

Hazard podniósł głowę znad złożonych rąk. Spojrzał Ethanowi w oczy.

Ethan nie miał pojęcia, co zaraz usłyszy, ale czuł, że nic dobrego.

- Do kogo?

- Twojego kolegi z dzieciństwa. Niesławnego Dunny'ego Whistlera.

Ethan nie odwrócił wzroku. Nie miał odwagi.

– Wiesz, co się z nim stało.

– Jacyś goście utopili go w kiblu, ale przeżył.

– Parę dni później skontaktował się ze mną jego prawnik. Powiedział, że Dunny wyznaczył mnie na wykonawcę testamentu i dał mi prawo podejmowania decyzji o jego leczeniu.

– O tym nie wspomniałeś.

– Nie widziałem powodu. Wiesz, kim był. Rozumiesz, dlaczego nie chciałem go w moim życiu. Ale zgodziłem się na tę sytuację, bo... nie wiem... bo kiedyś, kiedy byliśmy dziećmi...

Hazard skinął głową. Wyjął z płaszcza rolkę dropsów, oddarł papierek i poczęstował Ethana.

– Dunny zmarł dziś rano w szpitalu Matki Boskiej od Aniołów.

Hazard wyłuskał cukierka i włożył do ust.

– Nie mogą znaleźć jego ciała – dodał Ethan, ponieważ raptem wyczuł, że Hazard już o tym wie.

Hazard nie odpowiedział. Starannie złożył rozdarty koniec rolki.

– Przysięgają, że umarł – ciągnął Ethan – ale wiem, jak wyglądają kostnice szpitalne. Nie mógł się wydostać inaczej niż na własnych nogach.

Hazard włożył rolkę do kieszeni płaszcza. Zaczął ssać cukierek, obracając go w ustach.

– Jestem pewien, że on żyje – powiedział Ethan.

W końcu Hazard znowu na niego spojrział.

– Wszystko to się wydarzyło przed naszym obiadem.

– Tak. Słuchaj, stary, nie wspomniałem o tym, bo nie wiedziałem, czy Dunny ma coś wspólnego z Reynerdem. Dalej nie

wiem. A ty?

– Byłeś cholernie opanowany, biorąc pod uwagę, że to wszystko ci się gotowało w głowie.

– Myślałem, że wariuję, ale przecież byś mi nie pomógł bardziej, gdybym ci o tym powiedział.

– Więc co się zdarzyło po obiedzie?

Ethan zrelacjonował swoją wizytę w mieszkaniu Dunny'ego, nie pomijając żadnego szczegółu z wyjątkiem ulotnego kształtu w zaparowanym lustrze.

– Dlaczego trzymał na biurku zdjęcie Hannah?

– Nigdy o niej nie zapomniał. Ciągle o niej pamięta. Pewnie dlatego wydarł zdjęcie z ramki i zabrał ze sobą.

– Więc wyjeżdża mercedesem z garażu...

– Uznałem, że to on. Nie mogłem się bliżej przyjrzeć kierowcy.

– A potem co?

– Musiałem się zastanowić. Poszedłem na grób Hannah.

– Po co?

– Miałem przeczucie. Pomyślałem, że coś tam znajdę.

– I co znalazłeś?

– Róże. – Opowiedział mu o dwóch tuzinach Broadwayów i swojej wizycie w kwiaciarni. – Sprzedawczyni opisała Dunny'ego. I wtedy nabrałem pewności, że on żyje.

– To dlaczego ci powiedział, że uważasz go za zmarłego i masz rację?

– Nie wiem.

Hazard zmiażdżył w zębach dropsa.

- W ten sposób można sobie złamać ząb – ostrzegł Ethan.

- Iiii tam.

- Przyjacielska rada.

- Whistler budzi się w kostnicy, zdaje sobie sprawę, że został uznany za zmarłego, więc wkłada ubranie, wychodzi, nie postraszywszy nikogo, bierze prysznic. To według ciebie ma sens?

- Nie. Ale pomyślałem, że przecież doznał sporych obrażeń mózgu.

- Jedzie do kwiaciarni, kupuje róże, idzie na grób, wynajmuje zabójcę... jak na kogoś, kto właśnie się wybudził ze śpiączki, całkiem nieźle sobie radzi.

- Nie upieram się przy tej teorii.

- I dobrze. A co było po wizycie w kwiaciarni?

Ze względu na zasadę dwóch duchów Ethan nie opowiedział mu o cruiserze.

- Poszedłem do baru.

- Nie należysz do tych, którzy szukają odpowiedzi w szklance ginu.

- Szkockiej. I nie znalazłem żadnych odpowiedzi. Może następnym razem spróbuję wódki.

- I to wszystko? Nic nie ukrywasz?

- A co, mało tego Archiwum X? Zachciewa się kosmitów, wampirów, wilkołaków? – spytał Ethan z maksymalną szczerością.

- Unikasz odpowiedzi?

- Niczego nie unikam – oświadczył Ethan, z żalem postanawiając skłamać w żywe oczy. – To już wszystko, nic nie ukrywam. Kiedy do mnie zadzwoniłeś, piłem szkocką.

- Tak?

- Tak. Piłem szkocką, kiedy zadzwoniłeś.

- Pamiętaj, że jesteś w kościele.

- Cały świat jest kościołem, jeśli się wierzy.

- A ty wierzysz?

- Wierzyłem.

- A po śmierci Hannah przestałeś?

Wzruszył ramionami.

- Może tak, może nie. Zmienia mi się z dnia na dzień.

Hazard rzucił mu spojrzenie zdolne obrać cebulę łuska po łusce aż do samego środka.

- Dobra – powiedział. – Wierzę ci.

- Dzięki – odparł Ethan, czując się tak malutki, że mógłby się przeczołgać pod węzem.

Hazard spojrzał na kościół, upewniając się, że nie widać żadnej zagubionej duszyczki, szukającej Bożego wsparcia.

- Ty byłeś ze mną szczery, dlatego i ja coś ci powiem, ale musisz zapomnieć, że to usłyszałeś.

- W ogóle zapomniałem, że tu byłem.

- W mieszkaniu Reynerda nie ma nic interesującego. Parę mebli, wszystko czarno-białe.

- Żył jak mnich, ale elegancki.

- I prochy. Miał spory zapasik koki, zapakowanej w działki. A także notes pełen nazwisk i numerów, prawdopodobnie lista klientów.

- Znane nazwiska?

- Nie bardzo. Jacyś aktorzy. Nikt wielki. Natomiast powinienes się dowiedzieć o scenariuszu, który pisał.

- W tym mieście jest więcej facetów piszących scenariusze niż zdradzających żony.

- Obok komputera leżało dwadzieścia sześć stron.

- Nie wystarczy nawet na pierwszy akt.

- Znasz się na scenariuszach, co? Sam piszesz?

- Nie. Zostało mi jeszcze trochę godności.

- Reynerd pisał o młodym aktorze, który dostaje się na kursy aktorskie, a na nich nawiązuje „głębką intelektualną więź” z profesorem. Obaj nienawidzą Camerona Mansfielda. Tak zabawnie się składa, że jest to największy gwiazdor filmowy świata. I obaj postanawiają go zabić.

Do tej pory Ethan zdążył się przygarbić pod ciężarem zmęczenia; teraz się wyprostował.

- Co nimi kieruje?

- To nie jest jasne. Reynerd zostawił na marginesie sporo odręcznych notatek. Mniej więcej chodzi o to, że usiłowali sobie udowodnić, że nie zabraknie im odwagi. Każdy z nich podaje drugiemu nazwisko kogoś, kogo należy zabić, zanim razem załatwią gwiazdora. Aktor chce, żeby profesor zabił jego matkę.

- Dlaczego to mi się kojarzy z Hitchcockiem?

- Bo to tak, jak w jego filmie „Nieznajomi z pociągu”. Ten pomysł, by zamordować za drugą osobę. Każdy miałby niewzruszone alibi w przypadku morderstwa, za które w przeciwnym razie zostałby skazany.

- Zaraz, zaraz... matka Reynerda naprawdę została zamordowana.

– Przed czterema miesiącami – potwierdził Hazard. – Pewnej nocy, kiedy jej syn miał niepodważalne alibi.

Kościół obrócił się leniwie sześć do ośmiu razy, jakby pod wpływem opóźnionego działania szkockiej. Ethan nie dał się oszukać; wiedział, że te zawroty głowy mają związek z najnowszymi rewelacjami.

– Co za idiota popełnia morderstwo, a potem pisze o tym scenariusz?

– Arogancki aktor. Nie mów mi, że się zdziwiłeś.

– A kogo kazał zabić Reynerdowi profesor?

– Kolegę z uniwersytetu. Ale tego Reynerd jeszcze nie opisał. Skończył scenę morderstwa matki. W rzeczywistości nazywała się Mina, a napastnik postrzelił ją w prawą stopę, po czym pobił na śmierć lampą z marmuru i brązu. W scenariuszu ma na imię Rena i morderca zadaje jej wiele ciosów nożem, odcina jej głowę, ćwiartuje i pali w piecu.

Ethan się skrzywił.

– Coś mi mówi, że dni mamusi były policzone, choćby nawet nie spotkał tego profesora.

Zamilkli. Dobrze izolowany dach kościoła znajdował się tak wysoko nad ich głowami, że odgłosy burzy były ledwie słyszalne – a tym bardziej bębnienie deszczu, które tu wydawało się szelestem skrzydeł przelatującego stada ptaków.

– No dobra – odezwał się w końcu Hazard. – Reynerd nie żyje, ale lepiej niech Wielki Chan uważa. Profesor – czy kim tam jest w prawdziwym życiu – ciągle się gdzieś tam kręci.

– Kto pracuje nad morderstwem Miny Reynerd? – spytał Ethan.
– Ktoś znajomy?

– Sam Kesselman.

Sam był detektywem w wydziale zabójstw w czasach, gdy Ethan jeszcze nosił odznakę.

– I co sądzi o tym scenariuszu?

Hazard wzruszył ramionami.

– Jeszcze nie ma o nim pojęcia. Pewnie dadzą mu odbitkę dopiero jutro.

– Jest niezły. Zaraz się nim zajmie.

– Może nie dość szybko, jak na twoje potrzeby – domyślił się Hazard.

Wotywnie świeczki w czerwonych osłonkach zamigotały. Po ścianie kościoła przemknęły kameleony ze światła i cieni.

– Co zamierzasz? – spytał Hazard.

– Jutrzejsze gazety napiszą o śmierci Reynerda. Na pewno wspomną o śmierci jego matki. To mi da pretekst, by odwiedzić Kesselmana, opowiedzieć mu o tych przesyłkach, które Reynerd przysyłał Manheimowi. On będzie już znał ten scenariusz...

– O którym ty nie masz zielonego pojęcia – przypomniał mu Hazard.

– ... i zda sobie sprawę, że dopóki nie zidentyfikuje profesora, Manheimowi grozi niebezpieczeństwo. Może nawet dostanę policyjną ochronę dla mojego szefa.

– Chyba we śnie – mruknął kwaśno Hazard.

– Czasami się udaje.

– Tylko wtedy, kiedy się nie spodziewasz.

– Aha. Ale nie mam środków na śledzenie przyjaciół i współników Reynerda – ani pozwolenia na grzebanie w jego prywatnych dokumentach. Muszę się zdać na sprawiedliwość, czy mi się to podoba, czy nie.

- A co z naszym obiadem? – spytał Hazard.
- Nie było żadnego obiadu.
- Ktoś mógł nas widzieć. I wysledzić płatność kartą.
- No dobrze, był. Ale nie mówiłem z tobą o Reynerdzie.
- I kto ci w to uwierzy?

Ethan nie potrafił podać nazwiska kogoś tak naiwnego.

- Spotkaliśmy się – powiedział Hazard – tego samego dnia pod byle pretekstem odwiedziłem Reynerda, a on dziwnym zbiegiem okoliczności akurat wtedy został zamordowany. A potem, następnym zbiegiem okoliczności, okazuje się że morderca przyjechał samochodem Dunny’ego Whistlera, twojego starego kumpla.

- Aż boli głowa.

- A jeszcze ci w nią nie przykopałem. Stary, przecież każdy uzna, że wiemy, o co tu chodzi, a jak powiemy, że nie wiemy...

- Bo nie wiemy.

- ... uznają, że kłamiemy. Sam bym tak pomyślał.

- Ja też – przyznał Ethan.

- Więc wykombinują jakiś lewy scenariusz, który niby to wszystko wyjaśnia i skończy się tak, że oskarżą nas o wykończenie matki Reynerda, skasowanie Reynerda, wrobienie, a potem rozwalenie Hectora X. Nie obejrzymy się, a oskarżą nas o wybicie dinozaurów.

Kościół nie robił już wrażenia sanktuarium. Ethan pożałował, że nie znajduje się w barze, gdzie mógłby znaleźć ukojenie – ale w takim, którego nie odwiedziłby Dunny, żywy czy martwy.

- Nie mogę iść do Kesselmana – doszedł do wniosku.

Hazard nigdy by sobie nie pozwolił na westchnienie ulgi czy ujawnienie niepokoju. Na podstawionym mu pod nos lusterku nie pokazałaby się para, a odprężenie ujawniło się tylko przez lekką zmianę położenia potężnych ramion.

– Podejmę wyjątkowe środki ostrożności, by bronić Manheima, i będę się modlił, żeby Kesselman szybko znalazł mordercę Miny.

– Jeśli nie odbiorami sprawy Reynerda, przewrócę całe miasto do góry nogami, żeby znaleźć Dunny’ego Whistlera. Nabrałem przekonania, że jest kluczem do wyjaśnienia tego wszystkiego.

– Myślę, że Dunny szybciej znajdzie mnie.

– Co to znaczy?

– Nie wiem. – Ethan zawahał się i westchnął. – Dunny tam był.

– Gdzie?

– W tym barze hotelowym. Zauważyłem go dopiero, kiedy wychodził. Wybiegłem za nim, ale zniknął w tłumie.

– Co tam robił?

– Pił. Może mnie obserwował. Może mnie śledził, chciał do mnie podejść, ale się rozmyślił. Nie wiem.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Nie wiem. Wydawało mi się... że to o jednego ducha za dużo.

– Myślisz, że jak się zrobi zbyt dziwnie, nie uwierzę ci? Trochę zaufania, stary. Znamy się nie od dziś, nie? Razem znaleźliśmy się pod ostrzałem.

Postanowili opuścić kościół osobno.

Hazard wstał pierwszy. Zatrzymał się w przejściu między ławkami.

– Jak za dawnych czasów, co?

Ethan zrozumiał, o co mu chodzi.

– Znowu razem.

Jak na tak dużego mężczyznę, Hazard poruszał się dziwnie bezszelestnie.

Wsparcie zaufanego przyjaciela to duża pociecha, ale nawet najlepszy przyjaciel nie może zaoferować takiego wsparcia, jak kochająca żona. W budowlu serca przyjaźń zajmuje głębokie, solidne komnaty, ale najcieplejszym i najbezpieczniejszym zakątkiem w sercu Ethana był ten, który dzielili z Hannah.

Mógł jej opowiedzieć o wszystkim – o zjawie w lustrze, o drugiej śmierci przed kwiaciarnią – a ona by mu uwierzyła. Razem zaczęliby szukać jakiegoś wytłumaczenia.

Przez te pięć lat od jej odejścia nigdy nie tęsknił za nią bardziej niż w tej chwili. Siedział samotnie w cichym kościele, słyszał ciche bębnienie deszczu o dach, czuł zwietrzały zapach kadzidła, widział rubinowe światło wotywnych świeczek, lecz nie dostrzegł najmniejszego śladu obecności Boga, pragnął ujrzeć nie dowód na jego istnienie, lecz swoją żonę, usłyszeć melodię jej głosu i popatrzeć na przepiękny uśmiech. Czuł się jak bezdomny, jakby nie miał serca. Apartament w domostwie Manheima oczekiwał na jego powrót, gwarantując liczne wygody, ale było to tylko mieszkanie, nie miejsce drogie jego sercu. Tylko raz tego dziwnego i długiego dnia poczuł, że znalazł się w domu: kiedy stał nad grobem Hannah, obok pustego miejsca, do którego posiadał prawo własności.

Z brązowych kul i płomieni, z arabesek, strzał i łuków, z liści i kwiatów, z gryfów i herbów na bramie Manheima kapał i siąpił czarnosrebrny deszcz.

Ethan zahamował przy wysokiej, wykładanej piaskowcem kolumnie z wbudowaną kamerą, interkomem i klawiaturą. Opuścił okno i wystukał sześciocyfrowy kod.

Masywne skrzydła, po których leniwie przesunęło się światło reflektorów forda, z wolna rozsunęły się na boki.

Pilot podobny do tych, które otwierają typowe drzwi garażu, byłby wygodniejszy niż wystukiwanie kodu, zwłaszcza w złą pogodę, ale pilotem mógłby zawładnąć każdy mechanik, parkingowy i wszyscy inni, mający choćby przelotny dostęp do samochodu. Wystarczy je dna nieuczciwa osoba i bezpieczeństwo domu stanie pod znakiem zapytania.

Gdyby Ethan był gościem, nieznanym kodu dostępu, musiałby wcisnąć guzik interkomu i przedstawić się strażnikowi. Jeśli jego wizyta była zapowiedziana bądź też gdyby był przyjacielem domu z listy uprzywilejowanych, strażnik otworzyłby bramę.

Ethan czekał, aż masywna brązowa brama otworzy się do końca; przez cały czas obserwowała go kamera. Kiedy wjedzie na teren posiadłości, przyjrzy mu się cały szereg kamer na drzewach, umocowanych w taki sposób, by dostrzec nawet osoby leżące na podłodze samochodu. Wszystkie kamery były wyposażone w noktowizory, dla których nawet najbledsze światło księżyca było niczym latarnia morska. Miały także najnowszy krzyk techniki – wynalazek eliminujący zniekształcający wpływ deszczu na obraz.

Gdyby na terenie posiadłości pojawił się robotnik lub dostawca

w zamkniętej furgonetce lub ciężarówce, zostałyby grzecznie poproszony o zaczekanie przed bramą do pojawienia się strażnika. Ten przejrzałby jego samochód, by się upewnić, że kierowca nie przywiózł – pod przymusem – jakichś nieproszonych gości.

Palazzo Rospo nie był fortecą – ani zgodnie ze współczesnymi standardami, ani według wymogów średniowiecza. Nie był też łatwym łupem dla pierwszego lepszego wygłodniałego złodzieja.

Bramę można było wysadzić materiałami wybuchowymi, można było nadważyć mury, ale nikt nie mógłby się zakraść ukradkiem na teren posiadłości. Kamery, czujniki ruchu, ciepła i inne wynalazki natychmiast namierzały intruza. Brama, szerokości dziesięciu metrów, ważyła ponad trzy i pół tony. Silnik, który ją otwierał, miał wielką moc, dlatego wielkie skrzydła rozsuwały się szybciej i łatwiej, niż można się było spodziewać.

Pięcioakrowa działka niemal w każdej dzielnicy klasyfikuje się jako spora. Tu, gdzie cena jednego akra sięgała nawet dziesięciu milionów dolarów, pięcioakrowa posiadłość stanowiła odpowiednik całego angielskiego hrabstwa.

Długi podjazd wiódł wokół stawu przed wielkim domem, utrzymanym nie w stylu barokowym – jak brama – lecz klasycznym, prostym, ale o eleganckich proporcjach.

Tuż przed stawem podjazd rozdzielał się na dwie odnogi; Ethan skręcił w tę prowadzącą do bocznego wejścia. Potem podjazd znowu się rozdwajał; jedna arteria prowadziła do stróżówki i siedziby ochroniarzy, druga zaś do podziemnego garażu.

Garaż miał dwa poziomy; na wyższym Twarz trzymał trzydzieści dwa pojazdy ze swojej prywatnej kolekcji – od nowego porsche po kilka rolls royce'ów z lat trzydziestych, mercedesa benza 500 K z 1936 roku i cadillaca z roku 1933.

Niższy poziom mieścił skromniejsze pojazdy obsługujące personel, a także stanowił parking dla prywatnych samochodów

służby.

Podobnie jak na wyższym poziomie, podłoga była wyłożona beżowymi matowymi płytami, a ściany dopasowanymi kolorystycznie lśniącoymi kafelkami. Kolumny podtrzymujące sklepienie były ozdobione falistymi mozaikami w różnych odcieniach żółci.

Niewiele najszykowniejszych salonów samochodowych dla najbogatszych było równie pięknie ozdobionych jak ten garaż na niższym poziomie.

Na ścianie przy windach znajdowała się szafka z kluczami; na podłodze obok skrzynki siedział Fric z tą samą powieścią, którą czytał dziś rano w bibliotece. Podniósł się, gdy zobaczył Ethana.

Widok chłopca wyjątkowo ucieszył Ethana. Nic innego nie mogło go lepiej pocieszyć po tym długim, szarym, okropnym dniu.

Nie wiedział, dlaczego zrobiło mu się raźniej. Może dlatego, że syn Twarzy, wychowany w bogactwie i obojętności, powinien być zepsuty do szpiku kości albo chorobliwie neurotyczny, bądź też mógłby łączyć obie te cechy. Tymczasem Fric był przyzwoitym i nieśmiałym chłopcem, usiłującym zatuszować nieśmiałość zblazowaniem. Jednak nie udało mu się ukryć wrodzonej skromności, równie rzadko spotykanej w tym pięknym świecie jak litość wśród zębatach mieszkańców krokodylego trzęsawiska.

Ethan skinął głową w stronę książki.

– Czy zły czarnoksiężnik znalazł język uczciwego człowieka?

– Jeszcze nie. Ale właśnie posłał swojego okrutnego ucznia Cragmora po jądra zakłamanego polityka.

Ethan się skrzywił.

– Rzeczywiście, to zły czarnoksiężnik.

– E, to tylko polityk. Czasami nas odwiedzają, wie pan? A po ich odejściu pani McBee robi inwentarz cennych rzeczy w pokojach,

które odwiedzili.

– Więc... co tu robisz? Chcesz się przejechać?

Fric pokręcił głową.

– Nie ma sensu pryskać z domu, dopóki nie skończę szesnastu lat. Najpierw muszę dostać prawo jazdy, zebrać trochę kasy na rozruch, znaleźć małe ślicznie miasteczko, w którym mógłbym się ukryć, i obmyślić sobie parę czadowych przebrań.

Ethan uśmiechnął się do niego.

– Ach, taki masz plan?

Fric nie odpowiedział uśmiechem.

– Tak – rzekł z powagą.

Wcisnął guzik windy. Maszyna szczęknęła.

– Ukrywam się przed dekoratorami – wyznał. – Po całym domu ciągle rozstawiają choinki i takie tam. Pan pierwszy raz spędza tu święta, więc jeszcze pan nie wie, ale oni wszyscy noszą takie idiotyczne czapeczki Świętego Mikołaja, a jak tylko zobaczą człowieka, od razu krzyczą „wesołych świąt” i szczerzą się jak wariaci, i dają takie cukrowe laseczki. Oni nie tylko dekorują, ale robią z tego cały występ i pewnie ludziom to się podoba, bo inaczej by chyba zbankrutowali, ale wystarczy się im przyjrzeć i człowiek staje się ateistą.

– Coś jakby tradycja?

– Fajniejsza niż ci płatni kołędnicy w Wigilię. Ubierają się jak postaci z Dickensa, a między piosenkami mówią o królowej Wiktorii, Scrooge’u i czy w Boże Narodzenie będzie pieczona gęś, zwracają się do mnie „milordzie” i „paniczu”, a ja muszę to znosić, bo Ojciec Du... bo ojciec uważa, że to czadowe. Po półgodzinie człowiek wie już na pewno, że za chwilę narobi w gacie albo oślepnie z wrażenia, a musi przeżyć jeszcze następne pół godziny. Ale potem jest już z górki, bo

po kolędnicach przychodzi magik z karłami przebranymi za elfy, a on jest zdecydowanie przekomiczny.

Aelfric wyraźnie czymś się martwił, co starał się tuszować atakiem gadulstwa. Zwykle nie był milczkiem, ale nie gadał bez przerwy. Drzwi windy się otworzyły. Ethan wsiadł w ślad za chłopcem do wykładanej drewnem kabiny. Fric wcisnął guzik „parter”.

– Czy z pańskiego doświadczenia wynika, że telefoniczni zboczeńcy są naprawdę niebezpieczni, czy chcą tylko pogadać?

Do tej pory chłopiec patrzył mu w oczy. Teraz wbił wzrok w zmieniające się świetliste cyfry nad drzwiami.

– Tacy, co mówią i dyszą. Czy zwykle podniecają się tylko tym, czy czasami przychodzą i chcą człowieka macać i tak dalej?

– Czy ktoś do ciebie dzwonił?

– Tak. Ten zboczeniec. – Chłopiec zaczął dyszeć, jakby Ethan potrafił rozpoznawać zboczeńców po tym jednym sygnale.

– Kiedy to się zaczęło?

– Dziś. Najpierw, kiedy byłem w pokoju z pociągami. Potem znowu zadzwonił, kiedy byłem w piwnicy na wino i jadłem kolację.

– Zadzwonił na twoją prywatną linię?

– Mhm.

Winda z wolna sunęła z dolnego garażu do górnego.

– Co ci powiedział?

Fric się zawahał. Szurnał stopą po marmurowej podłodze.

– Tylko dyszał. I wydawał takie... jakby zwierzęce odgłosy. Prawie.

– I to wszystko?

- Tak. Zwierzęce odgłosy, ale nie wiem, co miały znaczyć, bo nie był, no wie pan, specjalnie utalentowany.

- Na pewno ci nic nie powiedział? Nie mówił do ciebie po imieniu?

Fric nie odrywał wzroku od świetlistych cyfr.

- Tylko dyszał jak idiota. Zadzwoiłem pod numer ostatniego połączenia, bo myślałem, że może ciągle mieszka z mamusią, i ona odbierze, i będę jej mógł powiedzieć, jakiego ma synalka, ale znowu zaczął dyszeć.

Dotarli na parter. Drzwi się otworzyły.

Ethan wyszedł, ale Fric pozostał w windzie.

Ethan zablokował drzwi ręką.

- To nie był za dobry pomysł, żeby do niego oddzwonić, wiesz? Kiedy ktoś chce cię pomęczyć, bardzo się cieszy, gdy się dowiaduje, że zalał ci za skórę. Najlepiej odłóż słuchawkę, jak tylko się zorientujesz, tylko to, a jeśli telefon znowu zadzwoni – nie odbieraj.

Fric zajął się spoglądaniem na zegarek.

- Pomyślałem, że może go pan znajdzie.

- Spróbuję. I, Fric...

Chłopiec dalej wpatrywał się w zegarek.

- Tak?

- To bardzo ważne, żebyś mówił mi o wszystkim.

- Jasne.

- Bo nic nie zataiłeś, prawda?

Fric przyłożył zegarek do ucha, jakby podejrzewał, że się zepsuł.

- Pewnie, że nie. Zadzwoił i dyszał.

Ten chłopak coś przed nim ukrywał, ale gdyby teraz wyrzucić na niego nacisk, zamknie się ze swoim sekretem na zawsze.

Ethan przypomniał sobie, jak sam zareagował na pytania Hazarda w kościele, i dał spokój.

– Kiedy twój telefon zadzwoni znowu, chciałbym go sam odebrać... jeśli się zgodzisz.

– Dobrze.

– Twoja linia nie dzwoni w moim apartamencie, ale mogę wejść do domowego komputera i to zmienić.

– Kiedy?

– Zaraz. Odbiorę parę pierwszych telefonów, a jeśli ten ktoś zadzwoni jutro, kiedy mnie tu nie będzie, przełączę na twoją pocztę głosową.

Chłopiec wreszcie na niego spojrzał.

– Dobrze. Wie pan, jak brzmi mój dzwonek?

– Rozpoznam. – Ethan się uśmiechnął.

– Tak – powiedział Fric z zakłopotaniem. – Idiotyczny.

– A co, myślałeś, że kiedy słyszę melodyjkę z „Dagnet”, czuję się jak ważny gość?

Teraz to Fric się uśmiechnął.

– Jeśli będziesz potrzebował ze mną porozmawiać, w dzień czy w nocy – dodał Ethan – dzwoń na numer domowy czy komórkowy, nie wahaj się. Nie śpię długo. Rozumiesz?

Chłopiec skinął głową.

– Dziękuję.

Fric zaczął się cofać tyłem w głąb korytarza.

Fric nieświadomie zagryzł wargę. Wcisnął guzik, być może

swojego piętra.

W kontraście z jego drobną postacią winda, skrojona na miarę tego budynku, wydawała się jeszcze większa niż zwykle.

Frica, choć niskiego i drobnego jak na swój wiek, cechowały cicha determinacja i odwaga, widoczne w jego postawie i zachowaniu – zadziwiające jak na takiego małego chłopca. Dziwne, samotne dzieciństwo przygotowało go na przeciwności losu.

Pomimo bogactwa, rozumu i coraz większej mądrości, los wkrótce go dopadnie. Ten chłopiec także jest człowiekiem, a to znaczy, że dostanie mu się w udziale porcja nieszczęść i pecha.

Drzwi windy się zatrzasnęły.

Ledwie Fric zniknął mu z oczu, Ethan spojrzał na liczby nad drzwiami. Obserwował je, dopóki światelko nie przeniosło się z parteru na pierwsze piętro.

Oczami duszy Ethan ujrzał drzwi windy otwierające się na drugim piętrze. Za nimi ukazała się pusta kabina. Fric zniknął bez śladu między piętrami.

Takie dziwne i mroczne wizje nie zdarzały mu się często. Każdego innego dnia zacząłby się zastanawiać, skąd mu się wzięła taka niepokojąca myśl i pewnie odepchnąłby ją od siebie bez zastanowienia.

Ale ten dzień był tak drastycznie inny od pozostałych, że Ethan postanowił poważnie traktować nawet najmniej prawdopodobne wizje i ewentualności.

Wokół szybu windy ciągnęła się klatka schodowa. Ethan nabrał ochoty, by wbiec na górę. Winda wznosiła się tak powoli, że mógłby ją prześcignąć.

Kiedy drzwi się otworzą, a Fric będzie cały i zdrowy, z pewnością się zdziwi na widok takiego komitetu powitalnego. Zdyszany po gorączkowym galopie Ethan nie« zdoła ukryć troski –

ani jej uzasadnić.

Czas mijał.

Rozluźniło się jego zaciśnięte gardło. Przełknął ślinę, zaczął swobodniej oddychać.

Światelka nad windą zmieniły się z jedynek na dwójki. Silnik windy ucichł.

Fric na pewno bezpiecznie dotarł na najwyższe piętro. Nie został pożarty przez nawiedzoną windę.

Ethan pozbył się dziwnego wrażenia – tyle, ile to było możliwe – i ruszył do swojego apartamentu w zachodnim skrzydle posiadłości.

Idąc długim korytarzem w północnym skrzydle, Fric parę razy obejrzał się niespokojnie przez ramię. Nigdy nie pozbył się do końca przekonania, że w ciemniejszych kątach tego wielkiego domu czają się duchy. Tej nocy był zupełnie pewien, że tu są.

Kiedy mijał lustro w złoconej ramie wiszące nad komodą starą jak świat, wydawało mu się, że w poczerniałym ze starości szkłe widzi dwie postaci: samego siebie i kogoś wyższego, mroczniejszego, idącego szybkim krokiem tuż za nim.

Groźni jeźdźcy na czarnych rumakach z gobelinu chyba sprzed ostatniej epoki lodowcowej zdawali się za nim oglądać. Kątem oka widział, że konie – z dzikimi oczami i rozdętymi chrapami – zrywają się do galopu przez tkane pola i lasy, jakby chciały wyrwać się z tamtego świata prosto na korytarz na drugim piętrze.

Zważywszy na obecny stan umysłu, Fric nie mógłby dziś pracować na cmentarzu, w kostnicy czy laboratorium kriogenicznym, gdzie spoczywają zwłoki, które kiedyś ktoś może rozmrozi i przywróci do życia.

W pewnym filmie Ojciec Duch zagrał Sherlocka Holmesa, który – jak się okazało – pierwszy na świecie kazał zamrozić swoje ciało po śmierci. Został przywrócony do życia w roku 2225, kiedy to utopijne społeczeństwo potrzebowało jego pomocy w rozwiązaniu zagadki pierwszego od stu lat morderstwa.

Film byłby niezły, gdyby usunąć z niego negatywnie nastawione roboty, Obcych lub mumie. Czasami w filmach bywa aż zbyt dużo pomysłów.

W tej chwili Fric bez najmniejszego problemu by uwierzył, że w Palazzo Rospo roi się od duchów, robotów, Obcych, mumii, i że

między nimi krąży coś jeszcze, coś nienazwanego, a gorszego od nich wszystkich, zwłaszcza tutaj, na drugim piętrze, gdzie Fric znajdował się całkiem sam. Był tu jedyną żywą duszą.

Sypialnia ojca i jego pokoje znajdowały się na tym samym piętrze, ale w zachodnim skrzydle i częściowo wzdłuż północnego korytarza. Kiedy Ojciec Duch wracał do domu, Fric miał towarzystwo, ale większość nocy spędzał samotnie.

Tak jak dziś.

Na skrzyżowaniu północnego i wschodniego korytarza stanął nieruchomo niczym ludzki sopel w komorze kriogenicznej, nasłuchując odgłosów domu. Bardziej wyobrażał sobie, niż słyszał bębnienie deszczu. Dach był kryty dachówką, dobrze izolowany i położony o wiele wyżej niż sufit tego wysokiego korytarza. Słaby, urywany szelest wiatru był jakby wspomnieniem dawnych czasów. Noc należała raczej do bezwietrznych.

Obok apartamentu Frica, wzdłuż wschodniego korytarza znajdowały się inne komnaty. Rzadko używane gościnne pokoje. Składzik na bieliznę. Składzik z tajemniczymi urządzeniami, które Fricowi kojarzyły się tylko z laboratorium Frankensteina. Mały salonik z licznymi, pięknie utrzymanymi meblami, w którym nikt nigdy nie siadywał.

Na końcu korytarza znajdowały się drzwi, a za nimi tylne schody, prowadzące aż do najniższego garażu. Inne schody u końca zachodniego korytarza także schodziły aż na sam dół Palazzo Rospo. Oczywiście nie były ani tak szerokie, ani efektowne jak główne schody, nad którymi na każdym podeście wisiał kryształowy żyrandol.

Aktorka Cassandra Limone – urodzona jako Sandy Leaky – która mieszkała z ojcem Frica przez pięć miesięcy i to nawet pod jego nieobecność, wbiegała i zbiegała piętnaście razy dziennie po schodach każdej klatki schodowej, co stanowiło część jej ćwiczeń

kondycyjnych. Pomiedzy licznymi przyrzadami na dobrze wyposazonej sali gimnastycznej na pierwszym pietrze znajdowal sie takze stepper, ale Cassandra uznala, ze prawdziwe schody sa mnie nudne i lepiej dzialaja na miesnie nog i pupy.

I kiedy tak sunela po schodach niczym maszyna, ociekajac potem, stekajac, krzywiac sie, klnac jak opetana dziewczynka z „Egzorcysty” i wrzeszczac na Frica, jezli przypadkiem zdarzylo mu sie znalezc na klatce schodowej, wydawcy „People” pewnie by jej nie poznali. A dwa razy wybrali ja na jedna z najpiekniejszych osob na swiecie.

Jednak wysilki nie poszly na marne. Ojciec Duch nieraz mowil Cassandrze, ze jest jak smiercionośna broń, bo miesniami lydek można by rozbić człowiekowi czaszkę, miesnie ud łamia wszystkie serca, a jej tyłek doprowadza mężczyzn do szaleństwa.

Cha, cha, cha. Niektóre dowcipy uruchamiają a nie miesnie brzucha, a gardła, te używane przy wymiotach.

Niesamowicie śmieszne.

Fric poszedł wschodnim korytarzem nie do swoich apartamentów, lecz do ostatniego pokoju na prawo przed schodami.

W tej nieeleganckiej klitce, liczącej najwyżej trzy i pół na cztery metry, znajdował się mocny stół z desek i bielone ściany. W tej chwili był pusty, a służył jako magazyn dla rzeczy wnoszonych na strych i z niego wynoszonych. Przestronna winda, nie dla ludzi, lecz na przedmioty, mogła pomieścić do dwustu kilogramów, przenosząc ciężkie pudła i spore obiekty do przestronnych pomieszczeń pod dachem. Na strych prowadziły także spiralne schody.

Fric postanowił wejść po schodach. Wspinał się ostrożnie, nie zdejmując ręki z balustrady z obawy, że ponieważ śmiał się ze złamanej kostki Cassandry, zostanie za to ukarany podobnym urazem.

Strych ciągnął się na całym poddaszu, jak okiem sięgnąć. Nie było to surowe wnętrze: gipsowe ściany, solidna drewniana podłoga, ze względów higienicznych przykryta łatwo zmywalnym linoleum.

Dach ze skomplikowaną siecią belek podtrzymywały solidne kolumny. Pomędzy nimi nie postawiono żadnych przepierzeń, toteż strych stanowił jedno wielkie pomieszczenie. Ale trudno by było dostrzec jego przeciwległą ścianę, ponieważ z belek zwisały setki ogromnych plakatów w ramkach. Na każdym widniało nazwisko i gigantyczna podobizna Channinga Manheima.

Ojciec Frica wystąpił zaledwie w dwudziestu dwóch filmach, ale zbierał plakaty ze wszystkich krajów. Jego filmy doskonale sprzedawały się za granicą, dlatego na jeden przypadały dziesiątki posterów. Tworzyły one swoiste przepierzenia, rzędy, podobnie jak sterty pudełek z gadżetami związanymi z Channingiem Manheimem, w tym koszulkami z jego podobizną oraz cytatami z filmów, zegarki, na których wskazówki krążyły wokół jego twarzy, kubki takie jak jego kubek, czapki, kurtki, szklanki, figurki, lalki, setki różnych innych zabawek, bielizna, pudełeczka, pudełka na drugie śniadanie i jeszcze inne rzeczy, o których Fric nie pamiętał i które by mu nawet nie przyszły do głowy.

Wszędzie, jak okiem sięgnąć, stały naturalnej i nadnaturalnej wielkości tekturowe sylwetki Ojca Ducha. Oto on jako surowy kowboj, a tam jako kapitan statku kosmicznego, tu oficer marynarki, gdzie indziej pilot odrzutowca, uczestnik wyprawy badawczej do dżungli, kawalerzysta z dziewiętnastego wieku, doktor, bokser, policjant, strażak...

Bardziej wyrafinowane kartonowe scenki przedstawiały największe gwiazdy światowego kina w najsłynniejszych ujęciach z filmów. Były wystawiane w holu kin, a wiele z nich, zaopatrzonych w baterie, miało ruchome części i migające światełka.

Na metalowych półkach lub pod ścianami leżały rekwizyty z filmów Ojca Ducha, bardzo fajne. Futurystyczna broń, hełmy

strażaków, hełmy żołnierzy, zbroja, mechaniczny pajak wielkości fotela...

Większe rekwizyty, na przykład machina czasu z filmu „Czas przyszły niedokonany”, znajdowały się w magazynie w Santa Monica. I tam, i tu, na strychu, znajdowały się systemy grzewcze i nawilżające, takie same jak w muzeach; dzięki nim eksponaty miały zapewnioną dłuższą egzystencję.

Ojciec Duch niedawno kupił posiadłość sąsiadującą z Palazzo Rospo. Zamierzał zburzyć tamtejszy dom, połączyć obie działki i zbudować muzeum w architektonicznym stylu Palazzo Rospo, by mieć gdzie przechowywać pamiątki po sobie.

Ojciec nigdy tego nie powiedział, ale Fric podejrzewał, że posiadłość ma być pewnego dnia otwarta dla turystów, tak jak Graceland, i że tym powinien się zająć właśnie on, syn gwiazdora.

Gdyby do tego doszło, oczywiście strzeliłby sobie w łeb, rzucił się z wysokości albo zrobił obie te rzeczy – pod warunkiem że jeszcze nie rozpocząłby drugiego, sekretnego życia pod przybranym nazwiskiem w miasteczku tak prostym i zacofanym, że jego mieszkańcy mówią o filmie „latarnia magiczna”.

Czasem, kiedy zaglądał na strych i buszował w labiryncie Manheima, czuł się zauroczony. Niekiedy nawet miewał dreszcze. Innym razem odnosił wrażenie, że skurczył się jak krasnoludek i robi się coraz mniejszy, jak robaczek, którego można rozdeptać i zapomnieć.

Dziś kolekcja nie oczarowała go ani nie przygnębiła, ponieważ zjawiał się na strychu w poszukiwaniu kryjówki. W takim labiryncie, pomiędzy tymi zbiorami powinien znaleźć jakiś zakątek, gdzie wszechobecna twarz i nazwisko ojca ochronią go od zła tak, jak czosnek i krzyż przed wampirami.

Stanął przed dwumetrowym lustrem w ramie przedstawiającej wijące się kolorowe węże. W „Czarnym śniegu” ojciec Frica dostrzegł

w tym lustrze mgnienie swojej przyszłości.

Fric zobaczył tylko Frica – i nikogo poza nim – spoglądającego przez zmrużone oczy, tak jak mu się czasem zdarzało, jakby chciał zobaczyć kogoś wyższego i bardziej muskularnego. Jak zwykle nie udało mu się ujrzeć w sobie herosa, ale i tak był zadowolony, że lustro nie ujawniło mu tajemnic z jego przyszłości, potwierdzając, że jako trzydziesto-, czterdziesto – i pięćdziesięciolatek także będzie beznadziejnym nieudacznikiem.

Cofnął się o krok i właśnie się obracał, kiedy szkło zafalowało jak woda i wyszedł z niego mężczyzna, wielki mężczyzna, cholernie muskularny, nawet gdy Fric nie mrużył oczu. Uśmiechnął się, wyciągnął rękę, a Fric podskoczył i popędził przed siebie jak szalony.

Ethan, jak nigdy dotąd zaniepokojony mrokiem za oknami, szedł przez swój apartament, zaciągając zasłony, jakby obserwowało go tysiąc oczu.

W gabinecie, przy biurku, włączył komputer i otworzył program nadzorowania domu. Na ekranie pojawiły się ikonki systemu grzewczo-chłodzącego, grzejników basenów, spryskiwaczy trawników, oświetlenia zewnętrznego, oświetlenia wewnętrznego, sprzężonego sprzętu audio-wideo, elektronicznego sprzętu alarmowego, telefonów i innych systemów.

Kliknął ikonkę telefonów. Pojawiła się prośba o hasło.

Ze wszystkich domowników tylko Ethan miał dostęp do systemu alarmowego i telefonicznego, a także możliwość wprowadzania do niego zmian.

Ekran zmienił się, oferując nowy wachlarz możliwości.

Telefony w jego apartamencie obsługiwały dwadzieścia cztery linie, ale tylko do dwóch miał dostęp. Nie mógł podsłuchiwać rozmów innych, tak jak inni nie mogli podsłuchiwać jego rozmów.

Co więcej, kiedy dzwoniono na inne linie, Ethan nie słyszał u siebie dzwonek. Światelko nad każdym numerem linii migotało podczas realizowanego połączenia i świeciło stałym blaskiem, kiedy rozmowa trwała.

Ethan wszedł do programu telefonicznego i wybrał linię 23 – linię Frica. Od tej pory osobisty sygnał połączeń przychodzących do chłopca będzie się rozlegać w biurze Ethana.

Następnie Ethan zaczął przeglądać połączenia telefoniczne z tego dnia. Każde połączenie przychodzące i wychodzące było automatycznie rejestrowane – choć nie nagrywano rozmów. Przy

każdym widniała godzina i czas. W przypadku połączeń wychodzących numer telefonu także zostawał rejestrowany przez komputer. To samo dotyczyło połączeń przychodzących, chyba że miały funkcję zastrzeżonego numeru.

Ethan wprowadził swoje nazwisko; pod jego nieobecność dzwoniono do niego tylko raz. Rozmowy z jego telefonu komórkowego nie figurowały w rejestrze.

Sprawdził pocztę głosową. Dzwoniono ze szpitala z informacją o śmierci Dunny'ego.

Ethan usunął swoje nazwisko i wpisał dane Aelfrica. Komputer poinformował go, że dziś, w poniedziałek 21 grudnia, nie zarejestrował żadnych połączeń.

Fric twierdził, że natręt dzwonił dwa razy. I że raz wyśledził go, wciskając funkcję *69. Wszystko to powinno widnieć w rejestrze.

Ethan przełączył się do rejestru ogólnego, w którym znajdowały się wszystkie połączenia od północy aż po chwilę obecną, w kolejności chronologicznej. Lista była długa, ponieważ domowy personel przygotowywał się do świąt.

Ethan przejrzał starannie pozycję po pozycji. Pod numerem Frica nie figurowały połączenia przychodzące ani wychodzące.

Jeśli system komputerowy nie miał usterki – czego Ethanowi jeszcze nie zdarzyło się zauważyć – Fric musiał skłamać. Z szacunku dla chłopca Ethan jeszcze raz przejrzał rejestr, od początku do końca. Z takim samym skutkiem.

Trudno było uwierzyć, że program zawiódł, ale równie trudno, że chłopiec zmyślił historię o natręcie. Fric nie miał zwyczaju robić wokół siebie zamieszania, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Poza tym rzeczywiście wydawał się zaniepokojony. *Tylko dyszał. I robił takie... prawie zwierzęce odgłosy.*

Ethan zauważył kątem oka jakiś błysk. Odwrócił się od

komputera. Nad linią 24 migotała lampka. Ktoś widać podniósł słuchawkę i rozmowa się zaczęła, bo po chwili lampka zapłonęła równym blaskiem.

Linia 24, ostatnia na centralce, była zarezerwowana dla rozmów telefonicznych ze zmarłymi.

Kiedy typ spod ciemnej gwiazdy wychodzi z lustra jak z bramy i od razu się rzuca na człowieka, nie byłoby chyba nic dziwnego w tym, gdyby człowiek się zsiąkał w majtki albo stracił kontrolę nad zwieraczem. Dlatego Fric był wręcz zdziwiony, że zamiast zmienić się w żywy gejzer, zareagował na tyle szybko, żeby w porę uskoczyć przed wyciągniętymi rękami, i rzucił się w labirynt pamiątek w stanie kompletnie suchym i bezwonnym.

Skreślił w lewo, w prawo, w prawo, w lewo, przeskoczył niską stertę pudełek, wpadł między dwa wielkie plakaty, minął Ojca Ducha jako detektywa z lat trzydziestych, znowu przebiegł między plakatami, obiegł realistycznego styropianowego jednorożca z filmu, o którym nikt nie miał odwagi wspominać w obecności Manheima, i zatrzymał się, ponieważ zdał sobie sprawę, że stracił orientację i być może za chwilę dobiegnie do zwierciadła w węzowych splotach.

Plakaty za jego plecami kołysały się jak gigantyczne wahadła. Niektóre sam poruszył, a ich ruch ożywił pozostałe. W tym kołysaniu trudno było dostrzec zbliżającą się postać mężczyzny z lustra. Prawdę mówiąc, w ogóle nie było go widać.

Z oświetlenia strychu byłby zadowolony chyba tylko jakiś ciemny typ z zamiłowaniem do mroku. Na ścianach wisiały kinkiety, lampy znajdowały się także na kolumnach, lecz ich ilość i moc pozostawiały wiele do życzenia. A wiszące parawany plakatów zasłaniały nawet i to mdłe światło.

Fric przykucnął ostrożnie w mroku, wziął głęboki wdech i zaczął nasłuchiwać.

Najpierw słyszał tylko *pik-pik-pik-bach!* własnego utykającego i łomoczącego na zmianę serca. Potem, kiedy prawie zaczęło mu już brakować powietrza, zaczął także słyszeć bębnienie deszczu o

dachówki.

Wiedząc, że każdy hałas naraża go na niebezpieczeństwo, bardzo delikatnie wypuścił powietrze, zaczerpnął tchu i znowu zaczął nasłuchiwać.

Im bliżej dachu, tym wyraźniej słyhać było burzę. Dalekie westchnienia deszczu tu zmieniały się w szepty niezliczonych konspiratorów. I jak udało mu się usłyszeć deszcz przez łomot własnego serca, tak teraz skoncentrował się na krokach człowieka z lustra. Architektura strychu, wahadłowy ruch gigantycznych posterów i szelest deszczu zniekształcały dźwięki, tak że intruz zdawał się oddalać od Frica, potem znowu zbliżać, i oddalać, i zbliżać, choć tak naprawdę pewnie nieustannie kroczył w stronę swojej ofiary.

Fric posłuchał rady Tajemniczego Rozmówcy, który kazał mu znaleźć kryjówkę. Wiedział, że będzie mu potrzebna szybko, ale nie miał pojęcia, że aż tak szybko.

Nauczywszy się jednocześnie oddychać i nasłuchiwać, wziął sobie do serca słowa matki, która nazwała go „prawie niewidzialną małą myszką”. Szybko i cicho przemknął koło czerwono-złotych kartonowych wieżyc futurystycznego miasta, nad którym jego ojciec – także z kartonu – wznosił budzącą respekt broń laserową.

Na skrzyżowaniu korytarzy Fric rozejrzał się w obie strony i skręcił w lewo. Pobiegł przed siebie, jednocześnie nasłuchując ciężkich kroków i zastanawiając się, jaka trasa najbardziej oddali go od człowieka z lustra.

Obcy nie starał się skradać. Tak jakby chciał, żeby Fric go usłyszał. Jakby był pewien, że chłopiec mu nie umknie.

Moloch. To musi być Moloch. Szuka ofiary z dziecka, żeby je zabić albo może zjeść.

Moloch, któremu w zębach utkwiliły kości niemowląt...

Fric nie zamierzał wzywać pomocy. Był pewny, że nie usłyszy go nikt poza tym ścigającym go człowiekiem-bogiem-bestią. Ściany domu były grube, podłogi jeszcze grubsze, a na drugim piętrze nikogo nie było.

Mógłby znaleźć okno i zaryzykować ucieczkę po gzymsie lub upadek z drugiego piętra. Ale na strychu nie było okien.

Pionowy sarkofag ze sztucznego kamienia, ozdobiony hieroglifami oraz wizerunkiem zmarłego faraona, już nie stanowił miejsca spoczynku dla złowieszczej mumii, która niegdyś stoczyła walkę z największym gwiazdorem świata.

Kufer, do którego okrutny i inteligentny morderca (grany przez Richarda Gere'a) schował niegdyś ciało pięknej blondyny (wspomnianej wcześniej Cassandry Limone), obecnie stał pusty.

Fric nie miał ochoty schować się ani w tych kryjówkach, ani też w czarnej lakierowanej trumnie i magicznej skrzyni, w której zniknęła asystentka iluzjonisty. Nawet to, co nie wyglądało jak trumna, wydawało się nią, a Fric miał przeświadczenie, że wejście do jakiegokolwiek kryjówki oznacza pewną śmierć.

Najmądrzej było uciekać cicho jak myszka – i szybko jak myszka – nie zdradzając swojej obecności, zawsze kilka metrów przed człowiekiem z lustra. W końcu znajdzie się przy spiralnych schodach prowadzących ze strychu i ucieknie na niższe piętra, gdzie znajdzie pomoc.

Nagle zdał sobie sprawę, że nie słyszy już kroków swego prześladowcy.

Żadna kartonowa figura nie stała bardziej nieruchomo, żadna mumia nie spoczywała pod piaskami pustyni tak bardzo bez tchu jak Fric, który zaczął podejrzewać, że ta cisza zwiastuje coś bardzo niedobrego.

Nad jego głową przepływał cień.

Fric jęknął i podniósł wzrok.

Podsufitowe belki spoczywały na słupach jakieś dwa metry nad jego głową. Pomiedzy nimi, nad plakatami przepływał człowiek bez skrzydeł, lecz z gracją większą niż ptak. Sunął wolno i bezcielesnie niczym astronauta w przestrzeni kosmicznej, w pogardzie mający grawitację.

Nie był to duch, lecz mężczyzna w garniturze, ten sam, który wyszedł z lustra. Wylądował na poziomej belce, obrócił się ku Fricowi i zeskokczył – nie jak kamień, lecz jak piórko, uśmiechając się właśnie tak, jak powinien się uśmiechać Moloch.

Fric rzucił się do ucieczki.

Moloch spływał w dół powoli jak piórko, ale raptem znalazł się przy nim. Chwycił go od tyłu, opasał ramieniem jego pierś i zakrył twarz dłonią.

Fric rozpaczliwie walczył o wolność, ale został porwany niczym w szponach polującego orła.

Przez chwilę wydawało mu się, że Moloch pofrunie z, nim na belkę, gdzie rozedrze go na sztuki niczym zgłodniałe ptaszysko. Jednak pozostali na podłodze. Moloch kroczył przed siebie z taką pewnością, jakby wiedział, dokąd zaprowadzi go każdy zakręt labiryntu.

Fric wierzgał i wyrywał się, ale wydawało mu się, że walczy z wodą, z wyśnionymi wirami rodem z sennego koszmaru.

Nieznajomy trzymał go pod brodę; ten chwyt zaciskał jego szczęki, dławił krzyk i rozplaszczał nos.

Fric bał się bardziej niż podczas jakiegokolwiek ataku astmy. Nie mógł otworzyć ust, żeby gryźć, nie mógł wymierzyć porządnego kopniaka. Nie mógł oddychać!

A jednak kiedy mijali sarkofag mumii, kartonowego gliniarza z twarzą Ojca Ducha, Fric myślał tylko o jednym: że Moloch zaniešie

go do świata po drugiej stronie lustra, tam gdzie tuczy się dzieci jak trzodę dla zaspokojenia apetytów mięsożernych bogów, gdzie nie ma nawet opłaconej życzliwości pani McBee, gdzie nie ma żadnej nadziei – nawet na to, że zostanie się kiedyś dorosłym człowiekiem.

Ethan spojrział na zegarek, a potem na lampkę przy linii 24. Mierzył czas trwania rozmowy.

Jakoś mu się nie chciało wierzyć, że do Palazzo Rospo zadzwonił jakiś zmarły, który właśnie wrzuca metafizyczne monety do płatnego automatu po Tamtej Stronie. Należy się spodziewać, że raczej jest to pomyłka albo że dzwoni agent sprzedaży telefonicznej, tak nakręcony, że wyrecytuje swój monolog nawet automatycznej sekretarce.

Kiedy Ming du Lac, duchowy doradca Twarzy, wyjaśniał, do czego służy linia 24, Ethan wykazał się na szczęście wystarczającą spostrzegawczością, by dostrzec, że Ming zareagowałby niecierpliwie nawet na uniesienie brwi, a wszelki wyraz niedowierzania obudziłby w nim wrogość. Udało mu się zachować powagę.

Tylko pani McBee z personelu domowego i Ming du Lac z przybocznej świty Manheima mieli wystarczające wpływy, by skłonić wielkiego człowieka do wylania Ethana. Musiał wiedzieć, kogo należy obchodzić dalekim łukiem.

Telefony od zmarłych.

Każdy kiedyś odebrał telefon, usłyszał ciszę w słuchawce i powiedział „halo”, sądząc, że dzwoniącego akurat ktoś zajął albo że ma problemy techniczne. Po trzecim pozostawionym bez odpowiedzi „halo” odkładamy słuchawkę w przekonaniu, że to pomyłka albo awaria aparatu. Ale niektórzy, a między nimi również Twarz, uważają, że niekiedy dzwonią do nich zmarli przyjaciele lub ukochani, którzy usiłują się z nimi skontaktować z tamtego świata. Z jakiegoś powodu teoria ta zakłada, że zmarli potrafią się dodzwonić, ale nie mogą wydać głosu tak, żeby był słyszalny przez przepaść dzielącą życie i śmierć. Dlatego można usłyszeć tylko ciszę

albo szczególny szum, a w wyjątkowych wypadkach urywki szeptów, dochodzących jakby z wielkiej odległości.

Zbadawszy temat, na jaki naprowadził go Ming, Ethan dowiedział się, że badacze spraw paranormalnych mają specjalne linie telefoniczne, na których prowadzą stały nasłuch. Nagrywają te ledwie słyszalne dźwięki, po czym czyszczą je i pogłaśniają. I rzeczywiście, znajdują głosy mówiące po angielsku, a czasem francusku, hiszpańsku, grecku i w innych językach.

Na ogół są to jedynie strzępy zdań czy okaleczone, bezsensowne słowa, co nie daje dość danych do analizy. Ale niektóre bardziej spójne „wiadomości” wydają się czasami przepowiedniami lub ponurymi prorocत्वami. Niestety, zawsze są krótkie i często enigmatyczne.

Rozsądek podpowiada, że są to urywki rozmów żywych ludzi, korzystających z innych linii.

Prawdę mówiąc, wiele tych zrozumiałych urywków dotyczy spraw zbyt przyziemnych, żeby zmotywować zmarłych do przemówienia: pytania o pogodę, wyniki w nauce wnuków, strzępy w rodzaju „... . zawsze uwielbiałem placek orzechowy, tobie wychodzi najlepiej” oraz „... lepiej oszczędzać na czarną godzinę” i „... w tej kawiarni, którą tak lubisz, kuchnia jest okropnie brudna”.

A jednak...

A jednak niektóre z tych głosów są podobno tak przerażające, tak pełne rozpacz, desperackiej miłości i troski, że nie można o nich zapomnieć, nie da się ich też łatwo wyjaśnić, zwłaszcza kiedy słowa padają z wielkim naciskiem: „... . spaliny z piecyka, spaliny, nie idź dziś spać, spaliny... „ i „... nigdy ci nie mówiłem, jak bardzo cię kocham, tak bardzo, poszukaj mnie, proszę, kiedy będziesz blisko, pamiętaj o mnie... „ i „... . mężczyzna w niebieskiej furgonetce, nie pozwalajcie mu się zbliżyć do małej Laury, niech się do niej nie zbliża... „.

Te najbardziej niesamowite wiadomości zmotywowały Channinga Manheima do wydzielenia jednej linii wyłącznie na użytek gadatliwych zmarłych.

Codziennie, pod każdą szerokością geograficzną Manheim i Ming du Lac poświęcali część medytacji na mentalne nadawanie numeru kierunkowego i siedmiocyfrowego numeru linii 24, rzucając w ten sposób przynętę w morze nieśmiertelności w nadziei, że złapie się na nią jakiś duch.

Od trzech lat nagrywali jedynie pomyłki, telefony reklamowe oraz oszusta, który – jak się okazało – był strażnikiem ochrony przed nastaniem Ethana. Otrzymał hojną odprawę i, jak twierdziła pani McBee, duchową poradę Minga du Laca, który zalecił mu uporządkować duchowy dom.

Światelko zgasło. Rozmowa trwała minutę i dwanaście sekund.

Ethan czasami się zastanawiał, jak Channing Manheim, który tak doskonale dbał o swoją karierę i okazał się geniuszem inwestycji, mógł zatrudnić Minga du Laca oraz doradcę *teng shui*, instruktora jasnowidzenia oraz badacza poprzedniego życia, przez czterdzieści godzin w tygodniu śledzącego reinkarnacje aktora na przestrzeni wieków.

Jednak musiał przyznać, że osobliwe wypadki tego dnia nieco nadwątlily jego zwykły sceptycyzm.

Jeszcze raz spojrzął na ekran z rejestrem rozmów telefonicznych. Zaczął się zastanawiać, dlaczego Fric zmyślił tego dyszącego rozmówcę. Jeśli ktoś naprawdę prowadził z nim obsceniczne rozmowy, całkiem możliwe, że ma to związek z czarnymi pudełkami. Byłyby to dwa przypadki gróźb, które wydarzyły się niemal jednocześnie. Ethan nie wierzył w zbiegi okoliczności.

Ten dyszący rozmówca mógł być pierwowzorem „profesora” z niedokończonego scenariusza Reynerda, nadawcą czarnych pudełek, planującym morderstwo Manheima. Jeśli tak, to udało mu

się zdobyć zastrzeżony numer jednej z domowych linii, co było niepokojące.

A jednak do tej pory komputerowa rejestracja połączeń nigdy nie zawiodła. I choć maszyny nie są odporne na uszkodzenia, to nigdy nie kłamią.

Ostatnią pozycją w rejestrze było obecnie połączenie z linią 24. Tak jak należy.

Ethan zmierzył czas jej trwania: minuta dwanaście sekund. Program twierdził, że była to minuta czternaście sekund. Bez wątplenia to Ethan popełnił błąd.

Program twierdził także, że dzwoniący miał zastrzeżony numer. To dość dziwne, jeśli dzwoniącym był agent sprzedaży telefonicznej, ponieważ prawo zabraniało im blokować identyfikację numeru. Ale nic szczególnego, jeśli to zwykła pomyłka.

I nie ma nic dziwnego w tym, że ktoś, kto pomylił numery, rozmawia ponad minutę. Wstępne powitanie specjalnej automatycznej sekretarki nie stanowiło wyrafinowanej przemowy do tych, którzy zechcieli opuścić świat duchów, lecz było zwyczajnym „proszę zostawić wiadomość”. Niektórzy dzwoniący nie zdawali sobie sprawy, że nie jest to numer, o jaki im chodzi i nagrywali się ze swoimi sprawami.

W każdym razie nie chodziło o to, kto dzwonił na linię 24. Należało się zastanowić, czy niedoskonała maszyna pomyliła się i nie zarejestrowała telefonów, o których mówił chłopiec.

Logika podpowiadała, że maszyna nie może się mylić. Jeszcze tego ranka odbyłby z Frikiem poważną rozmowę.

Na biurku obok komputera leżały trzy srebrzące się dzwoneczki z ambulansu. Długo się im przyglądał.

Obok dzwonków spoczywała duża koperta, którą dziś wręczyła mu pani McBee. Na kopercie widniało jego nazwisko, wypisane

niezrównanie pięknymi literami. Na widok doskonałego pisma musiał się uśmiechnąć. Ta kobieta znała wszystkie eleganckie i najlepsze sposoby wykonania dowolnego zadania i nigdy nie schodziła poniżej własnego wyśrubowanego poziomu.

W kopercie znalazł potwierdzenie i tak znanej już sobie prawdy: Freddie Nielander, matka Frica, jest skończoną kretynką.

Corky Laputa, fantastycznie żółty od stóp do głów, przyjął od pana Chunga szokująco różową reklamówkę.

Zdawał sobie sprawę, że inni klienci uśmiechają się na jego widok. Prawdopodobnie w tej różowo-żółtej symfonii barw był najśłodszy anarchista świata.

Reklamówka pękała w szwach od pudełek z chińskim jedzeniem, a pan Chung omal nie pękł z nadgorliwości. Wylewnie podziękował Corky'emu za stałe korzystanie z jego usług i życzył mu wszystkiego najlepszego, co ma mu do ofiarowania dobry los.

Po typowo pracowitym dniu pracy nad rozpadem społeczeństwa Corky rzadko miewał ochotę własnoręcznie przygotowywać sobie posiłek. Od trzech do czterech razy w tygodniu kupował dania na wynos u pana Chunga. W lepszym porządku społecznym zamiast zadowalać się chińskimi obiadkami, mógłby często stołować się w eleganckich restauracjach. Ale gdyby państwo zapewniło swoim obywatelom powszechny dostęp do wykwintnej kuchni i doskonałej obsługi, lokale byłyby tak zatłoczone, że nie byłoby po co do nich przychodzić.

Istoty ludzkie to – z nielicznymi wyjątkami – nudne, ograniczone ofiermy. Mógł je tolerować indywidualnie lub na zajęciach, gdzie to on ustanawiał zasady, ale w tłumie przeszkadzały cieszyć się dobrym posiłkiem i wręcz szkodziły trawieniu.

Zawiózł różową reklamówkę do domu i położył ją na stole kuchennym. Pomieszczenie wypełnił apetyczny aromat.

Corky przebrał się w wygodny kaszmirowy szlafrok, w sam raz na ten deszczowy grudniowy wieczór, po czym przyrządził sobie martini. Z kroplą wermutu i dwiema oliwkami.

Jego rodzice, oboje z zamożnych rodzin, nabyli ten dom tuż po ślubie. Gdyby nie byli, jacy byli, ten piękny budynek nadal by żył cudownymi wspomnieniami i tradycją.

Tymczasem jego jedyne rodzinne wspomnienie – to najmiłsze jego sercu – miało związek z salonem, a zwłaszcza z rejonem kominka, gdzie za pomocą żelaznego pogrzebacza rozdzielił matkę z jej majątkiem.

Stał tam zaledwie parę minut, grzejąc się przy ogniu, po czym znowu poszedł na piętro. Tym razem z martini w ręku poszedł do gościnnego pokoju, by zajrzeć do Serowego Śmierdziela.

Ostatnio nie zawracał sobie głowy zamykaniem drzwi. Stary Serowy Śmierdziel nie mógł już chodzić o własnych siłach. Nigdzie nie ucieknie.

W pokoju nawet za dnia panowały ciemności, ponieważ okna były zupełnie zasłonięte. Przy drzwiach znajdował się włącznik lampki przy łóżku.

Kolorowa żarówka i abażur z brzoskwiniowego jedwabiu zapewniały przytulny blask. Nawet w tym twarzowym oświetleniu Śmierdziel wyglądał niezwykle blado, wręcz szaro, jakby obrócił się w kamień. Jego barki i ręce były odsłonięte, ale resztę ciała przykrywał koc i kołdra. Później Corky będzie się mógł napawać tym widokiem.

Niegdyś Śmierdziel ważył sto kilogramów – rewelacyjna sylwetka, świetna kondycja. Gdyby obecnie zdołał się wdrapać na wagę, wskazówka pokazałaby pewnie nie więcej niż pięćdziesiąt kilogramów. Wyschnięty na wiór, cały w odleżynach, ledwie mógł podnieść głowę z poduszki. Nie miałby nawet sił, by zwlec się z łóżka, cóż dopiero stanąć na wadze. A rozpacz już dawno temu złamała jego wolę.

Śmierdziel nie znajdował się już pod wpływem narkotyków. Jego zapadnięte oczy błagały Corky'ego.

Na stojaku z kroplówką wisiał woreczek z glukozą i roztworem soli fizjologicznej, obecnie kompletnie pusty. Wolny dopływ glukozy, witamin i składników mineralnych utrzymywał Śmierdziela przy życiu, a narkotyk zapewniał mu spokój ducha i względnie dobry humor.

Corky odstawił martini, z małej lodówki wyjął następny woreczek i wprawnie powiesił go na miejscu starego.

W mieszance nie było narkotyku. Corky chciał, by jego znękany gość zachował jasność umysłu.

Wziął martini, pociągnął łyk.

– Dołączę do ciebie po kolacji – obiecał i wyszedł z pokoju.

W salonie znowu zatrzymał się przy kominku, by wypić drinka i wspomnieć mamę.

Niestety nie miał tu owego historycznego pogrzebacza, który mógłby polerować, ważyć w dłoni i podziwiać. Wiele lat temu policja zabrała go z wieloma innymi przedmiotami – tak zwanymi dowodami rzeczowymi – i nigdy go nie zwróciła. Corky nie był taki głupi, żeby domagać się jego zwrotu. Miał świadomość, że zdradziłby się, jakie to dla niego ważne. Po śmierci matki kupił nowy zestaw kominkowy.

Zmienił także dywan, choć niechętnie. Gdyby policjanci z jakiegoś powodu złożyli mu kolejną wizytę i zobaczyli zakrwawione runo, z pewnością by się zdziwili.

W kuchni podgrzał chińszczyznę w mikrofalówce. *Mu mu ping pong*. Czytaj: wołowina z papryką. Oczywiście ryż i kapusta kiszona. To dla niego za dużo. Odkąd zaczął metodycznie morzyć głodem Śmierdziela, kupował za dużo jedzenia.

Najwyraźniej spektakl upiornej agonii Śmierdziela był nie tylko zabawny, lecz także podświadomie męczący. Corky nabawił się głęboko zakorzenionego strachu przed niedożywieniem. Dlatego z myślą o zdrowiu psychicznym nadal kupował za dużo gotowych dań

i z terapeutyczną radością wyrzucał nadmiar do kosza.

Tego wieczora, co ostatnimi czasy zdarzało mu się dość często, zjadł posiłek w samotności, na stole w jadalni, gdzie rozłożył kompletne plany Palazzo Rospo. Pochodziły one z dyskietek z firmy architektonicznej, która zadbała o renowację posiadłości – koszt: sześć milionów dolarów – tuż po tym, jak Manheim wszedł w jej posiadanie.

Oprócz nowego sprzętu elektronicznego, rur hydraulicznych, ogrzewania, klimatyzacji i systemów audio-wideo, ten wielki dom został skomputeryzowany i wyposażony w najnowocześniejszy sprzęt alarmowy, zaprojektowany tak, by można go było nieustannie aktualizować. Z wiarygodnego źródła było wiadomo, że w ciągu ostatnich dwóch lat ulepszono go co najmniej raz.

Noc, jak żywe, kapryśne stworzenie, ocknęła się z deszczowego letargu i dmuchnęła wichrem, syknęła, zadrasnęła ściany domu protezami gałęzi i jakby otrząsnąwszy wielki czarny płaszcz, zabębniła deszczem o szyby.

Corky Laputa, siedzący w ciepłej jadalni, otulony kaszmirowym szlafrokiem, smakujący chińskie delikatesy i rozmyślający o ważkim, ciekawym zadaniu, czuł się szczęśliwy i zadowolony jak rzadko.

Raport pani McBee był szczegółowy i oficjalny jak zwykle, a jednak także przyjacielski, co odzwierciedlało się w mniej wypracowanej kaligrafii, która nadawała dokumentowi aurę zabytku historycznego. Ethan, siedzący za biurkiem w swoim gabinecie, niemal słyszał śpiewny, słaby szkocki akcent w głosie gospodyni.

Po wstępie, w którym pani McBee wyrażała nadzieję, iż Ethan pożytecznie spędził ten dzień, a duch nadchodzących świąt natchnął go nową energią, tak jak ją, pani McBee przypominała mu, że wraz z panem McBee wyjedzie do Santa Barbara. Tam spędzą dwa dni ze swoim synem i jego rodziną, a wrócą dwudziestego czwartego o dziewiątej rano.

Następnie uświadomiła mu, że Santa Barbara znajduje się o godzinę drogi na północ i że ona sama pozostaje pod telefonem na wypadek, gdyby ktoś potrzebował jej rady. Załączyła także numer telefonu, który Ethan już znał, a także numer telefonu syna. Ponadto podała mu także adres syna oraz informację, że niespełna trzy przecznice od jego domu znajduje się duży, piękny park.

„Rośnie w nim wiele starych dębów kalifornijskich i innych dużych drzew, ale na jego terenie znajdują się także dwie obszerne łąki; na jednej z nich może wylądować helikopter, gdyby w razie nagłej potrzeby należało mnie sprowadzić do domu jak lekarza na pole walki”.

Ethan nie uwierzyłby, że pod koniec tego męczącego dnia ktoś zdoła go rozśmieszyć. Pani McBee to się udało.

Przypomniała mu także, że pod nieobecność jej i pana McBee Ethan występuje *in loco parentis* i w pełni odpowiada za Frica. Jeśli Ethan będzie musiał opuścić dom, jego obowiązki przejmie pan Hachette, szef kuchni. Służba może opiekować się chłopcem w razie

potrzeby.

O piątej służba odejdzie. Pan Hachette także – po kolacji. Ponieważ inni mieszkający w posiadłości członkowie personelu także wyjechali na przyspieszony urlop gwiazdkowy, pani McBee poradziła Ethanowi, żeby wrócił przed wyjściem pana Hachette'a. W przeciwnym razie Fric znajdzie się sam w domu, za opiekunów mając tylko dwóch strażników w biurze w głębi posiadłości.

Następnie zajęła się kwestią bożonarodzeniowego poranka. Dziś, po rozmowie z chłopcem w bibliotece, a przed wyjazdem do Zachodniego Hollywood, do domu Rolfa Reynerda, Ethan poruszył w rozmowie z panią McBee temat prezentów gwiazdkowych dla Frica.

Każde dziecko byłoby uszczęśliwione, wiedząc, że może przedstawić listę dowolnych prezentów i otrzyma je wszystkie w Boże Narodzenie, właśnie te, których sobie zażyczyło. Ethan uznał, że to pozbawia święta tej cudownej atmosfery oczekiwania i nawet magii. Ponieważ miały to być jego pierwsze święta w Palazzo Rospo, zgłosił się do gabinetu pani McBee za kuchnią, by zasięgnąć języka w kwestii reguł obdarowywania się prezentami w Boże Narodzenie.

– Niech pana Bóg błogosławi – powiedziała – ale to niedobry pomysł. Może nie aż tak zły jak postrzelenie się w stopę, żeby się przekonać, jak to jest, ale prawie.

– Dlaczego? – zdziwił się.

– Każdy nasz pracownik otrzymuje hojną premię gwiazdkową plus mały upominek od Neimana Marcusa lub Cartiera.

– Tak, czytałem w „Standardach i zwyczajach”.

– Surowo zabrania się wymieniać prezenty między sobą, ponieważ dla wielu z nas zakupy są zbyt pracochłonne i stanowią za duże obciążenie finansowe...

– To także czytałem.

– Pochlebia mi, że wszystko pan zapamiętał. W takim razie wie

pan także, że personel jest uprzejmie proszony o powstrzymanie się od kupowania prezentów dla członków tej rodziny, głównie dlatego że rodzina ta na szczęście ma wszystko, czego potrzebuje, ale także dlatego, że pan Manheim uważa naszą ciężką pracę i dyskrecję za dary, za które jest w pełni wdzięczny.

- Ale chłopiec ma przygotować listę prezentów, które dostanie w Boże Narodzenie. To takie mechaniczne...

- Kariera i życie wielkiej gwiazdy to często jedno i to samo. A w branży tak wielkiej i skomplikowanej jedynym ratunkiem przed chaosem jest mechanizacja.

- Pewnie tak. Ale to wieje chłodem. I smutkiem.

- Tak, to smutne – przyznała pani McBee z nieco większym uczuciem. – Ten chłopiec to takie jagniątko. Ale my możemy tylko okazać mu jak największą wrażliwość, służyć mu radą i zachętą, kiedy o nie poprosi albo kiedy będzie ich potrzebować, a nie poprosi. Fric mógłby się ucieszyć z niespodziewanego prezentu, ale wątpię, żeby jego ojciec to zaaprobował.

- Chyba z innych powodów niż te wymienione w „Standardach i zwyczajach”?

Pani McBee pograżyła się w długich rozmyślaniach, jakby konsultowała się z prywatną wersją „Standardów I zwyczajów”, o wiele obszerniejszą niż ten zbindowany zeszyt, którym obdarzała każdego nowego pracownika.

W końcu się odezwała.

- Pan Manheim nie jest zły czy nieczuły, ale życie go przerosło... i może trochę się zauroczył jego blaskiem. Na jakimś poziomie rozumie, że nie dał czegoś Fricowi i z pewnością chciałby, żeby było inaczej, ale nie wie, jak to naprawić i jednocześnie robić wszystko, co należy, żeby dalej być tym, kim jest. Zatem omija tę sprawę. Gdyby położył pan pod choinką prezent dla Frica, pana Manheima

znowu dręczyłyby wyrzuty sumienia i poczułby się urażony. Choć bywa sprawiedliwy w stosunku do pracowników, nie potrafię przewidzieć, jak by postąpił.

– Czasami, kiedy myślę o tym samotnym dziecku, mam ochotę wbić jego staremu trochę rozumu do głowy, nawet jeśli...

Pani McBee ostrzegawczo podniosła rękę.

– Nawet między sobą nie obgadujemy naszego chlebodawcy. To by było niewdzięczne i nieprzyzwoite. Udzieliłam panu przyjacielskiej rady, ponieważ uważam pana za cennego członka personelu i dobry przykład dla naszego Frica, wpatzonego w pana w stopniu, którego się pan chyba nie spodziewa.

Teraz w liście pani McBee znowu nawiązała do kwestii prezentu. Miała cały dzień na zastanowienie się nad swoją radą. „Co do delikatnej kwestii niespodziewanego prezentu, chciałabym zrewidować to, co mówiłam wcześniej. Mały i bardzo wyjątkowy przedmiot, coś bardziej magicznego niż kosztownego, jeśli będzie pozostawione nie pod choinką, a w innym miejscu, anonimowo, zachwyci odbiorcę tak, jak oboje sobie to przypominamy z naszego dzieciństwa. Podejrzewam, że intuicyjnie zrozumie on, dlaczego należy zachować w tej sprawie dyskrecję i niemal z całą pewnością zatrzyma dla siebie istnienie tego prezentu, choćby tylko dla czystej przyjemności posiadania takiego sekretu. Jednak prezent musi być wyjątkowy – zalecam ostrożność. Po przeczytaniu listu proszę go podrzeć i zjeść”.

Znowu się roześmiał.

W tej samej chwili na telefonie zaczęła migać lampka: linia 24. Po trzecim sygnale odebrała sekretarka i światełko zapłonęło stałym blaskiem.

Ethan nie mógł wejść do programu i odebrać połączenia, ponieważ miał dostęp tylko do dwudziestu trzech pierwszych linii. Oprócz Manheima tylko Ming du Lac miał dostęp do świętej 24.

Prośba o zmianę tej sytuacji rozwścieczyłaby Minga tak, jak tylko potrafi się wściec przewodnik duchowy – czyli jak podrażniony ostrym patykiem grzechotnik, który jednak nie syczy.

Nawet gdyby Ethan miał dostęp do linii 24, nie mógłby monitorować żadnej rozmowy, kiedy już włączyła się automatyczna sekretarka, ponieważ miała ona połączenie zapobiegające podsłuchiwaniami.

Jeszcze nigdy dotąd linia 24 nie zainteresowała go tak jak dziś i to zainteresowanie trochę go żenowało. Jeśli w ogóle miał przeanalizować to, co się z nim działo tego pamiętnego dnia, powinien panować nad przesądami i myśleć logicznie.

Mimo to kiedy przestał się wpatrywać w światełko nad linią 24, okazało się, że patrzy na trzy srebrzące się dzwoneczki na biurku. I nie potrafi od nich oderwać wzroku.

Ostatni problem poruszony przez panią McBee dotyczył pisma, które załączyła, ostatniego wydania „Vanity Fair”.

Napisała: „Ta publikacja zjawiała się w poczcie w sobotę z paroma innymi i została jak zwykle położona na odpowiednim stoliku w bibliotece. Dziś rano, tuż po wyjściu panicza z biblioteki znalazłam pismo otwarte na stronie, którą zaznaczyłam. Zajście to miało duży wpływ na moją zmianę decyzji w sprawie prezentu gwiazdkowego”.

Pomiędzy drugą i trzecią stroną artykułu o matce Frica, Frederice Nielander, pani McBee przykleiła żółtą karteczkę. Piórem zaznaczyła odpowiedni akapit.

Ethan przeczytał artykuł od samego początku. U góry drugiej strony znalazł wzmiankę o Aelfricu. Freddie powiedziała dziennikarzowi, że jest ze swoim synem „blisko jak kumpel” i że gdziekolwiek rzuci ją jej urocza praca, pozostają ze sobą w kontakcie. „Rozmawiamy długo jak dwaj szkolni przyjaciele, mamy więcej marzeń i tajemnic niż dwaj szpiedzy sprzymierzeni przeciwko

światu”.

Te rozmowy telefoniczne były wręcz tak tajne, że nawet Fric o nich nie wiedział.

Freddie opisała Frica jako „pełnego życia, pewnego siebie chłopca, bardzo silnego jak jego ojciec, doskonale znającego się na koniach i wspaniałego jeźdźca”.

Konie!

Ethan założyłby się o roczny dochód, że jeśli Fric kiedykolwiek zadawał się z końmi, to z takimi, które nie zostawiały odchodów i galopowały w takt muzyki.

Zmyślając tego nieprawdziwego Frica, Freddie jakby sugerowała, że albo uważa, iż nie może się chwalić swoim synem, albo się go wstydzi. Fric był na tyle inteligentny i wrażliwy, by dojść do tego samego wniosku.

Myśl o chłopcu czytającym ten raniący artykuł kazała Ethanowi wyrzucić pismo nie do kosza przy biurku, lecz do kominka, z zamiarem spalania go za jakiś czas.

Freddie pewnie by twierdziła, że musiała myśleć o swoim wizerunku. Jaka by z niej była supermodelka, gdyby wydała na świat syna nieobdarzonego nadprzyrodzoną urodą?

Szczególną satysfakcję sprawi mu spalenie tych stron pisma, na których widnieją zdjęcia Freddie. Zastępcze wudu.

Linia 24 ciągle była zajęta.

Spojrzał na komputer, na którym nadal było widać rejestr telefonów. To połączenie także zostało zrealizowane z aparatu o zablokowanej identyfikacji numeru. Ponieważ rozmowa ciągle trwała, w kolumnie zatytułowanej „długość połączenia” zmieniały się cyferki. Już teraz połączenie trwało ponad cztery minuty.

Bardzo długa wiadomość jak na sprzedawcę albo kogoś, kto

przez pomyłkę dodzwonił się pod niewłaściwy numer. Ciekawe.

Światelko zgasło.

Fric ocknął się i zobaczył nad sobą tłum ojców, strzegącą go armię, w której każdy żołnierz miał taką samą znajomą twarz.

Leżał na plecach, ale nie w łóżku. Na wszelki wypadek się nie ruszał, rozciągnięty z desperacją na twardej gładkiej powierzchni, a jego umysł działał powoli, powoli, oszołomiony.

Ależ wielcy ci ojcowie, czasami z całym potężnym ciałem, a czasem tylko w postaci głów, za to ogromnych, jak balony na paradzie w Dniu Dziękczynienia.

Fric miał wrażenie, że zemdlął z braku powietrza, co oznaczało potężny atak astmy. Ale kiedy spróbował oddychać, okazało się, że nie ma z tym żadnych problemów.

Ojcowie czasem mieli szlachetne miny, miny pełne nieulekłej determinacji albo też spoglądali groźnie spod zmrużonych powiek. Było też paru uśmiechniętych. Jeden puszczał oko. Jeden śmiał się bezgłośnie. Paru spoglądało czule lub marząco nie na Fricę, lecz na słynne kobiety z równie wielkimi głowami.

Mózg Frica zaczął pracować z przyspieszeniem. Raptem nadeszło wspomnienie człowieka, który wyszedł z lustra. Fric usiadł gwałtownie.

Przez chwilę w głowie kręciło mu się jeszcze bardziej.

Ogarnęły go mdłości. Udało mu się je opanować i poczuł się prawie jak bohater.

W końcu ośmielił się spojrzeć na belki, gdzie ostatnio widział bezskrzydłą zjawę. Spodziewał się ujrzeć co najmniej mgnienie szarego wełnianego garnituru, czarne buty szybujące w powietrzu z gracją łyżwiarza.

Żadnego latającego stwora nie było, za to zobaczył wszystkich strzegących go ojców w kolorze, w dwukolorowych schematach, w czerni i bieli. Zbliźali się, cofali, otaczali go, górowali nad nim.

Ojcowie z papieru.

Zdecydował się na ambitny krok, wstał i przez chwilę balansował jak na cienkiej linii. Nadstawił ucha, ale usłyszał tylko deszcz. Natarczywy, osaczający, roztopiający wszystko deszcz.

Zbyt pełen energii, żeby uważać, zbyt powolny, żeby się zdobyć na odwagę, Fric ruszył labiryntem pamiątek, szukając schodów. Być może należało się spodziewać, że znajdzie się przed lustrem w węzowej ramie.

Zamierzał ominąć je szerokim łukiem. Ta srebrząca się tafla emanowała jakąś mroczną i potężną siłą przyciągania.

Na zmianę wspomnienie mężczyzny z lustra wydawało mu się złudzeniem i rzeczywistością realną jak zapach jego potu, który go oblał ze strachu. Musiał się dowiedzieć, co jest prawdą, a co nie, być może dlatego, że zbyt wiele spraw w jego życiu wydawało się nierealne. Kolejnej niejasności nie mógł już znieść. Niezbyt odważnie, ale i nie tak tchórzliwie, jak się spodziewał, podszedł do zwierciadła strzeżonego przez węże.

Ostatnie wypadki przekonały go, że świat Aelfrica Manheima i Harry'ego Pottera znajdują się w pewnej kolizji; dlatego zaniepokoiłby się, lecz nie zdziwił, gdyby rzeźbione węże magicznie ożyły i rzuciły się na niego. Malowane łuski i giętkie zwoje pozostawały nieruchome, a oczy z zielonego szkła lśniły martwą złościwością.

W zwierciadle zobaczył tylko siebie i lustrzane odbicie martwej natury za swoimi plecami. Ani śladu tamtego świata, ani kawałeczka zjawy.

Nieśmiało, prawą ręką – ku jego przerażeniu drżała jak osika –

dotknął swojego odbicia. Szkło było chłodne i gładkie. I bez wątpienia realne.

Kiedy przyłożył do niego całą dłoń, wspomnienie Molocha wydało mu się mniej realne, a bardziej wyobrażone.

Potem zdał sobie sprawę, że jego oczy w lustrze nie mają zielonego koloru, jaki odziedziczył po Nominalnej Matce. Te oczy były szare, lśniące, z drobnymi zielonymi plamkami.

Były to oczy człowieka z lustra.

W chwili gdy zdał sobie z tego sprawę, z lustra wystrzeliły dwie ręce, chwyciły go za przegub i coś mu wcisnęły w rękę. Zamknęły się na jego dłoni i stuliły ją w pięść, po czym go odepchnęły.

Fric rzucił to coś, co mu dały, wzdrygając się od jego dotyku, śliskiego i twardego zarazem.

Popędził ku spiralnym schodom, zbiegł z nich na złamanie karku, łomocząc nogami z taką paniczną siłą, że metalowe stopnie dudniły jak bęben.

Biegł korytarzem wschodnim w stronę północnego, mijał rzędy drzwi, w których w każdej chwili mógł stanąć dowolny potwór. Na widok luster zasnutych mgłą starości nad starymi jak świat komodami dostawał gęziej skórki.

Co chwila oglądał się i lękliwie podnosił głowę. Moloch pewnie nad nim płynie, nieprawdopodobny bóg-kanibal w eleganckim garniturze.

Fric dobiegł do głównej klatki schodowej bez szwanku, nieścigany przez nikogo, ale nie poczuł ulgi. Serce łomotało mu jak kopyta stu koni, na których jedzie sto Śmierci ze stoma kosami.

Poza tym ten przeciwnik nie musiał go ścigać jak lis królika. Jeśli Moloch potrafi się przemieszczać poprzez lustra, to może też przez szyby w oknach? Albo w ogóle przez każdą powierzchnię na tyle gładką, żeby coś się w niej odbijało? Na przykład taką, jak tej

brazowej urny, tych drzwi z czarnej laki w empirowej szafce, i tych, i tych...

Przed nim znajdowała się studnia schodów. Wielkie schody spływały wzdłuż zaokrąglonej ściany aż na parter, gdzie panowały nieprzeniknione ciemności.

Wieczór miał się ku końcowi. Ekipy froterujące podłogę i dekorujące dom skończyły pracę i odeszły, podobnie jak stały personel. Państwo McBee już spali.

Nie może zostać sam na drugim piętrze.

Wykluczone.

Wcisnął włącznik światła; rząd kryształowych żyrandoli zabłysł jak jeden. Setki wiszących kryształków rzuciły na ściany małe tęcze.

Zbiegł na parter z taką karkołomną szybkością, że gdyby Cassandra Limone, aktorka zdolna rozbijać głowy mięśniami łydki, akurat ćwiczyła na tych schodach, skończyłoby się na czymś gorszym niż złamana kostka.

Zeskoczył z ostatniego stopnia i wyhamował z poślizgiem na marmurowej posadzce, tuż przed główną choinką. Miała pięć, sześć metrów wysokości, była przystrojona wyłącznie w czerwone, srebrne i kryształowe ozdoby i robiła piorunujące wrażenie nawet bez włączonych światełek.

Sam widok tego wstrząsającego drzewka mógłby go zatrzymać, ale kiedy przystanął, zapatrzony w skrzące się zielone gałązki, poczuł, że coś trzyma w prawej ręce. Otworzył pięść i ujrzał przedmiot, który dał mu mężczyzna z lustra – ten sam, który, wydawałoby się, rzucił na podłogę.

Przedmiot, śliski i kanciasty jednocześnie, lecz lekki, nie był nieżywym żuczkiem, gadzią wylinką ani zmiażdżonym skrzydłem nietoperza, ani żadnym innym składnikiem czarnoksięskiego eliksiru, lecz zwykłą zmiętą fotografią.

Rozłożył ją, wygładził drżącymi palcami.

Fotografia, wystrzępiona na brzegach, jakby ktoś wydarł ją z ramek, przedstawiała ładną panią o ciemnych włosach i oczach. Zupełnie mu nieznana.

Przeklęty amulet, klątwa wydzierająca duszę z każdego, kto dotknie naznaczonego nią przedmiotu, jakieś czarnoksiężskie fiku-miku, satanistyczne dyrdymałki czy cokolwiek w tym guście mniej by go zdziwiło niż ta pomięta fotografia. Nie potrafił się domyślić, kim jest ta kobieta, co ma oznaczać jej wizerunek, jak mają odnaleźć i co zyska na ustaleniu jej tożsamości.

Spokojna twarz kobiety z fotografii trochę go uspokoiła, ale kiedy podniósł wzrok i spojrzął na choinkę, znowu się przestraszył. Na drzewku coś się poruszało. Nie z gałęzi na gałąź, nie w cieniu mocnych konarów. Ten ruch manifestował się w ozdobach. Każda srebrna bombka, trąbka, figurynka była trójwymiarowym lustrem. Na tych wypukłych, lśniących powierzchniach przesuwiał się jakiś kształt, z góry na dół. Tylko coś sfruwającego po głównych schodach, okrążając drzewo, mogło się odbijać w ten sposób. Nie był to wielki ptak, nietoperz o skrzydłach wielkich jak flagi ani nawet Moloch. Wyglądało to tak, jakby ten mroczny kształt pływał wewnątrz ozdób.

Ozdoby czerwone, choć mniej błyszczące i mroczniejsze, także były małymi lustrami. Ten sam pulsujący cień przesuwiał się po kulistych jak jabłka powierzchniach, po rubinowych płaszczyznach, nieodparcie kojarzących się z rozlaną krwią.

Fric pojął, że to to samo, co tego wieczora ścigało go w piwniczce na wino.

Poczuł, że włosy stają mu dęba. Zamrowiła go skóra na karku.

W jednej ze swoich ukochanych powieści fantasy dowiedział się, że duchy mogą się pojawiać z własnej woli, lecz nie potrafią długo utrzymać materialnej postaci, jeśli nikt ich nie zauważy,

ponieważ ludzki strach i zdumienie dodają im sił.

Dowiedział się też, że wampiry nie mogą wejść do niczyjego domu, dopóki nikt ich nie zaprosi do środka. I że dusze przeklęte mogą się zerwać z piekielnych łańcuchów i wstąpić w człowieka podczas seansu spirytystycznego, ale nie wtedy, kiedy zwyczajnie zadaje się pytania, tylko gdy powie się nieostrożnie coś w rodzaju: „przyjdź do nas” albo „zostań z nami”.

Naczytał się tych głupot od cholery, większość to prawdopodobnie wymysły głupich pisarzy, którzy usiłują sobie dorobić na boku, zanim sprzedadzą głupi scenariusz jeszcze głupszym producentom.

Mimo to wmówił sobie, że jeśli nie odwróci wzroku od choinki, zjawą będzie krażyć coraz szybciej i szybciej, coraz silniejsza, aż wszystkie ozdoby choinkowe zaczną wybuchać niczym grona granatów, a jego przeszyje dziesięć tysięcy odłamków, z których każdy wbije się w niego jak pulsujący mrok, zanieczyści jego krew i wkrótce zapanuje nad jego umysłem.

Ominął choinkę i pobiegł przed siebie, byle dalej od schodów.

Włączył światło w północnym korytarzu; przebiegł bezgłośnie po przestronnej alei świeżo wypolerowanego piaskowca. Minał salon, pokój popołudniowy, prywatną jadalnię, wielką jadalnię, pokój śniadaniowy, pokój kamerdynera, kuchnię, aż dotarł na kraniec północnego skrzydła, i tym razem nie oglądał się ani za siebie, ani w prawo, ani w lewo.

Oprócz pomieszczenia, w którym personel odpoczywał i jadał obiady, a także profesjonalnie wyposażonej pralni, w północnym skrzydle na parterze znajdowały się pokoje i mieszkania pracowników mieszkających w domu.

Pokojówki, panie Sanchez i Norbert, miały wrócić dopiero rankiem dwudziestego czwartego grudnia. Zresztą do nich i tak by nie poszedł. Były miłe, ale jedna miewała ataki chichotek, a druga

ciągle opowiadała o Dakocie Północnej, skąd pochodziła, co było nawet mniej interesujące niż historia państwa Tuvalu z jego zdumiewającym eksportem orzechów kokosowych.

Państwo McBee mieli szczególnie męczący dzień. Teraz już pewnie śpią, a on nie chciał im przeszkadzać.

Stanął pod drzwiami mieszkania pana Trumana, który niedawno pozwolił mu zwracać się do siebie o każdej porze dnia i nocy i do którego zamierzał się udać od chwili, gdy uciekł ze strychu. Ale nagle zabrakło mu odwagi. Człowiek, który wyskoczył z lustra, ten sam człowiek szybujący pod sufitem, jakiś duch, który fruwa w bombkach na choince... Trudno było sobie wyobrazić, żeby taka fantastyczna i niespójna historia zdołała przekonać kogokolwiek, cóż dopiero byłego policjanta, który pewnie po milionie wariackich opowieści patologicznych ciemnych typów stał się kompletnie zblazowany i cyniczny.

Trochę się niepokoił, że zamkną go w wariatkowie. Nikt przedtem nie zasugerował mu, że tam jest jego miejsce, ale w rodzinnej historii był co najmniej jeden przypadek lekkiego świra. Ktoś mógłby sobie przypomnieć pewne doświadczenie Nominalnej Matki, spojrzeć na niego i pomyśleć: Oto doskonały materiał na małego wariata.

Co gorsza, okłamał pana Trumana i teraz musiałby się do tego przyznać. Nie wspomniał o tych dziwnych rozmowach dlatego, że były zbyt dziwne, żeby w nie uwierzyć. Miał nadzieję, że jeśli wymyśli zboczeńca, pan Truman prześledzi rejestr połączeń, znajdzie drania – zakładając, że Tajemniczy Rozmówca jest draniem – i dotrze do sedna tej dziwnej sprawy.

Pan Truman spytał, czy Fric powiedział mu o wszystkim. A Fric odpowiedział, że tak.

Wówczas musiałby przyznać, że nie wykazał się, jak mówią policjanci, szczególną chęcią do współpracy, a gliniarze z telewizji

nie lubią ciemnych typów, które coś przed nimi zatajają. Od tej pory pan Truman by mu nie ufał. Pomyślałby, że syn największego gwiazdora na świecie jest tylko dorastającym łobuzem.

A jednak musiał powiedzieć panu Trumanowi o Tajemniczym Rozmówcy, by móc go poinformować o Robinie Goodfellowie, który tak naprawdę jest Molochem, a o Molochu musiał mu powiedzieć, żeby przygotować go do opowieści o wariackich wypadkach, które wydarzyły się na strychu.

Właściwie było tego trochę za dużo do wyjaśniania za jednym razem, zwłaszcza cynicznemu byłemu gliniarzowi, który widział już wszystko, i to o wiele za często, i który nie znosi niezapowiedzianych kłopotów. Ale nie mówiąc mu wszystkiego już dziś, sam sobie kopał grób, tak jak ci głupi ludzie w głupich kryminałach, niewinni i winni zarazem.

Kłamstwa sprowadzą na ciebie tylko nieszczęście.

Jasne, jasne.

Jedynym dowodem na jego prawdomówność była zmięta fotografia ładnej pani o łagodnym uśmiechu, którą wcisnął mu w rękę człowiek z lustra.

Fric spojrzał na drzwi mieszkania pana Trumana.

Spojrzał na fotografię.

Przecież to niczego nie dowodzi. Mógł ją dostać od kogokolwiek, gdziekolwiek. Gdyby człowiek z lustra dał mu magiczny pierścień, zmieniający go w kota, albo dwugłową ropuchę, która jedną głową mówi po angielsku, a drugą po francusku, a siedzeniem wyśpiewuje piosenki Britney Spears, to byłby jakiś dowód.

Taka fotografia to nic. Tylko zmięty kawałek papieru. Nic, tylko portret ładnej pani o ślicznym uśmiechu, obcej kobiety.

Jeśli Fric opowie, co mu się przydarzyło na strychu, pan Truman posądzi go o palenie trawki. Wtedy straci w jego oczach całą

wiarygodność.

Odwrócił się, nie pukając.

W tej walce był sam. Samotność nie była dla niego niczym nowym, ale zaczęła mu się już nudzić.

Corky Laputa zjadł zbyt obfity chiński posiłek, odświeżył pamięć o co bardziej tajnych zakamarkach Palazzo Rospo, nakarmił resztkami kosz na śmieci, przygotował sobie drugie martini i wrócił na piętro do gościnnego pokoju, gdzie Serowy Śmierdziel leżał w stanie takiego wyniszczenia, że nawet bardzo wygłodzone sępy uznałyby go za niegodnego uwagi i nie chciałyby nad nim latać.

Corky nazwał go Serowym Śmierdzielem, bo po wielu tygodniach spędzonych w łóżku, bez kontaktu z wodą, jego gość nabrał zapachu przypominającego wiele nieprzyjemnych rzeczy, w tym pewne szczególnie aromatyczne sery.

Śmierdziel już od długiego czasu nie zrobił porządnej kupy. Odory związane z układem wydalniczym przestały być problemem. Tuż po schwytaniu Śmierdziela Corky zdołał go zacewnikować, dzięki czemu nigdy nie miał kłopotów z zasikanyimi prześcieradłami. Rurka cewnika biegła do czterolitrowego pojemnika pod łóżkiem, obecnie wypełnionego w jednej czwartej.

Gryzący, kwaśny smród unosił się z potu przerażenia, który od tygodni parował w tym pokoju, a także z naturalnego ludzkiego tłuszczu, który zdążył zjełczeć. Spis oferowanych przez Corky'ego usług nie uwzględniał mycia gąbką.

Corky wszedł do pokoju, odstawił martini i wziął butelkę środka dezynfekcyjnego o zapachu igliwia. Śmierdziel zamknął oczy, bo już wiedział, co go czeka.

Corky podniósł kołdrę i koc i hojnie spryskał swojego jeńca od stóp do głów. Był to jedyny szybki i skuteczny sposób zredukowania smrodu do znośnego poziomu na czas conocnej pogawędki.

Przy łóżku stał barowy stółek z miękkim siedzeniem i oparciem.

Corky usadowił się na nim. Obok stołka znajdował się wysoki dębowy stojak na kwiatki służący jako stół. Corky pociągnął łyk martini i odstawił je na stojak.

Przez chwilę przyglądał się Śmierdzielowi w milczeniu.

Oczywiście Śmierdziel się nie odzywał, bo już się nauczył – w nieprzyjemny sposób – że nie wypada mu zaczynać rozmowy.

Co więcej, jego niegdyś huczący głos zdegenerował się aż do tchnienia chorego na gruźlicę, charakteryzującego się upiornym chrypieniem i rżeniem. Był to głos taki, jakby piasek sypał się na stary kamień, jak szelest gmerających skarabeuszy. Ten głos ostatnio zaczął przerażać Śmierdziela, który z każdym wieczorem mówił coraz mniej.

Początkowo, żeby wyperswadować mu krzyki, mogące zaalarmować ciekawskich sąsiadów, Corky zakleił mu usta taśmą. To nie było już konieczne, ponieważ Śmierdziel nie potrafił z siebie wydać niepokojąco głośnego dźwięku.

Początkowo Śmierdziel narkotykami został wprowadzony w stan bliski paraliżu, obecnie był przykuty do łóżka. Kiedy opadł z sił, łańcuchy stały się zbyt ciężkie.

Pod nieobecność Corky'ego w woreczku z glukozą zawsze znajdował się narkotyk, by Śmierdziel zachowywał się spokojnie – zabezpieczenie na wypadek jego dość nieprawdopodobnej ucieczki.

Wieczorami Corky zezwalał mu na jasność myśli. Ze względu na ich spotkania.

Przerażone oczy Śmierdziela na przemian unikały spojrzenia Corky'ego i spoglądały na niego, jakby przyciągane magnetyczną siłą. Leżał struchlały, czekając na to, co ma nadejść.

Corky nigdy go nie uderzył, nigdy nie dręczył go fizycznymi torturami. Nie musiał.

Samymi słowami złamał swojego więźnia, zniszczył jego

nadzieję, pozbawił go godności. Samymi słowami zdołał złamać także jego umysł, nawet jeśli Śmierdziel nie był jeszcze szaleńcem.

Śmierdziel tak naprawdę nazywał się Maxwell Dalton. Był profesorem języka angielskiego na tym samym uniwersytecie, na którym wciąż nauczał Corky.

Corky wykladał literaturę z punktu widzenia dekonstrukcjonisty, zaszczepiając w studentach przekonanie, że język nigdy nie zdoła opisać rzeczywistości, ponieważ słowa łączą się tylko ze słowami, nie z rzeczywistością. Nauczał, że niezależnie od tego, czy dzieło literackie ma formę powieści, czy przepisu prawnego, każdy może ocenić doniosłość danego dzieła, ponieważ prawda jest względna, a zasady moralne są naciąganyimi tłumaczeniami religijnych i filozoficznych tekstów, których znaczenie jest takie, jakie nadaje im każdy z nas. Były to rozkosznie destrukcyjne idee, które Corky uważał za swoje sukcesy pedagogiczne.

Profesor Maxwell Dalton był tradycjonalistą. Wierzył w język, znaczenie, cel i pryncypia.

Od dziesiątków lat podobni mu władali wydziałem języka angielskiego. Od paru lat Dalton usiłował wzniecić rewoltę przeciwko bezbarwności. Był przeszkodą, szkodnikiem, kłodą na drodze do chaosu. Uwielbiał dzieła Karola Dickensa, T. S. Eliota i Marka Twaina. Niewymownie podły człowiek.

Dzięki Rolfowi Reynerdowi od dwunastu tygodni znajdował się uwięziony w sypialni.

Kiedy Corky i Reynerd przysięgli, że razem w ramach manifestu dokonają doskonale zaplanowanego napadu na pilnie strzeżony dom Channinga Manheima, postanowili również dla potwierdzenia powagi tej przysięgi, że najpierw popełnią dla siebie nawzajem zbrodnię. Corky miał zamordować matkę Reynerda, a w zamian aktor miał porwać Daltona i dostarczyć go Corky'emu.

Corky, pamiętając, jak łatwo planowane morderstwo jego

własnej matki zmieniło się w oszalałą jatkę, nabył niezarejestrowaną broń, którą miał profesjonalnie usunąć Minę Reynerd strzałem w serce, by nie było za dużo krwi.

Niestety, wówczas nie miał jeszcze doświadczenia z bronią palną. Pierwsza kula trafiła ją nie w serce, lecz w stopę.

Pani Reynerd zaczęła krzyczeć z bólu. Z powodów, których Corky nadal nie potrafił zrozumieć, zamiast dalej strzelać, zaczął ją okładać z furją lampą z marmuru i brązu, którą poważnie uszkodził.

Później przeprosił Rolfa za uszczuplenie jego wspaniałego spadku.

Słowny aktor porwał następnie Maxwella Daltona. Dostarczył go nieprzytomnego do pokoju, gdzie Corky już czekał z zapasem schłodzonej mieszanki glukozy i zestawem narkotyków zdolnych odebrać przytomność Daltonowi, dopóki nie opuszczą go siły.

Od tego czasu metodycznie morzył swojego kolegę głodem, składniki odżywcze dostarczając mu jedynie przez kroplówkę, by utrzymać go przy życiu. Wieczór za wieczorem, a czasami rano, poddawał Daltona wyjątkowym torturom psychicznym.

Dobry profesorek uwierzył, że jego żona Rachel i ich dziesięcioletnia córka Emily także zostały porwane. Sądził, że znajdują się w innych pokojach w domu.

Codziennie Corky donosił Daltonowi o zniewagach, upokorzeniach i torturach, jakim ostatnio zostały poddane piękna Rachel i krucha Emily. Jego raporty były wyraziste, wyjątkowo brutalne, olśniewająco obsceniczne.

Ta pornograficzna inwencja zaskoczyła i zachwyciła Corky'ego, choć bardziej go dziwiła łatwość, z jaką Dalton wierzył w te historie i jak bardzo nad nimi bolał. Gdyby Corky zajmował się trojgiem więźniów, gdyby popełnił choć ułamek zbrodni, o jakich opowiadał, byłby chyba tak samo chudy i wyniszczony jak ten zagłodzony

biedak.

Matka Corky'ego, ekonomistka i zapalczywa przeciwniczka naukowców, zdumiałaby się, wiedząc, że jej syn doprowadził przynajmniej jednego kolegę do przerażenia, o jakim ona nigdy nie marzyła. Ona nie potrafiłaby opracować i wykonać tak skomplikowanego i inteligentnego planu jak ten, który Corky sporządził z myślą o Maxwellu Daltonie.

Pobudkami matki była nienawiść i zazdrość. Wyzwolony od nich Corky miał inną motywację: wyzwolić świat dzięki anarchii. Ona chciała zniszczyć garstkę wrogów, on pragnął zniszczyć wszystko.

Sukces częściej przychodzi do tych, którzy działają na większą skalę.

Teraz, pod koniec udanego dnia, Corky usiadł na wysokim stołku, spoglądając na zadreżonego profesora, i przez jakieś dziesięć minut popijał małymi łydkami martini, budując napięcie. W trakcie tego pracowitego dnia zdołał jednak wygospodarować nieco czasu na sporządzenie bajecznie brutalnej opowieści, która wreszcie powinna wtrącić Daltona w szaleństwo.

Zamierzał mu donieść, że zabił jego żonę Rachel. Zważywszy na wyjątkowo kiepski stan Daltona, to kłamstwo, dobrze opowiedziane, powinno wywołać nawet śmiertelny zawał.

Jeśli profesor przeżyje te wieści, rano zostanie poinformowany, że zginęła także jego córka. Może ten drugi szok go wykończy.

Tak czy inaczej, Corky zamierzał skończyć z Maxwellem Daltonem. Wycisnął z sytuacji maksimum rozrywki. Pora przejść do nowego etapu.

Poza tym wkrótce będzie potrzebować tego pokoju dla Aelfrica Manheima.

Noc na księżycu, zimnym i pełnym kraterów, nie mogłaby być straszniejsza niż noc w posiadłości Manheima.

Słysząc było tylko kroki Frica, tylko jego oddech, słabe skrzypienie otwieranych drzwi.

Na zewnątrz zmienny wiatr, to groźny, to melancholijny, klócił się z drzewami, lamentował pod dachem, uderzał w ściany, jęczał, jakby żałośnie protestując przeciwko brakowi wstępu do domu. Deszcz bębnił gniewnie o szyby, potem płakał cicho, a jego łzy spływały bezgłośnie po szkle.

Przez jakiś czas Fric uważał, że bezpieczniej być w ruchu, że kiedy się zatrzyma, niewidzialne siły od razu zaczną się wokół niego gromadzić. Poza tym w ruchu mógł łatwiej zerwać się do biegu, a zatem był gotowy do ucieczki.

Jego ojciec uważał, że dziecko, które skończyło sześć lat, nie powinno być zmuszane do kładzenia się spać o określonej porze, lecz powinno sobie znaleźć własny optymalny rytm. Co za tym idzie, Fric całymi latami chodził spać wtedy, kiedy miał ochotę, czasami o dziewiątej, kiedy indziej po północy.

Wkrótce to snucie się po budynku zaczęło go męczyć. Przyszło mu do głowy, że przez Molocha, dzieciożernego boga, który może wychodzić z luster o każdej porze, nie zaśnie aż do osiemnastki, dopóki przestanie podlegać definicji dziecka. Strach okazał się równie wyczerpujący jak ciężki poród.

Niepokojąc się, że mógłby zasnąć na sofie lub krześle i stać się łatwym łupem, postanowił wrócić do zachodniego skrzydła na parterze, gdzie mógł się zdrzemnąć w pobliżu mieszkania pana Trumana. Ale gdyby pan Truman albo państwo McBee znaleźli go

tam śpiącego, uznaliby go za tchórzliwego mięczaka, wyrodka rodu Manheimów.

Wobec tego uznał, że najlepszą kryjówką będzie biblioteka. Między książkami zawsze czuł się bezpieczny. I choć znajdowała się na piętrze, niemal tak odległym jak drugie, nie było w niej żadnych luster.

Powitał go widok choinki z aniołami.

Wzdrygnął się na widok tego skrzydlatego tłumu.

Potem zdał sobie sprawę, że na drzewku nie ma ani jednego lśniącego przedmiotu, przez który zła istota mogłaby się przedostać z tamtego świata. Prawdę mówiąc, te kołyszące się anioły zdawały się mówić, że to miejsce znajduje się pod ich ochroną, że to prawdziwe sanktuarium.

Dekoracyjne czary, amfory i figurynki w całym tym ogromnym pomieszczeniu były albo bazaltami Wedgwooda w stylu empire, albo porcelanowymi cackami z okresu dynastii Han. Bazalty były matowo czarne, nie lśniące. Dwa tysiące lat starło blask z chińskiej porcelany, dlatego Fric nie bał się, że jakaś starożytna figurka konia czy dzbanek z czasów sprzed narodzenia Chrystusa posłuży za wizer, przez który będzie go podglądać jakaś niegodziwa istota z sąsiedniego wymiaru.

W głębi biblioteki znajdowały się drzwi do toalety. Fric podparł ich klamkę krzesłem, nie ośmielając się nawet ich otworzyć, ponieważ nad umywalką było lustro.

Ta rozsądna decyzja zrodziła niewielki problem, zresztą bez trudu rozwiązany. Fric musiał zrobić siusiu, toteż wykorzystał wielką donicę z palmą. W takich sytuacjach zawsze myśl ręce. Tym razem musiał zaryzykować zakażenie, chorobę i zarazę.

W bibliotece stało co najmniej dwadzieścia palm. Fric zapamiętał tę oznaczoną przez siebie, żeby nie doprowadzić do

wymarcia całego bibliotecznego lasu.

Wrócił pod choinkę z batalionem aniołów stróżów. To na pewno bezpieczne miejsce. Wśród stojących tu foteli i pufów znajdowała się także sofa. Fric miał się właśnie na niej wyciągnąć, kiedy w ciszy rozległ się wesóły sygnał w sam raz do sypialni młodszych dzieci.

Uuu-dili-uuu-dili-uuu.

Pan Truman miał odebrać telefon po trzecim sygnale.

Uuu-dili-uuu-dili-uuu.

Pan Truman nie odebrał. Telefon zadzwonił po raz czwarty i piąty.

Sekretarka także się nie włączyła.

Sześć sygnałów. Siedem.

Fric czekał.

Uuu-dili-uuu-dili-uuu.

*

Ethan wyjął z szafki sześć czarnych pudełek i ustawił je na biurku w kolejności, w jakiej zostały przysłane.

Wyłączył komputer.

Telefon miał pod ręką. Gdyby do Frica ktoś zadzwonił, mógł przejąć połączenie. Mógł też zauważyć świecąca się lampkę nad linią 24. Linia zarezerwowana dla zmarłych coraz częściej bywała zajęta, co niepokoiło go z niezrozumiałych przyczyn. Na wszelki wypadek wolał kontrolować sytuację.

Usiadł przy biurku z puszką coli i zaczął się zastanawiać nad elementami tej łamigłówki.

Mały słoik zawierał dwadzieścia dwie martwe biedronki. *Hippodamia convergens* z rodziny *Coccinellidae*.

Inny, większy słoik, z dziesięcioma martwymi ślimakami, z dnia na dzień stanowił coraz bardziej przykry widok.

Duży słoik po ogórkach kiszonych, zawierał pięć napletków w formalinie. Dziesiąty zniszczono w laboratorium podczas analiz.

Zaciągnięte zasłony tłumiły bębnienie deszczu o szyby, wycie rozwścieczonego wichru.

Biedronki, ślimaki, napletki.

Nie wiadomo dlaczego, nagle jego spojrzenie uciekło w stronę milczącego telefonu. Nad linią 24 ani żadną inną nie paliło się światełko.

Wziął puszkę coli, pociągnął łyk.

Biedronki, ślimaki, napletki...

*

Uuu-dili-uuu-dili-uuu.

Może pan Truman pośliznął się, uderzył w głowę i leży nieprzytomny, nie słysząc dzwonienia. A może coś go wciągnęło w lustro. Albo po prostu zapomniał zmodyfikować program tak, żeby odbierał prywatne telefony do Frica.

Dzwoniący nie rezygnował. Po dwudziestej pierwszej powtórce melodyjki dostosowanej do dziecięcych gustów Fric zrozumiał, że jeśli nie podniesie słuchawki, będzie musiał słuchać tego dzwonienia przez całą noc.

Lekkie drżenie głosu trochę zbiło go z tropu, ale ciągnął dalej:

– Tu lodziarnia i womitorium, dwa w jednym, lody na

kilogramy, co zjesz, tego się pozbędziesz.

- Witaj, Aelfricu – powiedział Tajemniczy Rozmówca.

- Nie mogę się zdecydować, czy jesteś zboczeńcem, czy przyjacielem, tak jak twierdzisz. Skłaniam się ku zboczeńcowi.

- Skłaniasz się w złą stronę. Rozejrzyj się, poszukaj prawdy.

- Gdzie się mam rozejrzeć?

- Po bibliotece.

- Jestem w kuchni.

- Do tej pory powinieneś już uwierzyć, że nie możesz mnie okłamać.

- Znalazłem kryjówkę w jednym z pieców. Schowam się w środku i zamknę drzwi.

- Lepiej najpierw natrzyj się masłem, bo Moloch zapali gaz.

- Moloch już tu był.

- To nie był Moloch, tylko ja.

Fric, porażony tą rewelacją, omal nie rzucił słuchawką.

- Złożyłem ci wizytę, bo chciałem, abyś zrozumiał, że naprawdę jesteś w niebezpieczeństwie, a czas rzeczywiście ucieka. Gdybym był Molochem, już stałbyś się przekąską.

- Wyszedłeś z lustra – powiedział Fric, ponieważ ciekawość i zdumienie na chwilę przyćmiły strach.

- I do lustra wróciłem.

- Jak to możliwe?

- Żeby znaleźć odpowiedź, rozejrzyj się, synu.

Fric powiódł wzrokiem wokół siebie.

- I co widzisz? – spytał Tajemniczy Rozmówca.

- Książki.
- O? Macie w kuchni dużo książek?
- Jestem w bibliotece.
- Ach. Prawda. Można mieć nadzieję, że ominie cię przynajmniej jedno nieszczęście. Co jeszcze widzisz oprócz książek?
- Biurko. Fotele. Sofę.
- Rozglądaj się dalej.
- Choinkę.
- No i masz.
- Co mam?
- Robią na niebie fikołki.
- Słucham?
- I rymują się ze „stołki”. Co to?
- Aniołki – powiedział Fric, przyglądając się śnieżnobiałemu stadku z trąbkami i lirami.
- Przenoszę się przez lustra, mgły, dym, drzwi w wodzie, korytarze cieni, podróżuję po promieniach księżycy, marzeniach, nadziejach i oczekiwaniach. Na co mi samochód?

Fric zacisnął palce na słuchawce tak mocno, że zaboląły go palce, jakby mógł z niej wycisnąć kolejne słowa.

Tajemniczy Rozmówca zamilkł, nie doczekawszy się reakcji.

Fric spodziewał się wszystkiego, ale tego nie uwzględnił.

Wreszcie głosem dającym się zakwalifikować jako drżący spytał:

- Chcesz powiedzieć, że jesteś aniołem?
- A wierzysz, że nim jestem?

- Moim... aniołem stróżem?

Człowiek z lustra nie odpowiedział wprost.

- Wiara jest w tym wszystkim najważniejsza, Aelfricu. Pod wieloma względami świat jest taki, jaki stworzymy, a przyszłość leży w naszych rękach.

- Mój ojciec mówi, że nasza przyszłość jest zapisana w gwiazdach, a nasz los jest niezmienny od chwili urodzin.

- Wiesz, synu, na swój sposób podziwiam twojego starego, ale w kwestii przeznaczenia pieprzy jak potłuczony.

- Kurczę. Czy aniołom wolno mówić „pieprzy”?

- Ja właśnie tak powiedziałem, ale dopiero zaczynam i mogę się czasem pomylić.

- Czyli jeszcze latasz na próbnym tablicach rejestracyjnych.

- Można tak powiedzieć. W każdym razie nie chciałbym, żeby cię spotkało coś złego. Ja nie mogę ci zagwarantować bezpieczeństwa. Sam musisz się ratować przed Molochem, kiedy nadejdzie.

*

Biedronki, ślimaki, napletki...

Obok nich na biurku Ethana stał także ceramiczny kotek, mający w brzuszku dwieście siedemdziesiąt literek, po dziewięćdziesiąt Z, Ł i Y.

Łzy. Zły. Zzz.

Obok kotka – książka Donalda Gainswortha, który tresował psy przewodniki dla niewidomych i ludzi na wózkach inwalidzkich.

Biedronki, ślimaki, napletki, literki, książka...

Obok książki jabłko ze szklanym okiem. OKO W JABŁKU?
ROBAK-OBSERWATOR? ROBAK GRZECHU PIERWORODNEGO?
CZY SŁOWA PROWADZĄ DO CZEGOŚ POZA
NIEPOROZUMIENIEM?

Ethan dostał migreny. Pewnie powinien być wdzięczny, że to jedyna przypadłość, jaka go spotkała po dwukrotnym zgonie.

Porzucił sześć prezentów od Reynerda i poszedł do łazienki. Z szafki wyjął buteleczkę aspiryny i wytrząsał na rękę parę tabletek.

Zamierzał napić się wody z kranu, ale kiedy spojrzał przelotnie w lustro, zorientował się, że szuka mrocznej zjawy, której nie powinno tam być, która odsunie się, kiedy będzie usiłował skupić na niej wzrok, tak jak w łazience Dunny'ego.

Poszedł do kuchni, gdzie nie wisały żadne lustra.

Dziwne, ale musiał spojrzeć na telefon wiszący na ścianie obok lodówki. Wszystkie linie były wolne. Linia 24 też. I linia Frica.

Zaczął się zastanawiać nad rzekomym zboczeńcem. Nawet gdyby Fric należał do chłopców, którzy zmyślają, żeby zwrócić na siebie uwagę – a nie należy – kłamstwo było blade, niewarte wysiłku. Kiedy dzieci fantazjują, mają tendencję do tworzenia barwnych szczegółów.

Połączył aspirynę i wziął słuchawkę. Na pierwszej z dwóch jego prywatnych linii zapaliła się lampka. Telefony w domu były wyposażone w interkom. Gdyby przycisnął klawisz z napisem „interkom”, a potem klawisz linii Frica, mógłby przemówić bezpośrednio w pokoju chłopca.

Nie wiedział, co miałby powiedzieć ani dlaczego powinien szukać Frica o tej późnej godzinie, a nie na przykład rano. Spojrzał na klawisz linii chłopca. Położył na nim palec, ale nie nacisnął.

Dzieciak pewnie już śpi. A jak nie śpi, to powinien.

Odłożył słuchawkę.

Podszedł do lodówki. Do tej pory nie mógł jeść. Po wypadkach tego dnia żołądek ścisnął mu się jak pięść. Przez jakiś czas miał ochotę tylko na szkocką. Teraz niespodziewanie na myśl o kanapce z szynką ślinka napłynęła mu do ust.

Codziennie wstajemy z nadzieją, że spotka nas coś dobrego, ale życie tylko nurza nas w błocie. Dostajesz kulkę w brzuch, umierasz, potem wstajesz i żyjesz dalej, życie znowu nurza cię w błocie, przejeżdża cię samochód, znowu umierasz, a kiedy usiłujesz rozpaczliwie się z tym pogodzić, życie znowu nurza cię w błocie, więc chyba nic dziwnego, że na koniec tak pełnego wrażeń dnia dostaje się apetytu atlety.

*

Fric przyglądał się aniołom z mrożonego szkła, plastiku, drewna, blachy, usiłując jednocześnie rozmawiać przez telefon z ewentualnie prawdziwym aniołem.

– Jak mogę znaleźć kryjówkę, skoro Moloch podróżuje przez lustra i na promieniach księżyca?

– Nie podróżuje – odparł Tajemniczy Rozmówca. – Nie ma mojej mocy. Jest śmiertelnikiem. Ale nie myśl, że przez to jest mniej niebezpieczny. Żaden demon nie jest od niego gorszy.

– To może tu przyjdiesz i poczekaś ze mną na niego, a jak się pojawi, wykończysz go mieczem ognistym?

– Nie mam ognistego miecza.

– Coś musisz mieć. Czytałem o aniołach w jednej powieści fantasy. Nie są ulotne jak na przykład gazy. Są wojownikami. Walczyły z legionami szatana, wygoniły ich z nieba do piekła. W książce to była fajna scena.

– To nie niebo, synu, to ziemia. Tu mam zezwolenie jedynie na

działanie pośrednie.

Fric zacytował jego słowa, które usłyszał w piwnicy na wino:

– Zachęcać, inspirować, przerażać, nakłaniać, doradzać.

– Masz dobrą pamięć. Wiem, co ma się wydarzyć, ale mogę wpływać na wydarzenia jedynie potajemnie. Nie mogę przeszkadzać Molochowi w pracy nad własnym potępieniem. Tak jak nie mogę przeszkadzać bohaterowskiemu policjantowi, który poświęca swoje życie, żeby kogoś uratować, dzięki czemu zostanie na wieki wyniesiony na wysokość.

– Chyba rozumiem. Jesteś jak reżyser bez prawa do ostatecznego montażu.

– Nie jestem nawet reżyserem. Raczej dyrektorem studia, który może tylko sugerować pomysły, robić takie notatki na scenariuszu.

– Przez co scenarzyści się wkurzają i zaczynają pić. Zanudzają tym człowieka na śmierć, tak jakby dziesięcioletnie dziecko się tym interesowało – jakby ktokolwiek się tym interesował.

– Różnica polega na tym – powiedział przypuszczalny anioł – że moje notatki zawsze wynikają z dobrej woli i mają związek z wizją przyszłości, być może zbyt realną.

Fric zastanawiał się przez chwilę. Usiadł przy biurku.

– Kurczę. Praca anioła stróża musi być frustrująca.

– Nawet sobie nie wyobrażasz. Ty masz wpływ na ostateczny montaż swojego życia, Aelfricu. To się nazywa wolna wola. Tyją masz. Każdy ją ma. A ja nie mogę działać za ciebie. To twoja działka decydować, dobrze lub źle, czy chcesz być mądry, czy nie, odważny czy nie.

– Spróbować zawsze można.

– No myślę. Co zrobiłeś ze zdjęciem, które ci dałem?

- Tej ładnej pani z miłym uśmiechem? Mam je w kieszeni.
- Tam na nic ci się nie przyda.
- To co mam z nim zrobić?
- Pomyśl. Wykorzystaj mózg. Nawet w twojej rodzinie to nie jest wykluczone. Myśl. Bądź mądry.
- Jestem tak cholernie wykończony, że nie mogę myśleć. Kim jest ta kobieta ze zdjęcia?
- Może się zabawisz w detektywa? Rozpocznij dochodzenie.
- Nie rozpocznę. Kto to jest?
- Popytaj. Ja ci nie mogę odpowiedzieć.
- Dlaczego?
- Dlatego że muszę się stosować do zasady pośredniości, która czasami wkurza każdego anioła.
- Dobra, nieważne. Czy dziś jestem bezpieczny? Czy mogę znaleźć kryjówkę dopiero rano?
- Z samego rana. Ale nie marnuj więcej czasu, Aelfricu. Przygotuj się.
- Dobrze. Aha, i przepraszam, że tak cię nazwałem.
- Jak? A, że jestem prawnikiem?
- Tak.
- Nazywano mnie już gorszymi słowami.
- Naprawdę?
- Dużo gorszymi.
- I przepraszam, że do ciebie zadzwoniłem.
- Jak to?

- Trochę przesadziłem. Oddzwoniłem do ciebie.

Tajemniczy Rozmówca zamilkł.

Zapadła cisza w dziwny sposób inna od każdej innej znanej Fricowi. Chociażby dlatego, że była to cisza doskonała, która wessała w siebie nie tylko szum linii, ale każdy cień dźwięku w bibliotece, aż Fric poczuł się bardziej niż głuchy.

Cisza wydawała się także głęboka, jakby anioł stróż dzwonił z dna rowu oceanicznego. Głęboka i bardzo zimna.

Fric się wzdrygnął. Nie słyszał szczękania zębów. Nie słyszał także swojego oddechu, choć czuł, że uchodzi z niego powietrze tak gorące, że wysuszyło mu zęby.

Cisza doskonała, głęboka, zimna, tak, ale potężniej i dziwniej niż zwykła doskonałość, głębia i zimno.

Fric pomyślał, że taką ciszę może pewnie sprowadzić każdy z aniołów, ale taka sztuczka najbardziej pasuje do Anioła Śmierci.

Tajemniczy Rozmówca zrobił wdech i jakby wessał w siebie ciszę, znowu uwalniając dźwięki, w tym własny głos, w którym rozległa się złowroga nuta troski:

- Kiedy zadzwoniłeś, Aelfricu?

- Z pokoju z pociągami.

- I kiedy dzwoniłem do piwnicy?

- Też. Nie wiesz? Skoro jesteś, kim jesteś...

- Anioły nie są wszechwiedzące. Od czasu do czasu pewne sprawy się nam... wymykają.

- Za pierwszym razem twój telefon dzwonił i dzwonił...

- Bo zadzwoniłem z mojego dawnego mieszkania, które zajmowałem za życia. Nie wykreśliłem twojego numeru, tylko o tobie pomyślałem, ale słuchawkę podniosłem. Dopiero się uczyłem... tego,

co teraz już potrafię. Z każdą godziną idzie mi coraz lepiej.

Fric zaczął podejrzewać, że jest bardziej zmęczony, niż sądził. Nie zawsze wszystko rozumiał.

– W twoim mieszkaniu?

– Jestem stosunkowo nowym aniołem, synu. Umarłem dziś rano. Korzystam z ciała, w którym mieszkałem, choć... teraz jest sprawniejsze, bo wiesz, mam nową moc. Co się wydarzyło za drugim razem, kiedy do mnie oddzwoniłeś?

– Naprawdę nie wiesz?

– Boję się, że wiem. Ale mi powiedz.

– Dodzwoniłem się do zbrojeńca.

– Co ci powiedział?

– Nic. Tylko dyszał... a potem zaczął wydawać takie zwierzęce dźwięki.

Tajemniczy Rozmówca zamilkł, ale było to milczenie zupełnie różne od tamtego, głębokiego jak śmierć. W tej ciszy słyhać było jakieś ulotne drgania, wibracje dygoczących nerwów, napinanie się mięśni.

– Najpierw myślałem, że to ty – wyjaśnił Fric. – Więc mu powiedziałem, że znalazłem Molocha w słowniku. To go podnieciło.

– Nigdy więcej nie oddzwaniaj do mnie, Aelfricu. Nigdy, przenigdy.

– Dlaczego?

– Nigdy więcej – powtórzył jego rozmówca twardo, zdradzając niepokój zbyt ludzki, żeby pasował do nieśmiertelnego anioła stróża.

– Rozumiesz?

– Tak.

– Obiecasz mi, że nigdy więcej nie wybierzesz tej funkcji?

– Dobrze. Ale dlaczego?

– Kiedy zadzwoniłem do piwnicy z winem, nie korzystałem z telefonu jak za pierwszym razem. Już nie muszę mieć telefonu, żeby do kogoś zadzwonić, tak jak nie potrzebuję samochodu, żeby podróżować. Potrzebuję tylko idei telefonu.

– Idea telefonu? Co to może być?

– Dzięki mojej obecnej sytuacji mam pewne nadnaturalne zdolności.

– Sytuacji anioła stróża?

– Ale kiedy korzystam tylko z idei telefonu, możesz oddzwonić w miejsce, do którego nie wolno ci zaglądać.

– W jakie miejsce?

Jego rozmówca wahał się przez chwilę.

– Mroczną wieczność – powiedział w końcu.

– Brzmi niedobrze – zgodził się Fric i niespokojnie rozejrzał się po bibliotece.

W labiryntach półek pomiędzy okładkami zbyt licznych książek kryły się potwory. Być może jeden z nich buszował nie w papierowym, ale w prawdziwym świecie, oddychał nie oparami atramentu, lecz powietrza, czekając, aż pewien mały chłopiec odnajdzie go między cichymi półkami.

– Mroczna wieczność. Przepaść bez dna, widzialny mrok i wszystko, co w nim się kryje – rozwinął temat jego opiekun. – Miałeś szczęście, synu. Nie przemówiło do ciebie.

– Co?

– To, co nazwałeś zbroczeniem. Gdy przemawiają, potrafią perswadować, uwodzić, czasem nawet rozkazywać.

Fric znowu zerknął na choinkę. Wydało mu się, że wszystkie anioły patrzą na niego.

– Kiedy wciskasz tę funkcję w telefonie – powiedział rozmówca – otwierasz im drzwi.

– Komu?

– Czy musimy wymawiać głośno ich cuchnące siarką imię? Obaj wiemy, o kim mówię, prawda?

Fric, miłośnik fantasy i posiadacz wyobraźni wyostrejzonej samotnością, a przy okazji także domowej sali kinowej, w której mógł oglądać najróżniejsze filmy, od tych dla dzieci po najkrwawsze horrory, poczuł pewność, że wie, o kim mowa.

– Otwierasz im drzwi, a potem jednym niefortunnym słowem możesz je niechcący... zaprosić.

– Do Palazzo Rospo?

– W siebie. Zaproszone mogą skoczyć przez łącze telefoniczne, przez to kruche połączenie dusz, mniej więcej tak, jak ja przemieszczam się między lustrami.

– Żartujesz?

– Nie. Nie waż się więcej do mnie oddzwaniać.

– Dobrze.

– Nigdy.

– Przenigdy.

– Mówię śmiertelnie poważnie.

– Nie spodziewałem się, że anioł stróż tak potrafi.

– Co?

– Tak mnie nastraszyć.

– Zachęcać, inspirować, przerażać – przypomniał mu

Tajemniczy Rozmówca. – A teraz śpij spokojnie, dopóki możesz. A rano nie marnuj już czasu. Przygotuj się. Przygotuj się, by przeżyć, Aelfricu, przygotuj się, bo kiedy spoglądam w przyszłość, w ten możliwy obecnie układ zdarzeń. .. widzę twoją śmierć.

Fric leżąc na brzuchu na sofie, spoglądał w rozterce na telefon na podłodze w bibliotece. Przeniósł go z biurka na tyle, na ile pozwalał kabel.

Na wszelki wypadek, gdyby musiał szybko wezwać pomoc.

Była to prawda, ale nie cała. Zastanawiał się nad oddzwonieniem pod ostatni numer.

Nie miał autodestrukcyjnych skłonności. Nie należał do tych hollywoodzkich smarkaczy, którzy marzą, by dorosnąć i zostać bogatym narkomanem. Nie miał zamiaru zabić się sportowym samochodem, z broni krótkiej, długiej, pigułkami odchudzającymi, mocnym alkoholem, rakiem płuc w wyniku palenia marihuany albo z powodu kobiet.

Niekiedy w czasie przyjęcia, gdy w Palazzo Rospo roiło się od setek sławnych, prawie sławnych i pragnących sławy ludzi, Fric stawał się niewidzialny, by lepiej podsłuchiwać. W takim tłumie łatwo jest zniknąć, bo połowa gości w ogóle nie zauważa nikogo poza sobą, a druga połowa nie spuszcza wzroku z grupki reżyserów, agentów i szefów studiów, którzy mogą ich uczynić albo obrzydliwie bogatymi, albo jeszcze obrzydliej bogatymi.

Podczas takich wypraw w czapce niewidce Fric usłyszał, jak ktoś powiedział o trzecim – a może czwartym – najsłynniejszym gwiazdorce filmowym, że „głupi palant wykończy się przez te baby, jeśli dalej tak będzie postępował”. Fric nie miał zielonego pojęcia, jak można się wykończyć przez kobiety i dlaczego samobójca nie kupi po prostu pistoletu. Jednak to intrygujące zdanie utkwilo mu w pamięci i nauczyło ostrożności. Od tego czasu, poznając nową kobietę, przyglądał się jej podejrzliwie w poszukiwaniu oznak przynależności do owego potencjalnie niebezpiecznego typu.

Aż do tej przedziwnej nocy nigdy by mu nie przyszło do głowy, że do Śmierci można po prostu zadzwonić.

Może to, co przyfrunęłoby telefonicznym łączem, nie odebrałoby mu życia. Może uwięziłoby jego duszę, przejęło kontrolę nad ciałem i tak unieszczęśliwiło, że sam by pragnął śmierci.

A może zawładnęłoby nim i kazało rzucić się głową naprzód na ceglana ścianę, do otwartego szamba – zakładając, że coś takiego w ogóle można znaleźć w Bel Air – z dachu Palazzo Rospo albo w ramiona jakiejś śmiertelnie niebezpiecznej blondynki (których w Bel Air było bardzo dużo).

Fric był w rozterce, bo nie wiedział, czy ma wierzyć Tajemniczemu Rozmówcy.

Z jednej strony te teksty o aniele stróżu, lustrach i promieniach księżycy to może być jedna wielka bzdura. Nawet większa niż ten film z jednorożcem, gdzie miał pecha wystąpić Ojciec Duch.

Z drugiej – zawsze jest druga strona – Tajemniczy Rozmówca naprawdę wyszedł z lustra. I naprawdę frunął pod sufitem. Jego występ na strychu – a potem w lśniących powierzchniach ozdób choinkowych – był tak niewiarygodny, że od razu dodał mu wiarygodności.

A jednak czy anioł stróż występuje w garniturze i krawacie prosto z drogich sklepów na Rodeo Drive? Czy ma skórę białą jak rybie mięso, w bardzo niewielkim stopniu wygląda świątobliwie, natomiast w znacznie większym – przerażająco, a jego oczy są szare i zimne jak zlodowaciały popiół?

Być może Tajemniczy Rozmówca z nieznanых powodów skłamał, naprowadził Frica na błędne wnioski, manipulował nim.

Fric kiedyś usłyszał, jak ojciec mówił, że dosłownie każdy w tym mieście manipuluje ludźmi tak, żeby doprowadzić do ich klęski – jeśli nie dla pieniędzy, to dla sportu.

Tajemniczy Rozmówca zakazał Fricowi oddzwaniać do niego, ponieważ to by go połączyło z mroczną wiecznością. A może tak naprawdę nie chciał, żeby Fric go wyszedził.

Nie podnosząc się z sofy, sięgnął po słuchawkę. Wcisnął klawisz swojej prywatnej linii.

Usłyszał sygnał.

Anioły na choince wyglądały jak prawdziwe. Trudno nie ufać aniołowi z harfą, trąbką i białymi, rozłożystymi skrzydłami.

Wcisnął funkcję oddzwaniań pod ostatni numer.

Odebrano nie po czwartym sygnale, tak jak poprzednio, lecz po pierwszym. Nikt się nie przywitał. Podobnie jak wtedy, usłyszał tylko ciszę.

A potem, po paru chwilach rozległo się dyszenie.

Fric zamierzał przeczekać tego, co tak dyszy, sprowokować go do przemówienia. Ale po dwudziestu czy trzydziestu sekundach nie mógł już wytrzymać.

– To znowu ja.

Jego wyznanie nie spotkało się z żadną reakcją.

– Co tam słyhać w mrocznej wieczności? – spytał, siląc się na lekki i nieco żartobliwy ton, co mu się kompletnie nie udało.

Dyszenie stało się ciężkie, chrapliwe.

– No, wiesz, w tej waszej wieczności – dodał Fric kpiąco, choć i z lekkim dreszczem, którego nie potrafił opanować i który zadawał kłam jego lekceważącej pozie. – Na niektórych mapach nazywanej przepaścią bez dna. Albo widzialnym mrokiem.

Zboczeniec dalej dyszał mu w ucho.

– Chyba jesteś chory. Jakiś problem z zatokami?

Leżąc z głową spuszczoną poniżej krawędzi sofy, zaczął czuć się dziwnie słabo.

– Dam ci namiary na mojego doktora. Dostaniesz leki i będzie ci się łatwiej oddychało. Jeszcze mi podziękujesz.

Trzeszcząco-zgrzytający głos, jak z gardła zatkanego żyłkami, suchszy od dwukrotnie spalonych popiołów, jakby wydobywający się z okropnej głębi, pomiędzy pęknięciami w kamieniach ruin, wypowiedział tylko jedno słowo:

– Chłopiec.

Słowo to wpełzło do ucha Frica jak owad, na przykład szczypawka, która podobno może się przedostać aż do mózgu i tam złożyć jaja, przez co człowiek staje się żywą, rojącą się wylęgarnią.

Fric przypomniał sobie wszystkie te plakaty, na których jego ojciec wyglądał szlachetnie, dumnie i odważnie zacisnął palce na słuchawce.

– Nie boję się ciebie.

– Chłopiec – powtórzył tamten.

– Chłopiec – rozległy się inne głosy, najpierw cztery lub pięć, ciszej niż pierwszy, męskie i żeńskie. Z niezrozumiałego bełkotu wyłaniało się tylko to jedno słowo: „chłopiec... „, „chłopiec... „. Głosy były natarczywe, pełne nadziei. Desperacji. Szeleszczące, miękkie i szorstkie. „Ktotam...?“, „...droga, on jest droga...“, „...słodki...“, „...głupie prosiatko, łatwy łup...“, „...zaproś mnie...“, „zaproś mnie...“, „nie, mnie...“. Po paru sekundach głosów zrobiło się dziesięć, pięćdziesiąt, cały zawodzący chór. Może dlatego, że wszystkie głosy mówiły jednocześnie, jakby przebijały się przez zwierzęce warkoty i charczenia, słowa często zmieniały się w łańcuchy obscenicznych wyzwisk, zbitych w niezborne łańcuchy. W całość scalały je przeszywające krzyki strachu, bólu, rozpacz i czystej furii.

Serce Frica załomotało o jego żebra, utknęło mu w gardle, raptem zaczęło pulsować w skroniach. Powiedział, że się nie boi, ale bał się jak cholera, tak bardzo, że nie miał odwagi wystąpić z kolejną przemądrzałą odzywką.

A jednak te bełkotliwe głosy go intrygowały, przyciągały jego uwagę. Brzmiący w nich głód, potężna żądza, żalosna desperacja, melancholijna tęsknota splotły się w melodię o nieodpartej samotności – a ta melodia przemówiła i zapewniła go, że już nigdy nie będzie się czuł samotny, zawsze będzie miał towarzystwo, że może zyskać cel w życiu i rodzinę, jeśli tylko otworzy im serce.

Ten gardłowy chór, nawet kiedy bełkotał coś bez słów, kiedy rzucał potworne przekleństwa, które powinny Frica przerazić, powoli uspokoił jego strach. Serce nadal mu łomotało, ale teraz już bardziej z podniecenia niż strachu. Wszystko może się zmienić. Zupełnie. Na zawsze. Zmienić się w ułamku chwili. Mógł rozpocząć nowe życie, na pewno lepsze, bez samotności, niepewności, zwątpienia i słabości.

Otworzył usta, by wypowiedzieć słowo, które z całą pewnością zostałyby uznane za zaproszenie. Zanim zdążył to zrobić, zauważył coś kątem oka.

Napięty spiralny kabel łączący słuchawkę z telefonem, niegdyś z białego winylu, stał się różowy, śliski, jak pępowina łącząca matkę z noworodkiem. Pulsował powoli, lecz mocno, a ten puls przesuwiał się z wolna od aparatu do słuchawki przy jego uchu, jakby już przeczuwając zaproszenie, które za chwilę miało paść z jego ust.

*

Ethan siedział przy biurku w swoim gabinecie, jadł kanapkę z szynką, zastanawiał się nad sześcioma pudełkami Reynerda i nie mógł się opędzić od myśli o Duncanie Whistlerze.

W kostnicy Matki Boskiej od Aniołów, kiedy się dowiedział, że

zwłoki Dunny'ego znikły, intuicja podpowiedziała mu, że niebywale wydarzenia w mieszkaniu Reynerda i psikus, jaki spletał im Dunny, mają jakiś związek. Dlatego wyraźne zamieszanie Dunny'ego w morderstwo Reynerda, choć niespodziewane, nie było żadnym zaskoczeniem.

Natomiast zaskoczyło go – i dalej go dziwiło, im bardziej o tym myślał – spotkanie z Dunny'm w hotelowym barze. To musi być coś więcej niż zbieg okoliczności. Dunny był w tym barze, ponieważ był w nim Ethan. Miał mu się pokazać.

A jeśli Ethan miał zobaczyć Dunny'ego, to chyba miał za nim pójść. Być może nawet go dogonić.

Przed hotelem, w zamieszaniu, na deszczu, nie mogąc dostrzec Dunny'ego, odebrał telefon od Hazarda. Zastanowił się, co by się wydarzyło, gdyby nie zgodził się z nim spotkać.

W biurze numerów dowiedział się o numer hotelu, pod który zadzwonił.

– Chciałbym porozmawiać z panem, który się tu zatrzymał. Nie wiem, w którym pokoju. Nazywa się Duncan Whistler.

Po chwili milczenia usłyszał:

– Bardzo mi przykro, ale pan Whistler nie jest u nas zameldowany.

*

Jeszcze niedawno paliło się tu tylko parę lamp stołowych, rozsianych tu i tam w tym wielkim pomieszczeniu. Teraz wszystkie były włączone, ponadto lampy pod sufitem, kinkiety i maleńkie migające żaróweczki na choince. Wszystkie cienie znikły z biblioteki jak wymiecione, ale dla Frica jeszcze i tego było za mało.

Odniósł telefon na biurko. Wyjął wtyczkę z kontaktu.

Przypuszczał, że w jego pokojach na drugim piętrze dzwonią telefony i jeszcze trochę podzwonią. Nie zamierzał tego słuchać. Piekło, kiedy dzwoni, potrafi być natarczywe.

Przyciągnął fotel bliżej choinki. Bliżej aniołów.

Może był przesądny, głupi, dziecinny. Zrobiło mu się wszystko jedno. Ci zrozpaczeni ludzie w telefonie, te stworzenia...

Siedział tyłem do choinki, ponieważ wydawało mu się, że szeregi aniołów strzegą go przed atakiem z tyłu.

Gdyby nie okłamał pana Trumana, mógłby teraz go poprosić o pomoc.

Ale tu, we Fricburgu, zawsze było samo południe, a szeryf nie mógł się spodziewać wsparcia ze strony mieszkańców miasteczka w starciu z bandą wyrzutków.

*

Ethan skończył rozmawiać z recepcjonistą i wziął drugi kawałek kanapki z szynką, ale zanim zdążył ugryźć kęs, zadzwonił jeden z jego telefonów.

Podniósł słuchawkę i usłyszał ciszę. Powiedział „halo”, ale nie otrzymał odpowiedzi.

Może to zboczeniec Frica?

Nikt nie dyszał w słuchawkę. Słyszać było tylko głuchą ciszę i trzaski tak ciche, że prawie niedosłyszalne.

Rzadko ktoś do niego dzwonił tak późno w nocy; dochodziła dwunasta. Ze względu na godzinę i wypadki tego dnia nawet cisza wydała mu się znacząca. Być może za podszeptem instynktu, lecz może tylko wyobraźni wydało mu się, że po drugiej stronie linii ktoś

jest.

Kiedy jeszcze służył w policji, tyle razy zdarzyło mu się prowadzić obserwację, że nauczył się cierpliwości. Zaczął słuchać słuchającego, oferując mu milczenie za milczenie.

Czas mijał. Szynka czekała. Wciąż głodny, nabrał ochoty na piwo.

W końcu usłyszał krzyk, powtórzony trzy razy. Głos był słaby nie z braku sił, lecz ponieważ dochodził z wielkiej odległości. Brzmiał tak cicho, że można go było wziąć za złudzenie.

Znowu cisza, znowu czas, potem znowu ten głos, tak samo słaby, tak efemeryczny, że Ethan nie mógłby zawyrokować z całą pewnością, czy krzyczącym jest kobieta, czy mężczyzna. Mógł to być nawet żalony wrzask ptaka czy zwierzęcia, znowu trzykrotnie powtórzony, jakby przez tłumik gęstej mgły.

Przestał się spodziewać dyszenia.

Ciche trzaski w tle, choć nie głośniejsze, nabrały nagle złowrogo brzmienia, jakby każdy był radioaktywną cząsteczką, osiadającą na bębieniu Ethana.

Kiedy głos powrócił po raz trzeci, nie stanowił już krótkiego krzyku. Ethan wychwycił powtarzające się schematy dźwięków, z pewnością niosące z sobą jakieś znaczenie. Słowa. Nie całkiem zrozumiałe. Dobiegały jakby ze zbyt odległej stacji radiowej, były zniekształcone, zagłuszone. Tak mógłby brzmieć głos dobiegający spoza czasu, głos kosmonautów z ciemnej strony Saturna.

Nie pamiętał, kiedy pochylił się głęboko do przodu. Nie przypominał też sobie, kiedy oparł łokcie na kolanach. Siedział skulony, trzymając obie ręce przy głowie, w jednej ścisnął słuchawkę, jak człowiek zgięty wół ze wstydu lub rozpacz po otrzymaniu strasznych wiadomości.

Nateżał słuch, by zrozumieć dobiegającą z oddali rozmowę, ale

słowa umykały mu jak cienie. Im bardziej się starał je rozszyfrować, tym bardziej ginęły za trzaskami: Pewnie, gdyby się odprężył, stałyby się bardziej zrozumiałe, głos zabrzmiałby mocniej. A jednak nie mógł się odprężyć. Przyciskał słuchawkę do ucha z taką mocą, że rozboleło go ucho i nie mógł przestać, jakby jedna chwila wytchnienia musiała przypaść na moment, kiedy słowa staną się wyraźniejsze, ale tylko dla tego, który ich wytrwale słucha.

W głosie brzmiało błaganie. Choć słowa były niezrozumiałe, ton brzmiał natarczywie i prosząco, a może i tęsknie.

Wydawało mu się, że słucha tych słów z oddali od pięciu minut. Spojrzał na zegarek. 12.26. Spędził przy telefonie niemal pół godziny. „

Ucho, przygniecione słuchawką, paliło i pulsowało. Kark mu zeszywniał, ramiona bolały. Wyprostował się zaskoczony i trochę zdezorientowany. Nikt jeszcze go nie zahipnotyzował, ale tak chyba musi się czuć człowiek otrzęsający się z transu.

Niechętnie odłożył słuchawkę.

Cień głosu w próżni mógł być tylko złudzeniem i niczym więcej, sugestią, dźwiękową iluzją. Nasłuchiwał go z natężeniem marynarza okrętu podwodnego, który na sonarze wypatruje zbliżającego się wrogiego okrętu.

Nie całkiem rozumiał, co właściwie zrobił. I dlaczego. W pokoju nie było zbyt gorąco, ale otarł czoło rękawem. Spodziewał się, że telefon znowu zadzwoni. Może nie powinien go odbierać.

Ta myśl go zaniepokoiła, ponieważ jej nie rozumiał. Dlaczego miałby nie odbierać dzwoniącego telefonu?

Spojrzał na sześć pudełek od Reynerda, ale jego wzrok najdłużej spoczywał na trzech dzwoneczkach z ambulansu, którym nigdy nie jechał.

Kiedy przez następne dwie, trzy minuty telefon nie zadzwonił,

Ethan włączył komputer i znowu sprawdził rejestr połączeń telefonicznych. Ostatnią pozycję stanowił jego telefon do hotelu, w którym mógł mieszkać Dunny Whistler.

Połączenie, które nastąpiło później – to trwające prawie pół godziny – nie figurowało w rejestrze.

Niemożliwe.

Wpatrywał się w ekran i myślał o Fricu. Chyba za szybko zwątpił w jego prawdomówność.

Zerknął na telefon. Lampka nad linią 24 paliła się równym światłem.

Agent sprzedaży. Pomyłka. A jednak...

Gdyby mógł zaspokoić swoją ciekawość, poszedłby na drugie piętro, gdzie w specjalnej komnatce za niebieskimi drzwiami znajdowała się automatyczna sekretarka. Ale gdyby otworzył te drzwi, straciłby pracę.

Dla Minga du Laca i Channinga Manheima komnatka z niebieskimi drzwiami była świętym miejscem. Prawo wstępu do niej mieli tylko oni.

W wyjątkowych wypadkach Ethan mógł używać uniwersalnego klucza w całym domu. Klucz nie otwierał tylko jednych drzwi: niebieskich.

*

Stadko aniołów, przyjemny zapach świerku i wygodny ogromny fotel jakoś nie zdołały ukołysać Frica do snu.

Wstał, ostrożnie zbliżył się do najbliższych półek z książkami i wziął jedną.

Miał dziesięć lat, ale czytał książki dla szesnastolatków. Nie

szczylił się tym, bo wiedział z doświadczenia, że szesnastolatki nie są specjalnymi orłami – i być może nikt tego od nich nie wymaga.

Nawet pani Dowd, jego nauczycielka angielskiego, nie spodziewała się, że czytanie książek będzie sprawiać Fricowi przyjemność. Wręcz podejrzewała, że to mu nie wyjdzie na dobre. Mawiała, że książki to przeżytek; przyszłość należy do obrazu, nie do słów. Wierzyła w „memy”, które, jak wyjaśniła, są ideami, spontanicznie powstającymi wśród „ludzi poinformowanych” i rozprzestrzeniającymi się w mózgach społeczeństwa jak wirus, tworzący „nowe tory myślenia”.

Fric wrócił na fotel, ale nie mógł się skupić na treści książki na tyle, żeby lektura sprawiła mu przyjemność. Nie świadczy to o tym, że książki są przestarzałe, tylko że on był zmęczony i przestraszony.

Przez jakiś czas siedział, czekając, aż jakiś mem wskoczy mu do głowy i przestawi go na radykalnie nowe tory myślenia, które zaćmią myśli o Molochu, ofiarach z dzieci i dziwnych ludziach przechodzących przez lustra. Ale najwyraźniej w powietrzu nie latały dziś żadne memy.

Oczy zaczęły go piec, ale wcale mu się nie chciało spać. Wyjął z kieszeni dzinsów fotografię, która trafiła do niego z głębi lustra. Rozłożył ją i wygładził na nodze.

Pani ze zdjęcia była jeszcze ładniejsza, niż ją zapamiętał. Nie tak jak supermodelka, ale w bardzo zwyczajny sposób. Była miła i delikatna.

Ciekawe, kto to. Zaczął sobie opowiadać, jak wyglądałoby jego życie, gdyby jego matką była ta kobieta, a jej mąż – jego ojcem. Było mu trochę wstyd, że wykluczył z tego życia Nominalną Matkę i Ojca Ducha, ale oni i tak żyli jakby na niby, pewnie więc nie mieliby do niego pretensji o jedną noc w wymyślonej rodzinie.

Po chwili uśmiech kobiety z fotografii sprawił, że i Fric zaczął się uśmiechać. To było lepsze niż zarażenie się memem.

Później, kiedy Fric mieszkał już z nową mamą i jej mężem, którego jeszcze nie poznał, w przytulnej chatce w górach Montany, gdzie nikt nie wiedział o jego poprzednim życiu, szarooki człowiek z lustra wyszedł z lśniącego boku tosterka, pogłaskał psa po głowie i ostrzegł, że niebezpiecznie jest do niego oddzwaniać.

- Jeśli anioł korzysta z idei telefonu, żeby do mnie zadzwonić - powiedział Fric - a ja potem do niego oddzwaniam, dlaczego łączy mnie z piekłem, a nie niebem?

W odpowiedzi człowiek z lustra buchnął ogniem jak smok i znikł w lśniącym tosterze. Płomienie osmały Fricowi ubranie, ale choć wokół niego zaczęły się unosić smużki dymu, nie zajął się ogniem. Jego cudowna nowa mama naląła mu jeszcze jedną szklanekę lemoniady dla ochłody i dalej rozmawiali o ulubionych książkach, a on jadł wielki kawał czekoladowego ciasta, które dla niego upiekła.

*

W hałaśliwych ciemnościach, pełnych najpierw strzelaniny, a potem ryku zbliżających się pojazdów i głosu nawołującego z próżni, Ethan turlał się po mokrym asfalcie, aż wreszcie wpadł w cichy mrok splecionych mokrych prześcieradeł.

Siadając, powiedział „Hannah”, ponieważ we śnie, kiedy pozbył się wszelkich barier, rozpoznał jej głos, wołający do niego z telefonu.

Najpierw powtórzyła to samo trzy razy, a potem znowu trzy razy. We śnie rozpoznał to słowo, swoje imię:

- Ethan... Ethan... Ethan...

Ciągle nie wiedział, ciągle mu umykało to, co powiedziała potem, ta pilna wiadomość, którą usiłowała mu przekazać przez rozdzielającą ich przepaść. Nawet we śnie, w tym pokoju sąsiadującym ze śmiercią, nie mógł się zbliżyć do Hannah tak, by

usłyszeć coś więcej niż swoje imię.

Sen ześliznął się z niego jak całun. Ethan odniósł wrażenie, że ktoś mu się przygląda.

Każde dziecko dobrze wie, co to znaczy obudzić się w nocy i poczuć, że w ciemnościach sypialni kryją się niezliczone demony o najróżniejszym wyglądzie i apetytach. Ich obecność wydaje się tak realna, że wiele małych łapek zawahało się nad włącznikiem lampki ze strachu, że zobaczą coś gorszego niż to, co podsuwa im wyobraźnia. A jednak strachy zawsze znikają, kiedy zrobi się jasno.

Ethan nie był taki pewny, czy i tym razem światło rozproszy strachy. Wyczuł, że przyglądają się mu sowy, wrony, kruki i jastrzębie o drapieżnym spojrzeniu, że przysiadły nie na jego meblach, lecz na ponurych czarno-białych fotografiach na ścianach, obrazach, których nie było tu przed jego zaśnięciem. Noc już dawno temu zmieniła się w mrok przedświt, ale nie miał powodów przypuszczać, że wtorek jest bardziej odporny na irracjonalne wypadki niż poniedziałek.

Nie włączył lampki. Znowu się położył, oparł głowę na poduszkach, poddał się temu, co mogło się kryć w mroku.

Nie sądził, żeby udało mu się zasnąć. Ale powieki, raczej wcześniej niż później, zaczęły mu ciążyć.

Na skraju sennego wiru, który już go zaczynał wciągać, usłyszał jakieś stukanie, być może szponów wron, zmieniających pozycję na żelaznym ogrodzeniu. A może to tylko zimny deszcz dobijał się do okien.

Kiedy czarna dziura snu zaczęła wciągać Ethana z większą siłą, po raz ostatni rozwarł powieki i w mroku zobaczył małe światełko. Telefon. Z daleka nie mógł określić, która to linia, ale instynkt podpowiedział mu, że na pewno 24.

Spadł w wir, w czarną dziurę, w otchłań, z której przychodzą

sny.

Corky Laputa, wolny od zazdrości i nienawiści, ze wszystkich sił służący siłom chaosu rozpoczął dzień bułeczką z orzechami i cynamonem, czterema filiżankami czarnej kawy i dwoma tabletkami kofeiny.

Każdy niszczyciel porządku społecznego musi sobie dodawać animuszu, nawet ryzykując zniszczenie wyściółki żołądka i przewlekłe problemy jelitowe. Na szczęście dla niego okresowe przyjmowanie wielkich ilości kofeiny dodawało mu tylko zjadliwości, nie nabawił się nadkwasoty i innych przykrych objawów.

Popiwszy kofeinę kofeiną stanął przy oknie w kuchni i uśmiechnął się do niskiego ponurego nieba i płożących się nocnych mgieł, których nie rozpędził siny świt. Brzydka pogoda zawsze była jego sprzymierzeńcem.

Deszcz przestał padać, ale na krótko. Zaraz rozpęta się nowa i pewnie gwałtowniejsza burza, która zaleje miasto i uzasadni jego przeciwdeszczowy przyrodziewek, choćby najbardziej skomplikowany.

Corky już wypełnił wodoodporne wewnętrzne kieszenie żółciutkiego winylowego płaszcza, wiszącego obecnie na haku w garażu.

Ostatnią filiżankę kawy zaniósł do pokoju gościnnego, gdzie dopił ją, informując Serowego Śmierdziela o śmierci jego ukochanej córki Emily.

Poprzedniej nocy zrelacjonował mu ostateczne tortury i okrutne zabicie Rachel, żony Śmierdziela, zresztą zdrowej i wolnej. Sfabrykowane szczegóły były tak wyraziste i pomysłowe, że Śmierdziel zalał się strumieniami łez i wydał ze sfatygowanej krtani dziwnie nieludzkie – i dość obrzydliwe – łkanie.

Ale choć złamany cierpieniem, nie dostał ataku serca, na które Corky tak liczył.

Corky podał mu w kroplówce silny halucynogen. Miał nadzieję, że Śmierdziel nie zdoła zasnąć i następne godziny pomiędzy północą i świtem spędzi w piekle narkotycznych wizji, przedstawiających zmasakrowaną żonę.

Teraz Corky, uraczywszy swego gościa jeszcze bardziej przerażającą opowieścią o wielu potwornych cierpieniach i aktach przemocy, jakim została poddana mała Emily, znudził się powtórką łzawo-rozpaczliwego przedstawienia. W tych okolicznościach rozległy zawał serca nie wydawał się tak bardzo niemożliwy, ale Śmierdziel wbrew przewidywaniom nie poszedł na współpracę.

Od czasu do czasu przez rozpacz Śmierdziela przebijala wściekłość. Czasami jego spojrzenie zdawało się zabijać, ale zaraz przykrywał wszystko strumień łez. Być może Śmierdziel tak kurczowo czepiał się życia, gdyż myślał o zemście. Mrzonki.

Poza tym nienawiść niszczy nienawidzącego. Weźmy na przykład matkę Corky'ego i jej zmarnowane życie.

Corky zmienił, woreczki kroplówki, uprzednio dodawszy do nowego lek wprowadzający pacjenta w stan bliski paraliżu. Śmierdziel miał obecnie tak wątlą tkankę mięśniową, że sztuczny paraliż wydawał się zbędny, ale Corky niczego nie pozostawiał przypadkowi.

Jak na ironię, by właściwie służyć chaosowi, musiał być dobrze zorganizowany. Musiał opracować strategię i starannie zaplanować taktykę. Bez strategii i taktyki nie byłby prawdziwym agentem chaosu. Byłby zwykłym Jeffreyem Dahmerem czy jakąś szurniętą kobieciną, która trzyma w domu sto kotów, a na podwórku – góry śmieci. Pewnie nawet można by go uznać za obecnego gubernatora Kalifornii.

Pięć lat temu nauczył się robić zastrzyki, zakładać kroplówkę,

obsługiwać ją, zakładać cewnik mężczyźnie i kobiecie. .. Później trafiło mu się parę okazji – tak jak w przypadku Serowego Śmierdziela – do przećwiczenia tych umiejętności. W rezultacie nauczył się używać tych urządzeń ze sprawnością, która obudziłaby podziw każdej pielęgniarki.

Powiedzmy szczerze, wszystkiego nauczyła go właśnie pielęgniarka, Mary Noone. Miała twarz „Madonny” Botticellego i oczy łasicy.

Poznał ją na uniwersyteckim przyjęciu, poświęconym zwolennikom utylitaryzmu bioetycznego. Utylitaryści uważają, że życie każdego człowieka ma określoną wartość dla społeczeństwa, a pomocy medycznej należy udzielać w zależności od tej właśnie wartości. Filozofia ta udzielała zezwolenia na zabijanie – przez zaniechanie – inwalidów, dzieci z zespołem Downa, ludzi po sześćdziesiątce, jeśli ich choroby wymagają kosztownego leczenia, na przykład dializowania czy baj pasów, a także wielu innych.

Przyjęcie było wesołe i dowcipne – a między nim i Mary Noone zaiskrzyło od pierwszego spojrzenia. Kiedy ich sobie przedstawiono, oboje pili cabernet sauvignon. Przy drugiej lampce o władnęło nimi pożądanie.

Wiele tygodni później, kiedy poprosił Mary, żeby nauczyła go robienia zastrzyków i zakładania kroplówek, wyjawiał poważnie, że jego matka gwałtownie podupada na zdrowiu.

– Boję się tego dnia, kiedy nie będzie mogła już wstawać, ale wolę sam się nią zająć niż zostawić ją obcym w domu opieki.

Mary powiedziała mu, że jest wspaniałym synem, a on udał, że przyjmuje komplement ze skromnością, co przyszło mu łatwo, bo kłamał zarówno w sprawie zdrowia matki, jak i własnych zamiarów. Stara suka była czerstwa jak Matuzalem na sześćset lat przed zejściem, a Corky zastanawiał się, czy wstrzyknąć jej w nocy jakąś truciznę.

Był prawie pewien, że Mary go o to podejrzewa. Mimo to nauczyła go wszystkiego, czego chciał.

Początkowo sądził, że uczy go tak chętnie, bo jest na niego napalona. Drapieżne koty w rui nie kopulują tak często i gwałtownie, jak Mary Noone i Corky w czasie swojej krótkiej znajomości. W końcu zdał sobie sprawę, że Mary zorientowała się w jego prawdziwych zamiarach i nie potępia ich. Co więcej, zaczął podejrzewać, że Mary jest samozwańczym Aniołem Śmierci i działając zgodnie z zasadami bioetyki utylitarnej, po cichu zabija pacjentów, których życie nie ma wielkiej wagi czy nie jest przydatne dla społeczeństwa.

W tych okolicznościach nie odważył się na dalszy romans. Wcześniej czy później Mary trafi do aresztu i pod sąd, jak zwykle podobne do niej anioły. Wówczas policja zajmie się nim, tylko dlatego, że jest jej kochankiem, a to by stanowiło zagrożenie dla dzieła jego życia, a być może także wolności.

Poza tym po trzech miesiącach zaczął się czuć nieswojo w łóżku z Mary Noone. Jako kochanek mógł spełniać jej wymagania, ale nie wiedział, na ile wycenia ona jego przydatność dla społeczeństwa.

Ku swemu zaskoczeniu, kiedy ostrożnie poruszył kwestię przyjaznego rozstania, Mary zareagowała z ulgą. Widać ona także nie sypiała zbyt dobrze.

Z czasem postanowił nie zabijać matki przez wstrzyknięcie trucizny, ale nauka nie poszła w las. Później spotkał Mary tylko dwa razy, zawsze na przyjęciach bioetyków. Ciągłe czuli to dawne przyciąganie, ale również nieufność.

Zabiegi wokół Serowego Śmierdziela zakończył tak czule i skutecznie, że Mary Noone byłaby z pewnością pod wrażeniem. Lek paraliżujący obezwładni go, nie wprowadzając w odmienny stan świadomości. Śmierdziel zachowa pełną sprawność umysłową, by mógł przez cały dzień rozpaczać nad śmiercią żony i córki.

- Teraz muszę się pozbyć ciał Rachel i Emily – skłamał Corky z brawurą, która przyjemnie go zaskoczyła. – Nakarmiłbym świnie ich szczątkami, gdybym wiedział, gdzie znaleźć farmę świńską.

Przypomniawszy sobie, że gazety pisały niedawno o młodej blondynce, której zwłoki wrzucono do kanału. Zapożyczył szczegóły z tamtej historii i uraczył Śmierdziela opowieścią o szambie, w którym zostaną pochowane jego ukochane.

A Śmierdziel wciąż nie chciał dostać zawału.

Dziś wieczorem, kiedy Corky wróci tu z Aelfrikiem Manheimem, pokaże mu te wynędzniałe ludzkie szczątki, żeby przygotować go na okropieństwa, które go tu czekają. Udręki Aelfrica będą nieco inne od tych, którym został poddany arogancki niegdyś miłośnik Dickensa, Dickinson, Tołstoja i Twaina. Jeśli stary uparty nudziarz nie umrze dziś na zawał, Corky zabije go przed północą.

Zostawiwszy Śmierdziela dziwnym myślom, jakie w tych okolicznościach mogą zajmować umysł tradycjonalisty, Corky wdział doskonale wyposażony żółty płaszcz przeciwdeszczowy, zamknął dom na klucz i ruszył w bmw na podbój tego grudniowego dnia.

Nad miastem szalała już nowa burza. Wielkie smoki czarnych chmur kłębiły się aż po horyzont, splątawszy się w jedną kolosalną masę pełną pomruków i czekającego białego ognia, który lada chwila może bluznąć na zewnątrz.

Na razie siąpiło jakby od niechcienia, ale z pewnością za chwilę luną kaskady deszczu, pionowe rzeki, strumienie, niagary – istny potop.

Fric, strzeżony przez anioły na choince i nieznaną ładną panią z fotografii, obudził się z nietkniętym ciałem i duszą.

Na środku sufitu kopuła z wyrafinowanych witraży rozjaśniła się blaskiem świtu, ale kolory pozostawały jeszcze przygaszone, ponieważ światło był blade i szare.

Fric przez chwilę przyglądał się zdjęciu swojej wymarzonej matki, złożył je i schował do tylnej kieszeni dżinsów. Wstał, ziewnął, przeciągnął się. Parę chwil poświęcił na dziwienie się faktowi, że jeszcze żyje. Wyjął krzesło spod klamki łazienki. Ale nie wszedł do niej. Za dużo luster.

Rozejrzał się szybko, żeby się upewnić, że nikt go nie podgląda i nasiusił do donicy z palmą, którą zaczął dręczyć już wczoraj. Jemu zrobiło się lepiej, palmie – nie.

Nie sądził, żeby w domu była jakaś łazienka bez luster.

Ta niekonwencjonalna metoda na razie się sprawdzała, ale tylko dopóki nie przyjdzie moment, żeby załatwić potrzebę na siedząco. Wtedy pojawi się problem.

Gdyby deszcz wreszcie ustał – a nawet gdyby nie – mógłby się wypuścić do grupy cedrów za różanym ogrodem. Strażnicy zobaczą, jak wchodzi pomiędzy drzewa i wychodzi stamtąd. Na szczęście w zagajniku nie ma żadnych kamer.

Jeśli ktoś go spyta, po co chodzi po deszczu, odpowie bez wahania, że obserwuje ptaki. Musi pamiętać, żeby dla niepoznaki zabrać ze sobą latarkę. Wszyscy mu uwierzą. Ludzie po prostu się spodziewają, że taki słabeusz będzie obserwatorem ptaków, geniuszem matematycznym, budowniczym plastikowych potworów, potajemnym wielbicielem pism kulturystycznych i kolekcjonerem

własnych smarków. Między innymi.

Opracowawszy strategię toaletową, włączył telefon w bibliotece. Spodziewał się, że aparat natychmiast się rozdzwoni, ale tak się nie stało.

Odciągnął fotel od choinki i ustawił na miejscu. Wyłączył światła i wyszedł z biblioteki. Kiedy zamykał drzwi, jeden z aniołów na choince zakolysał się lekko w mroku i zalśnił w promieniach padających przez szklaną kopułę.

Moloch nadchodzi.

Należy się zająć przygotowaniami.

Zszedł głównymi schodami do kuchni. Po drodze gasił światła, które wczoraj zostawił zapalone. Poranna cisza w tym wielkim domu wydawała się jeszcze bardziej głucha niż cisza w nocy. Fric poczuł się idealną ofiarą dla duchów wszelkiej maści.

Przechodząc koło okna w kuchni, zauważył, że deszcz stracił impet. W oddali dostrzegł cedrowy zagajnik, ale na razie nie czuł potrzeby obserwowania ptaków.

Na ogół, gdy diaboliczny pan Hachette był w pracy, Fric omijał kuchnię szerokim łukiem. Tu znajdowała się kryjówka bestii, tu liczne piece mimo woli kojarzyły się z Jasiem i Małgosią, tu nie można było zapomnieć, że wałek może być śmiercionośną maczugą, a na nożach i tasakach mimo woli szukało się wzrokiem napisu „Własność hotelu Batesa”.

Ale dziś terytorium było bezpieczne, ponieważ pan Hachette – absolwent najlepszych szkół kulinarnych i równie ekskluzywnych domów wariatów – nie powinien się dziś zjawić, by przygotować śniadanie dla rodziny czy personelu. Zwykle zaczynał dzień od wizyty na rynku i w specjalistycznych sklepach, wybierając i zamawiając owoce, warzywa, mięsa i inne przysmaki, a także niewątpliwie trucizny na przyjęcia, które przyrządzał potajemnie.

Pan Hachette miał się znaleźć w Palazzo Rospo dopiero przed południem.

Fric, choć niski, zdołał jednak dosięgnąć kurków nad zlewem. Woda była przyjemnie ciepła.

Gdyby w kuchni wisiało lustro, nie ośmieliłby się tu myć. Myjący się człowiek jest bezbronny.

Sześć lodówek i liczne piecyki miały wykończenia z matowego metalu. Nie mogły posłużyć jako lustra, nie nadawały się jako środek transportu dla dobrych czy złych duchów.

Fric zdjął koszulę i podkoszulek, ale nic więcej. Nie był ekshibicjonistą. A nawet gdyby był, kuchnia nie nadawała się do obnażania.

Umył się papierowymi ręcznikami i cytrynową mazią z butelki przy zlewie, szczególną uwagę poświęcając pachom. Wytarł się do sucha.

Dopiero gdy wyłączył wodę i skończył wycierać pierś, usłyszał czyjeś kroki. Nie dochodziły z korytarza, lecz od strony pomieszczenia, w którym znajdowała się porcelana, kryształ i srebrne sztuce. Chwycił koszulę i podkoszulek i na czworakach, jak najszybciej, popelzł w stronę najbliższego z trzech granitowych blatów roboczych.

Na najbliższym stały frytkownicy i patelnia tak wielka, że można by na niej usmażyć dwa tuziny placków jednocześnie, a powierzchnia samego blatu miała co najmniej akr. Gdyby morderczo uśmiechnięty pan Hachette znalazł tu Frica, obdarłby go ze skóry, wypatroszył, usmażył we frytkownicy i zjadł, nie budząc słodko śpiących domowników.

Fric odważył się zerknąć zza blatu i ujrzał nie pana Hachette'a, lecz panią McBee.

Był zgubiony.

Pani McBee była już gotowa do wyjazdu do Santa Barbara. Przeszła przez kuchnię do swojego gabinetu, weszła do środka i zostawiła drzwi otwarte.

Na pewno poczuje jego zapach. Poczuje Frica, usłyszy, jakoś odkryje. Zauważy kropelki wody w zlewie, otworzy kosz i zobaczy mokre ręczniki, po czym natychmiast zrozumie, co się stało i gdzie go szukać. Pani McBee widzi wszystko.

Ona go nie obedrze ze skóry ani nie usmaży, bo jest osobą dobrą i z gruntu ludzką. Za to wypyta go, dlaczego rozebrał się w kuchni, umył i wygląda jak głupi kot z piórkiem kanarka w pyszczku.

Ponieważ pani McBee jest pracownicą Ojca Ducha, Fric mógłby założyć, że także on jest jej pracodawcą i nie musi odpowiadać na jej pytania. Ale gdyby uciekł się do tego rozumowania, znalazłby się w głębokim *merde*, jak powiedziałby straszliwy pan Hachette. Pani McBee wiedziała, że występuje *in loco parentis* i choć ten przywilej jej nie zachwycał, traktowała go poważnie.

Niezależnie od tego, czy Fric wymyśli jakąś bajeczkę, czy też będzie się usiłował wykręcić niepełną prawdą, pani McBee przejrzy go na wylot i intuicyjnie dowie się o wszystkim, co chodziło mu po głowie co najmniej od chwili, gdy się dziś obudził. Dwadzieścia sekund później, trzymany przez nią mocno za ucho, znajdzie się przed nieszczęsną palmą w bibliotece, pocąc się jak najgorszy kryminalista i tłumacząc, dlaczego usiłował zamordować biedną roślinę.

Zaraz potem pani McBee wydusiłaby z niego całą historię, od Molocha po telefon z piekła. I wtedy już nie będzie odwrotu. Nawet pani McBee, ze swoją przerażającą zdolnością rozszyfrowywania każdego kłamstwa i wykrętu, w tym wypadku nie uwierzy w ani jedno jego słowo. Ta historia po prostu była niewiarygodna. Fric robi z siebie większego świra niż ci z branży filmowej, którzy od sześciu lat zadziwiali panią McBee swoimi wygłupami.

Fric nie chciał, żeby pani McBee się na nim zawiodła albo żeby uznała go za chorego psychicznie. Zależało mu, żeby o nim dobrze myślała. Poza tym im dłużej się nad tym zastanawiał, tym wyraźniej zdawał sobie sprawę, że jeśli komuś powie o swoich rozmowach z przenoszącym się poprzez lustra aniołem stróżem, natychmiast zostanie doprowadzony na terapię grupową. Grupę będzie stanowić sześciu psychiatrów, a on będzie jedynym pacjentem.

Ojciec Duch był zafascynowany psychiatrią niemal tak, jak parapsychologią.

Pani McBee wyszła z gabinetu, zamknęła drzwi i rozejrzała się po kuchni.

Fric schował się za blatem z frytkownicami. Wstrzymał oddech. Żałował, że nie potrafi zacisnąć porów skóry, by nie wydzielać zapachu.

W porównaniu ze strychem kuchnia nie stanowiła takiego labiryntu, choć stało w niej nie tylko sześć dużych lodówek, ale także dwie zamrażarki, więcej pieców niż w piekarni, trzy stanowiska z co najmniej dwudziestoma palnikami gazowymi, stanowisko z czterema zlewami i czterema zmywarkami, trzy blaty, parę pomniejszych stolików i od cholery innego wyposażenia. W kuchni mogłoby się pomieścić czterdziestu pomocników dostawcy wraz z panem Hachette'em i personelem, i nie byłoby tłumu. Podczas przyjęć przygotowywano tu do trzystu posiłków. Fric widział to wiele razy i zawsze był pod wrażeniem.

Gdyby dwie lub trzy osoby – ale zwyczajne – zaczęły go szukać w kuchni, Fric mógłby im się wymknąć. Pani McBee była jednak nadzwyczajna.

Wstrzymał oddech, bo wydało mu się, że pani McBee węszyć niczym czarownica, wyczulona na zapach dzieci. Dobrze, że nie zapalił światła, choć pani McBee na pewno poczuła zapach świeżej wody.

Kroki.

Omal nie zerwał się na równe nogi, zdradzając swoją obecność, co i tak wydawało mu się lepsze niż czajenie się tu jak jakiś kryminalista, goły do pasa i wyraźnie coś knujący.

Potem zdał sobie sprawę, że kroki cichną.

Drzwi się zamknęły.

Zrobiło się cicho.

Fric, oszołomiony i dziwnie rozczarowany, że pani McBee nie jest nieomylna, znowu odetchnął.

Po chwili podkradł się do drzwi, które odrobinę uchylił. Stał, nasłuchując.

Usłyszał daleki szum windy i zrozumiał, że państwo McBee zjeżdżają do garażu. Zaraz wyruszą do Santa Barbara.

Odczekał jeszcze parę minut, po czym powędrował do pralni w pobliskim zachodnim skrzydle, gdzie znajdował się także apartament państwa McBee.

Kuchnia była gigantyczna. Pralnia tylko wielka.

Lubił zapach tego pomieszczenia. Detergent, wybielacz, krochmal, woń rozgrzanej żelazkiem bawełny...

Z radością włożyłby to samo ubranie co wczoraj, ale bał się, że pan Truman to zauważy i spyta go o wyjaśnienie.

Pani McBee zauważyłaby to od razu. Spytałaby go, dlaczego tak się zaniedbuje. Nikt nie jest bardziej spostrzegawczy od niej. Ale pan Truman był przecież policjantem, toteż musiałby zauważyć wczorajsze, brudne i pomięte ubranie.

Całkiem możliwe, że w pokojach Frica czeka coś strasznego i wyjątkowo oślizłego, ale nie miał zamiaru tego sprawdzać. Nie wróci do siebie, żeby się przebrać.

Dniem prania był poniedziałek. Pani Carstairs, jedna z pokojówek, a tak naprawdę praczka, na ten dzień zamykała się w pralni. Następnego dnia dołączała do reszty personelu.

Fric znalazł wyprasowane niebieskie dżinsy, spodnie i koszule na wózku podobnym do tego, na jakim hotelowi boye wożą bagaż i pokrowce na garnitury. Jego bielizna i skarpetki leżały złożone pod wiszącymi ubraniami.

Rozebrał się, czerwony ze wstydu, czując się jak prawdziwy zboczeniec. Przebrał się w świeżą bieliznę, dżinsy i flanelową koszulę w niebieską i zieloną kratę, którą można było nosić na spodnie.

Przełożył portfel ze złożonym zdjęciem z brudnych dżinsów, gdyż wrzucił je do kosza pod szybem, przez który zrzucano rzeczy z pierwszego i drugiego piętra.

Ośmielony sukcesem, jakim było skorzystanie z toalety, umycie się i przebranie w warunkach bojowych, wrócił do kuchni.

Zajrzał do niej ostrożnie. Spodziewał się, że w środku czeka na niego pani McBee. „Chłopcze, naprawdę myślałeś, że tak łatwo mnie oszukasz?”

Pani McBee nie było.

Wyjął ze składziku mały metalowy wózek o dwóch półkach. Ruszył z nim wzdłuż kuchni, ładując na niego rzeczy, których będzie potrzebować w kryjówce. Zastanowił się, czy zabrać sześciopak coli, ale ciepła nie była dobra. Dlatego zdecydował się na cztery butelki dietetycznej oranżady, przepysznej nawet w temperaturze pokojowej, a także sześć butelek wody.

Położył na wózku jabłka i precle, po czym zdał sobie sprawę, że właśnie popełnił błąd. Miał się ukrywać przed psychopatycznym zabójcą o zmysłach wyostrzonych niczym zmysły pantery. Wszystkie chrupiące artykuły żywnościowe były pomysłem równie chybionym jak śpiewanie w kryjówce kołęd dla zabicia czasu.

Wymienił jabłka i precelki na banany, pudełko paczków w czekoladzie i kilka batoników muesli.

Dorzucił hermetycznie zamykaną foliową torbę na skórki. Zostawione samym sobie zaczęłyby wydawać intensywny bananowy zapach. W filmach każdy seryjny morderca ma węch czulszy niż wilk. Bananowe skórki mogą ściągnąć na Frica nieszczęście.

Rolka papierowych ręczników. Kilka wilgotnych chusteczek kosmetycznych. Nawet w kryjówce należy dbać o higienę.

Z szafki pełnej plastikowych pojemników wziął parę dużych słoików z zakrętkami. Zastąpią palmę.

Pan Hachette, człowiek niezrównoważony, wyposażył kuchnię w tyle noży, jak gdyby cały personel kuchenny miał zacząć ćwiczyć rzucanie nimi do celu. W trzech stojakach i czterech szufladach znajdowało się dość białej broni, by uzbroić całą populację kokosowych potentatów z Tuvalu.

Fric wybrał nóż rzeźnicki. W jego rękach wydawał się wielki jak maczeta – przerażający, ale nieporęczny.

W takim razie wybrał mniejszy, za to zgrabny nóż o dziesięciocentymetrowym ostrzu, drapieźnie wygiętym czubku, ostry, że mógłby przeciąć włos na pół. Na myśl, że trzeba będzie nim kogoś skaleczyć, Fricowi zrobiło się niedobrze.

Położył nóż na niższej półce wózka, pod serwetką.

Przez jakiś czas nie potrafił wymyślić, co jeszcze powinien zabrać z kuchni. Pan Hachette – w tej chwili pewnie robi zakupy, a być może także zrzuca skórę, spod której wyłoni się nowa, zielona, z łuskami – nie powinien siejesz – cze długo pojawić w Palazzo Rospo, ale Fric miał ochotę jak najszybciej uciec z jego królestwa.

Nie mógł wyjechać stąd windą służbową, ponieważ znajdowała się ona w zachodnim skrzydle, niedaleko apartamentu pana Trumana. Fric miał nadzieję, że uda mu się z nim nie spotkać.

Winda ogólna, we wschodnim krańcu północnego korytarza, będzie bezpieczniejsza.

Spiesząc się jak typowy winowajca, wypchnął wózek przez wahadłowe drzwi na korytarz, skręcił w prawo i omal nie przejechał pana Trumana.

– Wcześniej dziś wstałeś.

– Hm, mam dużo roboty, prawda, hm – wymamrotał Fric i natychmiast skłął się w duchu za to, że gada jak podstępny, bardzo roztargniony i coś ukrywający hobbit.

– Co to? – spytał pan Truman, wskazując rzeczy na wózku.

– A... to. To do mojego pokoju, to potrzebne, prawda, do mojego pokoju. – *Idiota, żaloszny idiota.* – Picie, przekąski i tak dalej – dodał i zapragnął palnąć się w głowę.

– Przez ciebie któraś pokojówka straci pracę.

– Ojej, tego bym nie chciał. – Zamknij się, zamknij się, zamknij się! – pomyślał, ale nie potrafił się powstrzymać i dodał: – Lubię pokojówki.

– Wszystko w porządku?

– Jasne. U mnie wszystko. A u pana?

Pan Truman zamyślił się, marszcząc brwi.

– Chciałbym z tobą zamienić parę słów o tych telefonach.

– Jakich telefonach? – spytał Fric, gratulując sobie, że ukrył nóż pod serwetką.

– Od zboczeńca.

– Aha. Tak. Od zboczeńca.

– Na pewno nic do ciebie nie mówił?

– Tylko dyszał. Tak sobie dyszał.

- Dziwne, że komputer nie zarejestrował tych telefonów.

Oczywiście teraz Fric już wiedział, że były to telefony od obdarzonej nadprzyrodzonymi mocami istoty przechodzącej przez lustro, dlatego nawet nie powinny być zarejestrowane w komputerze. Nie dziwiło go też, dlaczego wczoraj pan Truman nie przejął połączenia z jego linii, choć telefon dzwonił i dzwonił. Tajemniczy Rozmówca zawsze wiedział, gdzie znajduje się Fric – w pokoju z pociągami, piwnicy z winem, w bibliotece – i dzięki swoim niezwykłym mocom i jedynie idei telefonu kazał aparatom dzwonić nie w całym domu, lecz tam gdzie Fric mógł je usłyszeć.

Fric bardzo chciał wyjaśnić tę wariacką sytuację panu Trumanowi i wyjawić mu wszystkie dziwaczne wydarzenia poprzedniego wieczoru. Nawet zaczął zbierać się na odwagę, żeby to zrobić, ale nagle pomyślał o sześciu psychiatrach, którzy z radością zbijają majątek, trzymając go w nieskończoność na kanapie i rozmawiając o tym, jakim stresem jest bycie jedynym dzieckiem największego gwiazdora świata – i będą to robić tak długo, aż pęknie na strzepy albo ucieknie w góry Montany.

- Nie zrozum mnie źle. Nie twierdzę, że to zmyśliłeś. Szczerze mówiąc, wiem, że mówiłeś prawdę.

Ręce Frica, mocno zaciśnięte na rączce wózka, nagle zwilgotniały. Wytarł je o spodnie – i zdał sobie sprawę, że nie powinien tego robić. Pewnie każdy podstępny kryminalista zaczyna się pocić w obecności policjanta.

- Wiem – ciągnął pan Truman – bo wczoraj ktoś zadzwonił na moją prywatną linię i komputer nie zarejestrował także tego połączenia.

Zaskoczony Fric przestał wycierać ręce.

- Zboczeniec do pana zadzwonił?

- Nie, chyba nie. Ktoś inny.

- Kto?

- Pewnie pomyłka.

Fric spojrzał na ręce szefa ochrony. Nie potrafił dostrzec, czy też się poca.

- Najwyraźniej program jest wadliwy – dodał pan Truman.

- Chyba że dzwonił duch – palnął Fric.

Przez twarz pana Trumana przemknęła bardzo dziwna mina.

- Duch? Dlaczego tak powiedziałeś?

Fric, bliski wypapłania wszystkiego, przypomniał sobie, że jego matka była kiedyś w wariatkowie. Tylko przez dziesięć dni i za nikim nie biegała z siekierą ani nic w tym stylu. Ale gdyby teraz on zaczął głądzić o tym, co mu się przydarzyło, pan Truman pewnie by sobie przypomniał o przelotnym występie Freddie Nielander na wybiegu domu wariatów. I pomyślałby: Jaka matka, taki syn. Oczywiście natychmiast skontaktowałby się z największym gwiazdorem świata, obecnie przebywającym na planie na Florydzie. A Ojciec Duch wysłałby psychiatryczny oddział do działań specjalnych.

- Fric – nalegał pan Truman. – Jak to duch?

- No, wie pan – zaczął bełkotać Fric – mój ojciec ma specjalny telefon do rozmów z duchami. Może jeden się pomylił i zadzwonił do pana.

Pan Truman patrzył na niego długo, jakby się zastanawiał, czy Fric może być tak głupi, jakiego udaje.

Fric, nieobdarzony takim talentem aktorskim jak jego ojciec, zrozumiał, że długo nie wytrzyma tego przesłuchania. Tak się denerwował, że za chwilę będzie musiał skorzystać z jednego z tych plastikowych słoików.

- Hm, no tak, muszę lecieć, jestem zajęty, zajęty w pokoju, hm
- wymamrotał, znowu jak lekko upośledzony umysłowo kuzyn z

klanu hobbitów.

Wyminął pana Trumana i pchnął wózek dalej. Nie obejrzał się.

Nad szpitalem Matki Boskiej od Aniołów paliło się złote światełko. W szarej mgle wysoko nad kopułą, na szczycie masztu radiowego migotała czerwona lampka ostrzegawcza, jakby burza była żywym stworzeniem o czerwonym, złośliwym ślepiu.

W windzie, wjeżdżając z garażu na czwarte piętro, Ethan słuchał bogatej orkiestrowej wersji klasycznego przeboju Elvise Costello, zarżniętego przez smyczki i angielskie rożki. Ta mała kabinka, kursująca po piętrach przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, była ruchomym przedpiekłem.

Pokój lekarzy na czwartym piętrze, do którego go skierowano telefonicznie, był ponurą kłitką bez okien z paroma stołami o laminatowych blatach na środku. Służące jako krzesła obiekty z pomarańczowego plastiku nie zasługiwały na swoje miano, tak jak ten pokój nie zasługiwał na wspaniałe brzmiącą nazwę wywieszoną na jego drzwiach.

Ethan zjawił się pięć minut przed czasem, najpierw więc nakarmił automat monetami i wybrał czarną kawę. Po pierwszym łyku wiedział już, jak musi smakować śmierć, ale wypił wszystko do końca, ponieważ spał najwyżej pięć godzin i potrzebował dodatkowego napędu.

Doktor Kevin O'Brien przybył punktualnie. Miał jakieś czterdzieści pięć lat, był przystojny i miał tę lekko udręczoną, nerwową, choć opanowaną minę kogoś, kto dwie trzecie życia poświęca medycynie tylko po to, by biurokracja i chciwi prawnicy codziennie degradowali jego profesję. Oczywiście miał lekko zmrużone, często oblizywał wargi, a stres nadał jego skórze lekko szary odcień. Na nieszczęście dla swojego spokoju ducha robił wrażenie dobrego człowieka, który nie potrafi sobie dłużej wmawiać, że nie stoi na

grzęzawisku.

Doktor O'Brien nie był lekarzem Duncana Whistlera, ale miał dyżur w chwili, gdy Dunny pożegnał się z tym światem. To on go reanimował i on wreszcie ogłosił koniec heroicznego wysiłku. On także podpisał akt zgonu.

Przyniósł ze sobą kompletne akta choroby w trzech pękach teczek. W trakcie rozmowy stopniowo rozkładał ich zawartość na stole.

Usiedli obok siebie na pomarańczowych rzekomych krzesłach, by lepiej móc oglądać dokumenty.

Śpiączka Dunny'ego była następstwem przewlekłego niedotlenienia mózgu. W rezultacie wydruki EEG oraz badania mózgu – angiografia, tomografia, rezonans magnetyczny – dowiodły, że gdyby Dunny odzyskał przytomność, byłby poważnie upośledzony.

– Nawet pacjenci w najgłębszej śpiączce – wyjaśnił O'Brien – który nie wykazują żadnej wyraźnej aktywności mózgu, na ogół wykazują tyle aktywności pnia mózgu, że mają pewne reakcje automatyczne. Oddychają samodzielnie. Od czasu do czasu kaszlą, mrugają albo nawet ziewają.

Prawie przez cały pobyt w szpitalu Dunny oddychał o własnych siłach. Dopiero trzy dni temu w związku z zamierającymi funkcjami życiowymi podłączono go do respiratora.

W pierwszych tygodniach pobytu w szpitalu, choć pogrążony w głębokiej śpiączce, parę razy kaszlnął, kichnął, ziewnął, mrugnął. Od czasu do czasu nawet wodził za kimś oczami.

Stopniowo te reakcje stawały się coraz rzadsze, aż w ogóle zanikły. Oznaczało to ograniczenie funkcji dolnego pnia mózgu.

Wczoraj rano stanęło serce Dunny'ego. Dzięki defibrylatorowi i zastrzykom z epinefryny znowu ruszyło, ale na krótko.

- Pień mózgu zawiaduje funkcjami układu krążenia – wyjaśnił doktor O'Brien. – Było jasne, że serce stanęło z powodu ustania funkcji pnia mózgu. Takie uszkodzenia są nieodwracalnie. Po nich nieodmiennie następuje zgon.

W podobnych wypadkach pacjent nie powinien być podłączony do maszyny podtrzymującej krążenie i oddychanie – chyba że na wyraźne życzenie rodziny. Taka rodzina musiałaby mieć środki na opłacenie kosztu używania całej maszynerii, ponieważ towarzystwa ubezpieczeniowe nie uwzględniają takich rozwiązań ze względu na fakt, że pacjent nie może już odzyskać przytomności.

- W przypadku pana Whistlera był pan jego pełnomocnikiem – powiedział O'Brien.

- Tak.

- Jakiś czas temu podpisał pan dokument, w którym stwierdza się, że do podtrzymywania życia pana Whistlera nie będzie się używać niczego poza respiratorem.

- Tak jest. I nie mam zamiaru pozywać was do sądu.

Ta szczerza wypowiedź nie sprawiła O'Brienowi radości. Najwyraźniej uważał, że choć od strony medycznej nie ma sobie nic do zarzucenia, prawnicy i tak zdołają się do czegoś przyczepić.

- Doktorze, ten wypadek ze zwłokami Dunny'ego w kostnicy nie ma z panem nic wspólnego.

- Ale jestem nie mniej zaniepokojony od pana. Rozmawiałem o tym dwa razy z policją. Jestem... zaskoczony.

- Chciałbym tylko powiedzieć, że nie mam pretensji także do pracowników kostnicy.

- To dobrzy ludzie.

- Na pewno. To, co się stało, nie jest winą szpitala. Można to wytłumaczyć... niezwykłym zjawiskiem.

Lekarz ośmielił się na odrobinę nadziei, która lekko zabarwiła jego twarz.

– Niezwykłym? Jakim?

– Tego nie wiem. Ale przez ostatnią dobę spotkało mnie sporo zadziwiających rzeczy, które są w pewien sposób związane z Dunny. Chciałem dziś z panem porozmawiać...

– Tak?

Ethan wstał, zastanawiając się nad doborem odpowiednich słów. Nie było to łatwe po trzydziestu siedmiu latach polegania wyłącznie na rozsądku i racjonalizmie.

Pożałował, że w pomieszczeniu nie ma okna. Gdyby przez nie wyjrzał, nie musiałby patrzeć na O'Briena, zadając mu to pytanie.

– Doktorze, nie był pan lekarzem prowadzącym Dunny'ego...

Przemowa ze wzrokiem wbitym chmurnie w maszynę z batonami wydała mu się nieco ekscentryczna.

– ... ale go pan leczył.

O'Brien siedział w milczeniu.

Ethan dopił kawę i zmiął w pięści kubek.

– A po tym, co się wydarzyło wczoraj, zna pan jego akta pewnie lepiej niż ktokolwiek.

– Na wylot – potwierdził O'Brien.

Ethan zaniósł kubek do kosza.

– Czy jest w nich coś niezwykłego?

– Nie znalazłem żadnej błędnej decyzji w diagnozie, leczeniu czy protokole sporządzania aktu zgonu.

– Nie o to pytam. – Wyrzucił zmięty kubek do kosza i zaczął krażyć po pokoju ze wzrokiem wbitym w ziemię. – Zapewniam,

jestem przekonany, że szpital nie popełnił tu żadnego błędu. Kiedy mówię „niezwykły” mam na myśli... dziwny, nadprzyrodzony.

– Nadprzyrodzony?

– Tak. Nie potrafię tego inaczej określić.

Doktor O'Brien milczał tak długo, że Ethan przestał krążyć i oderwał wzrok od podłogi.

Lekarz zagryzł dolną wargę, spoglądając na sterty dokumentów.

– Więc jednak! – odgadł Ethan. Wrócił do stołu i usiadł na pomarańczowym narzędziu tortur. – Więc jednak było coś nadprzyrodzonego.

– W tych aktach. Nie powiedziałem o tym, bo to nie ma znaczenia.

– Co?

– Mogła to być oznaka, że pacjent na chwilę wyszedł ze śpiączki, ale tak się nie stało. Niektórzy uważali, że była to awaria maszyny, ale to też nieprawda.

– Awaria? Jakiej maszyny?

– EEG.

– Aparatu monitorującego fale mózgowe.

O'Brien mocniej zagryzł wargę.

– Doktorze...

Lekarz spojrzał Ethanowi w oczy. Westchnął i wstał.

– Lepiej niech to pan zobaczy.

51

Corky zaparkował na innej ulicy i przeszedł dwie przecznice w zimnym deszczu do domu trzyokiego świra.

Ten wiatr, zimniejszy od poniedziałkowego, strącał co słabsze liście palmowe, toczył puste plastikowe kubły na śmieci po ulicy, zerwał markizę znad wystawy i głośno łopotał ciemnozielonym płótnem.

Mitry siekły giętkimi gałęziami, jakby usiłowały się zachłostać na śmierć. Sosny sypały suchymi igłami, które jeżyły się w powietrzu i kłuły na oślep. Corky minął martwego szczura, kołyszącego się w ścieku. Mały łepiek obrócił się w jego stronę, ukazując jeden pusty ciemny oczodół i jedno mlecze oko.

Na widok tego wspaniałego i pięknego spektaklu pożałował, że nie ma czasu na wzięcie udziału w święcie chaosu, na rozsianie nieco zamętu. Zachciało mu się zatruć parę drzew, napchać skrzynki nienawistnymi przekazami, rozsypać gwoździe pod opony zaparkowanych samochodów, podpalić jakiś dom...

Ale miał przed sobą dzień wypełniony innymi obowiązkami. W poniedziałek był łobuziakiem, małym nihilistycznym chochlikiem, lecz dziś stał się poważnym żołnierzem anarchii.

Domy w sąsiedztwie stanowiły eklektyczną zbieraninę niewielkich budyneków z wysokimi frontowymi gankami i klasycznych parterowych kalifornijskich bungalów, czerpiących zapożyczenia z wielu stylów architektonicznych. Były wypieszczone, otoczone podjazdami, płotkami, grządkami. Tymczasem bungalow trójokiego świra stał na wyschniętym trawniku, otoczony zapuszczonymi krzakami, na końcu betonowego, spękanego podjazdu. Pod dachem z meksykańskich kafelków zwisały resztki

dawno opuszczonych gniazd, a gipsowe ściany były pełne rys, pęknięć i obłazącej farby.

Ten dom wyglądał jakby mieszkał w nim troll, któremu znudziło się koczowanie pod mostami, ale brakuje mu narzędzi, wiedzy i przyzwoitości, by dbać o dom.

Corky wcisnął guzik dzwonka; usłyszał nie melodyjne tony, lecz suchy terkot zardzewiałego, zepsutego mechanizmu.

Bardzo mu się tu podobało.

Ponieważ zadzwonił wcześniej i obiecał pieniądze, trójki świr czekał przy drzwiach. Otworzył, kiedy gruzliczy charkot dzwonka brzmiał jeszcze w uszach Corky'ego. Szarpnął drzwi i stanął, wielki, z ogromnym brzuchem i bosymi stopami, w szarym dresie i podkoszulku z koncertu Megadeth.

– Wyglądasz jak słoik musztardy – powiedział Ned Hokenberry.

– Pada – zauważył Corky.

– Wyglądasz jak wrzód na dupie Godzilli.

– Jeśli martwisz się, że ci zamoczę dywan...

– E, temu dywanowi nie zaszkodzi nawet banda pijanych i rzygających skunksów.

Hokenberry odwrócił się i poczłapał do salonu. Corky wszedł do domu, zamykając za sobą drzwi.

Dywan wyglądał, jakby do niedawna leżał w oborze.

Gdyby pewnego dnia meble ze sklejki z tapicerką z poliestru w niebiesko-zielone paski zaczęły być popularne wśród kolekcjonerów i kustoszy, Hokenberry zbiłby fortunę. Dwa najbardziej efektowne elementy umeblowania w salonie stanowiły fotel z wbitym w poduchy rozgniecionym popcornem oraz telewizor o wielkim ekranie.

Małe okna były do połowy zasłonięte. Nigdzie nie paliły się

lampy, jedynym źródłem światła był ekran telewizora.

Corky'emu te ciemności nie przeszkadzały. Pomimo zamiłowania do chaosu miał nadzieję, że nigdy nie będzie oglądać wnętrza tego domu w pełnym świetle.

– Te ostatnie informacje się sprawdziły – powiedział Corky – i bardzo mi pomogły.

– Mówiłem ci, że znam ten dom lepiej niż ten aktorzyzna własnego fiuta.

Ned Hokenberry był strażnikiem w Palazzo Rospo, dopóki go nie zwolniono – z dużą odprawą – za zostawianie wiadomości na sekretarce zarezerwowanej dla zmarłych.

– Powiedziałeś, że mają nowego szefa ochrony. Nie mogę zagwarantować, że nie zmienił procedur – odezwał się Ned.

– Rozumiem.

– Masz te dwadzieścia tysięcy?

– Tutaj. – Corky wyjął prawą rękę z obszernego rękawa płaszcza i sięgnął do wewnętrznej kieszeni po paczkę pieniędzy, drugą ratę dla Hokenberry'ego.

Pomimo osłony wysokiego kołnierza i opadającego randa kapelusza na jego twarzy musiała się odmalować niezamierzona pogarda. Przekrwione oczy Hokenberry'ego zamglily się, a twarz jeszcze bardziej się zmarszczyła.

– Nie zawsze byłem takim wrakiem, wiesz? Kiedyś nie miałem tego brzucha. Golilem się codziennie, miałem czyste ubrania. Trawnik był zielony. Ten sukinsyn, który mnie wyrzucił, zrujnował mi życie.

– Myślałem, że dał ci dużą odprawę?

– Judaszowe srebrniki, teraz to rozumiem. W każdym razie nie starczyło mu odwagi, żeby mnie wyrzucić osobiście. Kazał to zrobić

temu swojemu obleśnemu guru.

– Mingowi du Lacowi?

– Właśnie. Ming zaprowadził mnie do ogrodu różanego, poczęstował herbata, a ja z uprzejmości ją wypilem, choć smakowała jak siki.

– Jesteś dżentelmenem.

– Siedzimy przy stoliku wśród róż, jest koronkowy obrus i ładna porcelana...

– Brzmi pięknie.

– A on mi gada, że muszę uporządkować swój duchowy dom. Zanudził mnie na śmierć, więc siedzę i myślę, że to jeszcze większy pojeb, niż sądziłem, i nagle po piętnastu minutach zdaję sobie sprawę, że wyleciałem z roboty! Gdyby mi to powiedział wyraźnie od samego początku, nie musiałbym pić tych szczyn.

– To musiała być trauma – powiedział Corky, udając współczucie.

– Żadna trauma, ty wypierdku. Za kogo ty mnie masz, jakiegoś pedała, co się posikał w gacie, bo ktoś na niego źle spojrział? To nie była trauma, tylko urok.

– Urok?

– Urok, przekleństwo, wudu, klątwa, złe oko – do wyboru, do koloru. Ten Ming du Lac ma spółkę z diabłem, padalec, i w tym różanym ogrodzie zrujnował mi życie na zawsze. Od tej pory to już tylko równia pochyła.

– Mnie się wydaje normalnym oszustem.

– Mówię ci, ten padalec to prawdziwy czarownik i rzucił na mnie klątwę.

Corky wyjął paczkę pieniędzy, ale cofnął je, kiedy zauroczony

wrak człowieka po nie sięgnął.

– Jeszcze jedno...

– Tylko mnie nie próbuj naciąć – ostrzegł Hokenberry, wielki jak góra i drażliwy.

– Dostaniesz swoje pieniądze – zapewnił go Corky. – Chciałbym tylko usłyszeć, jak to się stało, że masz trzecie oko.

Hokenberry miał dwoje własnych oczu, ale na szyi na łańcuszku nosił oko innej osoby.

– Już ci dwa razy opowiadałem.

– Chciałbym usłyszeć jeszcze raz. Bardzo dobrze opowiadasz. Aż dostaję dreszczy.

Hokenberry zmarszczył się tak, że stał się podobny do sharpeia. Zastanowił się nad sobą w nowej roli gawędziarza i uznał, że mu to pasuje.

– Dwadzieścia pięć lat temu zacząłem pracować jako ochroniarz rockowych kapel podczas tras. Oczywiście nie planowałem ani nie kierowałem. To nie moja broszka.

– Zawsze byłeś tylko siłą fizyczną – podpowiedział Corky.

– Zawsze byłem tylko siłą fizyczną do odstraszenia co gorszych popaprańców, totalnie zaćpanych i świrów. Robiłem trasy Rolling Stonesów, Megadeth, Metalliki, Van Halena, Alice Coopera, Meat Loafa, Pink Floydów...

– Queen, Kiss... – dodał Corky – ... nawet Michaela Jacksona, kiedy jeszcze był Michaelem Jacksonem.

– Michaela Jacksona, kiedy jeszcze był Michaelem Jacksonem, jeśli w ogóle był – zgodził się Hokenberry. – No i pojechałem na trzy tygodnie w trasę z... tego akurat nie pamiętam. Albo z Eaglesami, albo z Peaches i Herbem.

- Albo z Captain i Tennille.

- Albo. Jedno z trojga. Tłum świrował, każdemu odbijało, za bardzo im poszło w głowę.

- Czułeś, że mogą wpaść na scenę.

- Czułem, że mogą wpaść na scenę. Wystarczy jeden odmóżdżony idiota, który postanowi wskoczyć do zespołu i zaczyna się zadyma.

- Musiałeś być od niego szybszy – zachęcił go Corky.

- ... być szybszy, musiałem go położyć w tej samej chwili, kiedy się ruszy, bo inaczej pójdzie za nim dwieście innych świrów.

- Więc ten punk z niebieskimi włosami...

- Kto opowiada tę historię? – burknął Hokenberry. – Ty czyja?

- Ty. To twoja historia. Ależ ja ją uwielbiam.

Hokenberry splunął na dywan, by wyrazić, jak bardzo jest zdegustowany.

- Więc ten punk z niebieskimi włosami nagle jakoś się tak spiał, żeby wskoczyć na scenę, dopaść Peaches i Herba...

- Albo Captaina...

- Albo Tennille. No to skaczę na niego, a ten mały pojeb pokazuje mi palec, co daje mi gwarantowane prawo, żeby go palnąć.

- Hokenberry uniósł piączę wielkości bochna. – Więc dałem mu w pysk Bullwinkle'em, aż echo poszło.

- Twoja prawa pięść to Bullwinkle.

- Aha, a lewa Rocky. Rocky nawet nie musiał się ruszać do roboty. Bullwin klnąłem go tak, że wypadło mu jedno oko. To mnie trochę zdziwiło, ale złapałem je w powietrzu. Szklane. Ten smarkacz padł, a ja wziąłem sobie oko na pamiątkę i zrobiłem z niego wisiorek.

- Wisiorek jest super.

- Szklane oczy tak naprawdę nie są ze szkła, tylko z cienkiego plastiku, a tęczówka jest ręcznie malowana od wewnątrz. Czadowe, nie?

- Czadowe – zgodził się Corky.

- Jeden mój kumpel artysta dorobił tę małą szklaną kulkę, żeby przytrzymać oko i żeby się nie zniszczyło. Koniec historii, dawaj dwadzieścia patoli.

Corky podał mu opakowaną w plastik paczkę banknotów.

Hokenberry odwrócił się, tak jak to zrobił za pierwszym razem i zaniósł paczkę na stół w przyległej jadalni, by przeliczyć wszystkie nowiutkie studolarówki.

Corky strzelił mu trzy razy w plecy.

Kiedy Hokenberry padł na podłogę, bungalow zatrzęsł się w posadach.

Jego upadek narobił o wiele więcej hałasu niż strzały, ponieważ pistolet był wyposażony w tłumik, nabyty od anarchisty survivalisty mającego koneksje z agresywną grupą zielonych, którzy produkowali takie tłumiki na własny użytek, a także dla zarobku. Przy każdym strzale rozlegał się cichy syk, jakby ktoś wymawiał, sepleniąc, słowo „super”.

Z tej właśnie broni postrzelił w stopę matkę Rolfa Reynerda.

Jako że Hokenberry miał zniechęcające rozmiary, Corky zrezygnował z użycia szpikulca do lodu.

Zbliżył się do osiłka i strzelił do niego jeszcze trzy razy tylko po to, by się upewnić, że Rocky i Bullwinkle już się nie podniosą.

Przez dwa okna widać było płaczące niebo i miasto spływające strugami i strumieniami.

W większości pokoi katalogowych w szpitalu stały rzędy wysokich szafek. W pobliżu okien znajdowały się cztery biurka; dwa były zajęte. Doktor O'Brien usiadł przy pustym biurku i włączył komputer. Ethan przysunął sobie krzesło i usiadł obok niego.

Lekarz włożył płytę DVD do komputera.

– Trzy dni temu pan Whistler zaczął mieć problemy z oddychaniem, Musieliśmy go podłączyć do respiratora i przenieść na OIOM.

Płyta została otworzona, na ekranie pojawił się napis WHISTLER, Duncan Eugene, wraz z numerem szpitalnym i innymi ważnymi informacjami.

– Kiedy leżał na OIOM-ie, nieustannie monitorowano jego oddychanie, tętno i fale mózgowe. Dane były wysyłane do pokoju pielęgniarek. Taka jest standardowa procedura. – Kliknął parę ikon. – Reszta jest względnie świeża. System nagrywa dane przez cały czas pobytu pacjenta na OIOM-ie. Dla dalszych badań.

Ethan pomyślał, że raczej dla zapobieżenia nadmiernie częstym pozwom.

– Oto EEG Whistlera w chwili, gdy po raz pierwszy znalazł się na OIOM-ie w zeszły piątek o czwartej dwadzieścia.

Niewidzialne piórko nakreśliło płynną linię z lewej do prawej.

– Są to mózgowe impulsy elektryczne, mierzone w mikro woltach – ciągnął O'Brien.

Monotonny ciąg gór i dolin opisał aktywność mózgu Dunny'ego.

Szczyty były niskie i płaskie, doliny względnie głębokie i wąskie.

– Fale delta są typowe dla śpiącego pacjenta – wyjaśnił O'Brien.
– To też są fale delta, ale nie takie, jakie obserwujemy podczas nocnego wypoczynku. Te fale są szersze i znacznie niższe niż normalne. Impulsów elektrycznych jest mniej, są słabe. To Whistler w głębokiej śpiączce. W porządku. A teraz zobaczmy, jak to wyglądało wieczorem na dzień przed jego śmiercią.

– W niedzielę.

– Tak.

Na ekranie przesuwały się szybko nietypowe fale delta, lekko podskakiwały, ale bardzo nieznacznie, ponieważ różniły się w minimalnym stopniu. Godzina skompresowanych danych, przeglądana w parę sekund, wydawała się minutowym nagraniem, oglądanym w czasie realnym.

Monotonia tych wzorów była tak uderzająca, że gdyby nie licznik na ekranie, Ethan nie miałby pojęcia, ile godzin – dni – nagrania przesunęło się przed jego oczami.

– Wydarzyło się to minutę przed północą w niedzielę – dodał O'Brien.

Przełączył nagranie na czas realny. Licznik zatrzymał się na 11:23:22 niedzielnej nocy. Lekarz dwoma szybkimi skokami przyspieszył nagranie i zatrzymał je na 11:58:09.

– Teraz to już niespełna minuta.

Ethan poczuł, że mimo woli pochyła się naprzód.

Deszcz łomotał o szyby, jakby rozgniewany wiatr wypluł połamane zęby. Osoba przy biurku wyszła z pokoju. Kobieta, która została, rozmawiała szeptem przez telefon. Głos miała miękki, melodyjny, trochę niesamowity. Mogłaby zostawiać wiadomości na automatycznej sekretarce linii 24.

- Tutaj – odezwał się doktor O'Brien.

O 11.59 leniwe, płaskie fale raptem się zjeżyły, stały się ostre, nieregularne, o głębokich wcięciach.

- To fale beta, zupełnie ekstremalne. Ta niska, bardzo szybka oscylacja wskazuje, że pacjent koncentruje się na bodźcu zewnętrznym.

- Jakim bodźcu?

- Czymś, co zobaczył, usłyszał, poczuł.

- Zewnętrznym? Co można zobaczyć, usłyszeć lub poczuć w śpiączce?

- To nie są fale człowieka w śpiączce. To osoba w pełni świadoma, przytomna i zaniepokojona.

- I to jest awaria maszyny?

- Niektórzy tak uważają. Ale...

- Pan jest innego zdania.

O'Brien zawahał się, wpatrzony w ekran.

- Hm... Nie powinienem uprzedzać wypadków. Najpierw... kiedy pielęgniarka zobaczyła na ekranie ten wykres, pobiegła do pacjenta, sądząc, że wybudził się ze śpiączki. Ale dalej nie reagował.

- Może śnił?

O'Brien pokręcił głową.

- Fale mózgowo ludzi śpiących są charakterystyczne i łatwo rozpoznawalne. Naukowcy opisali cztery etapy snu, każdy z nich ma inny wzór fali. Żadna z nich nie wygląda w ten sposób.

Fale beta jeżyły się coraz wyżej i opadały coraz niżej. Szczyty i doliny zmieniły się w iglice, całkiem niepodobne do wcześniejszych łagodnych wybrzuszeń.

– Pielęgniarka wezwała lekarza – powiedział O'Brien – a ten zawołał kolegę. Nikt nie dostrzegł żadnych fizycznych dowodów na to, że Whistler wychodzi ze śpiączki. Respirator wciąż za niego oddychał. Jego serce biło wolno, nieco nieregularnie. A jednak zgodnie z wykresem EEG jego mózg wytwarzał fale beta charakterystyczne dla osoby w pełni świadomej i przytomnej.

– Powiedział pan też: zaniepokojonej.

Iglice na ekranie przesuwaly się do góry i do dołu, doliny stawały się węższe, odległość między najwyższym i najniższym punktem każdej fali gwałtownie się zwiększała, aż wreszcie wykres zaczął wyglądać jak sejsmologiczny pomiar sporego trzęsienia ziemi.

– W pewnych momentach można precyzyjnie stwierdzić, że jest „zaniepokojony”, a w innych znów „ożywiony”. Natomiast jeśli chodzi o zarejestrowany tu moment, mogę powiedzieć bez obaw posądzenia mnie o melodramatyzm, że są to fale mózgowe osoby przerażonej.

– Przerażonej?

– Do głębi.

– Koszmar?

– Koszmar to tylko sen. Pod jego wpływem powstają wyraziste fale mózgowe, ale nigdy nie przypominają tych tutaj. W najmniejszym stopniu.

O'Brian znowu przyspieszył przepływ danych, przebiegając osiem minut w parę sekund. Po chwili na ekranie znowu pojawiło się nagranie w czasie rzeczywistym.

– Wyglądają tak samo... a jednak są inne.

– To nadal fale beta osoby przytomnej. Powiedziałbym, że choć ten człowiek jest wciąż przerażony, zgroza ustąpiła miejsca mocnemu zaniepokojeniu.

Syczący wiatr, śpiewający w języku węży i stukanie deszczu o

szyby stanowiły idealny akompaniament do poszarpanych wykresów na ekranie.

– Choć ogólny wzór jest charakterystyczny dla niepokoju osoby przytomnej – ciągnął doktor O'Brien – znajdują się w nim sekwencje wyższych fal, po których następują sekwencje niższych.

Dotknął ekranu, wskazując punkty, o których mówił.

– Widzę – powiedział Ethan. – Co to znaczy?

– To fale wskazujące na rozmowę.

– Rozmowę? Mówi ze sobą?

– Przede wszystkim nie mówił głośno, nawet do siebie, toteż nie powinniśmy widzieć tych schematów.

– Rozumiem. Chyba.

– Nie ma wątpliwości co do ich znaczenia. Sekwencje fal niższych oznaczają, że Whistler słucha. Sekwencje wyższych – że mówi. U pacjenta, który toczy w myślach dyskusję ze sobą, nawet na jawie, nie występują takie sekwencje. W końcu, gdy się prowadzi wewnętrzny dyskurs...

– Mówi się ciągle – dokończył Ethan. – Jest się obiema stronami. Człowiek nigdy naprawdę siebie nie słucha.

– Otóż to. Te sekwencje są charakterystyczne dla świadomej rozmowy między dwoma osobami.

– Kto był tą drugą osobą?

– Nie wiem.

– Przecież był w śpiączce.

– Tak.

– Więc jak mógł do kogoś mówić? Telepatycznie? – spytał Ethan, marszcząc brwi.

- Wierzy pan w telepatię?

- Nie.

- Ja też nie.

- To dlaczego to nie może być awaria maszyny?

O'Brien przyspieszył nagranie, aż fale mózgowe znikły z ekranu, zastąpione napisem BRAK DANYCH.

- Odłączono Whistlera od EEG, uznawszy maszynę za zepsutą - wyjaśnił. - Podłączono go do innej. Zmiana trwała sześć minut.

Szybko przewinał taśmę do przodu, aż znowu pojawiły się wzory.

- Wyglądają tak samo - odezwał się Ethan.

- Owszem. Fale beta oznaczają przytomność, wielki stopień lęku i ożywioną rozmowę.

- Następna awaria?

- Pewna osoba uparcie tak twierdzi. Ja nie. Te fale przez dziewiętnaście minut pojawiały się na pierwszym EEG, prawdopodobnie występowały przez sześć minut w czasie przełączania, a potem trwały jeszcze trzydzieści jeden minut na drugiej maszynie. W sumie pięćdziesiąt sześć minut, zanim nagle ustały.

- Jak pan to wyjaśnia?

Zamiast odpowiedzieć, O'Brien zaczął stukać w klawisze. Przywołał drugi zestaw danych, który pojawił się nad pierwszym; kolejna biała linia na białym tle. W tym wypadku czubki wszystkich szczytów znajdowały się poniżej, nie powyżej.

- To schemat oddychania Whistlera, zsynchronizowany z falami mózgowymi - powiedział O'Brien. Każdy ten szczyt do wdech. Wydech obrazuje miejsce pomiędzy szczytami.

- Bardzo regularne.
- Bardzo. Bo oddycha za niego respirator.

Lekarz znowu stuknął w klawisze i na ekranie pojawił się trzeci schemat.

- To czynność serca. Standardowa. Rozkurcz, rozkurcz przedsionków, skurcz komór. Powolne, lecz nie przesadnie powolne. Słabe, lecz nie przesadnie słabe. Lekko nieregularne, ale nie niebezpieczne. A teraz proszę spojrzeć na fale mózgowe.

Fale beta ponownie zaczęły przypominać zapis trzęsienia ziemi.

- Znowu się boi – powiedział Ethan.

- Według mnie tak. A jednak w czynności serca nie widać żadnej zmiany. Jest równie powolna, dość słaba z nieregularnościami w granicach normy, dokładnie taka, jak w chwili przyjęcia go do szpitala niespełna trzy miesiące temu. Pacjent jest przerażony... a jednak serce ma spokojne.

- Dlatego że jest w śpiączce. Tak?

- Nie. Nawet w najgłębszej śpiączce mózg i ciało są ze sobą połączone. Kiedy ma pan koszmar, strach jest wytworem wyobraźni, nie jest rzeczywisty, ale czynność serca się zmienia. W czasie koszmaru serce zaczyna galopować.

Przez chwilę Ethan przyglądał się dziko skaczącym falom beta i porównywał je z powolnym, monotonnym biciem serca.

- A po tych pięćdziesięciu sześciu minutach fale stały się znowu długie i łagodne?

- Tak. Aż do następnego ranka, kiedy pacjent umarł.

- Więc jeśli to nie jest awaria obu maszyn, to jak pan to tłumaczy?

- Nie tłumaczę. Nie mogę. Spytał mnie pan, czy w aktach

pacjenta jest coś dziwnego. Coś... niesamowitego.

- Tak, ale...

- Nie mam pod ręką słownika, ale wydaje mi się, że „niesamowite” oznacza coś niezwykłego, nadzwyczajnego, niewytłumaczalnego. Mogę panu tylko opowiedzieć, co się wydarzyło, ale nie dlaczego.

Języki deszczu lizały szyby.

Wicher-wilk węszył, warczał i skomlał, żeby go wypuścić.

Nad sławnym miastem przetoczył się długi, przeciągły grzmot.

Ethan i O'Brien obejrzeni się na okno. Ethan pomyślał, że lekarz także wyobraził sobie atak terrorystów, kobiety i dzieci ginące z rąk radykalnych muzułmanów.

Nasłuchiwali z wolna cichnącego dźwięku.

- Grzmot - powiedział w końcu z ulgą doktor O'Brien.

- Grzmot - zgodził się Ethan.

Grzmoty i błyskawice nieczęsto zdarzają się podczas burz w południowej Kalifornii. Ten zapowiadał burzliwy dzień.

Fale beta, jak małe pioruny, monotonnie uderzały w ekran komputera.

Pograżony w śpiączce Dunny przeżył przerażające spotkanie, do którego nie doszło ani na tym świecie, ani we śnie, lecz w jakichś tajemniczych rejonach. Rozmawiał z kimś, jakby wstąpił w niego duch, który przez płuca i żyły przedostał się do mózgu, by tam nawiedzać go przez pięćdziesiąt sześć minut.

Corky Laputa w żółtej kafiji i żółtej szacie niczym arabski szejek, sprowadzony tu jakby przez dżinna z magicznej lampy, stanowił jedyny radosny akcent w ponurym domostwie trójjokiego świra.

Śpiewając „Reunited”, a potem „Shake Your Groove Thing” – hity niezapomnianej grupy Peaches and Herb – przeszukiwał zabałaganione pomieszczenia, szacując je według skali Syfiusza: jeden syf, dwa i pół syfa... Szukał resztek tych pierwszych dwudziestu tysięcy dolarów, które dał Hokenberry’emu parę tygodni temu.

Osilek mógł zapisać jego nazwisko w notesie, na jakiejś kartce, nawet na ścianie, bo jego odrapane mieszkanie pod względem ozdób naściennych bardzo przypominało wnętrze najobszerniejszego publicznego kibla. Mimo to Corky nie czuł żadnych obaw. Nie podał Hokenberry’emu swojego nazwiska. Oczywiście sklerotyk Hokenberry na pewno zapisał gdzieś jego numer telefonu. Corky nie obawiał się także tego. Jeśli policja znajdzie ten numer, nie będzie on wskazywać na niego.

Co miesiąc lub półtora kupował kolejny telefon komórkowy. Wraz z nim dostawał nowy numer i dziewicze konto na fałszywe nazwisko i adres. Z telefonu tego korzystał podczas wszelkich dyskretnych rozmów związanych ze służbą chaosowi. Komórki dostarczał mu niezrównany haker i anarchista-multimilioner Mick Sachatone, za sześćset dolarów sztuka. Mick gwarantował ich żywotność przez trzydzieści dni.

Na ogół dystrybutorzy usług telefonicznych nie zdawali sobie sprawy, że ktoś się podłączył pod ich sieć i nie wykrywali intruza przez dwa miesiące. Potem odcinali sygnał i zaczęli poszukiwać winowajcy. Do tego czasu Corky zawsze zdążył już wyrzucić telefon i

zdobyć nowy. Nie zamierzał oszczędzać, tylko zagwarantować sobie anonimowość, tak pożądaną, gdy występuje się przeciwko prawu. Niewielki przyczynek do finansowej ruiny firmy telefonicznej stanowił dodatkową korzyść.

Corky znalazł pieniądze w sypialni, tylko minimalnie schludniejszej od barłogu. Podłogę zaścielała gruba warstwa brudnych skarpet, gazet, pustych toreb po chipsach bekonowych, pustych papierowych kubelków z KFC i ogryzionych do czysta kurzych kości. Pieniądze znajdowały się w pustym pudełku po suszonej wołowinie.

Corky zabrał je. Pudełko zostawił.

Hokenberry, leżał w kątku jadalnym przy salonie, w dalszym ciągu martwy i nie mniej paskudny niż poprzednio.

Na podstawie poprzednich rozmów Corky wywnioskował, że rodzina wyrzekła się Hokenberry'ego. Nie miał żony, raczej nie powinien mieć stałej dziewczyny i na pewno nie należał do ludzi ciągle odwiedzanych przez przyjaciół. Prawdopodobnie znajdą go dopiero, gdy u jego drzwi stanie FBI w związku z porwaniem młodego panicza Manheima.

Mimo to na wypadek przypadkowego odkrycia ciała przez wścibską sąsiadkę czy kogoś w tym rodzaju, Corky zdjął klucze Hokenberry'ego z korkowej tablicy w kuchni i zamknął drzwi wyjściowe na klucz. Klucze wrzucił w zapuszczone krzewy.

Z niskich sinych chmur dobiegło warknięcie pioruna, jakby piekielny ogar przebiegał niebiańskie korytarze. Serce Corky'ego zabiło z zachwyty.

Spojrzał w górę, w padający deszcz, czekając na błyskawicę. Potem przypomniał sobie, że musiała się pojawić przed grzmotem. Ale jeśli się jakaś pojawiła, piorun nie zdołał przebić chmur albo uderzył gdzieś daleko.

To musi być znak.

Corky nie wierzył w Boga, diabła ani zjawiska nadprzyrodzone. Wierzył tylko w moc chaosu. Mimo to uznał, że ten grzmot był znakiem, przyzwoleniem na jego wyprawę do Palazzo Rospo i powrót z chłopcem.

Kosmos może i jest głupią maszyną, klekoczącą, pędzącą przed siebie, by nigdzie nie dotrzeć, bez żadnego celu z wyjątkiem własnego zniszczenia, ale od czasu do czasu potrafi rzucić jakiś piorun bądź też zepsuć mechanizm, aby dać znak osobie spostrzegawczej i rozważnej. Grzmot był takim znakiem, a wnioskując na podstawie jego brzmienia i długości, Corky przewidział swój gwarantowany sukces.

Jeśli największy gwiazdor filmowy świata, mieszkający za mocnymi murami i elektroniczną fosą, w otoczeniu służby i strażników, nie potrafi upilnować swojej rodziny, jeśli jego jedyny syn zostanie porwany, choć aktor dostał ostrzeżenie w postaci sześciu czarnych przesylek, to żadna rodzina na całym świecie nie może czuć się bezpieczna. Bogaci i biedni, znani i nieznani, wierzący i niewierzący.

Wszyscy to rozumieją, w miarę jak długie i okrutne cierpienie Aelfrica Manheima zacznie trafiać do wiadomości publicznej.

Corky postanowił najpierw zniszczyć chłopca psychicznie, potem umyślowo, wreszcie fizycznie. Zamierzał to nagrywać na taśmę wideo; jak sądził, proces ten powinien potrwać przez kilka tygodni. Taśmę powinien zmontować, przegrać na maszynach, które zakupił specjalnie z myślą o tym projekcie, i stopniowo wysyłać kopie do gazet i dzienników.

Niektóre media z pewnością zareagują zgrozą na nagranie czy choćby jego fragmenty, ale inne rozumieją, że dzięki brakowi sumienia i dobrego smaku wygrają z konkurencją, a szlachetny komentarz usprawiedliwi nurzanie się w taniej sensacji. Wkrótce

znajdą naśladowców.

Przerażona twarz chłopca zacznie prześladować cały naród – kolejny cios wymierzony w podstawy amerykańskiego porządku. Miliony obywateli utracą i tak nadwątlone poczucie bezpieczeństwa.

Kiedy Corky szedł w stronę swojego bmw, świetlista włócznia błyskawicy przeszła niebo, zagrzemiał grom i rozpętała się nawałnica. Deszcz, który do tej pory tylko siąpił, nagle zaczął lać się kaskadami tak gwałtownie, że jego szum stłumił nawet wycie wichru.

Skoro jeden grom był znakiem triumfu Corky'ego, to grom i błyskawica stanowiły potwierdzenie tego pierwszego proroctwa.

Niebo znowu rozświetliło się i warknęło. O chodnik zabębniły ciężkie krople, zdolne obrywać liście i wybijać szyby. Przez słodką chwilę Corky tańczył niczym Gene Kelly, śpiewając „Shake Your Groove Thing”. Nie obchodziło go, kto może zobaczyć ten popis.

Potem wsiadł do samochodu i pojechał przed siebie, bo musiał jeszcze wiele przygotować w związku z najważniejszym dniem swojego dotychczasowego życia.

54

Telefon zadzwonił, kiedy Ethan czekał na muzykę, która go zdołuje, i windę, która go zawiezie na dół.

- Gdzie jesteś? – spytał Hazard Yancy.
- W Matce Boskiej od Aniołów. Zaraz wychodzę.
- W garażu?
- Niedługo tam będę.
- W górnym czy dolnym?
- Górnym.
- Jaki samochód?
- Biały ford, jak wczoraj.
- Zaczekaj tam, musimy pogadać. – Rozłączył się.

Ethan w windzie nie miał możliwości słuchać muzyki. Coś się chyba musiało zepsuć, z głośnika pod sufitem dobiegało tylko syczenie i trzaski.

Piętro niżej wydało mu się, że przez szum słyszy cichy głos. Głos szybko stał się donośniejszy, choć nadal był zbyt słaby, by go zrozumieć.

Trzy piętra niżej Ethan zdołał sobie wmówić, że to ten sam upiorny głos, którego poprzedniej nocy słuchał przez pół godziny. Tak bardzo chciał go wtedy zrozumieć, że wpadł w coś w rodzaju transu.

Z głośnika pod sufitem przez trzaski ciche jak śnieg padło jego imię. Usłyszał je jakby z wielkiej odległości, ale wyraźnie.

- Ethan... Ethan...

W zimowy dzień na plaży lub w porcie mewy lecące wysoko w tłumiącej dźwięki mgłę czasami wzywają się takimi dwusylabowymi okrzykami, w których brzmi trochę przerażenia, a trochę żalostnej nadziei na odpowiedź – najtęskniejszy dźwięk na świecie. Słowa „Ethan, Ethan”, jakby spadające w przepaść z najwyższego szczytu świata, brzmiały tym samym tonem melancholii i natarczywości.

Ale jeszcze nigdy nie zdarzyło mu się usłyszeć własnego imienia w krzykach mew. A ich żalostne błagania we mgłę nigdy nie skojarzyły mu się z głosem Hannah. Pomiedzy parterem i górnym garażem, w połowie piętra, Ethan zatrzymał windę.

Nawet jeśli rzeczywiście przemawiał do niego jakiś głos – tylko do niego – nie mógł sobie pozwolić na wpadnięcie w trans, tak jak poprzedniej nocy.

Pomyślał o mglistych nocach i nieostrożnych żeglarzach, który zasłuchali się w śpiew Lorelei. Kierowali statki w stronę jej głosu, usiłując zrozumieć kuszącą obietnicę jej słów, po czym wpadali na skały i tonęli.

Ten głos mógł należeć raczej do Lorelei niż do utraconej Hannah. Poszukiwanie wbrew rozsądkowi pożądanego, które zawsze będzie poza zasięgiem, stanie się skałą w gęstej mgłę.

Mimo to zatrzymał windę, by zastanowić się nad słowami, mogącymi być ostrzeżeniem. Z bijącym mocno sercem wcisnął guzik STOP, ponieważ nagle ogarnęło go przekonanie, że kiedy drzwi się otworzą, nie ujrzy za nimi garażu. To głupie, ale spodziewał się zobaczyć gęstą mgłę i czarną wodę. Albo ziejącą otchłań. Głos mógł dochodzić stamtąd, zza wody, zza przepaści, a on musiałby pójść w jego stronę.

W innej windzie w poniedziałkowy poranek, wjeżdżając na piętro Dunny'ego, dostał nagle ataku klaustrofobii. Tutaj znowu cztery ściany zaczęły się do niego zbliżać. Sufit zjeżdżał coraz niżej i niżej. Zaraz go zmiażdży jak mielonkę w puszce.

Zasłonił uszy rękami, by odgrodzić się od tego upiornego głosu.

Powietrze stało się jakby gęstsze, rozpalone. Ethan usłyszał własny wysiłony oddech, chrapliwe zaczerpnięcie powietrza, rzęzący wydech. Przypomnił mu się Fric z atakiem astmy. Na myśl o chłopcu serce załomotało mu mocniej. Sięgnął ku przyciskowi START.

Ściany nadal się do niego zbliżały, wtłaczając mu do głowy kolejne wariackie pomysły. Za drzwiami czeka nie czarna woda i mgła, lecz czarno-białe mieszkanie z czujnymi ptakami na ścianach, w którym żywy Rolf Reynerd wyciąga pistolet z torby chipsów. Znowu dostanie w brzuch, ale tym razem nie będzie dla niego ratunku.

Zawahał się i nie przycisnął guzika.

Może ze względu na rzęzący oddech, który przypomnił mu astmę Frica, zaczęło mu się wydawać, że pomiędzy tymi słabymi, nie całkiem zrozumiałymi słowami płynącymi z głośnika znajdowało się także imię chłopca. „Fric... „. Kiedy wstrzymał oddech i wyteżył słuch, nie potrafił go rozróżnić. Odetchnął i imię znowu się pojawiło. Ale czy na pewno?

W tamtej windzie w poniedziałkowe popołudnie przelotny atak klaustrofobii był przejawem strachu, którego nie chciał sobie uświadomić, irracjonalnej, lecz nieustępującej obawy, że w mieszkaniu znajdzie swojego starego przyjaciela, martwego, ale poruszającego się, lodowatego, ale aktywnego.

Podejrzewał, że obecna klaustrofobia i strach przed zmartwychwstałym Reynerdem także stanowią zamaskowany lęk, któremu nie chciał spojrzeć w oczy, którego nie potrafił wyłowić z podświadomości.

Fric? Fric miał wrażliwą psychikę, czemu nie należy się dziwić, ale fizycznie nic mu nie zagrażało. Stały personel w posiadłości liczył dziesięć osób, razem z szefem kuchni Hachette'em i dozorcą, panem

Yornem. Ochrona domu była znakomita. Fricowi groziło tylko to, że jakiś szaleniec zrobi zamach na Channinga Manheima i odbierze chłopcu ojca.

Wcisnął guzik START.

Winda znowu ruszyła, ale za chwilę stanęła na górnym poziomie garażu.

Być może teraz wysiądzie i znajdzie się na zalanej deszczem ulicy, wysiądzie wprost pod koła cruisera wpadającego w poślizg.

Drzwi rozsunęły się, ukazując pod jarzeniówkami betonowe ściany i rzędy samochodów.

Ethan ruszył w stronę swojego forda. Jego rzęzący oddech szybko się uspokoił. Łomoczące serce nie tylko zwolniło, ale także zsunęło się z gardła na swoje miejsce w piersi. Usiadł za kierownicą forda i zablokował wszystkie drzwi. Przez przednią szybę widział tylko betonową ścianę z mokrymi zaciekami i plamami po spalinach. Gdzieniedzie na jej powierzchni wylaniały się smugi wapna.

Wyobraźnia kazała mu dostrzegać w tych smugach jakieś kształty, tak jak w zmiennych formach chmur. Ale tu widział tylko rozkładające się twarze i powykęcane, nagie ciała ofiar okrutnych morderstw. Tak jakby patrzył na upiorną płaskorzeźbę poświęconą tym wszystkim ofiarom, w których imieniu szukał sprawiedliwości.

Przechylił głowę, zamknął oczy i spróbował pozbyć się napięcia.

Po chwili zastanowił się, czy włączyć radio, by jakoś zabić czas do przyjścia Hazarda. Sheryl Crow, Barenaked Ladies, Chris Isaak bez aranżacji na orkiestrę poprawią mu nastrój.

Ale jakoś nie mógł się na to zdobyć. Podejrzewał, że zamiast muzyki, wiadomości i programów znajdzie tylko ten głos, znowu zacznie mu się wydawać, że to Hannah na próżno usiłuje się z nim porozumieć na jakiegokolwiek częstotliwości.

Pukanie do drzwi omal nie przyprawiło go o zawał. Hazard

Yancy lypał na niego spod runda rybackiego kapelusza wzrokiem, od którego skamieniałaby nawet płynna lawa.

Ethan otworzył drzwi.

Hazard usiadł obok niego, wypełniając sobą samochód tak szczelnie, jakby był to wagonik kolejki w lunaparku. I choć kolana nie mieściły mu się w przestrzeni dla nich przeznaczonej, nie odsunął fotela. Był zdenerwowany.

– Znaleźli Dunny’ego?

– Kto?

– Szpital.

– Nie.

– To po co przyjechałeś?

– Rozmawiałem z lekarzem, który wystawił akt zgonu. Usiłowałem się połapać, co jest grane.

– I dokąd cię to zaprowadziło?

– Do punktu wyjścia – znowu stoję z palcem w dupie.

– Niezbyt atrakcyjnie – przyznał Hazard. – Sam Kesselman ma grypę.

Kesselman – detektyw przydzielony do sprawy matki Rolfa Reynerda – był Ethanowi niezbędny, ponieważ tylko on mógł przeczytać niedokończony scenariusz Reynerda, a potem znaleźć pierwowzór zbrodniczego profesora.

– Kiedy wróci?

– Jego żona mówi, że rzyga jak kot. Chyba nie zobaczymy go do świąt.

– Ktoś z nim pracuje?

– Na początku Glo Williams, ale potem sprawa straciła rozpęd i

wycofał się.

– Można go ściągnąć?

– Pracuje nad sprawą zgwałconej i zamordowanej dziewczynki, tej, o której ciągle mówią w dzienniku. Nie ma czasu.

– Rany, ten świat z każdym tygodniem staje się coraz bardziej chory.

– Z każdą godziną. Poza tym jesteśmy bezrobotni. Sprawa Miny Reynerd nazywa się Lampa Wampa, ponieważ na zdjęciach z młodości wygląda jak te wampy ze starego kina, Theda Bara albo Jean Harlow. Akta leżą na biurku Kesselmana, wśród innych niezamkniętych spraw.

– Więc nawet po świętach nie zabierze się do nich od razu.

Hazard wbił wzrok w betonową ścianę, jakby także zobaczył tam jakieś kształty. Może gazy i kangury, a może zmasakrowane dzieci, uduszone kobiety, mężczyźni rozdartych pociskami. Wspomnienia niewinnych ofiar. Jego upiorna rodzina. Zawsze przy nim. Była dla niego tak realna jak odznaka, bardziej niż emerytura, której mógł nie doczekać.

– Po świętach będzie za późno – powiedział. – Miałem sen.

Ethan spojrzał na niego wyczekująco. Czekał długo.

– Jaki sen? – spytał wreszcie.

Hazard poruszył potężnymi barami, poprawił się na siedzeniu, żeby zrobić więcej miejsca na nogi, wbił wzrok w betonową ścianę i powiedział rzeczowo:

– Byłeś ze mną w mieszkaniu Reynerda. Strzelił ci w brzuch. Następnie znaleźliśmy się w ambulansie. Umierałeś. W środku mieli świąteczne ozdóbki. Sreberko, małe dzwoneczki. Poprosiłeś mnie o te dzwoneczki. Zdjąłem jeden komplet, usiłowałem ci go dać, ale już umarłeś.

Ethan znowu spojrział na ścianę garażu. Pomiedzy rozkładającymi się zwłokami, które jego wyobraźnia dostrzegła w plamach i nierównej powierzchni, spodziewał się zobaczyć własną twarz.

– Obudziłem się – ciągnął Hazard, nadal nie spuszczać wzroku z poplamionego betonu – i ktoś był w moim pokoju. Stał nad łóżkiem. Cień w ciemnościach. Jakiś facet. Wstaję, podchodzę do niego, ale jego już tam nie ma. Nagle znalazł się po drugiej stronie pokoju. Idę za nim. On ucieka. Jest szybki. Ale nie idzie, tylko płynie. Broń mam w kaburze na krześle. Sięgam po nią. On się rusza, jest szybki, zbyt szybki, sunie, jakby się ze mną bawił. Okrążamy pokój. Włączam lampę. On stoi przy drzwiach szafy, plecami do mnie. Na drzwiach szafy jest lustro. I on w nie wchodzi. I znika.

– To był sen – podsunął Ethan.

– Mówiłem ci, że się obudziłem i ktoś był w pokoju – przypomniał mu Hazard. – Nie przyjrzałem mu się dobrze, bo stał plecami do mnie, widziałem tylko odbicie w lustrze, ale uważam, że to Dunny Whistler. Otworzyłem drzwi szafy. Nie znalazłem go. No to, gdzie się podział, do cholery, w lustrze?

– Czasami we śnie wydaje ci się, że się obudziłeś, ale to dalej jest sen.

– Przeszukałem mieszkanie. Nigdzie nikogo. A w sypialni znalazłem to.

Ethan usłyszał srebrzyste dzwonięcie.

Oderwał wzrok od betonowej ściany.

Hazard pokazywał mu trzy koncentrycznie ułożone dzwonki, jak te z ambulansu.

Spojrzeli sobie w oczy.

Ethan zrozumiał, że Hazard nie tyle odgadł jego tajemnice, ile

istnienie tych tajemnic. Przedziwne wypadki, które przez ostatnie trzydzieści godzin przydarzyły się jemu, a teraz i Hazardowi, plus niewytłumaczalna ucieczka zmarłego Dunny'ego, który prawdopodobnie zaaranżował morderstwo Reynerda – wszystko to musiało mieć jakiś związek z sześcioma czarnymi pudełkami.

– Czegoś mi nie mówisz – ponaglił go Hazard.

– Ja też mam takie dzwoneczki – odezwał się Ethan po długim milczeniu.

– Też ze snu, jak ja?

– Dostałem w ambulansie wczoraj wieczorem, kiedy umarłem.

Schody, wolne od podłej muzyczki i głosów z tamtego świata, prowadziły do najniższego z trzech podziemnych poziomów szpitala.

Ethan i Hazard szli znanym, jasno oświetlonym białym korytarzem przy kostnicy. Za podwójnymi drzwiami znajdował się garaż karetek.

Pomiędzy innymi należącymi do szpitala pojazdami znajdowały się cztery ambulanse. Miejsca obok nich były puste, inne pojazdy wyjechały na miasto.

Ethan podszedł do najbliższego ambulansu. Zawahał się, otworzył tylne drzwi.

Czerwone błyszczące girlandy były przypięte do ścian po prawej i lewej stronie. Wisiało tu też sześć pęków maleńkich dzwoneczków, jeden na początku, drugi w środku, trzeci na końcu każdej foliowej girlandy.

– Tu – powiedział Hazard przy drugim ambulansie.

Ethan stanął koło niego.

Dwie girlandy z czerwonej folii. Tylko pięć gronek dzwoneczków. Te brakujące, ze środka girlandy po prawej stronie, Ethan dostał w chwili śmierci.

Zimny dreszcz, który zaczął mu pełznąć po plecach, miał niemal fizyczny ciężar.

– Brakuje jednego kompletu – odezwał się Hazard. – Ale mamy dwa.

– Może nie. Może to ten sam.

– Jak to?

- W czym mogę pomóc? – spytał ktoś za ich plecami.

Ethan odwrócił się i ujrzał sanitariusza, który zajmował się nim w ambulansie niespełna dwadzieścia cztery godziny temu.

Już przed kwiaciarnią „Zawsze róże”, gdy poczuł w dłoni dzwoneczki, było to o jedno tajemnicze zdarzenie za dużo. Teraz, stojąc twarzą w twarz z tym człowiekiem, którego pamiętał jedynie ze snu, uwierzył we własną śmierć, choć nadal oddychał, nadal żył.

Rozpoznanie nie było obopólne. Sanitariusz patrzył na niego jak na każdego innego obcego człowieka. Hazard machnął odznaką.

- Jak się pan nazywa?

- Cameron Sheen.

- Musimy wiedzieć, do jakich zgłoszeń pojechał ten ambulans wczoraj po południu.

- O której godzinie? – spytał sanitariusz.

Hazard spojrzał na Ethana, który wreszcie odzyskał głos.

- Między piątą i szóstą.

- Wtedy jeździłem z Rickiem Laslowem – powiedział sanitariusz. – Parę minut po piątej było wezwanie z policji, jedenaście osiemdziesiąt, wypadek z poważnymi obrażeniami na rogu Westwood Boulevard i Wilshire.

Kilometry od miejsca, w którym Ethan wpadł pod cruisera.

- Honda stuknęła się z hummerem – dodał Sheen. – Zanieśliśmy faceta do ambulansu. Wyglądał, jakby wpadł pod ciężarówkę. Zabraliśmy go błyskawicznie do szpitala i słyszałem, że niedługo będzie jak nowy.

Ethan wymienił dwie ulice krzyżujące się nieopodal kwiaciarni.

- Dojeżdżacie na wezwania z tamtej dzielnicy?

– Jasne. Jeśli wiemy, jak ominąć korki, jedziemy, gdzie się da.

– Czy wczoraj dostaliście stamtąd wezwanie?

Sanitariusz pokręcił głową.

– Ja i Rick – nie. Może inna karetka. Trzeba tu sprawdzić w grafiku.

– Czy my się nie znamy? – spytał Ethan.

Sheen przyjrzał mu się w zamyśleniu.

– Nie pamiętam. To chcecie spojrzeć na ten grafik?

– Nie – powiedział Hazard – ale jest coś jeszcze. – Wskazał girlandy. – W środku brakuje dzwoneczków.

Sheen zajrzał do środka.

– Dzwoneczków? Aha. To co?

– Ciekawi nas, co się z nimi stało.

Przez twarz Sheena przemknął grymas zdumienia.

– Naprawdę? Chodzi o te małe dzwoneczki? Nie wiem, co się z nimi stało. Może inni wiedzą.

Ethan wzruszył ramionami. Hazard zatrzaskał drzwi karetki.

Sheen dziwił się coraz bardziej.

– Policja przyszła sprawdzić, kto ukradł ozdóbkę za dwa dolary?

Ani Ethan, ani Hazard nie znaleźli odpowiedzi.

Sheen powinien im odpuścić, ale podobnie jak wiele osób, które nie znają prawdziwej natury pracy policjanta, odnosił się z wyższością do każdego, kto nosi odznakę.

– A kotki z drzew zdejmuje u was oddział do zadań specjalnych?

– Zaginiona ozdoba nie oznacza jedynie kwestii dwóch dolarów. Racja? – odezwał się Hazard.

– Racja – odparł Ethan, dostosowując się do ich starego tonu. – To ważna poszlaka. Chodzi o zbrodnię w afekcie.

– Według Kodeksu Kryminalnego Kalifornii – dodał Hazard z kamienną twarzą.

– Na czas świąt zostaliśmy przydzieleni do Oddziału Interwencyjnego do spraw Zawłaszczeń Ozdób Choinkowych i Szopek.

– Jest to komórka Wydziału Wigilijnej Atmosfery, zorganizowanego na potrzeby walki z nienawiścią.

Sheen spojrział na Ethana, a potem na Hazarda, z wolna zaczynając się uśmiechać.

– Nabieracie mnie, co?

Hazard zmierzył go intensywnym i dezaprobującym spojrzeniem zdolnym złamać wszystkich i wszystko, od zatwardziałego złoczyńcy po kaloryfer.

– Czy nienawidzi pan chrześcijan?

Uśmiech na twarzy Sheena zgasł, zanim zdołał się w pełni rozwinąć.

– Co?

– Czy wierzy pan – spytał Ethan – w wolność wyznania, czy też należy pan do tych, którzy w konstytucji Stanów Zjednoczonych widzą gwarancję wolności od wyznawania religii?

Sanitariusz pozbył się uśmiechu, oblizał usta.

– Nie, no pewnie, wolność wyznania, kto by w to nie wierzył?

– Gdybyśmy zdobyli nakaz na natychmiastowe przeszukanie pańskiego mieszkania – zagadnął Hazard – czy znaleźlibyśmy w nim

kolekcję antychrześcijańskich publikacji?

– Co? Ja nikogo nie nienawidzę. Jestem pokojowo nastawiony. O co chodzi?

– Czy znaleźlibyśmy materiały do produkcji bomb? – naciskał Ethan.

Wredny uśmieszek Sheena zgasł pod lodowatym spojrzeniem Hazarda, rumieniec odpłynął z policzków, które przybrały kolor betonowych ścian garażu. Sheen zaczął się cofać, unosząc ręce w geście kapitulacji.

– Co to ma znaczyć? Mówicie poważnie? To jakiś żart. Co, zaginęła ozdóbka za dwa dolary, więc mam dzwonić po prawnika?

– Jeśli go pan ma – odparł poważnie Hazard – byłby to całkiem dobry pomysł.

Sheen, niepewny, czy ma mu uwierzyć, cofnął się o krok, drugi, po czym odwrócił się na pięcie i pospieszył w stronę dyżurki sanitariuszy.

– Kotki na drzewach, nie wiesz czasem – mruknął Hazard.

Ethan odpowiedział uśmiechem.

– Jesteś debeściak.

– Sam jesteś debeściak.

Ethan zapomniał już, o ile łatwiejsze jest życie, kiedy ma się wsparcie – zwłaszcza wsparcie z poczuciem humoru.

– Powinieneś do nas wrócić – odezwał się Hazard, kiedy wrócili na korytarz przy kostnicy. – Moglibyśmy razem ratować świat i mieć z tego trochę radochy.

Na schodach prowadzących na górny poziom garażu Ethan znowu się odezwał:

– Zakładając, że te wygłupy wcześniej czy później się zakończą

– dostałem w brzuch, ale jednak nie dostałem, dzwonki, głos w telefonie, facet wchodzący w twoje lustro.. . Myślisz, że mógłbyś znowu pracować w policji, jakby nic się nie stało?

– A co, mam zostać mnichem?

– To chyba powinno wszystko zmienić.

– Jestem szczęśliwy taki, jaki jestem. Już nie mogę być bardziej odlotowy. Nie uważasz, że mam to w genach?

– Jesteś odlotowy jak samolot.

– I polot też mam.

– Też – zgodził się Ethan.

– Jak odrzutowiec.

– Masz tyle polotu, że jesteś odlotowy.

– Dokładnie. Nie muszę się zmieniać, chyba że spotkam Jezusa, a on da mi fangę w nos.

Nie znajdowali się na cmentarzu, nie gwizdali, ale ich głosy odbijające się od chłodnych jak krypta ścian klatki schodowej nasunęły Ethanowi na myśl stare filmy, na których chłopcy idący przez cmentarz o północy maskują przerażenie brawurą.

56

Obsesja Brittiny Dowd spalała ją tak, że jej ciało zaczęło wyglądać jak długie i wąskie ostrze. Kiedy szła, ostre ruchy zdawały się kroić ubranie na strzępy.

Jej biodra stały się kruche niczym ptasie kostki, nogi przypominały nogi flaminga, ręce miały tyle samo mięśni co oskubane skrzydła. Wyglądało na to, że Brittina chce się zagłodzić, by podmuch wiatru mógł ją unieść z ziemi w królestwo strzyżyków i wróbli.

Prawdę mówiąc, wyglądała nie jak pojedyncze ostrze, lecz cały scyzoryk. Corky Laputa zakochałby się w niej, gdyby nie była takim brzydactwem.

Nie kochał Brittiny, ale się z nią kochał. Podniecało go wyniszczenie jej ciała. Czuł się, jakby uprawiał seks ze Śmiercią.

Miała dopiero dwadzieścia sześć lat, ale gorliwie przygotowała się na przedwczesną osteoporozę, jakby nie mogła się doczekać, kiedy pierwszy upadek roztrzaskają na kawałki niczym kryształowy wazon zrzucony na kamienną posadzkę. Kiedy się kochali, zawsze się spodziewał, że nadzieje się na jej kolano albo łokieć, albo że Brittina się pod nim złamie.

- Zrób to - powtarzała - zrób to...

I w jakiś sposób brzmiało to nie jak zaproszenie do seksu, lecz prośba o odebranie życia.

Łóżko miała wąskie, w sam raz dla kogoś, kto śpi nieruchomo niczym przeciętny lokator trumny - o wiele za wąskie na dzikie harce, do których oboje byli zdolni. Kupiła takie łóżko, bo nigdy nie miała kochanka i spodziewała się pozostać dziewicą do grobowej deski. Corky poderwał ją bez trudu, tak jak zgniółby w pięści

kolibra.

To wąskie łóżko stało w pokoju na górnym piętrze wąskiego, piętrowego wiktoriańskiego domku. Jakies sześćdziesiąt lat temu, tuż po wojnie, ekscentryczny hodowca psów zaprojektował i wzniósł tę dziwną budowlę, w której zamieszkał z dwoma chartami angielskimi i dwoma chartami wyścigowymi. Później dostał wylewu i paraliżu. Po paru dniach wygłodzone psy pożarły swojego pana.

Było to czterdzieści lat temu. Późniejsza historia tego domu była równie barwna i niemal tak samo makabryczna, jak życie i upiorna śmierć pierwszego właściciela.

Wibracje tego miejsca przyciągnęły uwagę Brittiny, tak jak dźwięk o wysokiej częstotliwości zwróciłby uwagę charta. Kupiła je za część spadku, który odziedziczyła po babce ze strony ojca.

Brittina była absolwentką tego samego uniwersytetu, który od pokoleń zapewniał zatrudnienie rodzinie Laputów. Za półtora roku miała zrobić doktorat z literatury amerykańskiej, której szczerze nienawidziła.

Choć dom nie pochłonął całego spadku, Brittina musiała zapewnić sobie inne dochody. Za pensję asystentki na uniwersytecie mogła sobie pozwolić na Slim Fast o smaku czekoladowym i środki przeczyszczające.

Pół roku temu osobisty asystent Channinga Manheima zgłosił się do dziekana wydziału języka angielskiego, szukając nauczyciela dla syna słynnego aktora. O posadę mogli się ubiegać jedynie akademicy najwyższej klasy. Prezes skonsultował się z Corkym, swoim zastępcą, a Corky polecił mu pannę Dowd. Wiedział, że zostanie zatrudniona, bo debilny gwiazdor będzie pod wrażeniem jej dramatycznego wyglądu. Jej trupia bladość, zapadnięta twarz, ciało anorektycznej zakonnicy będą dowodem na to, że Brittina nie dba o cielesne przyjemności, żyje głównie sprawami ducha, a co za tym idzie, jest autentyczną intelektualistką.

W świecie filmowym liczy się tylko wygląd. Manheim sądził, że ta zasada stosuje się także do innych zawodów. Co więcej, Brittina Dowd była snobką i w każdą swoją wypowiedź wrzucała więcej niezrozumiałych słów niż mikrobiolodzy. Gdyby jej chudość nie stanowiła przekonującego dowodu wybitnej umysłowości, to intelektualna gadka szmatka załatwiłaby sprawę.

Tego wieczora, gdy Brittina wybierała się na rozmowę w sprawie pracy, Corky zaczął ją czarować jak zaklinacz węży. Od razu okazało się, że dziewczynie brakuje nie tylko jedzenia, ale i komplementów. Chłoneła je jak gąbka i wtedy właśnie po raz pierwszy poszli do łóżka.

Potem została nauczycielką Aelfrica Manheima, dzięki czemu składała w Palazzo Rospo regularne wizyty.

Corky przedyskutował z Rolfem Reynerdem ogólne zarysy zamachu w imieniu nieporządku społecznego; zamierzali dowieść, że nawet osoba o międzynarodowej sławie nie uchowa się przed agentami chaosu. Nie mogli się zdecydować co do kandydata – dopóki Channing Manheim nie zatrudnił kochanki Corky’ego.

Od Brittiny – w łóżku i poza nim – Corky wiele się dowiedział o domu Manheima. To dzięki niej wiedział o linii 24 – a także, co ważniejsze, o ochroniarzu Nedzie Hokenberrym, dzielnym obrońcy Peachesa i Herba, który podobno zostawiał na sekretarce fałszywe wiadomości od zmarłych.

Brittina odmalowała także szczegółowy portret psychologiczny syna Channinga. Wiadomości te mogły się przydać, kiedy Corky zacznie niszczyć psychikę swojego więźnia.

Rozmarzona po szalonym owadzie seksie Brittina nigdy się nie dziwiła, dlaczego Corky dopytuje się o Manheima. Uznała, że robi to ze zwykłej ciekawości. Była spiskowcem mimo woli, naiwną, zakochaną dziewczyną.

- Zrób to – powiedziała teraz. – Zrób to...

A Corky spełnił jej życzenie.

Wicher smagał wąski budynek, deszcz siekł jego chude boki, a Brittina rzucała się na wąskim łóżku jak podniecona modliszka.

Tym razem w ciepłym postcoitalnym przytuleniu Corky nie musiał już jej wypytywać o Manheima. Miał na jego temat więcej informacji, niż potrzebował.

Brittina znowu zaczęła snuć monolog – jak to czasem miała w zwyczaju – o bezcelowości literatury, o przestarzałym słowie pisanym, o nadchodzącym triumfie obrazu nad mową, o tych swoich memach, które miały się przenosić z umysłu do umysłu niczym wirusy, tworząc nowe tory myślenia.

Corky zaczął się obawiać, że jeśli Brittina nie zamilknie, pęknie mu głowa i wtedy rzeczywiście będzie musiał znaleźć nowy sposób myślenia.

W końcu Brittina podniosła się z łoża miłości, klekocząc kośćmi, z zamiarem udania się do łazienki.

Corky sięgnął pod łóżko i wyjął pistolet, który tu wcześniej ukrył.

Strzelił jej dwa razy w plecy. Spodziewał się, że jej ciało rozsypie się w pył, jakby była mumią, ale ona tylko upadła jak długa.

Przez te wszystkie lata zawodowej współpracy Ethan i Hazard postępowali zawsze zgodnie z zasadami. Ale tego grudniowego dnia, kiedy znowu zaczęli ze sobą działać, postanowili zejść na złą drogę. To trochę niepokoiło Ethana, ale dawało mu przyjemną pewność, że przynajmniej to oni panują nad sytuacją.

Kartka na drzwiach Rolfa Reynerda ostrzegała, że mieszkanie numer 28 stanowi miejsce dochodzenia policyjnego i wstęp do niego mają tylko ludzie z wydziału policji oraz prokuratury.

Zlekceważyli ją.

Dziurka od klucza była zaklejona taśmą. Ethan rozciął ją i oddarł.

Hazard miał ze sobą lockaid, pistolet otwierający zamki, wynalazek dostępny jedynie policji i organizacjom pokrewnym. W normalnej sytuacji musiałby uzasadnić jego użycie, wypełniając odpowiednie dokumenty, niemal zawsze opierając się na wydanym nakazie rewizji.

Ale to nie była normalna sytuacja.

Hazard zorganizował lockaida w niekonwencjonalny sposób. Dopóki nie odniesie go do szafki, chodził po cienkiej granicy między praworządnością i upadkiem.

– Kiedy do człowieka przychodzi jakiś facet, który wchodzi w lustro – powiedział – to i tak jest się jedną nogą nad przepaścią.

Wsunął cienkie ostrze lockaida w dziurkę od klucza, przycisnął spust cztery razy, po czym stalowa sprężyna zdołała uwolnić wszystkie zapadki i otworzyć zamek.

Ethan wszedł do mieszkania tuż za nim, zamykając za sobą

drzwi. Usiłował omijać plamy krwi Reynerda na białym dywanie tuż za progiem.

Na ten sam dywan wylał strumienie własnej krwi. Na tym samym dywanie umarł. To wspomnienie znowu stanęło mu przed oczami, zbyt żywe, by uchodzić za sen. Czarno-białe umeblowanie, zdjęcia, ozdoby były dokładnie takie same, jak zapamiętał. Na ścianie wisiało stadko gołębi, uchwycone w pół ruchu skrzydeł. Gęsi szybowały na tle ponurego nieba jak kredowe znaki na szarej tablicy, parlament sów przysiadł na dachu stodoły, deliberując nad przyszłością myszy.

Hazard był tu poprzedniego wieczora, podczas rewizji. Wiedział, co zabrano, a co zostawiono. Poszedł prosto w kątek salonu, gdzie stało lakierowane na czarno biurko z gałkami z imitacji kości słoniowej.

– To powinno być tutaj – powiedział, zaglądnąwszy do każdej szufladki po kolei.

Wrony na żelaznym ogrodzeniu, orzeł na skale, czapla o rozgorączkowanych oczach, równie prehistoryczna jak pterodaktyl. Wszystkie spoglądały na salon jakby z innego czasu, z innych miejsc.

Ethan – w rozkwicie bezwstydnej paranoi – wyczuł, że kiedy przestaje patrzeć na zdjęcia, ptaki odwracają głowy i wpatrują się w niego, doskonale wiedząc, że powinien nie żyć, a człowiek, który zbierał ich podobizny, powinien żyć, by móc je podziwiać.

– Jest – odezwał się Hazard, wyjmując z szuflady pudełko po butach. – Wydruki z banku, zrealizowane czeki.

Usiedli przy kuchennym stole z nierdzewnej stali i czarnego laminatu i zajęli się finansami Reynerda.

Za stołem: okno. Za oknem: burzliwy dzień, cały w odcieniach szarości, w wietrze, deszczu, bez grzmotów i błyskawic, lecz i tak

odpychający, mroczny i brzydki. Było za ciemno. Hazard włączył mały, czarno-biały ceramiczny kandelabr nad stołem.

Jedenaście plików czeków spiętych gumkami, jeden na każdy miesiąc od stycznia po listopad. Zrealizowane czeki z tego miesiąca przyjdą dopiero w połowie stycznia.

Kiedy skończą, będą musieli wszystko odłożyć do pudełka, a pudełko schować do szuflady, tam gdzie znalazł je Hazard. Sam Kesselman, detektyw przydzielony do sprawy morderstwa Miny Reynerd, bez wątpienia po wyzdrowieniu przejrzy te same czeki i przeczyta niedokończony scenariusz aktora.

Ale jeśli będą czekać na Kesselmana, Channing Manheim może kopnąć w kalendarz. Ethan też.

Muszą przejrzeć tylko czeki z pierwszych ośmiu miesięcy, sprzed morderstwa Miny Reynerd.

Hazard wziął dla siebie cztery, pozostałe pliki przysunął do Ethana.

W scenariuszu bezrobotny i niedoceniony aktor zapisał się na kurs aktorstwa na uniwersytecie, gdzie spotkał profesora, planującego morderstwo największego gwiazdora świata. Jeśli ten wymagowany naukowiec naprawdę istnieje, rachunki mogą wskazać uczelnię, od której należy rozpocząć poszukiwania.

Wkrótce stało się jasne, że Rolf Reynerd jest maniakiem edukacji ustawicznej. Na każdym czeku widniały jego notatki, skrupulatne i pomocne. Przez pierwsze osiem miesięcy roku pojawił się na kilku trzydniowych warsztatach aktorskich, pisania scenariuszy, jednodniowym seminarium autopromocji i dwóch kursach literatury amerykańskiej .

– Sześć możliwości – powiedział Hazard. – Przed nami długi dzień.

– Im szybciej je sprawdzimy, tym lepiej – rzekł Ethan. – Ale

Manheim wróci z Florydy dopiero w czwartek po południu.

- I co z tego?

- Mamy cały jutrzejszy dzień.

Hazard spojrział w okno za plecami Ethana, zapatrzył się na burzę, jakby odczytywał los z deszczu niczym z fusów.

- Może nie powinniśmy sobie wiele obiecywać po jutrzejszym dniu - powiedział w końcu. - Mam wrażenie, że nasz czas się kończy.

58

Kości obciążone cienką skórą zwały się z grzechotem na podłogę, bez jednego krzyku, westchnienia, jak również memu.

Na wszelki wypadek Corky miał ochotę jeszcze strzelić Brittinie w tył głowy. Niestety, pistolet zaczął warczeć.

Nawet tłumiki najwyższej jakości z czasem się zużywają. Niezależnie od materiału, przy każdym strzale tłumik się niszczy i traci skuteczność. Co więcej, Corky nie miał tłumika jakości dostępnej agentom CIA. Nie można się spodziewać cudów po dziele aktywisty Greenpeace'u.

Corky oddał do Hokenberry'ego sześć strzałów, do Brittiny dwa. Po ośmiu pistolet znowu zaczął przemawiać pełnym głosem. Być może ostatni strzał nie był jeszcze słyszalny na zewnątrz chudego domu, ale następny na pewno rozlegnie się głośniejsz. Corky umiał podejmować ryzyko, ale w tym wypadku mu się to nie opłacało.

W bagażniku swojego samochodu miał nowy tłumik, a oprócz niego noktowizor i komplet jednorazowych strzykawek z lekami uspokajającymi i truciznami. A także dwa granaty ręczne. Jednak jak zwykle zaparkował parę przecznic od domu Brittiny, na zupełnie innej ulicy. Był przecież profesorem, a ona jeszcze studentką, musieli więc ukrywać swój romans.

Wyprawa do bmw po nowy tłumik wydawała się zbędną komplikacją. Dlatego ukląkł przy byłej kochance i dotknął jej szyi, szukając pulsu.

Martwa.

W łazience umył genitalia, ręce i twarz. Kochanek chaosu nie musi koniecznie zaniedbywać higienę osobistą.

Z apteczki wyjął dużą butelkę płynu do płukania ust. Brittina nie żyje, nie będzie więc urażona. Pociągnął duży łyk i wypłukał gardło.

Jej pocałunki zawsze zostawiały mu niesmak w ustach.

Brittina przeważnie miała pusty żołądek, przez co była w permanentnym stanie kwasicy ketonowej. Jej organizm zmuszony był spalać te niewielkie zapasy tłuszczu, których do tej pory zazdrośnie strzegł. Wśród innych objawów kwasicy znajdują się także mdłości i wymioty, natomiast do milszych objawów należy słodki, owocowy oddech. Corky go lubił, ale po wymianie płynów ustrojowych zawsze czuł kwaśny posmak. Na tym niedoskonałym świecie wszystko ma swoją cenę. W tym wypadku oczywiście Brittina zapłaciła więcej niż on.

Ubrał się pospiesznie. W samych skarpetkach zszedł po wąskich schodkach do ciasnej kuchni na tyłach domu.

Żółty płaszcz przeciwdeszczowy i kapelusz wisiały na wieszaku na małym ganku za kuchnią. Czarne buty stały obok.

Deszcz spływał kaskadami na dach ganku, jak tropikalna ulewa w dżungli. Corky niemal spodziewał się zobaczyć na podwórku wyszczerzone krokodyle i ześlizgujące się z drzew pytony. Schował pistolet do jednej z przestronnych kieszeni płaszcza. Z innej wyjął gumę i przedmiot przypominający pojemnik jogurtu, choć czarny, z czerwonym wieczkiem i bez apetycznych ilustracji owoców.

Nie musiał już szanować czystych podłóg Brittiny, dlatego włożył buty i wrócił do domu. Na winylowej posadzce w kuchni odbiły się ślady jego brudnych gumiaków. Jego zadanie nie było jeszcze zakończone. Zostawił po sobie dowody, które mogły go zaprowadzić nawet na krzesło. Nasienie, włosy, odciski palców – wszystko to należało usunąć.

Od dnia, kiedy zaczął odwiedzać to ciasne domostwo, zjawiał się bez lateksowych rękawiczek, które tradycyjnie wkładał na

miejscach swoich zbrodni. Brittina Dowd, aczkolwiek ekscentryczka, z pewnością nabrałaby podejrzeń względem kochanka w lateksowych rękawiczkach. Schody, węższe i bardziej strome niż jakiegokolwiek inne, prowadziły z kuchni do podziemnego garażu, bardziej mrocznego niż katakumby czy loch. Corky niemal słyszał szelest gromadzących się w ciemnościach pajaków.

Cztery małe okna w drzwiach garażu wpuściłyby trochę światła, gdyby na zewnątrz panował klasyczny kalifornijski dzień. Szara burza nie miała szans przebić się przez zakurzone szkło.

Włączył światło; goła żarówka ledwie wylaniała z mroku Ahura Mazdę – boga zoroastrianizmu. Brittina jeździła mazdą, bez Ahury, ale Corky i tak uważał to za dobry dowcip. Z bagażnika wyjął cztery pojemniki z aerozolem, którym kierowca może nadać kapeć, jednocześnie zalepiając pęknięcie opony. Odłożył je na bok i wyjął dwa puste kanistry.

Nabył je dla Brittiny, oprócz trójkąta. Nalegał, by zawsze wozila to w bagażniku boga Ahury Mazdy. Była wzruszona jego troską i powiedziała, że nawet brylanty nie wydałyby się jej takim potwierdzeniem jego miłości jak te skromne dary. Tymczasem on w ten sposób przygotowywał się do pozbycia jej ciała w dniu, kiedy przyjdzie mu ją zabić.

Corky nie przeczył, że w razie potrzeby potrafi się zdobyć na ujmująco romantyczne gesty, ale jednak miał większy talent do drobiazgowych przygotowań. Czy chodziło o pieczenie indyka na Święto Dziękczynienia, czy o morderstwo niewygodnej kochanki, czy też porwanie syna największego gwiazdora filmowego na świecie, podchodził do swojego zadania z uwagą i cierpliwością, starannie opracowując strategię, a także taktykę zapewniającą murowany sukces.

Brittina nigdy nie spytała, po co jej dwa kanistry benzyny, skoro może unieść tylko jeden. A on wiedział, że go o to nigdy nie zapyta, ponieważ jako osoba zainteresowana obrazami, memami i

utopijnymi wizjami nigdy nie miała przekonania do matematyki czy logiki.

Odstawił dwa puste kanistry na podłogę. Zanurzył gumową rurkę w kanistrze i w baku samochodu. Zaczął ssać drugi koniec i za chwilę z rurki trysnęła benzyna. Dzięki doświadczeniu udało mu się nie nabrać do płuc oparów i nie napić się więcej pierwszorzędnego produktu Shella, niż to było absolutnie konieczne. Strumień popłynął wartko prosto w pierwszy kanister.

Po napełnieniu obu Corky zaniósł je na parter. Z pozostawionej w jednym kanistrze rurki ciekła benzyna.

Wrócił po cztery puszki aerozolu. W kuchni ustawił je na najniższym poziomie piekarnika. Dwie następne umieścił wyżej.

Wchodząc na górę z dwoma kanistrami, wyłączył termostat na parterze, a potem drugi na piętrze. Dzięki temu iskra z instalacji elektrycznej nie zdoła doprowadzić do wybuchu nagromadzonych oparów benzyny, zanim Corky opuści dom.

Oblał nagie ciało Brittinny Dowd. Jej długie włosy posłużą jako lont, ale ciało nie miało dość tłuszczu, by sprawdzić się jako podpałka.

Następnie hojnie chlusnął benzyną na rozbebeszone łóżko. Zignorował dwa inne pokoje, ponieważ nigdy ich nie odwiedził. Z sypialni przeniósł się po wąskich schodach w górę. U szczytu schodów odstawił pusty kanister i wziął drugi. Krążył pomiędzy pokojem, jadalnią i kuchnią. Tam odstawił kanister na próg. Z kieszeni wyjął obiekt wielkości pojemnika na jogurt – chemiczny detonator.

Jego obudowa była dość plastyczna. Urobił ją tak, by zmieściła się w otworze kanistra. W środku zostało jeszcze sporo benzyny.

Zdarł kapsel z zapalnika. Zainicjował w ten sposób proces chemiczny, który wywoła gwałtowne ocieplenie, a za cztery minuty

eksplozję tak gwałtowną, że benzyna się zapali i ognista ścieżka rozwinie się aż po sypialnię i zwłoki.

Lepiej, żeby teraz nikt nie zadzwonił do drzwi.

Oczywiście nic takiego się nie zdarzyło, gdyż oprócz dopracowanej strategii i drobiazgowych przygotowań mógł liczyć na swoje szczęście. Jego aniołem stróżem był chaos, a on zawsze znajdował się w oku niszczycielskiego cyklonu.

Wrócił do piekarnika i włączył go na cykl samooczyszczania.

Temperatura szybko doprowadzi do rozprężenia zawartości puszek, które w rezultacie wybuchną. Zablokował drzwi. Teraz fala uderzeniowa pójdzie w górę. Można liczyć na wyciek gazu i większy wybuch.

Sam wybuch piecyka ostatecznie nie zniszczy domu. Benzyna, którą hojnie rozlał w domu i garażu, strawi każdy ślad jego DNA, nasienia, włosów i odcisków palców. Mimo to postanowił się zabezpieczyć na każdą okoliczność.

Na ganku ubrał się w obszerny żółty płaszcz. Wcisnął na głowę kapelusz z obwisłym rondem.

Wyszedł na schody. Przemierzył podwórze, przekroczył bramę, nie oglądając się ani razu na wychudły dom.

W deszczu rozkwitał.

Z nieba lały się strugi wody. Po chodnikach toczyły się obfite fale.

Ulewa nie ugasi pożaru. Podsycane benzyną płomienie przeżrą drewnianą strukturę, zanim ściany się zawalą i otworzą na deszcz. Burza była jego sprzymierzeńcem. Dzięki niej strażacy nie dojadą na czas.

Ledwie skręcił za róg, skąd mógł dojrzeć swoje bmw, rozległ się pierwszy wybuch. Jeszcze cichy, zduszony, lecz paskudny.

Wkrótce chaos strawi każdy ślad, który mógłby powiązać
Corky'ego z przyszłymi wypadkami w Palazzo Rospo.

Z położonych dalej pokojów Fric zabrał latarki, które schował do piknikowego koszyka.

Dom wraz z przyległymi budynkami został wzmocniony z myślą o wstrząsach sejsmicznych. Dzięki nowym zabezpieczeniom miał wytrzymać niemal bez szwanku nawet dwuminutowe trzęsienie osiągające osiem stopni w skali Richtera.

Przeważnie osiem stopni oznacza trzęsienie typu „żegnaj, świecie”. Tak potężne trzęsienia ziemi występują tylko w filmach.

Ale gdyby takie trzęsienie uszkodziło miejską elektrownię, dom zaczęłyby zasilać generatory na benzynę w podziemnym schronie o betonowych, grubych i specjalnie wzmocnionych ścianach i suficie. Nawet po katastrofie, która dotknęłaby całą okolicę, Palazzo Rospo byłby rześście oświetlony, jego komputery nadal by pracowały, windy jeździły, lodówki mroziły.

Granitowa fontanna w ogrodzie różanym, przedstawiająca siusiające cherubiny, ciurkałaby w nieskończoność.

Wynalazek ten byłby mniej użyteczny, gdyby pod Los Angeles wybuchły nieodkryte dotąd wulkany, które zalałyby wszystko rzekami płynnej lawy. Albo gdyby na Bel Air spadła planetoida. Ale nawet tak słynne i bogate gwiazdy jak Ojciec Duch są bezbronne w obliczu kataklizmów na skalę globalną.

Gdyby szwajcarskie generatory z bunkra przestały pracować, wówczas natychmiast ożyłyby rzędy akumulatorów niczym z zamku Frankensteina, każdy wielki jak postawiona pionowo trumna. Przez dziewięćdziesiąt sześć godzin mogły zasilać oświetlenie, komputery, system alarmowy i inne istotne urządzenia.

Gdyby elektrownia przestała działać, gdyby generatory

zawiodły, gdyby gigantyczne akumulatory okazały się bezużyteczne, w całym domu znajdowało się wiele laterek na wypadek trzęsienia ziemi. Fric uważał w cichości ducha, że taka seria nieszczęśliwych wypadków może zaistnieć tylko w razie ataku kosmitów z podręcznymi atomówkami.

Pani McBee twierdziła, że w domu znajduje się 214 takich laterek, dlatego można było się założyć o wszystko, że jest ich dokładnie tyle, a nie na przykład 213 lub 215. Te małe, lecz silne latarki były zawsze podłączone do kontaktu, ponieważ nieustannie się ładowały. Gdyby zabrakło elektryczności, natychmiast by się zapaliły, zapewniając dostateczne oświetlenie, by można się było bezpiecznie wydostać z domu nawet w najciemniejszą noc. Co więcej, można je było wyjąć z kontaktu i traktować jak zwykłe latarki.

Latarki były dopasowane kolorystycznie do listew podłogowych, przy których się znajdowały: beżowe na piaskowcu, ciemnobrązowe na mahoniu, czarne na czarnym marmurze... Na co dzień miały się nie rzucać w oczy. Kiedy sieje codziennie widziało, przestawało sieje zauważać.

Tylko pani McBee zorientowałaby się, że zabrakło tuzina. Ale pani McBee wróci dopiero w czwartek rano.

Mimo to Fric wziął latarki tylko z najbardziej oddalonych i rzadko uczęszczanych pokoi, by ich zniknięcie nikogo nie zainteresowało. Latarki były mu potrzebne do kryjówki.

Schował je do piknikowego kosza, ponieważ miał on wieko na zawiasach. Przy zamkniętym wieku żaden przypadkowo spotkany pracownik domowego personelu nie zobaczy zawartości kosza.

Jeśli ktoś go spyta, co ma w koszu, skłamię, że kanapki. I powie, że w sali bilardowej zrobi sobie namiot z koca i będzie udawać Indianina ze szczepu Czarnych Stóp, żyjącego około roku 1880.

Pomysł w bawienie się w Indianina był oczywiście bezdennie głupi, ale dorośli na ogół sądzą, że niewydarzony dziesięciolatek ma właśnie takie pomysły, toteż wszyscy mu uwierzą i pewnie jeszcze będą współczuć.

Lepiej, żeby mu współczuli, niż uważali go za szalonego jak dwugłowy kot Barbry Streisand.

Było to jedno z powiedzonek Ojca Ducha. Kiedy uważał, że ktoś ma nie po kolei pod sufitem, mawiał: „Gość jest szalony jak dwugłowy kot Barbry Streisand”. Dawno temu Ojciec Duch podpisał kontrakt na film w reżyserii Barbry Streisand. Coś się bardzo nie udało i w końcu musiał się wycofać. Nigdy nie powiedział o pani Streisand złego słowa, ale to nie znaczy, że oboje byli ze sobą tak zaprzyjaźnieni jak zwierzątka z „O czym szumią wierzby”.

W przemyśle filmowym wszyscy udają przyjaciół, nawet jeśli życzą sobie śmierci w powolnych męczarniach. Całują się, ściskają, klepią po plecach, chwalać się tak przekonująco, że nawet Sherlock Holmes nie potrafiłby wydedukować, kto chce tu kogo zabić.

Ojciec Duch twierdził, że nikt z tej branży nie ośmieli się powiedzieć prawdy o nikim, bo wszyscy są zdolni do zemsty tak krwawej, że przestraszyłaby nawet najokrutniejszego mafiosa.

Barbra Streisand nie ma i nigdy nie miała dwugłowego kota. To tylko „metafora”, jak określił to ojciec Frica, jakiejś postaci, którą chciała włączyć do scenariusza już po tym, jak Ojciec Duch podpisał umowę na grę w filmie bez dwugłowych czworonogów.

Ojciec Duch uznał, że dwugłowy kot jest kompletnie chorym pomysłem, za to według pani Streisand był on murowanym kandydatem do góry Oscarów. Dlatego w końcu doszli do wniosku, że nie mogą się ze sobą dogadać, ucałowali się, przytulili, pochwalili i rozstali bez rozlewu krwi.

Dziś rano przed kuchnią, kiedy Fricomal nie opowiedział panu Trumanowi o człowieku z lustra, Molochu i reszcie, znalazł się

niebezpiecznie blisko kategorii „szalony jak dwugłowy kot Barbry Streisand”. Nigdy więcej nie popełni tego błędu.

Jego matka raz wylądowała w domu wariatów.

Po dziesięciu dniach ją wypuścili.

Jeśli Fric zacznie teraz bredzić o ludziach wychodzących z lustra, nie wypuszczą go z wariatkowa i za dziesięć lat. Co gorsza, jeśli znajdzie się w domu wariatów, Moloch będzie doskonale wiedzieć, gdzie go szukać. W zamkniętej celi nie ma się gdzie ukryć.

Szedł cichutko z piknikowym koszem, jakby się wybierał na poszukiwanie wielkanocnych pisanek, ukradkiem zabierał latarki z tylnej klatki schodowej, bocznego korytarza, saloniku, pokoju do medytacji i nieustannie sobie przypominał: „kanapki, kanapki”, bo bał się, że kiedy w końcu spotka pokojówkę albo sprzątacza, zaniemówi i zapomni, co miał powiedzieć.

Nie był urodzonym kłamcą. W mieście, gdzie trzeba kłamać, żeby nie wyjść na nienormalnego, w mieście, gdzie trzeba kłamać, żeby przeżyć, nieumiejętność oszukiwania mogła spowodować śmierć.

– Kanapki, kanapki...

Był koszmarne nieudolnym kłamcą.

I był też sam. Nawet z tym niewydarzonym aniołem stróżem był naprawdę sam.

Za każdym razem, kiedy mijał jakieś okno, przypominał sobie, że ten burzliwy dzień szybko się skończy, a w nocy najprawdopodobniej zjawi się Moloch.

Za niski jak na swój wiek, za chudy, beznadziejny kłamca, w dodatku sam. Nie miał nic na swoją obronę.

– Szanapki – wymamrotał pod nosem. – Szanapki z kasłem i mynką.

Już po nim.

60

Palmy szeleściły pierzastymi liśćmi jak gnące się na burzy drzewa z „Key Largo”. Ulice były zakorkowane, wycieraczki autobusów, samochodów, ciężarówek i jeepów nie nadały z wycieraniem strumieni deszczu, ich boczne szyby były zaparowane, klaksony ryczały, hamulce piszczały, silniki wyły, nad jezdnią unosiła się niemal widoczna chmura wściekłości, przypominająca pierwszą scenę z „Upadku” – bez letniego upału i Michaela Douglasa, choć Ethan podejrzewał, że Michael Douglas także może tu gdzieś tkwić, po cichu osuwając się w obłąd, jak jego bohater. Pod markizą księgarni stała grupa zakolczykowanych, nastroszonych, wymalowanych punków, na czarno od stóp do głów. Jeden był w meloniku, wskutek czego wyglądał jak żywcem wyjęty z „Mechanicznej pomarańczy”. Pojawiła się grupka nastoletnich uczennic, bez wyjątku prześlicznych, cieszących się chwilową wolnością, bez parasolek, z ociekającymi włosami, każda udająca Holly Golightly z remake’u „Śniadania u Tiffany’ego”, tym razem nakręconego na dzikim wybrzeżu trzy tysiące kilometrów od pierwotnego miejsca akcji. Burza sprowadziła mrok na miasto, jakby jakiś reżyser zarządził nocne zdjęcia. Wszystkie neony, światła, latarnie i azjatyckie lampiony, zdobiące ulice w politycznie poprawnym niereligijnym świątecznym duchu, oraz reflektory samochodów migotały i odbijały się w wystawach, w ścianach szklanych budynków wzniesionych jak wariackie wyzwanie rzucone trzęsieniom ziemi, w mokrych chodnikach, migotały jak cekiny w pióropuszech spalin, kojarząc się z ujęciami z „Łowcy androidów”.

Ten dzień był jednocześnie zbyt prawdziwy i fantastyczny, jakby hollywoodzkie wizje gdzieśgdy upiększały miasto, a gdzieśgdy je szpeciły, jakby się zmieniały na każdym rogu, jakby wszystko straciło swój ciężar gatunkowy.

Ethan i Hazard siedzieli w fordzie; sedan Hazarda został w garażu szpitala Matki Boskiej od Aniołów. Ethan nie miał odznaki, dlatego nie mógł nikogo zmusić do zeznań. Za to jego kolega mógł i zmuszać, i prowadzić.

Aby sprawdzić sześć kandydatur, musieli przekroczyć zasięg jurysdykcji nie tylko wydziału policji w Los Angeles. Nawet Hazard nie mógłby występować legalnie, nie przygotowawszy sobie gruntu poprzez odpowiednie posunięcia. Teraz nie mieli czasu na regulamin.

Hazard siedział na fotelu pasażera, rozmawiał przez telefon, używając najróżniejszych tonów: od uprzejmego i niemal romantycznego pomruku po rozkazujący wrzask, choć najczęściej uciekał się do luzackiego tonu policjanta, jakim zwykle wymuszał współpracę na biurokratach wyższego szczebla.

Uczelnie w całym okręgu Los Angeles były zamknięte. Zostali w nich tylko nieliczni pracownicy do opieki nad tymi studentami, którzy nie pojechali do domu.

Hazard za każdym razem czarował, odwoływał się do sumienia obywatelskiego, groził i nalegał, aż w końcu znajdował kogoś, kto mógł mu udzielić potrzebnych informacji.

Już teraz dowiedzieli się, że wykładowca sztuki dramatycznej – doktor Jonathan Spetz-Mogg – zorganizował oba warsztaty aktorskie, za które zapłacił Rolf Reynerd. Umówili się na spotkanie w jego domu w Westwood, do którego właśnie zmierzali.

Szukając doktora Geralda Fitzmartina, który zorganizował trzydniową konferencję dotyczącą pisania scenariuszy, Hazard tak się wściekł na zbywających go biurokratów, że omal nie zaczął się bić po głowie służbowym telefonem komórkowym.

- Wszystkie te akademickie padalce nienawidzą policjantów!
- Chyba że was potrzebują – dodał Ethan.

- Tak, wtedy nas kochają.

- Kochają? Nigdy. Ale jeśli macie im uratować tyłki, będą was tolerować.

- Znasz ten cytat z Szekspira?

- Jest ich więcej niż jeden.

- O tym, jak naprawić świat.

- Zabić wszystkich prawników.

- Właśnie. Ale nie przyszło mu do głowy, kto kształci prawników.

- Akademickie padalce.

- Właśnie. Żeby naprawić świat, należy sięgnąć do źródeł.

Korek robił się coraz gorszy. Ford przytulił się do czarnego mercedesa, na szczęście ścierając z niego nie lakier, a krople deszczu.

Ethan drgnął; wydało mu się, że widzi na chodniku Frica, samotnego między obcymi ludźmi. Przyjrzał się dokładniej i zrozumiał, że chłopiec jest młodszy od syna Manheima i że idzie za rodzicami.

Od opuszczenia szpitala ciągle mu się wydawało, że widzi Frica. Nerwy mu puszczały.

- Co z Lalą na Falach? - spytał. - Dostałeś wyniki z laboratorium?

- Nie sprawdzałem. Jeśli będę miał prawdziwe dowody przeciwko mojemu politykowi, dostanę drgawek na myśl, że on tam sobie chodzi jak paw, jak sam Pan Bóg, co jest jeszcze bardziej wkurzające, kiedy się pomyśli, jak oszukiwał podczas wyborów. Do laboratorium zadzwonię jutro albo pojutrze, kiedy wyjaśnimy naszą sytuację.

- Bardzo cię za to przepraszam.

- Jeśli przepraszasz za nos, to go sobie popraw. Za wszystko inne nie musisz.

- Obiad i tych parę mamouli to za mało za tyle kłopotów.

- To nie ty wywróciłeś mi świat do góry nogami. Jakiś gość daje mi dzwoneczki, które nie mają prawa istnieć, po czym wchodzi do lustra. Wątpię, żeby to była twoja wina.

Hazard sięgnął obiema rękami pod kurtkę i obciągnął bawełniany sweter.

- Jakoś się poprawiłeś od wczoraj – zagadnął Ethan.

- Aha. Dzięki kamizelce.

- Nie wiedziałem, że nosisz.

- Przyszło mi do głowy, że chyba ominęło mnie więcej pocisków niż normalnego człowieka. Skończył mi się przydział. Co nie znaczy, że przestałem być nieustraszony.

- Wcale tego nie powiedziałem.

- Jestem wystraszony jak cholera, ale nadal nieustraszony.

- Słuszne podejście.

- Podejście, które pozwala przeżyć.

- Co jest niedobrze z moim nosem?

- A co jest dobrze?

Deszcz raptem załomotał mocniej o dach. Ethan nastawił wycieraczki na maksimum.

- Jak koniec świata – odezwał się Hazard.

61

Po rozmowie telefonicznej z rozgorączkowanym kapitanem Queegiem von Hindenburgiem, Corky Laputa musiał się wybrać w niezaplanowaną podróż w dalsze rejony Malibu.

Mieszkaniec Malibu, który obecnie występował jako Jack Trotter, był posiadaczem domu, prawa jazdy i płatnikiem możliwie najmniejszych podatków jako Felix Greene. Greene, alias Trotter, niegdyś występował także jako Lewis Motherwell, Jason Barnes, Bobby Domino i wielu innych.

Czterdzieści cztery lata temu, kiedy Jack Felix Lewis Jason Bobby przyszedł na świat, rodzice nazwali go Norbert James Creezel. Na pewno go kochali, a jako prości wieśniacy z Iowa nawet sobie nie wyobrażali, że Norbert wyrośnie na tak przedziwne zjawisko jak kapitan Queeg von Hindenburg.

Corky nazywał go kapitanem Queegiem, ponieważ dostrzegł w nim paranoję i megalomanię postaci Hermana Wouka z „Buntu na okręcie”. Von Hindenburg pasował do niego, ponieważ – podobnie jak ów niemiecki zeppelin, w którego katastrofie w Lakehurst w New Jersey w 1937 roku zginęło trzydzieści sześć osób – był tak samo nadęty i zostawiony samemu sobie mógł doprowadzić do efektownej katastrofy.

W drodze do Malibu Corky wstąpił do wynajmowanego garażu w Santa Monica. Wynajął go pod nazwiskiem Moriarity, a comiesięczną należność opłacał gotówką.

W garażu czekał czarny land-rover. Corky nabył go na firmę Kurtz Ivory International, nieistniejącą, lecz mającą świetne dokumenty.

Zaparkował bmw koło land-rovera, wysiadł, zamknął garaż i

zapalił światła.

To brzydkie pomieszczenie, śmierdzące zimnym betonem, słodko-kwaśnym zapachem starych plam benzyny i słabym, lecz wciąż gryzącym odorem środka owadobójczego przeciwko termitom, rozpylonego tu przed miesiącem, było dla Corky'ego pełne magii. To tutaj, niczym mroczny Bruce Wayne w swojej jaskini, Corky przemieniał się w mrocznego rycerza, choć jego zamiary bardziej przypadłyby do serca Jokerowi niż Batmanowi w pelerynie i rajtuzkach.

Rzucone do walki między niebem i ziemią armie deszczu maszerowały po dachu z blachy falistej, hałasując tak, że nie usłyszałyby własnego głosu, gdyby znowu zachciało mu się śpiewać „Shake Your Groove Thing”.

Włączył elektryczny grzejnik, zdjął płaszcz i kapelusz. Powiesił je na wieszaku na ścianie.

Po lewej stronie w głębi znajdowały się cztery wysokie metalowe szafki. Corky otworzył pierwszą. Na drążku wisiały dwa winylowe pokrowce na ubrania. W plastikowym pudełku na półce powyżej spoczywały skarpetki, krawaty, parę tanich błyskotek dla mężczyzn, zegarek i inne drobiazgi, budujące fałszywą tożsamość. Na podłodze stały buty.

Corky zdjął gumki i dwie pary skarpetek, rozebrał się do bielizny i włożył szare sztruksy, czarny golf, czarne skarpetki i czarne półbuty.

W głębi garażu znajdowała się kombinacja warsztatu i szafki na narzędzia, a tam ukrywała się przestronna tajna szuflada projektu Corky'ego. Kryła wybór broni palnej oraz pliki fałszywych dokumentów.

Corky zapiął kaburę pod pachą. W środku znajdował się dziewięćmilimetrowy glock. Swoją portfel wymienił na taki, z jakim mógł wyruszyć w dalszą drogę – z prawem jazdy, ubezpieczeniem,

paroma kartami na inne nazwisko oraz ze zdjęciami żony i rodziny, której nie miał. W przegródce portfela znajdowało się nawet pięćset dolarów gotówką.

W zestawie tym znajdowała się także metryka, paszport i skórzana okładka z legitymacją FBI, jednak do zadania, które go czekało, nie były mu potrzebne. Za to zabrał ze sobą inną wąską skórzaną okładkę z fałszywą, lecz przekonującą legitymacją pracownika Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, gdyż jako taki przedstawił się Queegowi.

Na widok tej skromnej legitymacji każdy obywatel zaczynał gorliwie współpracować – jednak nie można jej było pokazywać żadnemu stróżowi prawa. Corky nigdy by się nie ośmielił machać nią przed nosem policjantowi.

Prawo jazdy było autentyczne, toteż mogło wytrzymać inspekcję każdego gliniarza. Ponadto konto na to nazwisko było absolutnie czyste.

Kalifornia już dawno straciła kontrolę nad wieloma agencjami, w tym Departamentem Pojazdów Mechanicznych. Niektórzy skorumpowani pracownicy co roku sprzedawali dziesiątki tysięcy autentycznych praw jazdy ludziom w rodzaju Micka Sachatone'a, multimilionera-anarchisty, który regularnie zaopatrywał Corky'ego w jednorazowe telefony komórkowe na fałszywe nazwiska.

Mick – oraz inni pośrednicy – nieźle zarabiał na sprzedawaniu praw jazdy nielegalnym imigrantom i kryminalistom, którzy odsiedziawszy swoje, szczerze pragnęli rozpocząć nowe przestępcze życie pod nazwiskiem niekojarzącym się z niczym nieprzyjemnym, siewcom chaosu w rodzaju Corky'ego i wielu innym.

Zaopatrzony w zadowalającą liczbę dokumentów, z glockiem pod lewą pachą, Corky włożył stylowy płaszcz z czarnej skóry, uszyty tak, by maskować kaburę. Dwa zapasowe magazynki włożył do kieszeni. Zamknął szafkę oraz tajną szufladkę w warsztacie,

wyłączył ogrzewanie.

Usiadł za kierownicą land-rovera, otworzył pilotem drzwi garażu. Wyjechał tyłem na spływający deszczem zaułek.

Do Santa Monica przybył jako Corky Laputa. Wyjechał jako Robin Goodfellow, pracownik Agencji Bezpieczeństwa Narodowego.

Zaczekawszy, aż drzwi domkną się do końca, wcisnął drugi guzik pilota, uruchamiający elektryczny zamek tych podwójnie strzeżonych od drzwi.

W odtwarzaczu CD w land-roverze znajdowały się symfonie i opery Richarda Wagnera, ulubionego kompozytora Robina Goodfellowa. Corky puścił „Pierścień Nibelungów” i ruszył przez deszcz w stronę Malibu, by odbyć poważną rozmowę w cztery oczy z człowiekiem, który dziś wieczorem niepostrzeżenie wprowadzi go na teren posiadłości Manheima.

Corky kochał swoje życie.

– Kanapki – powiedział Fric.

Idiota, idiota, idiota.

Przeniósłszy tuzin latarek do kryjówki, postanowił odnieść pusty koszyk do magazynu, gdzie składowano sprzęt do pielęgnacji trawnika i rzeczy z patia. Postąpił tak z powodów, które wówczas wydawały mu się sensowne, choć teraz nie potrafił ich sobie przypomnieć.

Pan Devonshire, sprzątacze – ten z angielskim akcentem, krzaczastymi brwiami i chorym lewym okiem, które miało tendencje do zezowania w stronę skroni – zaskoczył Frica na parterze w zachodnim korytarzu, na którego końcu znajdował się magazyn.

– Co tam masz? – zagadnął go przyjaźnie.

– Kanapki – odparł Fric. I powtórzył jeszcze raz: – Kanapki.

To była cholernie idiotyczna odpowiedź, zwłaszcza że niewiadomo, po co ją powtórzył. Przecież kiedy pan Devonshire go zobaczył, machał tym koszykiem na wszystkie strony, i to tak, że od razu było widać, iż jest lekki.

– Jakie kanapki? – spytał pan Devonshire.

– Z szynką – wydukał Fric, bo tylko tak prostej odpowiedzi nie mógł schrzanić na dziewięć tysięcy sposobów, co prawdopodobnie uczyniłby z kwestią „z masłem i szynką”.

– Czyli urządzasz piknik, tak? – spytał pan Devonshire; jego lewe oko z wolna zaczęło zezować na zewnątrz, jakby chciał się za siebie obejrzeć, nie odrywając jednocześnie spojrzenia od Frica.

Kiedy pan Devonshire zaczął pracować w Palazzo Rospo, Fric myślał, że tym okiem potrafi rzucać uroki. Pani McBee wyprowadziła

go z błędu i zasugerowała, żeby zapoznał się bliżej z tym tematem. Teraz Fric już wiedział, że pan Devonshire cierpi na niedowidzenie. Nie każdy wie, że istnieje taka choroba. Fric lubił wiedzieć o rzeczach nieznanym innym ludziom.

Już dawno nauczył się patrzeć tylko w zdrowe oko pana Devonshire'a, ale teraz nie potrafił się do tego zmusić. Okropnie się wstydził za te ciągłe kłamstwa, dlatego nieustannie spoglądał w niedowidzące oko sprzątacza.

W końcu, żeby nie wprowadzić w zakłopotanie siebie i jego, wbił wzrok w podłogę.

– Tak, właśnie piknik, tylko dla mnie, tak dla odmiany, hm.

– A gdzie go zrobisz? – spytał pan Devonshire.

– W ogrodzie różanym.

– W taki deszcz? – zdziwił się pan Devonshire.

Idiota, idiota, idiota. Zapomniał o deszczu!

– To znaczy, hm, w salonie różanym.

Służba nazywała tak niewielki salonik na parterze. Z jego okien widać było miejsce, w którym dawniej znajdował się ogród różany.

Parę lat temu pod wpływem nalegań konsultanta *feng shui* ogród różany został przeniesiony daleko od domu. Na jego miejscu zasiano trawę, a na środku trawnika wzniesiono potężną nowoczesną rzeźbę, którą Nominalna Matka podarowała Ojcu Duchowi na dziewiątą rocznicę ślubu – a w owym czasie już od ośmiu lat byli rozwiedzeni.

Nominalna Matka opisała rzeźbę jako „futurystyczny organiczny styl zen”. Według Frica wyglądało to jak ogromna sterta końskich odchodów.

– Dziwne miejsce na piknik – zauważył pan Devonshire, bez wątplenia myśląc o oknach z widokiem na stertę nawozu w stylu

zen.

– Hm, przypomina mi mamę – wybełkotał Fric tak idiotycznie, że prawie genialnie.

Pan Devonshire przez chwilę milczał.

– Wszystko w porządku, Fric?

– Hm, pewnie, tylko ten deszcz mnie trochę denerwuje.

Po następnej pauzie, na szczęście krótszej, sprzątac powiedział:

– No, to smacznego. Zjedz wszystkie kanapki.

– Dziękuję. Zjem. Sam je zrobiłem. – Był najgorszym kłamcą na świecie. – Z szynką.

Pan Devonshire ruszył północnym korytarzem, a Fric tylko stał, idiotycznie trzymając koszyk, jakby coś w nim miał.

Sprzątac już dawno zniknął za zakrętem, a Fric nadal za nim patrzył. Był pewien, że pan Devonshire czeka tuż za rogiem, a jego niesamowite lewe oko wysunęło się mu z głowy i zaraz wyjrzy zza ściany.

Magazyn, do którego zmierzał Fric, nie służył wyłącz – niejako skład narzędzi ogrodniczych. Podczas złej pogody chowano tu poduszki z ponad stu krzeseł i ławek, a czasami także same krzesła i ławki. W tym wielkim pomieszczeniu było miejsce także na parasole ogrodowe, sprzęt sportowy, na przykład młotki do krykieta, a także inne pokrewne drobiazgi, jak właśnie koszyki piknikowe.

Po rozmowie z panem Devonshire'em Fric nie mógł już zwyczajnie odnieść koszyka do magazynu. Jeśli teraz pokaże się bez niego, zostanie uznany za podstępny kłamcę, który na pewno stoczy się na margines społeczny. Od tej pory personel będzie go obserwował ze wzmożoną podejrzliwością. A wówczas jego kryjówka wyjdzie na jaw.

Skoro już się zaplątał w historię o pikniku, musi w nią brnąć. Będzie musiał zataszczyć koszyk do salonu różanego i usiąść przy oknie, by spoglądać na ogród, którego tam już nie ma, jedząc na niby nieistniejące kanapki.

A Tajemniczy Rozmówca ostrzegał go przed kłamstwem.

Skoro Fric nie potrafił sobie poradzić z miłym panem Devonshire'em, to jak się obroni przed Molochem?

Wreszcie uznał, że sprzętacz jednak nie czai się za rogiem.

Z miną zdecydowanie zbyt ponurą jak na kogoś, kto wybiera się na piknik, lecz niezdolny do uśmiechu, zaniósł cholerny koszyk z północno-zachodniego krańca domu do jego północno-wschodniego rogu, do salonu różanego.

Jack Trotter, znany światu pod wieloma innymi mianami, dla Corky'ego – Queeg von Hindenburg – nie zamieszkiwał eleganckich dzielnic Malibu. Rezydował z dala od malowniczych wzgórz i plaż, na których aktorzy, gwiazdy rocka oraz bajecznie bogaci założyciele firm komputerowych pławia się w słońcu, bawią i wymieniają się przepisami na ciasteczka z marihuaną. Mieszkał za wzgórzami, bez widoku na morze, w jednym z tych rustykalnych kanionów, które podobają się nie tylko miłośnikom koni i prostego wiejskiego życia, lecz także ćpunom uprawiającym marihuanę w ogrzewanych lampami stodołach i bunkrach, ekoterrorystom planującym zniszczyć cały handel samochodami, by ocalić zagrożone koszatki, oraz sektom czczącym UFO.

Cztery akry ziemi Trottera otaczał płot, rozpaczliwie domagający się odmalowania. Brama była zwykle zamknięta, by odstraszyć gości. Dziś stała otworem, ponieważ Trotter bał się, że Corky – znany mu jako Robin Goodfellow, straszliwy agent federalny – przejedzie po niej, wyrywając ją z zawiasów, tak jak to mu się już zdarzyło.

Na końcu zwirowanego podjazdu stała hacjenda o żółtych ścianach i obnażonym belkowaniu. Nie była na tyle zniszczona, by zasłużyć na miano ruiny, ani na tyle brudna, żeby nazwać ją chlewem, ale znajdowała się w stanie stylowego zaniedbania. Trotter nie wydawał pieniędzy na dom, ponieważ spodziewał się, że lada chwila będzie musiał uciekać. Człowiek z głową w gilotynie żyje w mniejszym napięciu niż Jack Trotter.

Jako wyznawca spiskowej teorii świata uważał, że krajem rządzą ukryte siły, które wkrótce zniszczą demokrację i narzucą wszystkim brutalną, bliżej nieokreśloną dyktaturę. I wypatrywał pierwszych oznak nadchodzącego kryzysu. Obecnie uważał, że

awangardą zniszczenia są pracownicy poczty. Według niego nie byli zwykłymi urzędnikami, za jakich się podawali, lecz doskonale wyszkolonymi żołnierzami przebranymi za niewinnych listonoszy.

Przygotował sobie wiele kryjówek, jedną bardziej odległą od drugiej. Miał nadzieję, że zanim zacznie się krwawa łaźnia, zdoła opuścić cywilizację. Bez wątpienia uciekłby już po pierwszej wizycie Corky'ego, gdyby nie uważał, że jako Robin Goodfellow zna on wszystkie jego kryjówki i dopadnie go z bandą bezlitosnych listonoszy-zabójców.

W pewnej odległości od domu znajdowała się stara stodoła i nieco nowszy budynek z prefabrykatów. Corky bardzo niewiele wiedział o tym, co Trotter w nich robi, udawał jednak, że się doskonale orientuje.

W skwarze lata prawdziwym zagrożeniem dla Trottera był pożar, nie tajne knowania rządu. Porośnięte roślinnością strome zbocza za jego posiadłością, podobnie jak wąwóz pełen suchych krzaków, w połowie sierpnia paliłyby się równie ochoczo jak dom Brittiny Dowd. Oczywiście obecnie te zbocza były nasiąknięte deszczówką i groziły raczej lawiną błota. W tym terenie ściany kanionu mogły się osunąć tak niespodziewanie, że nawet pełnokrwisty paranoik z nieustannie napiętymi nerwami mógłby nie zdołać umknąć przed potopem. Gdyby Trotter nawet zdążył poderwać się do ucieczki na pierwszy sygnał zagrożenia i tak mógłby zginąć żywcem pogrzebany wraz z innymi stworzeniami.

Corky uwielbiał południową Kalifornię.

Trotter, na razie żywy, czekał na swojego gościa na werandzie. O ile to było możliwe, wolał bronić Corky'emu dostępu do domu.

Podczas jednej z poprzednich wizyt Corky tak głęboko wszedł w rolę brutalnego agenta rządowego, który używa konstytucji Stanów Zjednoczonych jak papieru toaletowego, że brzydko się zachował. Nie uszanował prawa własności Trottera. Był brutalny.

Dwudziestego pierwszego grudnia Corky nadal nie czuł w sobie świątecznego nastroju. Był dziś elfem o temperamencie punka.

Zaparkował dziesięć kroków od werandy, ale przeszedł przez deszcz spokojnym krokiem, nie biegnąc, ponieważ Robin Goodfellow nie należał do ludzi, na których brzydka pogoda ma jakikolwiek wpływ.

Wszedł po trzech schodkach na werandę, wyjął z kabury glocka i przycisnął lufę do czoła Trottera.

- Powtórz to, co powiedziałeś przez telefon.
- Cholera – wybełkotał Trotter. – Przecież to prawda.
- Gówno prawda – odparł Corky.

Trotter był równie rudy jak Kot z Cheshire, który bawił się z Alicją w Krainie Czarów. Miał też wytrzeszczone, wylupiące oczy Szalonego Kapelusznika. Nerwowo poruszał nosem, wskutek czego wydawał się podobny do Białego Królika. Jego nabrzmiała twarz i wielkie wąsy przypominały słynnego Morsa i w ogóle wyglądał jak wszyscy bohaterowie Lewisa Carrolla razem wzięci.

- Na miłość boską – wybełkotał. – Przecież burza, burza! Przy takiej pogodzie to niemożliwe!

Corky nadal wbijał lufę glocka w czoło Trottera.

- Burza skończy się o szóstej. Wiatr zupełnie ucichnie. Będziemy mieli idealne warunki.

- Tak mówią, ale skąd to można wiedzieć? Czy te prognozy się sprawdzają?

- Nie polegamy na telewizyjnej prognozie pogody, kretynie, tylko na supertajnych satelitach Departamentu Obrony, które nie tylko odnotowują zmiany pogody, ale nimi sterują za pomocą mikrofal. To my wywołaliśmy tę burzę i my ją zakończymy.

Ta teoria trafiła do przekonania Trotterowi, który jeszcze

bardziej wytrzeszczył wylupiaste oczy.

– Kontrolują pogodę – wymamrotał drżącym głosem. – Huragany, tornada, zadymki, susze... niewykrywalna broń, tak samo potężna jak bomby jądrowe...

W rzeczywistości Corky liczył na to, że chaos zechce mu sprzyjać i zakończy burzę w odpowiednim momencie.

Chaos nigdy go jeszcze nie zawiódł.

– Deszcz, nie deszcz, wiatr, nie wiatr – zapowiedział – będziesz dziś w Bel Air w wyznaczonym miejscu dokładnie o siódmej, tak jak zaplanowaliśmy.

– Kontrolują pogodę – wymamrotał ponuro Trotter.

– Niech ci nawet nie przemknie przez myśl, że mógłbyś nie przyjść. Wiesz, ile osób nas teraz obserwuje na tych wzgórzach i polach?

– Wiele – odgadł Trotter.

– Moi ludzie są wszędzie, gotowi ci pomóc albo rozwalić łeb, zależnie od twojej decyzji.

W rzeczywistości przyglądały się im tylko wrony, jastrzębie, wróble i inni członkowie pierzastej społeczności, zgromadzeni w koronach starych dębów wokół domu.

Jack Trotter dał się nabrać na te bzdury nie ze względu na fałszywą legitymację, nie pod wpływem brawurowego występu Corky'ego w roli Robina Goodfellowa, ale dlatego że Corky tak wiele wiedział o jego licznych tożsamościach i faktach z dotychczasowej kariery rabusia banków i dilerą ecstasy. Uważał, że Corky dowiedział się tego wszystkiego dzięki prężnie działającej siatce szpiegowskiej.

Tymczasem informatorem Corky'ego był Mick Sachatone, haker i anarchista-multimilioner, handlujący fałszywymi dokumentami,

niewykrywalnymi komórkami i innymi nielegalnymi papierami, przedmiotami, specyfikami i informacjami. To Mick dostarczył Trotterowi tożsamości, o jakich następnie powiadomił Corky'ego.

Na ogół Mick nie wyjawiał jednemu klientowi tajemnic drugiego. Zważywszy na rodzaj ludzi, z jakimi ubijał interesy, taka niedyskrecja mogłaby go w najlepszym razie kosztować życie, w gorszym – wyłupienie oczu, ucięcie języka, połamanie kciuków i kastrację obcęgami.

Ponieważ jednak Mick miał powody nienawidzić Trottera z intensywnością niemal morderczą, zaryzykował wyjawienie informacji Corky'emu. Złamał własne zasady pod wpływem apokaliptycznej zazdrości.

Trotter zasłużył na jego wrogość, choć zdawał się tego nie rozumieć. Ukradł Mickowi dziewczynę.

Dziewczyna Micka była gwiazdką porno, w pewnych kręgach znaną z nieludzkiej giętkości ciała. Być może Trotter nie przypuszczał, że ktoś może oddać serce kobiecie, która w ramach normalnego dnia pracy obsługiwała przed kamerą dwóch, sześciu, a nawet dziesięciu mężczyzn jednocześnie. Tymczasem Mick od ukończenia trzynastu lat marzył, by żyć z gwiazdą porno. Uważał, że Trotter pozbawił go jedyne liczącego się marzenia i zrujnował mu życie.

Po czterech miesiącach związku z Trotterem kobieta znikła bez śladu. Mick przypuszczał, że znudzony Trotter zabił ją, ponieważ za dużo wiedziała o jego nielegalnej działalności albo po prostu dla sportu, a ciało zakopał w kanionie. Teraz nikt z niej już nie miał pożytku i na myśl o tej bezsensownie zmarnowanej wyjątkowej elastyczności jej ciała w Micku budziła się furia.

Corky odjął glocka od jego czoła.

– Wejdźmy do środka – powiedział.

- Lepiej nie – poprosił Trotter.

- Czy muszę ci przypominać – skłamał z rozkoszną brawurą Corky – że za współpracę podziękujemy ci usunięciem ze wszystkich dokumentów publicznych i list podatkowych, dzięki czemu zaczniesz się cieszyć największą swobodą na świecie, będziesz człowiekiem, o którym rząd nie ma najmniejszego pojęcia?

- Przyjdę dokładnie o siódmej. Wiatr, nie wiatr, przysięgam.

- I tak chcę wejść do środka – uparł się Corky. – Czuję, że muszę ci to wytłumaczyć dokładnie.

W oczach Szalonego Kapelusznika pojawił się smutek. Morsowy wąż opadł.

Zrezygnowany Trotter wpuścił Corky'ego do domu.

Na ścianach jeszcze widniały dziury po kulach z poprzednich razów, kiedy Corky musiał dać Trotterowi nauczkę, za to na półkach w salonie stała nowa kolekcja kosztownych porcelanowych figurynek: tancerek, księżniczek tańczących z książętami, dzieci bawiących się z psem, pięknej gęsiareczki z białym stadkiem u stóp...

Corky nie dziwił się, że ten paranoik, wyznawca teorii spiskowych, napadający na banki i handlujący narkotykami posiadacz licznych kryjówek stąd po granicę kanadyjską, ma słabość do kruchej porcelany. Niezależnie od masek, jakie przybieramy, w każdym z nas bije ludzkie serce. Sam Corky miał słabość do starych filmów z Shirley Tempie, której folgował raz lub dwa razy do roku bez zażenowania.

Na oczach Trottera Corky wystrzelał cały magazynek dziewiątki, za każdym razem trafiając w figurynkę. Czasy, kiedy niechcący trafił Minę Reynerd w stopę, bezpowrotnie minęły. Obecnie posługiwał się pistoletem z wielką wprawą. Do niedawna rzadko używał broni palnej w służbie chaosu, ponieważ metoda ta

zdawała mu się zbyt chłodna i bezosobowa, ale z wolna zaczął się do niej przekonywać.

Wymienił magazynek i wykończył kolekcję porcelany. W powietrzu unosił się kredowy pył i zapach prochu.

– O siódmej – powiedział.

– Przyjść – przyrzekł ukarany Trotter.

– Przejedziemy się latającym dywanem.

Corky wymienił magazynek po raz trzeci, schował glocka do kabury pod pachą i wyszedł na werandę.

Powoli ruszył przez deszcz do land-rovera, odważnie odwracając się plecami do domu.

Wyjechał z kanionów ku wybrzeżu.

Niebo było jak dzban, wylewający z siebie nie deszcz, lecz uniwersalną substancję, której na próżno szukali średniowieczni alchemicy. Wszędzie wokół wzgórze zaczynały się roztopiać. Niziny już się rozplynęły. Kontynent zmieniał się w burzliwe morze.

Fric siedział w salonie różanym, w fotelu przy oknie z widokiem na afirmujący życie pomnik sterty końskich odchodów.

Koszyk piknikowy spoczywał obok fotela, z zamkniętym wiekiem.

Fric musiał tu odsiedzieć swoje, żeby uzasadnić idiotyczną bajeczkę, którą kretyńsko wypaplał panu Devonshire'owi, ale nie mógł się zmusić do jedzenia nieistniejących kanapek z szynką – częściowo dlatego, że gdyby go ktoś zobaczył, na pewno by pomyślał „jaka matka, taki syn”, ale głównie ze względu na to, że nie miał do nich nieistniejących korniszonków.

Cha, cha, cha.

Dwa lata temu, kiedy wydarzył się ten wypadek, agent matki wyjaśniał szczerom z prasy brukowej, że Freddie Nielander trafiła do prywatnego szpitala gdzieś na Florydzie. Cierpi na załamanie z powodu wyczerpania.

Jest to przypadłość, na którą modelki zapadają zdumiewająco często. Najwyraźniej dzika atrakcyjność, którą należy zachowywać przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, wyczerpuje fizycznie tak samo, jak praca w kieracie i przygnębia jak opieka nad śmiertelnie chorymi.

Nominalna Matka o jeden raz za dużo trafiła na okładkę „Vanity Fair”, zrobiła tę jedną niepotrzebną rozkładówkę do „Vogue'a”, doprowadzając się do przejściowej, lecz całkowitej utraty władzy nad mięśniami. Tak brzmiała chyba wersja oficjalna, jeśli Fric ją zrozumiał.

W wersję oficjalną nikt nie uwierzył. Gazety, magazyny i dziennikarze z plotkarskich programów telewizyjnych mówili

ponurym tonem o „załamaniu”, „emocjonalnym wyniszczeniu”. Niektórzy wprost nazywali to „epizodem psychozy”, co brzmiało jak odcinek „I love Lucy”, w którym Lucy i Ethel koszą grupę ludzi z pistoletów maszynowych. Dziennikarze opisywali szpital jako „schronienie dla najbogatszych z bogatych” bądź „ekskluzywną klinikę psychiatryczną”, a Howard Stern, znany z brutalnego języka dziennikarz radiowy, powiedział, że to „przysłup dla dziwek, które mają cycki większe od rozumu”.

Fric udawał, że nic nie wie o opiniach mediów, ale w tajemnicy czytywał każde doniesienie. Był przerażony. Czuł się niepotrzebny. Dziennikarze klócili się, w której z dwóch instytucji znajduje się jego matka, a on nie znał adresu żadnej. Nie mógłby nawet posłać jej pocztówki. W końcu ojciec wziął go na rozmowę do ogrodu różanego, który został już przeniesiony dalej od domu, i spytał, czy Fric słyszał jakieś dziwne wiadomości o matce. Fric udał głupiego.

Ojciec powiedział:

– Cóż, wcześniej czy później usłyszysz różne rzeczy. Musisz wiedzieć, że to wszystko nieprawda. To zwykle głupoty, jakie się wygaduje o gwiazdach. Ludzie będą mówili, że twoja mama miała załamanie nerwowe czy coś w tym rodzaju, ale to nieprawda. Prawda nie jest przyjemna, ale nie aż tak brzydka, jak się spodziewasz. Ming i doktor Rudy nauczą cię sposobów na zachowanie spokoju ducha przez ten okres.

Doktor Rudy to Rudolph Kroog, psychiatra słynny w Hollywood ze swej niekonwencjonalnej terapii reinkarnacyjnej. Przez jakiś czas rozmawiał z Frikiem, usiłując dociec, czy chłopiec w poprzednim wcieleniu mógł być młodziutkim egipskim faraonem, po czym zapisał mu butelkę pigułek, zalecając brać jedną w południe i jedną przed snem.

Fric pamiętał, że młodzi faraonowie czasami padali ofiarą doradców-trucicieli, czego dowiedział się z sobotnich kreskówek. W związku z tym zaniósł pigułki do swojego apartamentu i wszystkie

spuścił w klozecie. Jeśli zielony potwór nadal w nim mieszkał, to tego dnia umarł z przedawkowania.

Doktor Rudy nie sprawiał problemów – w przeciwieństwie do Minga. Po dwóch dniach „zwierzeń” Fric zaczął marzyć o zostaniu sam na sam z panem Hachette’em, sadystycznym szefem kuchni, nawet gdyby miał zostać upieczony z jabłkami i podany bezdomnym na Święto Dziękczynienia.

W końcu dali mu spokój.

Nadal nie wiedział, czy chodzi o szpital, przytułek czy dom wariatów.

Od tego czasu matka wpadła do niego tylko raz, ale nie wspomniała o tamtym incydencie. Właśnie podczas tej wizyty dowiedział się, że jest niemal doskonałą niewidzialną myszką.

Potem odjechali na wielkich czarnych ogierach, a Fric był pełnym życia wspaniałym jeźdźcem, pewnym siebie, silnym jak jego ojciec i doskonale znającym się na koniach.

Cha, cha, cha.

Siedząc w salonie różanym i wyglądając przez okno, tak się zagłębił w przeszłości, że nawet nie zauważył, kiedy w polu jego widzenia pojawił się stróż, pan Yorn. Szedł w zielonym płaszczu przeciwdeszczowym i czarnych gumiakach. Pewnie sprawdzał kanalizację albo przepychał zatkaną rurę odpływową gdzieś w trawniku. Spojrzał w okno salonu prosto na Frica, oddalony najwyżej o trzy metry. Był zdziwiony, może nawet zmartwiony.

Może do niego pomachał, a Fric, zamyślony, nie zareagował i teraz pan Yorn myśli, że Fric wpadł w trans.

Dla udowodnienia, że nie jest ani małym zarozumiałym łobuzem, ani ofiarą hipnozy, Fric zaczął machać, chyba trochę zbyt gorączkowo. Wydawało mu się to na miejscu, zwłaszcza że pan Yorn mógł stać pod oknem od pięciu minut.

Pewnie jednak nieco przesadził, bo stróż podszedł do okna.

– Wszystko w porządku, Fric? – spytał.

– Tak, w najlepszym. Jem sobie kanapki z szynką.

Najwyraźniej szyba i bębnienie deszczu zagłuszyły jego głos, bo pan Yorn zrobił jeszcze jeden krok ku niemu i znowu spytał:

– Co powiedziałaś?

– Kanapki z szynką! – wyjaśnił chłopiec, niemal krzycząc.

Pan Yorn przez jakiś czas przyglądał mu się jak ciekawemu okazowi robaka. Potem pokręcił głową, wskutek czego jego przeciwdeszczowy kapelusz komicznie załopotał, i odwrócił się.

Fric odprowadził go wzrokiem. Pan Yorn oddalał się, aż stał się nie większy od ogrodowego krasnala, po czym wreszcie znikł niczym duch.

Fric prawie słyszał jego myśli: „Jaka matka, taki syn”.

Wstał, otrząsnął się z odrętwienia i przypadkiem kopnął kosz piknikowy, przewracając go.

Wieko otworzyło się, ukazując coś w środku: biel.

Ten koszyczek był pusty. Nie było w nim latarek, kanapek – nic.

Fric rozejrzał się po salonie. Nie dostrzegł żadnego miejsca, w którym mógłby się ukrywać niespodziewany towarzysz. Drzwi wyjściowe były zamknięte.

Pochylił się z ociąganiem. Sięgnął do koszyka.

Wyjął z niego złożoną gazetę. Ręce mu drżały. „Los Angeles Times”.

Tytuł był zbyt duży i czarny, zbyt niewiarygodny, żeby go nie zauważyć: FBI PRZEJMUJE SPRAWĘ PORWANIA MANHEIMA.

Przejął go dreszcz.

Jego ręce nagle pokryły się słoną wodą, jakby zanurzył je w metafizycznym morzu. Papier przykleił się mu do palców.

Spojrzał na datę wydania. Dwudziesty czwarty grudnia. Pojutrze.

Na stronie tytułowej pod przerażającym tytułem znajdowały się dwie fotografie: zdjęcie Ojca Ducha oraz frontowa brama domu.

Fric nie chciał przeczytać artykułu, jakby przez to jego treść miała się stać rzeczywistością. Zerknął więc na dół strony i dowiedział się, że dalszą część historii znajdzie na stronie ósmej. Odwrócił kartki, by znaleźć najważniejsze dla siebie zdjęcie.

I znalazł.

Pod jego fotografią znajdowały się słowa: Aelfric Manheim, lat 10, porwany we wtorek wieczorem.

Na jego oczach czarno-białe zdjęcie zmieniło się w twarz człowieka z lustra, Tajemniczego Rozmówcy, jego anioła stróża: zimna twarz, bladoszare oczy.

Fric usiłował odłożyć „Timesa”, ale okazało się, że gazeta przywarła do jego palców niczym magnes.

Tajemniczy Rozmówca ożył, jakby zdjęcie nie było zdjęciem, lecz miniaturowym telewizorem.

– Moloch nadchodzi – przemówił.

I raptem okazało się, że Fric stoi przy drzwiach.

Zaczął łapczywie chwytać powietrze, choć nie dlatego, że dostał ataku. Serce łomotało mu głośniejsze od grzmotu, który przed chwilą rozdarł niebo.

„Times” leżał na podłodze koło przewróconego koszyka. Na oczach Frica gazeta uniosła się z perskiego dywanu, niczym pochwycona przez wiatr, choć w pokoju nie czuło się nawet najłżejszego powiewu. Jej strony wydeły się, rozkwitły, zwiędły,

zawirowwały i znowu zespoliły się w wysoką ludzką postać, jakby niewidzialny człowiek stał tu przez cały czas, a rozrzucone litery wypełniły jego niedostrzegalny dotąd kształt.

Nie miał aureoli anioła stróża, choć pewnie nim był. Wyglądał... groźnie.

Papierowy człowiek odwrócił się od Frica i skoczył w okno. Kiedy szeleszczący papier zderzył się ze szkłem, przestał być papierem, stał się cieniem, szybującą ciemnością, która przelewała się w szybach tak samo, jak wczoraj w ozdobach na choince.

Cień znikł, rozpierzchnął się, jakby przesiąkł przez szybę na zewnątrz, a deszcz splukał go w jakieś dalekie, niewyobrażalne miejsce.

Fric znowu został sam. Przynajmniej tak mu się wydawało.

Doktor Jonathan Spetz-Mogg mieszkał w drogiej dzielnicy w Westwood, w pięknym domu o ścianach z cedrowych płyt, srebrnych ze starości i tak odpornych, że nawet deszcz nie zdołał ich przyciemnić – co nasuwało podejrzenie, że srebrna patyna była w rzeczywistości farbą.

Angielski akcent Spetza-Mogga był na tyle ekscentryczny, że przykuwał uwagę, i na tyle niekonsekwentny, że mógł być raczej pamiątką po długiej wizycie w Anglii. Profesor zaprosił Ethana i Hazarda do domu, ale bez zachwyty. Odpowiadał na ich pytania nerwowo i jednocześnie rozwlekle.

Był ubrany w obszerną bluzę i bojówki z niskim krokiem. Wyglądał idiotycznie jak każdy biały, który usiłuje udawać czarnego chłopca – tym bardziej że miał czterdzieści osiem lat. Za każdym razem, kiedy zakładał nogę na nogę, co zdarzało się często, obszerne spodnie szeleściły tak głośno, że trzeba było przerwać rozmowę.

Być może niepotrzebnie nosił też w domu ciemne okulary.

Zdejmował je i zakładał niemal równie często, jak zakładał nogę na nogę, choć te dwa gesty nie były ze sobą zsynchronizowane. Jakby się nie mógł zdecydować, czy lepiej wypadnie jako osoba otwarta i szczerą, czy też ukrywająca się za ciemnymi szklami.

Widać było, że według niego każdy policjant to brutalny faszysta, ale nie zamierzał wszczynać awantury. Był zwyczajnie i po cichu przerażony.

Na każde pytanie reagował strumieniem chaotycznych informacji, chyba w nadziei, że wyniosą one Ethana i Hazarda za drzwi i nie dopuszczą do użycia kastetów i pałek.

Nie był to ten profesor, którego szukali. Spetz-Mogg mógł

zachęcać innych do popełniania zbrodni, ale sam nie miał na to dość odwagi. Poza tym nie miałby czasu na jakieś zbrodnie. Napisał dziesięć książek niefabularnych i osiem powieści. Oprócz prowadzenia wykładów organizował także konferencje, warsztaty i seminaria. I pisał sztuki.

Ethan wiedział z doświadczenia, że pracowici ludzie, niezależnie od jakości produktów ich pracy, rzadko popełniają brutalne zbrodnie. Tylko w filmach znany biznesmen po godzinach oddaje się zbrodniczej działalności. Przestępcy na ogół bywają nieudacznikami albo leniami. Bądź też nie muszą zarabiać, ponieważ odziedziczyli majątek lub weszli w jego posiadanie w jakiś łatwy sposób. Dzięki nadmiarowi czasu mogą snuć plany zbrodni.

Doktor Spetz-Mogg nie przypominał sobie Rolfa Reynerda. Na jego seminariach pojawiała się przeciętnie po trzystu początkujących aktorów. Niewielu zostawiało po sobie trwałe wspomnienie.

Kiedy Ethan i Hazard wstali, nawet słowem nie wspominając o zamiarze potraktowania genitaliów profesora impulsami elektrycznymi, Spetz-Mogg z widoczną ulgą odprowadził ich do drzwi. Bez wątpienia natychmiast po zamknięciu drzwi popędził do ubikacji.

– Powiniennem walnąć sukinkota dla zasady – odezwał się Hazard w fordzie.

– Robisz się nerwowy.

– Co to był za akcent?

– Adam Sandler udaje Jamesa Bonda.

– Właśnie. Z odrobiną Schwarzeneggera.

Z domu Spetza-Mogga przejechali do doktora Geralda Fitzmartina, który zorganizował seminarium dla scenarzystów.

Na macierzystym uniwersytecie Fitzmartina powiedziano im, że profesor nigdzie nie wyjechał na święta. Hazard zadzwonił, ale

nagrał się tylko na automatyczną sekretarkę. Fitzmartin mieszkał w Pacific Palisades. Ruszyli w tamtą stronę ulicami, które lepiej byłoby przemierzać gondolą.

Zadzwonili do drzwi Fitzmartina, ale nikt nie otworzył. Może profesor wybrał się po świąteczne prezenty. Może był zbyt zajęty, żeby otworzyć drzwi, bo właśnie pakował czarne pudełko dla Channinga Manheima.

Sąsiad twierdził co innego. W poniedziałek rano Fitzmartin został pospiesznie przewieziony do Centrum Medycznego „Cedry Synaju”. Nie wiadomo dlaczego.

Pod niebem sinym jak ciało boksera po walce znowu wrócili do miasta. Wicher walczył z drzewami, które czasem przegrywały, gubiąc gałęzie.

Ruch na jezdni odzwierciedlał sytuację na niebie. Na skrzyżowaniu doszło do stłuczki. Pięc przecznic dalej ciężarówka wjechała w bok furgonetki. Ethan jechał ostrożnie. Nie mógł się pozbyć świadomości, że skoro raz został przejechany i zabity, na następnej ulicy może znowu umrzeć. Ale tym razem już nie otrząśnie się ze śmierci.

Hazard przez cały czas wisiał na telefonie, usiłując namierzyć profesora, który zorganizował seminarium dotyczące autopromocji.

Ethan zerknął na zegarek, nie zdejmując rąk z kierownicy. Czas dziś biegł dziwnie szybko. Do Palazzo Rospo powinien wrócić przed piątą. Fric nie powinien zostać sam w tym wielkim domu, zwłaszcza w tym dziwnym dniu.

Centrum Medyczne „Cedry Synaju” znajdowało się na Beverly Boulevard, w tej części Los Angeles, która pragnęła udawać Beverly Hills. Na miejsce przybyli o 14.18. Znaleźli doktora Geralda Fitzmartina na OIOM-ie, ale nie mogli się z nim spotkać. Czekający pod oddziałem syn profesora był zadowolony z rozrywki, jakiej mu dostarczyli, choć nie potrafił zrozumieć, dlaczego policja interesuje

się jego ojcem.

Profesor Fitzmartin miał sześćdziesiąt osiem lat. Po długim, uczciwym życiu rzadko schodzi się na drogę przestępstwa. Zbrodnie kolidują z uprawianiem ogródka i kamieniami nerkowymi. Poza tym tego ranka Fitzmartin przeszedł operację wszczepienia poczwórnego bajpasu. Gdyby to on był współnikiem Rolfa Reynerda, w najbliższym czasie nie mógłby nawet marzyć o zabijaniu gwiazdorów filmowych.

Ethan spojrział na zegarek. 14.34. *Tik, tak, tik, tak.*

Mick Sachatone, multimilioner-anarchista, nie mieszkał w snobistycznej dzielnicy wraz z innymi multimilionerami, ponieważ nie miał ochoty się tłumaczyć przed władzami ze swoich źródeł zarobku. Kiedy człowiek zarabia na boku, to i żyje na boku.

Jego sposób zarabiania pieniędzy wyjaśniał, dlaczego mieszkał w przestronnym piętrowym domu o czterech sypialniach, niczym się niewyróżniającym, w czystej i przyjemnej mieszczańskiej dzielnicy Sherman Oaks.

Tylko garstka najbardziej zaufanych klientów Micka znała ten adres. Przeważnie załatwiał interesy na plażach publicznych, w parkach, kawiarniach i kościołach.

Corky pojechał do niego prosto z rudery Jacka Trottera, nie zatrzymując się w Santa Monica, by się przebrać. Dzięki Queegowi von Hindenburgowi, kolekcjonerowi kruchej porcelany, jego plan dnia legł w gruzach. Zostało mu jeszcze wiele do zrobienia w tym najważniejszym, lecz szybko się kończącym dniu jego życia.

Zaparkował na podjeździe i przebiegł w deszczu na ganek.

Głos Micka rozległ się z głośnika domofonu pod dzwonkiem.

- Zaraz schodzę.

Po chwili Mick Sachatone we własnej osobie podszedł do drzwi z niezwykłą jak na niego żwawością. Czasami kazał na siebie czekać na ganku dwie lub trzy minuty albo i dłużej, gdy był zajęty pracą czy interesami.

Mick przyjął Corky'ego tak, jak zwykł chodzić po domu: boso i w piżamie. Dziś piżama była czerwona, ozdobiona postacią Barta Simpsona. Niektóre piżamy kupował gotowe, inne kazał szyć na miarę.

Jeszcze jako dorastający chłopiec zauroczył się historią Hugh'a Hefnera, założyciela „Playboya”. Hef znalazł sposób na to, żeby być dorosłym człowiekiem, odnieść sukces, a jednak pozostać dużym dzieckiem, spełniającym dowolne kaprysy. Jego życie stało się jedną wielką balangą, a w piżamie spędzał większość dni.

Mick, który pracował głównie w domu, był posiadaczem ponad stu pięćdziesięciu piżam. Sypiał nago, ale w dzień paradował w piżamie. Uważał się za ucznia Hefa. Mini-Hefa. Mick miał oficjalnie czterdzieści dwa lata – a faktycznie trzynaście.

– Cześć, Cork, klawe ciuchy – powitał go, widząc Corky'ego w roli Robina Goodfellowa.

Ktoś mógłby się dopatrywać w jego słownictwie kpiny, ale przyjaciele Micka wiedzieli, że od dawna przestał nadażać za nowym slangiem, by pozostać bliżej hipisowskiego Hefa.

– Przepraszam za spóźnienie.

– Nie ma sprawy, człowieku. Ja bym się w ogóle obywał bez zegarka, gdybym mógł.

W salonie znajdowało się niezbędne minimum mebli. Pluszowa sofa, miękkie fotele, podnóżki, stolik do kawy, stoliki przy sofie i lampy stanowiły komplet kupiony w hurtowni. Jakość była dobra, ale zostały wybrane pod kątem wygody, nie elegancji. Mick nie miał wielkich ambicji. Pomimo bogactwa pozostał wierny prostym, acz czasem obsesyjnym potrzebom.

Najważniejszy element wyposażenia nie miał nic wspólnego z meblami czy ozdobami. Z wyjątkiem dwóch gabinetów roboczych, które Mick dodał do pierwotnego rozkładu domu, wszystkie ściany w domu – z wyjątkiem dwóch – mieściły półki z tysiącami pornosów na taśmach wideo i DVD. Półki znajdowały się także przy schodach i w korytarzach.

Mick wolał kasety wideo niż DVD, ponieważ ich pudełka miały

szerokie, kolorowe grzbiety pełne jaskrawych, obscenicznych tytułów i czasami zdjęć. W efekcie na ścianach widniała ciągła erotyczna mozaika od ściany do ściany i od sufitu po podłogę, dająca niemal psychodeliczne doznania.

Tylko w salonie i sypialni znajdowały się meble. W innych pokojach, w tym w jadalni, półki nie tylko znajdowały się pod ścianami, lecz także stały rzędami jak w bibliotece.

Mick jadał posiłki albo przy komputerze, albo w łóżku: mnóstwo gotowych dań do podgrzania w mikrofalówce, a także pizza i chińszczyzna z dostawą do domu.

Jedna z dwóch ścian wolnych od półek znajdowała się w salonie. Była zarezerwowana na cztery wielkie luksusowe telewizory plazmowe oraz towarzyszący im sprzęt. Druga ściana znajdowała się w sypialni.

Dwa ekrany plazmowe wisiały obok siebie, dwa następne nad nimi. Do każdego przydzielony był odtwarzacz DVD oraz wideo; te urządzenia plus osiem głośników oraz wzmacniacze znajdowały się w niskich szrankach pod ekranami. Mick mógł oglądać jednocześnie cztery filmy i przełączać dźwięk, zgodnie z upodobaniem, z jednego filmu na drugi. Mógł też – i często to robił – puszczać jednocześnie cztery ścieżki dźwiękowe.

Na ogół gościa w salonie Sachatone'a witała obsceniczna symfonia westchnień, stęknięć, jęków, pisków, syków, kwików i krzyków radości, szeptanych i wywarkiwanych sprośności, a także rytmicznych i zdyszanych oddechów. Jeśli się zamknęło oczy, można było niemal uwierzyć, że jest się w gwarnej dżungli, choć byłaby to dżungla, w której wszystkie tropikalne gatunki jednocześnie ze sobą kopulują.

Dziś wszystkie cztery pornosy były nieme. Mick wyłączył dźwięk we wszystkich.

– Janelle była wyjątkowa – powiedział czule, wskazując swoją

utraconą dziewczynę na ekranie. – Świetna cizia.

Choć w pizamie z Bartem Simpsonem Mick wyglądał frywolnie, był dziś w smętnym, refleksyjnym nastroju. Wszystkie ekrany prezentowały klasyczne dzieła rozległego dorobku filmowego Janelle.

Mick wskazał górny prawy ekran.

– Tego, co tam robi, nie odważył się zrobić nikt – ale to nikt – przed nią ani po niej.

– Wątpię, żeby ktoś potrafił – powiedział Corky, ponieważ zdumiewający trik zdecydowanie wymagał legendarnej elastyczności Janelle, która chyba jedyna na całym świecie miała ten wymagany gen.

– Ci czterej ją kochają – zauważył Mick, przyglądając się jej partnerom. – Widzisz? Każdy z osobna ją kocha. Mężczyźni kochali Janelle. Była naprawdę super.

W jego głosie zabrzmiała tęskna żądza. Pomimo hipisowskiego luzactwa miał także skłonności do sentymentalizmu.

- Właśnie wracam od Trottera – wyjął Corky.
- Zabiłeś sukinsyna?
- Jeszcze nie. Wiesz, że przez jakiś czas będzie mi potrzebny.
- Och, spójrz na to.
- Prawdziwa gwiazda.
- Można by pomyśleć, że to boli.
- Może i bolało.
- Powiedziała, że nie, było fajnie.
- Robiła dużo ćwiczeń na rozciąganie?
- Jej praca była ćwiczeniem na rozciąganie. Ale go zabijesz?
- Przecież obiecałem, nie?

- Chciałem się z nią zestarzeć – zwierzył się Mick.
- Naprawdę?
- No, powiedzmy, że chciałem się z nią starzeć przez jakiś czas.
- Rozwaliłem jego nową porcelanę.
- Droga?
- Tak.
- Będiesz go torturować, zanim go zabijesz?
- Jasne.
- Dobry z ciebie kumpel, Cork. Jesteś w porządku.
- Znamy się nie od dziś.
- Będzie ze dwadzieścia lat.

- Świat był wtedy w gorszym stanie – wypowiedział się Corky z perspektywy anarchisty.

- W naszych czasach sporo rzeczy się rozpadło – zgodził się Mick. – Ale nie tak szybko, jak chcieliśmy, kiedy jeszcze byliśmy młodzi i szaleni.

Uśmiechnęli się do siebie.

Gdyby nie byli, kim byli, pewnie padliby sobie w ramiona.

Zamiast tego Mick powiedział:

- Projekt Manheim jest gotowy.

Zaprowadził Corky'ego w głąb domu, do pracowni.

Tu zamiast pornosów ściany zajmowały komputery, maszyny do laminowania, laserowa drukarka hologramów i inny zaawansowany technicznie sprzęt niezbędny do produkcji dokumentów na najwyższym światowym poziomie.

Przy biurku już stały dwa krzesła. Jedno znajdowało się

dokładnie przed klawiaturą.

Corky zdjął skórzany płaszcz, powiesił na drugim krześle i usiadł. Mick przyjrzał się jego glockowi.

– Z tego kropniesz Trottera?

– Tak.

– Dasz mi go?

– Pistolet?

– Będę dyskretny – obiecał Mick. – Nigdy go nie użyję. I spiłuję lufę, żeby nie można jej było dopasować do pocisków. Nie chcę z niego strzelać, to będzie moja relikwia. Jedna z pamiątek po Janelle. Będzie leżeć na półce z jej filmami.

– Dobrze. Jak z nim skończę, glock jest twój.

– Jesteś w dechę. – Wyznawca kultu Janelle wskazał komputerowy ekran i widniejące na nim dane. – To było cholernie trudne.

Jako niezwykle utalentowany haker Mick często sugerował lub wręcz mówił wprost, że jemu, samozwańczemu Największemu Mistrzowi Danych Cyfrowych oraz Władcy Wirtualnego Wszechświata, wszystko przychodzi równie łatwo jak bzykanie pszczołce. Dlatego przyznanie się do kłopotów musiało oznaczać, że zadanie było w rzeczy samej niemal niemożliwe do zrobienia.

– Dziś wieczorem dokładnie o wpół do dziewiątej – ciągnął Mick – komputer w centrali telefonicznej wyłączy wszystkie dwadzieścia cztery linie w posiadłości Channinga Manheima.

– Czy to nie zaalarmuje Patrolu Paladyn, firmy ochroniarskiej spoza terenu posiadłości? Jedna z linii utrzymuje łączność z Paladynem przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Aha. Jeśli linia się wyłączy, Paladyn potraktuje to jako sygnał alarmowy. Ale o niczym nie będzie wiedzieć.

- To jednostka zbrojna – zaniepokoił się Corky. – Nie patałachy ze sprayem pieprzowym. Zareagują szybko i nie będą się cackać.

- W pakiecie, który dla ciebie przygotowałem, znajduje się także gwarancja wyłączenia komputera Paladyna natychmiast po wyłączeniu linii telefonicznych Manheima. Cały ich system padnie.

- Mają zapasowe zasilanie.

- Znam je jak własne krocze – rzucił niecierpliwie Mick. – Zasilanie też wyłączę.

- Jestem pod wrażeniem.

- Nie musisz się martwić o Paladyna, ale na terenie są jeszcze prywatni ochroniarze.

- Dwaj na każdej zmianie. Znam ich rozkład zajęć. To mamy załatwione. Co z telefonami komórkowymi?

- To także należy do pakietu usług, które ode mnie kupujesz. Sprawdziłem informacje od Neda Hokenberry'ego. Manheim nadal korzysta z usług tej samej korporacji telefonicznej.

- Strażnicy mają dwie komórki, trzecią – ich szef Ethan Truman.

Mick pokiwał głową.

- Zostaną wyłączone o wpół do dziewiątej wraz z telefonami stacjonarnymi. Ci dwoje, którzy prowadzą dom, także dostali służbowe komórki...

- Państwo McBee.

- Właśnie, i Hachette, szef kuchni, a także William Yorn...

- Dozorca. Nikogo nie będzie – oświadczył Corky. – Tylko Truman i dzieciak.

- Chyba nie chcesz ryzykować, że ktoś zostanie do późna albo wcześniej wróci z urlopu? Wyłączę wszystkie, nikt nie będzie mógł

zadzwoić na policję. A jednoczeŝnie wyłącze teŝ pagery.

Ostatnim razem mówili o Internecie i sposobach, w jaki moŝna go wykorzystać do wezwania pomocy.

– O wpół do dziewiętej – odezwał się Mick, jakby uprzedzając pytanie Corky’ego – zostanie przerwane połączenie z Internetem.

– A ci strażnicy się nie zorientują?

– Nie, dopóki nie spróbują gdzieś zatelefonować albo wejść do Internetu.

– Ich komputery nie zareagują?

– Już to załatwiłem. Ale ostrzegłem cię, że nie mogę wyłączyć kamer, detektorów ciepła i ruchu na zewnątrz i w domu. Gdybym to zrobił, zorientowaliby się i już by wiedzieli, że coś się kroi.

Corky wzruszył ramionami.

– I tak potrzebuję tych domowych czujników ruchu. Co do kamer i czujników ciepła, Trotter mnie koło nich przeprowadzi.

– A wtedy go zabijesz.

– Jeszcze nie wtedy. Później. To co nam zostało?

Mick uniósł wysoko prawą rękę.

– Tylko to.

Powoli, z komicznym dramatyзмом wyciągnął palec wskazujący i przycisnął enter.

Dane zniknęły z ekranu, który zajaśniał łagodnym, nieskalanym błękitem.

Corky zeszywniał.

– Co się zepsuło?

– Nic. Zainicjowaliśmy przesłanie danych.

- Jak długo to potrwa?

Mick wskazał słowa, które właśnie pojawiły się na środku ekranu: WYKONUJĘ POLECENIE.

- Kiedy to zniknie, zadanie zakończone. Chcesz colę czy coś?

- Nie, dziękuję.

W domu Sachatone'a nigdy niczego nie jadł ani nie pił. Starał się też niczego nie dotykać. Nigdy nie wiadomo, czego Mick niedawno dotykał. Właściwie przeciwnie, było dokładnie wiadomo – i w tym właśnie problem.

Przyjaciele Micka w większości próbowaliby ominąć jego wyciągniętą rękę, gdyby chciał ich uściskać. Na szczęście chyba to rozumiał, nawet jeśli tylko podświadomie, i nigdy nikomu nie podawał ręki.

Wyjął colę z lodówki; Bart Simpson biegł przez fałdki i zmarszczki na jego koszulce, stroił niezliczone miny.

Zaczęli rozmawiać o białym kruku wśród filmów dla dorosłych, prawdopodobnie wyprodukowanym w Japonii: brali w nim udział dwaj mężczyźni, dwie kobiety i hermafrodyta, wszyscy ucharakteryzowani na Hitlera. Mick ścigał ten delikates od dwunastu lat.

Corry nie był aż tak zainteresowany tematem, ale rozmowa nie zdążyła go znudzić, bo po niespełna czterech minutach słowa na ekranie komputera zmieniły się na krótkie i soczyste SATYSFAKCJA.

- Pakiet dostarczony.

- I już?

- Tak. Ziarenko zostało zasiane w firmie telefonicznej, internetowej i komputerach ochrony. Dziś wieczorem, dokładnie wtedy, kiedy sobie życzysz, wszystko się wyłączy.

- I nie musisz już nic robić?

Mick wyszczerzył zęby.

- Sprytne, co?

- Zdumiewające – przyznał Corky.

Mick przechylił głowę, żeby pociągnąć długi łyk coli. Corky wyjął glocka i kiedy Mick znowu się wyprostował, rozwalił mu mózg.

67

Profesorem, który zorganizował jednodniowe seminarium autopromocji, był doktor Rober Vebbler. Wolał, żeby się do niego zwracać doktor Bob i znany był z motywacyjnych przemów, w trakcie których obiecywał zmienić zwyczajnych, wątpiących w swoje możliwości ludzi w pozbawiony wahań dynamit o nadludzkiej wydajności.

Ethan i Hazard znaleźli go w opustoszałym miasteczku akademickim, gdzie przygotowywał się do styczniowego tournee. Ściany w jego dwupokojowym biurze były wytapetowane plakatami z jego podobizną w rozmiarze spopularyzowanym przez Józefa Stalina oraz Mao Zedonga.

Doktor miał wygoloną głowę, bujne wasy, czerwono-brązową opaleniznę, demonstrującą jego pogardę dla raka skóry, oraz wybielone laserem zęby, bardziej olśniewające od lśniących klawiszy fortepianu. Oprócz botków z czerwonej wężowej skórki wszystko, co miał na sobie, było białe, nawet zegarek o białej bransolecie i czystej białej tarczy, bez żadnych cyfr czy znaczków symbolizujących godziny.

Doktor Bob tak sprawnie obrócił każdą odpowiedź w miniwykład na temat szacunku dla samego siebie i pozytywnego myślenia, że Ethan zapragnął, by Hazard aresztował go pod zarzutem bezmyślności i szerzenia bezsensownej filozofii. Facet był walnięty jak kaczor Donald, ale miał też tyle samo zbrodniczych skłonności. Pragnął sławy, nie niesławy. Oczywiście Donaldowi zdarzało się czyhać na życie Chipa i Dale'a, dwóch dziarskich wiewióreczek, ale na jego miejscu doktor Bob zacząłby je raczej motywować do zostania superwiewiórami.

Dał Ethanowi i Hazardowi dwa broszurowe egzemplarze swoich

najnowszych przemówień motywujących – z autografem! – i zapowiedział, że będzie pierwszym autorem poradników wśród noblistów.

Zanim zdolali mu się wyrwać, znaleźć kubek na śmieci, do którego wrzucili broszurki, i wrócić do forda, zegarki na desce rozdzielczej oraz ręce Ethana zgodnie pokazały 3.41.

O piątej ostatni pracownik personelu miał opuścić progi Palazzo Rospo. Ethan zastanawiał się, czy zadzwonić do ochroniarzy. Jeden mógłby pójść do domu i zostać z chłopcem. Ale to by znaczyło, że drugi musi samotnie monitorować kamery i inne systemy, i nikt nie będzie mógł iść na patrol. W tych okolicznościach niechętnie zgodziłby się na uszczuplenie i tak szczupłych szeregów.

Nadal uważał, że nieznany wspólnik Reynerda, jeśli zamierza działać, zdecyduje się na to najwcześniej w czwartek po południu, kiedy Twarz wróci z Florydy. Jego miejsce pobytu było znane wszystkim. Każdy świr pragnący zabić gwiazdora mógł się dowiedzieć z prasy i telewizji, kiedy się spodziewać jego powrotu.

Wszystko to było prawdopodobne... ale nie absolutnie pewne.

Ten element niepewności oraz intuicyjne przeczucie Hazarda, że nie mają aż tyle czasu, niepokoiły Ethana. Martwiło go, że ktoś mógłby się prześliznąć między zabezpieczeniami i przycząć się niezauważony aż do powrotu Manheima.

Nawet najdoskonalszy system zabezpieczenia jest dziełem ludzkiego umysłu, a zatem pozostaje daleki od doskonałości. Inteligentny szaleniec, opętany obsesją i morderczymi skłonnościami, znajdzie pęknięcie nawet w murze chroniącym prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Z wiadomości Ethana wynikało, że Reynerd nie jest zbyt mądry, ale pierwowzór profesora ze scenariusza mógł być świrem większego kalibru.

– Wracaj do domu – powiedział Hazard, kiedy opuścili teren uczelni. – Podrzucić mnie do szpitala, przesiądę się do mojego samochodu. Dwa ostatnie nazwiska sprawdzę sam.

– To niesprawiedliwe.

– I tak nie jesteś prawdziwym gliniarzem. Rzuciłeś robotę, żeby się podlizywać gwiazdorowi. Pamiętasz?

– Siedzisz w tym przeze mnie.

– Błąd. Siedzę w tym przez to – powiedział Hazard i potrząsnął gronkiem dzwoneczków.

Ich dźwięk odezwał się echem w rdzeniu kręgowym Ethana.

– Niech mnie diabli, jeśli kiedykolwiek mnie spotkało coś takiego – dodał Hazard. – Cholerne dzwoneczki. Gość, co znika w lustrze. Chcę to jakoś wyjaśnić, wywalić te wszystkie myśli ze łba i znowu być tym, kim byłem.

Dwa ostatnie nazwiska należały do profesorów literatury amerykańskiej z innego uniwersytetu. Znalazły się na szarym końcu, ponieważ Reynerd zasugerował w scenariuszu, że jego współnik jest albo nauczycielem sztuki aktorskiej, albo też ma inne związki z rozrywką. Profesorowie literatury – w tweedowych marynarkach ze skórzanymi łatkami na łokciach, ćmiący fajki i dyskutujący o koniugacji – nie wydawali się kandydatami na morderców.

– Zresztą nie sędzę, żeby ci dwaj sprawdzili się lepiej.

Spojrzał na notatki, które zrobił pomiędzy wizytą u profesora Fitzmartina w „Cedrach Synaju” i u doktora Boba.

Burza straciła nieco rozpędu. Wicher, który przyginał drzewa do ziemi, teraz tylko nimi szarpał i kazał im drzeć w oczekiwaniu na nagły powrót burzy.

Deszcz padał miarowo i skutecznie, lecz już bez zaciekłości,

jakby rewolucję w niebiosach z rąk wojowników przejęli biznesmeni.

– Maxwell Dalton – odczytał Hazard. – Zdaje się, że na urlopie. Rozmawiałem z jakąś tymczasową pracownicą, więc nie mam jasności, ale spotkam się z jego żoną. Oraz Vladimir Laputa.

Corky żałował, że zrobił z twarzą Micka Sachatone'a to, co zrobił. Stary przyjaciel zasługiwał na godniejszą egzekucję.

Ponieważ glock nie miał tłumika, należało strzelić tylko raz. Może żadnego z najbliższych mieszkających sąsiadów nie było w domu, a jeśli był, może szum deszczu stłumił odgłos wystrzału. Natomiast druga eksplozja nie wchodziła już w grę.

W Malibu Corky nie chciał dławić pięknego głosu pistoletu. Każde „bang”, punktujące krzyk tłuczonych porcelanowych figurynek, wstrząsało nerwami Jacka Trottera.

Corky miał tłumik przy sobie, ale wtedy glock nie zmieściłby się w kaburze. Poza tym trudniej byłoby go wyciągnąć. Poza tym gdyby biedny Mick zobaczył glocka z tłumikiem, mógłby pomimo nonszalancji Corky'ego nabrać pewnych podejrzeń.

Corky schował pistolet, włożył czarny skórzany płaszcz i wyjął z kieszeni lateksowe chirurgiczne rękawiczki. Oczywiście nie chciał zostawiać odcisków palców, ale w tej świątyni grzesznej ręki mniej niepokoił się dowodami, które mógłby po sobie zostawić, a bardziej tym, czym może się zarazić.

We wszystkich pokojach półki z filmami zasłaniały okna, ale w pracowni przez spływające deszczem szyby wpadało szare światło. Corky zaciągnął zasłony. Musiał mieć czas na odnalezienie dobrze ukrytych zapasów gotówki Micka, najprawdopodobniej całkiem obfitych, a także na odłączenie komputerów i wniesienie je do land-rovera, by żadna zawarta w nich informacja nie wpadła w nieprzyjazne ręce. Ciało zamierzał owinać folią i wywlec, a następnie zmyć ślady krwi.

By uniknąć dochodzenia, które w nieunikniony sposób

doprowadziłoby policję do niego, Corky zamierzał zaaranżować zniknięcie Micka.

Gdyby oblał jego dom benzyną i podpalił, tak jak to zrobił z wąskim domem Brittiny Dowd, zniszczyłby wszystkie dowody. Tysiące kaset wideo spłonęłyby w pożarze, buchając chmurami toksycznego dymu. W tych zgłiszczach nie znaleziono by niczego.

Ale Corky nie chciał niszczyć archiwów bezrozumnego pożądanego Sachatone'a, ponieważ jeszcze nigdzie nie spotkał tak wspaniałego pomnika chaosu. Z tej rozgorączkowanej masy emanowały vibracje rozprężenia i chaosu, jak sterta plutonu emanuje śmiertelnościami promieniowaniem, którego nie wytrzyma żaden żywy organizm.

Jednak poszukiwanie kasy, rozmontowywanie komputerów i usunięcie zwłok w piżamie musiało poczekać aż do porwania Aelfrica Manheima ze złotej kołyski i uwięzienia go w pokoju obecnie zajmowanego przez Serowego Śmierdzia. Corky wróci tu za dwadzieścia cztery godziny. Tymczasem wyłączył komputery i inną aparaturę. Przeszukał dom, od góry po parter, upewniając się, że żadne sprzęty elektryczne nie zajmą się ogniem pod jego nieobecność, co by mogło zaalarmować strażaków.

W salonie stał przez chwilę i przyglądał się poczwórnym erotycznym wygibasom nieźrównanej Janelle. W końcu wyłączył telewizory. Ciekawe, czy Jack Trotter wykorzystał tę jej zdumiewającą gibkość i wtłoczył ją w mniejszy grób, zaoszczędzając sobie wysiłku przy kopaniu.

Teraz, po śmierci Micka, Romeo i Julia filmów porno stali się przeszłością. Smutne.

Corky wolałby go nie zabijać, ale biedny Mick sam podpisał na siebie wyrok śmierci, wydając tajemnice Trottera. Chory z zazdrości i żądzy zemsty, wyjawiał Corky'emu liczne fałszywe tożsamości, które przed laty stworzył na potrzeby Trottera. Skoro raz zdradził klienta,

to Corky'ego pewnie też by wydał.

Szerzenie chaosu społecznego to zadanie dla samotnika.

Corky wyszedł na ganek i zamknął drzwi zabranym z tablicy w kuchni kluczem Micka. Zrobiło się chłodniej. Niebo koloru brudnej ścierki stało się jeszcze brudniejsze niż rano, a światło dnia nie rzucało najsłabszego cienia.

Ach, ten dzień był pełen wrażeń. A najlepsze dopiero miało nadejść.

Konferując z panem Hachette'em na temat kolacji, Ethan przekonał się, że szef kuchni jest prawie nieprzytomny z wściekłości, której przyczyn nie chciał wyjawiać. Powiedział tylko:

- Moja wypowiedź w sprawie tego zajścia jest w poczcie, inspektorze. - Nie wyjaśnił jednak, o jakie zajście chodzi. - Jest w poczcie, moja wypowiedź z głębi serca. Nie zgadzam się, by traktowano mnie jak zwyczajnego kucharza. Jestem szefem kuchni i oznajmiam pogardę jak dżentelmen, skromnym piórem, nie w twarz, lecz w plecy.

Hachette mówił płynniejszą angielszczyzną, kiedy nie był wściekły, co zdarzało się rzadko. Przez dziesięć miesięcy pracy w posiadłości Ethan nauczył się, że w kwestiach dotyczących kuchni nigdy nie należy niczego wymuszać na jej szefie. Jakość przyrządzanych przez niego dań w pełni usprawiedliwiała jego artystyczne kaprysy. Często wpadał w gniew, ale te burze nic nie niszczyły.

Ethan wzruszył ramionami i ruszył na poszukiwania Frica.

Pani McBee nie lubiła interkomu. Uważała, że jest to zniewaga dla atmosfery statecznego domu, afront dla rodziny i czynnik rozprasający personel.

- Nie jesteśmy w biurze ani w magazynie - wyjaśniła.

Ważniejsi pracownicy mieli pagery, na które przysyłano im wezwania z najróżniejszych punktów tego wielkiego domu. Używanie interkomu rzadko bywało konieczne.

Chcąc znaleźć mniej ważnego pracownika albo jeśli miało się uprawnienia zwracać do kogoś z rodziny - a mieli je państwo McBee i Ethan - należało łączyć się przez interkom kolejno z pokojami.

Zaczynało się od trzech, w których znalezienie danej osoby było najbardziej prawdopodobne.

Zbliżała się piąta; zostało już bardzo niewiele pracowników, którym mógłby przeszkodzić, a wszyscy zamierzali wyjść w ciągu najbliższych minut. Fric był jedyną osobą z rodziny Manheimów w rezydencji. Państwo McBee bawili w Santa Barbara. Mimo to Ethan czuł się zobligowany do posłuszeństwa tradycji – z szacunku dla pani McBee, a także z przekonania, że jeśli zacznie szukać Frica we wszystkich pokojach jednocześnie, szacowna dama z Santa Barbara od razu się dowie o jego występku i będzie miała zepsuty urlop.

Najpierw postanowił poszukać Frica w jego apartamencie na drugim piętrze. Potem w pokoju z pociągami – „Jesteś tam, Fric? Tu pan Truman” – w sali kinowej, a następnie w bibliotece. Nikt nie odpowiedział.

Fric nigdy się nie dąsał i z pewnością nigdy nie był niegrzeczny, ale z jakiegoś powodu mógł nie odpowiadać, choć słyszał wezwanie.

Ethan postanowił przeszukać dom od strychu po piwnice, przede wszystkim, żeby znaleźć chłopca, lecz także by się upewnić, że wszystko jest w porządku.

Zaczął od drugiego piętra. Nie zaglądał do każdego pokoju, ale przynajmniej otwierał wszystkie drzwi i ciągle wykrzykiwał imię chłopca. Drzwi do apartamentu Frica były uchylone. Ethan zawołał dwa razy. Nie otrzymawszy odpowiedzi, uznał, że jak na jeden dzień wystarczająco przestrzegał domowej etykiety. Zresztą kwestia bezpieczeństwa była ważniejsza od prywatności. Wszedł do środka, ale nie zastał chłopca i nie odniósł wrażenia, żeby w pokoju czegoś brakowało.

Wrócił przez wschodnie skrzydło do północnego korytarza. W drodze do głównych schodów trzy razy przystawał, by się obejrzeć, wyteńczyć słuch i wzrok – wszystko przez to poczucie, że coś jest nie w

porządku.

Spokój. Cisza.

Wstrzymał oddech. Usłyszał tylko bicie swojego serca.

Wsluchany w ten wewnętrzny rytm nie słyszał żadnego realnego dźwięku, tylko same wyobrażone absurdy: ukradkowy ruch w zabytkowym lustrze nad komodą, słaby głos, jak ten z telefonu, ale jeszcze cichszy, krzyczący do niego nie z pokoju na drugim piętrze, lecz z drugiej strony tunelu prowadzącego do wieczności.

W lustrze zobaczył tylko siebie. Ani jednej mglistej postaci, ani jednego przyjaciela z dzieciństwa. Kiedy znowu zaczął oddychać, daleki głos, istniejący tylko w jego wyobraźni, zamilkł zupełnie.

Zszedł po schodach na pierwsze piętro. W bibliotece znalazł Frica.

Chłopiec czytał książkę w fotelu, który przesunął. Grzbiet oparcia dotykał choinki.

Fric drgnął, słysząc otwieranie drzwi, co usiłował ukryć, udając, że zmienia pozycję. Oczy rozszerzyły mu się ze strachu, szczęki się zacisnęły – dopóki nie zrozumiał, że Ethan to tylko Ethan.

– Cześć, Fric. W porządku? Parę minut temu łączyłem się tu przez interkom.

– Hm, nie, nie słyszałem, hm, interkom? Nie – wymamrotał chłopiec, kłamiąc tak niewprawnie, że gdyby go podłączyć do wykrywacza, maszyna by pewnie eksplodowała.

– Przesunąłeś fotel.

– Fotel? Hm, nie, tak stał, właśnie tak, hm, dokładnie.

Ethan przysiadł na poręczu innego fotela.

– Czy dzieje się coś złego?

– Złego? – powtórzył chłopiec, jakby nie całkiem rozumiał znaczenie tego słowa.

– Czy dzieje się coś, o czym chciałbyś mi powiedzieć? Martwisz się czymś? Pytam, bo nie wydajesz się sobą.

Chłopiec odwrócił wzrok, wbił go w książkę. Zamknął ją i odłożył na kolana.

Jako policjant Ethan już dawno nauczył się cierpliwości.

Fric znowu nawiązał kontakt wzrokowy i pochylił się ku niemu. Wyglądał, jakby zamierzał zwierzyć się konspiracyjnym szeptem, ale rozmyślił się i wyprostował. Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Może się denerwuję, bo tata wraca w czwartek.

– To chyba dobrze?

– Pewnie. Ale i tak się denerwuję.

– Dlaczego?

– Bo przywiezie kolegów. Zawsze tak robi.

– Nie lubisz jego kolegów?

– Są w porządku. Wszyscy grają w golfa i inne sporty. Tata lubi rozmawiać o golfie, futbolu i tym podobnych. To go odpręża. On i ci koledzy są jak klub.

Klub, do którego nie masz i nigdy nie będziesz miał wstępu, pomyślał Ethan, zaskoczony współczuciem, które raptem ścisnęło mu gardło. Nagle naszała go ochota, żeby uścisnąć chłopca, zabrać go na film, ale do prawdziwego kina, nie do tego pseudo-Pantages w Palazzo Rospo, do zwyczajnego multiplexu, gdzie roi się od dzieci z rodzinami, gdzie w powietrzu wisi zapach popcornu i oleju podrasowanego tak, żeby pachniał prawie jak masło, gdzie zawsze trzeba sprawdzać, czy na siedzeniu nie ma przyklepionej gumy do żucia albo cukierka, i gdzie w śmiesznych momentach słyszy się nie tylko własny śmiech, ale i śmiech tłumu.

– I będzie z nim dziewczyna – ciągnął Fric. – Zawsze tak jest. Z poprzednią zerwał jeszcze przed Florydą. Nie wiem, jaka będzie ta nowa. Może miła. Czasami są miłe. Ale jest nowa, będę musiał ją poznać, a to niełatwe.

Był to niebezpieczny temat do rozmowy pracownika z kimś z rodziny. Ethan nie mógł powiedzieć nic, co by zdradziło jego prawdziwe zdanie na temat Channinga Manheima jako ojca.

– Fric, nieważne, jaka jest ta nowa dziewczyna. Łatwo ci będzie ją poznać, bo od razu cię polubi. Wszyscy cię lubią – dodał ze świadomością, że ten słodki i naiwny chłopiec uzna te słowa za coś zupełnie niesłychanego i pewnie mu nie uwierzy.

Fric zastygł z otwartymi ustami, jakby Ethan właśnie go powiadomił, że jest małą udającą człowieka. Jego policzki się zaróżowiły. Spuścił wzrok z zażenowaniem.

Coś poruszyło się na choince za jego plecami. Wszystkie ozdoby się poruszały: anioły wirowały, anioły się kołysały, anioły tańczyły.

Powietrze w bibliotece było nieruchome jak książki na półkach. Jeśli pomieszczeniem zakołysał jakiś wstrząs, dość silny, by wprowadzić ozdoby w ruch, był zbyt subtelny, by Ethan go zauważył.

Anioły z wolna znieruchomiały, jakby w ruch wprowadził je pęd powietrza po czyimś przejściu. Ethan poczuł dziwną nadzieję, przeczucie, że w jego sercu otworzą się drzwi do zrozumienia. Zdał sobie sprawę, że wstrzymuje oddech, a włoski na grzbietach jego dłoni jeżą się jak naelektryzowane.

– Pan Hachette... – odezwał się Fric.

Anioły znieruchomiały i ta ważna chwila przeminęła, nie wyjawiając... niczego.

– Słucham?

– Pan Hachette mnie nie lubi – powiedział Fric, odpierając w ten sposób sugestię, jakoby był lubiany przez wszystkich.

- No, myślę, że pan Hachette nikogo za bardzo nie lubi. Ale jest świetnym kucharzem, prawda?

- Jak Hannibal Lecter.

Ethan roześmiał się, choć kpiny z innego pracownika były zdecydowanie w złym guście.

- Może sądzisz, że jest inaczej, ale jeśli pan Hachette twierdzi, że na obiad jest cielęcina, to na pewno możesz mu wierzyć. Cielęcina i nic gorszego. - Podniósł się z oparcia. - Szukałem cię z dwóch powodów. Chciałem cię ostrzec, żebyś wieczorem nie otwierał drzwi wyjściowych. Jak tylko się upewnię, że ostatni pracownik wyszedł, włączę zewnętrzny system alarmowy.

Fric znowu się wyprostował. Gdyby był psem, nastawiłby uszu, tak bardzo zainteresowała go zmiana codziennych zwyczajów.

Podczas pobytu w domu ojciec Frica sam włączał i wyłączał alarm zewnętrzny. Pod jego nieobecność Ethan zwykle włączał go, idąc spać, pomiędzy dziesiątą i północą.

- Dlaczego tak wcześnie? - spytał Fric.

- Chcę go dziś obserwować na komputerze. Podejrzewam, że mamy problemy z przepływem prądu w niektórych oknach i drzwiach. Nie ma nic, co by powodowało fałszywe alarmy, ale trzeba to naprawić.

Ethan niewątpliwie kłamał lepiej od Frica, ale chłopiec miał równie nieufną minę jak przy cielęcinie pana Hachette'a.

- Szukałem cię - dodał pospiesznie Ethan - bo chciałbym cię zaprosić na wspólną kolację. Dziś wieczorem będziemy się tu tłuc samotnie po tym wielkim domu, tylko my dwaj, starzy kawalerowie.

„Standardy i zwyczaje” nie uwzględniły reguł na wypadek wspólnego posiłku pracownika ochrony z chłopcem pod nieobecność jego rodziców. Fric przeważnie jadał samotnie, albo dlatego, że nie lubił towarzystwa, albo - co bardziej prawdopodobne - że nie chciał

się narzucać. Od czasu do czasu pani McBee namawiała go na wspólny posiłek z nią i panem McBee, ale dla nich obu byłby to pierwszy raz.

– Naprawdę? Nie będzie pan zbyt zajęty obserwowaniem przepływu prądu? – spytał Fric.

Ethan miał ochotę się roześmiać z tej cichej kpiny, ale udał, że nic do niego nie dociera.

– Nie, pan Hachette wszystko przygotował. Ja mam tylko rozgrzać piekarnik stosownie do jego wskazówek. Kiedy masz ochotę zjeść?

– Im wcześniej, tym lepiej. O wpół do siódmej?

– Więc wpół do siódmej. Gdzie mam nakryć stół?

Fric wzruszył ramionami.

– Gdzie ma pan ochotę?

– Jeśli mam wybierać, to w świetlicy. Inne jadalnie są przeznaczone wyłącznie dla rodziny.

– W takim razie ja wybiorę – powiedział chłopiec. Przez chwilę skubał dolną wargę. – Jeszcze się do pana odezwę w tej sprawie.

– Dobrze. Przez jakiś czas będę u siebie, a potem w kuchni.

– Do kolacji wypijemy chyba jakieś wino, prawda? Dobrego merlota.

– O, naprawdę? Czy mam także od razu spakować walizki, wezwać taksówkę, napisać rezygnację i być gotowy do odjazdu, gdy tylko się upijesz?

– On wcale nie musi się dowiedzieć. A gdyby nawet, pomyśli, że zachowuję się jak klasyczne hollywoodzkie dziecko. Lepszy alkohol niż kokaina. Musiałby tylko porozmawiać z doktorem Rudym, żeby określić, czy to dlatego, że byłem synem rzymskiego cesarza i piję,

bo dostałem urazu, patrząc, jak głupie lwy pożerają głupich ludzi w głupim Koloseum.

Ethan bardziej by się ubawił, gdyby nie podejrzewał, że Twarz zareaguje właśnie w taki sposób.

– Możliwe, że twój ojciec mógłby się nie dowiedzieć. Ale zapominasz o Tej, Której Nie Można Oszukać.

– McBee – szepnął Fric.

Ethan pokiwał głową.

– McBee.

– Poproszę pepsi.

– Z lodem czy bez?

– Bez.

– Grzeczny chłopiec.

Rachel Dalton, choć przestraszona, rozgoryczona i walcząca z rozpaczą, pozostała piękną kobietą o lśniących orzechowych włosach i niebieskich, tajemniczo głębokich oczach.

Była także niezwykle uprzejma. Zgodziwszy się na rozmowę, czekała na Hazarda z kawą. Podawała ją w salonie, razem z paterą miniaturowych pączuszków i ciasteczek maślanych.

Policjanci z wydziału zabójstw rzadko spotykają się z poczęstunkiem, a już na pewno nie na adamaszkowych serwetkach. I nigdy nie podają go żony zaginionych mężczyzn, o których policja ma żenująco mało wiadomości. Jak się okazało Maxwell Dalton zniknął trzy miesiące temu. Rachel zgłosiła jego zaginięcie, kiedy od czterech godzin nie wracał z uniwersytetu. Policja oczywiście nie wykazała zainteresowania dorosłym człowiekiem, który od czterech godzin nie dawał o sobie znaku życia. Nikt nie poczuł się zaintrygowany także wtedy, gdy profesor milczał przez dzień, dwa, potem trzy.

– Najwyraźniej – powiedziała Rachel – żyjemy w czasach, kiedy szokująco wielu mężów – i żon – oddaje się narkotykowym orgiom albo nagle decyduje się spędzić tydzień w Puerto Vallarta z poderwaną przed chwilą panienką, albo po prostu odchodzi bez słowa. Kiedy usiłowałam opisać Maxwella, nie uwierzyli w jego istnienie – taki był porządny. Byli pewni, że za chwilę się pojawi z przekrwionymi oczami, głupią miną i chorobą weneryczną.

W końcu, kiedy nawet policja musiała uznać nieobecność Maxwella Daltona za niewyjaśnioną, pozwoliła na wniesienie oficjalnego zawiadomienia. Zaowocowało to niemrawymi poszukiwaniami, co doprowadziło Rachel do rozpaczki, ponieważ niesłusznie przypuszczała, że w sprawie zaginięcia człowieka

wszczyna się dochodzenie tylko nieznacznie mniej ożywione niż w sprawie zabójstwa.

– Nie, gdy chodzi o dorosłego – powiedział Hazard. – I nie wtedy, gdy nic nie wskazuje na uprowadzenie. Gdyby znaleźli jego samochód...

Ale samochodu nie znaleziono, podobnie jak pustego portfela ani żadnego przedmiotu, który wskazywałby na przestępstwo. Profesor zniknął bez śladu niczym statek w Trójkacie Bermudzkim.

– Na pewno już panią pytano, ale czy mąż miał jakichś wrogów?

– To dobry człowiek – odparła Rachel, zgodnie z oczekiwaniami Hazarda. Potem dodała coś, czego się nie spodziewał: – I jak wszyscy dobrzy ludzie oczywiście miał wrogów.

– Kogo?

– Bandę ciemnych typów ze spelunki zwanej uniwersytetem. Och, nie powinnam być tak brutalna. Pracuje tam wielu dobrych ludzi. Niestety, wydział języka angielskiego znajduje się w rękach kanalii i szaleńców.

– Myśli pani, że ktoś z nich...

– Raczej nie – przyznała. – Oni wolą raczej gadać, i to bez sensu. – Zaproponowała mu jeszcze kawy, a gdy odmówił, spytała: – Jak brzmi nazwisko tego człowieka, którego sprawę pan prowadzi?

Powiedział jej tylko tyle, żeby zgodziła się go wpuścić, i nie zamierzał rozwijać tematu. Nie wspomniał nawet, że już znalazł i zastrzelił mordercę Reynerda.

– Rolf Reynerd. Wczoraj zastrzelono go w Zachodnim Hollywood.

– Myśli pan, że jego sprawa ma związek z moim mężem? Nie tylko dlatego, że chodził na wykłady Maxwella?

- To możliwe - powiedział - Choć mało prawdopodobne. Nie liczyłbym...

Dziwne, ale smutny uśmiech do dał jej jeszcze urody.

- Proszę się nie obawiać - powiedziała. - Nie wiąże z tym wielkiej nadziei. Ale, do diabła, nie przestanę jej mieć.

Dzwonek u drzwi zadzwonił w chwili, gdy Hazard wstał, żeby się pożegnać. W progu stała starsza, czarna kobieta o całkiem białych włosach i najwytworniejszych dłoniach, jakie Hazard widział w życiu - smukłych, długopalcych, giętkich jak u młodej dziewczyny. Nauczycielka fortepianu przyszła na lekcję z dziesięcioletnią córeczką Daltonów.

Emily zbiegła z piętorka, słysząc melodyjny głos nauczycielki - w samą porę, by zostać przedstawioną Hazardowi. Była piękna jak matka, ale brakowało jej tej stalowej siły, bo wargi jej zadrżały, kiedy spytała:

- Znajdzie pan mojego tatę, prawda?

- Będziemy się bardzo starać - obiecał Hazard w imieniu wydziału, mając nadzieję, że nie rzuca słów na wiatr.

Wyszedł na ganek. W drzwiach jeszcze się obejrzał.

- Następną osobą z mojej listy jest kolega pani męża z wydziału języka angielskiego. Może go pani zna. Vladimir Laputa.

Ani smutek, ani gniew nie umniejszały urody Rachel.

- To najgorsza z tych hien. Max nim gardził... gardzi. Półtora miesiąca temu pan Laputa złożył mi wizytę, by wyrazić swoje współczucie i troskę. Daję słowo... ten szcur sprawdzał, czy nie szukam kogoś do łóżka.

- Dobry Boże.

- Bezwzględność cechuje przeciętnego profesora w takim samym stopniu jak przeciętnego gangstera. Tylko inaczej się wyraża.

Dawno przeminęły czasy naukowców w wieżach z kości słoniowych, zainteresowanych tylko sztuką i prawdą.

– Od jakiegoś czasu też mi to chodzi po głowie – powiedział, choć nie mógł wyjawiać, że z braku lepszego kandydata jej mąż znalazł się na czele podejrzanych o zamach na Channinga Manheima.

Jakoś nie chciało mu się wierzyć, że kobieta taka jak Rachel – i dziewczynka taka jak Emily – mogłyby pokochać człowieka, który nie był dokładnie taki, jaki się wydawał. A jednak zniknięcie Maxwella Daltona mogło oznaczać, że rozpoczął nowe życie, nowe dziwne życie, w którym jego jedynym celem będzie szantażowanie gwiazd z zamiarem zrobienia im krzywdy lub naiwną nadzieją wyłudzenia okupu.

Pomijając nawet dzwoneczki ze snu i człowieka z lustra, Hazard Yancy widywał w swoim życiu dziwniejsze wypadki niż ten, że niegdyś uczciwy profesor, człowiek rozsądny, oszalał z zazdrości i chciwości.

Daltonowie mieszkali w przyzwoitej dzielnicy, ale Laputa w lepszej, zaledwie piętnaście minut drogi od nich.

Wczesny zimowy zmrok zakradł się w ślad za burzą w czasie, gdy Hazard pił kawę w towarzystwie Rachel Daliom. Zmrok wyssał całe światło i kiedy Hazard jechał do profesora Laputy, chmury nie były już szare, podświetlone, lecz brudnożółte, nieprzejrzyste.

Hazard zaparkował jedną przecznicę przed domem najgorszej z uniwersyteckich hien, wyłączył reflektory i wycieraczki, ale zostawił silnik na chodzie, żeby nie pozbawić się ogrzewania. Dzieci nie będą tej zimy budować śnieżnych fortów, ale jak na kalifornijskie warunki zrobiło się bardzo zimno. Hazard nie mógł się dodzwonić do profesora. Teraz, choć w domu Laputy nie paliło się światło, spróbował jeszcze raz.

Słuchając sygnału w słuchawce, Hazard zauważył jakiegoś

przechodnia, który wyszedł zza zakrętu ulicy i zbliżał się w stronę domu Laputy. Ten człowiek był jakiś dziwny. Nie miał ani parasola, ani płaszcz przeciwdeszczowego. Ulewa zmieniła się w solidną mżawkę, ale i tak nie była to pogoda zachęcająca do spacerów. Poza tym było coś jeszcze: ten człowiek się nie spieszył.

Tak naprawdę radary Hazarda Yancy'ego włączyły się na widok zachowania tego dziwnego przechodnia. Ten facet pozował jak zawodowy model. Szedł ociężałym krokiem, ale nie tak jak czasem twardziele, lecz jak gwiazdy filmowe, którym się wydaje, że dobrze udają twardzieli. Jego szare spodnie, czarny golf i czarny skórzany płaszcz ociekały wodą, ale on jakby rzucał deszczowi wyzwanie.

Zgrywa. Przy tej pogodzie na ulicy nie było nikogo, przez ulicę nie przejeżdżały żadne samochody, a jednak facet jakby grał bez widowni, dla swojej satysfakcji.

Hazard przerwał połączenie z telefonem Laputy.

Przechodzień zdawał się mówić do siebie, choć znajdujący się po przeciwnej stronie ulicy Hazard nie mógł być tego pewien.

Spuścił szybę i nadstawił ucha, ale wszystko tonęło w bębnieniu deszczu. Przez szum dobiegło parę dźwięków, jakby facet śpiewał, choć Hazard nie rozpoznawał melodii ani słów. Ku jego zaskoczeniu zgrywający się facet zszedł z chodnika i skręcił w podjazd prowadzący do domu Laputy. Miał chyba pilota, ponieważ drzwi garażu uniosły się na jego powitanie i zaraz potem się zamknęły.

Hazard zamknął okno. Zaczął obserwować dom.

Po dwóch minutach na tyłach domu zapaliło się światło, być może w kuchni. Może pół minuty później na piętrze rozbłysło okno.

Miłośnik deszczu był albo Vladimirem Laputa, albo miał swobodny dostęp do jego domu.

Ethan przyglądał się z okna obok drzwi frontowych, jak samochód pana Hachette'a niknie w strugach deszczu. Szef kuchni opuścił dom ostatni.

Dyskretny ekran osadzony w ścianie tuż za rogiem rozjaśnił się, kiedy Ethan lekko dotknął go palcem. W ten sposób mógł uzyskać dostęp do wszystkich skomputeryzowanych funkcji: ogrzewania, klimatyzacji, systemu nagłaśniającego, basenów i saun, oświetlenia wewnętrznego i zewnętrznego, systemu telefonicznego i wielu innych.

Tablice znajdowały się w wielu miejscach domu, ale wymienionymi funkcjami można było kierować bezpośrednio z komputera, na przykład z tego w gabinecie Ethana.

Ethan włączył ekran, na którym pojawiły się trzy kolumny ikon. Dotknął tej, która oznaczała zewnętrzne kamery.

Ponieważ na terenie posiadłości znajdowało się osiemdziesiąt sześć zewnętrznych kamer, na ekranie pojawiło się osiemdziesiąt sześć numerów. Aby zapewnić sobie szybki dostęp do nagrania z danej kamery, należało zapamiętać jej numer. Dotknął trójki; na ekranie natychmiast pojawił się obraz bramy wjazdowej widzianej z zewnątrz. Ta sama kamera zarejestrowała Rolfa Reynerda dostarczającego jabłko z okiem w środku.

Brama się rozsunęła, samochód pana Hachette'a opuścił posiadłość i wyjechał na ulicę. Skręcił w prawo i znikł z pola widzenia kamery. W chwili gdy brama się zatrzasnęła, Ethan dotknął ekranu i wyłączył ikonkę kamery. Włączył ikonkę systemu alarmowego.

Nie wszyscy pracownicy mieli prawo aktywować i

dezaktywować alarm, dlatego na ekranie pojawiło się pytanie o hasło. Ethan wpisał je, otrzymał dostęp i dopiero wtedy włączył system alarmowy.

We wszystkich publicznych pomieszczeniach – dosłownie wszystkich z wyjątkiem sypialni, łazienek i mieszkań personelu – znajdowały się detektory rejestrujące ruch na korytarzu lub w pokojach. Działały przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, przez cały tydzień, ale podłączano je do alarmu dopiero wtedy, kiedy w budynku nikogo nie było, co zdarzało się dość rzadko.

Teraz, gdy Fric i Ethan byli w domu, czujniki włączałyby syrenę za każdym razem, gdyby przeszli przez monitorowane pomieszczenie albo chociaż poruszyli w nim ręką. Ethan chciał tylko, żeby system zasygnalizował, czy któreś z drzwi bądź okien nie zostały otwarte. Ten środek ostrożności wraz z zespołem strażników prowadzących obserwację terenu na wielu dodatkowych poziomach dawał mu pewność, że nikt nie zaskoczy jego ani Frica.

Mimo wszystko nie chciał, żeby chłopiec spędził tę noc samotnie na drugim piętrze. Dziś, jutro ani w najbliższej przyszłości.

Albo przeniosą go na parter, albo Ethan spędzi noc w salonie apartamentu Frica. Zamierzał to przedyskutować z chłopcem po kolacji. Na razie po raz pierwszy od powrotu do domu poszedł do swojego mieszkania, do gabinetu, gdzie na biurku zostawił trzy srebrne dzwoneczki.

Dzwoneczków nie było.

W najniżej położonym garażu szpitala Matki Boskiej od Aniołów, kiedy odkryli brak dzwoneczków w ambulansie, przyszło mu do głowy, że komplet będący obecnie u Hazarda jest tym samym, który znalazł się w jego dłoni przed kwiaciarnią.

Zjawą, którą zobaczył w lustrze Dunny'ego, która znikła w lustrze Hazarda, z tajemniczych przyczyn w jakiś sposób dostała się tutaj w nocy, zabrała dzwoneczki i dała je Hazardowi. Tą zjawą był

najprawdopodobniej Dunny Whistler, martwy, lecz nadal na chodzie.

Dosyć go dziwiło, że może stać, snuć takie myśli i zachować zdrowe zmysły. A przynajmniej wydawało mu się, że je zachował. Mógł się mylić.

Dzwonki znikły, ale zawartość czarnych pudełek pozostała. Ethan usiadł przy biurku i przyjrzał się sześciu elementom łamigłówki, modląc się o oświecenie.

Biedronki, ślimaki, dziesięć napletków, słoik pełen literek scrabbla'a – ZŁY, ŁZY – książka o psach, oko w jabłku...

W lepszych czasach, gdy miał lepszy nastrój, nie potrafił dostrzec znaczenia tych wiadomości. Miał nadzieję, że w obecnym stanie napięcia i wyczerpania zdoła spojrzeć na wszystko nieco inaczej i zrozumieć to, co przedtem wydawało mu się niepojęte.

Niestety.

Zadzwoił do strażników w stróżówce. Już wiedzieli, że włączył alarm wcześniej niż zwykle, ponieważ zobaczyli to na ekranach komputerów.

Poprosił o wyjątkową czujność, nie wyjaśniając przyczyn.

– I przekażcie tę prośbę chłopakom z następnej zmiany.

Zadzwoił do Carla Shortera, dowódcy osobistej ochrony Twarzy. Shorter nie miał żadnych niepokojących wiadomości.

– Zadzwoię jutro – zapowiedział Ethan. – Przedyskutujemy nowe środki bezpieczeństwa przed waszym przylotem do Los Angeles. Większa obstawa na lotnisku i w drodze do domu, nowe procedury, nowa trasa, na wypadek gdyby ktoś poznał poprzedni plan.

– Twój wentylator jeszcze czysty? – spytał Shorter.

– Gówno na razie w niego nie wpadło – zapewnił go Ethan.

- To o co chodzi?

- Opowiadałem ci o tych dziwnych prezentach w czarnych pudełkach. Reagujemy na nie, to wszystko.

Rozłączył się, poszedł do łazienki, żeby się ogolić i odświeżyć przed kolacją. Zdjął sweter, włożył czystą koszulę.

Parę minut później, stojąc przed biurkiem w gabinecie, jeszcze raz przyjrzał się sześciu tajemniczym przedmiotom.

Zauważył jakieś migotanie. Lampka nad linią 24 zamrugała i zapłonęła stałym blaskiem.

Land-rover, własność Kurtz Ivory International, pojazd Robina Goodfellowa, nie mógł się pojawić w okolicach domu Corky'ego. Zbyt łatwo byłoby go powiązać z przestępstwami popełnionymi przez jego faszystowskie alter ego.

Corky zaparkował więc za rogiem i poszedł do domu w deszczu, śpiewając wyjątki ze „Złota Renu” Richarda Wagnera, oczywiście niezbyt dobrze, lecz z uczuciem.

W garażu rozebrał się do naga i zostawił przemoczone rzeczy na betonowej podłodze. Zabrał ze sobą portfel z legitymacją agenta i glocka, ponieważ jeszcze nie przestał być Robinem Goodfellowem.

W salonie wytarł się do sucha. Włożył ocieplaną bieliznę.

W szafy wyjął czarny kombinezon z goretexu i thermolitu dla narciarzy. Wodoodporny, ciepły, zapewniający swobodę ruchów, będzie idealnym kostiumem do napadu na Palazzo Rospo.

*

Hazard mógł znowu zadzwonić, ale po głębokim namyśle postanowił bez uprzedzenia zapukać do drzwi. Element zaskoczenia zawsze coś daje, na przykład reakcję – lub jej brak – na widok odznaki policyjnej.

Wyłączył silnik, wysiadł z samochodu i stanął twarzą w twarz z Dunnyem Whistlerem.

Dunny, biały jak wypalony na słońcu kościotrup, z twarzą ściągniętą niczym w śpiączce, stał w deszczu suchy jak pieprz, jak piasek na księżycu, jak sól.

– Nie idź tam.

Hazard drgnął i zrobił drugą najgłupszą na świecie rzecz oprócz puszczenia się galopem przed siebie. Usiłował się cofnąć, co mu się nie udało, ponieważ tuż za nim znajdował się samochód. Potknął się i stracił równowagę.

– Ciebie nie sprowadzę z powrotem, jeśli zginiesz – powiedział Dunny. – Nie jestem twoim aniołem.

Jeszcze przed chwilą całkowicie realny, bez jednego chlupotu zapadł się w kałużę, w której stał, jakby był odwróconym odbiciem w wodzie. Spłynął na chodnik w pionowych strugach i zniknął w ułamku sekundy, jeszcze płynniej niż wtedy w lustrze.

*

Wodoodporny kombinezon miał składany kaptur, anatomicznie wymodelowane kolana i więcej kieszeni niż płaszcz robiony na zamówienie kleptomana, wszystkie zapinane na suwaki. Stroju Corky'ego dopełniały dwie pary skarpetek, czarne buty narciarskie i rękawiczki ze skóry i nylonu, niemal tak rozciągliwe jak chirurgiczne, a budzące mniej podejrzeń. Corky przyjrzał się sobie z uznaniem i poszedł do pokoju gościnnego, żeby sprawdzić, czy Serowy Śmierdziel już kopnął w kalendarz, i postraszyć go, jeśli nie kopnął.

Wziął ze sobą pistolet z nowym tłumikiem.

Smród więźnia buchał aż na korytarz. Za progiem stawał się odorem, który nawet Corky, gorący miłośnik chaosu, musiał uznać za niezbyt pociągający.

Corky włączył światło i podszedł do łóżka.

Więzień, w równym stopniu uparty jak śmierdzący, nadal żył, aczkolwiek ze świadomością, że jego żona i córka były torturowane i gwałcone, a na koniec zabite.

- Dlaczego jesteś taki samolubny? – zadał mu pytanie Corky. Jego głos ociekał pogardą.

Maxwell Dalton, osłabiony zbyt długim karmieniem dożylnym, znajdujący się na krawędzi śmiertelnego odwodnienia, nie mógł odpowiedzieć inaczej niż komicznie skrzeczącym głosem. Dlatego ograniczył się do nienawistnego spojrzenia.

Corky wsunął między jego spękane wargi lufę pistoletu.

Miłośnik Dickensa, Twaina i Dickinson nie odwrócił głowy, lecz odważnie otworzył szeroko usta i zacisnął zęby na metalu, aczkolwiek gest ten kojarzył się raczej z Hemingwayem. Jego oczy płonęły.

*

Hazard siedział za kierownicą sedana, usiłując się opanować, i myślał o babci Rose, matce ojca, która wierzyła w magię, choć jej nie praktykowała, w poltergeisty, choć żaden nie odważył się buszować po jej wypieszczonym domu, w duchy, choć nigdy żadnego nie widziała, która potrafiła przytaczać szczegóły tysięcy nawiedzeń przez duchy dobre, złe i Elvisa. Babcia Rose liczyła sobie obecnie osiemdziesiąt lat – czarodziejska Rose, jak z czułością nazywała ją matka Hazarda. Kochano ją, szanowano, ale i podśmiewano się z niej po cichu, ponieważ była pewna, że świata nie da się opisać za pomocą terminów naukowych i pięciu zmysłów.

Wbrew świadectwu własnych oczu Hazard nie mógł się pogodzić ze świadomością, że babcia Rose mogła stać mocniej na ziemi niż oni wszyscy.

Hazard nigdy nie należał do ludzi, którzy mają problem z podjęciem decyzji, czy to na co dzień, czy też w czasach zagrożenia. Siedział w ciemnościach, dygocząc, i dopiero po pewnym czasie uznał, że powinien włączyć silnik i grzejnik. Jednak decyzja, czy

zadzwoić do Laputy, wydawała mu się najtrudniejsza w życiu.

Ciebie nie sprowadzę z powrotem, jeśli zginiesz, powiedział Dunny.

Policjant nie powinien się cofać tylko dlatego, że boi się śmierci. Gdyby tak było, powinien oddać odznakę, załatwić sobie robotę w bibliotece i znaleźć hobby dla zabicia czasu.

Nie jestem twoim aniołem, powiedział Dunny, z akcentem na „twoim”, co oczywiście było ostrzeżeniem, ale zawierało informacje, od których Hazardowi zakręciło się w głowie. Zapraǳał odwiedzić babcię Rose, położyć jej głowę na kolanach i poprosić o przyłożenie zimnego kompresu. Może upiekłaby cytrynowe ciasteczka. Może zrobiłaby mu gorącej czekolady.

Dom Laputy za zasłoną deszczu nie wyglądał tak samo, jak przed chwilą. Przed chwilą był ładnym wiktoriańskim budynkiem na przestronnej działce, ciepłym i zachęcającym, w sam raz dla rodzin, w których dzieci zostają lekarzami, prawnikami i astronautami i wszyscy się zawsze kochają. Teraz wydało mu się, że w jednym z okien widzi dziewczynkę przywiązaną do lewitującego łóżka, wymiotującą, przeklinającą Jezusa i przemawiającą głosami demonów.

Jako policjant nie mógł dopuścić strachu do głosu. Jako przyjaciel nie mógł zostawić Ethana bez pomocy.

Informacje. Doświadczenie podpowiadało mu, że wątpliwości biorą się z niedostatku informacji potrzebnych do podjęcia decyzji. Musiał usłyszeć odpowiedzi na parę pytań.

Problem w tym, że oficjalnie nie miał powodów prowadzić takiego dochodzenia. Jeśli ten profesorek miał związek z jakąkolwiek prowadzoną sprawą, to raczej z morderstwem Miny Reynerd, której akta spoczywały na biurku Kesselmana, nie jego. Nie mógł szukać informacji w zwykły sposób.

Zadzwoił do Laury Moonves z oddziału współpracy wywiadowczej. Laura kiedyś chodziła z Ethanem i nadal nie był jej obojętny. Pomogła mu wysledzić Rolfa Reynerda na podstawie tablic rejestracyjnych hondy sfilmowanej przez kamery w posiadłości. Bał się, że może już wyszła, ale podniosła słuchawkę.

– Jeszcze jesteś – powiedział z ulgą.

– Naprawdę? Myślałam, że już sobie poszłam. Myślałam, że jadę do domu i tylko wstąpiłam na kubełek smażonego kurczaka z podwójną sałatką. Nie, cholera, ciągle tu jestem, ale w końcu co za różnica, skoro nie mam życia osobistego?

– Ciągle mu mówię, że jest idiotą, skoro cię nie zatrzymał.

– Ja też mu mówię, że jest idiotą.

– Wszyscy mu mówią, że jest idiotą.

– Tak? To może się wszyscy zbierzemy i opracujemy nową strategię, bo ta jest do luzu. Tak bardzo go lubię...

– On ciągle myśli o Hannah.

– Człowieku, to pięć lat.

– Kiedy ją stracił, stracił coś więcej. Sens życia. Wszystko mu teraz zwisa. Musi znowu dostrzec głębszy wymiar życia, bo taki już jest.

– Świat jest pełen seksownych, mądrych, fajnych facetów, którzy nie zauważyliby żadnego głębszego wymiaru życia nawet wówczas, gdyby Bóg dał im fangę w nos i zostawił na czole pieczęć ze swoimi inicjałami.

– To byłby pewnie ten gniewny Bóg ze Starego Testamentu.

– Dlaczego musiałam się zakochać w facecie, który potrzebuje głębszego wymiaru?

– Może dlatego, że ty też go potrzebujesz. – To ją uciszyło, a

Hazard wykorzystał jej milczenie. – Pamiętasz tego faceta, którego znalazłaś wczoraj rano – Rolfa Reynerda?

– Słynny wilk. „Rolf znaczy „słynny wilk”.

– Rolf znaczy trup. Nie oglądasz dziennika?

– Nie jestem masochistką, prawda?

– Więc zajrzyj do najnowszych wieści w Internecie. Ale nie teraz. Teraz chciałbym, żebyś zrobiła coś dla mnie – dla Ethana – i to nieoficjalnie.

– O co chodzi?

Hazard zerknął na dom. Budynek ciągle emanował dziwną dwoistością: jakby rodzina Muminków zbudowała domek nad bramami piekła.

– Vladimir Laputa – powiedział i przeliterował oba słowa. – Daj mi szybko znać, czy mamy coś na niego, choćby mandat za parkowanie.

*

Corky wyjął lufę z ust Daltona, szurając metalem po zębach, które z niedożywienia ledwie trzymały się w dziąsłach.

– Jeden strzał to dla ciebie za mało – powiedział. – Kiedy postanowię cię usunąć, zrobię to powoli... i efektownie.

Odłożył pistolet, opowiedział Daltonowi parę rozkosznych kłamstw o pozbyciu się zwłok Rachel i Emily, a potem wyjął nowy woreczek z lodówki.

– Dziś wieczór przyprowadzę ci gościa – zapowiedział, zakładając kroplówkę. – Widza twojego ostatniego cierpienia.

Oczy w wyniszczonej, zapadniętej twarzy wodziły spojrzeniem

za Corkym. Nie lśniły już nienawiścią, lecz dobrze zadomowionym w nich strachem; straszne oczy człowieka, który w końcu uwierzył w potęgę chaosu i zrozumiał jego majestat.

– To dziesięcioletni chłopiec, mój nowy projekt. Będiesz zaskoczony, kiedy ci go przedstawię.

Wymienił woreczek, podszedł do apteczki, wyjął z niego jednorazową strzykawkę w opakowaniu i dwie małe buteleczki.

– Przywiążę go do krzesła koło twojego łóżka. A jeśli nie będzie chciał patrzeć na to, co dla ciebie przygotowałem, przykleję mu powieki taśmą.

*

Laura Moonves nie znalazła nic na Vladimira Laputę, nawet jednego niezapłaconego mandatu. Ale po niespełna kwadransie zadzwoniła do Hazarda z interesującymi informacjami.

W archiwum wydziału zabójstw znajdowała się otwarta sprawa Laputy. Z braku dowodów i poszlak przerwano dochodzenie. Cztery lata temu niejaka Justine Laputa, lat sześćdziesiąt osiem, została zamordowana we własnym domu. W tym samym, który obecnie obserwował Hazard.

– Jak umarła? – spytał, nie odwracając od niego wzroku.

– W sieci nie ma pełnych akt, tylko początkowy ustęp. Wynika z niego, że została pobita na śmierć pogrzebaczem.

Mina Reynerd otrzymała strzał w stopę, ale przyczyną jej śmierci było zatłuczenie marmurową lampą.

Pogrzebacz. Ciężka lampa. W obu wypadkach morderca posłużył się przedmiotem, który miał pod ręką. To może być wystarczający dowód, by rozpocząć dochodzenie – ale to dopiero

początek.

– Została zamordowana z wyjątkową brutalnością – dodała Laura. – Lekarz twierdził, że zadano jej od czterdziestu do pięćdziesięciu ciosów.

Mina Reynerd została zamordowana równie brutalnie.

– Kto prowadzi dochodzenie?

– Walt Sunderland.

– Znam go.

– Miałam szczęście, pięć minut temu się do niego dodzwoniłam. Powiedziałam, że na razie nie mogę nic wyjaśnić, i spytałam, czy ma podejrzanego. Nie wahał się. Powiedział, że wszystko odziedziczył syn Justine. Twierdzi, że to zarozumiała mała gnida.

– Jej syn ma na imię Vladimir – domyślił się Hazard.

– Vladimir Ilyich. Naucza na tym samym uniwersytecie co niegdyś jego matka.

– Więc dlaczego jeszcze nie siedzi w pudle i nie puszcza się za kilka papierosów?

– Walt twierdzi, że Vladimir miał tak niewzruszone alibi, że można by na nim rozbić ciężarówkę.

Nie ma rzeczy doskonałych. Sfabrykowane alibi z potrójnym zabezpieczeniem zawsze budzi podejrzenia, ponieważ wygląda zbyt porządnie.

Dom czekał w deszczu jak żywe, czujne stworzenie, świecąc oknami niczym krzywymi ślepiami.

*

Corky zmieszał w strzykawce substancje paraliżujące, by jego

jeniec pozostał unieruchomiony, lecz przytomny.

– Do świtu będziesz równie martwy jak Rachel i Emily, a wtedy chłopiec zamieszka w tym pokoju, w tym łóżku.

Nie dodał środka uspokajającego ani halucynogennego. Wróci dobrze po północy – nie chciał, żeby Dalton odpłynął czy zatonął w rojeniach. Ten padalec musi być przytomny, by docenić każdy niuans swojej od dawna zaplanowanej śmierci.

– Podczas naszej przygody wiele się nauczyłem.

Wprowadził igłę do kroplówki.

– Przyszło mi do głowy mnóstwo lepszych pomysłów.

Kciukiem powoli docisnął tłok, wtłaczając substancję do roztworu soli fizjologicznej.

– Chłopiec przeżyje w tym pokoju to samo co ty, ale będzie to barwniejsze, bardziej szokujące.

Zaaplikowawszy pełną dawkę, wyciągnął igłę i wyrzucił strzykawkę do śmieci.

– W końcu cały świat musi podziwiać nagrania, które roześlę. Moje filmy muszą mieć niezwykle walory rozrywkowe, jeśli mam przykuć uwagę tłumów.

Rozkołysane zęby Serowego Śmierdziela zaczęły szcząkać. Z jakiegoś powodu leki paraliżujące przejmowały go dreszczami.

– Jestem pewien, że chłopiec się ucieszy. Pierwszy występ w roli głównej i od razu odniesie większy sukces kasowy niż ojciec.

*

Burza straciła impet, przeszła w bezwietrzną mżawkę. Mgła płynęła nad ulicą jak para z ust niewidocznego księżyca.

Zaniepokojony Hazard siedział w samochodzie, zastanawiając się nad najlepszą metodą postępowania z Vladimirem Laputą.

Jego komórka rozdzwoniła się alarmująco. Odebrał i rozpoznał głos, który chwilę temu usłyszał na ulicy z ust zjawy.

– Jestem aniołem stróżem Ethana, nie twoim, nie Aelfrica – powiedział Dunny Whistler. – Ale nawet gdybym go ocalił – gdybym zdołał – wszystko i tak pójdzie na marne, jeśli zginiesz ty albo chłopiec.

Hazard, na ogół dysponujący bogatym zasobem słów, nagle poczuł się lingwistycznym bankrutem. Jeszcze nigdy nie rozmawiał z duchem. Nie wiedział, od czego zacząć.

– Ethan będzie się obwiniał za waszą śmierć – ciągnął Whistler. – A wtedy cień jego serca stanie się głębokim mrokiem. Nie idź do tego domu.

Hazard odzyskał głos, ale cieńszy i bardziej drżący od tego, którym się zwykle posługiwał:

– Jesteś żywy czy martwy?

– Żywy i martwy. Nie idź do tego domu. Ta kamizelka cię nie uratuje. Dostaniesz strzał w głowę. Dwie kule w mózg. I nie mam upoważnienia do przywrócenia ci życia.

Połączenie zostało przerwane.

*

Corcy w stylowym stroju do napadu na zamek hollywoodzkiego mogła spojrzeć na kuchenny zegar i przekonał się, że do spotkania z Jackiem Trotterem została mu niespełna godzina.

Morderstwa i sianie zniszczenia zaostrzały mu apetyt. Zrobił sobie improwizowany posiłek z sera, suszonych owoców, połowy paczka, łyżki puddingu, kawałek tego, okruszyny owego.

Tak chaotyczne danie było w sam raz dla kogoś, kto zawodowo zajmuje się sianiem chaosu i ma jeszcze przed sobą mnóstwo roboty.

Glock, już z tłumikiem, leżał na kuchennym stole. Zmieścił się w najgłębszej kieszeni kombinezonu. W innych miał zapasowe magazynki, więcej amunicji, niż potrzebował, zważywszy na fakt, że dziś nie zamierzał zabić nikogo poza Ethanem Trumanem.

*

Gdyby Hazard chciał tylko przeżyć, odjechałby w swoją stronę, nawet nie oglądając się na ten dom.

Ale był dobrym gliną i przyjacielem Ethana. Uważał, że praca policjanta to nie zawód, lecz powołanie i że przyjaźń wymaga poświęceń, nawet jeśli trudno się na nie zdobyć.

Otworzył drzwi. Wsiadł z samochodu.

Dunny słyszy wezwanie i natychmiast na nie spieszy, tym razem nie samochodem, lecz przez autostrady mgły i wody, przez ideę San Francisco.

W parku w Los Angeles otacza się niską chmurą i szybuje setki kilometrów na północ, gdzie przybywa w miękkich fałdach innej mgły, a następnie ląduje na nabrzeżu.

Ponieważ nie żyje, ale jeszcze nie odszedł z tego świata w następny, zamieszkuje we własnych zwłokach, co jest sytuacją dość osobliwą. Po śmierci jego dusza przez jakiś czas czekała w miejscu, w którym czuł się jak w poczekalni u lekarza, ale bez zaczytanych pism i nadziei. Potem pozwolono mu wrócić na ten świat do znajomej śmiertelnej skorupy. Nie jest byle duchem, nie jest też tradycyjnym aniołem stróżem. Jest żywym trupem, ale jego ciało jest zdolne do wszelkich zdumiewających sztuczek, o jakich tylko zamarzy jego dusza.

W tym mieście położonym o tyle dalej na północ nie pada deszcz. Woda chlupocze o nabrzeże i w jej nieprzyjemnym chichocie słychać kpinę, podstęp i nieludzki głód.

Być może najbardziej zaskakujący w byciu trupem jest dla niego strach. Można by się spodziewać, że śmierć wyzwala od lęku.

Dunny drży na dźwięk chlupotu wody, tupotu swoich stóp na pomoście mokrym od mgły, boi się słonego zapachu morza, mroźnych, jarzących się we mgle prostokątów okien restauracji, w której czeka Tyfon. Prawie przez całe swoje życie nie dostrzegał znaczenia w niczym; teraz, jako trup, widzi je w każdym szczególe świata fizycznego i zbyt wiele z nich budzi strach.

Jeden z pomostów prowadzi prosto pod okno restauracji z

widokiem na zatokę. Przy najlepszym stoliku siedzi Tyfon, który wizytuje miasto w interesach, lecz obecnie jest sam, jak zwykle pięknie ubrany, dostojny jak król, choć nie pretensjonalny. Ich oczy się spotykają.

Przez chwilę Tyfon przygląda się Dunny'emu poważnie, nawet surowo, jakby w związku z konsekwencjami, których Dunny nawet nie chce się domyślać. Potem w jego puzatych policzkach pojawiają się dołeczki, a twarz rozjaśnia się ujmującym uśmiechem. Tyfon celuje w Dunny'ego palcem jak pistoletem.

Dunny mógłby w ułamku sekundy przenieść się przez mgłę, szkło i płomyki świec do restauracji prosto na krzesło naprzeciwko Tyfona. Ale przy tylu świadkach tak niekonwencjonalne przybycie byłoby szczytem niedyskrecji.

Dunny wchodzi do budynku przed drzwi i idzie za kierownikiem sali do stolika. Tyfon uprzejmie wstaje na jego powitanie, podaje mu rękę i mówi:

– Drogi chłopcze, przepraszam, że wezwałem cię w tak ważnym momencie tej nocy nad nocami.

Siadają, a Dunny uprzejmie dziękuje za drinka. Dochodzi do wniosku, że nieszczerością nie zdołała więcej, a może nawet dużo mniej niż poprzedniego wieczora w hotelowym barze w Beverly Hills. Tyfon wyraźnie zażyczył sobie szczerości i uczciwości w ich relacji.

– Zanim pan coś powie, muszę wyznać, że znowu przekroczyłem swoje kompetencje – mówi Dunny – kontaktując się z Hazardem Yancym.

– Nie kontaktując się, Dunny. Kontaktując się w tak bezpośredni sposób. – Tyfon robi pauzę, by pociągnąć łyk martini.

Dunny zaczyna się tłumaczyć, ale białowłosy pan prosi go gestem uniesionej ręki o cierpliwość. Błękitne oczy migoczą wesoło. Tyfon pociąga łyk martini i rozkoszuje się jego smakiem.

– Synu – przemawia w końcu – mówisz odrobinę zbyt głośno, a w twoim głosie brzmi strach, który może zainteresować niektórych gości, zbyt ciekawskich na swoje nieszczęście.

Szczerkanie sztućców o talerze, niemal kryształowy brzęk kieliszków przy akompaniamencie toastów, wdzięczne tony głąskanego raczej niż atakowanego pianina i pomruk rozmów nie tłumią rozmowy tak dobrze jak w barze hotelowym.

– Przepraszam – mówi Dunny.

– Godne podziwu, że pragniesz nie tylko zapewnić panu Trumanowi fizyczne przetrwanie, ale także emocjonalne i psychologiczne zdrowie. Masz taką możliwość. Anioł stróż musi działać w interesie swojego klienta, ale nie bezpośrednio. Zachęcać, inspirować, przerażać, nakłaniać, doradzać...

– ... i pośrednio wpływać na bieg wypadków – kończy Dunny.

– Otóż to. W kontakcie z Aelfrikiem rozszerzyłeś nieco swoje kompetencje. Rozszerzyłeś, lecz ich nie przekroczyłeś.

Tyfon przemawia jak zatroskany nauczyciel, który musi wyjaśnić jakiś trudny problem uczniowi. Nie okazuje gniewu, za co Dunny jest mu wdzięczny.

– Ale mówiąc panu Yancy'emu wprost, żeby nie szedł do tamtego domu – ciągnie Tyfon – informując go, że dostanie dwa strzały w głowę, wtrąciłeś się w to, co wówczas było jego przeznaczeniem.

– Tak.

– Yancy może teraz zachować życie nie dzięki swojemu postępowaniu i decyzjom, nie dzięki wolnej, nieograniczonej woli, lecz ponieważ wyjawiałeś mu najbliższą przyszłość. – Tyfon wzdycha. Kręci głową. Jest smutny, jakby następne słowa pograżyły go w rozpacz. – A to niedobrze, mój chłopcze. Niedobrze dla ciebie.

Jeszcze przed chwilą Dunny był wdzięczny, że jego mentor się

nie gniewa. Teraz żal i smutek Tyfona zaczęły go przerażać, bo sugerują, że wyrok już zapadł.

– Istnieje wiele pośrednich sposobów, dzięki którym mogłeś zawrócić pana Yancy’ego z drogi.

Ale radosny charakter Tyfona nie daje się długo tłumić. Starszy pan znowu się uśmiecha. Jego błękitne oczy migoczą taką wesołością, że gdyby mu przyprawić sztuczną siwą brodę i ubrać w coś mniej eleganckiego, mógłby za dwa dni zasiąść w saniach i ująć w ręce cugle latających bezskrzydłych reniferów. Pochyliła się konspiracyjnie nad stołem i mówi:

– Synu, w tym nadprzyrodzonym biznesie istnieją tysiące sposobów, które by go wyгнаły prosto do babci Rosę albo baru. Nie musiałeś być taki oczywisty. A jeśli dalej tak będziesz robić, utracisz swojego przyjaciela Ethana, a nawet możesz się stać przyczyną śmierci jego i tamtego chłopca.

Patrzą sobie w oczy.

Dunny nie pyta, czy wolno mu się dalej zajmować tą sprawą, ponieważ boi się, że zna już odpowiedź.

Tyfon upija łyżeczek martini.

– Ach, Dunny, ależ z ciebie paliwoda. Taki niecierpliwy, gwałtowny, denerwujący – ale jesteś też zabawny. Rozśmieszasz mnie. Naprawdę.

Dunny czeka w milczeniu, nie wiedząc, jak ma to zrozumieć.

– Nie chcę być niegrzeczny – mówi Tyfon – ale wkrótce zjawia się moi goście. Ten twój zagłodzony wygląd, twoja bezpośredniość może ich zaalarmować. To płochliwe stworzenia, polityk i dwóch jego sponsorów.

Dunny ośmiela się zadać pytanie:

– Czy mogę nadal opiekować się Ethanem?

– Po tylu odstępstwach od zasad miałbym prawo cię odsunąć. Anioł stróż musi działać zgodnie z kodeksem, nie sądzisz? Dobre intencje nie wystarczą. Na tym stanowisku trzeba się wykazać etyką na wyższym poziomie niż amerykańscy senatorzy i hazardziści.

Tyfon podnosi się z miejsca. Dunny szybko podrywa się na równe nogi.

– Mimo to, drogi chłopcze, mam ochotę wybaczyć ci po raz ostatni.

Dunny ściska wyciągniętą rękę.

– Dziękuję panu.

– Ale wiedz, że jesteś pod stałą obserwacją. Jeśli nie będziesz działać zgodnie z umową, natychmiast stracisz moc i władzę i zostaniesz odesłany.

– Będę posłuszny.

– A kiedy zostaniesz odesłany, Ethan będzie musiał sam o siebie zadbać.

– Nie złamię już żadnej zasady.

Tyfon kładzie mu rękę na ramieniu i ściska go z ojcowskim uczuciem.

– Drogi chłopcze, tak długo szedłeś po manowcach, że wejście na prostą drogę nie jest dla ciebie łatwe. Ale teraz musisz uważać na każdy swój krok.

Dunny opuszcza restaurację pieszo i idzie nabrzeżem tam, gdzie mgły kłębią się wśród statków i syren. Dzięki mgłę, promieniom księżycy i idei Palazzo Rospo wyrusza, podróżuje i dociera na miejsce w tym samym czasie.

Dwie kule w mózg.

Hazard – w kamizelce kuloodpornej i z pełną świadomością, jak dobrym celem jest jego lwia głowa – zamknął samochód i przeszedł przez ulicę.

Dom matkobójcy jakby przyciągał mgłę, która kłębiła się wokół nie w monolitycznej masie, lecz w dziwnych zawijasach i smukłych smugach, gibkich i jedwabistych, ciągnących się ogon za ogonem, jakby tysiąc angorskich kotów skradało się ku domowi, zwabionych wonią świeżo otwartej puszkę tuńczyka.

Aura wokół domu tak oszołomiła Hazarda, że szedł, nie zwracając uwagi na deszcz. Dopiero kiedy dotarł pod ganek, zdał sobie sprawę, że przemókł do suchej nitki. Wchodząc po schodach, poczuł coś zimnego w ręku – i zobaczył telefon, przez który rozmawiał z Dunnym Whistlerem.

Jestem żywy i martwy, powiedział Dunny. W tej chwili Hazard czuł się tak samo.

Na ostatnim schodku zatrzymał się zamiast od razu zadzwonić. Zdał sobie sprawę, że zaniedbał standardową procedurę, o której by nie zapomniał, gdyby nie odbył niepokojącej rozmowy z kimś, kto nie powinien znać jego numeru komórkowego. Wcisnął funkcję oddzwaniania.

Telefon odebrano po drugim sygnale, ale w słuchawce panowała cisza.

– Jest tam kto? – spytał Hazard.

– Jest, jest – odpowiedział twardy głos. – Jest, pewnie, że jest, ty imitacja czarnucha. Jestem tu, przez ciebie, ciągle czuję twoje piguły.

Piguły: pociski. Kule.

Hazard nie znał tego głosu, ale wiedział, do kogo może należeć. Słuchał w milczeniu.

– Jak się na mnie natkniesz, ty ziomalu z odzysku, lepiej się przygotuj na spotkanie z milionem miastowych. Wiesz, kto to?

– Wiem. Ktoś zły – odparł Hazard, zaskoczony, że w ogóle się odezwał. Wyczuł, że to niedobry pomysł, że to zaproszenie.

– Gorzej niż zły. Zły jak skurwysyn. W tym pudle siedzą sami miastowi. Znajdę cię, gnido. Będę pierwszy w kolejce.

Hazard chciał się rozłączyć, przypiąć telefon do paska, ale jakaś mroczna fascynacja kazała mu nadal słuchać.

Stał dziesięć kroków od drzwi Vladimira Laputy. Nie najlepsze miejsce na pogawędki z gadatliwymi zmarłymi.

– Pamiętasz tę czterdziestkępiątkę, co cię z niej miałem kropnąć?

Oczami duszy Hazard zobaczył Calvina Roosevelta alias Hectora X na trawniku przed blokiem Reynerda, z obiema rękami wokół broni, ogień bluzgający w deszcz.

– Zapamiętaj sobie, pedale, jak się tu dostaniesz, wsadzę ci w dupsko coś większego niż czterdzieści pięć, a potem inni też ci wsadzą. No to na razie.

Hazard się rozłączył. Telefon natychmiast rozdzwonił mu się w ręce. Nie powinien go odbierać, nie mógł go odebrać, wiedząc, kto jest po drugiej stronie.

Był przemoczony. Zziębnięty. Przerażony.

Telefon ciągle dzwonił.

Hazard musiał się zastanowić nad tym wszystkim albo nigdy więcej o tym nie myśleć. Nie potrafił podjąć właściwej decyzji, stojąc

przed drzwiami matkobójcy.

Wsadził dzwoniący telefon do kieszeni, odwrócił się i zszedł po schodkach, znowu na deszcz.

Łagodnie zawirowania w basenie kołysały światłem, rzucały migoczące aureole i drżące cienie na kamienne ściany i sklepiony sufit.

Fric przykrył lnianą serwetą jeden ze stolików nad basenem i położył na nim ładne porcelanowe talerze i srebrne sztucce. Mało brakowało, a przyniósłby świece, ale dwaj faceci nie mogą jadać wspólnie przy świecach. Może ewentualnie przy blasku pochodni albo ogniska w lesie pełnym polujących wilków, ale przy świecach nigdy.

Przykręcił wyłącznik, który przygasił blask lamp na piaskowcowych kolumnach.

Przy dobrej pogodzie Fric lubił jadać nad basenem – pod warunkiem że był tam sam, a wokół nie leżały dziewczyny Ojca Ducha, grubo wysmarowane kremem z filtrem piętnastką, jak skąpane w marynacie kaczkę.

Basen na terenie domu nie mógł się równać z tym na zewnątrz: miał zaledwie dwadzieścia pięć metrów długości i piętnaście szerokości, nie nadawał się więc do wyścigów motorówek. Ale za to w zimie na krytym basenie było ciepło, a palmy, których było tu pod dostatkiem, nadawały pomieszczeniu przyjemny tropikalny charakter.

Z okien basenu widać było zadrzewione tereny. Okna na czwartej ścianie wychodziły na cieplarnię i jej podobne do dżungli wnętrza.

Fric zdecydował się na posiłek przy basenie, ponieważ właśnie w cieplarni zrobił sobie kryjówkę. Na pierwszy sygnał nadejścia Molocha zerwie się i ucieknie szybko jak zając.

Dziwne, ale miał wrażenie, że pan Truman także spodziewa się nadejścia Molocha. Historyjka o tym testowaniu przepływu prądu była wyraźnie zmyślona. Coś się musiało dziać.

Miał nadzieję, że pan Truman nie będzie go już szukać przez interkom, tak jak wtedy w bibliotece. Nawet pod bezpośrednim przymusem nie wcisnąłby klawisza oznaczonego słowem ODPOWIEDZ, bo bał się, że podobnie jak funkcja oddzwaniaania połączy go z miejscem, skąd coś usiłowało się przeczołgać prosto do jego ucha.

Nakrył do stołu wcześniej, niż myślał. Spojrzał na zegarek. Pan Truman pojawi się pewnie dopiero za dziesięć minut.

Ociekający, zamglony krajobraz za oknem oświetlały liczne latarnie, ale architekt zieleni zamierzał stworzyć nastrój romantyczny i urzekający, co znaczyło, że przeważnie było ciemno. Jeśli Moloch zdołał przesadzić mur, niezauważony przez system alarmowy, pewnie czai się tam gdzieś w ciemnościach i obserwuje.

Fric rozważył możliwość wycofania się do kuchni pod pozorem pomocy przy posiłku, ale nie chciał się wydać nachalną, ofermowatą niedojdą.

Jeśli rzeczywiście zamierza pewnego dnia uciec i zostać komandosem, zamiast ukrywać się w Montanie, powinien zacząć myśleć i działać jak komandos, i to raczej wcześniej niż później. Komandos nie boi się ciemności za oknem. Komandos śmieje się z ciemności oraz na nią pluje. Uprzednio otworzywszy okno, żeby nie zabrudzić szyby.

Dotąd Fric nie osiągnął jeszcze dostępnego komandosom etapu pewności siebie. Usiadł przy stole, wsłuchując się w uciekające minuty.

Z tylnej kieszeni wyjął zdjęcie, rozłożył je i spojrzał na ładną panią o niezwykłym uśmiechu, żeby przestać myśleć o obserwującej go ciemności. Oto jego mama na niby.

A jednak nie posłuchał Tajemniczego Rozmówcy i nie spytał nikogo, czy zna panią. Przede wszystkim dlatego, że nie potrafiłby wymyślić przekonującej bajeczki o tym, skąd ma to zdjęcie i dlaczego interesuje się tą kobietą. Kłamał jak ostatnia oferma. Poza tym, dopóki nikogo o nią nie pytał, pani należała tylko do niego. Gdyby się dowiedział, kim ona jest, nie mógłby udawać, że to jego mama.

Ktoś zapukał do okna.

Fric zerwał się z krzesła, wypuszczając fotografię.

Paskudna twarz za oknem kryła się pod kapturem, ale był to kaptur skafandra, a twarz należała do jednego z ochroniarzy, pana Romy. Pan Roma, posiadacz długiej górnej wargi i małego nosa, potrafił ją na niego założyć i tak utrzymać, że jego twarz wydawała się przerażająco zdeformowana, a zęby stawały się ogromne. Podświetlił sobie twarz od spodu, potęgując jeszcze efekt.

– Uuuu – powiedział.

Fric podszedł do okna. Pan Roma uporządkował twarz.

– Jak leci, Fric? – spytał.

– Już dobrze – odparł Fric, podnosząc głos, żeby można go było usłyszeć przez szybę. – Przez chwilę myślałem, że to Ming.

– Ming jest na Florydzie z twoim tatą.

– Wrócił wcześniej. Gdzieś tu się włóczy.

Uśmiech pana Romy zamarł.

– Chciał mnie wziąć na spacer – dorzucił Fric – żeby mi opowiedzieć o tym, jak deszcz obmywa duszę planety czy coś w tym rodzaju.

Martwy uśmiech rozpadł się w pył. Pan Roma odjął latarkę od twarzy i omiół promieniem teren.

– Pewnie go pan spotka – dobił go Fric.

Pan Roma zorientował się, że latarka zdradza jego miejsce pobytu. Wyłączył ją czym prędzej.

– To cześć – rzucił i znikł w mglistym mroku.

Fric był ofermowatym kłamcą i nie przekonał nawet samego siebie, ale pan Roma nie zamierzał ryzykować, nawet gdyby szansa spotkania Minga gotowego do rozmowy i przewodnictwa duchowego była jak jeden na tysiąc.

Hazard siedział w chroniącym go przed deszczem samochodzie, drżał mimo ciepłego podmuchu z grzejnika, nadal nawiedzany przez nieżyjącego Hectora X, i nasłuchiwał dzwonięcia telefonu, aż w końcu zapragnął otworzyć okno i wyrzucić telefon.

Dzwonienie ustało dokładnie w chwili, gdy w domu Laputy zaczęło się coś dziać. Jakiś mężczyzna się ukazał, zamknął drzwi frontowe i zszedł po schodkach z ganku.

Nawet w deszczu i systematycznie gęstniejącej mgle Hazard rozpoznał człowieka, który poprzednio wszedł do domu przez garaż. Niemal z całą pewnością Vladimir Laputa.

Na skrzyżowaniu prywatnego podjazdu z chodnikiem Laputa skręcił w prawo i wrócił po własnych śladach. Ciągłe szedł zamaszystym krokiem, ale ani nie mówił do siebie, ani nie śpiewał. Przebrał się w całkowicie czarny strój, chyba nieprzemakalny, jakby wybierał się w góry na narty. Mgła kłębiła się wokół niego jak zapowiedź śniegu, prawie go kryjąc w swoich kłębach. Potem skręcił w prawo i zniknął Hazardowi z oczu.

Hazard, który już wcześniej zwolnił hamulec ręczny i wrzucił bieg, włączył reflektory i ruszył przed siebie, za zakręt, gdzie śmigały samochody. Spojrzał w prawo i dostrzegł zmierzającego na północ Laputę. Kiedy profesor prawie zniknął mu z oczu, skręcił i pojechał za nim.

Zwalniał, kiedy zbliżył się do niego więcej niż o pół przecznicy. Czekał, aż ścigana ofiara oddali się na bezpieczną odległość. Wtedy znowu ruszał.

Przejechali tak dwie i pół przecznicy. Laputa, który nie obejrzał się ani razu, wszedł do czarnego land-rovera. Hazard pojechał za

nim, zawsze zbyt oddalony, by można było odczytać jego tablice rejestracyjne, od czasu do czasu wpuszczał przed siebie inne samochody, by jego nieustanna obecność nie rzucała się w oczy. Przejechali w ten sposób przez Beverly Boulevard i La Cienega. Laputa, aczkolwiek dość dziwnie odziany, najwyraźniej wybierał się na zakupy.

Śledzenie samochodu Laputy na parkingu okazało się o wiele trudniejsze niż na ulicy. Hazard sunął za land-roverem poziom za poziomem, rząd za rzędem, dopóki Laputa nie znalazł miejsca do zaparkowania.

Na końcu rzędu na sedana Hazarda czekało puste miejsce. Zaparkował, wyłączył silnik, wysiadł i przyjrzał się swojej ofierze nad dachami zaparkowanych samochodów. Spodziewał się, że profesor ruszy do najbliższego wyjścia. Tymczasem Laputa wrócił piechotą do rampy, którą właśnie przyjechał.

Hazard, kryjący się wśród innych klientów i licznych pojazdów, trzymał się na tyle blisko swojej ofiary, na ile starczyło mu odwagi. Niepokoiło go, że profesor może go zauważyć, a wtedy od razu by go rozpoznał.

Laputa zszedł po jednej długiej rampie, potem po drugiej, podszedł do zaparkowanej acury coupe, która zaćwierkała na jego widok.

Zaskoczony Hazard zatrzymał się jak rażony gromem. Profesor usadowił się za kierownicą.

Nie przyjechał na zakupy. Wymienił samochód.

Land-rover albo acura były samochodami jednorazowymi, przeznaczonymi do popełnienia zbrodni i zostawienia. Może nawet oba takie były. Hazard zastanowił się, czy może aresztować drania na podstawie podejrzanego zachowania.

Nie. Nie mógł ryzykować. Nie z szacownym profesorem

uniwersytetu. Nie wtedy, gdy z powodu Lali na Falach za chwilę zadrze z politykiem, który stanie się jego śmiertelnym wrogiem. Już teraz z powodu Hectora X zaczęto się nim przesadnie interesować. W tych okolicznościach każdy błąd przyczyni się do ukreślenia liny, na której go powieszają. Nie miał powodów jechać za Laputą. Nie on zajmował się sprawą Miny Reynerd. Przez cały dzień wykorzystywał pieniądze podatników i policyjną legitymację, by pomóc przyjacielowi w sprawie osobistej. Sam wsadził swojego małego w imadło i własnoręcznie je zacisnął; teraz nie może zrobić żadnego ruchu przeciwko profesorowi, chyba że pragnie, żeby coś go zabolalo.

Laputa, nieświadomy, iż jest obiektem śledztwa, zamknął drzwi acury. Włączył silnik. Możliwe, że zaczął nastawiać radio.

Hazard wrócił pędem w stronę, z której przyszedł, dwa poziomy do góry, do służbowego sedana.

Zanim wrócił, dziko klucząc wśród samochodów, Laputy już nie było.

– Wie pan, że jest taki napój czekoladowy, który nazywa się „Juhu”? – spytał Fric.

– Piłem parę razy – odparł pan Truman.

– Fajny. A wie pan, że można go trzymać do końca życia i się nie zepsuje?

– Tego nie wiedziałem.

– Dzięki specjalnemu procesowi sterylizacji – wyjął Fric. – Jeżeli się go nie otworzy, będzie sterylny jak na przykład płyn do szkieł kontaktowych.

– Nigdy nie piłem takiego płynu.

– A wie pan, że do wyrobu wielu rodzajów perfum używa się cybetu?

– Nawet nie wiem, co to jest cybet.

Fric rozpromienił się na tę wiadomość.

– To gęsta żółta wydzielina z przyodbytowych gruczołów cywety, drapieznika podobnego do kota.

– To musi być bardzo skłonny do współpracy kot.

– To nie jest prawdziwy kot. To ssak zamieszkujący Azję i Afrykę. Im bardziej jest podniecony, tym więcej cybetu wydziela.

– W tej sytuacji rozumiem, że jest permanentnie podniecony.

– W skoncentrowanej postaci cybet okropnie cuchnie – poinformował go Fric – Ale kiedy się go rozcieńczy odpowiednią substancją, zaczyna przyjemnie pachnieć. A wiedział pan, że przy kichnięciu na chwilę ustają wszystkie funkcje organizmu?

- Nawet bicie serca?
- Nawet mózg. To jak mała przelotna śmierć.
- Ach, tak? To załatwia sprawę. Nigdy więcej pieprzu.
- Takie kichnięcie to ogromne obciążenie dla ciała – wyjaśnił Fric. – Zwłaszcza oczu.
- Zawsze kicha się z zamkniętymi oczami, prawda?
- Tak. Gdyby się kichnęło z otwartymi, mogłyby wypaść.
- Fric, nie zdawałem sobie sprawy, że jesteś encyklopedią niezwykłych wiadomości.

Zadowolony Fric uśmiechnął się do niego.

- Wiem wiele rzeczy, o których ludzie nie mają pojęcia.

Rozmawiało im się nieporównanie lepiej, niż się spodziewał. Pierś kurczaka w sosie cytrynowym, ryż z grzybami i szparagi były wspaniałe, i wcale nie zatrute, choć pan Hachette mógł dodać trucizny dopiero do deseru.

Początkowo rozmowa się nie kleiła, bo zaczęli od filmów, co w nieunikniony sposób doprowadziło do filmów Manheima. Temat Ojca Ducha nie był zbyt wygodny. Nawet jeśli mówili same miłe rzeczy, czuli, że obgadują go za plecami.

Fric spytał, jak to jest, kiedy się pracuje jako detektyw, i ze szczególnym zainteresowaniem dopytywał się o najbardziej groteskowe morderstwa, okropnie zmasakrowane ciała oraz szalonych zabójców. Pan Truman powiedział, że takie tematy raczej nie nadają się do rozmowy przy stole i że niektóre nie są przeznaczone dla uszu dziesięciolatka. Ale opowiedział parę historii, przeważnie wesołych. Kilka było okropnych, ale nie aż tak, żeby się miało ochotę wymiotować, za to tak okropnych, że był to z całą pewnością najlepszy posiłek w życiu Frica.

Pan Truman powiedział, że na deser pan Hachette przygotował

ciasto kokosowo-wiśniowe, w nawiązaniu do czego Fric pochwalił się swoimi informacjami o Tuvalu, eksporterze orzechów kokosowych. Przez Tuvalu dotarł do innych znanych mu spraw, na przykład największej pary butów na świecie. Miały rozmiar czterdzieści dwa, a uszyto je dla olbrzyma z Florydy, który nazywał się Harley Davidson i nie miał nic wspólnego z firmą produkującą motocykle. Czterdzieści dwa to czterdzieści cztery centymetry! Pan Truman okazał właśnie takie zdumienie, jakiego się należało spodziewać.

Ogromne buty doprowadziły ich do „Juhu”, cybetu i kichania, a przy deserze – nie zdradzając dotąd objawów zatrucia arszenikiem – Fric powiedział:

– Wie pan, że moja mama była w domu wariatów?

– Och, nie zwracaj uwagi na takie brzydkie plotki. Ludzie przesadzają.

– Ale moja matka nikogo nie pozwała.

– W tym kraju gwiazdy nie mogą pozywać innych tylko dlatego, że je oczerniono. Muszą udowodnić, że kłamstwa zostały wypowiedziane ze złośliwym zamiarem. A to trudne. Twoja mama nie chciała spędzić połowy życia w sądzie. Rozumiesz?

– Chyba tak. Ale wie pan, co ludzie mogą pomyśleć.

– Chyba nie wiem. Co by mogli pomyśleć?

– Jaka matka, taki syn.

Pan Truman okazał rozbawienie.

– Fric, nikt, kto cię zna, ani przez chwilę by nie pomyślał, że powinieneś się znaleźć w domu wariatów.

Fric odsunął pusty talerzyk po cieście.

– No, ale gdybym pewnego dnia zobaczył latający talerz, ale tak naprawdę zobaczył, i bandę wielkich, obleśnych kosmitów... Wie pan?

- Wielkich i obleśnych – potwierdził zasluchany pan Truman.

- Więc gdybym o tym komuś powiedział, wszyscy by od razu pomyśleli: Oczywiście, jego matka była w domu wariatów.

- Wiesz, nawet gdyby pamiętali te historie o twojej mamie, niektórzy by ci nie uwierzyli, nawet gdybyś przyprowadził jednego kosmitę na smyczy.

- Szkoda, że nie mogę – mruknął Fric.

- Mnie też by nie uwierzyli, nawet gdybym miał na smyczy dwóch kosmitów.

- Ale pan był policjantem.

- Na tym świecie jest wiele osób, które nie potrafią uwierzyć w prawdę, nawet jeśli mają ją tuż przed nosem. Nie możesz się nimi martwić, naprawdę. Na nich nie ma rady.

- Nie ma rady – zgodził się Fric, myśląc raczej o własnej sytuacji.

- Za to, gdybyś powiedział o tym mnie albo pani McBee, rzucilibyśmy wszystko i pobiegli obejrzeć te wielkie obleśne paskudztwa, bo cię znamy i wiemy, że można ci wierzyć na słowo.

Te słowa ogromnie podniosły Frica na duchu. Usiadł prościej. W głowie zaroilo się mu od tego, co chciał opowiedzieć panu Trumanowi – o Tajemniczym Rozmówcy, który wyszedł z lustra i fruwał pod sufitem na strychu, o duchach, które chciały przepelznąć przez kabel telefoniczny prosto do jego ucha, o aniele stróżu, który musi być posłuszny dziwnym zasadom, o dzieciożernym Molochu, o „Los Angeles Times” z artykułem o jego porwaniu – ale wahał się zbyt długo, usiłując uporządkować te sprawy, żeby nie wypłynęły z niego jednym histerycznym potokiem.

Pan Truman go ubiegł.

- Fric, dopóki nie znajdę tego, co należy nareperować,

niepokoję się wadą systemu alarmowego.

Równie dobrze mógłby strzelić z armaty. Od razu przyciągnął jego uwagę. Znowu ta bajeczka o awarii.

– Nie stanie się nic złego, ale często się martwię takimi rzeczami. Zresztą twój tata mi za to płaci. Dlatego dopóki usterka nie zostanie naprawiona, chciałbym, żebyś nie spał sam na swoim piętrze.

Dziwne, nerwowe spojrzenie pana Trumana świadczyło o tym, że i on widział wielkich obleśnych kosmitów albo spodziewa się ich zobaczyć w niedalekiej przyszłości.

– Chciałbym przenocować w twoim salonie – dodał. – Mógłbyś też przyjść do mojego mieszkania i spać w moim łóżku, a ja bym się położył na sofie w gabinecie. Co ty na to?

– Albo ja mógłbym się położyć na sofie, a pan w łóżku.

– To bardzo miłe, ale już zmieniłem pościel, na wypadek, gdybyś się zdecydował. Jeśli teraz się okaże, że zrobiłem tak bez powodu i zużyłem nadprogramowy komplet bielizny, będę się musiał wytłumaczyć pani McBee. Nie każ mi tego robić.

Fric wiedział, że pan Truman chce spać na sofie tylko z jednego powodu: żeby znaleźć się pomiędzy drzwiami wejściowymi i sypialnią, w której będzie Fric. Nie dlatego że Fric mógłby lunatykować, ale dlatego że jacyś bandyci mogliby się włamać do domu i go porwać.

Coś się dzieje, to pewne.

– Dobrze – powiedział zatroskany, ale i przyjemnie ożywiony. – Przyjdę do pana i będzie pan spać na sofie. Ale fajnie! Jeszcze nigdy nie nocowałem poza domem.

– Tym razem też nie będziesz poza domem.

– Nie, ale nigdy nie byłem w pańskim mieszkaniu. Nawet wtedy,

kiedy pan tu nie pracował. To dla mnie nieznanne terytorium, jak ciemna strona księżycy – wie pan? – więc to będzie dokładnie tak, jakbym spał u kogoś.

I zamiast się zastanawiać, jak uniknąć porwania i śmierci, zaczął rozmyślać, że mogliby rozmawiać do późna w nocy, opowiadając sobie przy świeczce i chipsach historie o duchach. Wiedział, że to idiotyzm, kompletny idiotyzm ale i tak cholernie mu się spodobał.

Pan Truman spojrział na zegarek.

– Już prawie ósma. – Wstał i zaczął przenosić talerze na wózek, na którym je przywiózł. – Zawiozę to do kuchni i przeniesiemy twoje rzeczy do mojego mieszkania.

– Najpierw chciałbym wstąpić do biblioteki i wziąć książkę – powiedział Fric, który w rzeczywistości musiał nasiusiać do donicy z palmą.

Nawet w obecności dowódcy ochrony nie miał ochoty korzystać z łazienki z lustrami. Kiedy człowiek siusia, jest zdecydowanie bezbronny.

Pan Truman zawahał się, spojrział w okna, na mrok, deszcz, mgłę.

– Zawsze czytam przed snem – naciskał Fric.

– W porządku. Ale zaraz wracaj, dobrze? A kiedy już będziesz miał tę książkę, przyjdź prosto do mojego mieszkania.

– Dobrze. – Ruszył w stronę drzwi, ale po dwóch krokach się zatrzymał. – Może później byśmy sobie poopowiadali historie o duchach?

Pan Truman zrobił taką minę, jakby Fric zaproponował mu wysadzenie w powietrze zachodniego skrzydła posiadłości. Może nawet trochę pobladł.

– O duchach? Dlaczego tak powiedziałaś?

– No, hm, bo wie pan, tak się czasem robi, hm, jak się u kogoś nocuje. Siedzi się na podłodze przy świeczce, opowiada się straszne historie i czasami nawet je się chipsy. – *Idiota, idiota.* – Albo na przykład popcorn i opowiada się sobie różne tajemnice. – *Idiota, idiota, idiota.*

Pan Truman przestał dziwnie patrzeć i zaczął się uśmiechać.

– Chcesz powiedzieć, że po tej całej kolacji masz jeszcze ochotę na chipsy?

– Nie zaraz, ale może za godzinę...

– I może chcesz mi wyjawić jakieś mroczne tajemnice?

– Hm, no więc ostatnio przydarzyły mi się różne rzeczy...

– Różne rzeczy. Czy chodzi także o wielkich obleśnych kosmitów?

– O, nie. To nie takie proste.

– Dobrze, jak tylko zaniosę talerze, wezmę z kuchni wielką torbę chipsów. Zaciekawileś mnie.

Fric, któremu pod pewnym względem ulżyło, musiał sobie ulżyć i pospieszył do biblioteki, by zadać jeszcze jeden cios usychającej palmie.

78

Hazard czuł się w swoim służbowym sedanie jak duch marynarza na opuszczonym, gnijącym statku, tkwiący na nim tylko z upartego przyzwyczajenia do życia. Zdezorientowany, bez celu, który nadaje życiu sens.

Ulice w deszczu i mgle wyglądały jak doki jakiegoś dziwnego, upiornego portu, i tak łatwo było sobie wyobrazić – i niemal w to uwierzyć – że w wielu mijających go pojazdach siedzą duchy, które pożegnały się z ciałem, lecz nie z miastem.

Hazard namierzył numer rejestracyjny land-rovera i dowiedział się, że jest on zarejestrowany na firmę Kurtz Ivory International, czymkolwiek mogła się zajmować. Jedynym znanym policji pojazdem zarejestrowanym na nazwisko Vladimira Laputy było bmw 2002, na pewno nie acura.

Hazard nie bardzo wiedział, co zrobić z nowymi informacjami. Ta bezradność przestała mu się podobać.

Jednak za każdym razem, kiedy usiłował się zastanowić nad następnym posunięciem, pamięć podsuwała mu Dunny'ego Whistlera, czarodziejskim sposobem zmienionego z człowieka w kaskady wody, w ułamku chwili zmienionego w kałużę, w której zniknął jak fachowy iluzjonista.

W związku z powidokiem tego obrazu, w zimnym echu rozmowy ze zmarłym Hectorem X, zdolność logicznego rozumowania definitywnie go opuściła. Jego myśli kręciły się w kółko i w kółko, jak w spirali, jak w ślimaczej muszli strachu.

Nie jadł obiadu, ale nie czuł głodu. Mimo to zatrzymał się w wielkiej jak pałac restauracji dla zmotoryzowanych i zamówił królewski talerz cheesburgerów z frytkami.

Oczywiście królewski talerz okazał się papierową torbą, a kielich – styropianowym kubkiem z gorzkim napitkiem, pewnie z dodatkiem kory z drzew. Albo cykuty.

Hazard był zbyt poruszony, żeby siedzieć na parkingu i jeść. Posilił się, prowadząc samochód. Musiał być ciągle w ruchu. Czuł, że – jak rekin – umrze, kiedy tylko się zatrzyma. W końcu wrócił do eleganckiej dzielnicy profesora. Zaparkował przed jego domem.

Siedząc tam, usłyszał w głowie ostrzegawczy głos Dunny'ego – dwie kule w mózg – i zrozumiał ponad wszelką wątpliwość, że dokładnie tak by się skończyło, gdyby wtedy zadzwonił do drzwi.

Na razie hiena wyruszyła na wyprawę acurą. Opuszczony przez demona dom był tylko budynkiem, nie miejscem egzekucji.

Hazard zadzwonił do wydziału zabójstw i spytał o numer domowy Sama Kesselmana. Zdobywszy go, zaczął się zastanawiać, co dalej. Jednym ruchem mógł wręczyć swoim wrogom broń, którą go zlikwidują.

Pewnego razu babcia Rose powiedziała, że w tkaninę świata jest wpleciona niewidzialna sieć zła i że na tej rozległej pajęczynie czekają śmiertelnie groźne pająki, słuchające tej samej mrocznej, uwodzicielskiej muzyki i robiące to samo, każdy na swój sposób. Jeśli człowiek nie będzie walczył z tą lepką siecią, kiedy go otoczy, co zdarza się często, sam stanie się jednym z tych chorych ośmionogich stworzeń. A jeśli nie będzie zabijać jadowitych pajaków przy każdej okazji, wkrótce ich rzesze staną się nieprzeliczone i na świecie nie będzie już ludzi.

Hazard wystukał numer.

Odebrał Sam Kesselman we własnej osobie. Najpierw w słuchawce rozległ się kaszel, kichnięcie i przekleństwo, potem zaś głos tak chrypiący i skrzekliwy, jakby miał coś wspólnego z eksperymentalną krzyżówką człowieka z żabą.

– Kurczę, ale masz głos. Byłeś u lekarza?

– Aha. Grypa. Antybiotyki nie działają. Dał mi lekarstwo na kaszel. Kazał wypoczywać i dużo pić. To piję, dziesięć piw dziennie, ale chyba i tak umrę.

– Spróbuj dwanaście.

Kesselman wiedział, że Hector X zamordował Rolfa Reynerda i że zginął z ręki Hazarda.

– Jak twoja sprawa?

– Wszedłem czysty. Chyba mi darują. Słuchaj, Sam, jest poszlaka w sprawie morderstwa matki Reynerda, a to twoja sprawa.

– Teraz mi powiesz, że Reynerd miał z tym coś wspólnego?

– Od samego początku go podejrzewałeś, co?

– Miał za dobre alibi.

Hazard opowiedział o niedokończonym scenariuszu, choć nieco zmodyfikował jego akcję. Opowiedział o wymianie usług, jak z filmu Hitchcocka, ale nie o spisku zamordowania gwiazdora.

– Więc myślisz... że Reynerd... miał pomocnika – wykrztusił Kesselman pomiędzy atakami kaszlu.

– Ja to wiem. Jestem niemal pewny, że jest to niejaki Vladimir Laputa. Wiem, że Lampa Wampa to twoja sprawa, ale chciałbym się nią zająć, ewentualnie przyszpilić Laputę.

Może Kesselman naprawdę musiał wykrztusić z siebie lawinę flegmy – a może tylko musiał się zastanowić. W końcu spytał:

– Dlaczego? Masz dość roboty.

– No wiesz, wydaje mi się, że ta sprawa dotyczy nas obu. – Do tej pory Hazard nie okłamał Kesselmana. Teraz nadeszła na to odpowiednia pora. – Uważam, że Laputa nie zamordował tylko Miny Reynerd, lecz także wynajął zawodowego mordercę Hectora X, który

sprzątnął Rolfa.

– Więc choć to moja sprawa, to de facto należy też do ciebie. Na razie czuję się tak, że przez najbliższy tydzień będę warować tuż przy drzwiach kibla. Możesz się tym zająć.

– Dzięki, Sam. Jeszcze tylko je dno. Gdyby ktoś cię kiedyś o to spytał, czy mogłoby być tak, że nie zadzwoniłem do ciebie, tylko wstąpiłem do twojego domu, i nie dziś, tylko dwanaście godzin wcześniej?

Kesselman długo milczał.

– W co ty chcesz nas obu zrobić? – spytał w końcu.

– Kiedy skończę – powiedział Hazard – wykopią cię z policji na zbitą mordę, odbiorą emeryturę, a twoją reputacją wyczyszczą publiczne wychodki, ale być może pozwolą ci być dalej żydem.

Kesselman się roześmiał, śmiech zmienił się w kaszel, ale kiedy wreszcie ustąpił, znowu brzmiał jak śmiech.

– Jeśli wylądujemy w tym samym rynsztoku, przynajmniej będzie wesoło.

Hazard rozłączył się i przez chwilę siedział w samochodzie, przyglądając się domowi Laputy i rozmyślając o metodzie działania. Był zwolennikiem działania bezpośredniego, ale nie bezmyślnego.

Wejście na teren domu było łatwe, choć nielegalne. Nadal miał przy sobie lockaida, którym otworzył drzwi Reynerda. Trudne było przeszukanie domu bez zostawienia śladów, a później zniknięcie. Przez całe życie postępował zgodnie z zasadami, choćby najmniej logicznymi. Teraz musiał sobie wytłumaczyć, że odstępstwo od nich jest nieuniknione.

Wyjął z kieszeni srebrne dzwoneczki. Obrócił je w palcach.

Dziesięć po ósmej wysiadł z samochodu.

Ethan wstąpił na chwilę do kuchni, po czym wrócił do swojego mieszkania, by schować sześć przedmiotów przysłanych w czarnych pudełkach. Jeśli Fric je zobaczy, oczywiście zacznie pytać.

Monitor komputera mżył łagodnym blaskiem. Ethan nie włączył go po powrocie do domu.

Szybko przeszukał mieszkanie, ale nie znalazł intruza. Ktoś musiał tu wejść. Może ktoś, kto potrafi przenikać przez lustra.

Wrócił do biurka i przyjrzał się bliżej monitorowi. Widniała na nim wiadomość: CZY SPRAWDZIŁEŚ OSTATNIO SIECIOWY E-MAIL?

Sieciowy e-mail – w skrócie net-mail – stanowił połączenie między komputerami na terenie posiadłości, w studiu Channinga Manheima i tymi należącymi do ochroniarzy na Florydzie. Net-maile były przechowywane w innej skrzynce odbiorczej niż zwykłe e-maile.

W skrzynce net-mailowej były trzy wiadomości. Pierwsza od Archiego Devonshire'a, jednego ze sprzątaczy. DROGI PANIE, JAK PANU WIADOMO, NIE POCZUWAM SIĘ DO PILNOWANIA AELFRICA I DONOSZENIA NA NIEGO. ZWYKLE JEST TO DZIECKO GRZECZNE JAK KAŻDE INNE I PRAWIE NIEWIDZIALNE. ALE DZIŚ ZACHOWYWAŁ SIĘ DZIWNIE, CO PRZEDYSKUTOWAŁBYM Z PANIĄ MCBEE, GDYBY BYŁA NA MIEJSCU. PAŃSKI GOŚĆ, PAN WHISTLER, ZWRÓCIŁ MI UWAGĘ NA TO, ŻEAELFRIC...

Ethan przeczytał to szokujące zdanie, nie do końca pojmując jego treść. Przerwał i zaczął od początku.

PAŃSKI GOŚĆ, PAN WHISTLER, ZWRÓCIŁ MI UWAGĘ...

Duch albo żywy trup, kimkolwiek był, przestał się zadowalać działaniem na skraju percepcji i wmaszerował śmiało na teren

posiadłości, gdzie zaczął sobie gawędzić z pracownikami.

... ZWRÓCIŁ MI UWAGĘ, ŻE AELFRIC ZABIERA LATARKI AWARYJNE Z RÓŻNYCH PUNKTÓW DOMU I TRZYMA JE W KOSZYKU. PANI MCBEE Z PEWNOŚCIĄ BYŁABY Z TEGO NIEZADOWOLONA, PONIEWAŻ W RAZIE NOCNEGO TRZĘSIENIA ZIEMI JAKIŚ PRACOWNIK LUB KTOŚ Z RODZINY MÓGŁBY MIEĆ UTRUDNIONĄ LUB WRĘCZ UDAREMNIONĄ UCIECZKĘ ZE WZGLĘDU NA BRAK TEJŻE LATARKI.

Bawiąca w Santa Barbara pani McBee z pewnością już poczuła, że w domu coś się zmieniło.

Arenie Devonshire pisał dalej:

NASTĘPNIE, GDY SPOTKAŁEM AELFRICA Z KOSZYKIEM, TWIERDZIŁ ON, ŻE MA W NIM KANAPKI, RZEKOMO PRZYGOTOWANE PRZEZ NIEGO SAMEGO, I ŻE ZAMIERZA JE ZJEŚĆ W SALONIE RÓŻANYM. POTEM PRZEKONAŁEM SIĘ, ŻE KOSZYK BYŁ PUSTY, A W ŚRODKU NIE ZNALAZŁEM OKRUSZYN CZY PAPIERU. WSZYSTKO TO WYDAJE MI SIĘ BARDZO DZIWNE, PONIEWAŻ AELFRIC DO TEJ PORY NIGDY NIE KŁAMAŁ. PAN YORN MIAŁ PODOBNE DZIWNE SPOTKANIE, O KTÓRYM ZAMIERZA DO PANA NAPISAĆ. POZOSTAJĘ Z SZACUNKIEM, ZAWSZE LOJALNY RODZINIE, A. F. DEVONSHIRE.

Net-mail od Williama Yorna, dozorca, był utrzymany w innym tonie.

FRIC ZROBIŁ SOBIE KRYJÓWKĘ W CIEPLARNI. PRZYNIÓSŁ JEDZENIE, PICIE I LATARKI. WIEM TO OD PAŃSKIEGO PRZYJACIELA WHISTLERA. TO NIE MOJA SPRAWA. ANI WHISTLERA. CHŁOPCY CZĘSTO SIĘ BAWIĄ W ROBINSONA CRUZOE. TO NORMALNE. SZCZERZE MÓWIĄC, PAŃSKI PRZYJACIEL DZIAŁA MI NA NERWY. JEŚLI POWIE, ŻE ZACHOWAŁEM SIĘ NIEGRZECZNIE, PROSZĘ ZROZUMIEĆ, ŻE TAK MUSIAŁEM. PÓŹNIEJ ZOBACZYŁEM FRICAW SALONIE RÓŻANYM.

BYŁ JAK W TRANSIE. COŚ DO MNIE KRZYCZAŁ O KANAPKACH. JESZCZE PÓŹNIEJ WYSZEDŁ W PŁASZCZU PRZECIWDDESZCZOWYM I ZNIKNAŁ W KĘPIE DRZEW ZA OGRODEM RÓŻANYM. NIÓSŁ LORNETKĘ. POWIEDZIAŁ, ŻE BĘDZIE OBSERWOWAŁ PTAKI. NA TYM DESZCZU. SIEDZIAŁ TAM Z DZIESIĘĆ MINUT. MA PRAWO BYĆ DZIWNY. NA JEGO MIEJSCU PEWNIEM BYM DAWNO ZWARIOWAŁ. PISZĘ O TYM TYLKO DLATEGO, ŻE ARCHIE DEVONSHIRE MNIE NACISKA. ARCHIETEŻ MI DZIAŁA NA NERWY. DOBRZE, ŻE PRACUJĘ NA DWORZE. YORN.

Myśl, że Duncan Whistler, żywy lub martwy, krąży po Palazzo Rospo i w tajemnicy obserwuje Frica, przypawiła Ethana o gęsią skórkę.

Zaczęło mu się wydawać, że rozwiązanie tej bizantyjskiej zagadki jest ponad siły zwykłego detektywa. Zwykła dedukcja i indukcja zawodzą w zderzeniu z tym, co się ma wydarzyć tej nocy.

Przed nielegalnym wtargnięciem na teren prywatny Hazard zadzwonił do drzwi. Kiedy nikt nie odpowiedział, zadzwonił znowu. Ciemności w domu Laputy nie oznaczały, że jest on opuszczony.

Zamiast wśliznąć się od tyłu, Hazard otworzył śmiało drzwi wejściowe. Lockaid poradził sobie z obydwoma „zamkami.

Hazard nacisnął klamkę.

– Jest tam kto?

Kierował się poczuciem przyzwoitości, nie humoru. Nawet kiedy po jego pytaniu zapadła cisza, przekroczył próg z najwyższą ostrożnością.

Ale zaraz potem znalazł kontakt i włączył światło. Pomimo deszczu i mgły mógł go zauważyć jakiś przejeżdżający kierowca lub przechodzień. Człowiek, który bez wahania zapala światło w domu, nie budzi podejrzeń.

Poza tym, jeśli Laputa niespodziewanie wróci do domu, jedna zapalona lampa lub promień latarki w ciemnościach obudzą jego czujność. Natomiast na widok całego rzęsiście oświetlonego domu będzie bezbronny. Sukces takiej operacji zależy wyłącznie od rozmachu i szybkości.

Hazard zamknął drzwi, ale nie na klucz. W razie niespodziewanego spotkania chciał mieć zapewnioną drogę ucieczki.

Na parterze prawdopodobnie nie znajdzie dowodów zbrodni. Mordercy mają zwyczaj trzymać swoje trofea – choćby najbardziej makabryczne – w sypialniach. Drugi w kolejności ulubionych schowek skarbów to piwnica, często za ukrytymi lub zaryglowanymi drzwiami, gdzie mogą gromadzić i oglądać swoje pamiątki bez obawy przed odkryciem. Tam, w atmosferze kontrolowanego szaleństwa,

mogą się plawić w krwawych wspomnieniach.

Z racji częstych trzęsień ziemi domy w południowej Kalifornii rzadko miewają piwnice. Ten również został zbudowany na twardym gruncie i nie miał żadnych drzwi prowadzących w czarną czeluść.

Hazard obszedł parter, nie tracąc czasu na przeszukiwanie szafek i szuflad. Jeśli niczego nie znajdzie na piętrze, przejrzy te pomieszczenia po raz drugi, tym razem uważniej.

Obecnie obchodziło go tylko to, czy nikt się tu nie ukrywa. Szedł, zapalając kolejno światła. Mrok nie był jego sprzymierzeńcem.

W kuchni otworzył tylne drzwi i zostawił je uchylone, dzięki czemu zyskał zapasową drogę ucieczki.

Macki mgły wśliznęły się do środka zwabione ciepłem, w którym się rozplynęły.

Wszystko w tym domu było wyszorowane, wyparzone, wypolerowane i wyczyszczone w stopniu tracącym obsesję. Kolekcja ozdobnych przedmiotów – szkła Lalique'a, ceramicznych puzderek, małych figurek z brązu – była ustawiona bez wycucia, za to porządnie jak figury na szachownicy. Książki na półkach stały w odstępach dokładnie centymetra od krawędzi.

Dom wyglądał jak ostoja schludności, ratunek przed rozgardiaszem za jego ścianami. Jednak pomimo licznych wygod, czystości i komfortowych mebli nie wydawał się przytulny, nie był prawdziwym domem. Panowała w nim atmosfera nerwowego napięcia i dziwnej, trudnej do określenia desperacji, niemająca nic wspólnego z faktem, że Hazard przebywał tu nielegalnie.

Jedyny ślad nieporządku znajdował się w jadalni. Pięć rolek map lub planów architektonicznych, zwiniętych i spiętych gumkami. Szkło powiększające na długiej rączce. Żółty notes w linie. Dwa długopisy, jeden czerwony, drugi czarny. Ale żaden z tych przedmiotów nie leżał byle jak; spoczywały tuż przy sobie.

Upewniwszy się, że na parterze nie kryją się żadne wredne niespodzianki, Hazard ruszył na piętro. Gdyby ktoś był w domu, do tej pory zainteresowałby się jego obecnością, dlatego szedł spokojnie, zapalając kolejno światła.

Sypialnia pana domu znajdowała się tuż przy schodach. Tu także panował antyseptyczny porządek i niemal upiorna organizacja.

Jeśli Laputa zabił swoją matkę i Minę Reynerd, i jeśli zostawił sobie po nich jakieś pamiątki – nie po kobietach, lecz swoich zbrodniach – z pewnością nie zdecydował się na biżuterię. Pewnie najmilszą jego sercu pamiątką były zakrwawione ubrania lub loki włosów.

Często człowiek o jego pozycji społecznej, człowiek na eksponowanym stanowisku, zamożny, nie zachowuje żadnych pamiątek swojej zbrodni. Jeśli kieruje nim nie psychopatyczny szal, lecz chciwość lub zazdrość, nie ma palącej potrzeby, by nieustannie odświeżać wspomnienie morderstwa.

Hazard czuł dziwną pewność, że Laputa okaże się wyjątkiem od tej reguły. Nietypowe okrucieństwo, z jakim zostały zamordowane Justine Laputa i Mina Reynerd pozwalało przypuszczać, że w tym szacownym obywatelu ukrywa się stworzenie o wiele gorsze od hieny, pan Hyde, który popełnia zbrodnie z przyjemnością, jeśli nie rozkoszą.

W garderobie panował wojskowy porządek. Kilka pudełek na półkach nad ubraniami nie zawierało nic ciekawego. Hazard dobrze zapamiętywał ich położenie, zanim je otworzył. Miał nadzieję, że odstawił je dokładnie w to samo miejsce.

Przez cały czas nasłuchiwał odgłosów domu. I zbyt często spoglądał na zegarek. Miał wrażenie, że ktoś tu oprócz niego jest. Może to przez duże lustro na drzwiach garderoby, w którym poruszało się jego odbicie. A może nie.

W deszczu i mgle ruiny tego domu skojarzyły się Corky'emu z ostatnią sceną z „Rebeki” du Maurier – wielki dwór, nazywany Manderley, płonący na tle atramentowego nocnego nieba „jak plama krwi”, sypiący popiołami na wiatr.

Ruin położonych wysoko w Bel Air nie tknął ogień, nie było także wiatru, który mógłby roznieść popioły, ale ta scena i tak podnieciła Corky'ego. W tej ruderze zobaczył symbol chaosu na wielką skalę, który nadejdzie tu w przyszłości. Niegdyś był to wspaniały budynek, w którym wyprawiano luksusowe przyjęcia dla sławnych i bogatych. Był zaprojektowany w stylu francuskiego zamku, miał urocze proporcje, eleganckie wykończenie i wyglądał jak pomnik stabilności i wyrafinowania, zyskanych dzięki stuleciom cywilizacji.

Ale nowi królowie i królowe Hollywood uznali francuską architekturę za niemodną jak sama historia. Ponieważ przeszłość przestała się liczyć, obecny właściciel budynku postanowił go zburzyć, by na jego miejscu postawić coś bardziej nowoczesnego, przeszklonego i modnego, coś bardziej odpowiadającego współczesnym gustom.

W tej społeczności prawdziwą wartość ma ziemia, nie to, co na niej stoi. Każdy agent przyzna, że jest właśnie tak, nie inaczej.

W pierwszej kolejności dom ogołoco no ze wszystkich cennych detali architektonicznych. Archi traw nad głównym wejściem, rzeźbione obramowania okien, niezliczone kamienne kolumny. Potem sprowadzono ekipę burzycieli. Ich dzieło było już w połowie gotowe. Artyści destrukcji.

Parę minut po siódmej Corky pojawił się na miejscu pieszo, zaparkowawszy czteroletnią acurę parę przecznic dalej. Nabył ten

samochód tanio, pod fałszywym nazwiskiem, wyłącznie z myślą o tej operacji. Później wykorzysta go jeszcze raz, po czym porzuci z kluczykami w stacyjce.

Wjazd na teren trzyakrowej posiadłości zagradała dwuskrzydłowa brama z żelaznych prętów i siatki. Zamykała ją potężna, dosłownie niezniszczalna kłódka z kabłąkiem opierającym się wszelkim nożycom do metalu.

Corky zlekceważył ją i przeciął łańcuch.

Wkrótce potem, stojąc w otwartej bramie jako agent Robin Goodfellow, z małym plecakiem zabranym z bagażnika acury, powitał Jacka Trottera i jego dwuosobową ekipę. Wskazał im podjazd. Zaparkowali tuż pod domem.

– To szaleństwo – wyraził swoje zdanie Trotter, wygrzebując się z ciężarówki.

– Wcale nie – nie zgodził się Corky. – Wiatru już zupełnie nie ma.

– Ciągle pada.

– Nieprzesadnie. A szum deszczu tłumi hałasy, co jest nam na rękę.

Trotter, bez reszty będący dziś Queegiem von Hindenburgiem, wykazywał się pesymizmem i ponurymi przewidywaniami na miarę przygnębionego Nostradamusa. Jego obrzmiała twarz obwisła jak sflaczały balon, wylupiaste oczy były wpatrzone w wizję zagłady.

– Przez tą mgłę wszystko spieprzymy.

– Jeszcze nie jest taka gęsta. W sam raz, żeby zapewnić nam kamuflaż. Jest idealna. Wycieczka będzie krótka, cel łatwo rozpoznawalny nawet w średnio gęstej mgłę.

– Poprzednim razem okazało się, że jeszcze nie jesteśmy gotowi.

– Dom stoi na wzgórzu. Wokół, jak okiem sięgnąć, nie widać

żadnych innych budynków. Będziemy osłonięci drzewami, niewidoczni od strony ulicy.

Trotter nie chciał zrezygnować z katastrofizmu.

– Na pewno ktoś nas zobaczy.

– Możliwe – przyznał Corky. – Ale co zobaczy zza palisady mgły?

– Palisady?

– Interesuję się literaturą, pięknem języka – objaśnił go Corky.

– Poza tym czas akcji szacuję na siedem do ośmiu minut. Zanim ktokolwiek się zorientuje, już będziecie wracać. Co więcej, moi ludzie są na wszystkich tych wzgórzach. Nie dopuszczą do was policji.

– A potem zniknę ze wszystkich urzędowych akt. Ja i wszystkie nazwiska, których używałem.

– Tak się umówiliśmy. Ale lepiej się stąd szybko zwijaj. Zegar tyka.

Trotter skrzywił się jak człowiek z reklamy leku na biegunkę. Zmierzył Corky'ego spojrzeniem od stóp do głów.

– I co to ma być za strój według ciebie?

– Przeciwdeszczowy – odparł Corky.

Od tego czasu minęła dobra godzina. Trotter wraz ze swoją dwuosobową ekipą niemal ukończył przygotowania. Corky dla zabicia czasu przyglądał się ruinom na poły zburzonego zamku.

Oczywiście nie pomagał Trotterowi. Jako Robin Goodfellow był wysoce wyspecjalizowaną żywą bronią, cennym agentem rządowym. Robin poświęcił się poszukiwaniu prawdy, sprawiedliwości i przygody, ale nie pracy fizycznej. James Bond nie odkurza mebli ani nie myje okien.

Ale i bez jego pomocy sterowiec został napompowany do końca.

Trzeci net-mail był od pana Hachette'a. DO INSPEKTORA TRUMANA: NINIEJSZYM WYRAŻAM ROZGORYCZENIE I MAKSYMALNY SPRZECIW WOBEC WYMAGAŃ, BYM DOSTARCZAŁ BEZ UPRZEDZENIA DANIA CHARAKTERYSTYCZNEJ DLA MNIE NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI KULINARNEJ NIENASYCONEMU GOŚCIOWI, O KTÓREGO OBECNOŚCI W DOMU NIE ZOSTAŁEM POWIADOMIONY, DOPÓKI NIE POJAWIŁ SIĘ W MOJEJ KUCHNI NIEPROSZONY NICZYM WOŁEK ZBOŻOWY W WORKU MAKI. DOCENIAM DOSKONAŁY GUST PANA WHISTLERA ORAZ JEGO POCHWAŁY DLA MOICH NIEZRÓWNANYCH MAŁŻY I WSZELKICH INNYCH WYRAFINOWANYCH DAŃ MOJEGO AUTORSTWA, JEDNAK KTO MI WYNAGRODZI MOJE ZSZARPANE NERWY, KTÓRE – OSTRZEGAM – TRZYMAJĄ SIĘ NA OSTATNIEJ NITCE. JEŚLI ZNOWU MI TO ZROBI OSTRZEGAM, ŻE BĘDĘ MUSIAŁ ODEJŚĆ BEZ WZGLĘDU NA KONSEKWENCJE, KTÓRE BĘDĄ NIEWYMOWNIE DRASTYCZNE. MAM TAKŻE NIEPRZYJEMNOŚĆ POWIADOMIĆ, ŻE CHŁOPIEC PODOBNO SAM ZROBIŁ KANAPKI Z SZYNKĄ BEZ MOJEGO POZWOLENIA, DLATEGO OBECNIE PROWADZĘ INTENSYWNAŁ INWENTARYZACJĘ MOJEJ KUCHNI DLA OCENIENIA ROZMIARÓW ZNISZCZEŃ. MAM NADZIEJĘ, ŻE TEN SKANDAL SIĘ NIE POWTÓRZY. POZDRAWIAM, SZEŁ KUCHNI HACHETTE.

Zmarły Dunny wkroczył do akcji. Zmarły i głodny.

To wszystko wyglądało jak jakiś żart. Ethan miał ochotę się roześmiać, problem tylko w tym, że nie potrafił się zmusić nawet do uśmiechu. W ustach mu wyschło, za to dłonie się spociły.

Jeszcze raz odczytał list od Yorna: FRIC ZROBIŁ SOBIE KRYJÓWKĘ W CIEPLARNI... WIEM TO OD PAŃSKIEGO PRZYJACIELA WHISTLERA... CHŁOPCY CZĘSTO SIĘ BAWIĄ W

ROBINSONA CRUZOE... WHISTLER DZIAŁA MI NA NERWY...

Kiedy Hannah walczyła z rakiem, Ethan czuł się bezradny jak nigdy w życiu. Zawsze potrafił się opiekować bliskimi, robić dla nich wszystko, co trzeba. Ale tej, która była mu najdroższa, nie potrafił uratować.

Znowu poczuł, że traci panowanie nad sytuacją. Przy tym najnowocześniejszym systemie alarmowym, strażnikach i doskonałych metodach postępowania nie potrafił zapobiec pojawieniu się Dunny'ego w posiadłości, w domu. Dunny – człowiek, duch czy też istota, której nie można tak łatwo zaszufładkować – miał jakieś związki z Reynerdem i prawdopodobnie z profesorem, o którym Reynerd wspomniał w scenariuszu. Dunny także stanowi zagrożenie i każdym swoim pojawieniem kpił z Ethana, udowadniając mu, że nikt tu nie jest bezpieczny.

Jeśli ktoś pomimo wszelkich środków ostrożności porwie gwiazdora, Ethan zawiedzie nie tylko swojego szefa, lecz także tego wyjątkowego chłopca, który zostanie bez ojca. Fric trafi pod opiekę matki, która myśli tylko o sobie, co go skazuje na samotność jeszcze dotkliwszą niż dotychczas.

Nawet nie pamiętał, kiedy podniósł się od komputera. Stał, zdenerwowany, pragnąc coś zrobić, gdzieś pójść, lecz nie pojmując, jaką decyzję ma teraz podjąć. Wcisnął guzik interkomu i numer biblioteki.

– Fric, jesteś tam? – odczekał chwilę. – Fric, słyszysz mnie?

W głosie chłopca brzmiał dziwny lęk.

– Kto mówi?

– Nie ma tu nikogo oprócz nas, przegranych eksgliniarzy. Znalazłeś tę książkę?

– Jeszcze nie.

– Nie siedź tam za długo.

- Jeszcze parę minut.

W chwili gdy Ethan zdjął palec z klawisza interkomu, na telefonie zamrugało światełko, które po chwili zapaliło się równym światłem: linia 24.

Spojrzał na przedmioty na biurku pomiędzy komputerem i telefonem. Biedronki, ślimaki, napletki...

Znowu spojrzał na telefon. Ta lampka. Linia 24.

Ledwie słyszalny głos dobiegający z ciemnej strony księżyca, którego wczoraj słuchał przez pół godziny, od tego czasu nieustannie przemawiał w jego sercu. Podobnie jak słaby głos, który dziś rano wołał do niego z oniemiałego głośnika w szpitalnej windzie.

Słoik pełen literek, książka o psach, jabłko z okiem w środku...

W windzie wcisnął guzik STOP nie tylko po to, by dłużej przysłuchiwać się głosowi, lecz ponieważ czuł, że kiedy drzwi się otworzą, nie będzie za nimi garażu. Tylko chlupocząca czarna woda. Albo otchłań.

Czuł wtedy, że ta absurdalna fobia musi być sublimacją bardziej realnego lęku, któremu nie potrafi stawić czoła. Teraz raptem znalazł się na krawędzi zrozumienia tego prawdziwego lęku. Nagle zrozumiał, że rzeczywistość jest jak witrażowy obrazek w kalejdoskopie. Ten znany mu dobrze wzór zaraz się zmieni na jego oczach, przekształci się w coś o wiele bardziej oszałamiającego i przerażającego.

Biedronki, ślimaki, napletki...

Zajęta linia 24.

Daleki głos z jego wspomnień, głos jak krzyk mew, melancholia we mgle: Ethan, Ethan...

Telefoniczne rozmowy ze zmarłymi.

Biedronki, ślimaki, napletki...

Lampka na telefonie: miniaturowa wersja światełka na kopule szpitala Matki Boskiej od Aniołów, ostatnia linia na centrali telefonicznej, ostatnia linia, ostatnia szansa, ostatnia nadzieja.

Poczuł zapach róż. W mieszkaniu nie miał żadnych kwiatów.

Wspomnienie: Broadwaye na jej grobie, czerwonozłote pąki na mokrej trawie.

Zapach róż gęstniał, nabierał mocy. Był prawdziwy, nie wyobrażony, mocniejszy niż w kwiaciarni.

Ciarki, które zaczęły mu pełzać po karku, miały niewiele wspólnego ze strachem, raczej z pokornym zachwytem. Zimny dreszcz w żołądku.

Nie miał klucza do zakazanego pokoju za niebieskimi drzwiami, gdzie nagrywali się dzwoniący na linię 24. Nagle klucze przestały się dla niego liczyć.

Z dziwną, intuicyjną świadomością, że musi się spieszyć – nie potrafił jej wyjaśnić, lecz ufał jej bezgranicznie – wybiegł z mieszkania, dopadł tylnych schodów i popędził nimi na drugie piętro.

Sterowiec, przywiązany dwiema cicho brzęczącymi linami do mocnych starych drzew i mocniejszą liną dziobową do ciężarówki, szarpał się niczym złowiona na wędkę ryba, ściągnięta na powietrzną płyciznę, lecz walcząca o powrót na pełny przestwór nieba. Szary, obły jak wieloryb, liczący jakieś dziesięć metrów długości i trzy lub cztery obwodu, był mały jak płotka, ale Corky'emu wydał się ogromny.

Lewiatan unosił się w powietrzu godnie, podświetlony od dołu dwoma reflektorami roboczymi. Jego obłe boki ociekały deszczem srebrnym jak blacha. Robił niesamowite wrażenie, ponieważ tutaj, w Bel Air, w pierwszej dekadzie nowego milenium wydawał się spoza tego miejsca i czasu.

Jack Trotter – survivalista, fanatyk spiskowej teorii świata oraz świr na punkcie paru niebezpiecznych spraw – był także entuzjastą balonów. Spokój duszy odnajdował tylko w powietrzu, podróżując na skrzydłach wiatru. Dopóki pozostawał w oderwaniu od ziemi, agenci zła nie mogli go pochwycić i wtrącić do zapleśniałej celi, gdzie jedynym jaśniejszym punktem są czerwone oczy szczurów.

Był właścicielem tradycyjnego balonu z koszem dla pilota i pasażerów. Wyprawiał się nim w samotne wycieczki czy to pięknego wiosennego poranka, czy też złocistego letniego wieczora. Brał także udział w podniebnych wyścigach, kiedy dwadzieścia, trzydzieści lub więcej jaskrawych balonów mniej więcej jednocześnie odrywa się od ziemi i szybuje stadem przez niebo.

Balon napełniany gorącym powietrzem jest niemal całkowicie zdany na łaskę wiatru. Pilot nie może ani wybrać miejsca lądowania, ani przewidzieć, jak długo będzie trwał przelot. Do napadu na Palazzo Rospo potrzebna była bardziej zwrotna jednostka, która

może utrzymać się na niebie nawet przy słabym wietrze. Powinna się także unosić bez niehumanoidalnego ryku palnika propanowego, na który nieodmiennie reagowały psy w promieniu kilometra. Co więcej, powinien schodzić do lądowania równie gładko jak spływająca z chmury gołębica, nawet jeśli robiłby to wolniej, a także zawisać w powietrzu jak koliber.

Trotter zachwycił się zdumieniem i podziwem, jakim zareagowałoby jego koledzy z wyścigów na widok małego sterowca. Pomimo braku towarzyskiego obycia znaleźli się w centrum zainteresowania.

Corky podejrzewał, że w głębi duszy, wiecznie rozgorączkowanej i paranoicznej, Trotter uważa sterowiec za ostatnią deskę ratunku, gdyby na przykład jakiś dyktator niespodziewanie zamknął autostrady wokół Los Angeles i okolicznych miasteczek. Prawdopodobnie Trotter widział samego siebie, wymykającego się wrogom przy świetle księżyca, gdy można szybować, nie będąc dostrzeżonym, wysoko nad blokami i obozami koncentracyjnymi, aż do gór Sierra, gdzie w końcu wyląduje i dalej przeprawi się pieszo do jednej ze swoich tajnych kryjówek.

Trotter odciągnął Corky'ego na bok.

– Startujemy za niespełna pięć minut – powiedział.

Jego ludzie kończyli sprawdzać sprzęt i zawory. Byli to gangsterzy do wynajęcia, na ogół specjalizujący się wspólnie z Trotterem w dystrybucji ecstasy. Po odwiezieniu Corky'ego do Palazzo Rospo i powrocie do zamku w sterowcu, kiedy bandyci chwycą za liny i przycumują sterowiec, Trotter miał ich zabić.

– Nie słyszałem, kiedy naładowaliście akumulatory – odrzekł Corky.

– Były naładowane, zanim przyjechaliśmy.

– W powietrzu nie będziemy mogli włączyć silnika nawet na

chwile.

– Wiem, wiem, przecież gadasz o tym bez końca. Nie będziemy potrzebować silnika, nie ma wiatru.

Dwoma śmigłami sterowca na ogół poruszał silnik wymontowany z samobieżnej kosiarki. Obracające się łopatki wydawały znośnie cichy szum, ale silnik ryczał jak rakietka.

– Przy braku wiatru – dodał Trotter – mogę przelecieć i dwie godziny na tych akumulatorach. Tylko ten deszcz mi się nie podoba.

– To ledwie mżawka.

– Pioruny. Na myśl o piorunie dostaję sraczki ze strachu i ty też powinienes.

– Jest napełniony helem, prawda? – spytał Corky, wskazując trzy porzucone cylindry ze sprężonym gazem, każdy rozmiarów szpitalnych pojemników z tlenem. – Hindenburg był na wodór. Myślałem, że hel nie wybucha.

– Nie martwi mnie wybuch, tylko że trafi nas piorun! Nawet gdyby nie rozdarł ani nie zapalił pokrycia, to i tak się usmażymy!

– Burza się kończy. Nie będzie błyskawic – zauważył Corky.

– Błyskawice były wcześniej.

– Malutkie. Powtarzam, rząd kontroluje pogodę. Kiedy chcemy, pioruny wałą jak w kaczy kuper, a kiedy nie, ani jedna strzała nie opuszcza kołczana.

Sterowiec różnił się od zeppelinów nie tylko tym, że był napełniony helem, a nie wodorem, ale także brakiem sztywnej wewnętrznej konstrukcji. Pokrycie Hindenburga – statku powietrznego rozmiarów wieży Eiffla i prawie dorównującemu boeingowi 747 – było naciągnięte na skomplikowaną stalową ramę zawierającą szesnaście gigantycznych pęcherzy z gazem, wielkich bawełnianych worków, hermetycznych dzięki plastikowej powłoce.

Sterowiec Trottera – i każdy inny – po spuszczeniu gazu zmieniał się w sflaczały worek.

Kapitan Queeg von Hindenburg, nie mając pod ręką żadnych zaginionych truskawek, o które mógłby się pieklić wzorem Bogarta z „Buntu na okręcie”, poświęcił się obserwacji kłębow mgły. Był zmartwiony i zły. Z pomarańczowymi włosami, które deszcz przylepił mu do głowy, wylupiającymi oczami i morsowym wąsem wyglądał jak postać z kreskówki.

– Niedobrze, niedobrze – mamrotał.

Ethan stanął pod niebieskimi drzwiami na drugim piętrze, na końcu zachodniego skrzydła, naprzeciwko apartamentu Frica. Były to jedyne takie drzwi w całym domu.

Ming du Lac zobaczył we śnie odpowiedni odcień błękitu, na jaki należało je pomalować. Jak twierdziła pani McBee, dekorator wewnątrz zaprezentował czterdzieści sześć próbek farb, zanim doradca duchowy znalazł wreszcie ten ze swojego snu.

Tak się złożyło, że ten wyśniony błękit miał odcień dokładnie taki sam, jak pudełka makaronu „Ronzoni”.

Zwykle przeznaczenie jednej linii na rozmowy ze zmarłymi i podłączenie do niej sekretarki nie wystarczyło Mingowi i Manheimowi. Sprowadzili sprzęt bardziej zaawansowany niż zwykle automatyczne sekretarki. Uznali też, że należy zaaranżować tę komnatkę tak, by panowała w niej atmosfera niebiańskiego spokoju, począwszy od koloru drzwi.

Ming nazywał ten pokój świętym miejscem. Przenajświętszym, dodawał Channing Manheim.

W drzwiach znajdował się zwykły zamek. Jeśli Ethan nie zdoła go otworzyć, wyważy drzwi kopniakiem.

Karta kredytowa, wsunięta między drzwi i framugę, podważyła zapadkę i niebiańskie drzwi uchylły się, ukazując malutki pokoik z oknem zasłoniętym okiennicą. Sufit i ściany obito białym jedwabiem. Dywan także był biały. Drzwi od środka zostały pomalowane na biały kolor.

Pośrodku pomieszczenia stały dwa białe krzesła i długi biały stół. Na stole i częściowo pod nim stało – jakby powiedział Fric – od cholery nowoczesnego sprzętu zasilającego komputer o niezwyklej

mocy. Wszystkie obudowy były białe, a logo firm zamalowano białym lakierem do paznokci. Nawet kable były białe.

W tym pokoju można by dostać śnieżnej ślepoty, gdyby światła były zbyt mocne. Ukryte świetlówki pod sufitem zapalały się automatycznie po otwarciu drzwi; mżyły przyjaznym blaskiem, w którym jedwabne ściany migotały niczym ośnieżone pola w zimowym zmroku.

Ethan był w tym pokoju tylko raz, w dniu zwiedzania domu, kiedy rozpoczął pełnienie obowiązków.

Komputer i podłączony do niego sprzęt działały przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu.

Ethan usiadł na białym krześle.

Światelko na białej sekretarce automatycznej zgasło. Linia 24 nie była już używana.

Błękitny monitor, w odcieniu innym niż drzwi, stanowił jedyną barwną plamę w pokoju. Ikonki były białe.

Ethan nigdy przedtem nie dotykał tego komputera, ale program obsługujący przychodzące połączenie był taki sam, jak reszta w systemie telefonicznym.

Na szczęście litery, numery i symbole na klawiaturze nie zostały zamalowane białym lakierem. Nawet szare klawisze zachowały swój pierwotny wygląd. W porównaniu z otoczeniem klawiatura stanowiła orgię kolorów.

Ethan wyświetlił na ekranie dane, tak jak to robił w przypadku dwudziestu trzech pozostałych linii. Chciał sprawdzić, ile połączeń z linią 24 komputer odnotował w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Dowiedział się, że co tydzień na linię 24 dzwoniło od pięciu do sześciu razy. Przeważnie były to pomyłki i agenci sprzedaży telefonicznej.

Lista poniedziałkowych i wtorkowych połączeń znajdowała się na samej górze ekranu: pięćdziesiąt sześć. Tyle, co przez dziesięć tygodni. Ethan wiedział, że ktoś łączy się z linią 24 częściej niż normalnie, ale nie spodziewał się, że co godzina albo częściej.

Temperatura w tej strefie komunikacji pozagrobowej była wielkim nakładem sił utrzymywana na stałym poziomie dwudziestu stopni, co także przyśniło się Mingowi. Dziś wydawało się, że jest znacznie zimniej.

Ethan przejrzał spis połączeń. Żadna pozycja nie uwzględniała numeru osoby dzwoniącej. Oznaczało to, że nie dzwonił żaden agent sprzedaży telefonicznej, ponieważ prawo wymagało od nich prezentowania swojego numeru.

Może niektóre z tych połączeń to pomyłkowe telefony od osób mających zastrzeżony numer. Może. Ale nie postawiłby na to całego majątku. Ktoś dzwonił z miejsca, gdzie żadna firma telekomunikacyjna nie ma zasięgu.

Na dole spisu znajdowało się ostatnie połączenie, to samo, które nastąpiło, gdy on usiłował zrozumieć sens biedronek, ślimaków i napletków. W górnym prawym rogu ekranu znajdowały się opcje. Mógł otrzymać wydruk zapisu rozmowy, zobaczyć go na ekranie lub wysłuchać samej rozmowy.

Postanowił jej wysłuchać.

Jeśli będzie tak jak wczoraj, kiedy przez pół godziny wsłuchiwał się w słaby głos wśród syku i trzasków, dzięki temu sprzętowi usłyszy go lepiej. Komputerowy analizator dźwięku usunie trzaski, porówna wykres dźwięku ze schematami mowy, polepszy jego jakość i wreszcie wyeliminuje pauzy, by jak najbardziej skondensować wypowiedź.

Głos zarejestrowany na nagraniu 56. wciąż brzmiał, jakby dochodził z wielkiej odległości, z drugiego brzegu przepaści. Słyszając ten słaby głos, Ethan pochylił się jak najbliżej komputera. Dzięki

komputerowym metodom poprawiania jakości nagrania usłyszał całe zdanie, choć jego sens go zaskoczył.

Na sekretarce nagrała się Hannah.

Corky Laputa słuchał wyimaginowanych fragmentów „Walkirii” Richarda Wagnera, szczególnie tego kawałka, który ma ilustrować cwał Walkirii. Ministerowiec szalonego Queega sunął przez mżawkę, mgłę i bezwietrzne niebo nad Bel Air gładko niczym sen.

Szum i bębnienie deszczu całkowicie zagłuszały świst śmigieł, toteż wydawało się, że Corky i jego ponury pilot podróżują zupełnie bezgłośnie, ciszej niż słońce i księżyc. Otwarta gondola pod statkiem powietrznym przypominała łódź, lecz z zaokrąglonym dziobem i rufą. Na dwóch ławkach mogły się pomieścić cztery osoby.

Pochylony do przodu Trotter zajmował miejsce bliżej rufy. Znajdował się w pobliżu silnika, zbiornika z helem i innych urządzeń. Corky początkowo siedział naprzeciwko niego, twarzą w stronę, z której wyruszyli. Potem odwrócił się i zaczął podziwiać widoki przed sobą, od czasu do czasu wychylając się na boki.

Czubki drzew przesuwają się pod nimi na wyciągnięcie ręki. Płynęli w powietrzu tak cicho, nie rzucając cienia – ponieważ noc była pochmurna – że nie przestraszyli ani jednego ptaka w koronie drzew. Ta bogata dzielnica zafundowała sobie prawdziwą puszcę z dębami, figowcami, iglakami, palmami i rododendronami. A właściwie sprowadziła ją sobie na te tereny, które już dawno temu stały się prawie zupełnie jałowymi nieużytkami pełnymi perzu, chwastów i krzaków.

Aby przemknąć niemal niezauważalnie nad Bel Air, muszą się utrzymywać na najniższym bezpiecznym poziomie. W tych wzgórzach szosy wiją się jak serpentyny, dość wąskie serpentyny, porośnięte szpalerami drzew, dzięki czemu kierowcy nie widzą otwartego nieba. Jeśli sterowiec będzie się unosił nad lasem, osłaniając go przed oczami wszystkich z wyjątkiem osób

bezpośrednio pod nim, przemknie się do Palazzo Rospo i z powrotem niezauważony, bo przy tej pogodzie niewiele osób wyjdzie na zewnątrz, żeby podziwiać niebo.

Trasa od zrujnowanego zamku na wzgórzu do Palazzo Rospo w dole ma w linii prostej niespełna kilometr. Przy bezwietrznej pogodzie, tak jak w tej chwili, korzystający z akumulatorów statek powietrzny może rozwijać maksymalną prędkość do ośmiu kilometrów na godzinę, co oznacza, że dotrą na miejsce w ciągu mniej więcej trzech minut.

Corky znalazł w Internecie nie tylko mapy miasta, ale także fotografie z lotu ptaka, przedstawiające ekskluzywne i położone na uboczu enklawy. Domy w tej okolicy to na ogół prawdziwe dwory, zwłaszcza w okolicach, nad którymi właśnie przelatywali; Corky znał na pamięć linie dachów i cechy charakterystyczne każdej rezydencji po drodze. Trotter także się przygotował. Jednak rozglądał się rzadziej od Corky'ego, ponieważ polegał bardziej na kompasie.

Jedynym źródłem światła na sterowcu było łagodne mżenie kompasu, wysokościomierza i paru innych tarcz na tablicy kontrolnej. Przyrządy zamontowano na obrotowym słupie, dzięki czemu można je było ustawiać zgodnie z potrzebami. Ich blask był zbyt słaby, by rzucić choć słabą lunę na znajdujący się tuż nad nimi pojemnik z helem.

Prawdę mówiąc, znacznie silniejsze światło sączyło się z mijanych wielkich domów. Złota i srebrna poświata czepiała się przelotnie brzucha sterowca niczym świetlne porosty.

Jakieś dziecko, czekające z utęsknieniem na zaprzężone w renifery sanie mogłoby dostrzec szybujący w deszczu pojazd Trottera. Pomyślałoby, że to Święty Mikołaj przybył o dwa dni za wcześnie i niekonwencjonalnym środkiem transportu.

I oto, po tylu dniach planów, rozciąga się pod nimi posiadłość Manheima.

Niepostrzeżenie przemknęli mniej więcej dziesięć metrów nad pilnie strzeżonym murem. Ominęli czujniki ruchu, nastawione na obiekty naziemne. Ominęli kamery, z których żadna nie była wycelowana w niebo.

Corky nie chciał lądować na domu. Zamierzał zeskokczyć z największą ostrożnością na dach stróżówki w głębi posiadłości.

Do tej pory Trotter nie miał okazji wykazać się kunsztem pilota, ponieważ trasa wiodła prosto jak strzeł. Teraz miał doprowadzić sterowiec nad właściwy budynek, ustawić go precyzyjnie nad odpowiednim fragmentem dachu i znieruchomić w powietrzu jak najniżej.

Na końcu sterowca znajdowały się cztery pletwy – ster. Można było nim manewrować za pomocą elektrycznych przełączników na tablicy kontrolnej.

Trotter mógł zejść do lądowania, wypuszczając hel ze zbiornika. Chcąc znowu się wzbić wyżej, mógł wpompować nową dawkę helu do zbiornika lub – szybciej – wylać wodę ze zbiorników po obu stronach gondoli.

Sterowiec powoli, niemal majestatycznie wziął kurs na stróżówkę i nadpłynął nad nią równie bezszelestnie, jak gwiazdy zmieniające swoje położenie na niebie. Jack Trotter obniżył sterowiec i ustawił go w wymaganej pozycji z gracją baletmistrza, z precyzją ruchów wymaganą przy stawianiu domku z kart.

Ulubiony zegarek anarchisty, niezawodny rolex, pokazał, że przelot zajął im trzy minuty i dwadzieścia sekund.

8.33. Wszystkie telefony w posiadłości Manheima, stacjonarne i komórkowe, ogłuchły trzy minuty temu.

– Fric urodził się... w środę.

Ethan siedział w białym pokoju za niebieskimi drzwiami, jak zahipnotyzowany słuchając głosu zmarłej żony.

– Fric urodził się... w środę.

Był jak czysta muzyka, najpiękniejsza, wzruszająca. Jak psalm dla kogoś wierzącego, jak hymn dla patrioty.

– Hannah – szepnął, choć nagranie nie mogło mu odpowiedzieć. – Hannah?

Łzy, które stanęły mu w oczach, były głównie łzami radości. Nie płakał z tęsknoty po tych pięciu latach, ale dlatego, że ta dziwna wiadomość oznaczała, iż to, co najważniejsze w Hannah, zdołało przetrwać, że rak wygrał bitwę, ale nie wojnę. Rozpacz nie stała się mniejsza, ale teraz wiedział, że nie będzie rozpaczać wiecznie.

Hannah powtórzyła zdanie dwa razy. Przesłuchał nagranie 56. trzy razy, zanim zaczęło do niego docierać coś poza tym cudownym głosem.

– Fric urodził się... w środę.

Hannah uznała, że ta informacja jest dla niego ważna, ale on nie rozumiał, co data urodzin Frica ma wspólnego z obecną sytuacją.

Odtworzył nagranie 55.

Znowu Hannah. Tym razem tylko jedno słowo, powtórzone dwadzieścia, może trzydzieści razy. Ethan... Ethan... Ethan...

W jej głosie brzmiała taka sama tęsknota jak w sercu Ethana. Słuchając żony, z trudem zachowywał te resztki opanowania, które

mu zostały.

Usiłowała do niego dotrzeć telefonicznie, przez głośnik w windzie, może i innymi sposobami, ale nie potrafiła zwrócić na siebie uwagi. Śmieszne, ale za tymi idiotycznymi niebieskimi drzwiami, w kretyńskim białym pokoju, dzięki wyrafinowanemu sprzętowi wreszcie się jej udało.

W rzeczy samej, niezbadane są ścieżki Pana, który posługuje się nawet osobnikami w rodzaju Minga du Laca.

Ethan wpadł tu w pośpiechu. Na chwilę o nim zapomniał, ale tylko na chwilę.

Nagranie 54. Znowu Hannah.

– Dziecko poniedziałku urodziwe...

Ethan przestał oddychać. Pochylił się ku głośnikowi.

– Dziecko wtorku urokliwe...

Znał te słowa. To wierszyk dla dzieci. Następną linijkę powiedział razem z Hannah.

– Dziecko środy roni łzy...

W słoiku w kształcie kotka znajdowały się literki, z których można było ułożyć dziewięćdziesiąt słów ŁZY.

Kotek to mały kot. Kotek to dziecko. Jak Fric.

Dlaczego dziewięćdziesiąt? Może to nie ma znaczenia. Po dziewięćdziesiąt liter, razem dwieście siedemdziesiąt, może tyle trzeba było, żeby wypełnić cały słoik. Dziecko środy roni łzy.

Nagranie 53. Hannah.

Pomimo usuniętych trzasków i oczyszczonego nagrania jej głos brzmiał niezrozumiale, jakby rzeka pomiędzy życiem i śmiercią przybrała i zmieniła się w ocean.

Nagranie 52. Również niewyraźne.

Nagranie 51. Znowu Hannah, z następnym dziecięcym wierszykiem.

- Biedroneczko, biedroneczko,
twój dom płonie niedaleczko,
czemu, czemu nie polecisz,
nie ratujesz swoich dzieci.

Channing Manheim miał wrócić dopiero w Wigilię po południu. Ethan założył, że do tej pory Twarz jest bezpieczny.

Może w ogóle nic mu nie groziło. Może od zawsze chodziło o Frica.

Dwadzieścia dwie biedronki. Dlaczego nie dwadzieścia trzy albo cztery? W przeciwieństwie do literek biedronki zajmowały tylko pół słoika. Dlaczego nie pięćdziesiąt, żeby go zapełnić aż po zakrętkę?

Był wtorek, 22 grudnia.

Corky przysunął się w stronę burty.

– Powoli, powoli – ostrzegł Trotter.

Nagła zmiana położenia osiemdziesięciopięciokilogramowego ciała Corky’ego mogła niebezpiecznie zachwiać sterowcem. Tak blisko dachu nie należało ryzykować.

Corky zwolnił, ostrożnie zsunął nogi poza gondolę. Tymczasem Trotter przeniósł ciężar własnego ciała na drugą stronę sterowca, jako przeciwwagę. Nie przestawał zajmować się kontrolkami.

Sterowiec drgnął, lecz niezbyt gwałtownie.

Na sygnał Trottera Corky ześliznął się z gondoli, choć nie od razu ją puścił. Najpierw zawisł, trzymając się burty, podczas gdy pilot nadal wychylał się przez drugą burzę.

Czując, że sterowiec odzyskał równowagę, Corky przeniósł lewą rękę na uchwyt pojemnika z balastem. Potem zrobił to samo z prawą ręką. Metal był zimny i mokry, ale dzięki rękawiczkom ze skóry i nylonu mógł się go mocno uchwycić.

Spojrzał w dół. Od dachu dzieliło go jakieś czterdzieści centymetrów, może pół metra.

Nie ośmielił się skoczyć. Na pewno zdołałby zachować równowagę, ale narobiłby za dużo hałasu i zaalarmowałby strażników, którzy zajmowali połowę piętra w stróżówce.

W końcu Trotter zauważył, na czym polega problem. Wypuścił nieco helu i sterowiec się osunął. Corky poczuł dach pod stopami.

Usiadł okrakiem na szczycie dachu i puścił się uchwytu. Wylądował niemal tak lekko jak Piotruś Pan.

Sterowiec, uwolniony od balastu, od razu podskoczył trzy, cztery metry. Jego rufa zaczęła się unosić, co nie było dobre, ale Trotter się zorientował, podniósł dziób i obrócił powietrzny statek wokół własnej osi, gotów do samotnego powrotu do domu.

Corky zamierzał opuścić Palazzo Rospo z fasonem, samochodem z pierwszorzędnej kolekcji Manheima.

Przybiwszy do zrujnowanego zamku, Trotter odczeka, aż jego pracownicy przycumują sterowiec, po czym obydwu zastrzeli. Będzie mu ciężko zostawić swój podniebny statek, ale zrobi to i pójdzie do samochodu, który zaparkował dwie ulice dalej.

Natychmiast po powrocie do domu w Malibu przesiądzie się do innego samochodu i ruszy w drogę, na zawsze kończąc z życiem Jacka Trottera. Być może nigdy się nie zorientuje, że go nabrano i żaden agent rządowy nie zgodził się usunąć jego nazwiska z dokumentów. Ponieważ i tak zamierzał żyć pod przybranym nazwiskiem, całkiem możliwe, że umknie uwadze urzędników.

Władze zajmujące się porwaniem Aelfrica Manheima pewnie utkną w martwym punkcie, kiedy się zorientują, że posiadaczem sterowca jest Trotter. Nie zdołają ustalić jego nowej tożsamości, nowego wyglądu i nowego miejsca zamieszkania.

Jeśli mimo wszystko kiedyś go złapią, nie potrafi podać nazwiska współnika. Powie, że był to Robin Goodfellow, wyjątkowo specjalny agent.

Corky wstał i zrobił dwa kroki naprzód. Jego buty były dostosowane do warunków zimowych, śniegu i zdradzieckiego lodu. Zwykle śliskie od deszczu dachówki nie stanowiły żadnego problemu. Ale gdyby się pośliznął, byłoby to równie niebezpieczne jak upadek. Strażnicy znajdowali się w pokoju dokładnie pod nim. Deszcz nie stłumiłby łoskotu.

Kanał wentylacyjny znajdował się dokładnie tam, gdzie wskazywały plany, mniej więcej dwadzieścia centymetrów od

grzbietu dachu. Corky, czujący się dziś jak psotny gremlin, miał ochotę zaśpiewać stosowną gremlinową piosenkę albo zrobić coś równie zabawnego, jednak wiedział, że w tych okolicznościach musi powściągnąć wrodzoną radość życia.

Kapitan Queeg von Hindenburg oraz jego verne'owski pojazd sunęli przez gęstniejącą mgłę, która kryła ich niemal równie dokładnie jak Nautilusa z kapitanem Nemo na pokładzie.

Corky znowu usiadł na grzbiecie dachu, twarzą do wylotu kanału, który prowadził przez strych prosto do łazienki w kwaterze strażników.

Rozpiął górną kieszeń plecaka. Wyjął plastikową torbę na śmieci i rolkę mocnej taśmy klejącej. Kanał był osłonięty metalowym daszkiem, chroniącym przed deszczem i śmieciami. Corky rozpostarł torbę nad daszkiem i naciągnął ją, jak mógł najściślej.

Gdyby wiatrak łazienkowego wentylatora był włączony, torba nadęłaby się powietrzem i Corky musiałby odłożyć najważniejszy etap misji do chwili wyłączenia wiatraka. Ale foliowy worek pozostał oklapły.

Corky po cichu okręcił go taśmą klejącą w nadziei, że zamknięcie jest względnie szczelne. Jeszcze raz sięgnął przez ramię i wyjął z plecaka pojemnik przypominający lakier do włosów. Nie był to zwyczajny spray, lecz „aerozolowy czynnik bojowy (ACB) z superprzyspieszaczem”, wynaleziony przez jednego z jego uniwersyteckich kolegów, obdarzonego hojnym stypendium chińskiej armii.

ACB rozprzestrzenił się w ciągu sześciu sekund. Cząsteczki substancji czynnych wiązały się z gazem tak lotnym, że obie kondygnacje stróżówki zostaną zainfekowane w pięćdziesiąt, co najwyżej siedemdziesiąt sekund.

ACB został zaprojektowany z myślą o rozprzestrzenianiu każdej możliwej substancji, od środków nasennych po śmiertelnie

niebezpieczne toksyny, zabijające po pierwszym wdechu.

Corky niestety nie zdołał zdobyć tej ostatniej. Musiał się zadowolić gazem usypiającym.

Uśpienie strażników mu wystarczyło. Aczkolwiek bez reszty oddany upadkowi i odrodzeniu porządku społecznego, nie należał do osób, które zabijają bez przyczyny. Oczywiście ostatnio był zmuszony popełniać więcej morderstw, niż to miał w zwyczaju, ale lubił myśleć, że potrafi trzymać śpiącą w nim bestię na uwięzi.

Zrobił palcem dziurę w worku, poszerzył ją i wsunął przez nią puszkę. Taśmą skleił krawędzie folii i metal. Nie wypuszczając puszeki z dłoni, zaczął szukać na dnie plastikowego pierścienia, pełniącego funkcję podobną do zawleczonego granatu. Wyszarpnął go.

Pomiędzy odbezpieczeniem i wyzwoleniem zawartości należało odczekać dziesięć sekund, co zwykle wystarczało, by wrzucić pocisk w otwarte drzwi lub okno. Corky przytrzymał mocno puszkę i czekał.

Zawartość wybuchła z rewolucyjnym sykiem; puszka szarpnęła się w ręce Corky'ego i natychmiast tak zlodowaciała, że poczuł to nawet przez rękawiczkę. Gdyby trzymał ją gołą ręką, metal przymarzyłby mu do skóry.

Szuuu! Worek na śmieci nadał się jak poduszka powietrzna w samochodzie. Corky przestraszył się, że uderzy go w twarz, rozedrze się i buchnie gazem.

Na szczęście eksplozja poszła w kanał, przez nieruchomy wiatrak – który odwróciłby pęd powietrza, gdyby działał – do łazienki, a z niej na cały budynek.

Zamknięte drzwi nie zahamują eksplozji. Usypiające opary przesączają się przez wszelkie zapory, pod drzwiami, przez najmniejszą szczelinę, przez kanały grzewcze i rury wodociągowe.

Obaj strażnicy znajdowali się w pokoju pod Corkym, czekając na patrol o dziewiątej. Gaz rozprzestrzenił się tak szybko, że za

dziesięć sekund padną nieprzytomni.

Corky odczekał jeszcze pół minuty, po czym ześliznął się na dół. Dach nie był zbyt stromy.

Loggia przed budynkiem, rozmiarami dorównującym każdemu przeciętnemu domowi z przedmieścia, była otoczona mocną kratą, na której od lat rosła winorośl. Corky zszedł po niej. Zeskoczył na trawnik na ugięte nogi jak spadochroniarz, upadł, przetoczył się i wstał.

Czuł się jak komandos.

Zdjął plecak, wyjął z niego maskę gazową. Odrzucił plecak, włożył maskę. Drzwi do stróżówki nie były zamknięte. Wszedł do środka.

Całkiem jak na planach.

Po prawej: drzwi do dużego magazynu z ogrodowym sprzętem, mieścił trzy samobieżne kosiarki i dwa elektryczne wózki, którymi Yorn i jego pracownicy rozwozili po przestronnych gruntach nawóz i inne materiały.

Dokładnie naprzeciw znajdowały się schody.

Na górze Corky znalazł dwóch nieprzytomnych strażników. Jeden leżał na podłodze, drugi na krześle, przed rzędem monitorów.

Pozostaną nieprzytomni przez godzinę, może osiemdziesiąt minut. To dawało Corky'emu mnóstwo czasu na wypełnienie zadania i zniknięcie.

Usiadł na krześle przed komputerem. Ostrożne odcięcie telefonów nie dało się zauważyć na ekranach.

W tej masce gazowej oddychał jak Darth Vader.

Jak zwykle na początku zmiany jeden ze strażników wprowadzał osobiste hasło do komputera. Corky przyjrzał się ekranowi i odgadł, że uruchomiono zewnętrzny alarm, dlatego nie

można wejść do Palazzo Rospo przez okno ani drzwi, nie włączając syren.

Ned Hokenberry, trójjaki świr – obecnie tylko dwuoki, w dodatku martwy – twierdził, że ten alarm włącza się dopiero koło jedenastej albo nawet północy. Tego ranka wcześnie zamknięto interes.

Ciekawe dlaczego.

Może przstraszyły ich czarne pudełka i ich zawartość.

Zachwycony, że zdołał ich zaniepokoić, a mimo to przechytryć, Corky zaczął śpiewać temat Grincha z filmu „Grinch: Świąt nie będzie”. Przez maskę gazową melodia brzmiała cudownie upiornie, nawet dziko.

Biedny, świętej pamięci Mick Sachatone włamał się do systemu alarmowego Manheima, podłączając się do komputera zewnętrznej firmy ochroniarskiej, utrzymującej całodobowy kontakt z tym pokojem. Wyjawiał Corky’emu podstawowe informacje na temat tej operacji.

Przede wszystkim Corky sprawdził status dwóch schronów na terenie posiadłości. Żaden nie był używany.

Za pomocą komputera zamknął schrony. Teraz nie będzie ich można otworzyć z zewnątrz. Nikt nie znajdzie w nich schronienia.

Alarm zewnętrzny można włączyć lub wyłączyć, wybierając prostą opcję „tak” lub „nie”. Obecnie na ekranie widniało słowo TAK. Corky kliknął myszką NIE.

Teraz mógł wejść do Palazzo Rospo jak do własnego domu, swojej twierdzy. Musiał mieć tylko klucze. A klucze dyndały przy pasku nieprzytomnego strażnika. Corky odpiął kółko z kluczami, zabrzączał nimi i uśmiechnął się.

Podniósł słuchawkę telefonu. Cisza. Ujął komórkę strażnika. To samo. Niezawodny Mick.

Corky zostawił słodko śpiących strażników, zszedł po chodach i wrócił na loggię. Zdjął maskę i wyrzucił.

Dom stał jakieś dwieście metrów dalej za zasłoną drzew i deszczu. W środku znajdował się tylko Ethan Truman, toteż w niewielu oknach paliło się światło. Mimo to dom skojarzył się mu z luksusowym liniowcem na nocnym morzu. A Corky był górą lodową.

Rozpiął najgłębszą kieszeń swojego kombinezonu i wyjął z niej glocka, uprzednio zaopatrzonego w nowy tłumik.

– Biedroneczko, biedroneczko, twój dom płonie niedaleczko... czemu, czemu nie polecisz, nie ratujesz swoich dzieci...

Słuchając nagrania 51. Ethan nie miał żadnej wątpliwości, że pozostałe pięćdziesiąt wiadomości także zawiera ważne dla niego informacje, ale nie ośmielił się tracić czasu na ich przesłuchanie. Wiedział też, że nie musi ich słuchać, żeby rozwiązać zagadkę.

Dwadzieścia dwie biedronki. Dwudziesty drugi grudnia.

To dziś. I do końca dnia zostało tylko trochę ponad trzy godziny. Jeśli ma się zdarzyć coś strasznego, to teraz.

Pistolet miał w swoim mieszkaniu.

Fric pewnie już tam czeka.

Wybiegł z białego pokoju, zostawiając za sobą otwarte niebieskie drzwi.

Nie czas panikować. Syreny zawyłyby przy pierwszej próbie otwarcia okna lub drzwi. Pomędzy wyciem mechaniczny głos oznajmiałyby, że nastąpiło włamanie.

Poza tym jego ludzie zorientowaliby się, że ktoś przekroczył granice posiadłości, zanim intruz dobiegłby do domu. Na pierwszy znak, że ktoś wtargnął na teren domu, zadzwoniliby na policję i do zewnętrznej firmy ochroniarskiej.

A jednak wołał pobiec schodami, nie tracąc czasu na windę. Wypadł na korytarz zachodniego skrzydła.

Wbiegł do swojego mieszkania, zawołał Frica. Nie otrzymał odpowiedzi.

Pewnie chłopiec nadal był w bibliotece. Niedobrze. Przez całe

swoje życie przeważnie bywał sam, ale nie da rady przeżyć tej nocy zdany tylko na własne siły.

Podbiegł do biurka. Pistolet zostawił w prawej górnej szufladzie. Obawiał się, że broń mogła zniknąć, ale była. A jednak znalazł. Piękny drobiazg. Schował pistolet do kabury pod pachą, powiódł wzrokiem po przedmiotach na biurku między komputerem i telefonem.

Wierszyki dla dzieci.

Twój dom plonie niedaleczko...

Dziecko środy roni Izy...

Wierszyki dla dzieci.

Napletki dziesięciu mężczyzn. Dziesięciu, bo Fric miał dziesięć lat. Dlaczego napletki? Skrawki skóry. Strzępki. Ścinki.

A ślimaki to ślimaki.

Książka z opowiadaniem o psach, zbiorek historyjek o szczeniakach. Szczeniaki.

Z czego są mali chłopcy?

Ze ścinków, ślimaków, ogonków szczeniaków.

Oto, z czego są mali chłopcy.

Na biurku leżała karteczka z jabłką. OKO W JABŁKU? ROBAK-OBSERWATOR? ROBAK GRZECHU PIERWORODNEGO? CZY SŁOWA PROWADZĄ DO CZEGOŚ POZA NIEPOROZUMIENIEM?

W tym wypadku chodziło głównie o nieporozumienie. Sześć przedmiotów łatwo dawało się zinterpretować, więc profesor, kimkolwiek był ten sukinsyn, musiał zamieszać, wysyłając dezorientujący – i kpiący – list.

Oko w jabłku było zielone, nie niebieskie, jak oczy słynnego Channinga Manheima. Fric miał zielone oczy. Niedaleko pada jabłko

od jabłoni. Syn gwiazdy.

Ethan wcisnął klawisz interkomu i numer biura strażników.

– Pete? Ken?

Nikt nie odpowiedział.

– Pete? Ken? Jest tam kto?

Cisza.

Ethan porwał słuchawkę. Była głucha.

Sypialnia hieny była czysta, wolna od pamiątek po ofiarach. Żadnych zakrwawionych ciuchów, które mógłby przyciskać do twarzy, chłonąc zapach śmierci. Żadnych błyskotek, którymi mógłby się bawić. Żadnych polaroidów Justine Laputy czy Miny Reynerd tuż po kontakcie z pogrzebaczem i marmurową lampą. Nic.

Szybka, lecz dokładna rewizja w garderobie, szufladach biurka, szafkach i wszystkich możliwych kryjówkach nic Hazardowi nie dała.

Wszędzie było przesadnie schludnie, co nasuwało skojarzenie z hermetycznie zamykanym i często sterylizowanym laboratorium biochemicznym, gospodarz miał także wręcz fetyszystyczne zamiłowanie do porządku i geometrii wszystkich dużych i małych przedmiotów. Wszystko znajdowało się nie tylko na widoku, ale było ustawione, jak by korzystano z linijki, kątownika i pionu. Skarpetki i swetry wyglądały jak ułożone przez robota.

I znowu Hazard poczuł, że dla Vladimira Laputy ten dom jest rozpaczliwym schronieniem przed nieuporządkowanym światem zewnętrznym.

Wyszedł z łazienki, przez chwilę stał na korytarzu, nasłuchując z uwagą, lecz jego uszu dobiegło tylko coraz słabsze stepowanie deszczu na dachu. Spojrzał na zegarek, by sprawdzić, ile jeszcze mu zostało czasu, jeśli w ogóle trochę zostało.

Instynkt rzadko go zawodził, ale tym razem nic nie podpowiadał. Profesor mógł wrócić za chwilę albo za tydzień.

Zajrzał do pierwszych drzwi za sypialnią, po tej samej stronie. Włączył światło.

Sądząc z wyglądu, był to składzik. Zwyczajne tekturowe pudła,

oznaczone tylko czerwonymi liczbami, stały pod ścianami w trzech schludnych rzędach. Zaintrygowany Hazard zrobił parę kroków naprzód. Potem zdał sobie sprawę, że pudełka są starannie zaklejone taśmą. Jeśli je otworzy, nie zdoła tego ukryć.

W pobliżu ostatniego pokoju po tej stronie korytarza poczuł jakiś odór. Zanim otworzył drzwi, odór zmienił się w obrzydliwy smród.

Jego główną nutą był zapach rozkładającego się ciała, z którym Hazard zdążył się zapoznać podczas pracy w wydziale zabójstw. Pomyślał, że tutaj znajdzie przynajmniej jedno trofeum Laputy, i pożałował, że jednak zjadł te cheesburgery z frytkami.

Światło z korytarza nie sięgało daleko. Nie wyłaniało zbyt wiele z ciemności.

Hazard przestąpił próg i znalazł kontakt. Na stoliku przy łóżku zapaliła się lampka. Przez chwilę wydawało mu się, że na łóżku leży trup.

Potem mrugnęły przekrwione oczy, wpatrzone w niego z żalonym błaganem.

Hazard jeszcze nigdy nie widział na własne oczy kogoś w takim stanie. Miał przed sobą zamorzonego głodem człowieka z obozu koncentracyjnego, jednego z tych, których wrzucano żywcem do dołów śmierci.

Mimo stojaka z kroplówką i cewnika Hazard od razu zorientował się, że profesor Laputa nie jest czułym opiekunem swojego krewnego. Człowiek, którego miał przed sobą, nie zaznał więcej czułości niż więzień szaleńca.

Oba okna były zasłonięte i uszczelnione. Broniły dostępu światłu i dźwiękom. Na podłodze w kącie leżały łańcuchy i kajdanki. Prawdopodobnie pochodziły z czasów, kiedy człowiek na łóżku miał jeszcze siły, by walczyć z więzami.

Hazard mówił od jakiegoś czasu, ale dopiero po chwili usłyszał własny głos. Odmawiał modlitwy, których w dzieciństwie nauczyła go babcia Rose. Zobaczył zło w czystej postaci, której zwykły grzesznik jak on nie potrafił pojąć.

Nieprawdopodobna schludność domu nie symbolizowała pragnienia ucieczki od nieporządku zewnętrznego świata. Było to desperacka negacja chaosu, który buzował w gospodarzu.

Każdy oddech budził mdłości. Gęstniejący od tygodni zapach potu, kwaśnych wydzielin ciała, gnijących odleżyn drażnił mu gardło. Mimo to Hazard delikatnie ujął kruchą dłoń człowieka na łóżku. Mężczyzna nie miał siły, by podnieść ramię, więc tylko uściskał mu palce.

– Wszystko będzie dobrze. Jestem policjantem.

Mężczyzna patrzył na niego jak na zjawę.

Jeszcze przed chwilą instynkt go zawiódł, ale teraz odezwał się z nową mocą. Hazard z lekkim zdziwieniem usłyszał własny głos:

– Profesor Dalton? Maxwell Dalton?

Zaropiałe oczy wynędzniałego człowieka otworzyły się z zaskoczeniem.

Z ust wydostał mu się głos tak cienki, suchy i chrypiący, że Hazard musiał odgadnąć znaczenie słów.

– Laputa... zabił... moją żonę... córkę...

– Rachel? Emily? – upewnił się Hazard.

Dalton zamknął oczy.

– Nie wiem, co panu powiedział, ale one żyją.

Oczy Daltona otworzyły się gwałtownie jak migawka aparatu.

– Widziałem je dzisiaj, w pańskim domu – ciągnął Hazard. – Parę godzin temu. Bardzo się o pana martwią, ale są całe i zdrowe.

Przez chwilę więzień jakby nie chciał uwierzyć, jakby był przekonany, że to kolejna tortura. Być może przekonały go oczy Hazarda. Koścista ręka uścisnęła lekko jego palce, a odwodnione ciało zdołało jakimś cudem wycisnąć z siebie łzy.

Hazard, w którym wzruszenie walczyło o lepsze z obrzydzeniem, przyjrzał się wiszącej na stojaku plastikowej torebce, rurce, drenowi tkwiącemu w żyle. Chciał to wszystko wyrwać, bo z pewnością substancja ta nie miała przynosić pożytku, ale bał się, że niechcący zrobi Daltonowi krzywdę. Musiał zostawić to sanitariuszom.

Wtargnął na teren domu, by potajemnie i nielegalnie go przeszukać, zamknąć i odejść, by zastanowić się nad znalezionymi dowodami, nie zostawiwszy najmniejszego dowodu swojej bytności w budynku. Ten plan był już nieaktualny. Trzeba zadzwonić na pogotowie policyjne, i to szybko.

Jednak istnieją sędziowie – i to całkiem liczni – którzy uwolniliby Vladimira Laputę, ponieważ Hazard znalazł Daltona podczas nielegalnej rewizji, bez nakazu. Co więcej, mający przed sobą sprawę Lali na Falach Hazard nie mógł sobie pozwolić na żadne akcje dyscyplinarne.

– Wyciągnę stąd pana – obiecał – ale muszę się zastanowić.

Dalton skinął głową.

– Zaraz wracam.

Wynędzniały jeniec niechętnie puścił jego rękę.

W progu Hazard zawahał się, cofnął i wyjął broń. Ostrożnie wyszedł na korytarz.

Schodząc do kuchni, nieustannie natężał słuch. Zamknął tylne drzwi, które zostawił otwarte jako wyjście awaryjne. Koło kuchni znajdowała się mała pralnia. Jej drzwi wychodziły na garaż. W środku nie było żadnego samochodu. Na betonowej podłodze leżała

kupka mokrych ubrań: Laputa miał je na sobie, kiedy wracał do domu krokiem twardego.

W garażu znajdowały się także narzędzia w szufladach i na kołkach. Były czyste i równie obsesyjnie uporządkowane jak kryształowa kolekcja w salonie. Hazard wybrał młotek z pazurem do wyciągania gwoździ i pobiegł na górę, zadowolony, że włączył tyle światła. Z ulgą przekonał się, że więzień ciągle żyje. Dalton wyglądał jak na skraju agonii, jakby lada chwila miał się przenieść na drugi świat.

Hazard położył broń na podłodze i pazurem młotka zaczął wyciągać gwoździe przytwierdzające grube arkusze płyty paździerzowej do framug. Były długie, wychodziły z trudem, trzeszcząc i zgrzytając. W końcu zdarł jedną płytę i postawił ją obok, opartą o ścianę.

Pomiędzy deską i szybą kryła się fałdzista zasłona. Była pomięta i zakurzona, ale można nią było wytrzeć odciski palców z młotka.

Okna sypialni znajdowały się od frontu domu. Przez szybę Hazard zobaczył swojego sedana.

Znowu stanął przy łóżku.

– Przyszedłem tu bez nakazu, na czuja i teraz muszę to jakoś doprowadzić do porządku, żeby uratować własny tyłek i żeby Laputa mi się nie wymknął. Rozumie pan?

– Tak – zgrzytnął Dalton.

– Dlatego musi pan powiedzieć, że Laputa uważał pana za tak słabego i niezdolnego do wydania żadnego dźwięku, że zdjął wieczorem tę deskę, żeby torturować pana widokiem świata za oknem. Potrafi pan to powiedzieć?

Z gardła Daltona wytoczyły się oporne, szurające, zgrzytające słowa.

- Laputa chce... mnie... dziś zabić...

- Dobrze. W porządku. Więc ta historia ma jakiś sens.

Hazard wziął z szafki puszkę środka dezynfekcyjnego o zapachu lasu. Była ciężka, prawie pełna.

- Następnie musi im pan powiedzieć, że zebrał pan w sobie wszystkie siły i jakoś znalazł w sobie dość woli, energii i gniewu, żeby rzucić tą puszką w okno.

- Tak - obiecał Dalton drżącym głosem, choć wyglądał, jakby było go stać tylko na mruganie oczami.

- Puszka rozbiła szybę i spadła z dachu ganku akurat, kiedy zbliżałem się do domu. Usłyszałem pańskie wołanie o pomoc, dlatego się włamałem.

Cała ta bajeczka nie trzymała się kupy. Policjanci, którzy pojawią się na miejscu, od razu się połapią, że jest lipna, ale na widok Daltona nie będą zadawać żadnych pytań. Zanim Laputa trafi na salę sądową, Dalton prawie dojdzie do siebie i sędzia się nie zorientuje, jak okropnie był osłabiony tej nocy. Wówczas szyta grubymi nićmi historyjka nabierze cech prawdopodobieństwa.

Dalton spojrzał na drzwi. Potem na Hazarda.

- Szybko - szepnął, jakby bał się, że Laputa zaraz wróci.

Hazard cisnął puszką w okno. Szyba pękła z przyjemnym brzękiem.

Podławszy palnę po raz kolejny, Fric zaczął szukać książki na półkach, pamiętając, że pan Truman zalecił mu pośpiech.

Jeśli nie będą jeść chipsów i siedzieć na podłodze, opowiadając sobie straszne historie, trudno mu będzie znaleźć książkę, którą przeczyta z prawdziwą przyjemnością. Wydawało mu się, że nie prześpi tej długiej nocy i nie dlatego, że już za dwa dni będzie Wigilia. Jeśli nie będzie się miał czym zająć, oszaleje jak dwugłowy kot Barbry Streisand.

Właśnie znalazł obiecującą książkę, kiedy nad jego głową rozległa się jakaś muzyka, dźwięczna, wesoła, jak ciche dzwonięcie setek wietrznych dzwoneczków.

Podniósł głowę i ujrzał setki odłamków szkła, sypiące się na jego głowę.

Nie. To nie szkło. Witrażowa kopuła pozostała na miejscu. Odłamki koloru i cienia przenikały przez szkło, nie tłukąc go, przesiąkały przez nie z zewnątrz, a może i z jakiegoś o wiele dziwniejszego miejsca.

Odłamki spadały powoli, kpiąc z grawitacji, a opadając – zmieniały kolor. A zmieniając kolor – stapiały się ze sobą. A stopiwszy się ze sobą – przybrały kształt.

Odłamki stały się Tajemniczym Rozmówcą, którego Fric ostatnio widział na pierwszej stronie „Los Angeles Timesa”, a w naturalnej wielkości – w labiryncie pamiątek na strychu. Wówczas anioł stróż frunął pod sufitem, nie korzystając ze skrzydeł. Teraz wylądował w podobny sposób, z bezgłośną gracją, parę kroków od Frica.

– Masz talent do efektownych wejść – powiedział Fric, ale jego

drżący głos zadał kłam luzackiej pozie.

– Moloch już tu jest – oznajmił jego opiekun głosem tak strasznym, że serce Frica ścisnęłyby się i załomotało o żebra nawet wtedy, gdyby treść zdania była tylko w jednej tysięcznej tak straszna, jak była. – Uciekaj do swojej kryjówki, Fric. Uciekaj! Natychmiast!

Fric wskazał kopułę.

– Dlaczego nie zabierzesz mnie tam, skąd przyszedłeś, gdzie będę bezpieczny?

– Już ci mówiłem, chłopcze, musisz sam decydować, korzystać z wolnej woli i ratować życie.

– Ale ja...

– Poza tym nie możesz iść ze mną ani podróżować tak jak ja, dopóki nie umrzesz. – Jego opiekun zbliżył do niego bladą twarz. – Naprawdę chcesz umrzeć straszną śmiercią tylko po to, żeby móc wygodniej podróżować?

Łomoczące serce Frica wytlukło z niego wszystkie słowa, zanim zdołał je wypowiedzieć. Opiekun chwycił go i uniósł wysoko.

– Moloch jest już w domu. Ukryj się, chłopcze, na miłość boską, ukryj się!

Po tych słowach Tajemniczy Rozmówca odrzucił go jak kłębek szmat, ale w tak czarodziejski sposób, że Fric nie wpadł na żaden mebel. Powoli, jak w zwolnionym tempie, pokoziołkował przez bibliotekę, omijając fotele, stoły i półki. Kręcąc się w powietrzu, zobaczył zdjęcie ładnej pani, swojej mamy na niby, które wysunęło się mu z kieszeni i teraz dryfowało za nim leniwie w powietrzu w otaczającej go bańce. Wyciągnął rękę jak astronauta w stanie nieważkości gdzieś wysoko na orbicie, ale nie mógł go chwycić.

Raptem wylądował obiema nogami na ziemi, w pobliżu choinki z aniołami, wylądował i od razu zaczął biec, chcąc nie chcąc, jakby

opiekun rzucił na niego czar. Wybiegając z biblioteki, obejrzał się przez ramię.

Opiekun zniknął.

Fotografii także nigdzie nie było.

Moloch jest już w domu.

Fric rzucił się sprintem najkrótszą trasą do cieplarni.

91

Corky Laputa otworzył jedno z weneckich okien z brązu i szlifowanego szkła, wychodzących na półakrowe patio, fontanny i basen. Wszedł do wielkiego salonu.

Wytarł się do sucha brokatowymi zasłonami. Idąc po kamiennych posadzkach korytarzy, nie zamierzał zostawiać mokrych śladów, które Truman mógłby znaleźć, zanim on znajdzie Trumana.

Włączył światło.

Nie bał się, że ktoś go zauważy. Było ich tylko trzech w domu większym od wielu centrów handlowych. Raczej nie wpadną na siebie przypadkiem.

W pokoju stała wspaniała choinka. Corky miał okropną ochotę zapalić świeczki, żeby ujrzeć ją w pełnej migotliwej chwale. Chaos bywa jednak wymagającym panem, dlatego Corky musiał się skupić nad zadaniem, które go tu przywiodło.

Przemierzył przestronne pomieszczenie, wycierając nogi o stare perskie dywany.

Na północny korytarz prowadziło dwoje szeroko rozstawionych podwójnych drzwi. Koło jednych z nich znajdował się ekran systemu alarmowego. Corky dotknął ślepego szarego ekranu. Natychmiast ożył, wyświetlając trzy kolumny ikon.

Mick Sachatone podał mu podstawowe wskazówki, nie aż takie, żeby Corky stał się od razu mistrzem, ale dość, by sobie jakoś poradzić. Dotknął ikony wewnętrznych detektorów ruchu; pojawiła się lista dziewięćdziesięciu sześciu obiektów. Ned Hokenberry twierdził, że czujników nie ma w sypialniach, łazienkach i pokojach Channinga Manheima.

Na dole ekranu znajdowało się słowo SKANUJ. Nacisnął je. Teraz mógł przeprowadzić obserwację drugiego i pierwszego piętra, parteru, i dwóch poziomów podziemnych. Później skorzysta z tego udogodnienia, by znaleźć chłopca. Najpierw musiał zlokalizować i zabić Ethana Trumana. Właściwie mógłby pochwycić małego i wynieść go z domu pod nosem szefa ochrony, ale będzie się czuł swobodniej, jeśli były gliniarz przeniesie się na tamten świat.

Mała pulsująca kropeczka oznaczyła miejsce pobytu Corky'ego. Nie poruszał się, ale detektory ruchu reagowały także na ciepło. A on, choć w grubym izolowanym kombinezonie, i tak wydzielał dość ciepła, by zwrócić na siebie uwagę spostrzegawczych czujników.

Zrobił dwa kroki w bok.

Jego kropeczka poruszyła się minimalnie.

Kiedy znowu stanął tuż przed ekranem, kropeczka znowu wróciła na dawne miejsce.

Na ekranie pojawił się skomplikowany plan zachodniej połowy parteru, także z samotną kropeczką mrugającą wśród pokoi i korytarzy: niewątpliwie Ethan Truman, w salonie swojego mieszkania.

Dokładnie tam, gdzie powinien być.

Corky wyszedł z menu, skierował się w stronę najbliższych podwójnych drzwi i cicho wyłonił się na korytarz. Przez sobą zobaczył schody i kolejną efektowną choinkę. W Palazzo Rospo panowała bardzo świąteczna atmosfera.

Zaciekawiło go, jakimi też przepyszными ciasteczkami mogą się zająć ci bogacze. Kiedy zabije Trumana i zabezpieczy chłopca, może odważy się zostać dłużej. Wtedy przejrzy zapasy w kuchni. Spakuje sobie puszkę domowych ciasteczek, które schrupie w domu.

Skręcił w prawo i ruszył północnym korytarzem w stronę

pokoju herbacianego, prywatnej jadalni, wielkiej jadalni, kuchni i w końcu zachodniego korytarza, gdzie Truman czekał niecierpliwie, żeby go zabić.

Telefon na biurku był głuchy. Ethan sięgnął po komórkę; okazało się, że i ona nie ma zasięgu. Czasami po dwudniowej ulewie kable telefoniczne przemakały i przestawały funkcjonować. Ale nie komórki.

Sprawdził telefon w sypialni. To samo. Właściwie to go nie zaskoczyło.

W szuflady wyjął drugi magazynek do pistoletu.

Przygotował go wieczorem pierwszego dnia w Palazzo Rospo, dziesięć miesięcy temu. Wydawało mu się wtedy, że to zbędna formalność. Długa strzelanina – więcej niż dziesięć strzałów – w tych doskonale strzeżonych murach była mało prawdopodobna.

Ethan schował pistolet do kieszeni i pobiegł do gabinetu.

Fric.

Fric musi być gdzieś na piętrze, w bibliotece, wybiera książkę, która pomoże mu przetrwać tę noc.

Dobrze. Należy pobiec do biblioteki. Zagonić chłopca do najbliższego schronu. Schować go w tej wygodnej, pancерnej, idealnej kryjówce. Potem znaleźć źródło zagrożenia, dowiedzieć się, co jest grane, do cholery.

Opuścił swoje mieszkanie, skręcił w lewo w zachodni korytarz i pobiegł ku schodom, którymi przedtem dostał się do białego pokoju.

*

Corry kroczył północnym korytarzem, czasami skradając się z przesadną ostrożnością, jak komando na terenie wrogiej fortecy,

czasem biegnąc na paluszkach. Minał pokój śniadaniowy, pokój kamerdynera, kuchnię. Żałował, że nie włożył żółtego płaszcza przeciwdeszczowego i kapelusza z obwisłym rondem. Bardzo by go ubawiła zdumiona mina Trumana, stojącego przed żółciutkim jak kurczaczek zabójcą.

Drzwi mieszkania szefa ochrony były otwarte.

Na ten widok Corky od razu spoważniał. Ostrożnie zbliżył się do mieszkania. Stał plecami do ściany, obok otwartych drzwi, i nasłuchiwał.

Przekraczając próg, pochylił się, trzymając glocka oburącz. Obrócił się z lewa na prawo, z prawa na lewo.

Gabinet był pusty.

Szybko, lecz skutecznie przeszukał resztę mieszkania, nie znalazł swojej ofiary. Wrócił do gabinetu, gdzie odkrył zawartość sześciu czarnych pudełek. Widać Truman nadal biedził się nad zagadką. Zabawne.

Na ekranie widniał jakiś tekst. Truman chyba wyszedł w trakcie czytania e-mailu.

Corky dał upust ciekawości, która jako dominująca cecha jego charakteru nie raz przysłużyła mu się przez lata. E-mail podpisany był „Yorn”. William Yorn, dozorca.

Zaczął czytać: FRIC ZROBIŁ SOBIE KRYJÓWKĘ W CIEPLARNI... List brzmiał jak bełkot, ale ten fragment o kryjówce wydał się Corky’emu interesujący.

Oba cele znajdowały się nie wiadomo gdzie. Corky musiał odszukać następny ekran systemu alarmowego, i to jak najszybciej. Jeden znajdował się w ścianie koło sypialni w mieszkaniu szefa ochrony, ale Truman mógł wrócić lada chwila i zaskoczyć Corky’ego.

Na podłodze koło sofy coś leżało. Komórka. Jakby ktoś ją nie upuścił, ale rzucił.

Corky ostrożnie wyszedł na zachodni korytarz. Poszedł do drzwi mieszkania państwa McBee.

Z planów wynikało, że ekran znajduje się w ich salonie. Na szczęście kochani państwo znajdowali się w Santa Barbara.

Ned Hokenberry przysięgał, że dla ułatwienia sprzątania i innych usług domowych pracownicy mieszkający na terenie posiadłości rzadko zamykają swoje drzwi na klucz.

Dobry stary Hokenberry, nawiasem mówiąc – świr, okazał się równie godny zaufania jak plany. Corky wszedł do mieszkania państwa McBee i zamknął za sobą drzwi.

Ekran znajdował się tuż przy drzwiach. Rozświetlił się pod jego dotykiem. Corky nie musiał sobie zawracać głowy światłem.

Skanowanie detektorów ruchu na parterze nie wykazało żadnej świetlnej plamki z wyjątkiem Corky'ego w mieszkaniu państwa McBee.

Na piętrze ktoś właśnie skręcił z zachodniego korytarza do północnego skrzydła i szedł w stronę biblioteki. Może Truman. Może mały Manheim. Tak czy inaczej należało się spieszyć.

Na drugim piętrze czujniki nie wykryły ruchu ani obecności ciała. Sprawdził dwie podziemne kondygnacje. Także nic.

Postać z pierwszego piętra dotarła do biblioteki. Ta kropeczka to na pewno Ethan Truman. Pewnie dostał się tam tylnymi schodami w zachodnim skrzydle.

Gdzie jest chłopiec? System go nie rejestrował. Nie poruszał się. Nie wydzielał wykrywalnego dla czujników ciepła.

Mógł być w swojej sypialni albo łazience. Tam nie ma czujników.

Albo może się kryć w tej cieplarni.

Cała ta heca z kryjówką wyglądała dziwnie. Z listu Yorna

wynikało, że pracownicy też tak uważają.

Truman biegnący do biblioteki. Zniknięcie chłopca. Telefon na podłodze w mieszkaniu Trumana.

Corky Laputa wierzył w drobiazgowo planowanie i wierną realizację przyjętych wcześniej założeń. Był także przyjacielem chaosu. W tej chwili rozpoznał właśnie działanie chaosu. Prawdopodobnie Truman już wie, że ktoś się dostał na teren posiadłości.

Corky porzucił na jakiś czas plan i z drżeniem serca zawierzył chaosowi. Ruszył sprintem w stronę cieplarni.

*

Hazard Yancy zapewnił Maxwella Daltona o swoim rychłym powrocie i zbiegł po schodach, zanim puszka środka dezynfekcyjnego zdążyła spaść z dachu ganku na trawnik.

Po obu stronach drzwi znajdowały się wysokie przeszklone tafle, lecz nie na tyle szerokie, by pomieścić mężczyznę, zwłaszcza tak okazałego jak Hazard. Dlatego nie mógł się upierać, że zbił szybę i otworzył zamek od środka.

Otwierając drzwi, nagle się przestraszył, że za progiem natknie się na Laputę. Albo Hectora X. Ale stanął twarzą twarz tylko z nocą, zimną i deszczową.

Wyszedł na ganek. O ile się orientował, brzęk szkła nie zaciekał sąsiadów.

Ktoś może go obserwować przez okno. Naraża się na spore ryzyko.

Na ganku stało kilka roślin w doniczkach. Wziął jedną z mniejszych. Zaczekał, aż ulicą przemknie samochód, i rzucił pięciokilogramową terakotową doniczką w okno salonu. Trzask i

brząk sypiącego się szkła powinien przyciągnąć uwagę sąsiadów w nawet najbardziej tkniętej znieczulicą dzielnicy.

Wyjął broń i kolbą wybił parę opornych odłamków, nadal jeżących się we framudze. Wszedł do środka przez okno, odsuwając zasłony, przewracając kwietnik i wazon, błędząc, jakby kompletnie nie znał domu Laputy.

Teraz miał spójną historię. W odpowiedzi na wołanie o pomoc, które dobiegło go przez wybite okno w sypialni, zadzwonił do drzwi i zaczął się dobijać. Nie doczekawszy się odpowiedzi, wybił okno, wszedł na górę i zastał Maxwella Daltona.

Bajeczka była łatwa do przełknięcia jak kaktus. Jednak był to jego kaktus, który zamierzał pielęgnować ze wszystkich sił.

Powróciwszy na ganek w bardziej konwencjonalny sposób, zadzwonił na pogotowie policyjne. Podał dyżurnej policjantce numer swojej odznaki i wyjaśnił sytuację.

– Potrzebuję tu sanitariuszy i paru w cywilu. Szybko. – Po namyśle dodał: – Paru policjantów w cywilu.

– Wiem – powiedziała policjantka.

– Przepraszam.

– Nie szkodzi.

– I karetkę.

– Wiem.

– Przepraszam.

– Jest pan świeży?

– Mam czterdzieści jeden lat – odpowiedział, natychmiast uświadamiając sobie, jak beznadziejnym jest kretysem.

– W wydziale – wyjaśniła.

- Nie. W wydziale jestem bardzo nieświeży.

Ale była to jego pierwsza sprawa z udziałem ducha czy jak tam można zakwalifikować Dunny'ego Whistlera, który narzuca się człowiekowi we śnie i znika w lustrze. I pierwsza z telefonem od zmarłego zabójcy. Oraz pierwsza dotycząca mordercy głodzącego i torturującego ofiarę, lecz utrzymującego ją przy życiu dzięki kroplówce.

Są takie dni, kiedy człowiekowi wydaje się, że nic go nie zadziwi. To nie był jeden z tych dni.

Hazard skończył rozmowę i pobiegł w deszczu do swojego sedana. Schował lockaida pod siedzeniem.

Kiedy wracał na ganek, w oddali rozległy się syreny.

*

Już w progu biblioteki Ethan zobaczył pomiętą i podartą fotografię na podłodze. Hannah. To samo zdjęcie stało niegdyś na biurku Dunny'ego, a następnie zostało wydarte ze srebrnej ramki.

Zniknięcie dzwoneczków z biurka Ethana mogło oznaczać wizytę Dunny'ego w Palazzo Rospo. E-maile od Devonshire'a, Yorna i Hachette'a stanowiły poparcie dzwoneczkowej hipotezy. W oczach Ethana zdjęcie stanowiło jej niepodważalny dowód.

Dunny – martwy, i to martwy w dwustu procentach, według świadectwa doktora O'Briena z Matki Boskiej od Aniołów – nadal grasował po świecie, obdarzony mocą kpiącą z wszelkich praw fizyki. Mocą, która identyfikowała go jako istotę nadprzyrodzoną.

Był w Palazzo Rospo.

Jest w nim w tej chwili.

Ethan nie uwierzyłby w istnienie żywego trupa, gdyby nie dostał prosto w brzuch, nie umarł i nie zmartwychwstał, gdyby nie

przejechał go cruiser i ciężarówka i gdyby znowu nie był rzeński i na chodzie w chwilę po drugim zgonie. On nie był duchem, ale po wypadkach ostatnich dwóch dni wierzył we wszystkie duchy na świecie i w różne inne rzeczy, którym poprzednio nie dawał wiary.

Może Dunny także nie jest duchem. Może być czymś, czego nazwy Ethan nawet nie znał.

Czykolwiek był, przestał być zwykłym człowiekiem. Dlatego jego motywów nie da się odgadnąć dzięki dedukcji lub intuicji, na której polega każdy policjant.

Mimo to Ethan czuł, że przyjaciel z dzieciństwa, od dawna nieobecny w jego życiu, nie groził Fricowi, że jego rola w tym dziwnym splocie wypadków jest raczej pozytywna. Człowiek, który kochał Hannah, który trzymał jej zdjęcie na biurku pięć lat po jej śmierci, musiał być dobry i z całą pewnością nie hołubił w sobie zła tak czystego, by chcieć skrzywdzić niewinne dziecko.

Ethan schował zdjęcie do kieszeni.

- Fric! - zawołał. - Fric, gdzie jesteś?

Kiedy nie otrzymał odpowiedzi, przebiegł przez bibliotekę wśród książkowych kanionów, od Ezopa i Conrada Aikena po Alexandra Dumasa, od Gustava Flauberta po Victora Hugo, od Somerseta Maughama po Szekspira, aż do Emila Zoli, drżąc na myśl, że może znaleźć chłopca martwego, drżąc na myśl, że wcale go nie znajdzie.

Frica nie było.

W kąciaku najbardziej oddalonym od drzwi znajdowały się nie tylko fotele, ale także stół z telefonem i komputerem.

Aczkolwiek linie telefoniczne ogłuchły, wewnętrzny interkom - zupełnie inna funkcja - nadal działał. Przestałby dopiero po wyłączeniu prądu. Ethan wcisnął jego klawisz, następnie drugi, oznaczony słowem DOM, po czym złamał jedną z głównych zasad pani McBee, wzywając chłopca jednocześnie we wszystkich

pomieszczeniach dworu.

– Fric? Gdzie jesteś? Gdziekolwiek jesteś, odezwij się!

Czekał. Pięć sekund to bardzo długo. Dziesięć to wieczność.

– Fric! Odezwij się!

Komputer koło telefonu sam się włączył. Ethan nawet go nie dotknął.

Duch, który zajął się komputerem, wszedł do programu ochrony domu. Zamiast zwykłych trzech kolumn ikon na monitorze pojawił się plan parteru domu, jego wschodniej połowy.

Zaraz potem na ekranie pojawił się, niewzywany, raport czujników ruchu. Światelko, oznaczające ruch i ciepło ciała, migало w cieplarni.

*

Cieplarnia, dwadzieścia dwa metry długości, czternaście metrów wysokości, była dżunglą z oknami, wysokimi taflami szkła sprowadzonego z jakiegoś francuskiego pałacu zniszczonego podczas pierwszej wojny światowej.

To tutaj pan Yorn wraz z pracownikami nieustannie pielęgnował kolekcję egzotycznych palm, tulipanowców, frangipani, mimoz, wielu gatunków paproci, storczyków i od cholery innych gatunków, których Fric nie znał. Wąskie granitowe dróżki wiły się między kępami roślin.

Po paru krokach złudzenie tropikalnej gęstwiny stawało się nieodparte. Można było udawać, że jest się podróżnikiem zabłąkanym gdzieś w Afryce, który szuka goryla-albinosa albo zaginionych kopalni króla Salomona.

Fric nazywał to miejsce Giungla Rospo – co po włosku znaczy Ropusza Dżungla – i uważał, że ma ono wszystkie plusy

tropikalnych lasów, za to żadnego minusa. Nie było dokuczliwych owadów, węży ani małp, wrzeszczących i rzucających człowiekowi odchody na głowę.

Na środku tej starannie zorganizowanej dzikiej gęstwiny znajdowała się bambusowa altana. Można w niej było się posilać i upijać do nieprzytomności, jeśli miało się odpowiednio dużo lat – albo udawać Tarzana sprzed czasów, kiedy zaczęła mu się narzucać Jane.

Altanka, cztery metry średnicy na półtorametrowym podeście, na który wchodziło się po ośmiu drewnianych schodkach, mieściła okrągły stół i cztery krzesła. Pod ukrytą deską w podłodze znajdowała się mała lodówka z colą, piwem i naturalną wodą źródlaną, choć nie aż tak naturalną, żeby zawierać zarazki dyzenterii, tyfusu, cholery czy pasożyty, zdolne pożreć człowieka od środka.

Pod inną ukrytą deską znajdowało się wejście do ciasnego pomieszczenia. Tu mógł się zmieścić monter naprawiający lodówkę, gdyby się zepsuła, albo ludzie z firmy eksterminującej wszystkie paskudztwa, od owadów po roznoszące choroby myszy.

Ależ tu było ciemno. Nawet za dnia do kryjówki w altance nie docierał ani jeden promień słoneczny, co znaczyło, że w nocy nie będzie z niej widać światła latarki.

Dziś Fric uznał to miejsce za swoją kryjówkę. Wcześniej przyniósł do niego pączki i inne jedzenie, chusteczki higieniczne i plastikowe nocniki. Teraz usiadł po turecku, mając nadzieję, że w ten sposób uratuje się przed pożeraczem dzieci.

Siedział w niej już niespełna dwie minuty, słuchając galopujących koni swojego serca, kiedy nagle przez tętent usłyszał coś innego. Kroki. Zbliżające się do altanki kroki.

Najprawdopodobniej jest to szukający go pan Truman. Pan Truman. Nie Moloch. Nie dziecioletnia bestia, której między zębami

uwięzły kości niemowląt. Pan Truman.

Kroki okrążyły platformę, to zbliżając się, to oddalając od kryjówek. Ale potem znowu się zbliżyły. Fric przestał oddychać.

Kroki się zatrzymały. Deski podestu zaskrzypiały pod jakimś ciężarem.

Fric bezszelestnie wypuścił z płuc zużyte powietrze, bezgłośnie zaczerpnął świeżego i znowu wstrzymał oddech.

Skrzypienie ustało, po nim rozległy się inne ciche odgłosy: ciche szuranie, jakieś drapnięcie, kliknięcie.

To byłaby bardzo zła pora na atak astmy.

Fric omal nie zaczął na siebie wrzeszczeć za to, że pozwolił sobie na taką głupią myśl w niebezpiecznym momencie. *Idiota, idiota, idiota.*

Tylko w filmach dziecko chorujące na astmę, cukrzycę czy epilepsję dostaje ataku w najgorszym z możliwych momentów. Tylko w filmach, nigdy w życiu. A to jest prawdziwe życie albo coś w tym rodzaju. Czy pomiędzy łopatkami coś go swędzi? Czy to swędzenie rozprzestrzenia się na kark? Prawdziwe swędzenie byłoby oznaką zbliżającego się ataku astmy. Wyimaginowane stanowiłoby oznakę totalnej, beznadziejnej, idiotycznej ofermowatości.

Otworzyło się tajemne wejście nad jego głową.

Stanął twarzą w twarz z Molochem, najwyraźniej mądrzejszym niż jego anioł stróż: gościem o piegowatej twarzy, oczach szakala i szerokim uśmiechu. W zębach nie miał żadnych kości.

Fric uniósł nóż z szuflady pana Hachette'a.

– Mam to – ostrzegł.

– A ja mam to – odparł Molochem, wyciągając małą puszczykę sprayu wielkości gazu pieprzowego. Prysnał Fricowi w twarz zimnym strumieniem czegoś, co smakowało jak gałka muszkatołowa, a

pachniało pewnie jak nierozcieńczony cybet.

93

Cieplarnia w nocy była bajecznie oświetlona: każda złota aureola, rozgwieżdżona luna czy jedwabista smuga fałszywego światła księżyca była równie zachwycająca jak dzieło najlepszych hollywoodzkich mistrzów oświetlenia. Po zachodzie słońca zwykła kieszonkowa dżungla stawała się tropikalnym Shangrila.

Ethan wszedł do niej z pistoletem w obu rękach. Nie wołał Frica. Świetlna kropeczka, którą zobaczył na ekranie, mogła nie być chłopcem.

Nie potrafił sobie wyobrazić, w jaki sposób można wtargnąć na teren posiadłości, nie uruchamiając rozlicznych alarmów, ale myśl o intruzie w Palazzo Rospo zdumiała go o wiele mniej od innych rzeczy, których ostatnio był świadkiem.

Pod jego stopami chrzęściły obłuzowane kamyczki kruszących się granitowych ścieżek, przez co bezszelestne wejście okazało się niemożliwe. Starał się jak najmniej hałasować, ale musiał robić małe, niewygodne kroczki.

Te cienie także nie były mu na rękę. Wszędzie cienie, nic tylko cienie, wielowarstwowe, obliczone na efekt, nienaturalne, a przed to podwójnie podstępne.

Mniej więcej ze środka dżungli dobiegł go dziwny odgłos, a potem drugi, potem szelest roślin, ale dopiero kiedy palma tuż przed nim zatrzęsa się i sypnęła liśćmi, zorientował się, że ktoś do niego strzela.

Natychmiast padł na ziemię. Przetoczył się i wpełzł w paprocie i mimozy o czerwono-fioletowych kwiatach. Teraz cienie, prawdziwe czy sztuczne, wydały mu się przyjazne.

*

Policjanci w cywilu przybyli przed karetką. Hazard streścił im przebieg wypadków i powiedział, gdzie wysłać sanitariuszy, po czym wszedł na piętro, by zająć się Maxwellem Daltonem.

Udęrczony jeniec, na trzeci rzut oka jeszcze bardziej obrzydliwy niż na pierwszy i drugi, przewrócił zapadniętymi oczami i skrzywił się bardzo zdenerwowany. Usiłował wykrztusić jakieś słowa, które bez wątpienia kaleczyły jego krwawiące gardło.

– Spokojnie, spokojnie – odezwał się do niego Hazard.

– Proszę się uspokoić. Wszystko będzie dobrze. Jest pan już bezpieczny, profesorze.

Dalton wypluwał z siebie słowa, boleśnie, lecz z determinacją.

– On... wróci...

– I dobrze – odparł Hazard. Z ulgą usłyszał ryk syren ambulansu za oknem. – Będziemy wiedzieli, co z draniem zrobić, jak się pokaże.

Dalton, wyraźnie niezadowolony, zdołał pokręcić głową i dalej wyduszał z siebie jakieś jęki.

Hazard, sądząc, że profesor niepokoi się losem żony i córki, powiedział, iż właśnie wysłał dwóch policjantów w mundurach, którzy powiadomią Rachel o odnalezieniu jej męża, a także zapewnią jej i córce bezpieczeństwo do chwili aresztowania Laputy.

– On... wróci... z... – wyrzęził Dalton i skrzywił się z bólu.

– Proszę nic nie mówić – doradził Hazard. – Jest pan poważnie osłabiony.

Ryczący ambulans wyprysnął z za zakrętu. Syrena zawyła dramatycznie i zamilkła, opony zapiszczały na mokrym asfalcie.

– ... z, ... chłopcem – wydusił z siebie Dalton.

- Z chłopcem? Laputa?

Dalton zdołał skinać głową.

- Tak powiedział?

Kolejne skinięcie.

- Chce dzisiaj przywieźć tu chłopca?

- Tak.

Na schodach rozległ się tupot sanitariuszy. Hazard pochylił się nad umęczonym jeńcem.

- Jakiego chłopca?

*

Ethan, schowany wśród mimoz i paproci, usłyszał drugi strzał z broni z tłumikiem. Jakies pół minuty później zabrzmiał następny strzał.

Kule nie przelatywały koło niego. Napastnik chyba stracił go z oczu. A może w ogóle nie wiedział, gdzie go szukać. Może pierwszy strzał był przypadkowy.

Strzelec – jeden. Jeden przeciwnik.

Rozsądek podpowiadał, że atak na tę posiadłość powinien być dziełem grupy, że jeden człowiek nie zdoła przeskoczyć przez mur, przechytrzyć urządzeń elektronicznych, rozbroić strażników i wejść na teren domu. Tak robił tylko Bruce Willis w niektórych swoich filmach. I Tom Cruise, w pełnej charakteryzacji. Tak robił Channing Manheim w roli głównej jako bohater negatywny. Nikt prawdziwy.

Ale gdyby na teren Palazzo Rospo wdarł się zgrany zespół porywaczy, w tej chwili strzelałoby ich więcej. Podziurawiliby Ethana jak sito z dwóch, trzech karabinów maszynowych. Albo uzi. Albo

czegoś gorszego. Teraz byłby już martwy i balowałby w raju.

Po trzecim strzale zapadła cisza. Ethan podniósł się z zarośli i zaczął ostrożnie sunąć pomiędzy palmami w stronę ścieżki.

W każdym filmie o dżungli obyty z dziczą bohater od razu wiedział, że taka cisza oznaczała zagrożenie; na widok czarnego charakteru cały świat zwierzęcy, od cykad po krokodyle, zastyga w bezruchu i milczeniu.

Zielony zapach zgniecionych liści.

Stłumiony pomruk wentylatora.

Brzęczenie komara, który uparcie unosi się nad głową.

Smak krwi w ustach, widać przygryzł sobie język, padając na ziemię. Narastający ból. Szelest liści nad jego głową. Uniósł pistolet.

To nie liście. To skrzydła. Przez dżunglę, wysoko nad ścieżką, przeleciało stadko kolorowych papug, niebieskich, czerwonych, żółtych i lśniących zielonych, jak dziwny zachód słońca.

W cieplarni nie było żadnych ptaków. Ani papug, ani wróbli.

Ptaki przemknęły przed Ethanem, uniosły się wysoko, bez jednego piśnięcia, bezgłośnie, po czym w pół ruchu zmieniły się w białe gołębice.

To zjawy z zamglonego lustra. To nieprawdopodobne dzwoneczki w jego ręce przed kwiaciarnią. To ciężki zapach Broadwayów w jego gabinecie, w którym nie było żadnych róż, to ukochany głos żony, mówiący w białym pokoju wierszyk o biedronce. To ręka jakiejś nadprzyrodzonej mocy, przyjaźnie wyciągnięta w jego stronę.

Gołębice uniosły się w szalonym trzepocie skrzydeł, gubiąc pióra w powietrzu, po czym znowu zeszły niżej, ku niemu, obok niego, wypełniając powietrze drzeniem, które jednocześnie zachwycało go i przerażało, budziło w jego sercu radość, ale i strach.

Gołębice pofrunęły przed siebie. Pobiegł za nimi. Prowadziły go. Pozwolił się prowadzić.

*

– Zaraz – powiedział Hazard do sanitariuszy, którzy wbiegli do pokoju pomimo potwornego smrodu i stanęli, gapiąc się w osłupieniu, choć przez cały dzień napatrzili się dość okropieństw.

– Chłopiec – wychrypiał Dalton.

– Jaki chłopiec? – spytał Hazard, jeszcze raz biorąc w obie ręce jego dłoń.

– Dziesięć.

– Dziesięciu chłopców?

– Dziesięć... lat.

– Dziesięcioletni chłopiec – powtórzył Hazard, nadal nie pojmując, dlaczego Dalton spodziewa się powrotu Laputy z chłopcem. Być może go jednak nie zrozumiał.

Dalton zrobił jeszcze jeden konwulsyjny wysięk, choć ból gardła musiał być rozdzierający.

– Mówił... sławny...

– Sławny?

– Mówił... sławny chłopiec.

Hazard zrozumiał.

*

W windzie Moloch upuścił Frica, który upadł bezwładnie na

podłogę, nie rozumiejąc, co go spotkało. To nie był pieprz w sprayu. Zachował zdolność widzenia, ale mógł mrugać bardzo powoli. Mógł też poruszać rękami i nogami, ale tak jak pod wodą, jak zmęczony pływak walczący z silnym podwodnym nurtem. Nie mógłby uderzyć w samoobronie. Nie mógł nawet zacisnąć pięści.

W drodze do garażu Moloch wyszczerzył zęby i pokazał Fricowi mały spray.

– Środek paralizujący o krótkotrwałym działaniu, dzieło mojego kolegi na hojnym stypendium irańskiej tajnej policji. Chciałem cię uspokoić, lecz nie uśpić.

Fric usłyszał własny oddech. Nie było to astmatyczne rzęzenie.

– Tej altanki nie ma na planach architektonicznych – mówił Moloch – ale ledwie ją zobaczyłem, od razu wiedziałem. Nie utraciłem kontaktu z moim wewnętrznym dzieckiem, z tym dzikim duchem, z jakim przyszedłem na świat, dlatego od razu się domyśliłem.

Nie był to także zdrowy oddech. Wyraźny, lecz płytki, lekko świszczący.

Moloch, przez którego twarz przebiegały straszne spazmy radości – Fric posiusiałby się na ich widok, gdyby niedawno nie opróżnił pęcherza – powiedział:

– Chciałem, żebyś dobrze odczuł przerażenie, kiedy porwę cię z tej luksusowej chałupy. Wiesz, że twój ważny tatuś nie sfrunie z nieba w pelerynie i rajstopach albo na latającym motocyklu, jakbyś pewnie pomyślał, gdybyś był młodszy. Żadna gwiazda filmowa, żadna supermodelka i żaden głupi osiłek z Bel Air nie uratują twojego luksusowego tyłeczka.

Fric zrozumiał, że musi umrzeć. Nie ma szans na życie w Montanie. Ani w ogóle na życie. Ale może przynajmniej na spokój?

*

Niczym pasterz owcom, pies policjantom, zwiadowca kawalerii, gołębice wskazują Ethanowi drogę, ptak za ptakiem, poza cieplarnię, na wschodni korytarz, koło krytego basenu, przez północny korytarz i na zachód, w stronę głównej klatki schodowej.

Co za widok: trzydzieści, czterdzieści olśniewająco białych ptaków płynie korytarzem, pierzasta rzeka w luksusowym zdobionym kanionie, jak stado uwolnionych dusz szybujących ku Walhalli.

Wleciały na główną klatkę schodową i krążyły na niej, jakby pochwycone w wir, coraz bliżej siebie, aż w końcu stopiły się w jeden wir. Spłynęły na podłogę, zmieniając po drodze kolor, znowu zmieniając postać, stając się jego zbłąkanym przyjacielem z dzieciństwa.

Zjawą, która była Dunnym Whistlerem, powiedziała:

- Jeśli umrzesz tym razem, nie zdołam cię przywrócić do życia. Tu moja władza nie sięga. On zabrał Frica do garażu. Już prawie wyjechał.

Zanim Ethan zdołał się odezwać, Dunny przestał być Dunnym, jeszcze raz zmienił się w gołębice, eksplodował w glorii lśniących skrzydeł, poszybował prosto w stronę choinki. Ptaki znikły nie między gałęziami, lecz w srebrnych i szkarłatnych ozdobach, już nie ptaki, lecz ich cienie, coraz ciemniejsze na ciemnych krzywiznach.

*

Sparaliżowany Fric, wleczony za koszulę po podłodze, z wrogiem za plecami, patrzył na oddalającą się windę. Moloch chwycił kluczyki do samochodu z tablicy, gdzie nad każdym haczykiem wisiała tabliczka z oznaczeniem modelu i roku produkcji.

Zachowywał się tak pewnie, jakby od zawsze mieszkał w Palazzo Rospo.

Fric oddalał się nie tylko od windy, ale i od inhalatora z bezcennym lekiem przeciwko astmie, który odpiął mu się od paska. Chłopiec usiłował go złapać, ale ręce miał jak z waty.

Ten Moloch może być szalony albo po prostu zły. Fric nie mógł pojąć jednego: co ma przeciwko niemu irańska tajna policja?

Przez dziesięć lat swojego życia poznał smak strachu. Prawdę mówiąc, strach towarzyszył mu nieustannie, jednak należał do tych, których raczej przewlekle dręczy niż gwałtownie atakuje. Był raczej jak uparte dziobanie małych ptaszków niż pikowanie pterodaktyla. Niepokój, że ojciec będzie przyjeżdżać coraz rzadziej, aż wreszcie zniknie na lata, tak jak matka. Dręcząca troska, że na wieki pozostanie taką oferumą jak teraz, że nigdy nie nauczy się żyć, że zestarzeje się i nadal będzie tylko synem Channinga Manheima, Twarzy. Jednak teraz w każdej sekundzie drogi między cieplarnią i garażem towarzyszył mu czarny strach o błoniastych skrzydłach.

Moloch mógł uciec którymś z kolekcji starszych klasycznych samochodów, wartych setki tysięcy dolarów. Tymczasem wybrał dość współczesny model, ulubiony pojazd Frica: wiśniowego buicka super 8 z 1951 roku, z chromowanymi błotnikami. Wrzucił Frica na siedzenie z przodu, zatrzasnął drzwi, obiegł buicka i usiadł za kierownicą. Silnik zaskoczył od razu, ponieważ wszystkie pojazdy z kolekcji były utrzymane w idealnym stanie.

Widać aniołom stróżom nie można wierzyć. Tajemniczy Rozmówca zresztą i tak nie wyglądał jak anioł; był za upiorny, za złowrogi, miał w oczach zbyt wiele smutku.

Kiedy Moloch zaczął wycofywać samochód z garażu, Fric zastanowił się, co się dzieje z panem Trumanem. Pewnie nie żyje. W związku z myślą o nieżywym panu Trumanie Fric odkrył, że substancja paraliżująca nie blokuje łez.

*

Ethan wpadł do garażu i od razu usłyszał warkot silnika, poczuł zapach spalin.

Buick czekał tuż przed otwierającymi się z wolna drzwiami.

Za kierownicą siedział mężczyzna. Jeden. Nie miał żadnych pomocników. Żaden strzelec nie czaił się w garażu.

Ethan miał bliżej do drzwi od strony pasażera; rzucił się biegiem w ich stronę. O szybę opierała się zmierzwiona głowa Frica. Ethan nie widział jego twarzy, ale głowa kołysała się bezwładnie, jakby chłopiec był nieprzytomny.

Prawie udało mu się dopaść do buicka. Potem samochód skoczył naprzód z takim przyspieszeniem, że nie można go było dogonić na piechotę.

Ethan przybrał chwiejnie postawę, wysunawszy prawą nogę dla zachowania równowagi, ugiawszy lewe kolano, trzymając broń obiema rękami. Zaryzykował trzy szybkie strzały, celując nisko, by rykoszet nie trafił Frica. Strzelał w tylne koło po stronie pasażera.

Błotnik sięgał prawie do połowy opony, nie zostawiając mu wiele miejsca na strzał. Jeden pocisk wygiął metal, jeden nie trafił, a jeden przedziurawił oponę.

Samochód przechylił się na bok. Nadal jechał. Wciąż zbyt szybko, by można go było dogonić na piechotę. W ciszy garażu rozległo się rytmiczne klapanie skłęsłej gumy.

Kwarcytowy podjazd, mokry czy suchy, stanowił dobre oparcie dla opon, ale tylne koła buicka zaczęły buksować, rozbryzgując brudną wodę i błękitny dym, być może z powodu przechyłu.

Ethan zdołał podbiec bliżej; buick odzyskał panowanie nad kołami, skoczył przed siebie. Oklapnięta opona zaklapała głośniejsze,

metalowa obręcz zazgrzytała o kwarcyt jak piła.

Ethan dobiegł na koniec podjazdu w samą porę, by zobaczyć, jak samochód sunie ku bramie. Był już piętnaście metrów dalej. Pomimo okaleczenia nabierał prędkości. Nic go nie powstrzyma przed dotarciem do bramy, która dzięki czujnikom w chodniku otworzy się automatycznie.

Ethan puścił się za nim pędem. Nie dogoni go. Nie ma szans.

Pobiegł, bo nie zostało mu nic innego. Za późno, żeby wrócić, zabrać kluczyki do innego samochodu. Zanim wyjedzie z garażu, buick minie już bramę i zniknie w dali. Więc biegł, rozbryzgując zimne kałuże, biegł, machając rękami, żeby zyskać większe przyspieszenie pomimo wagi, ciężaru pistoletu, biegł, biegł, biegł, bo gdyby Fric zginął, on także by umarł w środku i resztę życia na tym świecie spędziłby, szukając grobu, nie gorszy żywy trup niż Dunny Whistler.

Corky Laputa, który ku swojemu zadowoleniu przekonał się, że Robin Goodfellow sieje grozę i przerażenie jak każdy prawdziwy agent rządowy, od zawsze zamierzał opuścić posiadłość aktora w jednym z jego kosztownych samochodów. Przestrzelona opona nie stanowiła przeszkody, najwyżej irytującą niedogodność.

Jechało mu się trudno, kierownica ściągała na jedną stronę, lecz jako koneser chaosu i mistrz bezładu stawiał czoło temu wyzwaniu z zachwytem znanym każdemu dziecku, które kiedykolwiek usiłowało opanować samochodzik na wesołym miasteczku. Każdy wstrząs i szarpnięcie budziły w nim dreszcz zachwytu.

Teraz musiał tylko pieczołowicie wyprowadzić buicka poza bramę, trzy przecznice dalej, gdzie zostawił acurę. Stamtąd trasa do domu zajmie niewiele czasu. Za pół godziny rozpieszczony bachor pozna Serowego Śmierdziela, zrozumie, co go czeka i rozpocznie długą i trudną karierę gwiazdy.

Gdyby coś się nie udało, gdyby chaos po raz pierwszy go zawiódł, Corky wolałby zabić chłopca, niż go oddać. Nie wykorzystaliby go nawet dla ratowania własnego życia. Nie ma miejsca na tchórzostwo w męznym życiu tych, którzy trudzą się wywoływaniem upadku społeczeństwa i wzniesieniem na jego gruzach nowego świata.

- Jak mnie ktoś zatrzyma - zapowiedział smarkaczowi - rozwałę ci głowę - bach, bach, bach - i ludzie będą po tobie płakać jak po księżnej Dianie.

Skręcił za róg. W pewnej odległości po lewej stronie znajdował się ozdobny staw, wokół którego zapętlał się główny podjazd. Buick znajdował się jeszcze na podjeździe bocznym, który dopiero za

pięćdziesiąt, sześćdziesiąt metrów miał się stopić z głównym.

Tuż za zasięgiem jego reflektorów pojawiło się coś tak dziwnego, że Corky krzyknął ze zdziwienia, a gdy bliźniacze pasma światła ukazały prawdziwą naturę czekającej go przeszkody, poczuł przejmujący strach. Wdepnął hamulec tak mocno, że samochód wpadł w poślizg.

*

Moloch powiedział, że rozwali Fricowi głowę, ale Fric miał teraz poważniejsze zmartwienia, ponieważ tym razem swędzenie między łopatkami okazało się prawdziwe, nie wymaginowane, i szybko zaczęło się rozprzestrzeniać na kark.

Spodziewał się ataku od chwili, gdy Moloch prysnął mu sprayem w twarz, ale być może działaniem ubocznym tej substancji było opóźnienie reakcji astmatycznej. Teraz wreszcie nadeszła, i to z całą siłą.

Zaczął rzeźić. Nie mógł nabrać dość powietrza. Nie miał przy sobie inhalatora. Co gorsze był na wpół sparaliżowany. Leżąc bezwładnie na siedzeniu, nie potrafił się podnieść do pozycji siedzącej. Powinien przybrać bardziej pionową pozycję, by mięśnie piersi i karku zdołały wycisnąć z płuc zużyte powietrze.

I co jeszcze gorsze: kiedy usiłował niemrawo się podnieść, ześliznął się jeszcze bardziej. Prawie spadł z siedzenia. Nogi zaplatały mu się, ugięły, zmieściły pod deską rozdzielczą, pupa zwisała z siedzenia. Od pasa po kark leżał płasko, z głową opartą o fotel.

Czuł, że krtani zaciska mu się coraz bardziej.

Rzeził, zipał, dyszał, łapał powietrze, wsysał odrobinę, wydychał jeszcze mniej. W tchawicy uwięzło mu znane jajko na twardo, znany kamień, przeszkoda.

Nie potrafił oddychać, leżąc na plecach.

Moloch wdepnął hamulec. Samochód wpadł w poślizg, zaczął się obracać wokół własnej osi.

*

Przez podjazd biegli w stronę samochodu Roman Castevet, którego Corky zabił i ukrył pod prześcieradłem w kostnicy, Ned Hokenberry powracający po swoje trzecie oko, anorektyczna Brittna Dowd, tak samo koścista i naga jak na podłodze sypialni, ale nie spalona, a także Mick Sachatone w piżamie z Bartem Simpsonem.

Corky powinien się zorientować, że to zjawy, powinien przejechać przez nie bez zastanowienia, ale jeszcze nigdy nie widział nic podobnego i nie sądził, żeby to było możliwe. Nie byli przejrzyści, wydawali się tak samo namacalni jak pogrzebacz czy marmurowa lampa.

Zbyt mocno wcisnął pedał hamulca, być może też bez wyczucia szarpnął kierownicą. Buick obrócił się wokół własnej osi tak gwałtownie, że pistolet spadł na podłogę, a Corky uderzył głową w boczną szybę tak mocno, że pękła.

Pod koniec obrotu przekonał się, że cztery jego ofiary nie znikły, lecz nadal stoją. Rzuciły się na samochód, na co Corky'emu wyrwał się z gardła pisk, zdecydowanie zbyt dziewczęcy jak na Robina Goodfellowa. Raz, dwa, trzy, cztery, wściekli zmarli rzucili się na przednią szybę, pęknięte boczne okno, chcąc się do niego dostać, ale ponieważ nie byli prawdziwi, lecz z deszczu i cienia, rozprysnęli się w fontannach kropel, spłynęli w dół, znikli.

Buick obracał się dalej, aż wreszcie wpadł na jedno z drzew przy podjeździe; drzwi od strony pasażera otworzyły się, przednia szyba rozsypała się na kawałki.

Corky, śmiejąc się chaosowi w twarz, sięgnął pod kierownicę i

namacał glocka między stopami. Chwycił mocno rękojeść broni i wyprostował się, by zastrzelić chłopca.

Drzwi od strony kierowcy otworzyły się w ostrym protestującym zgrzycie wygiętego metalu. Ethan Truman sięgnął ręką do środka, dlatego zamiast zabić smarkacza, Corky strzelił do niego.

*

Ethan dobiegł do buicka w chwili, gdy samochód wpadł na drzewo. Położył pistolet na dachu i tam go zostawił, ponieważ nie chciał strzelać, kiedy na linii ognia mógł się znaleźć Fric. Nie zważając na ryzyko, otworzył wgięte drzwi i sięgnął do środka. Kierowca podsunał mu lufę po nos – *puf* – i Ethan nie tylko zobaczył rozbłysk z lufy, ale go także poczuł.

Zaraz po strzale nie poczuł nic, zbyt pochłonięty wyszarpywaniem broni, by się zastanawiać, czy dostał. Przysiagliby, że drugi strzał osmalił mu włosy – ale zaraz potem miał już pistolet.

Od razu rzucił go w mrok i wyciągnąłby drania zza kierownicy, gdyby ten sam się na niego nie rzucił. Obaj padli na ziemię ciężiej, niż im to gwarantowało prawo grawitacji. Ethan był na dole. Uderzył głową o kwarcytowe płyty.

*

Kiedy drzwi się otworzyły, Fric poczuł, że ześlizguje się z fotela, z buicka, w kałuże na chodniku. Legł na plecach, w najgorszej z możliwych pozycji, w której nie mógł zaczerpnąć tchu.

Deszcz padał mu prosto w oczy, ale mniej martwił się zamgleniem wzroku niż szkarłatną obwódką, która pojawiła się wokół nocy i która zmieniała krople deszczu w rubiny.

Jego mózg funkcjonował z takim samym trudem jak wzrok – za

mało tlenu – ale udało mu się zrozumieć, że to świństwo, którym został potraktowany, zaczyna się ulatniać. Usiłował się poruszyć i udało mu się, ale bez większej gracji, rzucał się jak ryba wyrzucona na brzeg.

Przewrócił się na bok; teraz mógł zginać mięśnie karku, piersi i brzucha, dzięki czemu zdołał wydusić z płuc powietrze skondensowane jak syrop. Zyskał nieco więcej swobody, ale nie dość. Gdyby papier mógł się stać dźwiękiem, brzmiałby jak jego oddech, cieńszy od każdego włosa, subtelniejszy od drobinki kurzu.

Musiał wstać. Nie mógł.

Musiał skorzystać z inhalatora. Nie miał go.

Świat stał się szkarłatny, za to on pewnie był siny. Był to jeden z najgorszych ataków, gorszy niż kiedykolwiek, uprawniający go do wizyty na pogotowiu, do kontaktu z lekarzami i pielęgniarkami, którzy w kółko gadają tylko o filmach Manheima.

Powietrza. Powietrza. Można wydać trzydzieści pięć tysięcy dolarów na przemeblowanie pokoju, lecz powietrza się nie kupi.

Śmieszne, co mu zaczęło chodzić po głowie. Może nie tak śmieszne, żeby się od razu śmiać. To były raczej dziwne myśli. Czerwone. Tak ciemnoczerwone, że na krawędziach zaczęły się robić zupełnie czarne.

*

Corky, wyzbyty potrzeby nauczania teorii dekonstrukcjonizmu, lecz mający ochotę dekonstruować wszystko, co mu stanie na drodze, z furją wytrzeszczył oczy i rzucił się z zębami i pazurami na człowieka leżącego pod nim.

Zacisnąwszy szczęki, zorientował się, że Truman jest oszołomiony po uderzeniu głową w chodnik, że nie walczy tak

gwałtownie, jak można się było spodziewać. Ogarnięty szalem Corky z trudem pojmował, że jeśli podda się zwierzęcej potrzebie wykończenia przeciwnika zębami i pazurami, coś w nim pęknie, jakaś ostatnia bariera, i za parę godzin znajdą go nad zmasakrowaną ofiarą, ryjącego w krwawych szczątkach jak świnia poszukująca trufli.

Jako Robin Goodfellow tak naprawdę nie przeszedł treningu, który uczynił go żywą bronią, za to jako czytelnik wielu powieści kryminalnych wiedział, że mocny cios dłonią w nos wroga może złamać kość i wbić jej odłamki w mózg, powodując natychmiastową śmierć. Zrobił tak i krzyknął ze szczęścia, widząc jaskrawy rozbryzg krwi Trumana.

Stoczył się z bezwładnego gliniarza, wstał, wrócił do buicka i zaczął szukać chłopca. Pochylił się przy drzwiach, by zajrzeć do środka, ale Fric najwyraźniej wypadł przez otwarte drzwi.

Środek paralizujący jeszcze nie przestał działać. Smarkacz nie mógł uciec daleko.

Corky wyprostował się i tuż przed sobą ujrzał broń na dachu buicka.

Deszcz lśnił na żłobieniach rękojeści niczym brylanty.

Broń Trumana.

Znaleźć chłopca. Postrzelić go, ale tylko w nogę. Tak żeby nigdzie nie mógł odpełznąć. Potem pobiec do garażu po kolejne kluczyki, kolejny samochód.

Nadal mógł realizować swój plan, ponieważ chaos był jego ojcem, tak samo jak ojcem Frica był największy gwiazdor świata, z tą różnicą, że chaos nie zawiódłby własnego dziecka tak, jak gwiazdor zawiódł swoje.

Obszedł samochód i zobaczył leżącego na boku chłopca, zapierającego się piętami w rozmokły grunt, czołgającego się jak

okaleczony krab.

Ruszył w jego stronę.

Fric poruszał się w najdziwniejszy z możliwych sposobów, wydając cienkie świszczące dźwięki, jak zepsuta nadmuchiwana zabawka. Zdołał się odczołgać na trawnik, jakby chciał dotrzeć do kamiennej ławeczki, z pozoru zabytkowej.

Corky ruszył ku niemu, unosząc pistolet do strzału.

*

Niestrudzony William Yorn obserwował każde drzewo i krzew, wypatrując chorób, i na pierwsze oznaki pleśni, rdzy czy szkodników spryskiwał swoich podopiecznych lekarstwem. Jednak czasem zdarzało się, że rośliny nie można było uratować i należało kupić następną.

Większe drzewa zastępowano takim samym okazem w największym dostępnym rozmiarze. Nową ślicznotkę przywożono ciężarówką, a następnie osadzano na miejscu za pomocą wynajętego dźwigu albo też specjalnego roboczego helikoptera o podwójnych wirnikach.

Mniejsze okazy sadzono mniej militarnymi metodami, a w przypadku najmniejszych drzewek wystarczała ciężka praca fizyczna. Niekiedy drzewo było tak małe, że przez parę lat potrzebowało chroniącej je przed wiatrem podpórki.

Choć niektórzy specjaliści z tej dziedziny nadal korzystają w tym celu z drewnianych tyczek, Yorn preferował metalowe pręty dwu- i trzymetrowe, gdyż były odporne na gnicie, zapewniały mocniejszą podporę i można ich było używać wiele razy.

Ethan wyszarpnął z ziemi jedną z tych dwumetrowych tyczek, rozdarł łączące ją z drzewkiem rozciągliwe plastikowe opaski i rzucił

się za tym oszalałym draniem w kombinezonie. Trzasnął go w głowę z całej siły i powalił na ziemię.

Porywacz odruchowo strzelił. Kula odbiła się od granitowej ławeczki i świsnęła w deszcz i ciemność.

Bydlak przewrócił się na plecy. Powinien umrzeć albo chociaż stracić przytomność, tymczasem wyglądał tylko na oszołomionego. Nadal trzymał broń. Ethan spadł na niego, kolanami przygważdżając go do ziemi. Przy odrobinie szczęścia powinien mu połamać żebra i zrobić ze śledziona marmoladę. Wczepił się palcami w jego rękę, przechwycił pistolet, szarpnął go i z przerażeniem zobaczył, że broń szybuje w powietrzu i pada poza jego zasięgiem.

Bydlak, choć w głowie musiały mu dzwonić dzwony Notre Dame, chwycił Ethana za włosy, boleśnie pociągnął, usiłował przyciągnąć jego twarz ku obnażonym, kłapiącym zębom.

Ethan chwycił go prawą ręką za gardło, a potem uderzył pięścią, trafiając kostkami w oko, uderzył jeszcze raz, choć jego włosy nadal tkwiły w tych żelaznych palcach, które wydzierały je z cebulkami. Namacał wokół szyi gruby łańcuszek, chwycił go, wykręcił, i uderzył drugą ręką, wykręcał i bił, bił i wykręcał, aż zaboląła go lewa ręka, a tandetna błyskotka, otarłszy mu palce do krwi, wreszcie się przerwała.

Zęby przestały kłapać. Oczy wpatrzyły się w coś poza Ethanem, poza najdalszą dalą. Bezwładne palce puściły jego włosy.

Ethan wstał, dysząc, i spojrzał na łańcuszek w ręce. Wisiorek. Szklana kulka, w której unosiło się wpatrzone w niego oko.

*

Moloch wyglądał jak martwy, ale przedtem też tak wyglądał. Fric obserwował bójkę pod kątem spotykanym głównie w filmach artystycznych i przez szkarłatną mgiełkę, zastanawiając się,

dlaczego operator postanowił sfilmować scenę akcji z użyciem zniekształcającego obiektywu i czerwonego filtra.

Zastanawiał się nad tym jakby przez sen, jakby śniły mu się jednocześnie dwa koszmary, jeden o dwóch mężczyznach walczących na śmierć i życie, drugi o dusznościach. Znowu znalazł się w dusicielatorium – rzeżąc jak stary górnik z pylicą, taki jak w tym filmie, z którego Ojciec Duch na szczęście zrezygnował – a matka pierwszego właściciela Palazzo Rospo dusiła go futrem.

Pan Truman podniósł go i zaniósł na ławkę. Pan Truman wie, że w czasie ataku Fric musi siedzieć, by lepiej pracowały mięśnie karku, piersi i brzucha. Pan Truman wie, co robić.

Pan Truman posadził go wygodnie. Przytrzymał go, żeby się nie zsunął. Zaczął szukać inhalatora.

Pan Truman bluznął strumieniem wulgarnych i obscenicznych słów, które Fric nieraz słyszał z ust hollywoodzkiej elity, ale nigdy od niego.

Wszystko zrobiło się bardziej czerwone i ciemniejsze, prawie czarne. Tak niewiele powietrza przedostawało się przez te norki, sobole, lisy czy jeszcze co innego.

*

Ethan oddychał przez usta, ponieważ nos miał spuchnięty i pełen skrzepów. Nie widział, czy zostało mu dość sił, by zanieść chłopca biegiem do domu, aż do gabinetu pani McBee, gdzie znajdowały się zapasowe inhalatory.

Kula musnęła jego lewe ucho i choć rana była powierzchowna, krew lała się mu strumieniami w trąbkę Eustachiusza i gardło, ogłuszając go i prowokując spazmatyczny kaszel.

Po zastanowieniu zdał sobie sprawę, że to nie jest zwykły atak

astmy, lecz coś zagrażającego życiu chłopca. Porwał go z ławki, odwrócił się w stronę domu – i stanął przed Dunny.

– Usiądź – powiedział Dunny.

– Z drogi, na miłość boską!

– Nic mu nie będzie. Usiądź, Ethan.

– Jest chory, jeszcze nigdy go nie widziałem w takim stanie. – Ethan usłyszał w swoim zachrypniętym głosie uczucie głębsze i szlachetniejsze od strachu i gniewu: żywą, obnażoną miłość do innej istoty ludzkiej. Nie spodziewał się, że jest do niej zdolny. – Tym razem nie ma siły walczyć.

– To działanie sprayu, ale już ustępuje.

– Sprayu? Jakiego sprayu?

Dunny Whistler położył rękę na ramieniu Ethana i z siłą niedostępną zwykłym śmiertelnikom skierował go na moką ławkę ogrodową.

Stanął nad nimi blady i nieco wynędzniały, choć w eleganckim garniturze. Nie wyróżniał się niczym szczególnym, a jednak potrafił wchodzić w lustra, zmieniać się w papugi i gołębie, znikać w bombkach na choince.

Ethan zauważył, że pomimo deszczu garnitur jego przyjaciela pozostaje suchy, podobnie jak sam Dunny. I choć zaczął wyteżać wzrok, nie potrafił dostrzec, co się dzieje z kropelkami, które nie trafiały na twarz i garnitur Dunny'ego, nie mógł odgadnąć, na czym polega ten trik.

Dunny położył rękę na głowie Frica; w tej samej chwili uwięzione powietrze uciekło ze świstem z piersi chłopca. Fric zadygotał w ramionach Ethana, odchylił głowę i odetchnął, wciągnął chłodne powietrze, wypuścił je z płuc bez astmatycznego rżenia.

Ethan spojrział na Dunny'ego – wychudzonego w śpiączce,

bladego, martwego Dunny'ego – zdumiony nie mniej niż wtedy, kiedy znalazł się, zmartwychwstały, pod drzwiami kwiaciarni.

– Co to... jak... ?

– Wierzysz w anioły?

– W anioły?

– Ostatniej nocy mojego życia, kiedy umierałem w śpiączce, odwiedził mnie pewien gość. Duch, który każe się nazywać Tyfonem.

Ethan pomyślał o doktorze O'Brienie ze szpitala Matki Boskiej od Aniołów. O zarejestrowanym na DVD wykresie fal mózgowych Dunny'ego. O niewytłumaczonych falach beta, charakterystycznych dla przytomnej i poruszonej osoby, które pojawiły się na ekranie, gdy Dunny leżał w głębokiej śpiączce.

– W ostatnich godzinach mojego życia – ciągnął Dunny – Tyfon ukazał mi los mojego najlepszego przyjaciela. Czyli ciebie. Pomimo tych wszystkich straconych lat, mimo tego, co zepsułem, nadal jesteś moim najlepszym przyjacielem. I mężem Hannah. Tyfon pokazał mi, jak i kiedy zamorduje cię Rolf Reynerd, w tym czarno-białym pokoju z ptakami, i tak się przestraszyłem... zacząłem cię oplakiwać.

W paru miejscach na wykresie pojawiły się dziko wzburzone linie. Doktor O'Brien twierdził, że tak wyglądają fale mózgowie kogoś przerażonego. Dalsze sekwencje fal oznaczały rozmowę.

– Dostałem propozycję... szansę... bycia twoim aniołem stróżem przez dwa dni. Dzięki mocy, jakami przydzielono na czas tej krótkiej misji, mogłem odwracać bieg czasu.

Kiedy ktoś mówi ci, że potrafi cofać czas, a ty mu od razu wierzysz, a także godzisz się bez większego zdziwienia z tym, że deszcz się go nie ima, oznacza to, że zmieniłeś się na zawsze – i prawdopodobnie na lepsze, choć czujesz się, jakby ziemia usunęła ci się spod stóp, jakbyś wpadł w króliczą norę głębszą i dziwniejszą niż

ta Alicji.

– Postanowiłem, że doświadczysz swojej śmierci w mieszkaniu Reynerda, swojego przeznaczenia, po czym cofnę cię do momentu tuż przed tym wydarzeniem. Chciałem cię wystraszyć jak cholera, żebyś nabrał rozpędu przed tym pieprzonym losem, który cię czekał, i żebyś mógł pomóc chłopcu.

Dunny uśmiecha się do Frica i unosi brew, jakby sugerował, że wie, co chłopiec chce powiedzieć.

Fric, słaby na ciele, lecz już nie na umyśle, wyjaśnia Ethanowi:

– Pewnie dziwi się pan, że aniołom wolno używać takich słów. Ja też byłem zdziwiony. Ale ostatecznie słowo „pieprzony” jest w słowniku.

Ethan przypomniał sobie chwilę w bibliotece, kiedy Fric usłyszał, że wszyscy go lubią. Poruszony, niedowierzający, pokorny, nie mógł znaleźć odpowiednich słów.

Na choince za jego plecami anioły obracały się, kiwały głowami i tańczyły, choć nie było przeciągu. Wtedy Ethan poczuł dziwne uniesienie, jakby przeczuwał, że w jego sercu uchylą się drzwi do zrozumienia. Wówczas to się nie wydarzyło, ale teraz stały otworem.

*

Dunny patrzy na swojego przyjaciela z chłopcem na kolanach i widzi, że chłopiec trzyma się go z całych sił, ale widzi też znacznie więcej niż ich zdumienie na widok jego nadprzyrodzonej obecności i ulgę, że przeżyli. Widzi przybranego ojca i syna, którego nieoficjalnie adoptuje, widzi ich dwóch, których z rozpaczony ratuje oddanie sobie nawzajem, widzi czekające ich lata, pełne radości zrodzonej z nieegoistycznej miłości, ale także ze smutków, które tylko miłość potrafi uleczyć. I wie, że właśnie zrobił coś najszlachetniejszego w

życiu – czy raczej po życiu.

– Ten cruiser, ciężarówka... – mówi Ethan.

– Umarłeś po raz drugi – przyznaje Dunny – bo los pragnie, by szablon przeznaczenia został zachowany. Śmierć w mieszkaniu Reynerda była wynikiem twoich działań, wyborów, które podjąłeś z własnej woli. Cofając czas, zniekształciłem twoje przeznaczenie. Nie musisz tego rozumieć. Nie możesz. Tylko wiedz, że teraz... los nie będzie już dążył do zrealizowania tamtego starego schematu. Swoimi decyzjami i działaniem stworzyłeś sobie nowe przeznaczenie.

– Te dzwoneczki – pyta Ethan. – Te wszystkie manewry z nimi...
?

Dunny uśmiecha się do Frica.

– Jakie są zasady? Jak musimy postępować my, anioły?

– Pośrednio. Zachęcać, inspirować, przerażać, nakłaniać, doradzać.

– Widzisz, znowu wiesz o czymś, o czym inni nie mają pojęcia – mówi Dunny. – To chyba nawet ważniejsze od świadomości, że cybet wyciska się do buteleczek perfum z przyrodbytnicznych gruczołów cywet.

Uśmiech chłopca zaćmiłby wszystkie minki jego matki modelki; jest w nim wewnętrzne światło, którego nie muszą rozniecać duchowi doradcy.

– Ci ludzie, którzy... którzy wstali z chodnika i rzucili się na samochód... – ciągnie Ethan, nie mogąc się otrząsnąć ze zdumienia.

– To wizje ofiar Molocha, które wyczarowałem z wody, żeby go przestraszyć – wyjaśnia Dunny.

– Cholera, tego nie widziałem! – martwi się Fric.

– Co więcej, my anioły nie ubieramy się w białe koszule i nie fruujemy tak, jak na filmach. Jak podróżujemy, Fric?

Chłopiec zaczyna poprawnie, ale potem się waha:

– Przez lustra, mgły, dym, drzwi...

– Drzwi w wodzie, korytarze cieni, po promieniach księżyca – pomaga mu Dunny.

Fric odnajduje wątek.

– Po marzeniach, nadziejach i oczekiwaniach.

– Chciałbyś zobaczyć ostatni pokaz prawdziwego anielskiego lotu?

– Super!

– Zaczekaj – prosi Ethan.

– Nie mogę czekać – odpowiada Dunny, który właśnie otrzymał wezwanie. – Tu moje sprawy skończyły się na zawsze.

– Mój przyjacielu – mówi Ethan.

Wdzięczny za te dwa słowa, niewypowiedziane wdzięczny Dunny przemienia swoje ciało – dzięki mocy otrzymanej w kontrakcie – w setki świetliste złotych motyli, które wdzięcznie unoszą się w powietrze i jeden po drugim, w trzepocie skrzydełek, wsiąkają w noc, niknąc ze śmiertelnych oczu.

95

Kiedy w odpowiedzi na wezwanie Dunny materializuje się na drugim piętrze wielkiego domu, Tyfon wyłania się z podwójnych drzwi apartamentów Channinga Manheima w północnym korytarzu. Kręci głową z niedowierzaniem.

– Drogi chłopcze, czy zwiedziłeś te pokoje?

– Nie.

– Nawet ja nie miałam dostępu do takiego luksusu. Mieszkam głównie w hotelach, a nawet najwspanialsze z nich nie gwarantują takich apartamentów.

Na zewnątrz słychać wycie syren.

– Hazard Yancy wezwał pomoc odrobinę za późno, ale z całą pewnością zostanie ona przyjęta z wdzięcznością.

Razem idą w stronę głównej windy, która otwiera się na ich powitanie.

Tyfon, jak zwykle uprzejmy, daje Dunny'emu znak, by wsiadł pierwszy. Drzwi zamykają się i winda zaczyna zjeżdżać.

– Wspaniała robota. Naprawdę, doskonała – mówi Tyfon. – Zapewne osiągnąłeś to, o co ci chodziło i nawet więcej.

– O wiele więcej – odpowiada Dunny, ponieważ Tyfonowi należy mówić tylko prawdę.

– Musisz przyznać – ciągnie Tyfon z wesołym błyskiem w oczach – że dotrzymałem wszystkich warunków naszej umowy, a nawet potraktowałem je z dużą elastycznością.

– Jestem głęboko wdzięczny, że dał mi pan szansę.

Tyfon klepie go serdecznie po ramieniu.

– Przez parę lat myśleliśmy, że cię straciliśmy.

– To niemożliwe.

– Och, bardziej realne, niż sądzisz – zapewnia go Tyfon. – Prawie postawiliśmy na tobie krzyżyk. Cieszę się, że tak się skończyło.

Jeszcze raz klepie go po ramieniu i ciało Dunny'ego pada na podłogę windy, ale jego duch stoi dalej w garniturze i krawacie, taki sam jak zwłoki u jego stóp, choć o wiele bardziej zwiewny.

Po chwili ciało znika.

– Jak to? – dziwi się Dunny.

– W kostnicy szpitala – mówi Tyfon z przyjemnym chichotem rozbawienia – parę osób bardzo się zdziwi. Stracili nagiego nieboszczyka, a znajdują go dobrze ubranego, z pieniędzmi w kieszeniach.

Winda zjeżdża na parter. Poniżej czekają garaże.

– Drogi chłopcze, boisz się? – pyta Tyfon z charakterystyczną dla siebie nutką słodkiej troski.

– Tak.

Dunny boi się, ale nie jest przerażony. W tej chwili w jego nieśmiertelnym sercu nie ma miejsca na strach.

Kilka minut temu, kiedy patrzył na Ethana z chłopcem, widział łączącą ich miłość i przyszłość, ojca i syna pod każdym względem z wyjątkiem nazwiska, poczuł żal tak przeszywający jak nigdy w życiu. Tamtej nocy, kiedy umarła Hannah, żal omal go nie pokonał, żal nie tylko za nią, nie tylko z powodu jej utraty, ale z powodu tego, co zrobił ze swoim życiem. Smutek go zmienił, ale niewystarczająco, ponieważ nie przeprowadził go przez próg.

Teraz uczucie, które go przenika, nie jest jedynie dotkliwszym żalem, lecz także skruchą tak ogromną, że rozrywa go na strzępy, a wyrzuty sumienia miażdżą jego ulotne ciało. Dunny drży, trzęsie się, dygocze, po raz pierwszy w pełni zrozumiałwszy ohydny wpływ, jaki jego zbląkane życie miało na innych.

Pamięć podsuwa mu twarze mężczyzn, których złamał, kobiet, które traktował z okrucieństwem, dzieci, które przez niego znalazły drogę do narkotyków, zbrodni i ruiny, i choć twarze te są boleśnie znajome, widzi je jakby po raz pierwszy, bo w każdej dostrzega – czego wcześniej nie potrafił – dobrego człowieka mogącego mieć nadzieję i marzenia. Przez całe życie ci ludzie byli dla niego tylko narzędziami, dzięki którym zaspokajał swoje potrzeby i żądze. Wydawało mu się, że po śmierci Hannah dokonała się w nim fundamentalna zmiana, ale to było tylko sentymentalne rozpaczanie nad sobą. Tak, poznał smutek i nawet w pewnym stopniu skruchę, ale nie taką, która niesie wraz z sobą wstrząsającą pokorę.

– Drogi chłopcze, rozumiem, przez co przechodzisz – mówi Tyfon, gdy winda mija poziom górnego garażu. Chodzi mu o przerażenie, które według niego właśnie przeszywa Dunny'ego, ale dla Dunny'ego przerażenie jest najmniejszym z problemów.

Skrucha to także nieodpowiednie słowo, bo ma ona tak niszczące rozmiary, niesie ze sobą tak miażdżący smutek i ból, że Dunny nie zna określenia na takie uczucie. Błaga o przebaczenie te nawiedzające go twarze, żebrze z nieznaną dotąd pokorą, krzyczy, choć już nie żyje i nie może im wynagrodzić krzywd, choć wiele tych osób zmarło przed nim I nie słyszy jego rozpaczliwych prób odczynienia przeszłości.

Winda minęła dwa podziemne poziomy i zjeżdża dalej. Nie jest to już winda, tylko jej idea, bardzo dziwna. Jej ściany lśnią pleśnią, brudem. Powietrze cuchnie. Podłoga wygląda jak... z leżących przy sobie kości.

Dunny zauważa także zmiany w twarzy Tyfona; słodkie

androgyniczne rysy i wesołe oczy ustępują miejsca czemuś, co lepiej oddaje charakter tej dobrotliwej postaci. Dunny obserwuje go jedynie kątem oka, ponieważ nie chce patrzeć otwarcie. Brak mu odwagi.

Zjeżdżają w dół, poziom za poziomem, choć na tablicy widnieje tylko pięć guzików.

– Nabieram apetytu – informuje go Tyfon. – O ile sobie przypominam, a pamięć mi dopisuje, jeszcze nigdy nie byłem tak głodny. Jestem diabelnie wygłodzony.

Dunny stara się nie myśleć, co by to mogło oznaczać. Zresztą już go to nie obchodzi.

– Zasłużyłem sobie na to – mówi, ponieważ przed jego oczami nadal przesuwiają się legiony twarzy.

– Już niedługo – obiecuje Tyfon.

Dunny stoi z pochyloną głową, spogląda w podłogę, w którą wsiąkło jego ciało, gotowy na przyjęcie czekającego go cierpienia, jeśli położy ono kres temu nieznośnemu żalowi, tym szarpiącym wyrzutom sumienia.

– To będzie straszne – odzywa się Tyfon – ale pewnie byłoby równie ile, gdybyś odrzucił moją ofertę i postanowił czekać w czyścicu przez tysiące lat. Nie byłeś gotowy na wejście w światło. Dzięki tej słodkiej propozycji, którą ci przedstawiłem, oszczędziłeś sobie strasznej nudy.

Winda zwalnia, staje, wydając melodyjne „ping”, jakby za drzwiami miał się ukazać zwyczajny biurowy korytarz.

Drzwi się rozsuwają i ktoś wchodzi, ale Dunny nie podnosi głowy. Już zaczął się bać, choć przerażenie jeszcze nie opanowało go do reszty.

Na widok wsiadającej osoby Tyfon z nieludzką wściekłością wybucha strumieniem przekleństw, głosem, w którym nie brzmi już

dawne poczucie humoru czy wdzięk. Staje przed Dunny'm i mówi z palącą pogardą:

– Zawarliśmy umowę. Sprzedałeś mi swoją duszę, chłopcze, a ja dałem ci więcej, niż prosiłeś.

Dzięki posiadanej potężnej mocy skłania Dunny'ego, by na niego spojrział.

Twarz.

O, ta twarz. Twarz z tysiąca skoncentrowanych koszmarów. Twarz, jakiej żaden śmiertelnik nie zdołałby sobie wyobrazić. Gdyby Dunny jeszcze żył, widok tej twarzy by go zabił.

– Chciałeś uratować Trumana i uratowałeś – wypomina mu Tyfon głosem z każdym słowem bardziej chrapliwym i pełnym nienawiści. – Anioł stróż? Prędeż anioł ciemności. Prosiłeś tylko o Trumana, a ja dałem ci smarkacza i Yancy'ego. Jesteś jak te hollywoodzkie wielkie fisze, jak ci politycy i ich opiekunowie, których schwytałem w San Francisco. Wszystkim wam się wydaje, że zdołacie się wykręcić od umowy, ale i tak w końcu wszyscy płacicie. Tu się dotrzymuje umów!

– Wyjdź – mówi nowo przybyła osoba.

Dunny nie patrzy na nią. Jeśli istnieją gorsze widoki niż ten, który teraz przedstawia Tyfon – a z pewnością czeka go ich nieskończona kolekcja – będzie na nie patrzył tylko zmuszony, tak jak przed chwilą na Tyfona.

– Wyjdź – powtarza głos z większym naciskiem.

Tyfon wychodzi z windy. Dunny rusza za nim na spotkanie przeznaczenia, na które zasłużył i z którym się pogodził, ale drzwi zatraskują mu się przed nosem. Znajduje się w windzie sam na sam z nowo przybyłą osobą.

Winda znowu rusza. Dunny zaczyna dygotać, zdawszy sobie sprawę, że być może istnieje otchłań jeszcze głębsza niż ta, w której

zniknął Tyfon.

– Rozumiem, przez co przechodzisz – mówi jego towarzyszka, dokładnie powtarzając słowa Tyfona.

Początkowo nie poznał jej głosu. Teraz już wie. Wie, że to jakaś sztuczka, trik, tortura. Dlatego nie podnosi głowy.

– Masz rację. Słowo „skrucha” nie opisuje tego uczucia, które cię ogarnęło, od którego twoja dusza płacze. Nie pasuje do niego „żał”, „żałoba” ani „rozpacz”. Ale mylisz się, sądząc, że nie znasz tego słowa, Dunny. Już je poznałeś i nie zapomniałeś o nim, choć do tej chwili było to uczucie ci niedostępne.

Dunny kocha ten głos tak bardzo, że nie może dłużej odwracać wzroku od tej, która do niego przemawia. Przygotowany na odkrycie, że ten łagodny głos wypowiada istota straszniejsza od Tyfona, podnosi oczy i odnajduje Hannah równie piękną jak za życia.

Zaraz potem czeka go następne zdziwienie: źle rozpoznał kierunek ruchu windy. Nie spadają w otchłań czarniejszą od czerni. Wznoszą się.

Na ścianach nie ma już pleśni i brudu. Powietrze nie cuchnie.

– Jak to możliwe? – pyta Dunny, nie odważając się mieć nadziei.

– Słowa są całym światem, Dunny. Mają znaczenie, a dzięki nim – moc. Kiedy otwierasz serce na smutek – mówi Hannah – kiedy uczysz się głębokiej skruchy, po tym wszystkim czeka cię żal za grzechy, czyli to, co teraz czujesz. To określenie ma wielką moc. Kiedy masz te słowa w sercu, nigdy nie jest za późno, nie ma wiecznej ciemności, nie ma głupich umów, które mogłyby obowiązywać człowieka tak odmienionego.

Uśmiecha się. Jej uśmiech promienieje światłem.

Twarz.

Jej twarz jest śliczna, ale za nią Dunny dostrzega inną Twarz, tak jak za twarzą Tyfona, choć ta wizja nie jest wydestylowanym ekstraktem wszystkich koszmarów. To wydaje się niemożliwe, ale twarz – Twarz – która wyziera zza Hannah, jest jeszcze piękniejsza, jest źródłem jej blasku, tak oszałamiająco pięknego, że zaparłby mu dech w piersiach – gdyby nie odebrano mu ciała.

Ta nieskończenie piękna i niepojęta Twarz jest także Twarzą Łaski, której Dunny nawet teraz, w tym uszlachetnionym stanie, nie potrafi pojąć w pełni, lecz za którą jest wdzięczny w sposób niedający się wyrazić słowami.

A jednak czeka go następne zdumienie: w wyrazie oczu Hannah widzi dowód na to, że i ona rozpoznaje w nim tę samą promienną, zdumiewającą Twarz, że widzi go tak samo świetlistego jak on ją.

– Życie to długa droga, Dunny, nawet kiedy szybko się kończy. Długa i często trudna. Ale to masz już za sobą. – Uśmiecha się. – Teraz się przygotuj na następną, lepszą podróż. Kurczę, człowieku, teraz się dopiero zaczniesz!

Ping!

Ethan i Fric stali koło siebie w oknie salonu na piętrze, zwanym zielonym pokojem z przyczyn jasnych dla wszystkich z wyjątkiem daltonistów.

Ming du Lac uważał, że w domu tych rozmiarów nie może panować duchowa harmonia, jeśli jeden pokój nie zostanie urządzony wyłącznie we wszystkich odcieniach zieleni. Konsultant *feng shui* zgodził się z tym punktem widzenia, być może opierając się na własnej filozofii albo, co bardziej prawdopodobne, na świadomości, że lepiej nie irytować Minga.

Dlatego na ścianach, tapicerce, podłodze i elementach drewnianych znalazły się wszystkie odcienie zieleni, jakie Ming ujrzał we snach. Aż trudno się nie zastanawiać, co ten człowiek jada przed snem.

Pani McBee nazywała ten pokój „makabrycznym żabim stawem”, choć nigdy w obecności Minga.

Za oknem natura zapewniła kompozycję ładniejszych tonacji zieleni, a nad nimi rozpinając się olśniewająco błękitne niebo, na którym nie zostało nawet wspomnienie po deszczu.

Z miejsca, gdzie stali, widzieli bramę i zgromadzony za nią tłum dziennikarzy. Słońce lśniło na maskach samochodów osobowych, furgonetek i większych ciężarówek telewizyjnych z talerzami satelitarnymi na dachach.

- Będzie cyrk – odezwał się Fric.
- Będzie wesołe miasteczko – zgodził się Ethan.
- Będzie beczka śmiechu.
- Będzie draka.

- Będzie Halloween w Wigilię – powiedział Fric – kiedy zobaczymy, w jaki sposób nas opisali w dzienniku.

- To nie oglądajmy dziennika – zaproponował Ethan. – Do diabła z dziennikiem. Zresztą i tak szybko o nas zapomną.

- Czarno to widzę. Jeszcze przez wiele tygodni wszędzie będzie masa artykułów o małym księciu z Hollywood i wariacie, który prawie go porwał.

- Zatem uważasz się za małego księcia z Hollywood?

Fric skrzywił się z niechęcią.

- Tak mnie nazwą. Już to słyszę. Nie będę się mógł pokazać publicznie do pięćdziesiątki, a nawet wtedy będą mnie szczytać w policzki i mówić, że się o mnie strasznie martwili.

- No, nie wiem. Myślę, że przeceniasz swoją atrakcyjność dla społeczeństwa.

Fric ośmielił się mieć trochę nadziei.

- Tak pan myśli?

- Pewnie. Przecież nie chcesz iść w ślady rodziców.

- Prędzej zgodziłbym się jeść robaki.

- Nie grasz w filmach twojego taty. Nie śpiewasz, nie tańczysz. Nikogo nie parodiujesz, prawda?

- Nie.

- Potrafisz żonglować albo kręcić jednocześnie dwunastoma talerzami na dwunastu bambusowych tyczkach?

- Jednocześnie? Nie.

- Sztuczki magiczne?

- Nie.

- Brzuchomówstwo?

- Raczej nie.

- Widzisz, już się znudziłem. Wiesz, co ich tak ciekawi w tej historii, tylko nie zdają sobie z tego sprawy?

- Co?

- Sterowiec.

- Sterowiec – zgodził się Fric – jest super.

- Bez urazy, ale w twoim wieku, bez doświadczenia... Wybacz, ale w Bel Air nie możesz konkurować ze sterowcem.

Brama zaczęła się otwierać.

- Już jada – powiedział Fric, kiedy pierwsza czarna limuzyna wtoczyła się na podjazd. – Myśli pan, że wyjdzie i da się sfotografować?

- Prosiłem, żeby tego nie robił. Nie mamy tylu ludzi, żeby opanować taki tłum, a zresztą ten tłum nie lubi być opanowywany.

- Wyjdzie – przewidział Fric. – Stawiam milion dolarów przeciwko gorze krowich placków. W której limuzynie siedzi?

- Numer pięć albo siedem.

Druga limuzyna wpłynęła na teren posiadłości.

- Przywiezie nową dziewczynę – zmartwił się Fric.

- Jakoś się z nią dogadasz.

- Może.

- Masz doskonały przyrząd do przełamywania lodów.

- Czyli?

- Sterowiec.

Fric poweselał.

- Aha.

Pojawiła się trzecia limuzyna.

– Tylko pamiętaj, jak się umówiliśmy. Nikomu nie opowiemy o... co dziwniejszych momentach tej historii.

– No pewnie, że nie. Nie chcę do wariatkowa.

Czwarta limuzyna minęła bramę, lecz piąta zatrzymała się przed nią. Z tej odległości Ethan nie widział bez lornetki, czy Channing Manheim wysiadł, by zaprezentować się kamerom, ale uznał z całą pewnością, że jest winien Fricowi górę krowich placków.

– Nie wygląda mi to na Wigilię – powiedział cicho Fric.

– To się zmieni – obiecał Ethan.

*

W bożonarodzeniowy poranek Ethan jeszcze raz przesłuchał pięćdziesiąt sześć wiadomości, które nagrały się na sekretarkę linii 24.

Zanim Manheim i Ming du Lac wrócili do Palazzo Rospo, Ethan wgrał oczyszczone nagrania na CD. Następnie usunął je z komputera w białym pokoju i z rejestru połączeń. Tylko on wiedział, że je nagrano.

Te wiadomości należały jedynie do niego i do nikogo innego. Wiadomość z serca do serca, przesłana przez wieczność.

W niektórych Hannah podsuwała mu rozwiązania wszystkich elementów zagadki wariata. W innych tylko powtarzała jego imię, czasami z tęsknotą, czasem z łagodnym uczuciem.

Nagranie 31. przesłuchał wielokrotnie. Tu powiedziała mu, że go kocha. Kiedy jej słuchał, tych pięć lat przestawało istnieć, a rak i śmierć traciły znaczenie.

Telefon zadzwonił w chwili, gdy otwierał pudełko ciasteczek od

pani McBee.

*

W Boże Narodzenie Fric zawsze nastawiał budzik wcześniej nie dlatego, że spieszył się sprawdzić, co leży pod choinką, lecz dlatego że chciał otworzyć te głupie prezenty i mieć to za sobą.

Przecież wiedział, co jest pod tym kolorowym papierem: wszystko z listy, którą musiał przedłożyć pani McBee do piątego grudnia. Nigdy mu niczego nie odmówiono, a kiedy się ograniczał, nalegano, by rozszerzył listę tak, by liczyła co najmniej tyle pozycji co zeszłoroczna. Pod choinką w salonie czeka góra fantastycznych przedmiotów i żadnej niespodzianki.

Ale tego świątecznego poranka powitał go niezwykle widok. W nocy ktoś wszedł do jego pokoju i zostawił koło budzika prezent.

Białe pudełeczko z białą kokardką.

Było mniejsze od wizytówki, bez podpisu, lecz z tekstem:

To czary. Jeśli nie mrugnie, będziesz mieć wspaniałe przygody. Jeśli nie uroni łzy, będziesz żyć długo i szczęśliwie. Jeśli nie zaśnie, wyrośniesz na człowieka, którym chcesz być.

Ta wiadomość była tak zdumiewająca, tak tajemnicza i bogata w możliwości, że Fric odczytał ją parę razy, zastanawiając się na jej znaczeniem.

Zawahał się przed otwarciem białego pudełka, bo nie wierzył, żeby jego zawartość mogła dorównać ukrytej w słowach obietnicy.

Wreszcie zdarł lśniący biały papier, uniósł wieczko, rozchylił bibułkę i przekonał się, że zawartość w pełni dorównuje słowom.

Na złotym łańcuszku wisiała szklana kulka, a w kulce unosiło się oko! Fric jeszcze nigdy w życiu nie widział nic podobnego i był pewien, że nigdy czegoś takiego nie zobaczy. Może to pamiątka z

zaginionej Atlantydy, wisiołek czarodzieja albo ochronny amulet któregoś z rycerzy Okrągłego Stołu, walczących o sprawiedliwość pod opieką Merlina?

Jeśli nie mrugnie, będziesz mieć wspaniałe przygody.

Nie mrugnie, nigdy, bo oko nie miało powieki.

Jeśli nie uroni łzy, będziesz Żyć długo i szczęśliwie.

Nie uroni, nie uroni ani jednej aż do końca świata, bo to oko nie może płakać.

Jeśli nie zaśnie, wyrośniesz na człowieka, którym chcesz być.

Nie zaśnie, nawet się nie zdrzemnie, bo zawsze będzie szeroko otwarte, pełne magicznych znaczeń.

Fric przyjrzał się wisiorkowi przy świetle słonecznym, świetle nocnej lampki i przy świetle latarki w szafie.

Zbadał go przez silne szkło powiększające, a potem w zestawionych ze sobą lusterkach.

Włożył je do kieszeni piżamy i poczuł, że oko widzi wszystko.

Zamknął je w prawej ręce i poczuł jego mądre spojrzenie na opuszkach stulonych palców. Zrozumiał, że jeśli zachowa czyste serce, a myśli poświęci obronie dobra, tak jak to mają w zwyczaju wszyscy rycerze, pewnego dnia to oko pokaże mu przyszłość, jeśli o to je poprosi, i zaprowadzi go na ścieżkę wiodącą do Camelotu.

Wymyślił tysiąc rzeczy, które mógłby powiedzieć, i odrzucił dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć z nich. Odłożył wisiołek do pudełka i nie odrywając spojrzenia od pirackiego oka, zadzwonił.

Wyobraził sobie pierwsze dziewięć nut melodii z „Dragnet” i uśmiechnął się.

– Wesółych świąt – powiedział, słysząc głos pana Trumana.

– Wesółych świąt, Fric.

Po tych słowach zgodnie odłożyli słuchawki, bo w tej chwili nie musieli mówić sobie nic więcej.

Od autora

W rozdziale 32. Tyfon radzi Dunny'emu Whistlerowi wziąć przykład ze świętego Duncana, którego imieniem został ochrzczony. Święty o imieniu Duncan nie istnieje. Możemy się jedynie domyślać powodu, dla którego pan Tyfon zdecydował się na ten drobny podstęp.

D. K.